

FABRYCZNAZONA.PL

ŚLEPA



PLAMA

STALKER



WIKTOR NOCZKIN

WIKTOR NOCZKIN

Ś L E P A

PLAMA



TŁUMACZYŁ  
MICHAŁ GOŁKOWSKI

fabryka słów

LUBLIN 2013



Счѣтчик снова поднимает трезвон;  
Ветер злится, листья обрывает.  
И уходит мой друг за Кордон.  
За Кордон друг мой близкий шагает.

Не зайги нам вдвоём в ресторан,  
Друг мой в Зоне, стал мой друг другим,  
Я сижу один, без водки пьян,  
К потолку пускаю горький дым...

За Кордон, за Кордон, далеко за Кордон,  
Где ни бурь, ни зимы не бывает.  
Далеко, за Кордон, с перебитым крылом,  
улетает мой друг, улетает.

За Периметром он навсегда,  
Старый друг не вернётся из Зоны,  
Я ж не смог, мне ещё не пора,  
Не пора уходить за Кордоны...

Ты помнишь, как шли мы и шли,  
Стараясь сдержат злые стороны,  
И Припять лежала в дали,  
Столица отравленной Зоны...

За Кордон, за Кордон, далеко за Кордон,  
Где ни бурь, ни зимы не бывает.  
Далеко, за Кордон, с перебитым крылом,  
улетает мой друг, улетает.

Więcej na: [www.ebook4all.pl](http://www.ebook4all.pl)



**B**ydłę z pana, van de Meer!

Staralem się włożyć w tę wypowiedź maksimum uczuć, żeby do ryżego dotarło, jaką głupotę wywinął, ale Dietrich tylko suszył zęby, w pełni zadowolony z siebie. No, w sumie to miał po

temu powody, w końcu kabana powaliła właśnie jego kula... Ogromne cielsko, pokryte ciemną szczyzną, rzuciło się teraz coraz słabiej i słabiej, sierść na karku powoli opadała. Nawet leżąc na boku, zwierzy wyglądał przerażająco.

– Bydlę z pana, van de Meer! Nie zaprzeczy pan chyba, że włączył to swoje debilne urządzenie?

Zaczął mi powoli przechodzić, więc spieszyłem się, żeby wyłączyć żółć, póki cholera mi nie minęła. Ryży zwinął z twarzy uśmiešek i demonstracyjnie podniósł ustrojstwo z przyciskami – popatrz pan sam, wyłączone.

– Słyszałem, jak przykał pan włącznikiem.

– No niech panu będzie, Ślepy. Po prostu sprawdziłem...

Aha, jasne – sprawdzał. Tak po prostu. W Zonie nie ma, że coś się dzieje „po prostu”. Oczywiście, kabana widziałem już z daleka – wielki odyniec rzucał się w zaroślach tak, że nie dało się go nie zauważyć. Przecież właśnie po to zszedłem ze ścieżki, żeby solidnym łukiem obejść krzaki, w których usadowił się stwór. Prypeć-kaban nie jest groźny, o ile się do niego nie zbliżać, zwierzak sam z siebie raczej nie poleci patrzeć, kto tam przechodzi w oddali, no ale jeżeli zwróci się jego uwagę – to zaatakuje na sto procent. Durne bydlę. No więc, zszedłem ze ścieżki i zacząłem robić koło, rozglądając się i w ogóle, z testową śrubką w ręku... ale pstryknięcie przełącznika słyszałem wyraźnie, van de Meer włączył swój idiotyczny agregat – i skutecznie tę uwagę na nas ściągnął.

Dzik ruszył ku nam jak przecinak, tylko trzask się rozchodził, gdy zwierz zaczął przedzierać się przez zagajnik. A ja w takich sytuacjach zawsze wpadam w nerwówkę. Właśnie dlatego zanim zdążyłem pomyśleć, machinalnie odrzuciłem śrubę, wyrwałem z kabury PMM – i wtedy w krzakach na poboczu drogi jakby granat wybuchł. Poleciały na wszystkie strony gałęzie, w powietrze podniosły się brązowe zeszlroczone liście – pojawił się potężny łeb z nabiegłymi mi krwią ślepiami, racice z łomotem miażdżyły suche kije... A ja, szczerze mówiąc, zacząłem walić, nawet nie celując, na chybcika. Taktyka nie najlepsza. Kulki z makarowa tylko podniosły kabanowi ciśnienie. Zwierz z rykiem rzucił się, ale nie ku mnie, tylko na van de Meera. Dietrich odskoczył i właśnie ten błysk jego odblaskowo pomarańczowego kombinezonu najwyraźniej zwierzaka przyciągnął.

Skulony, rzuciłem się w bok desperacko próbując sięgnąć do magazynka w kieszeni, więc też nie od razu zorientowałem się, że celem jestem nie ja, a van de Meer. Jak to zwykle bywa, magazynek jednak nie chciał trafić tam, gdzie trzeba, ryk zwierza i trzask gałęzi rozlegały się tuż obok – a ja czułem, że nie nadążam, więc jeszcze gorzej zacząłem się denerwować... i wtedy zobaczyłem przedziwny obrazek. Chuda, pomarańczowa sylwetka przygięła się, uchyliła tuż przed samymi szablami kabana, zwierz przeleciał, nie trafiwszy Dietricha, zasapał. Racice zaczęły ryć głębokie bruzdy w ściółce, na wszystkie strony posypało się błoto i kawałki próchna... Bach-bach-bach...! Bach!

Zdaje mi się, że dzika położyły pierwsze wystrzały, czwarty był chyba tylko kontrolny czy co... Zwierz runął łbem w krzaki, z rozpędu wlatując w zarośla, za którymi, tak jak przypuszczałem, schowała się „trampolina” – zupełnie maluśka taka. I śrubkę przecież w ręku miałem, żeby sprawdzić...

Cielska takiego jak nasz kabanik anomalia nie dała rady podnieść – podrzuciła je tylko, zakręciła i odrzuciła z powrotem. Truchło w locie wykonało obrót, plasnęło dokładnie przede mną, rozrzucając na wszystkie strony kawałki próchniałej ściółki i bryzgi błota. Właśnie tutaj zwymsłałem Dietricha od bydlaków; dopiero potem dotarło do mnie, że ryży więcej ode mnie ryzykował, a i kabana przecież on wykończył. Dwie dziurki, z których pulsującymi mi strużkami tryska krew... Nie, trzy – trzecia dokładnie w uchu. Zuch ryży. I kto by się spodziewał, że nasz niezgrabny uczo-ny ma w sobie tyle ikry? No, ja na pewno nie. A, jest i czwarty otworek – na boku kabana, za łopatką. Aj-waj, pan profesor, po mistrzowsku go położyliście! Trzy kule w łeb, a czwarta – w ser-

ce? Ale niemniej uważałem, że powinienem raz na zawsze wybić Dietrichowi ze łba durną brewurę. Tego akurat Zona nie toleruje.

– Co to ma niby znaczyć, „sprawdzałem”? Van de Meer, umówiliśmy się przecież, że najpierw zabieram szpej, a reszta potem.

– Szpeej? – Mój podopieczny jakby obracał słowo na języku, zabawnie przeciągając głoski.

– No, wyposażenie. Inaczej się mówi „szpej”. Pora przy wyknąć do zawodowego żargonu... A z tym tutaj to się czuję jakoś tak nie do końca...

Mówiąc „z tym”, miałem na myśli pistolet, i dopiero teraz uświadomiłem sobie, że PMM-a w końcu nie załadowałem – magazynek nadal ścisnąłem w lewej dłoni. Szybciutko wsunąłem go na miejsce, spuściłem suwadło, znalazłem w trawie pusty, schowałem do kieszeni. Dietrich nie mówił nic.

Pistolety Makarowa wydał nam chorąży z ukraińskimi naszywkami w Wijskowej Uprawie, gdzie z Dietrichem wypełnialiśmy papiery. Nie lubię broni przydziałowej, ale taki był jeden z warunków gry. Ponadto chorąży dogadał się ze swoimi, żeby podrzucili nas łązkiem do posterunku. Po pierwsze, dzięki temu nie trzeba było aż z miasteczka leźć piechotą, po drugie, wojskowi na posterunku spojrzeli na nas łaskawszym okiem: o, swojaki pewnie, skoro oficjalny m transportem zajechali. Nie jest to rzecz bez znaczenia – łatwiej będzie z chłopcami się dogadać w drodze powrotnej. Zdarzają im się napady melancholii, z którymi radzą sobie, waląc z grubej rury do wszytkiego, co podchodzi ku Pograniczu od wewnętrznej strony – w szczególności jak sobie urządują „wieczorek literacki”. Oj tak, niewiadomego pochodzenia literatura bardzo mocno wpływa na chwiejność nastrojów.

Od posterunku ruszyliśmy ścieżką, wszystko było pięknie, nawet słończko wyszło... No wszystko było po prostu świetnie, dopóki nie nadzialiśmy się na tego przekłętą kabana. Teraz obejrzałem sobie Dietrichowe trofeum uważniej. Chyba młoda jakaś sztuka, niedawno od stada się odłączył, żeby założyć własną rodzinę... Czy jak tam to u dzików się fachowo nazywa. Diabli zresztą wiedzą, jak to jest z mutantami. Tak czy inaczej, innych mutasów w pobliżu być nie powinno – za to ślepe psy na bank przylecą, żeby nazreć się padliną. A ja mam tylko PMM z jednym magazynkiem. Oj, trzeba nam jak najszybciej ruszać do skrytki.

– No dobra. – Machnąłem ręką. – Załóżmy, że udzieliłem panu nagany, pan się przyznaje do winy, wyraża skruchę i obiecuje poprawę. A teraz zbierajmy się stąd.

– Ależ czemu odchodzić?

– Niedługo psy się tu zjawią.

– Te same ślepe psy, o których ty le słyszałem w Gwieździe?

– Te same.

– Ależ to wspaniale! A jakby tak jeszcze czarnobylec z nimi był... – Ryży złapał za PDA, zaczął stukać po klawiszach. PDA miał wypasiony, z większym ekranem, pękaty taki, z gniazdem na doczepianą klawiaturkę.

– Panie Dietrich... – Ot, nie słucha, zaraza. – Van de Meer!

– Tak, Herr Ślepy? – Nie oderwał się nawet od ekranu. Westchnąłem ciężko, zacząłem wyjaśniać:

– Panie Dietrich, psy przyjdą tutaj na zapach zdobyczy. Najpierw sprawdzą teren dookoła cielska, potem odkryją nas i postarają się rozwiązać problem. Rozumie pan? Czyszczą terytorium wokół padliny, a potem uczują przez kilka dni. I nas też wychyszczą.

Van de Meer dostukał na PDA ostatnie zdanie, dopiero potem popatrzył na mnie.

– Tak to się doskonale składa. Obserwacja stada w naturalnym habitatcie przy zdobyczy – na początek dokładnie o to mi chodzi. Ślepy, usadowię się o tam, widzi pan?

Widzę, a jakże – drzewa. No, niby dość daleko od martwego kabana. Westchnąłem znowu –

pytanie tylko, czy psy zgodzą się z moją oceną, że to *dość* daleko?

– Zbuduję... ee... – Ryży szukał słów po naszymu. Gadał całkiem niezłe, póki nie używał specjalistycznego słownictwa. – Eeee, ambonę, kazalnicę... gniazdo. Specjalne miejsce. Pan niech idzie do swojej skrytki, bierze, co potrzeba, a potem przychodzi do mnie. Tylko niech podchodzi pan z zawietrznej, wtedy psy pana nie wyczują.

Tropiciel od siedmiu boleści, przyrodnik jeden. I jeszcze poucza...

– Jeżeli będzie z nimi czarnobyłec, to i bez wiatru wyczuje.

– Ależ pan przecież będzie miał już broń. – Van de Meer był ostoją spokoju. – Chociaż lepiej by było, gdyby dał pan radę przekraść się niezauważenie, aby nie zakłócać moich obserwacji.

– Bydlę z pana, van de Meer...

To powiedziałem już bez emocji, bo w zasadzie się zgodziłem.

– Niechże pan idzie, Ślepy... – powtórzył Dietrich. – Ja zaraz wezmę się do roboty... Odpoczne tylko chwilkę.

Spojrzałem na ryżego uważniej – zbladł coś, czoło zroszone ma potem. Tak się spruł po godzinnym marszu? Czy przygoda z kabanem tak na niego podziałała? Uczony schował klawiaturkę PDA do futerlika na pasku, wyciągnął z kieszeni napierszej chusteczkę higieniczną i dokładnie wytarł całą twarz, potem ręce. Chusteczkę tak w ogóle później schował do drugiej kieszonki, którą pedantycznie zapiął. Ot, Europa... ale wygląda ryż sła biutko.

– Van de Meer, nie ruszę się ani na krok, dopóki nie zobaczę pana na drzewie.

No i na tym stanęło – po kwadransie zrobiłem Dietrichowi „stopkę” pod drzewem, potem od dałem mu część towaru ze swojego plecaka, żeby lżej się szło. Jeszcze poprosił, żebym mu pomógł się umościć i podał kilka starych, szerniały ch od wilgoci gałęzi, które wypatrzył gdzieś niedaleko. Potem jeszcze sprawdziłem, jak się ryż czuje na drzewie – no, małpa z niego była słaba, ale trzymał się całkiem pewnie. Wtedy też zdecydowałem się go zostawić i ruszyć ku skrytce; wreszcie mogłem wrócić na ścieżkę, więc pomaszerowałem szybciej.

Skrytkę sobie urządziłem w niedalekich ruinach. Trudno orzec, co było tam wcześniej, ale pozrucony domek stał chyba jeszcze od czasów Pierwszej Awarii. Ścieżynka biegła sobie akurat koło gruzowiska, często gęsto stawali tam na popas stalkerzy, więc pomyślałem sobie tak no w takim miejscu to już nikt nie będzie szukał. Nasi zawsze rozkładali się w kacie dalej od ścieżki, pod reszkami dachu, a ja swoje skromne rzeczy trzymałem na zewnątrz – tam, gdzie przegniłe belki i pozostałości azbestowego dachu utworzyły malowniczą hałdę, zasłoniętą od strony ścieżynki resztkami ścian. Pagórek zarósł trawką i wyglądał na zupełnie dziewiczy, więc jeśli ktoś nie znał jego tajemnicy, to w życiu nie przyszłoby mu do głowy, że cokolwiek tam może być.

Takie skrytki to absolutna konieczność, bo przez Pogranicze lepiej przekradać się bez obciążenia, a zapasy trzymać już w Zonie. No, oczywiście, jak ktoś jest *pro i über*, to ma to wszystko inaczey zorganizowane – w sensie ci, co z Zony nie wychodzą. Jak ktoś ma stałe zameldowanie, to nie musi bujać się przez Kordon, bo ma już dojścia u handlarzy, a każdy stalker ma swoje stałe kontakty. A ja jeszcze nie na tyle w Zonie ugrzązłem, ja tu nie gospodarz, a taki sobie rezydent. Mieszkałem, rzecz by można, na walizkach. I akurat pod tą starą, zarośniętą trawą dachówką trzymam największą ze swoich waliz.

Naturalnie najpierw sprawdziłem, czy aby ktoś się nie kręci w pobliżu, dopiero potem poszedłem za domek. Już sobie przemyślałem wcześniej, co będzie mi potrzebne. Jeśli nam obu z van de Meerem chodziło o mutanty, to ciężki sprzęt – zasadniczo – nie powinien być potrzebny. „Ciężki” to może lekka przesada, w końcu na wojnę się nie wybieram.

Odciągnąłem na bok płat eternitu – ostrożnie, żeby nie naruszyć darni – i przejrzałem zawartość skrytki. Śladów włamania niby nie widać... no i gites. Wyjąłem MP5 – ładna rzecz, leciutka, dobrze w rękę leży. Nie wiem, co to za jedni byli, Heckler i ten drugi, Koch, ale niezłe się przyło-



żyli do roboty. Złapałem kilka magazynków, chwilę pomyślawszy, wziąłem jeszcze jeden – ze wzmożoną amunicją.

Coś łatwo van de Meerowi z tym łabanem poszło... Tak sobie pomyślałem: a kto wie, w co można się przy takim gościu władować? Na wszelki wypadek zapasik nie zawadzi. Złapałem jeszcze pudełeczko nabojów do Makarowa i mój „szczęśliwy” RGD-5. Każdy ma jakieś swoje drobne dziwactwa, osobiste przesądki i takie tam – no a ja noszę ze sobą granacik. Ani razu nie używałem, to chyba zrozumiałe, ale za każdym razem biorę; ot, taki sobie talizmanik wymyśliłem. Dla równowagi dołożyłem do skrytki kontraktowe konserwy, które wydali nam w Uprawie – działostwo, ale darmo przyszło. Na czarną godzinę będzie jak znalazł.

Skrytkę równiutko owinąłem plastikową folią, popryskalem śmierdzącą chemią z buteleczki i w końcu ostrożnie przeciągnąłem na miejsce arkusz azbestu z sadzonkami. Na wszelki wypadek jeszcze trochę podlałem odstraszacem; po minucie zapach ulotni się na tyle, że człowiek nic nie poczuje. Aerosol jest na szczury i ślepe psy, bo te nienazarte mutanty mogą się połakomić i na smar do broni. Teoretycznie diabełstwo z buteleczki powinno je odstraszyć – no, przy najmniej wcześniej działało.

PDA podał sygnał, że zbliżają się dwa obiekty. I jeden, i drugi z własnymi urządzeniami zresztą, więc szybciułko wróciłem do ruin, żeby wyglądało na to, że sobie tu odpoczywam.

Parę minut później na ścieżce pojawiły się dwie postacie. Jednego znałem – Pasza Węglarz. Zazwyczaj chadzał w parze z burkliwym gościem, którego ksywę zapomniałem, teraz był z nim nieznamy mi stalker. Wstałem, żeby się przywitać.

– O, gwiazdne komando! Też na nocleg tutaj? – ucieszył się Węglarz. – Dobrze, po kolei się wyśpimy.

– Nie, ruszam zaraz.

– Daj spokój, Ślepy, gdzie się po nocy włóczyć będziesz? – zaczął przekonywać Paszka. – Zostań z nami, razem raźniej!

– Nie da rady, partner na mnie czeka. – Wszyscy wiedzieli, że partnera nie mam, więc nie czekając na pytania, od razu wyjaśniłem: – Tymczasowy. Uczony, doświadczenia prowadzi, a ja mu za przewodnika robię.

Paszka westchnął.

– Z uczonym to dobrze. Ale uważaj, teraz na posterunkach rozkaz dostali: naukowców też sprawdzać, jeśli druku szesnaście nie mają.

Drukszesnaście to zaświadczenie, że dany uczony pracuje na zlecenie instytucji wojskowej, o tym już słyshałem. Van de Meer naturalnie takowego nie posiadał.

– Przyjąłem, dla wojskowych już coś wymyśliłem. No dobra, trzymajcie się ciepło, ja już odpocząłem, muszę za dnia zdążyć do mojego profesorka.

Nie byłem wcale taki pewien, czy van de Meer szczyci się takim tytułem, ale jakoś tak się przyjęło, że wszytkich uczonych nazywamy „profesorami”.

– A, Ślepy! Kawał słyshałeś? Przychodzi stalker Pietrow do lombardu, pomarańczowy kombinezon przynosi. Patrzenie, mówi, nowy mutant się w Zonie pojawił. Mocny, zaraza, ruchliwy taki! Ledwo go ustrzeliłem! Dobrze, że chociaż skórę zdjąć łatwo...

Tutaj po raz pierwszy głos dał towarzysz Paszka:

– A najlepiej psora bierz i ruszajcie do nas. Słyshałem psy, gdzieś tu niedaleko sfora się kręci.

– Tja... – Skrzywiłem się i kiwnąłem głową. – Mój uczony akurat piesków właśnie szuka. Do eksperymetów, jak doktor Pawłow normalnie. Paszka, a gdzie Bucior?

Bucioorem zwali tego milczka, z którym Węglarz wcześniej chadzał; w końcu sobie przypomniałem.

– Bucior na Wysypisko poszedł, nową beretę chciał przestrzelać. Obiecał, że za kilka dni wró-

ci, ale go nie ma. No i z Kolianem pomyśleliśmy, że pójdziemy, sprawdzimy, bo to mało mogło się stać...

Rzeczony Kolian kiwnął głową. Chyba Węglarz celowo dobiera sobie wybitnie nierozmownych towarzyszy. Ma swój autorytet, do chodzenia z nim chętnych nie brak, to sobie przebiera.

Życzyliśmy sobie dobrej Zony, przerzuciłem pas nośny przez ramię, żeby mieć empepiątkę pod ręką, i ruszyłem ścieżką z powrotem. Zerknąwszy przez ramię, zobaczyłem tylko, że Kolian zajął się rozpalaniem ognia, a Węglarz zbiera chrust. Znaczący się faktycznie na noc zostają, inaczej na co by im było ognisko? Za godzinę już ciemno będzie... Po drodze zszedłem tylko na boczek sprawdzić „elektry”, czy aby coś nie wyskoczyło z anomalii, „błyskot” albo „bengal” jakis... W okolicy skrytki znałem na pamięć wszystkie anomalie, a stąd do Elektrowni tak daleko, że nawet przy emisji nie zawsze zmieniają położenie. Artefaktów nie było – może Paszka z Kolianem już pobierali, a może po prostu nie było co.

Gdy sobie tak szedłem ścieżką, kilkakrotnie z daleka dochodziło wycie ślepych psów. Głosy wcale nie takie przykre, ich ujadanie bardziej przypomina sarkastyczny chichot komika klasy B w tanim spektaklu: hou-hou-hou-u-u-u... Póki co stado było daleko, ale twardo trzymało kurs: „śmiech” rozlegał się coraz bliżej, a ostatnim razem zupełnie już blisko. Ale do tego czasu i ja zdążyłem dotrzeć na miejsce.

Niebo zaciągnęło się chmurami, zaczął kropić deszcz, ale w lasu krople nie dolatywały do ziemi, gałęzie nad głową póki co chroniły od wody. Mimo to z powodu chmur ściemniło się wcześniej, więc niezbyt dobrze widziałem gniazdo, które uwił sobie na drzewie Dietrich. Dopiero wdrapawszy się do niego, mogłem w pełnej krasie ocenić robotę uczonego. Van de Meer dał radę ułożyć trzy spore gałęzie w rozwidleniu konarów tak sprytnie, że powstała dość wygodna platforma, na której w ścisłości, ale nie tak znów strasznym, spokojnie mieściły się dwie osoby. Van de Meer był dość szczupłej budowy, ja sam też nie należą do olbrzymów, więc mogliśmy się wygodnie usadowić i oprzeć plecami o pień drzewa; znalazło się nawet miejsce na nogi.

– Ile za nocleg w pańskim hoteliku, van de Meer?

– Nie więcej niż w Gwieździe – uśmiechnął się ryży, montując pośród listowia nad głową małą antenkę.

Zauważyłem, że gałęzie nad nami Dietrich zostawił, nie obłamywał, żeby zamocować na nich poszycie, a nawet narzucił na górę jakąś lekką płachtę, więc okazało się, że mieliśmy daszek. Oczywiście marniutki, ale na taki deszcz zupełnie wystarczy. Naukowiec skończył grzebać się z aparaturą i przysiadł obok mnie, czułem jego ramię przez kilka warstw materiału.

– Przekąsiłem co nieco, nie czekając na pana, Ślepy – przyznał się Dietrich. – Nie szkodzi?

– W porządku. Na razie mi się nie chce jeść.

Psy zachichotały zupełnie już blisko – znaczący się zakończyły obchód terytorium, pognały konkurentów, jeżeli jacyś byli, a teraz zaczęła zwać kabana. Najwyraźniej urządzenie Dietricha działało, bo nas nie wyczuły – w sumie nie dziwota.

– Van de Meer, ładnie pan tego zwierza położył, widać, że ręka ćwiczona. Gdzie pan trenował?

– Wszystko w tym samym miejscu – poza Afryką nigdzie dłużej nie mieszkalem. Niech pan wyobrazi sobie, nosorożec jest kilkakrotnie większy od lokalnego odyńca...

– Polowania na nosorożce są nielegalne! – Nie wiedziałem, czy ryży drze ze mnie łacha, czy łże w żywe oczy. A może to faktycznie przestępca-klusownik? Byłem przekonany, że dla Europejczyka prawo to rzecz święta...

– Zakazane jest również stalkerstwo – rzucił van de Meer.

– Mhmm...

Też sobie znalazł porównanie! Przecież my, jakkolwiek na to patrzeć, też tu jesteśmy nielegalnie.

– Nosorożców nie zabijaliśmy – kontynuował ryży. – Specjalny pocisk, w nim kapsułka z miksturą paraliżującą ośrodki nerwowe. Zdarzało się, że środek nie działał od razu, trzeba było robić dwa albo i trzy podejścia, ale po pierwszym trafieniu zwierzę stawało się ospałe i powolne. Wtedy trzeba było robić akrobacje, jak dziś z kabanem.

Zrobiło się zupełnie ciemno, pod osłoną zaciągniętego chmurami nieba noc przysłała nieopatrzenie. Szary dzień jakoś tak stopniowo przeszedł w szary zmrok.. a potem okolica pogrążyła się w zupełnej ciemności.

Nie mówiliśmy nic. Zrobiło mi się trochę głupio, że tak na uczonego naskoczyłem; wychodziło na to, że facet wiedział, co robi. Pewnie też zakładał, że bestia ruszy na jego jaskrawy kombinizon, więc zagrożenie dla mnie było minimalne. Przepraszać nie miałem zamiaru, w sumie dla van de Meera taka lekcja to same korzyści... ale odczułem potrzebę zademonstrowania sympatii. Załadowałem dwa magazynki, resztkę nabojów zdecydowałem się zaproponować Dietrichowi.

– Panie van de Meer...

– Hm?

– Weźmie pan nabojów do makarowa, mogą się przydać.

– Dziękuję panu, Ślepy.

Podzielić się amunicją – cóż może być lepszego, gdy chce się człowiekowi pokazać, że mu się ufa, że się go docenia... w ogóle, żeby okazać sympatię właśnie?

Potem chichot psów rozległ się całkiem już blisko, w rękach van de Meera coś zapiszczało, nad głowami zaszeleściła nam antena.

– Pan wybaczy, Ślepy, ale poświęcę się pracy – powiedział Dietrich. – Wedle uznania, pan może odpocząć.

Faktycznie, zebrało mi się na drzemkę, więc umościłem się tylko wygodnie i stwierdziłem:

– Tak, zdrzemnę się... A pan, van de Meer, niech zlicza swoje anioły.



Dietricha van de Meera poznałem kilka dni wcześniej, niż przyszło mi zawrzeć znajomość z kabanem (niech mu futro lekkim będzie) – w hotelu Gwiazda. Siedziałem sobie, jak zwykle, w barze na parterze, siorbałem zimną kawę i zajmowałem się ulubioną rozrywką, czyli starałem się zgadnąć, jaki kolor mogą mieć sprzęty w nieszczerze wystawnym wnętrzu naszego hoteliku. Bar – to dość szumne określenie. Ciemnowa salka, słabo oświetlana przez żarówki w zakurzonych kłozach. Połowa kinkietów i tak nie działała, więc pomieszczenie tonęło w półmroku. Cichutko, spokojnie... i wszystko szare – jak w Zonie.

Za kontuarem drzemał sobie Kieszon. Wcześniej czytał gazetę – a przy najmniej udawał, bo szeleścił stronicami – ale teraz oparł się czołem o złożone ręce i przestał dawać oznaki życia.

Kontuar obciążony był plastikiem, co do którego wiadomo mi prawie na pewno, że był zielonkawy. Powierzchnię pokrywał skomplikowany wzór rys, zadrapań i plam – ciekawe, jakiego koloru będzie ten kleks po lewo od łokcia Kieszona? Oczywiście samego Kieszona budzić dla takiej głupoty nie będę. Niech sobie chłopina odpocznie, w sumie, co mi tam za różnica z kolorem...

*Czopki!* Sprawa rozbija się o czopki. Siatkówka ludzkiego oka zawiera trzy rodzaje światłoczułych receptorów, które kiedyś nazywały się słupkami, a teraz przemianowano je na niezbyt mądrze brzmiące czopki. I każdy taki czopek odpowiada za konkretny kolor. U nas, czyli u daltonistów, funkcje czopków są zaburzone, w związku z czym nie zawsze potrafimy odróżnić kolor zielony od czerwonego. Taki szczegółolik! Ale z powodu takiej malusiej pierdoły nie mogę normalnie żyć. Problemy z prawem jazdy – no, to oczywiste. Ale ile z tego się bierze paskudnych nieporozumień... nawet przy doborze stroju! Już nie mówię nawet o tym, żeby pójść do muzeum, popatrzyć sobie na obrazy. Cóż za ciekawa wizja artysty – różowa mgła! Przepraszam, ta mgiełka to różowa jest? Aaa, szara...

Ten świat zaprojektowano dla ludzi z normalnym widzeniem trójchromatycznym – wszystko jest przygotowane, wszystko przewidziane, wszystko oczywiste. Sygnalizacja świetlna, przy ciskii na urządzeniach mechanicznych... Zielony – start, czerwony – stop. Ale weź i spróbuj się w tym rozeznaczyć, jeżeli nie wiesz, który przycisk jest czerwony, a który zielony! No i dlaczego niby tak jest? Przecież daltonistów nie jest tak znowu mało – osiem procent mężczyzn i jakieś pół procenta kobiet na całej Ziemi cierpi na zaburzenia postrzegania kolorów. Tak, daltonizm to choroba prawdziwych mężczyzn – tak sobie żartuję, kiedy rozmówca zaczyna nade mną biadolić. Mnie waszego współczucia nie trzeba, lepiej przestańcie oznaczać przy ciskii czerwonym i zielonym!

Ale co komu po lamentach? Teraz wszędzie zaczynają budować przy schodach podjazdy dla inwalidów na wózkach, specjalnie dla nich windy robią z guzikami niżej i takie tam... a ile ich niby jest? No w żadnym razie nie osiem procent wśród mężczyzn. O nie – do naszych potrzeb jakoś świat się nie chce przystosować, on jest stworzony dla ludzi z widzeniem trójchromatycznym. Może dlatego właśnie w Zonie czuję się spokojniejszy? Tu wszystko jest szare, przygaszone, przybladłe – wieczna jesień. Nie ma tu światła ulicznych i paneli sterowania z kolorowymi przyciskami. Nie i o prawo jazdy nikt nie pyta. Może wszechdobry Stwórca celowo właśnie dla nas, daltonistów, przygotował Zonę? Hę, hę, hę...

Jakolwiek by było, w Zonie mi moja dolegliwość nie przeszkadza. I wcale się nie czuję pokrzywdzony, wszystko jest normalnie. Nikt się nie podśmiewa, nikt sobie żartów nie robi, a co najważniejsze, nikt nie próbuje współczująco wzdychać... Tfu, obrzydliwość! Tu, w Zonie, jest zupełnie inaczej! Nawet ksywka Słepy mnie nie denerwuje, a nawet wręcz przeciwnie, podoba mi się, ma swój styl.

A plama przy łokciu Kieszona jest oczywiście czerwona. Niby skąd tutaj, na kontuarze, wziąłby się zielony? Większość sosów robiona jest na czerwonych pomidorach, to już swoista tradycja u tych, co nie mają daltonizmu. A dla nas, „kolorowych inaczej”, jedzenie powinno mieć smak, a

nie kolor, na nas taka przynętka nie działa! My akurat świat postrzegamy takim, jaki jest naprawdę, nas barwnikiem chemicznym nie omamisz.

Hotel Gwiazda nie jest żadnym luksusem przybytkiem, ale za to jest tu spokojnie. W sumie Gwiazda podobna jest do mnie, też na pierwszy rzut oka niepozorna, ale bogata pięknym światem wewnętrznym. I o ile nasz bar nijak temu wysokiemu statusowi nie odpowiada, to Gwiazda jest przecież hotelem z prawdziwego zdarzenia; wszystko oficjalnie, jak trzeba, nawet neonowy napis jest, rozjarzający się nocą fioletowymi (podobno) literami: HOTEL GWIAZDA.

Drugi rok tu mieszkam, więc jestem już swoistym weteranem, strażnikiem tradycji. Niby okres nie taki znowu długi, ale u nas rzadko kto nawet na tyle się utrzymuje. A ja się zadomowiłem.

Właściciel, niejaki Gosza Kary, czasami prosi mnie o eskortowanie jego współpracowników. Układ bardzo wygodny – jestem nikim, nikogo nie znam. Ot, siedzę sobie w wagonie *elektryczki*, dwa albo trzy miejsca od kuriera Goszy, i patrzę. Formalnie jestem ekspedytorem przesyłek – jeśli jakaś kontrola albo co, to papiery pokazać mogę, więc pełna swoboda ruchów. W sumie to każdy u nas w Gwieździe ma takie czy inne papiery, doskonale wyjaśniające obecność ich okaziciela w strefie specjalnej – jedni w delegacji, inni w różnych urzędach pracują w miasteczku, a najlepiej to się ustawił Mońka – ma *Ausweis* z gazety powiatowej. Reporter, znaczy się ma prawo wcisnąć się, gdzie tylko mu się zachce. Przez Kordon go na takich papierach nie puszczą, jasna sprawa, ale poza tym – bajka. Nawet postraszyć można: o, już ja wasze brudne machlojki opiszę w gazecie, oby watełu sierżancie! Czy też towarzyszu sierżancie, to już zależy, na czyj patrol się człowiek wchodzi. Jeżeli szczęście dopisze i obywatel-towarzysz okaże się nie nazbyt docieklivy, to legitymacja działa świetnie. No i jeszcze Gosza pilnuje, żeby rezydenci papiery mieli w porządku. Meneli, mówi, nie przyjmujemy. Jeżeli już komuś się mocno grunt pali pod nogami, to i od patrolu może przykręcić, gońcem dla Gwiazdy kogoś zrobić albo odźwiernym... ale za takie „plecy” liczy sobie Gosza słono, są opcje kilkukrotnie tańsze. Zresztą w miasteczku byle firemka ma na liście płac tuzin pracowników, albo i ze dwa. Dogadać się zawsze idzie.

Ale to tylko za „plecy” tak drogo Gosza kasuje, a wynająć pokój w Gwieździe można za śmieszne grosze, do tego jeszcze Kary przymyka oko na nieobecność klientów po kilka dni, albo i parę tygodni nawet. Oczywiście mało kto tygodniami w Zonie siedzi, ludek nasz z Gwiazdy nie taki znowu wrywny – ot, szmyrgnął sobie przez Kordon, okolicę sprawdził, złapał, co się pod rękę nawinie, i rura z powrotem. Niektórzy po prostu towar handlarzom noszą – konserwy, akumulatory, zapalniczki, amunicję i inną temu podobną drobnicę.

Trafiają się oczywiście magicy, co próbują sami handel obnośny rozkręcać, ale takim szybko i dobitnie się wyjaśnia, że terytoria są podzielone, a handel z pominięciem miejscowego handlarza to zwykłe złamanie zasad. Tym bardziej, że jeżeli handlarzowi po dobroci zaproponować towar z Dużej Ziemi, to weźmie zawsze, sobie tylko niewielką marżę doda. Da się żyć. No, oczywiście, do tego jeszcze dochodzą pamięteczki z Zony... Ale o pamiętkach oddzielna rozmowa, bo to temat rzeka.

Zasady te rzecz jasna działają nie tak znowu daleko od Kordonu, a w głębszej Zonie wszystko wygląda inaczej. Ale ja się do centrum rzadko pcham, podobnie zresztą jak inni bywalcy Gwiazdy – cicha woda brzegi rwie, a my, ludzie z gwiazdowego komando, właśnie cisi tacy, solidni jesteśmy. A już ja najcichszy ze wszystkich – mi tam, szczerze mówiąc, od Zony niczego nie potrzeba. Pójdę sobie tam, posłucham cisy, na szare pejzaże popatrzę i hyc z powrotem. Rzadko kiedy dwie noce z rzędu nie wracam do Gwiazdy, więc dlatego zasiedziałem się jako weteran. Można też rozumieć, jak wam się podoba: można rzecz, że dużo czasu spędzam w barze, więc mnie uważają za tutejszego. Można też powiedzieć, że mało czasu spędzam w Zonie, więc jeszcze jestem cały i zdrowy, a zatem tutejszy.

Rozległy się głosy, skrzyknęły rozeschnięte deski podłogi, Kieszon podniósł głowę, ziewnął...

Wypilem kawę, przeciągnąłem się – zaczyna się wieczór w barze hotelowym Gwiazda. Zjawil się Kostik, pstryknął włącznikiem, reanimując jeszcze kilka lamp pod sufitem; chwilę posłuchał w zadumie, jak trzaskają świetlóówki, podrapał się, popatrzył na salę, skinął mi głową. Za nim wszedł Nikolka, od razu skierował się do baru, wyciągnął rękę – Kieszon odchrząknął, jakby sam chciał zaśpiewać, wyciągnął gitarę. Nasz trubadur oddalił się do swego kątku, gdzie zaczął skrzypieć kołeczkami naciągów, od czasu do czasu wprawiając struny w dysharmoniczne wibracje. Czasami mam wrażenie, że profesjonalści przy strojeniu gitary celowo narażają publiczność na te jałowe, pozoranckie zabiegi, żeby postronnym wydawało się, że niby wiedzą więcej od innych.

Potem zaczęli zbierać się tutejsi – Kutia, Daniłow, Buza. Kutia dopiero co wrócił z rajdu. To widać od razu: jak człowiek świeżo z Zony wraca, wygląda zupełnie inaczej. Skupiony taki, ale trochę nieobecny. Dokładnie jak Kutia teraz... Ale na twarzy zadowolony – od razu widać, że wymarsz się udał. No proszę – stalker od razu zagadał do Kostika:

– Do Goszy sprawę bym miał.

Znaczy się towar ma przy sobie, Karemu go chce puścić od razu, nawet kolacja mu nie w głowie. Cała reszta najpierw do Kieszona uderzyła po zarcie.

– *Paczakaj*. – Kostik kiwnął głową, odwrócił się i wyszedł na korytarz, po drodze wyciągając komórkę.

Za to jak wszedł Demian, od razu zrozumiałem – temu się akurat nie fartnęło. Gęba skrzywiona, oczy wbite w podłogę, na Kostika stara się nie patrzeć, w drzwiach się odsunął, przepuścił. Demian – koleżka doświadczony, gość do rzeczy, wie, co trzeba, potrafi, co trzeba... tylko chyba pechowiec. A może za duży ryzykant – nie raz i nie dwa widziałem, jak mu się oczy błyszczą, kiedy widzi cudzy towar. Szczęście z hazardzistami lubi się podrażnić, ale do łóżka ich nie wpuszcza. Spokojniej trzeba się trzymać, na zimno.

– Kieszon, słuchaj, ja... – zaskomlał Demian.

– Siadaj – rzucił barman. – Się zrobi.

Bez słów tu jasne, że gotówką stalker nie śmierdzi, ale parówki i chińską zupkę z makaronem w plastiku dostanie. No i promieniowanie z organizmu pomogą mu wygonić; wódka u Goszy w Gwieździe zawsze dobra, on sam jest niezgorszy *sommelier*. Demian skinął tylko głową, ponuro klapnął przy stoliku.

Niolka ogarnął już gitarę, na próbę zanucił:

*Na bagnach gdzieś w Ciemnej Dolinie,  
Gdzie licznik wciąż wyje aż strach,  
Włóczęga, swój los przeklinając,  
Przez most pusty ciągnie plecak.*

Kostik zajrzał do sali, gestem przywołał Kutia, ten szybciotko kiwnął, złapał plecak i potupał do wyjścia – znaczy się Gosza już przyjmuje.

Niebawem pojawili się też Dżordżu i Szpulecki. Kieszon poszedł do kuchni, gdzie już na całego bulgotało i sycało.

*Na grzbiecie kamuflaż podarty,  
Psy ślepe wciąż idą ślad w ślad,  
Pustkami świeci magazynek  
I artefaktów też brak...*

Gitara zalkała żałośnie nad ciężkim losem stalkera.

– Ślepy, a jakto dalej szło?

Dalej jeszcze nie zdążyłem wymyślić, ale w tej samej chwili wpadł mi do głowy pomysł. Wstałem, wyciągnąłem rękę:

– Dawaj!

Nikolka od razu podał instrument, a ja na fali ekspromptu wydałem z siebie:

*Włóczęga już z Zony wychodzi,  
Uśmiecha się mama, on w płacz:  
Podziękuj kontrolerowi,  
Mamusię zobaczyć ci da!*

– No nie, nie no! – zaprotestował Nikolka, odbierając mi gitarę. – Tak nie wolno! Owszem, podmiot liryczny powinien mieć przesrane, ale matki ruszać nie wolno – na świętości ręki nie podnoś! Wy myśl coś innego.

– A kogo mu niby kontroler pokaże? Handlarza czy co? – zaoponował wchodzący Świtek – Średnia radość... Powitać, panowie urzędnicy w delegacjach!

Demian westchnął rozdzierająco – już jakiś czas chyba jechał na oparach i zdaje się, że zdążył popsuć sobie stosunki z handlarzami, przy najmniej z tymi, którzy mają punkty w naszym sektorze. Dla niego teraz czy kontroler, czy handlarz – bez różnicy. Ot, sam sobie winien, duszę hazardzisty krótko trzeba trzymać przy mordzie.

Wrócił Kutiak – oj, zadowolony aż miło, widać szybką się z Karym dogadali. Stalker złapał pytające spojrzenie Kieszona, puścił do niego oczko:

– Dziś balujemy!

Barman kiwnął zdawkowo głową – on już zna gusta i guściki każdego z bywalców, a i wybór niezbyt szeroki, więc Kieszon najlepiej wie, co komu do domu.

– A tak przy okazji, à propos kontrolerów – odezwał się Szpulecki. – Kawał słyszeliście? Spotykają się dwa kontrolery, stary i młody. Młody opowiada: Siedzę ja sobie na ścieżynie stalkerskiej, kto się nawinie, to ja mu się do głowy ładuję od razu, nikt przejść nie daje rady, aż tu nagle idzie jakiś taki jeden stalker, ja go i tak i owak próbuję, i straszę, i zwodzę, i na mózg mu cisnę, a on tylko małym palcem w ucho podłubał i mówi: Oj, komarów się namnożyło, piszczą tylko i piszczą. I poszedł dalej, a ja mu nijak mózgu nie mogłem wyprać! A na to ten starszy kontroler: Taki stalker w waciaku? W czapce uszance? – Aha! – Uuu, to stalker Pietrow był, on dla nas, kontrolerów, nie do ruszenia. Młody na to: A dlaczego? A stary: Jakto dlaczego, przecież stalker Pietrow mózgu nie ma!!

No, pośmialiśmy się. Skrzy pnęły drzwi, myślałem już, że Kostik znowu kogoś zaprosi na osobistą audiencję, a tu sam Kary zagląda. Gosza nieczęsto tak nas zaszczyca, przeważnie do baru nie wychodzi, siedzi u siebie na pokojach, a ochroniarze do niego naszą brać stalkerską pojedynczo wołają.

Demian od razu podskoczył:

– Gosza, ja, ja...!

Jasna sprawa, że na widzenie go bez towaru nie wpuszczają, a tutaj stalkerzyna zdecydował skorzystać z okazji i wybłagać coś na kredyt. Dać jeść mu przecież Kieszon da, złego słowa nie powie, ale za postój płacić trzeba, a i szpej na kolejny rejs potrzebny – o takim kredycie trzeba poważnie porozmawiać, więc i Demian się ruszył.

– Bez ekscytacji. – Gosza podniósł dłoń, a Demian zamarł, jakby wpadł na niewidzialną ścia-

nę, cofnął się o krok – Poczekaj, zaraz się rozmówimy... Ślepy!

Nie powiem, zdziwiłem się – zali dla mej skromnej osoby opuścił Kary swój Olimp i bruka się kontaktem ze śmiertelnikami?

– Ślepy, mam tu klienta, jest sprawa, poważnie potraktuj. Potem do mnie przyjdiesz.

Gosza odsunął się na bok i do sali wkroczył szczupły, patykowaty mężczyzna. Rudy. Ubrany jakoś tak dziwnie – ni to biednie, ni to bogato, a dziwnie właśnie. Kurtka i spodnie z solidnego, grubego płótna, na nich masa podoszywanych kieszeni i kieszonek. Na naszym wygwizdówku takich się nie nosi. Gość rozejrzał się, rzucił głośno: „Dobhy wieczóh!” – i ruszył do mnie. Pokazałem mu gestem wolne miejsce, ryzy siadł, wyciągnął do mnie szczupłą rękę:

– Dietrich van de Meer.

Mówił z leciusięńkim akcentem, ale to zauważyłem, przyznaję, nie od razu; w ogóle jego rosyjski był całkiem, całkiem.

– Ślepy. Słucham szanownego pana.

– Ślepy? – Dietrich wymówił to jak Szsze-phy. – Przedziwne imię, ale do rzeczy. Reprezentuję pewną organizację publiczną, zainteresowaną badaniami na terytorium Zony. Jestem naukowcem, zatem...

– Legalny dostęp?

– Dokładnie. Potrzebny mi przewodnik.

W sumie sprawa, jakich nie mało. Od czasu do czasu pojawiają się podobne typy – sęk w tym, że przeważnie naukowcy działają oficjalnymi kanałami, wtedy mają pełne wsparcie, ochronę wojskowych stalkerów itepe, itede. Z rzadka trafiają się tacy, co unikają kontaktów z kolegami po fachu. Możliwe, że ten cały van de Meer to właśnie taki zawodnik... Dziwne, że przychodzi do mnie; dziwnie, że w ogóle pojawił się w Gwieździe – miejsce bynajmniej nie jest cool ani trendy, legendarni überbohaterowie zazwyczaj siedzą na tokowisku w lepszych stajniach. A ten z jakiegoś powodu chce wynająć kogoś z gwiazdowego komando... Ze wszech miar zadziwiające. Dlatego właśnie Gosza zajrzał osobiście, żeby podeprzeć go swoim autorytetem. No bardzo, bardzo dziwnie wygląda mi pojawienie się tego van de Meera.

– Przewodnik... Jak rozumiem, Gosza omówił już z panem kwestie natury zasadniczej?

– Gosza?

– Właściciel hotelu, który pana tu przyprowadził.

– Ach, Herr Karczalin! – Taaa, Kary tak naprawdę ma na nazwisko Karczalin, ale mało kto o tym wie. Żadna z tego tajemnica, po prostu rzadko kiedy używa się tu nazwisk, chyba że ktoś papiery podpisuje albo przyjmuje się do pracy. – Tak, wprowadził mnie w arkana sprawy. Powiedział, że rekomenduje najlepszego przewodnika, zapewni niezbędne wyposażenie et cetera...

Van de Meer wykonał w powietrzu jakiś taki nieokreślony gest, zapewne mający dać mi wyobrażenie o konturach tej etcetery. Miałem się zarumienić na równie kłakerskie, co szaszyczne określenie „najlepszego przewodnika”? No dobra, zobaczmy, co dalej.

– Panie Ślepy... ee... w zasadzie powinienem teraz zakomunikować panu pewną sprawę, ale pan Karczalin chciał opowiedzieć o tym panu osobiście.

– A dlaczego nie korzysta pan z kanałów oficjalnych?

– Tak jak mówiłem, reprezentuję organizację publiczną. Pozarządową.

– Aha... – Trochę to niety powe.

– Jest to organizacja natury... no, powiedzmy, że najprędzej religijnej. Nie musi się pan o nic niepokoić, moje pełnomocnictwa zachowują tu pełną moc urzędową. Otrzyma pan legalny dostęp do terenów za Kordonem – w charakterze mojego asystenta. Może korzystać pan z wynikających ze stanowiska pełnomocnictw wedle swego uznania. Oficjalnie wypłacone honorarium nie będzie oszalałające, lecz...



Poprosiłem o uszczegółowienie, rudy wymienił sumę. Nie za dużo, ale legalne przejście przez posterunki to niezła wyplata sama przez się. Pomyślałem chwilkę i odpowiedziałem:

– Panie van de Meer, porozmawiajmy otwarcie. Pańska propozycja brzmi kusząco, lecz doświadczenie podpowiada mi, że takie sprawy przeważnie zawierają w sobie pewne subtelnosci natury, hm...

– Negatywniej?

– Dokładnie.

– Cóż, jestem poważnie chory. Nieuleczalnie chory.

– Aha! – Diabełek chowający się do tej pory pod moim językiem, nie mógł odpuścić sobie takiej szansy. – Rozumiem, rozumiem. Ciężkie dzieciństwo, twarde narkotyki...

Van de Meer zachnął się, a ja ponieważzawsze zrozumiałem, że palnąłem głupotę, więc szybciotko dodałem:

– Przepraszam.

– Nie szkodzi, wiem, jaki jest stosunek do osób z moją chorobą.

– Van de Meer, jeszcze raz przepraszam – powtórzyłem tylko. – Ale nie wiem, na co konkretnie pan choruje.

– Zespół nabytego upośledzenia odporności. AIDS... Niech pan nie myśli o mnie źle, pracowałem w Afryce. Szczęść lat... Po powrocie robiłem testy, a wtedy... Sam nie wiem, nie mam pojęcia, kiedy do tego doszło. Rozumie pan, musieliśmy pracować w dość spartańskich warunkach, czasem przeprowadzać zabiegi chirurgiczne bez zachowania niezbędnych środków ostrożności. Gdy stawką jest ludzkie życie, a człowiek ściga się z czasem, każda sekunda jest na wagę złota... jednym słowem, jestem nosicielem HIV. Wiem, że stosunek jest wybitnie negatywny, krążą wszelakie uprzedzenia, ale prawda jest taka, że moja krew może okazać się dla pana trucizną. Oczywiście mówię tu, używając przenośni, ale jeżeli dojdzie do jakiejś sytuacji, obydwaj będziemy ranni, zaczniemy sobie nawzajem pomagać przy zakładaniu opatrunków... Musi pan zrozumieć, najmniejsze zadrapanie... jedna kropla mojej krwi, i pan...

– Rozumiem.

Van de Meer odwrócił się ode mnie, dodał:

– Jeżeli pan odmówi, to zrozumiem. To faktycznie poważne... zagrożenie.

Najwyraźniej ze zdenerwowania wzmocnił mu się akcent, więc zmieniłem temat:

– Świetnie mówi pan po rosyjsku.

– Przecież phacowałem w Afhyce... Somalia, Republika Śhodkovoafhykańska...

– Ee...? Chyba nie nadążam. Jaki jest związek pomiędzy...

– Było tam spoho waszych. Konsultanci wojskowi, najemnicy – nie wiedział pan? Mnóstwo tu-tejszych ludzi. Trzeba było kontaktować się z nimi, a na uniwersytecie miałem rosyjski jako drugi język kobcy. – Van de Meer uśmiechnął się. – Rozumie pan oczywiście, że nasza edukacja uniwersytecka nie daje wiedzy o faktycznym rosyjskim, bo język codzienny to zupełnie co innego... ale zacząłem mówić.

W tym momencie Kieszon zabrząkał talerzami, wszyscy się ruszyli, krzesła zazgrzytały po podłodze.

– Van de Meer, wódkę pan pija?

Ryży uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Herr Ślepy, naprawdę dużo miałem do czynienia z pana rodakami!

Kieszon wystawił na kontuar taczkę z lulkami.

– Szanowni tubylcy! – Uśmiechnął się. – Dziś jego wyśokość pan Kutiaak proponuje wszystkim toast za jego szczęście!

Zakręciliśmy się wokół lady, rozchwytnując szklaneczki.

– Za Fortunę! – wznioł szklanę nasz sponsor. – Za nią wypić warto.

Potem barman wydał mi zamówienie specjalne: szaszłyk, opiekane kartofelki, groszki i sałatkę... której koloru ni cholery nie mogłem rozryżć. Ale Kieszon umie tak podać, że chciał nie chciał, nawet daltonista potrafi docenić! Co prawda za to się dodatkowo płaci. Cała reszta dostała standardowy zestaw: parówki, rosółek po chińsku i wrzutka warzywna. Mówią ludzie, że chińskie zupki są szkodliwe, ale ja tam je lubię. Albo może zwyczajnie przy wykłem? Złapałem też porcję dla mojego obcokrajowca i wzięłem od Kieszona połówkę.

Od razu jak tyłko obciągnęliśmy po jednym, zajrzał do nas Kostik, wezwał Demiana do szefa, a do mnie rzucił:

– *Slipy, tebe duże pity ne treba. Tebe jeszcze zaraz z Hoszeju razmauljaty.*

Kostik to ciekawy typ, on i jego wróble pod strzechą. Szczercze mówiąc, to wszyscy jesteśmy tu z lekką pogięci... Kostik odsłużył swego czasu kilka lat w pewnych specyficznych rodzajach wojsk. Gdzie, jak, w jakim charakterze – nie wiem, sam Kostik nigdy nic nie mówi, ale mi się widzi, że była to rosyjska armia federacyjna. Nie wiem, dlaczego tak akurat zdecydowałem... Pewnie dlatego, że nasz ochroniarz jest zajadłym rusofilem, uważa sam siebie za Rosjanina i nie cierpi „chachłaków” – przy czym posługuje się wyłącznie łamanym, gwarowym językiem ukraińskim.

Tak w ogóle, Kostik to ksywa – na nazwisko ma Kostikow, na imię Taras, ale woli pseudonim, bo, jaksam otwarcie twierdzi, imię ma chachłackie. Zjawił się jakiś rok temu, zwrócił do Goszy o pracę, ale nie papierową, tylko taką naprawdę. „Co umiesz?” – spytał go wtedy Kary, zajęty akurat degustacją najnowszej partii dostarczonej świeżo antyradiacyjnej wódeczki, więc będący w zdecydowanie dobrym nastroju. *Każdoho mohu pobyty* – odpowiedział mu na to Kostikow; Gosza na to: „Sprawdzimy?”, a Kostikow: *Da i zaraz možemo!* „Poczekamy do wieczora” – zdecydował Gosza.

Włomotali wtedy Kostikowi ostro – w ośmiu. Znaczy się w ośmiu zaczynali, ale kończyli już tylko w trzech. Miał wtedy Kary swoich ośmiu żołnierzy, czekał do wieczora, żeby przyszła nocna zmiana, i zażył sobie, żeby oby dwa składy razem przetestowały nowego. Pięciu Kostik dał radę położyć, zanim go w końcu zmogli... Przykro mi było na to patrzeć, ale Karemu się spodobało. Kostika przyjął do roboty, a czterem z tych pięciu, co nie ustali, dał wymówienia. Oczywiście odprowadził też im nieliczną wypłatę: chłopcy, bez urazy, ale sami widzięcie, za ilu ten nowy stanąć może. Kasy im nie pożalował na odchodne, żeby doszli do siebie i szukali nowej pracy na spokojnie. A Kostik teraz u nas za ochroniarza robi. Pełna powaga, pracownik ochrony prywatnej agencji, ma na to papiery-bajery, nawet pistolet mu się należy. Gazowy. Kostik go przeważa głównie z bazaru i przy mnie ani razu nawet nie wyjął.

Z Dietrichem nieźle się zasiedzieliśmy, ale pić to on nie potrafił, jak się okazało. Nie wiem, czego go tam w dzikiej Afryce nasi uczyli, ale ja dopiero zacząłem, a ryżego już rozebrało, zaczęła mi łzawym głosem opisywać, jakie ma fatalne stosunki z rodziną, zdjęcia pokazywał – sucha, żylasta baba i smutny chłopaczek. Taki mały rudzielec, piegowaty, w ojca się wdał.

– Uwielbia mnie ten mały, kocha sthasznie! Ale żona uważa, że nie powinienem się u nich w domu pojawiać!...

– „U nich”?

– U nas – poprawił się ryż, wdychając. – Dom kupiony za moje zahobki, płacę za wszystko, ubezpieczenia, podatki... Nie chcą mnie widzieć! Pieniądze moje – w to im ghaj, a ja niepotrzebny! Zły przykład synowi daję! Ja, hodzony ojciec, zły wzół! Ta chohoba zhobiła ze mnie pahiasa...!

Ot, tak coś mi zaświtało wtedy, że jesteśmy z Dietrichem podobni do siebie: dwaj upośledzeni ludzie, wygnani z normalnego świata zdrowych. Tak w ogóle to sam nad sobą lubię się pouza-

łać, więc wywnętrzenia doktorka, co tu dużo mówić, trafiły na podatny grunt i szybko wydały owoce.

Zamówiłem drugie zero pół i jeszcze zanim Kostik poprosił mnie do Karego, podjąłem decyzję.

Zostawiłem Dietricha, roniącego pijackie łzy nad fotografiami rodziny, i ruszyłem za Kostikiem na negocjacje. Po drodze widziałem Demiana – chyba mu Gosza zwiększył limit zadłużenia, ale i zaostrzył warunki – tak czy inaczej, nie zauważyłem, żeby stalker był szczególnie zadowolony. A, zresztą co mi tam, nie moja sprawa.

Gospodarz, bóg i car naszego hotelowego biznesu teraz też nie tracił czasu po próżnicy i zajmował się dość skutecznie tradycyjną już degustacją. Kostik zapukał, rzucił:

– *Slipyj tut.*

– ...aawaj go! – racyły rozkazać Gosza.

Kostik odsunął się, kiwnął. Kary akurat prowadził testy degustacyjne pod szaszły czek – najwyraźniej Kieszon skorzytał z zamówienia Kutiała i skołował też porcyjkę dla szefa.

– No, i jak tam profesorek? – Gosza od razu przeszedł do interesów.

– Zwraca się do mnie per „panie Ślepy”, to naprawdę urocze.

– To znaczy takczy to znaczy nie?

– To znaczy tak, jeżeli...

– No i co za „jeżeli”? A dlaczego ja cię za język mam ciągnąć? No mów no, co nie tak? Robotka nie jest lewa, klient uprzejmy, wychowany... no?

– A co z tym dodatkowym warunkiem? Van de Meer mi powiedział, że jest jakiś dodatkowy warunek

– A! – Gosza się uspokoił. – Tym się denerwujesz. Nie bój nic, mordo ty moja! Sprawa tak naprawdę prościutka jest.

Bogiem a prawdą nie lubię takich „prościutkich spraw”. Jak ktoś tak mówi, to najpierw jest ciu-ciu-ruciu, a potem na końcu zawsze wyłazi jakiś haczyk. Ale teraz czekała na mnie ledwo co napoczęta połóweczka i dobrze wychowany obcokrajowiec-bratnia dusza. Słowem, odrzekłem:

– Jeśli faktycznie prosta sprawa, to wezmę.

– Zamówiłem u Chemika wiązkę, trzeba spotkać się z nim u Chwasta, wziąć towar i przynieść mi. Ty nawet mu nie musisz płacić, ja się swoimi kanałami rozliczę z Chwastem, a on odda Chemikowi... niech cię o to głowa nie boli, mordo ty moja, ty mi tylko wiązkę przynieś. Łatwo się z profesorkiem przez Kordon przeprawicie, a dla mnie jedno zmartwienie z głowy.

„Wiązka” to nazwa zwyczajowa mezomody fikatu – połączenia artefaktów, posiadającego liczne unikatowe właściwości. Wytwarzanie wiązek to niełatwa sprawa, wymagająca sporej praktyki oraz, nazwijmy rzecz po imieniu, niemałego talentu. Chemika akurat trochę znałem – stalker świetnie radzący sobie z wiązkami i innymi takimi hokus-pokusami, za co zresztą chyba dostał swoją ksywkę. Porządny koleżka, chociaż ponad miarę ostrożny i strasznie poukładany, ale jak najbardziej kontaktowy.

– To na cito jakos?

– Ślepy, no przecież ci mówię, nie ma żadnych haczyków! Niech będzie i ty dzień, jeśli chcesz. A jak profesor planuje na dłużej w Zonie się zacześcić, to i nawet dwa ty godnie. Mi się nie spieszy. Ale pewnie dłużej to i ty sam nie będziesz chciał tam siedzieć, co? Chemik zdąży na czas, to już ja z Chwastem załatwię. No, może być? – Gosza wyciągnął z szuflady drugą szklaneczkę, polał. – No to chlup, za Fortunę!

Akurat za Fortunę nigdy nie odmawiam, taka zasada... Kiedy wróciłem do sali, van de Meer już się kiwał i robił dziecięca – zobaczywszy mnie, wstrząsnął się i dziko popatrzył na swoją szklaneczkę.

– Kontynuujmy dalej – oświadczyłem. – Pan Karczalin łaskaw był wyartykułować dodatkowe warunki. Będzie pan musiał odzłować dzień albo dwa.

– Thoo-o-o niszszsznie...szkodzi! – Poza akcentem pjanego Dietricha złapało też jąkanie. – Ja v... vvv... v tym czaśś vnoizeeeę porzrzrządek... v moj... j...je bhadania!

– A właśnie, co za eksperymenty pan zamierza prowadzić?

– Th-hoo bahhhhdzo thuu-uudno vyt...vytuu... vy...

Wytłumaczyć zawsze trudno, jak się pić nie umie.

– To lepiej w górę serca, za Fortunę! Dobrej nam Zony!

Efekt finalny był taki, że Kostik pomógł mi odtransportować van de Meera do jego pokoju hotelowego. Dietrich znajdował się w jakiejś cudownej krainie duchowego szczęścia, cieszył się ze wszystkiego, co tylko przewinęło mu się przed oczami, nie mógł dość się nasłuchać kuptetów Nikolkki, ale z chodzeniem o własnych siłach już miał problemy. Kostik nawet ofuknął go kilka razy: *Tak czewo do meny przyklejilsa, jak homoseksuał jaki? A nu jidy sam!* – ale mam nadzieję, że van de Meer go zwyczajnie nie rozumiał.

O kwestii pracy mojego przysłego partnera pomówiliśmy dopiero rano. Na wszelki wypadek po drodze do baru zwinąłem po van de Meera – biedaczyna wyglądał tak marnie, że zacząłem mieć poważne wątpliwości, czy to na pewno z Ruskimi się spotykał w tej swojej Afryce, czy też byli to jacyś bezwstydni samozwańcy, którzy naszych tylko udawali – prawdziwi wschodni Słowianie by go nauczyli pić... Ale niezależnie od tego, jak tam było, woda mineralna, którą zapobiegliwie przyniosłem, okazała się zdecydowanie przydatna – van de Meer wygulgotał od razu pół butelki, dopiero potem dał radę oderwać się od szyjki i wysapać jakieś słowa podziękowania.

Zaproponowałem mu, aby się ubrał i zszedł ze mną do baru – ot, na kawusię. Większość naszych chłopi napoje energetyczne, że niby też w nich jest kofeina, a ja mimo to wolę się z rana napić kawy. Ano, taka moja tradycja.

Zaspany Kieszon zaparzył mi kawę, a van de Meer zamówił sobie energetyka Non Stop. Nasz barman tutaj też nie dał plamy, zademonstrowawszy szanownemu gościowi wysoką klasę – wytaszczył skądś spod kontuaru wysoką szklankę na nóżce, obrócił puszką, profesjonalnym ruchem przełał zawartość, z gracją zawodowego prestidigitatora skroił cytrynkę i wyszukany gestem podsunął spreparowany napitek uczonemu. Nie wiem, czy pokaz Kieszona zrobił na van de Meera zamierzone wrażenie, bo Dietricha strasznie suszyło, więc od razu złapał się za szklankę i wlał w siebie połowę drinka... ale mi się ten show bardzo spodobał, więc kilkakrotnie poruszyłem dłońmi, udając okłaski, wziąłem swoją kawkę i ruszyliśmy w kąt – do mojego ulubionego stolika.

Kiedy Dietrich jako tako doszedł do siebie, przypomniałem mu, że wczoraj usiłował opowiedzieć mi o swoim zleceniodawcy.

– W jakiej dziedzinie pan prowadzi te badania? Czy będziemy się zajmować?

– No... e-ee... zliczaniem aniołów – wymamrotał van de Meer i z niepokojem popatrzył na moją minę, czy łapię, o co chodzi.

– Na czubku igły? – Nie pozwoliłem sobie wyjść na idiotę, zademonstrowawszy tak wybitną znajomość edukacji klasy cznej.

– Coś tak jakby... – Trzeźwy van de Meer gadał czyściutko, prawie bez akcentu, ale strasznie ponuro, jak gdyby rozmowa o nadchodzącym zadaniu w ogóle nie sprawiała mu przyjemności. – Organizacja, która wynajęła moje usługi, zwie się Poszukujący mi Słowa. To związek wyznaniowy...

– Coś jak Jehowici?

– Nie, świadkowie Jehowy to zwykła komercha. – Jak Bóg miły, tak powiedział: komercha. – Poszukujący zachowują się z nieco większą godnością, jakoś bardziej solidnie to wszystko, nie starają się działać na... hm... rynku masowym. Nie żeby była to jakaś tajemna łoża, ale... Krótko

mówiąc, najczęściej przyjmują ludzi dobrze sytuowanych, starając się, aby członkostwo w ich organizacji było nobilitujące, elitarne. Dzięki takiej taktyce Poszukujący cieszą się mecenatem osób wpływowych i zamężnych.

Aha, jasna sprawa. Modą się nie interesuję, więc o Poszukujących nie słyszałem, bo i oni się mną nie interesują. Ale jakby się było generałem albo multimilionerem...

– Nazwę swą wzięli w ogóle od cytatu „A na początku było Słowo, a Słowo było u Boga”. I tego to właśnie Słowa poszukują, rozumie pan?

– Hm, no dobrze, mnie to w zasadzie po nic, każdy orze, jak może. A konkretnie, co nas w Zonie interesuje?

Jest taka anegdota. Idzie se stalker Pietrow ulicą, jehowici do niego podbiegają: „Pan mówi do nas! Pan mówi do nas! I ty usłysz Jego głos w swej duszy! Pan mówi do nas wszystkich!”. A Pietrow im na to: „A wy granatem go spróbujcie poczęstować, na kontrolera to najlepszy sposób!”. Większość dowcipów o stalkerze Pietrowie jest średnio zabawna, ale za to bardzo trafna. Sam kilka sztuk wymyśliłem, do tej pory po Zonie jeszcze krążą.

Van de Meer zamyslił się na dłuższą chwilę, w końcu, powoli dobierając słowa, zaczął:

– Znana jest panu naturalnie teoria o powstaniu Zony? Przebiecie w continuum czasoprzestrzennym, pęknięcie noosfery...

– Znana. – Jeszcze czego, niby kto o tym nie słyszał?

– A zatem Poszukujący zakładają, że noosfera jest emanacją Wszchemogącego. Duchem Świętym. W takim razie najbardziej charakterystyczne mutanty Zony noszą w sobie namacalną część Jego wizerunku, a zatem są czymś na kształt aniołów.

„Charakterystyczne mutanty” – fajnie powiedziane.

– No proszę, proszę...

– Nie, nie, nie, niech pan sobie nie myśli, że podzielam takie poglądy! Nie jestem adeptem ich religii, zaledwie zakontraktowanym pracownikiem najemnym. Poszukujący nieźle płacą, poza tym dają doskonałe ubezpieczenie, jako że praca w Zonie to ogromne ryzyko.

– Pewnie pan nie ma nawet pojęcia, jak ogromne. Panie van de Meer, pańscy Poszukujący nie są bynajmniej oryginalni. Pośród stalkerów bardzo popularna jest teoria, że Zona to tak naprawdę intruzja piekiel do naszego świata, a wszelkie chłęptokrwije, poltergeisty i kontrolery to emanacje Szatana. Rozumie pan? Nie aniołowie, a diabły!

– Poszukujący dobrze płacą.

Tym stwierdzeniem van de Meer podsumował i zamknął naszą niedoszłą dysputę teologiczną. Wniosek jak najbardziej zasadny i dla mnie w pełni satysfakcjonujący. Dalej rozmowa potoczyła się już o bardziej konkretnych rzeczach:

– Mówimy o następującej zależności. Psi-promieniowanie, oddziaływanie mentalne, telekineza i podobne rzeczy – to nie tyle fikcja, bynajmniej, ile raczej na dobrą sprawę teoria, niepodparta praktyką. Bez specjalistycznego sprzętu pomiary i monitoring prowadzić można wyłącznie na spektrum promieniowania elektromagnetycznego. Instytut finansowany przez Poszukujących już od wielu lat prowadzi rejestr i klasyfikuje dane statystyczne. Póki co, wnioski są następujące: każdemu tak zwanemu psi-oddziaływaniu towarzyszą określone wahnięcia natury elektromagnetycznej. Nie twierdzą tu bynajmniej, że psi to zwykła profanacja, całkiem możliwe jest, że zakłócenia elektromagnetyczne to zaledwie efekt uboczny. Ale nie mniej prawdopodobna jest i zależność odwrotna! Otóż poruczono mi sprawdzić, czy efekt psi nie jest wyłącznie reakcją organizmu na zakłócenia elektromagnetyczne.

– Zaraz, zaraz, panie van de Meer, a gdzie tu aniołowie?

– Otóż eksperymenty przeprowadzić dam radę wyłącznie w bezpośrednim sąsiedztwie mutantów o właściwościach psionicznych. Poltergeisty, burery, kontrolery – przecież to pan wie lepiej

ode mnie!

– Wiem... zasadniczo pobieżnie w teorii. – Jakoś nigdy nie ciągnęło do testu praktycznego z mojej wiedzy. Ach, te aniołki Zony to takie wredne bydła! – Jakoś nie pociąga mnie zawieranie bliższej znajomości z kontrolerem.

– Oddziaływanie psi wymyka się pomiarom...

– A ja słyszałem, że wręcz przeciwnie, jest mierzalne.

– Moi zleceniodawcy nie są przekonani, czy doniesienia o pracach z oddziaływaniami psionicznym odpowiadają stanowi faktycznemu. Proszę pamiętać, że to nie do końca naukowcy, więc mają odmienne podejście. Szczerze mówiąc, najzwyczajniej w świecie nie dysponują odpowiednim sprzętem, aby pracować z psi, dlatego też poszli inną drogą i badają to, co jest w ich zasięgu.

– Znacząco, kruczo z funduszami?

– Cóż, na honorarium i ubezpieczenie ich środków finansowych wystarcza, a resztą się nie przejmuję. Po prostu wykonuję zlecenie, które oni odpłacają.

Wszyscy święci mutanty! No, w sumie, jeżeli za taki bełkot płacą, to niby czemu nie?

Jakoś po dwunastej ruszyliśmy do Wijkowej Uprawy, żeby powypełniać papiery. Wydano nam tymczasowe zezwolenia, zestawy medyczno-ratunkowe, pistolety Małarowa, po parze magazynków na twarz, a ponadto Dietrich dostał pełen asortyment wszelakiego śmiecia, jaki noszą ze sobą uczeni. A następnego ranka załadowaliśmy się na wojskowego łazika, którym ponury, nieustannie ziewający kapralina powiózł nas ku Kordonowi. Van de Meer przeodział się w pomarańczowy kombinezon ochronny, zaś ja, jego osobisty Sancho Pansa, w zwyczajowe stalkerskie ciuszki.

Potem ruszyliśmy Pograniczem po dobrze widocznej ścieżce w głąb Zony... i cały czas kuśilo mnie, żeby się obejrzeć. Aj, niemiłe wrażenie, kiedy żołnierzyki ci patrzą między łopatkami. I głaszczą, głaszczą karabiny – wiem dobrze, że głaszczą. Dietrich tego uczucia nie rozumie, dla niego pewnie chłopcy z posterunku jawią się jako przyjaciele i najlepsi sojusznicy... Póki tak szliśmy po ścieżce, van de Meer opowiadał mi o zaplanowanych doświadczeniach. Ma niby dostęp do danych statystycznych i pewnych eksperymentów laboratoryjnych – jaki sygnał powinien stworzyć przyciągnąć, a jaki, wręcz przeciwnie, odstraszyć. Mnie tam trudno wyobrazić sobie cokolwiek, co byłoby zdolne do odstraszenia, na ten przykład, kabana – przecież to głupie bydło idzie jak walec na przełaj. Kabana się zatrzymać nie da. Albo chociażby taki wyposzczony posokowiec. Stwórz inteligentny, przebiegły, jaki niby sygnał go oszuka?

– Nie „odstraszyć” – zastrzegł van de Meer. – Wyraziłem się nieprecyzyjnie. Sygnał radiowy da znać prypec-kabanowi czy też chleptokwijiowi, że tam, gdzie stoimy, niczego nie ma. Taka ślepa plama, rozumie pan?

Rozumiałem aż nazbyt dobrze. Z racji mojej przypadłości wiem o budowie oka ludzkiego nieco więcej niż zwykły, zdrowy człowiek. Tam gdzie nerw wzrokowy podłączony jest do siatkówki oka, brakuje fotoreceptorów, więc ten mały punkcik nie wysyła sygnałów z oka do mózgu – ale ślepe plamki rozmieszczone są tak, że ich nie zauważamy, bo pole widzenia jednego oka pokrywa się ze ślepyimi plamkami drugiego... Król Francji Ludwik XIV przy pomocy niejakiego Marriotte'a bawił się ślepa plamką – zamykał jedno oko i widział swoich dworaków bez głów. Ciekawe, czy da się królewską zabawę imitować za pomocą fal radiowych?

Potem, kiedy oddaliśmy się już od Kordonu, przykazalem van de Meerowi skoncentrować się i bezwarunkowo wypełniać wszystkie moje rozkazy – dopóki nie dotrę do skrytki ze sprzętem, to jesteśmy tu jak kaczkami na strzelnicy. Dietrich przy mknął się... ale kiedy wymijaliśmy tego kabanę, zabawiającego się w krzakach, na bank coś włączył! Znacząco się przeprowadził pierwsze eksperymenty w terenie. Nie chciało mi się nawet pytać, jaki sygnał nadał. Może pokazał tępemu

bydłeciu, że jesteśmy dwiema apetycznymi, seksownymi świnkami? Albo że my to mnóstwo- wiele smaczne żarcie? No, powtarzać się nie będę, finał historii już znacie. Kabanik złożył swoje cielsko na ołtarzu nauki, a Dietrich i ja przy pełniłymi sobie na drzewie w odległości kilkudziesięciu metrów od uczującego stada, niewidoczni dla psów niczym głowa dworzanina dla Ludwika XIV. Dietrich bawił się swoim urządzonek, psy ciamkały tak, że aż na naszej ambonie było sły- chać, a ja uciałem sobie komara do wtóru ich smętnego „o-ho-ho-hooo”.

Kiedy siedzisz na drzewie, rozłożywszy się na takim niespecjalnie solidnym gniazdku, a na wyciągnięcie ręki sfora psów urząda sobie piknik, to ciężko jest mocno zasnąć. Na zmianę to zapadałem w niebyt, to budziłem się gwałtownie, wsłuchując w wycie i ujadanie mutantów. Dietrich cały czas twardo stukał w klawiaturkę swojego szpanerskiego PDA, ekranie w jego rękach lśnił mdłym blaskiem. W końcu nie wytrzymałem:

– Van de Meer, z pana to normalnie doktor Pawłow.

– Hm? Przepraszam, co pan powiedział?

– Mówię, że nie zaszkodziłoby panu się przespać. Rano dajemy stąd w długą, będzie mi pan potrzebny, ale zwarty i gotowy.

– W długą? *Ach, ja, hozumiem...* Tak rano.

– Rano, mhm, za jakieś... – Zajrzałem naukowcowi przez ramię, żeby sprawdzić czas na jego PDA. – Za jakieś sześć godzin. Niechże się pan trochę zdrzemnie, co?

– Już, już kończę. A w jaki sposób pójdziemy w tę długą?

– No, jak... Więc pan nas swoim wynalazkiem przykryje, psy się do rana nażrą, rozleniwia się i uspokoją...

– Nie, tak się nie uda. Stado nas usłyszy, gdy będziemy schodzić.

– Żaden problem. – Szczerze mówiąc, nie byłem zbyt zawiedziony. – Poczekamy, aż ktoś będzie po ścieżce szedł, to przecież zaraz obok Niech pan śpi, van de Meer.

Potem znowu odpłynąłem, a obudziłem się chyba dlatego, że ucichło stukotanie w klawisze.

Wraz z nadejściem świtu okolicę przykryła mgła, wszystko oblekło się w mój ulubiony szary kolor, więc przy takiej widoczności zdecydowałem, że nie ma się co spieszyć do wymarszu. Od długiego siedzenia na gałęzi zdrętwiały mi nogi i nijak, chociaż próbowałem na wszelkie sposoby, nie byłem w stanie ich porządnie rozruszać. Czyli mobilność będziemy mieli ograniczoną, a jeżeli psy się za nas wezmą na poważnie, to witaj, smutku. Van de Meer się obudził, dopiliśmy kawę z termosu, przegryźliśmy sucharami. Psy ucichły, ale Dietrich twierdził, że stado jest na miejscu, przy cielsku odyńca. Mimo że ślepe psy są mocno żarte, to przecież takiej góry mięcha przez noc by raczej nie opędzowały, więc i odchodzić nie miały powodu. Spróbowałem się jakoś podnieść na chwiejnym posłaniu, żeby załatwić potrzebę naturalną – psy zaszczekały, ale na razie nie pokazywały się na oczy. Czas mijał, mgła zaczęła się rozwiewać, van de Meer też postanowił sobie ulżyć – i wtedy sfora zainteresowała się nami na serio.

Jako pierwsze pojawiły się dorosłe samce, kłęjące się pod drzewem i węszące nowe zapachy. Jeszcze czego – ochrona terytorium łowieckiego to przecież zadanie dla dużych facetów, a Dietrich i ja, bądź co bądź, odpryskaliśmy się na ich drzewko, znacząc ich teren! Pomyślałem sobie jeszcze: przecież ślepy pies nie może być daltonistą, więc żadni to dla mnie bracia. Powiał wiaterek, mgła zaczęła rwać się na pasma... Zauważyłem, że napchane psie kałduny kołyszą się w takt biegu ślepaków – zwierzęka nażarły się do wypęku, więc powinny być nieco mniej żwawe. Potem dołączyły samice i szczeniaki, ale psy zachowywały się niepewnie, skowycząc i przemykając pomiędzy mokrymi pniami drzew, to znikając we mgle, to pojawiając się na nowo.

– Czemu zlekamy? – zapytał rudy. Pistolet trzymał już w gotowości, a jego akcent zdradzał zdenerwowanie. Dietrich chyba miał ochotę sobie postrzelać.

Wyciągnąłem empepiątkę spod poły kurtki – gdzie ją chowałem, żeby nie zamokła – na wszel-

ki wypadek przetrzałem rękawem.

– No, czekamy na ruch na ścieżce – odpowiedziałem.

– Vczohaj nocą nazwał mnie pan doktohem Pawłowem. To coś znaczy?

– No cóż... wybitny uczony, doktor Pawłow, badał odruchy warunkowe na przykładzie wydzielania soków trawiennych u psów. Karmił psy, dając im przy tym różne sygnały, a pan...

Nie zdążyłem dokończyć, gdy Dietrich nagle podniósł się, złapał pistolet w obie ręce i dał ognia do psów. Pierwszego samca zdjął jednym strzałem, potem stado podniosło gwałt, psy zaczęły rzucać się w szarej mgłę i biegać swoimi zwyczajowymi mi kołami.

– Van de Meer, wydlę z pana! Teraz nas na sto procent widzą!

– Ja, wiem, *herr* Ślepy. Ale to nic, i tak powinienem już wyłączyć osprzęt...

I typek idealnie spokojnymi ruchami zaczął wlaźać na gałęzie wyżej, gdzie wieczorem zamontował antenkę. Psy wściekały się i wyły pod nami, a van de Meer bez pośpiechu składał swoje urządzonek do futerałów i związał przewody w równiutkie motki. Oczywiście, że potrzeba mu było czasu, żeby to poskładać – czyli rudy powinien był zacząć się zbierać, *zanim* nieświadome swej roli posiłki pojawią się na stalkerskiej ścieżynie! Czyli wcześniej czy później, psy i tak musiały nas zobaczyć – ale przecież można mi było o tym powiedzieć! Też bym sobie pieska ustrzelił. A teraz, jak już się rozbiegały, trudniej trafić; szkoda amunicji.

Wliczając szczeniaki na tyle duże, żeby ugryźć, w stadzie było ze trzydzieści sztuk – za dużo, żeby zlaźić do nich, więc trzeba było czekać, aż trafią się przechodnie na ścieżce. Van de Meer wystrzelał resztę nabożów i wyglądał na w pełni zadowolonego; tak czy inaczej, spokojnie przeladował PMM i, nie spiesząc się, ładował pusty magazynek. Psom też znudziło się bieganie pod drzewem, pewnie zrozumiały, że i tak nas nie dosięgną, więc rozłożyły się w pobliskich zaroślach. Od czasu do czasu któryś z młodszych ślepaków z pełnym zaangażowaniem podlatywał pod drzewo, ze wszystkich stron donosilo się wycie... ale stado najadło się przez noc, więc nie wykazywało szczególnej aktywności.

W końcu mój PDA dał sygnał: zbliża się kawaleria. Zerknąłem na wyświetlacz – dwa sygnały. Świetne punkciki wychynęły zza krawędzi ekranu, potem zwołniły zauważalnie – to jasne, że chłopcy usłyszeli nasze pieski. Teraz pewnie wyciągnęli broń i idą powoli, biorąc na muszkę podejrzanie wyglądające krzaki, ubezpieczając się wzajemnie. Psy zainteresowały się świeżo przybyłymi, stado znów się poderwało, ale kręgi, po których biegały psy, powoli zaczynały dryfować ku ścieżce. Samice ze szczeniakami trzy mały się, jak zawsze, w tylnej straży, więc właśnie je skosiła nasza pierwsza salwa. Nasza pozorna pasywność uspiła czujność suk, więc kilka udało się położyć, potem psy zorientowały się, co się dzieje, i zagoniły młode w krzaki. Ale zanim my daliśmy ognia, strzały rozległy się od strony ścieżki – najpierw oszczędne, pojedyncze, potem gęściejsze, coraz bardziej nerwowo. O! Zaterkotał kałasznik, od razu zagłuszając trzask pistoletu... Oj, spieszy się chłopina. Sam dobrze wiem, że kiedy ślepe psy zaczynają opisywać swoje kręgi, zbliżając się coraz bardziej i bardziej, człowiek panikuje.

Zrzućliśmy sprzęt, zleźliśmy na dół, po kolei objuczyliśmy się plecakami – najpierw ja, potem Dietrich. Kilka młodych psów rzuciło się ku nam, w trakcie gdy ryży niezdarne próbował przełożyć przez szelki ramiona, grube i niezgrabne z powodu rękawów pomarańczowego kombinezonu, ale posłałem kundlom na spotkanie parę krótkich serii. Nie położyłem żadnego, ale kilka postrzeliłem, co skutecznie ostudziło zapał szczeniaków.

Jak tylko Dietrich się wyrychtował, rzuciliśmy się ku ścieżce. Sam dałem ognia jeszcze parę razy – nie licząc na przypadkowe trafienie, ale żeby dać znać chłopakom, że idziemy. Jeszcze z rozpędu posła nam przez zarośla na spotkanie kulkę...

Kiedy wylecieliśmy z krzaków, psy zaczynały już ssać stalkerom na karkach. Bestie jak gdyby wiedziały, co robić, i kiedy tylko wystrzelał się ten z kałaszem, rzuciły się burą falą. Suche



strzały z makarowa utonęły w zachrypniętym ujadaniu, na stalkera z karabinem skoczyły dwa dorodne samce – ciężkie po nocnym ucztowaniu. Z nóg go nie zbiły, ale upuścił magazynek. Jego towarzyszy nie stracił głowy – z przyłożenia wywalił resztkę amunicji, jedno psisko odstrzelił, w tym samym momencie ja gęsto polałem ołowiem chłopcom pod nogi – jasne było, że reszta psów rzuci się śladem przewodników. I słusznie zrobiłem – cała seria pięknie wpadła w sam środek rudobrzazowej, skowyczącej masy cielsk. Psy z wyciem rzuciły się do ucieczki, rozbiegły się we wszystkie strony. Strzelec otrząsnął się, zrzucił z siebie samca i nawet dał radę jeszcze przyłożyć kolbą podającym tu tyłu psu, a van de Meer puścił za przewodnikami stada dwie kule, ale chybił. Skowyt sfory oddalał się stopniowo, aż wreszcie ścichił zupełnie. Pewnie psy sobie przypomniały, że jeszcze nie dokończyły prypec-kabana.

Popatrzyliśmy na siebie uważnie. Tych akurat stalkerzyków nie znałem, obydwaj młodziecy, pewnie świeżaki. Co prawda sprzęt mieli nawet porządny, nie jakiś pozerski szit, tylko wszystko siedziało jak trzeba. Ten z karabinem szybkoitko podniósł magazynkę, wsadził na miejsce, szczęknął zatrzaskiem.

– Noo, w samą porę! – pokręcił głową ten drugi. – Już se myślałem, że po nas, zaraz zeżrą żywcem... Tak się rzuciły...

– Może razem ruszamy? – zaproponował ten z kalaszem. – Wam dokąd?

– Ścieżką póki co – odpowiedziałem. – Zwą mnie Ślepy.

– A ja Ciastek jestem! Ten tutaj to Zmarzluch, idziemy na Wysypisko.

– Van de Meer – przedstawił się rudy i od razu popatrzył na mnie, bo w końcu skąd miałby wiedzieć, czy nam akurat po drodze, czy nie.

Obejrzałem ubite psy, ale obydwa miały ogony wyliniałe jakieś takie, nadzarte mutasowskimi chorobami. A psy ślepych psów mają swoją cenę rynkową, ale szczęście nam nie dopisało, akurat te wyglądały wyjątkowo parszywie.

– Póki co możemy razem. – Ruszyłem ścieżką, reszta za mną. Ciastek obok, za nim Zmarzluch, Dietrich na końcu. – Ale my do Wysypiska nie dojdziemy, skręcimy do Kuferka.

– Nie hozumiem! – zaprotestował nagle Dietrich. – Móviono mi, że Vysypisko to wielce cieka-we miejsce.

– A pan właśnie jest na swoim pierwszym w życiu marszu, więc na dobry początek nam wystarczą psy. Poza tym w Kuferku mamy umówione spotkanie, nie zapomniał pan chyba?

– Ale przecież Vysypisko...

– Tam teraz jest zbyt tłumnio, nie da pan rady się naeksperymentować i nadoświadczać do syta. Panie Dietrich, nie kłóćmy się – do Zony należy się powolutku przyzwyczajać.

Chłopcy, których uratowaliśmy przed psami, byli cicho. W sumie obrazek malował się dość wyraźny i jasny: uczyony w pomarańczowym wdzianku chrzani głupoty i sadi focha, zaś doświadczony stalker weteran (czyli ja!) udziela mądrych pouczeń. Klasyka!

Minęliśmy ruiny z moją skrytką, Węglarz i Kolian już się zmyli. W sumie nie mieli co czekać, do nich się psy nie dobiegały. Ścieżka potem zwięzła się mocno, bo stąd stalkerzy przybywający do Zony przez posterunek rozchodzili się już po swoich własnych marszrutach. Oczywiście do Wysypiska zdążyło wielu, ale tutaj droga zaczynała już robić się niebezpieczna, trafiało się więcej anomalii, a PDA coraz częściej popiskiwał, ostrzegając przed niebezpieczeństwem.

Rozmowa się nie kleiła, młodzież szła w milczeniu, ja zdawkowo wyjaśniałem van de Meerowi, że na Wysypisku nie znajdzie swoich aniołów, bo po prostu za dużo tam ludzi. Poza tym nie miałem zamiaru prowadzić Dietricha nigdzie daleko, chcąc ograniczyć się do południowych rejonów Wysypiska – tam powinno być bezpieczniej, to znane pastwisko dla stalkerów.

Oczywiście gdzie są ludzie, tam przy nich żerują i zwierzęta, ale raczej te głupsze – ślepe psy i mięsaki. I jedne, i drugie nie gardzą ryciem w śmietniku, a i padlinkę lubią. Za to interesujące nas

elitarne mutanty najczęściej trafiają się za Barierą albo, na ten przykład, w Ciemnej Dolinie – tyle że tym razem do Bariery nie pójde. Na razie mamy pierwszy rajd, ograniczymy się do Kufierka.

Mgła podniosła się i rozwiała, ale niebo zasnuwane było chmurami – w Zonie tak często bywa, szare niebo nad szarą ziemią, jak okiem sięgnąć ani jednego sygnalizatora świetlnego... Wiaterek świszcze sobie w koronach ogromnych topoli, wygrywając jakąś złowieszczą piosenkę. Raj dla prawdziwych mężczyzn, wśród których osiem procent stanowią daltoniści.

W końcu przy wtórze trzeszczenia detektora dotarliśmy do asfaltowej drogi. Popękana i powybijana nawierzchnia zauważalnie parowała – drżało powietrze, anomalie było widać jak na dłoni, nawet śrób nie trzeba było rzucać. Wyminęliśmy niebezpieczny odcinek, wyszliśmy na krzyżówkę – tutaj Ciastek i Zmarzluch mieli skręcić na dziurawą gruntówkę prowadzącą ku Wysypisku, a van de Meer i ja mogliśmy w pełnym luksusie ruszyć po asfalcie. Należący do Chwasta Kuferek znajdował się w porzuconej wiosce, dokąd doprowadzić nas miała stara droga. Chłopcy serdecznie podziękowali nam za pomoc w rozprawie z psami, a Dietrich i ja tylko kiwaliśmy skromnie głowami... Przecież nie powiemy im chyba, że to myśmy te psy ściągnęli? Zwyczajowo życzyliśmy sobie dobrej Zony i ruszyliśmy swoją drogą.

Kiedy zostaliśmy tylko we dwóch, od razu wziąłem uczonego na spytki. Przyznam, że diabeł nie mnie zainteresowało urządzenie rudego – jeżeli faktycznie można się schować w takiej ślepej plamce przed stworami Zony, to działalność Poszukujących może przynieść nad podziw wymierne rezultaty. Co, swoją drogą, całkowicie wyjaśnia zainteresowanie Goszy Karego pracami Dietricha. Ale van de Meer rozczarował mnie swą odpowiedzią:

– Przykro mi, panie Ślepy, ale na razie nie mam nic do powiedzenia. Trzeba dokonać obróbki wyników, wszystko szczegółowo przeanalizować.

– Zaraz, zaraz, przecież ukryliśmy się na drzewie, tak? I psy się nami nie zainteresowały, tak?

– Nie posiadam danych statystycznych odnośnie analogicznych przypadków. – Uczony wzruszył ramionami obciążonymi pomarańczowym materiałem kombinezonu. – Nie można wykluczyć, że powonienie psów zbudowane jest tak, że nie łapią zapachów osób znajdujących się wyżej. Zna pan może przypadki, gdy ktoś przeczełał nadejście stada na drzewie? Może to normalna sytuacja?

No nie. O niczym podobnym nie słyszałem.

– Ale przecież kiedy pan wyłączył maszynkę...

– Albo gdy oddaliśmy moc? No cóż, wiatr zmienił nad ranem kierunek, nie zwrócił pan uwagi? Być może to on był czynnikiem decydującym. Najedzone psy nie próbowały uważnie węszyć, póki nie zapachniało naszymi... ee...

Rzeczywiście! Przecież faktycznie się wiatr zmienił.

– Dobra, dobra, rozumiem... Rozczarował mnie pan, van de Meer!

– Takie jest życie. Daleko jeszcze do pańskiego Kufierka?

No, Dietrich trochę przesadził, bo Kuferek należał do Chwasta, a nie do mnie. A szkoda, miejsce przyjemne, nie miałbym nic przeciwko, żeby było moje.

– Trzydzieści minut, godzina... Zależy, jak droga będzie wyglądać.

W tej chwili mój PDA znowu zaczął piszczeć, ostrzegając o kolejnej anomalii, rozmowa się urwała. Szedłem pierwszy, to patrząc na wyświetlacz PDA, to znów lustrując okolicę, Dietrich za mną. Nie trafiło nam się nic ciekawego, droga do Kufierka była uczęszczanym szlakiem, używała go masa ludzi, chodzili tędy i nawet jeździli samochodami. Na poboczu zalegały brudne szmaty, porwane paczki po sucharach, pokryte rdzawym nalotem puszek po konserwach, a nawet kości się zdarzały. Tylko zwierza nie było widać, mutanty dawno już wystraszyli gości Chwasta.

Jedynym moim trofeum okazał się być magazynek do Małarowa z całym mi dwoma nabojami.

Nie wiem, czemu go ktoś piźgnął w krzaki na poboczu, może sprzęt miał zacięcie. Na wszelki wypadek schowałem znalezione do kieszonki na udzie – później się sprawdzi.

A potem wyszliśmy na kolejne wzgórze, z którego utworzył nam się widok na okolicę – przed nami leżała już wieś, gdzie zadekował się Chwast. Chmury nad głowami w końcu się rozstały, pojaśniało, ale kolorów od tego nie przybyło, pejzaż nadal pozostał wyblakły. Wieczna jesień...

Sięło dawno już popadło w ruinę, ale duży budynek lokalnej administracji trzymał się nieźle, więc właśnie w nim rezydował Chwast. Bywałem tu wcześniej, więc wiedziałem, że z tyłu za piętrowym budynkiem jest podwórko z garażami. Wpuścili nas bez pytania, przecież po to Kuferekt stoi, żeby gości przyjmować. Nie wiedziałem, do kogo się zwracać z poruczoną mi przez Gośzę sprawą, ale ochroniarz sam zagaik:

– Ty pewnie Ślepy jesteś, tak? Chemik zaniedługo się zjawi, rozgośćcie się.

Za diabła go nie pamiętałem, ale okazało się, że gościu był uprzedzony, że przyjdzie ktoś razem z uczonym w ślicznym wdzianku. No tak, van de Meer to wystarczający punkt charakterystyczny.

– Słówek bym z Brodatym jeszcze zamienił...

– A w garażu on siedzi, tam chłopcy z Powinności z jakimś zamówieniem...

Wyszliśmy z Dietrichem na podwórzec. Z powinnościowców było widać tu tylko jednego, czyszczącego szmatką szyby dżipa. Wszedłem do garażu, van de Meer za mną. Mógłbym mu ka-zać pójść do miejscowego baru, ale z jakiegoś powodu postanowiłem go nie zostawiać bez nadzoru – jakbym już coś czuł przez skórę... Jednym słowem, naukowiec poszedł ze mną.

Garaż świecił pustkami, tylko po podłodze porozrzucane było jakieś żelastwo, porzewiałe i całe wypačkane smarem. Brodaty siedział przy solidnym stole w rogu w jasnym blasku kilku lamp. Przed nim na blacie spoczywała hałda wszelkiego śmiecia – dziwaczne części, obwody scalone, kłębki kabli i przewodów, jakieś plastikowe osłonki, słowem, cały ten złom, z którego geniusz Brodatego wyczarowuje przysłowiowe cuda techniki.

– Brodaty, siema! Mam zamówienie specjalne. Co prawda to ja dokonałem odkrycia, ale jeżeli weźmiesz na siebie brudną robotę, to patent możemy złożyć wspólnie.

– Dobra, dobra, dowcipy zostaw na później.

– To pilne! – ni z tego, ni z owego odezwał się van de Meer. – Trzeba robić bardzo szybko.

– No już, zara kończę... – Brodaty wziął jakiś nieokreślony kawałek złomu, z którego sterczały różnokolorowe przewody, i ruszył jak po sznurku, prawie wpadając na mnie. Sam już wiem, że jak facet złapie fazę, to nie da się go zatrzymać, więc po prostu się odsunąłem. – Zara, zara...

Wyszliśmy z Dietrichem za nim, mechanik podszedł do samochodu Powinności, myjący szyby kołes odwrócił się do niego, wytarł ręce.

– Masz. – Brodaty podał mu urządzenie. – Możesz spróbować zamontować, ale beze mnie nie odpalaj. Zaraz drugi skręć, oby dwa naraz wypróbujemy.

– E, zahaz! – obruszył się nagle Dietrich. – Mamy pilną hobotę!

– No i niby co? – Powinnościowiec obrócił się do rudego. Oj, gościu duży był, zwalisty, a obwieszony amunicją wydawał się jeszcze większy. Dietrich przy nim wyglądał jak ludzik z paty-ków.

– Najpiehv nasze zamówienie! – zapiał van de Meer. Powinnościowiec nonszalancko przesunął karabin tak, żeby mieć go pod ręką, zmierzył naukowca pogardliwym wzrokiem. Ryży zrobił krok bliżej, zaciskając pięści.

Ja się zmieszalam, powinnościowiec się spiął. Nieprzyjemności pędziły ku nam z prędkością huraganu i mocą wodospadu, więc nie było czasu na rozmyślanie, zadziałałem na automacie. Lewą ręką złapałem rudego za pomarańczowy materiał na plecach, szarpnięciem odciągnąłem od stalkera, który machinalnie zrobił krok do przodu – i nadział się nosem na lufę mojego MP5.

Zrobiło się cicho, *bardzo* cicho, tylko Brodaty sapał i Dietrich szeleścił kombinezonem w moim ręku.

– Przepraszamy – powiedziałem, starając się powstrzymać drzenie głosu. – Oczywiście, że wasze zamówienie najpierw, a my poczekamy. Mój partner naturalnie nie ma racji.

Powinnościowiec patrzył na mnie, a ja czułem, że teraz aż do bólu zastanawia się, co ma zrobić. Van de Meer zrobił coś, za czego dziesiątą część można dostać kulkę... ja też obraziłem gościa, grożąc mu bronią. No i gdzieś w Kuferku siedzą jego przyjaciele, surowi chłopcy z Powinności. Z jednej strony, bracia broni to wsparcie, z drugiej, nie wiadomo, czy powinnościowcy nas widzą, z trzeciej – nie wiadomo, co gorzej, jak widzą czy jak nie widzą. Jeżeli stalker łyknie na miękką taką obrazę, to straci twarz, ale jeżeli nikt nie wie, to jest tak, jakby nic się nie stało, więc może przyjął moje przeprosiny... Oprócz nas na podwórku byli ludzie Chwasta, ale akurat w tę stronę nikt nie patrzył. Za bramą zawył silnik, ochroniarze wzięli się do otwierania wrót; z budynku wyszedł jeszcze jeden powinnościowiec, zobaczył naszą malowniczą scenkę rodzajową i od razu złapał się za kable.

Koleżka z Powinności oderwał wzrok od lufy pistoletu maszynowego i spojrzał mi głęboko w oczy – w tym samym momencie otwarała się brama i na podwórzec, trzymając kurs równiutko w naszą stronę, wjechało cudo-niewido. Opancerzony samochód terenowy z przydymloną, szklaną kabiną z przodu i wieżą człką na rufie, wydłużone nadwozie kołyszące się na trzech parach szerokich kół... Nazywało się to cudo techniki Maluszkciem, a należało do Chemika i jego partnera Garsteczki – tychże samych stalkerów, którzy mieli mi przekazać wiązkę dla Karego. Silnik zgasł, zgrzytnęły odsuwane drzwi i z pancernego wnętrza wyłonił się Garsteczka – wielki, uśmiechnięty blondas.

– Siemano, Ślepy! A co wy tu, imprezę jakąś macie?

W rękach trzymał kałacha, zwracał się ewidentnie do mnie... W końcu powinnościowiec, którego trzymałem na muszce, podjął właściwą decyzję:

– Spoko. Zdarza się.

– Przepraszamy – powtórzyłem raz jeszcze, opuszczając broń. – Rzeczywiście, mój uczone się myli. Świeżutki jeszcze, rozumiesz... Oczywiście najpierw wasze zamówienie, my poczekamy... Cześć, Nikita!

Nikita to imię Garsteczki.

– Już, zara, wszystko będzie... – mamrotał Brodaty, chowając się do swojego legowiska. Tak jak i ja, on też nie lubił giereki udawania twardych ziomali. – Wszystko się zrobi, każdy swoje dostanie.

– Co tam? – zawołał od wejścia drugi powinnościowiec.

Pierwszy ruszył do niego, pokazując agregacik, który dostał od Brodatego. Nie wiem, co opowie o nas swoim koleżkom, ale mam nadzieję, że potencjał konfliktowy wyczerpaliśmy. Strasznie nie lubię ja takich momentów... Ja człowiek jestem cichy, spokojny. Gdybym wiedział, że będą takie cyrki, to ze skrytki bym nie MP5, a AKM zabrał. Nie ma to jak kałasznikow do pokojowego rozwiązywania kwestii spornych.

– Groźne mutanty, anarchiści ani bandyci nie zatrzymają Powinności, gdy ściga ją stalker Pietrow – skomentował sytuację Garsteczka. W dowolnej innej sytuacji bym się ucieszył – akurat ten slogan parodiujący powinnościowską szczerą propagandę spłodziłem ja. Znaczy się słowo stało się ciałem i poszło w Zonę.

Dopiero wtedy z Maluszka wyjrzał Chemik Ostroźnie, z PMM w ręku. Rozejrzał się po podwórku, upewnił się, że spokojnie, opuścił broń.

– Co za awanturę żeście tu urządzili? Garsteczka, a ty się czego wpierniczasz...? Cześć, Ślepy.

– Hejka. Kawał słyssałeś? Ugadali powinnościowcy stalkera Pietrowa, mówią: Dawaj, przy-

łączyć do nas. A co się u was robi? A do mutantów się strzela. No to wstąpił Pietrow do Powinności i od razu z łaźnia lustru w toalecie rozwalili. Tam, mówię, straszny się wam mutant uchował.

Chemik uśmiechnął się półgębkiem, ale widziałem, że łątem oka cały czas obserwuje bojowników Powinności.

– A powinnościewcy mu co na to?

– Ano, mówią, faktycznie, siedzi tam jeden taki przy głupi, ale jakoś go znosimy. Wiązka gotowa?

– No, prawie. Sprawdzić jeszcze trzeba i możesz odbierać.

– Dobra. Ja jeszcze mam zamówienie dla Brodatego, więc do jutra się zaczepimy tutaj, a potem idziemy na Dużą Ziemię. A ty i Nikita co?

– A my się nie spieszymy... Ślepy, ładunek zabierzesz po drodze?

– Mogę wziąć, jaknie za dużo.

– Ślepy, przepraszam, ale czy mógłby pan puścić mój kombinezon? – odezwał się w końcu Dietrich.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nadal twarde trzymam pomarańczowe fałdy materiału na jego plecach.

– Bydlę z pana, van de Meer. Niech Zona pana pochłonie, jakie z pana jest bydlę...

Zawlokłem Dietricha do Kuferka, rozglądając się po drodze i starając się uniknąć spotkania z powinnościewcami. Chwast nie miał czasu, kazał nas nakarmić na koszt firmy i znaleźć nam pokój. Wybrałem pomieszczenie na piętrze, z widokiem na podwórzec, i nie pozwoliłem van de Merowi wyściubić nosa za drzwi, póki dżip Powinności w końcu nie odjechał. Dopiero potem zeszliśmy na obiad.

Chemik już siedział w sali nad butelką piwa.

– Brodaty wolny, czeka na was. – Skinął na nas.

Mój naukowiec coś cicho siedział, pewnie rozumiejąc, że nabroili. Nawet nie zadawałem sobie trudu, by się go dopytać, po kiego grzyba takiego kłpiszu narobił. Cokolwiek mógłby mi ryż napowiadać, wiedziałem na sto procent, że racjonalnego wyjaśnienia dla jego odjazdów być nie może. Koniec, kropka.

Po obiedzie poszliśmy do warsztatu, gdzie przedstawiłem mój pomysł Brodatemu. Najgenialniejszy mechanik Zony nie wpadł w zachwyty, chociaż osobiście uważałem, że wymyśliłem doskonałą rzecz – Brodaty pewnie mi najzwyczajniej zazdrościł. A może po prostu nie rozumiał, po co komu coś takiego – no ale on nie musi się bujać przez Kordon.

Ponadto mechanik upierał się, że moje pomysły są jakoby doskonałe, ale trud ich realizacji spada na niego, a są z tym pewne trudności. Tak czy inaczej, rozmowa gładko zeszła na kwestie negocjacji cenowej, więc zdecydowałem się odwrócić uwagę rozmówcy.

– Jest taki dowcip – zacząłem. – Proponuję stalkerowi Pietrowowi najnowszy amerykański kompleks szturmowy ze wspomaganiem celowania, laserami-bajerami, systemem optycznym, takim, co wiesz sam, z ruchami oka jest zgrany... samych granatników aż trzy sztuki! A Pietrow na to odpowiada: E, tandeta! Kolba słabiułka, nawet nie ma jak po ludzku komuś przywalić. Dociera? Do ciebie piję, Brodaty. Trzeba iść naprzód z postępem! Dość już walenia kolbą, jeśli z drugiej strony masz łufę świetnego karabinu. Przecież jeżeli zrobisz mi taką walizczkę, jak cię grzecznie proszę, to twoja sława gruchnie aż do samego Limańska! No? Toż to wyzwanie dla twojego geniuszu technicznego!

Brodaty zaczął przewracać oczami, zadzierać głowę ku tonącym w mroku wspornikom pod sufitem warsztatu, potem zaczął dłużyć paluchem w porastającej mu twarzy amazońskiej dżungli, od której wzięł swoje przezwisko. Do garażu zajrzał Chemik, pokazał mi zapakowany do pełna plecak

– To by do przerwania było. Sam widzisz, malusieńko!

– Aha.

– Co mi tu ahałas? – W drugim ręku Andriej trzymał butelkę piwa, z której pociągnął sobie łyka. – Przecież to niedużo.

– Na własnych plecach mam takie „niedużo” dymać?

– A kto ci każe na plecach? Podrzucimy was Maluszkiem.

Szczerze mówiąc, dokładnie o to mi chodziło. Bardzo, ale to bardzo nie chciało mi się zasuwać piechotą, ponadto van de Meer demonstrował niezdrowe skłonności do wszczynania konfliktów – a obecność Garsteczki mogła pomóc nam w utrzymaniu pokoju, jak to okazało się niedawno przed warszatem. Nikita do ułomków nie należy, a do tego na Maluszku mają zamontowaną wieżę czkę z cekaemem.

– Nie no, tutaj by trzeba podwójne denko zrobić, jak Pan Bóg przykazał... – mamrotał sobie Brodaty. He, he, tak jak myślałem, mimo wszystko mechanik załapał pomysł i już kombinował, jakby tu najlepiej go zrealizować.

– Podwójne dno – jasna sprawa! – uspokoiłem Brodatego. – Ale i mój know-how trzeba wcielić w życie. A najważniejsze, żeby ta zabaweczka była leciutka i żeby wyglądała tak, jakby była częścią rupieci van de Meera. No, porządnie żeby wyglądała, wypolerowane powierzchnie, równe krawędzie... Słowem, żeby było czuć tchnienie wysokiej cywilizacji.

Brodaty pokiwiał głową, poszedł w jakiś ciemny kąt, zaczął grzebać w porzewiałym żelastwie. We trzech z dużym zainteresowaniem obserwowaliśmy jego poczynania.

– O! – Mechanik wyciągnął na światło dzienne bardzo ładny aluminiowy futerał, rzeczywiście z wyglądu całkiem porządny. Wnosząc po tym, z jaką łatwością nim obracał, wagowo też powinien być w porządku.

– No, widzieliście? – Tryumfalnie spojrzełem na van de Meera i Chemika. – Potrafię sobie radzić z Estońcami! To naprawdę fajni goście, tylko wolno myśla i słabo po ludzku gadają, trzeba im wszystko dużymi literami tłumaczyć.

– Jaki ja tobie niby Estoniec? – żachnął się mechanik

– No jak to jaki... i nazwisko takie typowo estońskie masz – Boodaty.

Van de Meer nie załapał żartu, za to Chemik zaczął się trząść ze śmiechu, aż piwo rozchlapał.

– Durny jesteś, a nie Ślepy! – burknął mechanik – Jad ci z języka kapie!

– Oj, odpuść, trudne dzieciństwo miałem. Od małego wszyscy mnie poniżali, więc wyrobiłem w sobie, ten, no... odruch obronny języka. I nawet jako dorosły nie potrafię pozbyć się starych nawyków. Bo reakcja języka, rozumiesz sam...

– Skunksa, nie żadnego języka! – wybuchnął Brodaty.

– Jak sobie chcesz – zgodziłem się krótko. – Niech będzie i skunksa, byleby działało, a mój odruch sprawdza się jak trzebia. To co, zrobisz mi taki wihajster, żeby też działał?

– Dobra, dobra... – Co mi się w Brodatym podoba, to ten jego niewzruszony spokój. W pewnym sensie to nawet lepsza rzecz niż poczucie humoru; patrząc na ludzi pokroju Brodatego, wymyślam bajeczki o niestworzonych przygodach stalkera Pietrowa. – Się spróbuje. Ale dzień roboty minimum zejdzie.

– A może by tak noc roboty? – zaproponowałem. – A rano się zmyjemy.

– Nieee-e-e-e...

– Powinnościowcy mu litr siwuchy przywieźli – wyjaśnił Andriej. – Nocnej zmiany nie będzie.

I tutaj przyszedł mi do głowy pomysł.

– Ty, Chemik, a nie mógłbyś jutro urządzić panu van de Meerowi wycieczki na Wysypisko? Widzisz, człowiek ciekawy świata, pewnie na Zachodzie o Wysypisku głośno. Ja tam w ogóle

uważam, że na tym wygwizdowie za dużo roboty dla nas nie będzie, teraz na Wysypisku to ruch już prawie jak na placu defilad... ale tylko na dzionek – żeby pokazać zabytki przyrody i architektury, co? Przecież i tak nas potem obiecałeś do Pogranicza podwieźć, Maluszką akurat jutro tam i z powrotem obrócimy, a pojutrze ja twój towar zabiorę.

– Nikita ma naprężony plan... – rzucił w zadumie Chemik. Możliwe, że miał na myśli efekty falującego biustu Katuszy i/lub tej drugiej panny, której imienia nie znałem. Widziałem, jak Garsteczka wychodził z nimi z baru, nie dziwota, że ma naprężony... plan. – No dobra, jutro zrobimy rundkę po Wysypisku. Ale w Maluszkę mi się nie wydurniać...!

– I nie dotykać eksponatów – dokończyłem za niego. – Przyjeliśmy. Van de Meer, dotarło do pana?

Wieczór minął smętnie, bo wódka u Chwasta jest paskudna. Chociaż *sommelier* z niego nie gorszy niż z Karego, nawet chyba lepszy. Ale jego towarowi jakoś degustacja nie pomaga. Przyszła mi do głowy taka myśl: przecież my, jak wiadomo, nie pijemy po prostu dla pijactwa samego w sobie, a ratujemy organizm przed radiacją, tak? Tak. A tym bardziej tutaj, w Zonie, z tym zartów nie ma. Albo przynajmniej nie tylko żarty. Zatem wódka traktowana jest tu jako lekarstwo, a lekarstwo jest jakie? Zgadza się, gorzkie i paskudne. Zdecydowałem, że kolejnym razem koniecznie zaopatrzę się w Gwieździe, a być będę już tutaj, w Zonie. Świetny eksperyment będzie.

Rano się osprzętowiliśmy, nalaliśmy kawy do termosu... Swoją drogą, kawę też mają w Kufku ohydą. Pewnie dlatego większość naszych wali non stopa – a ja i tak kawę piję przez zwykły upór. Załadowaliśmy towar, wyszliśmy na podwórko – Brodaty pewnie jeszcze chrapał, a Chemik już kręcił się wokół Maluszka i w zamyśleniu sprawdzał nogą potężne opony transportera. Rozumiem, że szykował tak samochód do wyjazdu – coś jak wtedy, kiedy bokserowi masują mięśnie przed walką. Zobaczył nas, uśmiechnął się.

– Ślepy, słuchaj, a dlaczego nie ma żadnych kawałów o tym, jak stalker Pietrow jeździ terenówką? Albo dżipem czy coś w tym stylu?

Dlaczego, dlaczego... Bo daltonistom niechętnie dają prawo jazdy, a stalker Pietrow to moje alter ego, tylko zmodernizowane i po najnowszych apdejtach. Stalker Pietrow to taki ja, ale bez kompleksów, spaceruje sobie po Zonie wzdłuż i wszerz, kopiałkami rozrzuca mutasy, przestępuje nad bazami Powinności i od niechcenia spluwa na widok wojskowy ch patroli.

Ponadto Maluszek to unikatowa zabaweczka, samochód specjalnie wyposażony do jeżdżenia po Zonie. Nawet nie próbuję zgadywać, jaką kasę Chemik i Garsteczka wpakowali w swoją dziecinę.

Jazda opancerzoną terenówką – to jednak zupełnie co innego, niż brodzić po Zonie piechotą. Strasznie dziwne wrażenie... Po pierwsze dlatego, że człowiek przemieszcza się na siedząco. Po drugie, sam nic nie musisz robić, ani na PDA nie trzeba patrzeć, ani śrubkami rzucać.

Chemik miał przed sobą panel sterowania z jakimiś blyszczącymi mi wskaźnikami, których przeznaczenia nawet nie próbowałem się domyślać – wszystkie migały, były skąpo światłkami, których koloru nijak nie mógłbym określić. Oczywiście były tam najprzeróżniejsze czujniki anomalii, ale przecież już sama terenówka stanowiła doskonałą ochronę przed wieloma niebezpieczeństwami Zony. Słowem, jechaliśmy sobie to drogą, to na przełaj przez ugory... Zero zagrożeń typu ślepe psy – zero romantyki! Coś mi się wydaje, że Chemik już żałował, że zgodził się nas przewieźć, bo kiedy się ładowaliśmy do środka, obejrzał się i burknął:

– Szłoda, że pasów bezpieczeństwa nie zainstalowaliśmy, przypiąłbym was dla ostrożności... za ręce i nogi.

Ale van de Meer siedział cichutko – dochodził do siebie po wczorajszym. Mam taką zasadę, że nie odmawiam, jeśli ktoś za Fortunę wypić proponuje. Dietrich też nieźle sobie poużywał, więc siedział teraz, dumny i blady, siorbiąc energetykę i nikomu nie przeszkadzając. Zanim dojechali-

śmy, zdążył już jakoś się pozbierać, więc z pancernika wyskoczył dosyć zważo. Chemik podwióz nas do cmentarzyska samochodów – kiedyś tutaj właśnie zwieziono wszelki możliwy sprzęt kołowy i gąsienicowy celem odkażenia, poustawiano larnymi rzędkami na ogromnym, ogrodzonym prostokątnym placu i porzucono na pastwę rdzy. Właśnie tutaj krzyżuje się kilka relatywnie bezpiecznych tras, więc okolica bezustannie rozbrzmiewa echem wystrzałów.

Radioaktywne pola Wysypiska przecina już takie mnóstwo uczęszczanych szlaków, a miejsca są na tyle bogate w artefakty, że każdy, kto da radę kontrolować skrzyżowania, może liczyć na niezły dochód. Dlatego właśnie stalkerzy trzy mający się okolic cmentarzyska utworzyli coś na kształt samoobrony terytorialnej i prowadzą okazjonalne rajdy uprzedzające, rugując miejscowe bandy szabrowników. A tamci, jasna sprawa, starają się przejąć kontrolę nad ruchliwymi trasami. Ostatnimi czasy sytuacja zaczęła się zmieniać, anomalie przemieszczają się nazbyt często, więc część starych marszrut trzeba było porzucić – i zrobiło się o wiele ciekawiej.

Ruszyliśmy ku obozowi, Chemik poszedł z nami, żeby dopytać się o najnowsze wieści. Jako że trafiliśmy akurat na godziny pracy, ludzi zastaliśmy na miejscu niewielu – wszyscy stalkerzy porozłazili się po hałdach Wysypiska. Zauważyłem za to Węglarza – siedział smętny, zauważyłem mnie, podszedł, żeby się przywitać.

– Przepadł nam Bucior – mruknął.

– To znaczy? Znaleźli go, Paszka? Czy...?

Zamiast odpowiedzi Węglarz tylko wyciągnął do mnie zmatowiały, podrapany przedmiot, który wcześniej nerwowo międlił w palcach. Przyjrzałem się – kawałek PDA, fragment obudowy. Ucięty albo odrąbany – z ostrymi krawędziami, bez zadziorów.

– Pochowaliśmy Buciora... Znaczą pochowaliśmy tyle, ile z niego zostało...

Skinąłem tylko głową. Jeżeli człowiek ginie na Wysypisku, to ślepe kundle migiem się zlatują, bo czują wyżerkę... a po nich już niewiele zostaje do pogrzebania. Wrony też swoje robią...

– A ze sprzętu tylko tyle zostało, same strzępy białizny i PDA, ot, tak rozwalony – ponuro opowiadał Pasza. – Ani wyposażenia, ani broni, nic. A on beretę na dniach sobie kupił, chwalił się, że bije w punkt. Pójdę, mówił, przestrelam na Wysypisku – wziął amunicji i poszedł. Na Wysypisku zawsze postrzelać można, a i jak popatrzeć, towaru człowiek znajdzie. Pewnie Bucior chciał na psach poprobować, a tu one jego... I nic nie zostało, ani beretty, ani amunicji, ani sprzętu. Nie podobają mi się to.

– No wiesz, bandziorasów tu zawsze było sporo.

– A to nie tu było. Buciora przypadkiem znaleźli, ale nie na Wysypisku, tylko na północny wschód stąd. Tam już nie ma starej marszruty, bo mapy się zupełnie pozmieniały, więc tam ani ścieżek nie ma, ani niczego ciekawego. Po kie licho Bucior polazł w tamte strony?

Pasza pociągnął nosem i dopiero teraz dotarło do mnie, że jest ostro wcięty. Oddałem mu kawałek PDA, wymamrotałem jakieś pocieszające bzdety, niby że jak w naszej okolicy będzie, to niech wpadnie do Gwiazdy, Buciora wspomnimy przy butelce jak należy.

– Dzięki, Ślepy, później może... Tutaj się teraz pokręcić chcę, może się przypadkiem jakimś dowiem, w jaką cholere tam Bucior laził.

Chemik został w obozie, a ja urządziłem van de Meerowi wycieczkę po najbliższej okolicy. Wysypisko jest o tyle ciekawe, że miejsca są tu schodzone wzdłuż i w szerz, ale i tak można znaleźć jakiś artefakcik – oczywiście jak szczęście dopisze. Pod hałdami spoczywają ogromne ilości radioaktywnego złomu, z tego też powodu zbrocza usiane są anomaliami, więc od czasu do czasu coś się tam urodzi. Ponadto z dołu, z podnóża pagórków, widać wszystko na stokach jak na dłoni. Wszystko to wyłożyłem Dietrichowi, a nawet zademonstrowałem – na jego oczach wyciągnąłem z krzaków „kroplę”. Co prawda „żarnik” nigdzie w okolicy nie widziałem, więc założyłem, że anomalia musi być gdzieś na szczycie wzgórza, na które z powodu wysokiego tła promieniowania nikt



się nie pcha, a „kropła” stoczyła się kulturalnie w dół po zbocz, wpadła w krzaczory i grzecznie sobie tam leżała, czekając, aż ją znajdzie.

Obrazek był standardowy – to znaczy niewiarygodnie zajmujący dla świeżaka, a dla mnie do wyrzycania nudny. Ogromne hałdy najprzeróżniejszego radioaktywnego złomu i rupieci wznosiły się wszędzie wokół, dysząc i przelewając się tam, gdzie anomalie wypaczały pejzaż. Tu i tam ziemia osiadła, ukazując kawałki starych samochodów, porzucone maszyny drogowe radośnie upiększały skłony pagórków odlażącą płatami żółtą farbą, nasze liczniki Geigera trzaskały nierówno, podkładając jak najbardziej pasującą ścieżkę bitową do tego ponurego niemego filmu.

Okazało się, że mutantów w okolicy nie było, jakkolwiek van de Meer dręczył i swój PDA, i to drugie urządzenie, którego nazwy nie znam; pożytku światowej nauce nasza wycieczka nie przyniosła żadnego. Celowo ciągałem Dietricha po południowych rubieżach, nie włączając w doliny pomiędzy napromieniowanymi wzgórzami.

Poszwendawszy się pomiędzy hałdami oddającego tłem śmiecia, wróciliśmy do obozu. Pogadałem jeszcze trochę z towarzystwem – jak zwykle, znalazło się kilku gotowych po taniości spuścić swoje artefakty. Komuś nie chce się szukać handlarza, ktoś inny poszedł na noże z właścicielem najbliższego punktu – przecież każdy może mieć jakieś swoje przychryny. No a rozliczałem się od razu gotówką z zaliczki, którą Dietrich wypłacił mi przed wyruszeniem. Jeżeli damy radę bez problemów przejść przez Kordon, to zbiorę nawet niezłą śmietankę z tego mleka. Van de Meera moje geszefty nie interesowały, on bawił się swoimi elektronicznymi zabaweczkami. Jak tylko skończyłem swoje sprawy, poszliśmy ładować się do Maluszka.

– Jedziemy? – zaproponował Chemik, jak tylko nas zobaczył. Widać się już wy nudził.

– Zaprzęga!

W drodze powrotnej van de Meer zapytał cicho:

– Jak pan myśli, Ślepy, co mogło tak urządzić PDA tego stalkera?

– No, pff, niejedno... Nawet nie wiem. Raczej nie psy.

– Van de Meer, toż my w Zonie! – rzucił Chemik, nie odwracając się nawet. – Zona fantazję ma bardziej bujną niż my wszyscy razem wzięci!

Ano, to prawda. Anomalie takie rzeczy wyuczyniają... i od czasu do czasu potrafią pojawić się nowe, o zupełnie nieznanym charakterystykach – no już kto jak kto, ale Chemik powinien o nich wiedzieć więcej niż ktokolwiek inny.

Kiedy wróciliśmy do Kuferka, przede wszystkim dopytałem się, czy nie zaglądali tu powinnościewcy, a potem odwiedziłem Brodatyego w jego legowisku. Jaśniejący uśmiechem mechanik zaprezentował nam futerał – dokładnie taki, jak wyobrażałem sobie moje zamówienie.

– No? – zapytał mnie Brodaty tryumfalnie.

– Miód-malina! Doczekać się nie mogę, żeby go wypróbować! – odpowiedziałem mechanikowi w tym samym tonie, chociaż szczerze mówiąc, wolałbym tego akurat futerału w praktyce nie testować.

Sprawdziliśmy, wypróbowaliśmy, wszystko działało jak należy, tylko brać i płacić... a ja właśnie uświadomiłem sobie, że całą gotówkę przepuściłem na Wysypisku. Tymczasem Brodaty akurat niby z głupia frant rzucił:

– No więc, Ślepy, ten teges... co do mojego skromnego honorarium...

– Taak...? – ostrożnie wyraziłem gotowość podtrzymania rozmowy.

– A może byś mi tak tamtej strony jakichś narzędzi trochę podrzucił? W naturze się rozliczamy.

– Brodaty, z dziką chęcią, ale niczego bardziej skomplikowanego od młotka i kombinerek przecież na dotyk znaleźć nie dam rady. Przecież ja Ślepy jestem. Jak niby znajdę akurat to, co tobie potrzeba? Ja przecież i ludzi do tego odpowiednich nie znam ani punktów, gdzie taki towar można

znaleźć...

– Ale ty byś tylko przez Pogranicze musiał przemieścić! Koleżka, któremu oddasz towar od Chemika, po prostu ci da paczuszkę i tyle twojej roboty! I jesteśmy kwita.

– Takie zawiniątko ze skrzynką gwoździ w środku?

– Nie no, coś ty! Tam będą głównie układy scalone, to leciutkie przecież! Chciałbym spróbować podrasować PDA. O, to dopiero będzie konkret, a nie te twoje zabawki. Ty, słuchaj, a dlaczego nie ma żadnych kawałów, gdzie by stalker Pietrow z PDA chodził?

Wzruszyłem ramionami. Sam niespecjalnie przepadam za używaniem tabletów, bo tam są kolorowe dotykowe ekraniki, a do tego zielone i czerwone (podobno) przyciski.

– To co, elektronikę przyniesiesz? Co? Dobrze będzie? No to już, zaraz kopsnę grypsa do dostawcy.

O, proszę – nie na darmo poszły moje libacje ku czci Fortuny! No to zostało jeszcze wymóc na van de Meerze kolejną wizytę w Kuferku, żeby rozliczyć się z Brodatym. A mechanik już obiecał podzielić się z nim resztówką powinnościowskiej siwuchy. I rzeczywiście – trzeba będzie dołączyć się do obiaty dla mojej Fortuny, bo mimo że byłem bardzo zadowolony ze swojego wynalazku, to jutro na posterunkach fawory tej kapryśnej bogini konkretnie nam się przydadzą. Ale jeżeli pójdzie gładko, to mając przy sobie takiego van de Meera, mogę stać się mocno rozchwytywanym kurierem... No Zona mi świadkiem, już się staję powoli! Jeszcze trochę, i zawodowi kurierzy ogłoszą na mnie sezon łowiecki!



Gdy żegnaliśmy się z rana, Brodaty uśmiechnął się do mnie.

– Popatrz, a ja o wszystkim pomyślałem. Widziałeś pasy? Możesz to pudło nosić na plecach jak plecak, a ręce będziesz miał wolne!

No tak, chyba po to, żeby mi wygodnie było nadrywać sobie grzbiet i zalewać się potem, wlokąc na sobie ten szajs pomiędzy anomaliami i stadami mutantów. Ale głośno odpowiedziałem:

– Wiedziałem, że nie będzie lipy, jak się do ciebie zwracałem. Któż inny by pomyślał, żeby dać mi swobodę ruchów! Z drugiej strony jednak zawodowiec twojego kalibru wmontowałby w to ustrojstwo niewielki silniczek i kółeczka... Dobra, to z kim mam się spotkać, komu oddać towar?

Prawda była taka, że ani Chemik, ani Brodaty danych czy namiarów na punkt kontaktowy mi nie dali.

– Łaaa... Ja sam na razie nie wiem – ziewnął Chemik – Daliśmy znać kupcowi, że ty niesiesz towar, a on już kogoś podeśle na posterunek, żeby się z wami spotkał.

O tym, przez który z punktów kontrolnych będziemy z van de Meerem wychodzić z Zony, mówiłem Andriejowi wcześniej, przecież ma nas podrzucić tam Maluszkiem, a więc trzeba będzie z wyprzedzeniem marszrute zaplanować.

– A ty sobie dobrze zapamiętaj tę liczbę: trzysta siedemdziesiąt jeden – rzucił Chemik – Człowiek, który poda ci takie hasło, to właśnie ten, z którym masz rozmawiać. Nie, na PDA nie notuj, po prostu zapamiętaj. Prościutkie: trzy siedem jeden.

– Van de Meer będzie trzy małe paczki prażonych paryskich kasztanów, a ciotka Zuzanna weźmie mnie pod rękę i przejdziemy się po jesiennym placu Pigalle, zgadza się? Powiedz, że zgadłem!

Chemik uśmiechnął się kwaśno.

– Nasz kupiec po prostu nie wie, który z kurierów akurat będzie dziś wolny, więc kto da radę, ten przejmie towar. A ty się nie gorączkuj, kto ci powie „trzysta siedemdziesiąt jeden”, z tym się wymieniasz na towar. Ładujcie się do Maluszka, ruszamy.

Z budynku wyłonił się Garsteczka, drapiąc się i ziewając. Na ganek wyszła też dziewczyna, której imienia nie pamiętam, uśmiechnęła się szeroko i pomachała naszemu Garsteczce na do widzenia. Chociaż Nikita nie jeździł z nami na Wysypisko, podejrzewałem, że z całej naszej kompanii to właśnie on zasnął najmniej spokojnego snu.

Podniosłem na próbę pudło – faktycznie, nawet niezbyt ciężkie. Chociaż jasne, że cały dzień z takim czymś na plecach raczej nie pobiegasz...

Chemik wysadził nas na Pograniczu, kilka kilometrów przed Kordonem. Jechać dalej mu było nie na rękę – od czasu do czasu zapuszczały się tutaj wojskowe patrole.

Oczywiście, że Maluszek mógłby i bliżej podjechać, ale po co nam zbędne ryzyko? Co więcej, przed wyjściem na Dużą Ziemię musiałem jeszcze schować sprzęcior. Posadziłem van de Meera pod drzewkiem na pagórku, poprosiłem, żeby był grzeczny, dopóki nie wrócę, i popędziłem ku znajomym ruinom. Szczęście mi dopisało, akurat nikogo nie było, więc na spokojnie schowałem empepiatkę i amunicję oraz resztkę przydziałowych konserw. Tak naprawdę to rzuciłem w skrytce wszystko, co tylko mogłem, żeby wracać z minimalnym obciążeniem. Bez rozpylacza w rękach od razu jakoś smutno mi się zrobiło, więc nie tracąc czasu, wróciłem do uczynego. PDA dał znać: trzy jasne punkciki idą w kierunku van de Meera. Najpewniej wojskowi – raczej wątpliwe, żeby szabrownicy tak beczelnie sobie spacerowali w pobliżu wojskowego Kordonu.

Jeżeli wojskowi, to jeszcze pół biedy, ale i tak przy spieszyłem kroku, zdążywszy już zauważyć u tymczasowego partnera zamilowanie do kłótni. Żołdacy sił pokojowych, jak sama nazwa wskazuje, krzywdy nam raczej nie robią, ale mogą zatrzymać do wyjaśnienia, a przecież Chemik już dał znać partnerowi po tamtej stronie, że kurier dostał kopa na rozpęd i leci do posterunku. I tak

przecież czasu sporo straciłem, chowając szpej.

Van de Meer siedział grzecznie jak dzidzia na „Teletubisiach”. Dopiero potem dotarło do mnie, jakiego miałem farta, zdążywszy przed wojskowy mi. Ci oczywiście zauważyli już Dietricha i zamierzali sprawdzić, co to za praworządny obywatel, że sobie po prostu siedzi i nie próbuje wiać nóg za pas na sam ich widok, jak to zrobiłby każdy zdrowy na umyśle człowiek. Podskoczyłem do naukowca: „Powstań!”, i ledwo zdążyłem zarzucić na plecy piękny, błyszczący futerał, gdy rozleгло się:

– Stój, bo strzelam! Ręce do góry! Żadnych gwałtownych ruchów!

Ku nam ruszył chorąży, za nim powoli szło dwóch żołnierzy pod bronią, trzymając nas na muszce. Oczywiście nie mogli nie widzieć oczojebnego kombinezonu van de Meera, ale, jakkolwiek na to patrzeć, przebrać się w takie cudo może kłokolwiek, a chłopcom się nie chciało ryzykować. Koledzy w kamuflażu byli w zasadzie szablonowi – duzi, odchowani, szerocy, z twarzami wymazanymi w maskujące pasy. Wojskowi z kontyngentów pokojowych przeważnie tak właśnie wyglądają, podobny jeden do drugiego jak klony Jango Fetta. Chorąży zresztą też był typowy – o głowę niższy od podwładnych, ale bite dziesięć kilo cięższy. Cały kanciasty taki, z kanciastą twarzą koloru kanciastego pustaka. Jedyne obłe miejsce miał z przodu, ciut poniżej klatki piersiowej. Ten dla odmiany nie wypacykował się wzorem Indian amerykańskich – pewnie doszedł do wniosku, że czarno-zielony makijaż dzienny nie pasuje do pałających dziewczym rumieńcem dzięcieliny polików.

Nieraz już się zastanawiałem: przecież chorążowie to goście po „bażantówce”, prawda? To znaczy, że kiedyś oni też byli takimi roslymi, dobrze zbudowanymi pakerami, jak tych dwóch strzelców? Szeregowi to zawsze bysiori, sportowcy aż miło, jeden w drugiego metr dziewięćdziesiąt albo i więcej, jak po „Selekcji”. A chorążowie co do jednego niscy, pyzaci i przysadzisci. Najwyraźniej przyjęciu do korpusu chorążych musi towarzyszyć jakiś barbarzyński, pogański rytuał – na przykład wielokrotne uderzanie po ciemieniu przedmiotem tępokrawędziastym. Od tego też chorąży neofita traci sporą część wzrostu, a to, co ubyłoby mu z wysokości, zaczyna wypychać się w pasie.

I mózg pewnie od tego gdzieś do żołądka spada... a niby dlaczego „gdzieś”? Przecież typowy chorąży myśli właśnie żołądkiem. No wystarczy popatrzeć, jakie ślipia nienazarte...

– Dokument tożsamości ze zdjęciem, chorążowie na pobyt w strefie poddanej kwarantannie. – wyrecytował chorąży zupełnie bez wyrazu.

Już się nastawiłem na spokojne pogaduszki, kiedy wciął się van de Meer.

– Macie obowiązek przedstawić się pierwsi! – zadziornie wrzasnął uczoney. – Numer batalionu? Wasz numer identyfikacyjny, Herr Unteroffizier? Ja wiedzieć muszę, na kogo mnie trzeba skahga pisać!

Kwadratowe ryło chorążego powoli nabiegło ciemną krwią. Bydlę z pana, van de Meer! – powiedziałem sobie tylko, tym razem w duchu. Moim zadaniem było wspieranie partnera, o ile ten nie łamie zasad gry, tak jak w Kuferku z powinnościowcem. Teraz akurat formalnie i technicznie mój towarzysz miał rację; ale co nam pomogą formalności i technika przeciwko dwóm karabinom? Ostrożnie przesunąłem rękę – teraz czułem chwyt makarowa przez cieniutką tkaninę kieszeni. Powoli, powolutku... póki chłopcy się gapią na Dietricha... Jednocześnie już sobie kalkulowałem, jak tu zanurkować w krzaczory, wcześniej odepchnąwszy profesora za drzewo. Jasne, urządzić sobie szerszaninę to ostatnia deska ratunku, najostatniejsza, niech to Czarny Stalker, najostatniejsza, najparszywsza cholerna deska, ale jeżeli przycisną nas do muru... Podjąwszy decyzję, od razu się uspokoiłem i wyluzowałem, uważniej tylko lustrując naszych żołnierzy sił pokojowych.

Dziwne tylko, że nasze dzielne wojsko zastygło jak słupy soli. Może uczoney zaczarował ich fa-

łami radiowy mi? Niemiecka naukowiec być mnóstwo wielki czarownik..

Doty k szorstkiego, plastikowego chwytu pistoletu przywrócił mi spokój ducha, od razu popatrzyłem na van de Meera. Uczony trzy mał przed sobą kompozytowie pudełeczko, palec w pomarańczowej rękawicy drżał na jedynym przycisku – nie miałem wątpliwości, że przycisk był czerwony, ale powiedzieć mi było ciężko. W końcu Ślepy jestem.

Aaaa, takie buty... Wojskowi gapili się na pudełeczko jak cielę na malowane wrota, a do mnie dopiero teraz dotarło, czym groził im van de Meer – tak zwaną walizeczką ratunkową! Takie чудо znajduje się w komplecie wyposażenia dla uczonych – płaska obudowa z jednym jedynym przyciskiem, który należy wcisnąć do oporu w razie śmiertelnego niebezpieczeństwa. Urządzonek staje się wtedy nadajnikiem, na którego sygnał podrywają się i ruszają wszystkie siły wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki, co z pewnością wydatnie pomaga grupie ratunkowej odnaleźć strzępki pomarańczowego kombinezonu. Prawda jest taka, że walizeczka ratunkowa służy dokładnie do tego, co i pomarańczowy kolor stroju uczonych – przyciąga uwagę i ułatwia poszukiwania po tym, kiedy na pomoc jest już od dawna za późno. Taką pomarańczową plamę prędzej zobaczą ze śmigłowca niż bardziej praktyczny mundur w kamuflażu.

Czyli zazwyczaj walizeczka pomaga tyle, co martwemu kadzidło, ale jesteśmy raptem półtora kilometra od posterunku. Chłopcy na służbie na pewno będą chcieli sprawdzić, kto wyrwa ich z drzemki, będąc praktycznie na wyciągnięcie ręki. Sądząc po oznaczeniach, ten akurat patrol to Rosjanie, więc jeżeli na sygnał pierwsi przyłecą Ukraińcy, to chorążemu zrobią *all inclusive*, wybaczą państwo mój francuski. Nawet pytać się go nie będą, tylko wpierdziela mu jak stąd do Czelabińska za konflikt z sz. p. prof. dr. rehab. van de Meerem. No po co było tak straszyć biednego, bezbronnego uczonego, że ten posunął się aż do ostateczności i skorzy stał z walizeczki?!

W kontyngentach UNFOR Rosjanie i Ukraińcy żyją jak przysłowiowy pies z kotem. To nawet więcej niż zwykłe współzawodnictwo, bo żadna ze stron nie przepuści okazji, by wsadzić kolegów na minę.

– Chorąży Siemakow, kontyngent Federacji Rosyjskiej.

Przy pakowani gwardziści wymienili niepewne spojrzenia, opuścili karabiny.

– Numer legitymacji służbowej? – van de Meer nie odpuszczał ani na krok.

Poczerwieniały Siemakow wymamrotał coś pod nosem; jeżeli ja go nie zrozumiałem, to już Dietrich w ogóle nie miał szans. Ale wydaje się, że miłości własnej van de Meera chwilowo stało się zadość.

– Dietrich van de Meer – odburknął uczony. – Wedle życzenia, może pan obejrzeć sobie moją przepustkę. – Wyciągnął papiery w hermetycznej plastikowej kopercie, ale lewą ręką, bo prawą wciąż ścisnął swoją gotową do użycia broń masową zagłady chorążych.

Siemakow oczywiście starał się zachować twarz, więc podszedł jak gdyby nigdy nic, wziął zafoliowane dokumenty, przeleciał wzrokiem. Stękając ciężko, wyciągnął tableta, odczepił od niego prostokątny czytnik na cieniutkim, spiralnym przewodzie, przeciągnął po przepustce van de Meera. Czytnik pisnął, zapalił jakąś lampkę – z pewnością zieloną. Chorąży zwrócił dokumenty uczonemu, odsunął się – Siemakow doskonale wiedział, że przepustkę miał Dietrich w porządku, ale i tak procedurę przeprowadził sobie od deski do deski.

Dietrich opuścił rękę z walizeczką ratunkową, ale palca z przycisku nie zdjął. Dostojnie, z namaszczeniem wyminał Siemakowa, przeszedł pomiędzy rosłymi żołnierzami, a ja – siłą rzeczy – za nim. Siemakow teraz pewnie połączył się z posterunkiem i obwieści, że dokumenty mamy w porządku, ale za to pakunki wysoce podejrzone. Fortuno, bogini moja, gdzieżeś ty?

Fortuna wystawiła na punkcie kontrolnym patrol Ukraińców i wruszyła ramionami – no, tyle zrobić mogę, dalej radź se, Ślepy, sam. Ukraińskimi żołnierzami sił pokojowych dowodził dokładnie taki sam chorąży, tyle tylko, że trochę wyższy od kwadratowego Siemakowa. Ten od razu na

po początku zasalutował z rozmachem, przedstawił się:

– Chorąży Usaczenko, dzieńdoberek Dokumenciki oczywiście w porządeczku mamy, więc przepusteczkę poproszę, pełnomocnictwa...

Jeżeli nawet skargi kolegi-żołnierza sprawiły mu radość, to nie dał po sobie tego poznać, tyle tylko, że od razu się milej odezwał.

Skończywszy badać dokumenty Dietricha, kiwnął tylko krótko:

– A teraz odprawa osobista. Griszka, daj no niuchacza.

Griszka, kawał byka z karabinem, pobiegł do kontenera. Hełm miał podczepiony do paska, więc gdy biegł, kevlarowa półsfera łomotała go po nodze, ale na głowie miał wymalowaną w kamuflażowy wzór bandanę. Nie pierwszy raz już zauważyłem podobne naruszenie regulaminu, najwyraźniej wśród naszych UNFOR-owców panowała taka moda.

Wrócił Griszka raz-dwa, no ale to jasne – na posterunku wszystko, co chcą, to wojskowi zawsze znajdą, nie? Niuchaczami nazywają multispektralne czujniki promieniowania. Artefakty i inny śmieć wytaszczony z Zony możesz chować, gdzie tylko dasz radę, robić podwójne dno i Dima Szuchow wie co jeszcze, ale niuchacz zawsze i tak wskaże, co gdzieś jest nie tak. Chorąży pomańchają niuchaczem wokół Dietricha, potem procedurę powtórzyły ze mną. Jasna sprawa, że łącznik równo warczał na jednego i drugiego z nas, ale najbardziej zaczął szczekać nad futerałem.

– Przenosi pan ładunek radioaktywny – oświadczył Usaczenko z wyrzutem. Zwracał się przy tym wyłącznie do uczonego, jakby mnie tam w ogóle nie było. No bo w sumie kto ja niby jestem? No przecież, że nikt. Chodzę sobie za van de Meerem, noszę jego śmieci. Ode mnie pan chorąży nawet nie miałby czego wyciągnąć.

– To oczywiste, że radioaktywny. To wyniki moich badań – gładko wyrecytował Dietrich, wyciągając walizeczkę ratunkową. – Jestem pewien, że nie będziecie panowie zatrzymywać mojego wyposażenia, które zobowiązany jestem jak najszybciej odstawić do laboratorium naukowego. Co więcej, liczę na panów daleko idącą współpracę.

Od razu widać – obcokrajowiec, nie wie, o co chodzi. Pewnie Usaczenko tak samo sobie pomyślał.

– Trzeba będzie dokonać inspekcji wizualnej. Proszę otworzyć pudło.

Van de Meer popatrzył na mnie, ja tylko wzruszyłem ramionami. Mieliśmy to wszystko zaplanowane wcześniej, jeszcze po drodze, trzęsąc się w Maluszku, kilka razy wyjaśniałem van de Meerowi jego rolę przy akompaniamencie wybuchów śmiechu Garsteczki.

– To niebezpieczne.

– Niebezpieczeństwo to chleb powszedni naszej służby. I niebezpiecznie, i trudno nam... – wzruszył wydatnymi ramionami chorąży. – Proszę otwierać, byle szybciej, nie będziemy czasu marnować.

– Będzie musiał pan sporządzić protokół i zanotować tam, że doktor van de Meer ostrzegął o potencjalnie śmiertelnie niebezpiecznych skutkach ubocznych otwarcia futerału w warunkach polowych. Ryzykuje pan życie i zdrowiem swoim, właściciela ładunku, jego przewodnika, a także składu... eee... osobowego swoich podkomendnych.

Na chwilę się zaciął, ale w sumie nieźle gada. Prawie słowo w słowo, jak to ćwiczyliśmy po drodze.

– I protokółik się sporządzi. – Chorąży spokojnie kiwnął głową. Rozłożył na betonowej zaporze laptopa, wyciągnął klawiaturę... postukał, poklikał, wyszukał potrzebny formularz... – Młodszy sierżanie Piermiotko, dopiszcie protest doktora!

Chłopina sprawnie dopisał kilka zdań. Usaczenko z pełnym spokojem patrzył mu na ręce, pewnie już smakował sumkę, którą wytarguje i wyrwie z gardła naiwnemu obcokrajowcowi.

– Poprosimy kopię dla nas – zdecydowałem się wtrącić.

– Ależ oczywiście! – Chorąży zabrał obkutek w elektroniczne żołnierzywi komputerek i osobiście kliknął na „drukuj”. No, ty le pewnie umiał.

Tablecik wypluł z siebie wydruk, obejrzałem, oddałem protokół van de Meerowi.

– Raz jeszcze powtarzam, to znaczne ryzyko – powtórzył ryzy.

Usaczenko był pewien, że próbujemy brać go pod włos, więc zachował spokojną, wyniosłą pewnością siebie.

– Jak pan sobie życzy – burknął van de Meer. – Jednakże odmawiam ryzykowania życia swojego i mojego asystenta. Oddaliśmy się na bezpieczny dystans.

To pewnie szczególnie uradowało naszego chorążego – dostał właśnie możliwość przekopania kuferka pod naszą nieobecność. Schowaliśmy się z van de Meerem za barak, eskortowani przez geniusza komputerowego młodszego sierżanta Piermietkę. Tutaj, pomiędzy nagrzanym od słońca pancierzem beteera a ścianką kunga (no wicie, taką żelazną krypą wojskowej ciężarówki z okienkami), było cicho i spokojnie. Dietrich burczał tylko pod nosem: „Co za bahbarzyństwo! Vandalizm, hozbój w biały dzień...!”

O tym, że chorąży przystąpił do aktu wandalizmu, zawiadomiła nas syrena. Dźwięk pierdzieloną po uszach tak, że bałem się, że ogłuchnę. Podczas prób polowych Brodaty uprzedzał, że daje tylko połówkę mocy, a i tak robiło to wrażenie, ale nie przypuszczałem, że będzie teraz aż tak ryczeć. Drugim poziomem obrony był gęsty, czarny dym walący cuchnącą chmurą z pojemnika (to akurat błyskawicznie wyczuliśmy, nawet zanim kłęby zasłoniły błękitne niebo), a w końcu, z półtorasekundowym opóźnieniem, zaczęły detonować petardy, rozrzucające dookoła wyjątkowo paskudną, galaretowatą paciaję. Ze wszystkich sił powstrzymałem się, żeby nie ściąć bekii, a Dietrich tylko kręcił głową, pomstując na barbarzyńców, przy czyniających nauce niepowetowanych szkód. Aj-waj, wandalę próbki nam poniszczą... Jego narzekania wpływały rwanymi urywkami pomiędzy wzmagającym się i opadającym wyciem syreny.

Biedak Piermietko stał przy nas, nie wiedząc, co zrobić, podskakując przy każdym nowym dźwięku i pewnie obawiając się najgorszego – a dowódca kazał mu nie spuszczać nas z oka.

Chlap – i wszystko umilkło. Pewnie chorąży poszedł po rozum do głowy i w końcu zamknął pojemnik. Potem łamiącym się głosem kazał młodszemu sierżantowi przy prowadzić nas – bardzo starał się udawać, że wszystko w porządku, ale zachlapało go cuchnącymi ochlapami kapitalnie, od stóp do głów. I smród się niósł taki, że siekiere by powiesił. Van de Meer znowu zaczął swoją śpiewkę, że rezultaty jego prac ucierpiały przy tak chamskim i bezmyślnym traktowaniu, że nie wiadomo, czym zakończyć się może niekontrolowana reakcja w zamkniętym teraz futerale, który może nie wytrzymać ciśnienia gazów. Chorąży wysmarkał się w suchą trawę, wytarł łzawiące oczy – do jednego z przygotowanych pod moje zamówienie pojemniczków Brodaty dodał gaz łąwiająco-drażniący.

– Wolni, ruszać dalej – oświadczył nam *unter*.

Zaczęliśmy się brechać, jak tylko odeszliśmy od punktu kontrolnego na niespełna trzydzieści metrów. Uśmieiałem się tak, że aż mi tchu zabrakło, chociaż pojemnik był nie taki znowu ciężki...

Ciężki bardziej czy mniej – odszedłszy od posterunku na raptem sto metrów, zacząłem się poważnie zastanawiać, czy nie nazbyt drogo mnie ten know-how wyniesie. Znaczący się z finansowego punktu widzenia gra zdecydowanie warta była świeczki, ale słońeczko podniosło się wyżej, zrobiło się cokolwiek ciepawo, a twarda krawędź płaskiego dna metalowej walizy coraz bardziej wbijała mi się w krzyż.

Van de Meerowi tam było leciuchno, siedł sobie bez obciążenia, co on tam miał – całego majątku dwa chude plecaki. Uczony co jakiś czas podśmiewał się, pewnie wspominając biedulę Usaczenkę w upaakowanym mundurku. No i dobrze, niech trep wie, jak się należy zwracać do wybitnych naukowców. Boję się tylko, że dla mnie lepiej by było, gdybym chorążemu w drogę te-

raz nie włąził... Ale pudło, głowę daję, z każdym krokiem robiło się coraz cięższe.

Na szczęście daleko nie trzeba było iść – jakieś pół kilometra od posterunku w krzakach stała sobie srebrna mazda, kierowca wywalił nogi przez otwarte drzwi i cmił papierosa; zauważywszy nas na drodze, wygramolił się z samochodu i zrobił kilka kroków w naszą stronę. Znałem gościa – Gawron, były stalker, teraz biznesem się zajmuje. W sensie legalnie się zajmuje. Ma bodajże dwie automatyczne pralnie i parę tuzinów pracowników: stróżów, techników konserwacji maszyn pralniczych, kurierów, elektryków... to jest wszystkich tych, co figurują na liście pracowników w jego przedsiębiorstwach w miasteczku przy Pograniczu, ale za chlebem chodzą w stronę Zony. Za legalizację naturalnie odpalają dołą pracodawcy. A Gawronowe pralnie piorą pieniądze.

Gawron był bodajże jedynym, któremu udało się ze stalkerskiego pociągu do centrum Zony wysiąść na przystanku Dobrobyt – zebrany towar zainwestował w interes i został szanowanym członkiem społeczności po zewnętrznej stronie Kordonu. Utuczył się nawet, słoninka mu na boczka narosła... Spomiedzy pyzaty, nieogolonych policzków sterczy długie, żółte nosisko, które pewnie stało się przyczynkiem do nadania stalkerowi w zamierzczliwych czasach jego ksywki. Co prawda teraz był podobny bardziej do prosiaczka, ale została mu taka charakterystyczna szybkość ruchów, więc doskonale mogą sobie go wyobrazić jako szczupłego, żyłastego, młodego spry ciułę, poruszającego się szybkimi skołami – fakt, zupełnie jak ptaszysko.

– Cześć, Gawron!

– Siemano, Ślepy. Dzień dobry, panie...?

– Van de Meer – pozwoliłem sobie przedstawić. – Masz mi coś do powiedzenia?

Dawałem do zrozumienia, że mówić można, nie krępując się przy Dietrichu, przecież ryży i tak wszystko wie. Gawron upuścił niedopałek, roztarł nogą. Podrapał się po ciemieniu. Odcharknął w zadumie:

– Naści, Chemik gry psa zrzucił.

Rozwinąłem karteluszek, przeczytałem cyfry: „371”.

– A-ha. Myślałem, że kurier będzie.

– Moi wszyscy w rozjazdach, trzeba było samemu dupsko ruszyć. Siedziałem tu jak głupi i czekałem na te idiotyczne szyfry.

O proszę, jak wymyślił... Znaczy się Gawronowi powiedzieli: siedź przy punkcie kontrolnym, czekaj na gońca, a hasło dostaniesz w ostatniej chwili. Płaszcz i szpada normalnie.

– No i dobrze, przynajmniej teraz wiem, kto po tej stronie Kordonu robi interesy z Chemikiem.

Gawron się zmarszczył.

– Z żadnym tam Chemikiem. Chemik tu partnerów nie ma, on sam sobie chodzi. To tak wyszło, no... przy padkiem.

Znaczy się z Chwastem kręci ciemne młyny – ale tego już w głos nie mówiłem. Mniej wiesz, lepiej śpisz. Za to rzuciłem:

– To co, jedziemy?

Z nikim nie było umowy, że van de Meera i mnie gdziekolwiek podwiozą, ale w sumie Gawronowi co za różnica? I tak przecież wiezie towar do miasteczka, to i nas może od razu podrzucić. Czemu miałyby nie pomóc dwóm zmęczonym pielgrzymom na wiecznej drodze ciężkiego życia?

– No to już ładujcie się – kiwnął na nas grubas.

Gawron otworzył bagażnik, niepiesznie odgarnął na bok skrzynki i koce, robiąc miejsce na nasz ładunek. Zdjąłem kufer, odłączyłem system alarmowy i odpiąłem wieczko.

– Uł-ła, ależ to wali. – Gawron się odsunął.

Van de Meer w tym czasie rozłożył się na tylnej kanapie mazdy, demonstrując całym sobą, że nasze sprawy są mu zasadniczo horyzontalne.



– Pewnie, że capi. Za to wojski w skrzyneczce nie grzebali.

– Dowcipa słyszałeś? Przychodzi stalker Pietrow do dentysty, mówi: Panie doktorze, popatrz pan, dziura w zębie. Tamten zaczyna na dziurze grzebać, wyciąga stamtąd „kwiatkami”. No, doktor na to, nieźle... Pietrow mu wyjaśnia: Patrz pan, co przez Pogranicze przeniosłem. Doktor na to: To ja panu tę dziurę zaplombuję, a Pietrow: Nie no, panie doktorze, co pan? Taka dziura to dobra rzecz, a w ogóle to czasu nie mam, do prokologa jeszcze leczę, bo mi się „bengal” i „łyszczyk” do zęba nie zmieściły...

– True story... – Anegdotka nie moja, nie ja wymyślałem. – Znaczy się jest tak.. Tu masz od Chemika. Brodaty mi mówił, że będzie jakiś towar począ zwrotną.

– Masz. – Eksstalker podał mi nieduże zawiniątko owinięte w folię bąbelkową. – I jedziemy, nie ma co przy Kordonie sterczeć po próżnicy.

W drodze Gawron podzielił się najnowszymi wiadomościami, pewnie nie wiedział, że w Zonie zabawiliśmy raptem kilka dni – przeważnie tam się dłużej siedzi. Nie przerywałem mu, zawsze ciekawie posłuchać, jak widzą wydarzenia ludzie zajmujący się zupełnie innymi sprawami. Akurat Gawron zwracał uwagę na całkiem inne aspekty niż ja; ja widzę ludzi, on – dane, strumienie towarów, przemieszczenia jednostek w kontyngentach, zmiany w dowództwie, tego typu rzeczy.

Gawron wyjaśniał nam, jak to ceny PDA poszły w górę, więc Brodaty ma większe zapotrzebowanie na części, bo remontuje stare kompy; na nowy nie każdy może sobie pozwolić, a przecież świeżaki pojawiają się regularnie. Skomentowałem, że wcześniej istniała jakaś krucha równowaga – PDA tych, co swoje po Zonie już wyłazili, przechodziły w ręce nowicjuszy, przecież mało kto z własnym sprzęciem przychodzi. Ale Gawron lata wysoko, to i widzi dalej – wyjaśnił, że na moim poziomie faktycznie takto wygląda, ale on śledzi drobny hurt i bada wahania cen na rynku. Skoro PDA poszły w górę, to znaczy, że jest na nie zapotrzebowanie. Kilka procent dośownie... no, około trzech w przybliżeniu. Trzy procent – niby niewiele, więc jasne, że z wież mojego zamku tego nie widzę.

W miasteczku się pożegnaliśmy, Gawron stwierdził, że nie będzie się narzucał Karemu, zczył nam dobrej Zony i pojechał. Ot, jak to dobrze z rozsądnym człowiekiem robić interesy, powie wszystko jak trzeba, niepotrzebnie się dopytywać nie będzie. Tak więc ruszyliśmy z Dietrichem do Gwiazdy. Oj, miło jednak tak.. Prawie jak powrót do domu. Do wieczora jeszcze daleko było, więc śliśmy sobie powolutka, pudło zrobiło się dużo lżejsze po spotkaniu z Gawronem i teraz tylko prostowało plecy, słońce przygrzewało, świat wokół uśmiechał się ciepło.

Nie tak jak w Zonie, tam gdzie się człowiek nie obejrzy, wszędzie odcienie szarości. Pod drzwiami hotelu sterczeli smętnie Abecek i Kostik. Przeliczyłem szybko dni – niby dzisiaj Kostik powinien mieć fajrant.

– *Drona maty zachworyła* – wyjaśnił ukraiński wykidajło. – *Do lykarny jyo powezy. Dron meny paprasy, szob ja tut zamisz niaho pastaja. Dni try-czatyry, win muwył.*

– Weź Goszy zamelduj, że wróciłem. Jest sprawa, on będzie wiedział.

Kostik poszedł zdać raport szefowi, a ja zaprowadziłem Dietricha do baru – na pierwszą dezynfekcję wewnętrzną.

Kieszon zwyczajowo kimał za kontuarem, ale po naszym wejściu otrząsnął się i wyciągnął flaszkę. W soki brząk szklanki Dietricha o moją obwieścił totalną wojnę przeciwko radionuklidom. Gdzieś w rogu zadźwięczała gitara, dopiero teraz zauważyłem przytającego w ciemnym zakątku Nikolę. Hm, przeważnie później przychodził.

– Powitać, Ślepy. Jak się udało?

– W sumie to niezgorzej. Weź posłuchaj:

*Wyśliznął wojskowym się w nocy,*

*Szedł w deszcz, niepogodę i skwar.  
Iść dalej on nie był już w mocy –  
Rozciągał się przed nim Jantar.*

– O to, to, to, tego trzeba! – ożywił się nasz trubadur.

Kieszon popatrzył na mnie pytająco, znacząco machając butelką.

– Pomidorki kiszzone mi dowieźli, to jak będzie...?

Osobiście bym nie odmówił, ale akurat przydreptał Kostik, więc zostawiłem Dietricha samego z kwestią pomidorów. Byłem pewien, że się nie pomylę w moich nadziejach – i faktycznie, jak tylko wszedłem, Kary wskazał mi gestem krzesło po przeciwnej stronie. Wódeczka, pomidorki, kanapeczki – wszystko już czekało.

– Siemanko, Ślepy! Szybko się uwinąłeś.

– Cześć. Jak tylko się ogarnąłem i załadowałem towar, to od razu biegusiem do ciebie.

– A co za trumnę tam taszczyisz?

– A taki sobie mój wynalazek. Nieźle działa na chłopaków z kontyngentów pokojowych, dziś próbę robiliśmy...

Gdy ja otwierałem kuferek, Kary napełnił szklanki. Pewnie chciał jak najszybciej dostać w ręce zamówiony u Chemika mezmodyfikat, ale nie wypadło tak kutemu frantowi okazywać niecierpliwości. Zachowania Goszy już dawno dobrze poznałem, więc postarałem się skrócić całą procedurę, mimo że wódeczkę miał Kary, jak zwykle, wysockiego sortu, a ja po wymarszu chętnie bym się trochę wyluzował... Widziałem jednak, że mu się deczko spieszy, więc jeśli się zasiedzę, to Kary nie będzie zadowolony. Oczywiście nie da po sobie poznać, ale na co człowieka po próżnicy denerwować?

– Jeszcze jedna rzecz jest... – napomknąłem, rozprawivszy się z kanapką. – Prywatna. Ale pewnie lepiej wieczorem pogadać?

– Jak chcesz – zgodził się Gosza. – Mówisz wieczorem, będzie wieczorem. Przecież wiesz, że zawsze cię od razu przyjmę, mordo ty moja! No to na drugą nóżkę, za Fortunę!

Dopóki siedziałem na pokojach, to Kary udawał, że mu nie pilno, ale jak tylko wyszedłem na korytarz, od razu rozległo się ledwo słyszalne stukanie klawiszy – Gosza już do kogoś dzwonił. Nie mam wątpliwości, że w sprawie wiązki. Wróciwszy do sali, odkryłem, że Dietrich był już ugotowany, tylko zapakować i można jechać. Oj, coś mi się naprawdę widzi, że nie z naszymi w tej swojej Afryce melanzował.

– Nikolka, weź no pomóż, człowieku...

Dałbym sobie i sam radę, ale aluminiowy futerał przecież też musiałem zabrać, więc tym razem w mojej brygadzie tragarzy znalazł się gitarzysta. Do pokoiku wnosiliśmy uczzonego we dwóch, potem Nikolka sobie poszedł, ja ściągnąłem z Dietricha pomarańczowy kombinezon i na dobry początek musiałem go, żeby twarz trochę wodą ochłapał.

Kiedy tylko van de Meer doszedł do siebie, kazałem mu wleźć pod prysznic. Wódeczka świetnie się nadaje do odkażania wewnętrznego, ale nie wolno zaniedbywać też dezaktywacji substancji radioaktywnych na powłokach zewnętrznych. Dietrich przyśięgał, że czuje się doskonale i że zaraz, w tej chwili idzie do łazienki, więc ja i futerał zgodnie zdecydowaliśmy, że możemy już iść. W końcu na nas też czekała dezaktywacja strumieniem wody.

Po prysznicu uwalilem się na wyrko, a do sali zszedłem dopiero pod wieczór. Dietrich zaległ u siebie w pokoju, zrzucił mi tylko na PDA wiadomość: „Ślepy, źle się czuję. Time out do jutra. Będę u siebie”. No cóż, co z oczu, to z serca.

Zaledwie zdążyłem odnotować w barze obecność kilku znajomych twarzy i wymienić się powitalnymi kiwnięciami z gwiazdnym komando, kiedy zawołał mnie Kostik

– Pasza kaže, szo czakaje tebe. Kaly laska, idy do nioho.

– Nawet i zaraz.

– Nu dawaj.

Zanim ruszyłem za Kostikiem, skinąłem jeszcze barmanowi:

– Kieszon, tacę szykluj!

Kary miał nastrój po prostu wyborny – pewnie zbył wiązkę i nieźle na niej zarobił.

– No, to co to za prywata?

Wyciągnąłem pojemnik z „kroplą” i tym, co zdobyłem na Wysypisku. Gosza tylko rzucił okiem na moją drobnicę, uśmiechnął się dobrotliwie i bez namysłu wymienił cenę. Może i moje interesiki to dla niego nieistotna drobnica, ale w trakcie dwudniowego rejsu z van de Meerem wyrobiłem średnią normę na miesiąc. Rzadko kiedy udaje się tak skutecznie popracować.

– No i co, Ślepy, mordo ty moja? A ty się bałeś, że niby haczyk będzie, pamiętasz? Od razu ci mówiłem, pierwsza klasa cudzoziemiec!

– No, sam rozumiesz, dziwne mi się wydało, że przewodnika szuka w twoim przybytku.

– A co, nie podoba ci się mój przybytek? Inni po prostu lepszą reklamę mają.

– O to, to, dokładnie. Twoja Gwiazda jakością bije reklamę na głowę, a u innych na odwrót. Dziwne tylko, że van de Meer wykazał się bystrością umysłu i reklamie nie uwierzył.

Gosza dobrą minutę trawił komplement, w końcu zatrybił i rozciągnął się w złotoustym uśmiechu.

– A po co ci reklama? My naród skromny. A twój szkop... no, pomyśl, jakby się tak ze swoją chorobą u tych napakowanych szpanerów zjawił – a ty jesteś człowiek ze zrozumieniem dla bolących ludzkich, porządnie zareagowałeś. Dobry to przecież partner, ten van de Meer, a?

– Póki co sobie z nim radzę...

– A co, coś nie tak?

– Nawet dwa dni w Zonie nie byliśmy, a on już u Powinności nabruździł, nie mówiąc o rosyjskim kontyngencie.

– UNFOR – to drobnostka, dziś są tu, jutro po drugiej stronie, za Jantarem, a za tydzień w ogóle za górą, za rzeką. Ale Powinność...?

– Przez niego musiałem powinnościowcowi lufą w oczy zaświecić.

– Ups. A ja myślałem, że ty człowiek cichy, spokojny jesteś, po broń niechętnie sięgasz.

– Dokładnie tak.

– Znaczący tak było trzeba. – Kary pokiwał głową. – No, bratku, w Zonie ci nie pomogę, tym bardziej z Powinnością. Oni swoich partnerów mają, mnie do stołu nie proszą.

– Ale ja nie o tym wcale. Ten Dietrich niby człowiek jak każdy inny, a potem jakby mu ktoś pogrzebaczył w dupę wsadził – rozkręca się jak „karuzela”! Coś z nim nie teges jest.

Gosza odwrócił się, w zadumie przyciągnął do siebie notebooka. Postukał klawiszami. Ja milczałem.

– Taak? – burknął w końcu zawiadujący biznesem hotelowym. – Jakoś nie zauważyłem... Pomyśl, ludzi popytam. Może i z Powinnością coś się uda załatwić.

W sumie byłem przekonany, że Kary teraz przejdzie do spraw biznesowych – zacznie wypytwać o prace van de Meera. Ale najwyraźniej doświadczenia Dietricha szefa nie interesowały.

– Co do Powinności to może się samo jakoś wyprostuje. No, wielkie mi tam mecyje, chłopaka im ciut wystraszyłem, ale przecież potem przeprosiłem.

– Mięczak

– Wiem...

– Dobra, Ślepy, tym razem nie będę ci nalewał, pewnie w barze już na ciebie czekają.

Z wyjątkiem pewnych nieistotnych drobiazgów Kary ma właściwe podejście do życia. Fortu-

na, moja kapryśna bogini, na pewno domaga się libacji na swoją cześć, a Kieszon już tam pole-  
ruje lufki i rozstawia na zamówionej tacce.

Pożegnałem się z Karym, ruszyłem do baru.

– Za szczęście, za gwiazdne komando! Dobrej Zony nam wszystkim! – Kieszon napełnił szkla-  
nice, chłopcy zebrali się przy kontuarze, by oddać należną cześć bóstwu.

– Szaszły czek? – zaproponował od razu Kieszon. – Firmowy? Podwójny pewnie? A twój Nie-  
miaszek się pojawi?

– Niemiec chwilowo zmęczony, a i mnie też trochę zmęczył. Tak myślę, że jutro się jeszcze u  
ciebie pojawimy. A na razie weź podlicz, ile się tam uzbierało? Przyszła dla mnie pora za wszyst-  
ko beknać, dobrze, że to domiar, a nie wymiar...

Jasna sprawa, że Kieszon naszą brać obsługuje na krechę. Nie wiem, czy prowadzi jakieś swo-  
je zapiski obrachunkowe, czy pamięć ma taką fenomenalną... ani razu mi do głowy nie przyszło  
nawet sprawdzać liczb, które podaje barman. I nikt inny za mojej pamięci nie próbował Kieszona  
na niczym przyłapać – no może tylko Demian, ale i on nie na serio, tak sobie dla jaj marudził. On  
w ogóle co ostatnimi czasy za dużo marudzi, a to niedobrze, bo szczęście marudnych łukiem  
omija. Kieszon ogłosił wyrok ja uściłem karę, nie zapomniawszy dodać mu drugie tyle na po-  
czet przyszłych wydatków. Oczywiście dowolny poważny biznesmen na moim miejscu nie roz-  
stawalby się z gotówką, a raczej popróbowalby od spotkanych w Zonie stalkerów kupić tyle, ile  
tylko dałby radę, jak ja na Wysypisku wczoraj. No ale nie mam ja tej właśnie praktycznej żyłki,  
nie dla mnie otwieranie swoich pralni, drugim Gawronem nie zostanę. To co, za Fortunę! Za  
moje beżużyteczne szczęście!

Rano Dietrich nie zszedł na śniadanie. Szybko wysiorbałem swoją kawę, wziąłem od zaspane-  
go Kieszona dwie stopa i ruszyłem nawiedzić van de Meera. Wspiąłem się na górę, za-  
klokotałem do drzwi:

– Ratownictwo medyczne! Na koszt lokalu!

Po podłodze zakłapały bose stopy, pstryknął włącznik.

Dietrich otworzył drzwi, odsunął się, wpuszczając mnie do środka. W rękę naukowiec trzymał  
wąskie paski papieru, zadrukowane gęsto, o ile zdążyłem zobaczyć, wykresami i ciągami cyfr –  
wydruki z polowego notebooka. Dietrich nie oderwał nawet na chwilę wzroku od swoich zapisków,  
wpuszczając mnie do pokoju, tylko rzucił:

– Niech pan wchodzi, Ślepy...

Wszedłem do pokoiku, a van de Meer, szeleszcząc papierami, zaraz za mną. Jak tylko spojrział  
na mnie, od razu zauważył puszkę energetyka.

– Niech się pan częstuje.

– O, Ślepy! Dziękuję bardzo.

Dietrich odrzucił karteluszką na podłogę, jak gdyby go w ogóle nie interesowały i jakby to nie  
te same wydruki przed chwilą chciwie pożerał rozgorączkowanymi oczami. Zerknąłem na blat –  
w samym centrum laptop, do którego van de Meer podłączył PDA, znajome mi już czarne pu-  
dełko, przenośna drukarka i jeszcze jakieś urządzenia, których zastosowania nie znałem i znać nie  
chciałem. Wszędzie leżały przewody, spod wielopoziomowych pokładów zapisanego i zadrukowa-  
nego papieru wystawały futerały i pokrowce – najwyraźniej Dietrich wyciągał i podłączał sprzęt  
w miarę potrzeb i w ostrym niedoczasy. Doświadczony archeolog, warstwa po warstwie zdejm-  
mając hałdy papierów i elektroniki, mógłby pewnie zrekonstruować tok myśli van de Meera.

Dopiero po kilku solidnych łykach energetyka spojrzenie van de Meera stało się mniej więcej  
rozumne i świadome.

– Myślałem wczoraj, że szybciej ocenię rezultaty, ale wszystko się skomplikowało.

No pewno, jak pokopać głębiej, to zawsze się wszystko okazuje o wiele trudniejsze. Sądząc po

ilości papieru, który Dietrich zużył, to pracował pięć, sześć godzin minimum. A wnosząc z tego, jakie ma ruchy, jasne jest, że nie zamierza przestawać.

– Czyli jednoznacznych wyników nie ma? – zaryzykowałem.

– Do uzyskania jednoznacznych wyników potrzebna by była o wiele bardziej rozbudowana statystyka... – Dietrich znowu przyssał się do puszek non stopa. – I diametralnie inne wyposażenie... To tylko na początek. Ale gdyby pomiary w wypadku stała ślepych psów pozwoliły na wyciągnięcie jednoznacznie negatywnego wniosku... Rozumie pan, Ślepy, wynik negatywny widzielibyśmy od razu. Ale negatywnego nie ma, nie.

– Ale pozytywnego też nie ma? – Nietrudno byłoby zgadnąć.

– Żeby jednoznacznie zinterpretować jako pozytywne... Nie, nie, za wcześnie jeszcze na wnioski! Rozumie pan, Ślepy... – Dietrich odruchowo zaczął mówić szeptem – przecież podpisałem kontrakt z fanatykami, klerykami. Myślałem, że zrobię tu dla nich... ee...

– Chałturę?

– Przepraszam...?

– No, pobiera pan, co się pod rękę nawinie. Dowolne dane, co tylko się trafi. Nawet nieprawdziwe, byleby cokolwiek było.

– Mam program, którego się trzymam – sprostował Dietrich z godnością. – Wybierając się tutaj, byłem przekonany, że idea boskiego pochodzenia Zony jest pozbawiona sensu, a zatem bezsensowne byłyby też... ee... dowolne idee, pochodzące od Poszukujących.

– A zatem?

– Naprawdę to pana ciekawi? – ucieszył się Dietrich. – Proszę, proszę siadać! Niechże pan to rzuci na podłogę!

Uczony zmiotł z krzesła górę wydruków, ja wzruszyłem ramionami i po prostu usiadłem, a Dietrich zaczął chodzić w tę i w tę, machając puszką energetyka, na szczęście prawie pustą.

– Pamięta pan, jak opowiadałem o tym, że domniemane oddziaływanie psi może okazać się fikcją? Że jakoby wszystko wyjaśnić się da poprzez sygnały radiowe określonej częstotliwości? Pamięta pan? A zatem moje oprzyrządowanie zarejestrowało wahania, które... no, załóżmy, że nie przeczą danym laboratoryjnym, jakie udostępnił mi Poszukujący. Zachowanie ślepych psów pasuje do teorii! Całkowicie! Zakłócenia elektromagnetyczne, które zahejsthoowało moje urządzenie w bezpośledniej bliskości sfohy...

Po akcencie wnosząc, Dietrich się ostro podenerwował.

– Pan wybaczy, ale co w takim razie jest nie tak?

Uczony jednym haustem wypił resztkę non stopa i cisnął pustą puszką do kosza na śmieci przez pół pokoju. Trafił.

– Nie tak...? Cóż, widzi pan, naukowcy z instytutu Poszukujących phowadzili ekspehymenty na zwykłych zwierzętach, a nie na mutantach. Deviacje się zdarzają, lecz...

Podąłem Dietrichowi drugą puszką energetyka.

– Eee... Tak dziękuję. To znaczy sygnały zarejestrowane przy stadzie ślepych psów, widzi pan, są faktycznie silne, dużo silniejsze niż laboratoryjne. Wy różniają się intensywnością, ale w sumie są podobne.

– No i co to znaczy?

– W zasadzie wszystko albo nic. Jeżeli każde żywe stworzenie nosi w sobie cząstkę, mówiąc ogólnie, tchnienia bożego, to w Zonie staje się to bardziej wyraźne. Bardzo zbliżone, ale sygnał jest mocniejszy, trudno określić jego charakterystykę.

– Zatem twierdzi pan... – Uczonym wystarczy tylko podrzucić początek, a dalej wszystko toczy się już samo z siebie. Zdecydowałem, że podpuszczając i zadając ogólnikowe pytania, pomogę Dietrichowi się wyśłowić.

– Twierdzą... – Ryży otworzył drugą puszkę, pociągnął łyka i dalej mówił już spokojniej. – Twierdzą, że obserwowane zjawisko posiada wyjaśnienie natury strictly materialnej. Chociaż nie zbadaliśmy mutantów, że tak powiem, elitarnych; w szczególności interesują mnie kontrolery.

– Z którymi ja osobiście wolałbym się nie spotykać.

Parę razy znajdowałem się już w zasięgu oddziaływania kontrolera i za każdym razem uciekałem, zaledwie czując ślad rzeczonego oddziaływania psi. Po prostu biegłem jak najdalej. Nie patrząc na drogę, ryzykując, że wpadnę w anomalię albo nadzieję się na jakiegokolwiek innego mutantą... Wszystko, by le nie kontroler.

– Albo tak zwane chłęptokwije – kontynuował van de Meer. – Jaki jest mechanizm przyjmowania przez nie niewidzialności? Efekt ślepej plamki, o którym rozmawialiśmy, sam nasuwa się tu na myśl. W każdym razie taka teoria zasługuje na sprawdzenie.

– Juchociąga można w Ciemnej Dolinie spotkać – pomyślałem na głos. No lepiej już juchociąg, ten przynajmniej wchodzi w bezpośredni kontakt, da się go uwalić i nawet wiem, jak to zrobić. – Ale tam tylko we dwóch zbyt niebezpiecznie się ładować, poza tym słabo znam drogę. Ostatnie emisje znacznie pozmiały trasy – promieniowanie, pola anomalii...

– Założmy więc, że we dwóch niebezpiecznie – powiedział van de Meer. – Ilu musiałyby nas być?

– Potrzebny jest człowiek, który nas przeprowadzi do Ciemnej Doliny, to absolutne minimum. A dla bezpieczeństwa przydałoby się ze trzech doświadczonych stalkerów.

– Trzech oprócz pana, Ślepy?

No i jak tu delikatnie dać do zrozumienia, że ja się w ogóle nie liczę? Żaden ze mnie fajter, a tropiciel też niewiele lepszy. Wystalkerzyłem sobie długą kartotekę właśnie dlatego, że w niebezpieczne awantury się nie wpięprzam.

– No dobrze, trzech ze mną. Ale to bardzo ryzykowny pomysł. Van de Meer, a niech mi pan powie, czy pańskie urządzenie dałoby się wykorzystać tak, żebyśmy stali się niewidzialni? Tak jak ta ślepa plamka, hm? W sensie my tak jak juchociąg?

– Nie.

– Twierdzi pan to z dużą pewnością...

– Przecież mówię: zastrzeżenia odnoszą się wyłącznie do odpowiedzi twierdzących. Dowolnemu nowemu stwierdzeniu, każdemu nowemu, śmiałoemu założeniu towarzyszy chmara warunków dodatkowych. Ale nie to zawsze nie. Zresztą jeżeli pan ma życzenie, to z chęcią przybliżę szczegóły. Mam tutaj dokładne wykresy wahań...

Dietrich wyciągnął wydruk z nieforemnej hałdy papierzyski i podał mi. Rozwijająca się taśma papieru pociągnęła się za uczyonym, jej długość zaczęła rosnać lawinowo.

– Nie, nie, bynajmniej, panie van de Meer! To nie na rozmowę przy energetyku w każdym razie. Na obiad się pan wybiera?

– Proszę pana, jestem człowiekiem ciężko chorym. Alkohol dla mnie... e... no, skoro pan przypomniał...

Van de Meer na oślep wsadził rękę w warstwę wydruków, pomacał, poszeleścił i wyciągnął płaskie, kolorowe pudełeczko. Jakieś lekarstwa. Nie znam się na tym. Ja tam, Zonie niech będą dzięki, poza daltonizmem nie cierpię na nic poważnego, więc zawierać bliższej znajomości z medycyną nie muszę. Uczony, poruszając ustami (pewnie dawkę wyliczał), ścisnął pudełko kilka razy – na dłoń wyskoczyły mu tabletki. Van de Meer podniósł rękę do ust, łyknął pigułki i szybko popił energetykiem. Dopiero teraz zauważyłem, jaki jest błąd.

– Van de Meer... Niechże pan powie, po co panu to wszystko? Zona, niebezpieczeństwa?

– Cóż... – Naukowiec spuścił głowę, zaczął kręcić pudełeczkiem z lekami, jakby nagle go mocno zainteresowało. – Rozumie pan, nie wiem, ile jeszcze zostało mi czasu... A to cholerstwo we

mnie siedzi i tylko czeka, prędzej czy później uderzy. Niewiele już przede mną, panie Ślepy.

– O ile mi wiadomo, mógłby pan zdecydować się na hospitalizację, tam na pewno...

– Tak, ale nikt nie gwarantuje mi skutecznego leczenia! Można organizm chorego utrzymać w stanie zawieszenia, ale tylko tyle. To znaczy – odciąć od wstrząsów, stresu, który mógłby spowodować... ee... uruchomić mechanizm, rozumie pan? Tak, dokładnie! Jak bomba z mechanizmem zegarowym. Tak, szpital dałby możliwość, że pociągnę rok dłużej, może dwa. Albo nawet i pięć lat! Pięć lat kiść się w puszcze po konserwach. A tutaj... Tutaj jest prawdziwa przygoda. Zagadki, odkrycia naukowe. W naszych smętnych czasach mamy tak mało odkryć i przygód, a tutaj... No i w końcu mam rodzinę. Osiemdziesiąt procent mojego wynagrodzenia otrzymuje rodzina, a w wypadku mojej śmierci w tej całej waszej Zonie, ubezpieczenie gwarantuje mojemu synowi godziwe utrzymanie do momentu, gdy...

– Bydłę z pana, van de Meer. Niech pana snorki porwą, jakie z pana straszne bydłę!

Wyleciałem jak burza z pokoju, strzelivszy drzwiami. Co za bałwan ze mnie! Dopiero teraz dotarło do mnie, dlaczego ten jajogłowy cały czas leci w kulkę ze śmiercią. Gdyby go rozdeptał dziczek, zagryzły psy, gdyby mu łeb odstrzelił narwany koleżka z Powinności albo podziurawił go z abakana ko bardziej nerwowy żołnierz kontyngentu UNFOR... ubezpieczenie! Jego rodzinka ubezpieczenie dostanie! A ryzy, mimo że sam siebie przekonuje, że życia już mu dużo nie zostało i że AIDS go wcześniej czy później wykończy w kwiecie wieku – to i tak umierać się boi. Jemu by się chciało, żeby to tak sobie, przypadkiem wyszło... i gotów mnie ze sobą na dno pociągnąć! Niech go Zona, co za bydłę...!

Siedzieć w Gwieździe mi się nie chciało, miałem ochotę jakoś się rozerwać, głowę przewietrzyć, zapomnieć o van de Meerze i jego bolączkach – nieważne, fizycznych czy umysłowych, zapomnieć o Zonie i w ogóle. Wypadłem z hotelu na ulicę, ruszyłem dokąd oczy poniosą. Zdaje się, że Kostik, robiący dziś akurat za odzwiernego, popatrzył za mną zdziwiony. Wszyscy się przyzwyczaili: Ślepemu nigdy się nie spieszy. Teraz też mi się nie spieszyło tak w ogóle. Po prostu miałem ochotę być gdzie indziej.

Za dnia cichutko jest w naszym miasteczku – człowiek nawet nie pomyślałby, że jest tu zarejestrowanych około dwudziestu rozwijających się i przynoszących znaczny dochód prywatnych przedsiębiorstw, zatrudniających grube setki ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, chociaż z dziesięciokrotną przewagą tych pierwszych. A przecież nawet teraz większa część tych pracowników chodzi po bezdrożach Zony. Jedni mają urlop bezpłatny, jeszcze inni fajrant, ktoś ma L-4, ktoś w delegacji – słowem, na liście płac figurują, ale akurat ich nie ma z bardzo ważnych powodów natury oficjalnej.

A tak w sumie to miścina malusia, nawet nie za bardzo jest gdzie iść – podrepczesz kwadrans w jednym kierunku i już jesteś na peryferiach. Dlatego też nie szedłem kwadransu w żadną ze stron, a skręciłem na pocztę. Oddział pocztowy to parterowy domek podzielony na pół sidingową przegródką. Znaczą przegródka sidingiem jest tylko obłożona, a tak w ogóle to grubo wymurowana na dwie cegły – wszystko jak trzeba. Tutaj ma też swoją filię Sberbank – okienko zaraz obok.

Czekał na mnie list do odbioru na awizo. Oczywiście od mojej przyszywanej kuzynki szóstego stopnia. Ostatniej istoty ludzkiej na planecie, która jeszcze zna słowo „papeteria”. No, może jeszcze afrykańscy ziomale van de Meera korzystają z papierowych listów. Chociaż nie, słyszałem, że w głębinach dżungli co bardziej zaawansowani technologicznie tubylcy (tambylcy w zasadzie) przekazują sobie gorące niusy dźwiękiem tam-tamów, hłe, hłe... Ale nawet oni nie piszą odręcznie. Larisa to żywy anachronizm, do muzeum by ją oddać.

Usiadłem na ławeczce pod oknem, w budynku poczty było duszno i brudnawo, pachniało czymś takim specyficznie pocztowym. Może lakiem do paczek albo klejem... W promieniach światła wpadających przez mętne szkiełka okien tańczyły drobinki kurzu. Jasny prostokąt na podło-

dze dzielił na części cień kraty okiennej... Ponuro tak jakoś. I siedzenie obite wytartą skórą skrzyknęło smętnie pod moim ciężarem – widać też miało parszysy w nastroj.

Lariska prosiła, żeby przeprowadzić się do nich, bo na fabryce w ichniej miejscince jest wakat na rachunkowości, a ja przecież człowiek wykształcony... Jasne, każdy, kto potrafi komputer włączyć, to dla niej wykształcony. A tak w ogóle wszyscy zdrowi, wszystko po staremu się toczy, drożyna tylko... List już drugi ty dzień czekał, aż adresat raczy łaskawie zajrzeć na pocztę. Jeszcze dłużej by tu poleżał, gdyby van de Meer mnie dziś nie wkurzył.

Doczytałem do końca, wróciłem do okienka, nadałem telegram: „Laryś, jakbyś zamiast poczty papierowej wysłała elektroniczną, to dwa tygodnie temu bym przeczytał”. Pracownica poczty, młoda brzydula z żółto farbowanymi loczkami nad różowym, świecącym czołem, zachichotała. Nowa jakaś. Jeszcze nie umie oczu dobrze malować... A tak w ogóle to dotarło do mnie, że nie jestem pewien, jakiego koloru makijaż ma na sobie ta sikoreczka. To mój daltonizm sobie ze mnie żartuje czy naprawdę teraz moda taka? Starannie uśmiechnąłem się do sikorki uśmiechem zwrotnym, ale do znajomości się nie pchałem. Pomyślałem, przeszedłem do okienka obok, zleciłem przekaz – wysłałem Larisce prawie wszystko, co przyniósł mi ostatni wymarsz. Oj, nie zostanę ci ja bogaty biznesmenem, oj nie... Nie mam odpowiedniego drajwu na target.

Kiedy kasjerka – damulka kilka lat raptem starsza od sikoreczki – przyjęła łaskawie moje oszczędności zawodowe, to od razu lżej mi się zrobiło. Przecież dobry ze mnie przyszywany krewniak pomógł Larisce i staruszkom. W końcu, pomyślałem sobie, niby co? Van de Meer też dla rodziny się stara. I przypomniałem sobie, jak z pijacką żną w oku opowiadał o synku... Faktycznie, jeżeli od dziecka go pędzą, to jedyne, co mu zostaje, to jak najwięcej dla małego postarać się zarobić. Najprostszy sposób – ogarnąć ubezpieczenie. Tak między Zoną a prawdą, to Dietrich przecież nie zmuszał mnie, żebym był żyrantem w jego awanturach z Powinnością ani z rosyjskim chorążym z kontyngentu pokojowego. A może on, morda unijna, myślał, że ja tak spokojnie sobie wszystko przeczekam z tyłu? A potem jako świadek złożę zeznanie panu inspektorowi z firmy ubezpieczeniowej, jeśli będzie trzeba? I opiszę złoty mi swemi usty, jak to w wyniku wypadkowego, acz tragicznego zbiegu okoliczności poległ śmiercią bohaterską mężny badacz nieznanego, kochający mąż i ojciec rodziny, Dietrich van de Meer? Hm... Ciekawe, co takiego on by zrobił, gdyby m to ja się wpakował w jakąś kabałę? Przecież by mnie nie rzucił, jak budurudu by nie rzucił! Chyba że...?

- Że co proszę? – wynurzyłem się z odmętów zamyślenia, kiedy zawołała mnie kasjerka.
- Proszę, kwitek dla pana – oświadczyła damula miłodowym głosem.
- A... tak dziękuję.

I tak cały czas patrzy na mnie zapraszająco, a pewnie co wieczór chadza do Relaksu albo do Kijewskiego. O, patrzcie, jak zręszami wachluje! I tu do mnie dotarło – kobitce się podobała suma, którą wysłałem Larisie! O, jaki naród teraz u nas przedsiębiorczy! Poznał raz stalker Pietrow dziewczynę... Zresztą nie, z jakiegoś powodu takich dowcipów nie ma. Ani tych o Pietrowie, co jedzie dżipem, ani o jego wyczynach z PDA. Nie pasuje do wizerunku podmiotu liry cznego.

Potem ruszyłem po prostu połączyć po miasteczku. Kiedy zaczęło się ściemniać i zapaliły się pierwsze neony, zawróciłem do Gwiazdy.

Spacer spokojny mi uliczkami przy wrócił mi równowagę wewnętrzną. Prawie już żałowałem, że tak strasznie wybuchnąłem u Dietricha. A przecież siedzieliśmy, gadaliśmy sobie... no przecież, liczenie aniółów. Przy wejściu, przestępując z nogi na nogę, stał Dron. Przywitałem się, zapytałem, jak tam mama.

W sali było jeszcze cicho, ludziska dopiero co zaczynali się zbierać. Kutia znowu cały w uśmiechach – o, chyba ma chłop dobrą passę, znowu złapał coś niezłego, hyc! i od razu z powrotem na Dużą Ziemię. Trochę później wszedł Monia, też w dobrym humorze. Ale Monia na au-



diencję do Goszy się nie napraszał, on ma swoje sprawy – zbiera, wymienia i skupuje od innych ch stalkerów „krople”, „krewkamiennie” i „pióraski”. Mońka ma problem – córka mu choruje, w hospicjum musi mieszkać, a on jej potajemnie pomaga artefaktami. Przeważnie Monia dużo nie pija, ale raz się jakoś zapędził i opowiedział mi, że lekarze już dawno mu powiedzieli, że dzieciak nie ma szans. Ale przy pomocy artefaktów Mońka małą za uszy z tamtego świata wyciągnął i trzyma. Ot, taka już jest Zona – jednego zgubi, innemu życie uratuje.

Sądząc po rozpromienionej twarzy, jak na tę chwilę, jakoś sobie Monia radzi. Stalker już od progu kiwnął Kieszonowi i ręce rozłożył – o, taką tacę szykuj! Barman skinął, a Mońka podszedł do mnie.

– Ślepy, zna pan dowcip? Przychodzi chorąży UNFOR do domu, znad drzwi i łózek krzyże zdejmuję, wiesz detektory i mówi rodzinie: Módlcie się jak ja – chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...

– Udało się wszystko?

– Dzięki niech będą Zonie, nawet za bardzo nie trzepali. Na Jantar do uczonych się śmigłowcem bujałem. Wywiad robiłem z tym doktorem nauk, jak mu tam... na literę H nazwisko... Nie ważne, wszystko mam zapisane. Całkiem niezły wywiad, naprawdę całkiem niezły.

– Dobry, powiada pan?

– Żeby mi tak dobrze było! – Mońka dumnie błysnął okularami. – Mój doktor uchyla rąbka zasłony skrywającej Zonę i jej tajemnicę. Naturalnie, w dozwolonych ramach. Do tego skarży się, że wojskowi rzucają im kłody pod nogi. Jak tylko puszcza do druku, przy noszę gazetę.

– Przeczytam, przeczytam, sam jestem ciekaw, jak to naprawdę wszystko w Zonie wygląda. Tyle o niej ludzie mówią... Lekarstwa dał radę pan zdobyć?

Oczywiście miałem na myśli artefakty dla córki.

– Najlepszej jakości. Uczeni to bardzo dobrze wychowani ludzie, jednak z nimi to można ge-szefty robić.

Nie mogłem się nie uśmiechnąć, widząc, jak nerwowo przeciera okulary i ogląda się przez ramię, żeby sprawdzić, jak tam sobie Kieszon radzi.

Do Mońki mam naprawdę same ciepłe uczucia. Na nazwisko ma Pietrow, ale z wyglądu jest pełnym przeciwieństwem mojego nieślubnego dziecka, niepokornego bohatera kawałów. Monia jest malutką, szczuplutką, w wielkich okularach i czasami zaczy na gadać jak z filmów Barei: „Łoj, panocku, antyrad dowieźli! By dzie wojna, psed wojno tez by H!”.

Barman już poustawiał lufki i dramatycznym gestem wznosił flaszkę nad czworobokiem sklanych żołnierzy. Mońka kiwnął i wyciągnąwszy przed siebie ramię, dźgnął kciukiem w dół, niczym cesarz skazujący na śmierć gladiatora.

– Panowie, Monia proponuje za Fortunę! – obwieścił Kieszon.

Na to wszedł ponury jak gradowa chmura Demian – chyba jednak jego Fortuna nadal nie kochała. Nie zrzucając plecaka, przeszedł przez salę, złapał z tacy szklanicę, wypił jednym haustem, nawet nie czekając, żeby Mońka wygłosił zwyczajowe: „No, dobrej Zony nam wszystkim”.

– Aha, już się jej doczekasz, dobrej... – warknął Demian i odwrócił się do barmana. – Kieszon, z szefem chcę gadać.

Kieszon kiwnął, wyciągnął z kieszeni skóry komórkę. Wypiliśmy swoje, rozeszliśmy się po stolikach; jasne było, że Demian nie jest w nastroju, a zachował się już tak, że chyba nikt nie miałby ochoty nawet próbować go wesprzeć ani w jakikolwiek sposób pocieszyć. Chce zgrywać ponurego, surowego stalkera – no i niech mu będzie. My tu samotnicy jesteśmy, w cudze sprawy nosa nie wtykamy.

Potem przyszedł Buza – temu sprawy szły chyba ot, tak sobie, średnio. Za Fortunę nie zama-wiał, ale i nie robił fochów jak Demian. Nikolka w swoim kącie zanucił piosenkę. Już miałem na-

dzieję na zwyczajowy, cichy wieczorek w miłym towarzystwie, kiedy raptem zjawił się van de Meer. Doktor zapiął koszulę na wszystkie guziki, aż pod samą szyję, i wyglądał aż do usrania oficjalnie.

– Panje Szlephy... – zaczął Dietrich spiętym głosem. – A pan nam wybacz...

– Oj, ja już, już... – Mońka zakręcił się, zaczął zwijać plecak, rozłożony kombinezon i inne takie śmieci, które zrzucił na podłogę, kiedy siadał do mojego stołu.

Skinąłem van de Meerowi, przy stopowałem przyjaciele:

– Moniek, niech pan zostanie. Nie będzie pan przeszkadzać. Panie van de Meer... proszę mi wybaczć. Nie powinienem był dziś rano.

Mońka ostrożnie usiadł na brzegu krzesła, nie wypuszczając z rąk plecaka. Po tej stronie Kordonu robi się strasznie niezdecydowany, ale w Zonie to zupełnie inny człowiek.

– E... Nje hozumiem do końca povodów...

– Po prostu dotarło do mnie, po co pan wchodzi do Zony.

– Nje, nje hozumjem. Jakto po co? Mówiłem panu o moich zadaniach, hipotezach, które...

– Nie o tym mówię. Panie van de Meer, pan szuka pewnej śmierci. Z rąk żołnierzy, pod raciami kabana... W Kuferku, kiedy ni z gruchy, ni z pietruchy naszkoczył pan na tego koleżkę z Powinności. Szczególnie w Kuferku, no już tam to na sto procent. Chce pan, aby pańska śmierć miała pozory naturalności i była łatwa do wyjaśnienia, wtedy ubezpieczyciel nie będzie zgłaszał zastrzeżeń.

– Ależ, panie Ślepy, to wszystko nie tak! Nie chcę ubezpieczenia! Chcę żyć! Chcę, phóbuję żyć, tak, tak!...

– Van de Meer, po co wszczywał pan kłótnię z tym gościem z Powinności? On jako pierwszy u Brodatego robotę zamawiał. Miał rację od początku do końca, a pan nie. Po co zatem?

– Przephaszam... – Dietrich nie wyglądał już tak oficjalnie ani nie był spięty. Teraz kiedy wypowiedziane zostały wszystkie zarzuty, chyba zrobiło mu się lżej. A on pewnie męczył się, zachodząc w głowę, co takiego mnie wyprowadziło z równowagi. – Rzeczywiście, to ja jestem tu... winny. Tak, winny. Rozumie pan...

– Nie, nie rozumiem. Moniek, siad!

Już-już wstający stalker posłusznie puścił plecak.

– Słucham pana, van de Meer.

Dietrich zdążył ochłonąć, teraz mówił spokojniej, akcent praktycznie już mu zniknął:

– Muszę prosić pana o wybaczenie, Ślepy. Rzeczywiście, zawiniłem. Ale nie chciałem! Czasami sam nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Nagle myśl mnie uderza: a jeśli jutro z łóżka nie wstanę? Wtedy dwa, trzy tygodnie – i koniec! A ja tyłu rzeczy nie zdążyłem zrobić! Ani razu dzika-mutanta nie strzelałem, ani razu nie...

– Ani razu w łeb pan na terytorium Zony nie dostał? Kulki z kałasza ani razu pan nie przyjął? A nie pomyślał pan, że UNFOR-owcy by po prostu mnie tam razem z panem stuknęli? Żeby świadków nie było?

– Ślepy, nie pomyślałem, naprawdę nie pomyślałem, że narażam pana na ryzyko. Słowo daję, że więcej się to nie powtórzy. Naturalnie, jeżeli zdecyduje się pan zerwać współpracę, to w pełni pana zrozumiem. Doskonale zrozumiem. Wtedy niech zatrzyma pan zaliczkę...

– Nie zdecyduję się, bo z panem jest ciekawie, van de Meer. Ale żadnych burd!

– Tak, tak..

– A teraz, Monia, niech pan spojrzysz – oto przed panem siedzi uczony, prowadzący alternatywne badania, który może opowiedzieć panu takie rzeczy, o jakich nikt na Jantarze nie odważy się nawet pisać ze strachu przed sądem wojskowym. Jeżeli podpyta się pan odpowiednio doktora van de Meera, to być może dowie się pan o boskiej naturze Zony i o zliczaniu aniołów.

I tu do baru wszedł nikomu nieznany koleś. Od razu widać, że świeżaczek, nawet van de Meer w jego europejskiej stylowie nie stwarzał aż tak porażającego wrażenia naiwności i... no nie wiem, nawet chyba jakiejś niewinności. Wielu z naszej stalkerskiej braci po raz pierwszy przychodziło pod Pogranicze, właśnie będąc takimi jak on ciekańskimi chłoptasiami.

Rozległo się szuranie i zgrzyt krzesel, gdy nasi odwracali się, żeby popatrzeć. Nikółka ściszył głos i zaczął ledwo, ledwo trącać struny – też nie chciał przegapić ani słowa z szykującego się przedstawienia. Z takich rycerzyków zawsze wychodzi niezła beka, a nam, poważnym, zmęczonym życiem ludziom, tak bardzo chce się rozrywkę!

No, chłopczyk się nam objawił – jak z pocztówki! Blondynek z krótką, sportową fryzurą, rumiany, całkiem porządny i poukładany, w ślicznej nowiutkiej skórzanej kurtce, a na ramionach miał naszyte paseczki ze skóry pseudopsa. Och, jaki zacny młodzian, na pierwszy rzut oka widać, że skórę z mutantów nie sam zdejmował. A i kurtka nie w rękę szyta na kolanie – widać, że to solidna, droga robota. Chłopakrozjeźrzał się po sali i rzucił dobitnie:

– Sława włóczęgom!

Poczekaj na odpowiedź – gdzie tam. Naród u nas chamski, niegościnnie. W całej sali chyba tylko jeden van de Meer nie czaił, że zaczęło się przedstawienie, ten egoista tylko o sobie myślał. Uczony oświadczył:

– Panie Ślepy, wiem, że miejscowe zwyczaje zakładają, że dla pojednania należy wypić... W ogóle dużo się tu pije. Ufam, że wybaczy mi pan jeszcze jedną rzecz, ale pić nie będę. Jutro chciałbym ruszyć do Zony.

Bez słowa podałem mu rękę. Uściskawszy ją, Dietrich stwierdził, że musi przygotować wyposażenie, i ruszył do siebie, a ja odwróciłem się do kontuaru, żeby już nic mi nie umknęło.

Blondyn w tym czasie oparł się łokciem o ladę, aby jego designerska skóra lekko rozchyliła się, ukazując pod połą chwyt beretty w kaburze pod pachą.

– Na trzy palce czystej! – rzucił chłoptas.

Kieszon z kamienną twarzą podstawił szklankę, nalał. O ile zauważyłem, to mineralnej. Nowicjusz zgrabnym ruchem podniósł kieliszek pięknym, epickim gestem wychylił swoje „trzy palce”, malowniczo zarzucając głowę w tył. Dobrych kilka sekund wsłuchiwał się w reakcje organizmu, potem przeniosł zdziwione spojrzenie na Kieszona.

– Jeszcze? – zaproponował barman usłużnie, podnosząc półtoralitrową plastikową butelkę czernihowszczanki.

Na to, jak się okazało, chłoptas przygotowany nie był.

– Widzę, że jest pan nowy w tych okolicach. – Kieszon ze zrozumieniem pokiwał głową. – Pozwoli pan, że wyjaśnię mu kilka spraw. Włóczęgów tu nie ma. Nasi klienci to ludzie poważani, pracownicy najróżniejszych firm, biznesmeni, dziennikarze... ale nie włóczędzy, nie. I wodę też pijają tylko od święta.

– A ja myślałem... No, znaczy się, wodę nie, oczywiście... Mówiono mi, że gwiazdne komando...

No jasne, tylko tyle o nas mówią!

– Obawiam się, że padł pan ofiarą prymitywnych żartów. – Kieszon współczująco pokiwał głową. – U nas tu spokojnie, zwyczajnie... rzekłbym, smutno wręcz. Widzę, swoją drogą, że nosi pan przy sobie broń.

Dron, który po cichutku podszedł do kontuaru za plecami blondyna, teraz znacząco odkaślnął.

– Tak, młody człowieku, mam nadzieję, że zezwolenie ma pan w porządku? To terytorium strefy objętej kwarantanną, przepisy dotyczące broni są bardzo restrykcyjne.

Zaskoczony blondyn popatrzył na ochroniarza – od stóp do głów. A Dron mały nie jest. Demian uśmiechnął się złośliwie.

– Jeżeli nie ma pan zezwolenia, to mam obowiązek zatrzymać pistolet – kontynuował Dron. – I oczywiście dopełnić innych niezbędnych procedur. Powiadomić odpowiednie organa, wziąć udział w sporządzeniu protokołu... i inne takie. Ma pan zezwolenie? To, jak to się nazywa, *dozwalenię z Wijskowskiej Uprawy?*

– Złożyłem papiery do komendy rejonowej... ale na razie jeszcze nie...

Blondyn sięgnął dłonią do broni, Dron lekko się spiął, chłoptaş nie dokończył ruchu. Jasne, że nic złego nie miał na myśli, ale no bez przesady.

– Wie pan co, zróbmy tak. Przyjmę pański pistolet do depozytu, oddam go panu przy wyjściu, a sam zapomnę, że tę broń widziałem. Tak będzie dla wszystkich lepiej i spokojniej. Niech do tej pory poleży sobie pod kluczem. – Dron delikatnie wyciągnął z kabury chłopczyka beretę, pstryknął bezpiecznikiem. – W razie jakiejś kontroli pan nie będzie posiadał przy sobie nielegalnej broni, a ja będę miał pewność, że w naszym lokalu nikomu nie przyjdzie do głowy urządzać strzelaniny.

– Tak.. Ale ja chciałem tu pokój wynająć... To hotel, prawda?

Kieszon rzucił na blat ogromniastą księgę.

– Tak, oczywiście. Poproszę pański dowód osobisty i dokument stanowiący podstawę prawną pańskiego pobytu w strefie objętej kwarantanną. Będzie zaświadczenie o delegacji służbowej czy coś jeszcze?

– Ale ja jestem tylko...

– Tylko turystą? Zatem mam obowiązek uprzedzić, że nie mam prawa rejestrować na dłużej niż na czterdzieści osiem godzin, jeżeli osoba wynajmująca pokój takowego dokumentu nie posiada. Pan wybaczy.

Jasne, żebym się nie zdziwił – na pewno na opłatach za pokoje się trzyma biznes hotelowy Karego. A chłopano oczywiście zajechał na Czarnobył-4, odwiedził osławiony Żór, ale z mieszkaniem nie dał rady nic ugrać. Bywa przecież i tak, że świeżaki całymi miesiącami krążą wokół Zony, przeprawiając się z miasteczka do miasteczka i nie mogąc nigdzie zagrzać miejsca na dłużej niż przysłowiowe czterdzieści osiem. Ale cóż, to zupełnie normalne – selekcja naturalna. Kto da radę się przystosować, znaleźć swoją niszę, ten wcześniej albo później się jakoś urządzi. Zdarzają się i tacy artyści, co od razu do Zony wchodzą – możliwości przecież nie brakuje! Szczególnie dla tych, co nie mają zamiaru wracać.

Co prawda ci artyści długo nie żyją. Do Zony się trzeba stopniowo przyzwyczajać, właśnie dlatego pierwszy wymarsz z van de Meerem skróciłem.

Tymczasem na kuchni u Kieszona doszły standardowe racje żywieniowe gwiazdznego komando – parówki i chiński makaron. I wódeczka, jasna sprawa – lekarstwo na radiację.

Blondyn odsunął się, żeby nie przeszkadzać reszcie w odbieraniu misek Mońka i ja też ustawiliśmy się w kolejce. Nasza skromna kolacja, rzecz jasna, wrażenia na świeżaku nie zrobiła – albo zrobiła wrażenie nieoczekiwane, można by i tak to ująć. Chłoptaş stał z boku i tylko patrzył.

– Dolewkę mineralnej dla pana? – absolutnie spokojnym tonem zaproponował Kieszon, gdy skończył wydawać. – A może kolacja? Jak się mawia, czym chata bogata... No a co się dotyczy noclegu – proszę bardzo, ale nie dłużej niż dwie doby.

Chłoptaş skinęto głową, wzięto, jak i wszyscy, parówki z makaronem, do tego jeszcze ćwiartkę i szklankę. Wybrał stolik obok nas – najwyraźniej aparycja moja i Mońka wyróżniała nas jako bardziej kontaktowych.

– Panie Mońka, za Fortunę?

Wyiliśmy.

– Młody człowiek, bez wątpienia, odwiedzał Żór. – Monia mrugnęła do naszego sąsiada. – Wspaniały przybytek, ach, jaki przepych! Jakie dziewczyny mają...

– Mońka, słyshał pan dowcip? – zdecydowałem się grać pod jego nutę. – Przychodzi stalker

Pietrow do baru Żór, tam światło wyłączają, panienki tańczą, całe we fluorescencyjnych tatużach, faceci nogami o podłogę walą i mordę drą, a Pietrow anty rad dawaj garściami żreć, widzi przecież – promieniowanie takie, że aż baby się świecą...! No, dobrej nam Zony!

Chłopak patrzył nas dzikim wzrokiem – zupełnie nie łąpał, co się dzieje. Mońka i ja też na razie nie rozumieliśmy, płynęliśmy na fali improwizacji.

Mój kolega przetarł okulary, popatrzył, jakie refleksy rzucają na szkiełka przygaszone lampy, ponownie nasunął bryle na należne im miejsce.

– Młody człowieku, jak pańska godność?

– Walther – odparł blondyn. Hardo tak dumnie – widać, że sam sobie ksywkę wymyślił, i to niedawno, jeszcze się nią nie nacieszył.

– Moniek, a to Ślepy.

– Walther to doskonałe imię, dźwięczne takie – przytaknąłem mu. – A urzędowo jak?

– Walery.

– A zatem, panie Walery – podłapał trop Moniek – być może odniósł pan wrażenie, jakbyśmy wysmiewali się z pańskich znajomych z Żóru? Cóż, prawda jest taka, że jesteśmy po prostu zazdrośni.

– Oj tak – Smutno pokiwałem głową. – Dokładnie taka jest ponura prawda. To oni są heroicznymi postaciami, legendami Zony, tytanami i półbogami miejscowego panteonu. To dla nich wyginają się w lubieżnym tańcu przepiękne dziewice, to dla nich rzeką leje się spirytus... Oj, wybacz pan, czysta. A tutaj, w barze Gwiazdy – niby kto?

– A nikt, tak na dobrą sprawę – podchwycił Monia. – Ludzie niczego od życia nieczekający, którzy, że tak powiem, stracili wenę...

– Próbujemy po prostu przeżyć! – wpadłem mu w słowo. – Wyżej już wznieść się nie damy rady, ale upadliśmy też już na sam dół.

– Na samo dno! Ślepy, nie bój się tego słowa – dno!

– Ugrzązłem w tej norze, rozumiesz... – burknąłem sakramentalną frazę, podnosząc się, żeby połać Mońkowi.

– To już, jeśli dobrze pomyśleć, najniższe dno upadku – ciągnął nasz dziennikarz. – To ostatni przystanek przed...

Brzęknęła łyżka, Demian poderwał się, wyleciał z baru. Oho, jak go rozebrało! Świeżak odprowadził stalkera zdziwionym wzrokiem, ni w ząb niczego nie rozumiejąc. Mógł tylko się domyślać, że nie z niego się naśmiewają. Szczerze mówiąc, ja też nie miałem pojęcia, co Demiana tak nagle ugryzło. No to już kto jak kto, ale on, weteran gwiazdowego komando, powinien był się przyzwyczaić do naszych zupełnie niewinnych igraszek słownych.

– Znaczy się jest tak – odezwał się znowu Moniek – Walery, jest pan jeszcze bardzo młody, całe życie przed panem... a ja nie wiem, czy zechce się panu wysłuchać tego, co w kilku słowach może powiedzieć panu stary, schorowany człowiek... Ale powiem tak niech pan po prostu znajdzie pracę. Nie żartuję, niech znajdzie pan miejscowego pracodawcę, on podbije panu zaświadczenie i odcinek ZUS-u... A potem może pan sobie mieszkać gdzie dusza zapagnie, żołnierze z kontyngentów nie będą pytać, co też pana tutaj, pod samo Pogranicze, przywiało. Chociaż dociekliwi to oni są...

– A ja słyszałem, że u was, w Gwieździe, można się zacząć.

– Można. Chociaż u nas się pan będzie nudzić. A poza tym to droga przyjemność...

– Kasę mam! – Honoru mu na razie nie brakowało.

– Cóż, niech spróbuje pan z właścicielem pomówić. Tak czy inaczej, potrzebne będzie panu miejsce pracy albo stałe zameldowanie. To rzecz pierwsza. Wcale nie najtrudniejsza, ale od tego trzeba zacząć. Kiedy da radę pan się na naszym wygwizdowie ogarnąć, będzie można dalej my-

śleć.

– Obiecali mi, że przeprowadzą mnie... tam – wtrącił Walery teatralnym szeptem, ostrożnie.

– „Obiecali”? Jak rozumiem, w Żórze – ze zrozumieniem kiwnął Mońka. – Zaproponowano panu, żeby pochodzić z kimś z weteranów, przyuczyć się do rzemiosła, pewnie, pewnie... Im bezustannie potrzebna jest świeża krew, oj tak..

– Świeże mięso – burknął zza sąsiedniego stolika Kutiaś, który zdążył już przyjąć jakieś trzy sta gramów i wpadł w melancholię. – A młodzi ciągle idą i idą... Pełni nadziei i pychy!

– Gotują ich w żurku, robią z nich wytrychy – dogadałem do ry mu.

Wytrychami w barze Żór nazywali młodziaków, których wysezonowani stalkerzy biorą ze sobą, żeby puszczać przodem w niebezpiecznych miejscach. System jest doskonale znany, ale chętnych do roli wytrycha nie braknie, bo każdemu mile łechce miękkie podbrzusze, jak można się przy weteranie pokazać... a nauka to już tam szybcitko idzie – towarzystwo z Żóru, nie krępując się, łązi w takie przez Boga zapomniane miejsca, że ja tylko anegdoty o nich układam. Chłopcy giną jak muchy, ale kto przeżyje, to Zonę sobie obejrzy od podszewki, tak że i ja bym pozazdrościć mógł... ale jakoś nie zazdrozczę.

– O wytrychach słyszałem – powiedział Walery. – Ja się nie boję.

– Twoja głowa. – Wzruszyłem ramionami. – Komu i gdzie ją wsadzisz, twoja sprawa. Ale proponowałbym zacząć od legalizacji, a nie od puławki. A nie, to jak nasi koczacy bohaterowie, przed patrolami po rowach melioracyjnych będziesz się chować. No, oczywiście, jest w tym pewien specyficzny romantyzm... ale tylko z początku. Potem zaczy na się przejadać i reumatyzm wchodzi, sprawdzone w praktyce.

Od słowa do słowa, Walery przesiadł się do nas, wzięliśmy jeszcze zero pół, chociaż postanowiliśmy sobie, że za dużo nie wolno, bo jutro z Dietrichem mamy umówiony rejs. Wrócił Demian – nie patrząc na nikogo, kłapnął za stół... Jakoś się do niego nie pchali z pocieszeniami – przecież nie dziecko, sam powinien się ogarnąć ze swoimi nerwówkami.

Jako ostatni zjawił się Dima Pustowar – nie jest tu na stałe, ot, dobry znajomy, często się w Gwieździe zaczepia w barze. Do Zony chadzał, czasami nawet bardzo efektywnie, ale jakieś pół roku temu coś w nim pękło. Cóż, zdarza się... Przeważnie powodem jest jakaś trauma fizyczna, duży stres, uraz – i człowieka jakby podmieniło. Dima już więcej nie chodzi za Kordon, ale z naszego światła też odejść nie może. Trzyma się ze stalkerami, dużo pije. Jakis taki się zrobił nalany, zapuchnięty: twarz szeroka, cienkie wąsiki jak dwie sierotki pośród różowego bezmiaru Dimowej facjaty... a oczy smutne. To nie alkoholizm, to zupełnie co innego. My tu przyzwyczajeni jesteśmy do wypędzania radionuklidów wódką, Dima też długo i intensywnie trenował, a teraz organizm domaga się swojej dawki. Jak w tym kawale, kiedy Watson odzywał się Sherlocka od palenia, a teraz sam bez fajki wytrzymać nie może. Tak samo i Pustowar – promieniowania już nie zażywa, ale lekarstwo musi, bo inaczej się źle czuje.

Poza Zoną się Dima nie odnalazł, krąży wokół Pogranicza, wciąż opowiadając o plecaku z ostatnią partią towaru, który rzucił, żeby się ratować. Opowiada chłopakom, ci mu polewają, przytakują – współczują bratu-stalkerowi, każdemu może się coś takiego przytrafić.

Dimka wszedł pomiędzy stoliki przywitać się. On nawet nie prosi, każdy bez słów widzi, że człowiekowi polać trzeba... Przy siadł się do Demiana, ten bez gadania napełnił szklanek, Pustowar zaciągnął swoją zwykłą spiewkę:

– Demianuszka, ty swojak jesteś, ty wszystko rozumiesz, brachu... Sfora na mnie naszła, rozumiesz, psy szły śladem, pewnie czekały okazji. Czarnobylec je prowadził, srogie bydło, rozumiesz, czarny taki, szczecina błyszcząca jak antracyt...

Nikolka zanucił starą piosenkę frontową, całkiem niezłe przerobioną na nasze realia: *Za Kordon, za Kordon...* – teraz to historia stalkera, który po raz kolejny wrócił z Zony, zostawiając

po tamtej stronie drutów przy jaciela.

– ...a ja, rozumiesz, czuję... – przy nudzał Pustowar – czuję ja, bracie, rozumiesz, że jak zacznę wstawać, to psisko czarne, rozumiesz, skoczy na mnie, a z nim i samice, i szczeniaki, rozumiesz... Od razu jak tylko, bracie, łufę opuszczę, to rzucą się na mnie falą, rozszarpią. I leżą ja, rozumiesz, karabin w gotowości, bracie, a plecak za „elektre” poleciał. Jak na złość, rozumiesz, szeroka, rozłożysta taka, rozciągnęła się, sucz jedna, rozumiesz, na betonie. I kątem oka widzę, rozumiesz, mój towar, ale przecież, bracie, psów pilnuję. I czarnobylec ten czarny, przywódca...

A Walerka nasz okazał się być w pełni dorzecznym kołesiem. Romantyk, jasne, ale to mija z wiekiem. Mówiłem przecież, wszyscy kiedyś się tu po raz pierwszy zjawiliśmy, naładowani po czubek głowy bajeczkami o ryzykownym w życiu stalkera. Pod koniec blondyn już tak się rozkręcił, że zaczął nam opowiadać, gdzie można niedrogo skłówać broń i używany sprzęt. Gościu chciał zrobić wrażenie.

– Jest jeden chorąży w ukraińskim kontyngencie, Usaczenko ma na nazwisko – wyszeptał, nachyliwszy się ku mnie. – Już mi go przedstawiono. Naprawdę niedrogo facet bierze! I dla mnie berette...

*Licznik znów zachłystuje się wyciem,  
Wicher świszcze i liść suchy miota,  
I za Kordon odchodzi mój brat.  
Ja zostaję bez brata – sierota...*

– Hej, hej, panie Walery, a dlaczego niby opowiada pan o tym jemu, a nie mnie? – poirytował się Mońka. – Przecież to ja jestem dobry glina, nie on! On jest ten zły! Ślepy, jak ci nie wstyd, popsuleś rolę złego gliny!

Mignęła mi i zaraz zgasła w głowie taka niepokojąca myśl, że właśnie umyła mi coś istotnego... ale przypomniałem sobie, że z Usaczenką już się znamy. Oj, zabawnie pan chorąży wyglądał, kiedy tak strasznie się starał wyglądać porządnie, zapierniczony od stóp do głów śmierdzącym szlamem! Innymi słowy, tamtego wieczora nie dałem rady złapać za ogon wymykającej mi się idei.

*Nie wejdziemy już w nogę do szynku,  
W Zonie ten, co był bratem mym,  
I siedzę sam, łykając żal,  
W górę niesie wspomnieniem się dym.*

– I został towar, oj, oj, Demianik, bracie, jaki towar, towar, rozumiesz, nad towary... Psy mi nogę, rozumiesz, poszarpały, od tamtej pory jeszcze kuleję, a wtedy, rozumiesz, w ogóle... I nie spróbowałem nawet! Zostawiłem cały towar! A plecak rozumiesz, załadowany pod samą górę, czego tam nie było! A ja, rozumiesz, jakbym wiedział, trzy pojemniki wtedy wziąłem, bracie... Wszystkie trzy załadowane pod sam dekiel i leży gdzieś tam mój towar! Leży on tam po dziś dzień, bracie, rozumiesz, Demian, miejsce niechodzone, rozumiesz, pustyńne, nikt tam nie chodzi... I ja bym nie poszedł, rozumiesz, psy zagnały, czarnobylec ten, rozumiesz, czarny...

*Drut kolczasty odgradza nas dziś,*

*A mój brat nie powróci już z Zony.  
A ja nie mogę, dla mnie jeszcze nie czas,  
By ostatnie przekroczyć Kordony.*

– Wypij, Dima, wypij. – Szkoło brzęczy pod ręką Demiana. – Ja cię rozumiem. Każdego kiedyś takie coś czeka, każdego prędzej czy później zły los doświadczy.

– Oj, bracie, dzięki ci... Daj, ja ci, rozumiesz, koordynaty prześlę, gdzie towar zrzuciłem. Mnie, rozumiesz, już tam nogi nie zaniosą, a ty, bracie, silny jeszcze, może dasz radę...

A potem przyszła pora zjechać na boczny tor, żeby jutro van de Meera nie zawieść. Pożegnałem się i uderzyłem do siebie – spać. W plecyc niosło mi się na łzawy moty w frontowy:

*A pamiętasz, gdyśmy szli tak i szli,  
Nad głowami krążyły wciąż wrony.  
Myśleliśmy, że dojść uda się  
Do Prypeci, do serca Zony.*

Nastawiłem budzik PDA na wpół do siódmej, ale obudził mnie nie timer, a stukanie do drzwi. Jak się okazało, stukał Kostik. Opiędzieliłbym go jak burą sukę, ale mordę miał nasz ochroniarz taką poważną, że nawet zacząłem się wybudzać.

– *Slipy, ty toj... niczoho takoho u noczy ne słyhał?*

– A co się stało? – Kojarzyłem z trudem, bo na dobrą sprawę jeszcze nie zdążyłem się obudzić.

– *Wyjdy u zału, tam usi zbyrajucca. I toj, profesora razbudy, a? Kasu naszu htoś ukrav. U zał idy, aha? Zaraz usich zbyru i takoz tam budu. Karoho wże powidomył...*

Szybciutko się oplotałem, ubrałem. Nakładając na przedramię PDA, odłączyłem budzik – zegarek pokazywał kwadrans po szóstej. Po trochu zaczął mi się w głowie rysować obrazek tego, co się mogło stać. To, co Kostik nazwał kasą, raczej było czymś w rodzaju składziku albo magazynu przy hotelu. Grube ściany, porządne zamki, tam trzymaliśmy broń i wartościowe rzeczy mieszkańców hotelu. Mój i van de Meera kontraktowe PMM-y, na przykład. Zawsze przypuszczałem, że bez dy namitu do składziku nie idzie się dostać. Czyli Kostik miał zacząć swój dyżur o szóstej, pewnie to on odkrył włamanie. Nocna zmiana nic nie widziała i nie słyszała... Czy też ktoś ich zapobiegliwie wyłączył z akcji?

Zajrzałem do van de Meera – ten migiem się poderwał, od razu jak zastukałem do drzwi. Przecież nie wiedział nic o kradzieży i z miejsca zaczął się przyodziewać w sprzęt, żeby do Zony ruszać... No, przyszło go zamartwić. Zeszliśmy do baru, tam już zebrali się nasi, więc Dietrich i ja przyszedliśmy prawie że na samym końcu.

Dron prosił, żeby się nie denerwować i poczekać na Goszę – właściciel już jedzie – Dżekson, drugi ochroniarz nocnej zmiany, patrzył w podłogę i milczał, a Kutiak w tym czasie gardłował:

– I żaden artefakt, nie ma takiego artefaktu, żeby bez jednego dźwięku drzwi wypaliło!

Reszta milczała z oczami wbitymi w ziemię. Jakoś niemilo tak czuć się podejrzanym, tym bardziej że sprawa śmierzdząca – swoich ograbić.

– Boazeria się roztopiła – burknął Dron. – I zamek też w cholere przepalony. A ja nic nie słyszałem, Dżekson też. Jaka tam temperatura była – półtora tysiąca stopni? Albo i więcej! Artefakt jak nic. Wy, stalkerzy, nie takie gówna z Zony potraficie znosić!

Na Mońkę aż serce bolało patrzeć – nabierała, ile trzeba było, leczniczych artefaktów i już-już wybierał się do córki jechać. Nawet się wczoraj pożegnaliśmy – tego, tamtego, „z samego rana



ruszamy, możemy się nie zobaczyć”, bo Moniek na miesiąc albo i dłużej zniknie, z dzieciakiem będzie chciał posiedzieć.

– Nie żaden artefakt, tylko mezmody fiłak – zaoponował Kutiak – Ja o takich cudach sły-  
szalem. Sam nie próbowałem ani razu, ale słyshałem.

Weszli Kostik ze świeżakiem Waltherem-Walerym.

– *Zdajęca, usi* – burknął Kostik – *Bo ja w usi dwery pastukał. Nu, hto szczo czuw? Hto szczo  
znaje? Każyć skarijsze... Wikna ta dwery usi cyły, ce htoś yz naszymoh buty.*

– Demiana nie ma – skonstatował Kieszon. – Reszta tutaj.

– Demian chłop obrrotny... – zauważył Kutiak – We wjżkach więcej ode mnie jeszcze robi,  
mógłby coś takiego nakręcić. Kostik, pukałeś do Demiana?

– *Ja zaraz* – kiwnął głową Kostik i zniknął.

Chwilę później zjawił się Gosza. Widać było, że się spieszył, bo wpadł w spodniach od dresu i  
brązowej skórze narzuconej na koszulkę – kurtka po to, żeby laburą po oczach nie świecić.

– No i co? – Kary powiódł po nas wzrokiem. – Który na złą drogę zszedł?

– Demiana nie ma – ponownie stwierdził Kieszon. – Kostik poszedł sprawdzić.

– Zaczekamy – zdecydował właściciel. – Przepraszam, chłopcy, ale dopóki nie wyjaśnimy,  
kim jest złodziej, wszyscy posiedzicie tutaj. Wiem, wiem, niektórzy na rajd by chcieli, ale oko-  
liczności są *forsmajorowe*.

– Nie mogę się spóźnić – niechętnie wymamrotał Walery. – Na jedenastą muszę być na Czar-  
noby lu-4, do tego moja beretta...

– Broń na swoim miejscu – zapewnił Dron. – Przecież oddzielnie zamykam do szafy.

Szafa rzecz jasna pancerna, z pół tony waży. Złodziej nawet sobie trudu nie zadawał, bo niby  
co za broń tutaj, w Gwieździe? Sama taniocha – to, co można zgodnie z prawem przechowywać,  
do tego jeździ z bronią biec, to ciężko i w oczy się rzuca. Oczywiście, że złodziej gotówkę i artefak-  
ty zabrał.

– Znaczą się broń nieruszoną dostaniesz – twardo powiedział Gosza. – I jeśli trzeba będzie, to  
na punkt cię sam podrzucę, wyjaśnię, że z mojej winy spóźniony. Wybacz, chłopcze, ale sam wid-  
zisz, jaka sprawa.

Przyšedł Kostik

– *Demian, sto procentau. Wikno ne zaczyniena, majna niemaje. Ce win. Czerez wikno utyk.*

– Poszedł w Zonę – mruknął Kutiak – Niby dokąd jeszcze?

Gosza zmarszczył brwi.

– Na stałe się chce tam zameldować? Nic nie mówił? Już ja go, sukę, i tam dorwę...

Niektórzy wzruszyli ramionami, inni po prostu przemilczeli. Przyjaciół Demiana nie miał, bo  
jego ciężki charakter mało kto mógł dłużej znieść. Ja sam pamiętam, że jeszcze się wczoraj dziwi-  
łem, że z Pustowarem się dogadywał.

– Artefakty sprzeda... – smutno zajęczał Mońka.

– Sprzeda, fakt. Sprzętu sobie nakupi wypasionego, potem swojego od handlarzy nie wyrwie-  
my – dorzucił Kutiak – Jego szybko dorwać trzeba, póki nie spylił!

– Znaczą się tak... – powoli, z namysłem powiedział Gosza. – Opcja jest taka. Ślepy, panie van  
de Meer! Przecież i tak się na rejs wybieracie? Dacie radę Demiana przechwycić w Zonie?

– Demian to szczywany lis – zauważył Kutiak – No, znajdzie go Ślepy, a dalej co? Nie no, Śle-  
py, znaleźć go znajdziesz, Demian obładowany towarem, szybko nie pobiegnie... ale potem co?

– Kostik z nimi pójdzie – rzucił Gosza i popatrzył na ochroniarza.

Tamten skinął głową, wszyscy spojrzeli na mnie. Ajjj, nie lubię być w centrum uwagi... ale  
co robić? Dziesięć plag egipskich w każdym słowie. Powiem: nie – wszystkich zawiodę. Powiem:  
tak – znaczą pójść na polowanie w Zonę, do Demiana walić z karabinu. Po tym, co on tu nawy-

wijał, po dobroci się sprawa nie zakończy, jak w pysk strzelił... I jeszcze Kostik – chłop z żelaza, ale w Zonie potrzebne jest inne doświadczenie.

– Dla was przez Kordon prosta droga – dodał Gosza. – Uczonego nie będą zatrzymywać, szybko się przeprawicie. Demian stracił dużo czasu, żeby minąć Pogranicze, a wy od razu po drugiej stronie.

– Kostika z nami przepuszczają?

– *Ne turbujsa, Slipy, ja prajdu.*

– Van de Meer, nie ma pan nic przeciwko? Jeśli można, to podrzucę pana do Kuferka, tam pan przeżeka, a potem... No, kiedy będzie już po wszystkim... wtedy po pana wrócę.

Dietrich zrozumiał prawie wszystko. Albo było mu głupio odmawiać po wczorajszym, albo naprawdę ryzyż tak się przejął naszymi problemami, dość, że teraz zgodził się pospiesznie.

– Zgoda, ale stawiam warunek idę z wami. Postaram się nie zawadzać.

Mógłbym z tym polemizować, lecz Kary machnął szybko ręką:

– To dobrej wam Zony. Podwiozę was do samego punktu kontrolnego. To co, komu w drogę...?

Wszyscy odprowadzali nas wzrokiem, gdy kroczyliśmy przez salę. Ja polecałem pierwszy, przecież musiałem jeszcze zabrać sprzęt i inne śmieci. W drzwiach van de Meer pociągnął Kostiką za rękaw, kiedy tamten zwołnił, szepnął mu coś na ucho. Kostik stanął na progu, omiół wzrokiem zgromadzonych i grobowym głosem oznajmił:

– Ajl-bi bek

Dosadnie to powiedział, z uczuciem. Powoli odwrócił się i z kamienną twarzą wyszedł. Minęło może z pół minuty, jak w barze gruchnęła salwa śmiechu. Kawał docenili wszyscy – a jakże by inaczej, skoro poczynając od piątej, każda część „Terminatora” kończy się tym tekstem – w finale, zanim zniknie, żelazny szkieletor zawsze rzuca taką frazą, a nasz Kostik spokojnie mógłby zabrać rolę dowolnemu z licznych „aktorów”, którzy grali główną rolę w cyklu. Ja też się śmiałem, wspinając po schodach – dokładnie takiego żartu trzeba nam było. Dokładnie.

Po drodze milczeliśmy. Ja ziewałem, van de Meer w zadumie przeglądał pliki tekstowe na swoim wypasionym PDA. Gosza siedział ponury, pewno obmyślał plan zemsty – nic innego nie mogło przywrócić Gwieździe nadszarpniętej reputacji, jak tylko pokazowa kaźń publiczna. Jeżeli nie można być pewnym bezpieczeństwa hotelowej kasy, to i całe przedsiębiorstwo jest zagrożone, a status Goszy leży w gruzach. A dla ludzi pokroju Karego status to wszystko, co mają.

– Kary. – Szturchnąłem go lekko.

– Mhmm?

– Gosza, posłuchaj, pomóż ty Mońce. On dzisiaj do córki się wybierał... Potrzeba mu chociaż parę artefaktów. Pożycz mu kasy czy co? Żeby gdzieś kupił.

Oczywiście w innych okolicznościach Gosza nie byłby wniebowzięty, że bywalec jego przybytku kręci swoje interesy na boku, ale przyparto do muru Mońka teraz musiał zdobyć choćby kilka „piórasków” dla dzieciaka. Kwestia życia i śmierci, bez przesady.

– Dobra.

Gosza podjechał pod sam posterunek, zahamował niespełna dwadzieścia metrów od betonowych płyt, ułożonych w poprzek drogi. Wyśiedliśmy i ruszyliśmy we trzech do punktu kontrolnego. Najtrudniejszą rzeczą na tę chwilę wydawało mi się przeprowadzenie Kostika przez Kordon. Jak zobaczyłem UNFOR-owców, to tylko zmełłem przekleństwo w ustach. Rosyjskie naszywki – no, zaraz Kostik do nich poleci, *zahoworyt na ridnaj mouwie...* i dupa blada. Już zacząłem w myślach przeglądać i sprawdzać opcje: nas puszczą, Kostika zatrzymają... wtedy Gosza robi przepustkę, uderza przez swoje dojścia, my w tym czasie łapiemy ślad...

Dzisiaj żołnierzy kontyngentu pokojowego było więcej niż zwykle, a dowodził starszy porucznik – dokładnie tak samo wyrośnięty i mięśniasty, jak i jego podkomendni. Zwróciłem też uwagę

na wyposażenie – chłopcy byli dziś osprzętowani na całego, w hełmach i kombinezonach ochronny ch. Zadnego cwaniactwa, nikt bandany na głowę nie założył.

– Starszy lejtnant Kostromin. – Oficer strzelił obcasami. – Dokumenty poproszę.

Słowa nawet nie zdążyłem powiedzieć, a tu Kostik robi krok do przodu, przedstawia się: „Kostikow!”, i wyciąga do porucznika jakieś papiery. Tamten rzucił okiem, kiwnął i nawet nie spoglądając na nas, poszedł z naszym ochroniarzem gdzieś na bok. Rozmowa trwała parę minut, kiedy Kostik z Kostrominem wrócili, oficer się uśmiechał.

– Taak, pamiętam, że słyszałem o tym mundurze Usaczenki. To ci, znaczy się? No, to dobrej wam Zony!

Prawie się przewróciłem z wrażenia.

– Serdecznie dziękuję i miłego dnia, obywatelu starszy poruczniku! – odpowiedział Kostik dziarsko. Potem odwrócił się do nas. – *Nu szczo, jidemo?*

Kiedy posterunek został daleko za nami, pozwoliłem sobie zapytać:

– Kostik, ty świetnie po rosyjsku mówisz. A dlaczego zawsze po ukraińsku gadasz?

– *Rasijskij ja dobre wyuczyl, bo w rasijskij armiji sluzyl pa kontraktu. Teper ja w Ukraini żywu, jak cywilnyj mieszkanc, i dzierzawnoju mowaju razmaulaju.*

Ten typ człowieka znam doskonale, bo sam tak częściowo jestem – lubię przewrotnie robić na przekór, nie trzymać się ogólnie przyjętych stereotypów. W towarzystwie rosyjskojęzycznym mówić tylko po ukraińsku, ale przy tym wyśmiewać się z „chachłaków”... dobre, dobre. Ja zbyt leniwy jestem, żeby tak skrupulatnie gwałcić zasady, ale Tarasa Kostikowa rozumiem doskonale.

– Jesteście panowie znajomymi, pan i ten porucznik? – odezwał się van de Meer. Obcokrajowca również zaciekał w przyzwytnie tak dalece posuniętej czytelności oficera.

– *Nii, ni znajom. Slipnyj, jak budemo rabyty? Jakim czynam Demjana upoljowyty zbyrajeszsa?*

– A! – Przy pomniam sobie o moich obowiązkach jako przewodnika. – No już, zaraz... Najpierw do mojej skrytki zajrzy my, broń weźmiemy. Skrytka moja... no, teges... nie będę się rozwozić, ale sekret...

– *Ne turbujsa, zberezu twij sekret. Każy dalij.*

– Po Zonie idziemy ostrożnie, ja prowadzący, za mną Kostik Dietrich, pan zamykający. Rozglądając się dokoła, cokolwiek nietypowego zobaczycie – meldować. Rękoma niczego nie dotykać, nogami na nic nie skakać. To pierwsze primo.

Od razu przyjęliśmy szyk, więc dalej poszliśmy gęsiego. Po drodze skręciłem na polankę z dawno mi już znanymi anomaliami, zademonstrowałem Kostikowi, jak działają – cisnąłem kilka śrubek w „elektre” i z bezpiecznej odległości wrzuciłem zgnilkę do „wyżymaczk”. Na świeżaków te przykłady nie zawsze działają, ale lepiej wszystko zrobić jak trzeba, niż potem żałować.

Wróciliśmy na ścieżkę, zaprowadziłem moich towarzyszy do rozwalonego domku i kazałem czekać, a sam ruszyłem za winkiel – do skrytki. Wszystko było na miejscu, całe i nieruszone. Wziąłem AKM dla Kostika, dodatkowo dwa magazynki, dla siebie zwyczajowe MP5, złapałem kilka pakietów medycznych... Po chwili zastanowienia wziąłem jeszcze parę. Demian to niezgorszy zawodnik, kto wie jak się sprawa zakończy. Zabrałem jeszcze kilka kontraktowych konserw z tego, co zachomikowałem ostatnim razem. Zbieraliśmy się na szybko, nie pomyślałem o jedzeniu, a przecież nas teraz jest aż trzech.

– *Ja hadał, szczo ty do witr... – Kostik obejrzał mój arsenał.*

– No bo tak i było – zgodziłem się. – Niejedno jeszcze w sobie skrywam.

– *Dywawazyńny arganyzm! Tabi by na abaronnamu prydprijemstwi pracuwaty...*

– Do zbrojowników ze względu na oczy mnie nie chcieli. Dobra, koniec żartów – naści, piesku, kielbasy... Będiesz naszą główną kolubryną.

Kostik krytycznie obejrzał akam, przeciągnął palcem po pokrywie komory.

– *Ne paważajesz ty zbroju, Slipyj, ne slidkujesz za neju. To i wona tebe ne paważatyme.*

– Dobra, daj spokój, już na pewno ci się palec bardziej nie ubrudził, nie udawaj.

– *Ty szczo, ne służył? Chiba tak za zbrajeju pilnujuć? Eh, Slipyj...*

– Kostik, ja w pułku motopompowym służyłem. Nam broni do ręki nie dawali.

– *A jak że?*

– A jeździliśmy se motorami i mieliśmy ze wszystkich pompę, dlatego się tak nazywaliśmy.

Dobra, dość już o bzdetach. Co do Demiana – na razie nie wiem, gdzie może być i dokąd zmierza. Ale każdy z nas ma w Zonie swoje... no, ulubione miejsce, powiedzmy. Swoje pola anomalii, swoje wychodzone ścieżki, marszruty. Demian nie jest tu wyjątkiem. Patrzyłem kilka razy na PDA, kiedy tu sźliśmy. Szczęś osób idzie tam, gdzie mógłby się pojawić nasz gołąbek, czyli od Kordonu do miejsc, gdzie Demian przeważnie się kręcił. Teraz ruszy my też tam, a po drodze zajrzemy do Kuferka, dopytam się o wieści. Demian mógł równie dobrze część towaru tam zrzucić, bo jemu będzie hurtowy kupiec potrzebny, a tu Chwast jak ulał pasuje. Na razie jasne? Jakieś pytania?

Van de Meer kiwnął głową, a Kostik nieśmiało wyciągnął do mnie rękę z zaciśniętym w niej przedmiotem:

– *Slipyj, a ce ne artefakt?*

Westchnąłem tylko.

– Nie, Kostik, to nie artefakt, tylko stara żarówka, którą ktoś piźgnął do ogniska i ostro przegrzał.

– Oj, skaranie boskie z tymi świeżakami. Wydaje się każdemu, że artefakty wprost pod nogami leżą, a najprędzej to w takim domku, gdzie co drugą noc zatrzymuje się ktoś na popas. – I w ogóle to mówilem przecież, rękoma nieznanych rzeczy nie ruszać! Większość artefaktów jest niebezpieczna sama z siebie. Ile razy żeś widział, że w pojemnikach ochronnych je nosimy?!

Nasz Terminator, nasz stalowy, małutki Kostik okazał się być romantykiem! Artefakt mu żeś i podsuń! Jak dzieciak, no, naprawdę, no. Dorwał się, do Zony trafił...

– No, w drogę.

Po drodze jeszcze kilkakrotnie sprawdzałem na PDA, ile osób idzie w kierunku, w którym mógł podążać Demian. Liczba potencjalnie podejrzanych zmniejszyła się do pięciu, ale nie dałem się zwieść. Po pierwsze, mój komputerek do najmocniejszych nie należy, więc zwyczajnie mogłem przeoczyć czyjś sygnał, po drugie, do sieci podłączałem się bardzo rzadko. Cały wic polega na tym, że nasze maszynki nie są anonimowe, a Demian swoją zabawkę na pewno wymienił na inną, jeżeli zdecydował się wystawić towarzyszy rufą do wiatru. Gdyby tego nie zrobił, to równie dobrze mógłby sobie przyczepić na plecach tarczę strzelecką. A ja mam cały czas ten sam PDA, czyli Demian od razu zobaczy, że się zbliżam – dlatego też nie ryzykowałem zbyt długiego prześadywania online. Jeżeli Demian podłącza się tak jak ja, tymczasowo, to jest zupełnie możliwe, że się mিনিemy w czasie. Właściwie po to szedłem do Brodatego – potrzebna mi była pomoc wykwalifikowanego spesia.

Narzućm niezybt mordercze tempo, żeby Kostik się stopniowo przyzwyczajał, a Dietrich nie za bardzo umęczył. Miałem wrażenie, że z ryżego był nawet niezły piechur, ale w końcu to człowiek poważnie chory i na niejeden sposób się może objawić jego problem. Kiedy idzie się tak powoli, to ryzyko jest też najmniejsze. Dwukrotnie zauważałem na PDA grupy sygnałów, poruszających się prostopadle do naszej trasy, a wtedy zatrzymywałem naszych. Gdyby to był inny stalker i jego wytrychy, to nic takiego; ale z grupą szabrowników lepiej się nie spotkać. Kilka razy za kraków dobiegło nas znajome „o-ho-hoo...”, ale na drodze ślepe psy nie wyłaziły. Pewnie nie widzieliśmy im się jako odpowiednia zagrycha. Po drodze Kostik pytał jeszcze kilka razy, czy przypadkiem nie są artefaktami i pobierane przez niego na poboczu śmieci – jakieś kawałki złomu, brudny plastik.. Jednym słowem – romantyk

Za to van de Meer był jakiś milczący. Aż zapytałem, o czym tak intensywnie milczy. Okazało się, że Dieterich milczy o swojej robocie. Naprawdę zaciekałwio go zachowanie psów tamtej nocy, że strzeżeliśmy we dwóch na drzewie. W sumie mnie też to interesowało, ale nie pora była na przesłuchania uczonych, tym bardziej że jeden z moich podejrzanych ewidentnie zajrzał do Kuferka. Akurat ten moment, kiedy punkt na PDA pokrył się ze znacznikiem Kuferka dość niefortunnie przegapiłem, ale odstęp pomiędzy wejściami na sieć miałem mniej więcej godzinny. Demian mógł spokojnie dobić targu z Chwastem i ruszyć dalej.

A wokół nas rozciągała się Zona – i tylko cisza, szara, spokojna cisza. Niebo się chmurzyło, czasami pokropił drobny deszczyk, a wtedy szmer kropli był wyjątkowo wyraźny. Na zewnątrz, po tamtej stronie Pogranicza, nawet nie zauważasz, jak głośno pada deszcz, stukający po liściach i trawie. Tam jest masa innych dźwięków, najprzeróżniejsze szумы wytworzone przez cywilizację, a tutaj – cisza. Szara wstęga asfaltowej drogi, potrzaskana i poprzerastana szarym, kłującym burzanem ostów i łopianów, szare, na wpół zrujnowane budynki po lewej i prawej, szare betonowe budki przy stanków autobusowych, osmalone i poczerniałe od palonych w nich nocami ognisk stalcerskich postojów... Tu i ówdzie porzucone maszyny w różnym stopniu dewastacji. Niektóre anomalie działają w przedziwny sposób, jak gdyby konserwując stare traktory i przedpotopowe samochody. Bywa i tak, że błyszczący, nieruszony zębem czasu samochodek stoi sobie zaraz obok na wskroś przeżartych rdzą wraków. W kronikach filmowych i programach dokumentalnych już się to wszystko widziało, ale inaczej się to odbiera, widząc na własne oczy, gdy postapokaliptyczny pejzaż rozpościera się przed tobą przy akompaniamencie ponurego świstu wiatru i nienaturalnie donośnego postukiwania deszczowych kropeł. Wicher w ogóle potrafi wydawać tu przedziwne dźwięki, których na Dużej Ziemi się nie zauważa – łomocze połowicznie oderwana blacha na poszy ciu dachu, skrzy pi targana porami wiatru gałązka utkwiona w żelaznym kominie, skrobie po ceglach powy krzywiany mi konarami drzewo, które przebiło się przez ścianę – tylko w Zonie takie rzeczy by wają. I wrażenie to sprawia dziwne, złowieszcze takie.

Moi podopieczni powoli przyzwyczajali się do osobliwych dźwięków i dzikiego pejzażu, zaczęli nawet się odzywać. Van de Meer zainteresował się, jak to się stało, że Kostika przepuścili na punkcie kontrolnym; Taras odpowiedział wymijająco:

– *Maju bahatj doswid, imiju z wijskowymi parazumytysa. Ja w asablywij czasty ni służyl, nas usi poważajuć.*

– Proszę pana, ale przecież...!

– *Profesar, ne beryć u haławu, i mene ne turbujie, zajiwe ce. Ja jim zbrehał, szczo zaraz wykonuju specyjalnu zadaczu, szpyguna pamahaju kontroljuwaty. Spitrabytnyki tyjeji służby, hde ja buł, kalyszny ne bywajuć. Ce ciłkam mażywo, szczo biejca zapasy szoł wykarystały. Nu ot i zaraz takij wypadak, szpygun, tabto.*

– Oho...! – zdziwiłem się całkiem poważnie. – A szpieg u nas niby kto? Demian czy jak?

– *Hto, hto... pan Wandemejer – jewrasajużiłskij szpygun. Pid maskoju uczoaha. A ja z nym – najniatyj chłopczyk, nie moł by niczoha ne znaju, a sam sležu, de win jakuś kawerzu pawynen zrabyty naszij welikij dzierzawi.*

Van de Meer chrząknął znacząco. Muszę przyznać, że również byłem oszołomiony. Niby dziecinnie jakoś tak to brzmi: szpieg i specnazowiec z rezerwy, idący z obcokrajowcem pod przykrywką wynajętego pracownika... Chociaż z marszu potrafiłbym wymienić tuzin filmów z dokładnie identyczną fabułą, ruska telewizja non stop kolor kręci takie barachało. Jeżeli w kinie wszyscy taki bulszit ljąkają bez popitki i bez myślenia, to niby dlaczego teraz miałyby nie zagrać? Ja w sumie filmy rzadko oglądam, a nasz porucznik jeszcze młodziutki był...

– No, nieźle. To ci dopiero fantazja, w Zonie twoja mać! A ja niby kim mam być? – Szybcież przeleciałem w pamięci nieliczne emploty rodzimej produkcji strzelanek – Sprzedawczykiem

czy niewinną ofiarą przewartościowanej intrygi?

– *Use może buty... Slipy, ty nie przejmaj się. Skazy kraszce, czy ce ne artefakt?*

– Nie, Kostik, to po prostu kawałek złomu. Taki z van de Meera szpieg. No dobra, stalkrzy, robimy postój!

Rozłożyliśmy się przy drodze, przegryźliśmy kontraktowego zarcia. Kostik rozłożył i wy czyścił mój akumulator, a marudził przy tym strasznie – wy myślał motopompowym, co broń do takiego stanu rzekomo doprowadzili. No i wielkie mi meczyje, po co pompowemu karabin? Na co komu pułkawa, jak na wozie strażackim ma się całą wielką armatkę i parę tysięcy litrów wody amunicji? Pożaru kulę nie zgasisz, no chyba że płomień rewolucji zdmuchnąć, ale do tego potrzebny snajper.

Van de Meer się nie odzywał – albo przeżywał, że rozszefrowaliśmy jego szpiegowską tożsamość, albo ponownie zliczał swoje anioły. Tak mi się zdawało właśnie, że z początku ryzy miał zamiar wcisnąć swoim ultraklerykalnym zleceniodawcom mniej albo bardziej kiciarskie wyniki, ale odkrył coś istotnego i teraz sam zaciekał się badaniami. Pewnie aż go ręce świerzbiły, żeby włączyć maszynkę, ale trzymał się twardo.

Po odpracowaniu poprowadziłem moich partyzantów dalej. Jako że miałem pod opieką dwóch niedoświadczonych stażystów, to miejsca wybierałem otwarte, mniej lub więcej spokojne. Z tego też powodu szliśmy dłużej, więc do Kuferka dobiliśmy dopiero pod wieczór.

Chmury rozstąpiły się, rozdęte słońce w końcu objawiło nam swe oblicze, a potem schowało się za ruinami. Niebo zrobiło się przejrzyste niebieskie, jasne i niesamowicie czyste. Tak czyste niebo zobaczyć można wyłącznie w Zonie – tutaj nie dymią fabryki, nie plują spalinami rury wydechowe aut... nawet papierosów nie tak dużo się pali. Gdy słońce zaszło, zaczęło szybko się ściemniać, ale już podchodziliśmy do Kuferka.

Brodaty bardzo się z mojej wizyty ucieszył.

– No i jak? Masz?

– Masz swoje płytki i obwody.

– No, to się nazywa robota... Dzięki, Ślepy!

– Dziękuję do garnka nie włożysz. Demian u was był?

– Był, ale krótko. Zrzucił towar Chwastowi i pobiegł dalej. Chyba w końcu mu się pofarciło, cały wór przy włók! A ponury taki chodzi, smętny...

– Aha, pofarciło mu się. Jego towar śmierdzi, bo kradziony.

– Ojoj... A to ci bigos, niech to Zona! Będiesz musiał sprawę z Chwastem porządnie obgadać.

– Kostik, pomówisz z Chwastem?

Ochroniarz kiwnął. On tu jest zaufany człowiek Karego, więc niech i on z Chwastem prowadzi rozmowy dyplomatyczne. Milej pogawędki to tam nie będzie – Chwast, rzecz jasna, nie będzie chciał zwrócić towaru, za który w końcu zapłacił. Demian się spieszył, więc musiał oddać po tanioci, właściciel Kuferka pewnie cały w skowronkach, że niezły interes ukręcił... a tu taka kicha! Paskudna sprawa, jak na to nie patrzeć, więc dokładnie dlatego zdecydowałem się obarczyć nią Kostiką.

– A my się nie spieszymy przy padkiem? – zagadnął van de Meer.

– Nocujemy tutaj, nie będę z wami po ciemnicy w Zonie chodził. Poza tym jest jedna rzecz, którą muszę zrobić. Brodaty, będzie zamówienie ekspresowe.

Mechanik niespecjalnie z zamówienia się ucieszył, bo doskonale rozumiał, że z tak cennego kuryera za dużo zedrzyć mu nie wypada, a babrać się w robocie po tanioci po prostu mu się teraz nie chciało – przyniosłem mu jego elektronikę, więc Brodaty chciał wziąć się za naprawę PDA... ale westchnął tylko, nie odmówił.

– Co tam znowu?

– Po pierwsze, potrzebuję rady, jak możemy Demiana wyśledzić. Po drugie, nie chcę, żeby mnie zauważył, jak do niego podejdziemy. Zrób jakiś szacher-macher z moim PDA, żeby się nie identyfikował w sieci, co? Tylko ustawień koloru mi nie ruszaj, i tak ledwo dałem radę pod mój wzrok ustawić.

– Ślepy, a ty sam nie możesz? – skrzywił się Brodaty. – Przecież to nic trudnego. Albo weź sprzęt od swojego profesorka, widziałem, że ma całkiem niezły.

No, to prawda, PDA van de Meera to pełny odlot. Wszystkim szpiegom takie wydają, no nie?

– Tak, tak, jestem lamer i frajer, sam nie umiem. I PDA van de Meera mi nie pasy, muszę mieć swoje informacje i ustawienia pod moje biedne, schorwane oczęta. Weź zrób, co? Jeśli to takie proste, to długo ci się nie zejdzie.

Mechanik skrzywił się i zaczął marudzić, że niby zajęty jest... No, jasne! Jak „sam se zrób”, to wszystko proste, a jak Brodaty ma się bujać, to nagle okazuje się, że nie takie znowu proste. Wszyscy spece od elektroniki są tacy sami, a Brodaty tu nie jest wyjątkiem. Ale pojęczał, pojęczał, wziął w końcu mój PDA i zaczął zaczeakać w barze. Ruszyliśmy z van de Meerem na kolację, od razu zaatakowałem barmana o amunicję parabellum dla siebie. Po drodze zaś usłyszałem nowy kawał: Wylazi stalker Pietrow za Pogranicze, na Dużą Ziemię. Wraca potem do Zony, opowiada: Chłopy, tam mutantów pełno! Idę nocą, nikogo nie ruszam, nagle podlatują do mnie. Małe, wredne takie, jak snorki, ale bez masek i słabowite takie, w try miga wszystkie położyłem. Nowe mutasy jakieś, nieznanne, a po ludzku gadają lepiej od kontrolera... ale tylko jedno umieją powiedzieć: Wujek, wujek, daj szluga! No, dobra, pytają się kumple Pietrowa, a skąd wiedziałeś, że to mutanty? A ten im mówi: No jak to, przecież na PDA ich nie było widać, znaczy się mutanty...! Żeby barmana nie urazić, udawałem, że mnie to śmieszy, rozliczyłem się za obiad, kupiłem pięćdziesiątkę naboju... PDA! To pierwsza anegdota o stalkerze Pietrowie, w której pojawia się PDA. I nie ja ją wymyśliłem... Aż jakoś niemilo, chociaż dowcip taki sobie, kichowaty. Wcale nie zabawny. Moje lepsze!

Nieco później dołączył do nas Kostik

– No i co, jak poszły rozmowy?

– *Ta nijak... win swaje każe, Chwast cej. Kupyl, hroszy wydal... A ja szczo? Niechaj s Karym sprawy maje. Ty szczoż wyznał, Slipyj?*

– Na razie nic. A co tam, przecież Demiana znajdziemy, niby gdzie miałyby się schować? Mówisz, on hroszy wziął, a nie sprzęt? Znaczy się w najgłębszą Zonę nie polezie. Wyposażenie ma słabiuskie, sam przecież się żalił. W kozackie miejsca z tym swoim dziadostwem nie będzie wlaził.

– *Naliczkaju Demjan uzjał. Slipyj, pasluchaj, szczo ja nadumał. Meni Dron kazał, wony wczaraj dolha razmauljaly, Demjan s Dimkaju tym tolstym, s Pustawaram.*

– No, ja się sam dziwiłem... Do stu burerów, masz rację! Tak jest! Teraz już wiem, gdzie on pójdzie! Rano ruszamy ostro na azymut.

Szybko wyłożyłem towarzyszom swoją hipotezę. Do tej pory po prostu szedłem za Demianem – nawet nie tyle za nim, ile tą trasą, którą zdawało mi się, że nasz złodziejaszek będzie uciekać. Nie miałem nawet czasu pomyśleć, postarać się rozgryźć jego plany. Przecież na coś musi liczyć, coś zakładać? I tutaj przypomniałem sobie jego rozmowę z Pustowarem. Jeżeli gruby zrzucił naszemu koleżance marszrutę z Wysypiska na wschód... Jeszcze do niedawna łatwo się tam przechodziło, ale teraz na wschód od Wysypiska zaczęły się pojawiać dziwne rzeczy, z nieznanym powodów stare ścieżki nagle stały się niedrożne. Nikt nie wie dlaczego, ale poprzesuwały się pola anomalii i strefy napromieniowane. Wcześniej, mając zapas antyradu i relatywnie dobry sprzęt, można było przejść krótszą drogą, a teraz stare trasy były zablokowane i porzucone, a no, wy ch, o ile wiem, jeszcze nikt nie wytyczył. Znaczy się może nasz Demian sobie myśleć, że jeśli

po starym tropie Pustowara prześliznie się bezpiecznym szlakiem z Wysypiska do Ciemnej Doliny, to wszyscy ścigający od razu odpadną, a on wygra sobie niezłe fory. Ponadto zgarnie towar Pustowara i sprzęt, który tamten porzucił. Wszystko to w krótkich słowach wyłożyłem partnerom.

Kostik tylko wzruszył ramionami – dla niego mało wynikało z tej topograficznej tyrazy. Van de Meer podrapał się w głowę, wahając się, stwierdził:

– Ten człowiek, Pustowar, nie sprawia wrażenia doświadczonego stalkera.

– *Ce win zaraz salam pakrytyj, jak swirija...* – wyjaśnił Kostik. – *A ranisze buw niczoha sabi takij chlopczyk, spralnyj.*

– Dima to gość nie w ciemię bity – dorzuciłem. – Pracował w jakimś instytucie naukowo-badawczym, w technice sobie świetnie radzi. Może nie jak Brodaty, ale też niezłe oblaty. Możliwe, że Demianowi pomógł z jego PDA, żebyśmy go w sieci nie poznali.

– No ale jeśli on oszukiwał, jak to się tu mawia... kít wcisnął? A co, jeśli nie ma żadnej marszruty?

– On przecież nie wiedział, że Demian kasę Gwiazdy obrobi. W temacie towaru mógł trochę koloryzować, ale co do marszruty – wątpliwe. Przecież łatwo to sprawdzić. Jutro idziemy na Wysypisko, rozpytamy, czy się tam przy padkiem nasz bohater nie zjawił. Potem posprawdzam dane wszy stkich stalkerów, który ch sobie wczoraj pozaznaczałem na PDA – zostało raptem pięciu. Ten, kto z Wysypiska na wschód zawróci, to będzie właśnie Demian. Inny ch opcji nie widzę.

– *Hosza, zwisna, pawidamył usich* – zauważył nasz Terminator. – *Ale że tilky u naszamu kutku. Jakszczo Demjan z wastoku iz Zony wyslyzne, to ja ne znaju... Slipyj, ty pawidamlejnia Karamu skiń.*

Przy szedł Brodaty, podał mi PDA.

– Twoich danych nie ruszałem, możesz sprawdzić. Demian cię nie da rady rozpoznać.

– Na pewno?

Mechanik wzruszył ramionami.

– A, no tak Brodaty, nie wiesz, czy Demian kupował od Chwasta antyrad?

– *Ja wiedaju* – odezwał się Kostik – *Kupuwał, choc z i niebahato. Uzjau hroszy, a iz znarjaddzja – cilki nabojil do kalasznikawa ta antyradu taho kilka paczak. Nam by takoz antyradu z saboju ne zawazaje uzjaty.*

Antyrad to oczywiście żadna wskazówka, ale lepsze to niż nic. A jako że inny ch planów nie daliśmy rady wymyślić, to zarządziłem ciszę nocną – jutro marsz ku Wysypisku. Wstaliśmy przed świtem, szybko złapaliśmy śniadanie i ruszyliśmy w drogę. Z rana było chłodnawo, wiaterek poruszał gęstą trawę... cisza...

Poprzednim razem pokony waliśmy z Dietrichem tę trasę na pokładzie Chemikowego Maluszka, więc można rzec, że uczony był tu pierwszy raz.

Miejsca tutaj były dziksze niż te, przez które szliśmy wczoraj, więc van de Meer kręcił głowę, wypatrując mutantów. Kostik, jak sądzę, szukał w porastającej pobocza trawie artefaktów... W od dali zawyły psy, na moim PDA pojawiły się jaskrawe punkciki – tak wyglądają wojskowi. Ich sprzęt jest mocniejszy, więc sygnał podaje bardziej wyraźny. Zatrzymałem się, Dietrich i Kostik posłusznie zamarli za mną. Szczekanie psów cichło... potem usłyszeliśmy wystrzały. Karabiny były pewnie, krótkimi seriami.

– Odbijamy w bok – zdecydowałem. – UNFOR-owcy poradzą sobie bez naszej pomocy, a nam spotykać się z nimi nie ma po co.

Aktywność wojaków mi się nie podobała. Wcześniej rzadko się zapuszczali na Wysypisko, więc dlaczego teraz...? I wczoraj na posterunku był większy skład. Chyba nie polują przecież na Demiana?!

Obeszliśmy łukiem miejsce potyczki żołnierzy z mutantami, odgłosy wystrzałów było teraz le-



dwo sly chać; wyciągnąłem PDA, zalogowałem się do sieci, sprawdziłem moich podejranych. W kierunku Wysypiska szło trzech, a najszyszy biu już prawie na miejscu. Z jakiegoś powodu założyłem, że to właśnie Demian. Oj, chciałoby się, żeby to się jak najszyszybciej skończyło, no i fajnie, gdyby tak wspaniały tropiciel jak ja sprytnie przejrzał zamiary uciekiniera. Póki co nie mówilem nic towarzyszom, no bo przecież... A jeśli się mylę? Dopadniemy jakiegoś Bogu ducha winnego obcego stalkera...?

Wstało słońce, od razu zrobiło się weselej.

– *Slipyj...* – odezwał się Kostik – *I ci sabaki – winy toż slipy?*

– Ślepe psy. – Jakoś tak niemiło mi się zrobiło, że Taras połączył moje pseudo z tymi mutantami. – Na wszelki wypadek dwa słowa o nich. Sierść mają czerwono-brązową, łatwo je rozpoznać. Rozmnażają się jak przysłowiowe króliki, trzymają w stadach, atakują hurmem. Najpierw biegają dookoła ciebie, przed samym nosem, rzucają się, miotają... Jeśli masz słabe nerwy, możesz całą amunicję wymarnować, a potem one się na ciebie rzucają całą kupą. Ale w pojedynkę są raczej strachliwe.

Gdzieś niedaleko załopotaly wirniki śmigłowca – wojskowi, bo niby kto jeszcze? Coś się wyjątkowo akty wne ostatnio zrobiły nasze wojska sił pokojowych, dziwne, dziwne...

Zatrzy maliśmy się, wy czekując, ale maszyna nie pokazała się zza drzew, hałas zaczął cichnąć.

– *Aha* – powiedział Kostik

Ruszyłem dalej w drogę, kontynuując wykład.

– Czasami spotyka się pseudopsy, te są ciemniejsze, pyśki mają jakby małpie... Nawet nie wiem, do czego to porównać. Są bardziej masywne i zachowują się inaczej – nie krążą, a od razu się rzucają, skaczą na piersi, żeby zwalić z nóg. Czasem trzymają się razem ze ślepakami, zdarza się, że pseudopsy przewodzą sforze, ale to rzadkość. A psi-czarnobylec – uuu, to już poważniejsza sprawa. Te stwory to telepaci, z nimi jest najtrudniej. Potrafią wziąć pod kontrolę stado ślepaków, iluzje pokazywać...

– Chciałbym móc przeprowadzić obserwacje tego psi-czarnobyleca – westchnął van de Meer.

– Szczególnie przewodzącego stada. To mogłoby znacznie pomóc w moich badaniach.

I potem już za każdym razem, gdy w oddali rozlegało się charakterystyczne wycie ślepych psów, Dietrich wzdychał sobie od serca. Nawet Kostik zwrócił na to uwagę:

– *Ta szo wy użycy hajete, profesor? Ja takóž pastriljał by zaljubky, alje że malczu.*

– Nie jestem profesorem. Jeśli tak bardzo pragnie pan zwracać się do mnie oficjalnie, proszę mówić „doktorze van de Meer”.

– *Ne abrażajtes* – pojednawczo powiedział Kostik. – *Ce u mene wże zwycza, jakszczo wczonyj, to zwemo „profesar”. Ce jak przivyśka.*

– Pseudonim – przetłumaczyłem na wszelki wypadek – Przywykliśmy wszystkim uczonych tytułowac profesorami, panie van de Meer. I nawzajem też się nie po imieniu wołamy, a ksywkami. Na przykład ja jestem Ślepy – bo problemy ze wzrokiem mam. Kostik naprawdę ma na imię Taras, a na nazwisko Kostikow. Albo, no... Gosza! W sensie pan Karczalin, właściciel Gwiazdy – jego wszyscy nazywają Kary. Tak że niech się pan nie obraża za „profesora”, w Zonie tak wszystkim naukowców nazywają.

Van de Meer westchnął znowu – pewnie marzył o czarnobylecach. Jak byłem mały, też chciałem mieć psa... Ale to dawno było, pora, żeby i Dietrich wydorósł.

Muszę przyznać, że trzy małem kurs nieco bardziej na południe od Wysypiska, ponadto w marszu spoglądałem na PDA. I dokładnie w trakcie naszej rozmowy o ksywach ten sygnał, który roboczko przy pisałem do komputerka Demiana, wyszedł ze stalkerskiego obozowiska i ruszył na południowy wschód. Świetnie! Dokładnie tak chciałem – przechwycić właściciela tego PDA na południowy wschód od Wysypiska.

Towarzysze zwrócili uwagę na moją zadowoloną minę.

– *Szczo? Demjana wpyznał?*

– Rozpoznać go i tak nie dam rady – wyjaśniłem, powstrzymując uśmiech zadowolenia. – Ale jakiś stalker ruszył dokładnie tam, gdzie Pustowar obiecywał drogę na skróty z Wysypiska do Ciemnej Doliny. Całkiem możliwe... całkiem... Teraz zejdziemy z trasy, więc koniec gadek, panowie. Droga będzie trudniejsza, a ja chcę Demiana (czy kto tam to będzie) złapać, zanim zagłębi się w niebezpieczne regiony. Antyradu nie mamy za dużo, jeżeli zaczniemy łązić po omacku, to na długo nie wystarczy. I nawet nie o to chodzi, że po omacku, tylko radioaktywnie – a to dla zdrowia niedobrze.

Na wszelki wypadek włączyłem na PDA śledzenie trajektorii podejrzanego – jeśli się spóźnimy, to trzeba będzie iść, starając się powtórzyć jego trasę. Chociaż wolałbym tego nie robić. Ześliśmy z asfaltowej drogi, teraz przemierzaliśmy się po polnych drózkach, czasami robiłem krótkie przejścia na przełaj, ale starałem się nie ryzykować. Z takimi podopiecznymi wszystko może się zdarzyć, lepiej nie dawać im szansy na wykazanie się bogatą fantazją. Poza tym Kostik znowu zaczął *artefakt szukaty* i kilka razy pokazywał mi wszelkiego rodzaju śmieci.

W ogóle z całym tym marszem przez Zonę było straszne zawracanie gitary, bo co chwila musiałem zerknąć przez ramię i sprawdzać, jak tam radzi sobie nasz unijny szpieg i jego osobisty kontrwywiadowca, poza tym trzeba było pilnować trasy – mieliśmy lekki poślizg, do punktu przewidywanego rendez-vous nasz ścigany miał dotrzeć pół godziny przed nami. Pomyślałem sobie, że jeśli to faktycznie Demian, to przecież nie mógł nie zauważyć, że ktoś za nim idzie. Kazałem Dietrichowi wyłączyć jego nadajnik, skręciliśmy jeszcze bardziej na wschód. Demian – jeśli to faktycznie był on – przyspieszył kroku. Teraz już mowa była nie o tym, żeby urządzić zasadzkę na jego szlaku, jak to sobie początkowo wymyśliłem – teraz staraliśmy się, żeby go w ogóle nie zgubić.

Musieliśmy przyspieszyć. Van de Meer wkrótce się zadyszał, więc Kostik, nie mówiąc ani słowa, po prostu zabrał Dietrichowi plecak. Wszystko na nic – ścigany zdążył zapaść w niebezpieczne rejony przed nami.

Szliśmy teraz pomiędzy wzgórzami, liczniki Geigera co i rusz odzywały się trzaskiem, reagując na rosnące tło radioaktywne, trzeba było lawirować, omijając najbardziej skażone miejsca, a te manewry też spowalniały nasz marsz.

Zdążyłem tylko powiedzieć, że facet zaczyna nam się wymykać, a miejsca tu słabo znane – uwaga, rozglądać się, oczy dokoła głowy; ot, czcze ostrzeżenia, tylko dla uspokojenia sumienia... I w tym momencie obcy sygnał zniknął z PDA. Dzieliło nas od ściganego mniej niż kilometr. No cóż, logiczne: jeśli to Demian, całkiem możliwe, że urządzi pułapkę. Towar na sobie ma ciężki, wczoraj mało spał, teraz się umęczyci i nie daje rady trzymać tempa. No i rzecz jasna ma chętkę popatrzeć, kóz to za nim idzie. Na jego PDA widać było tylko jeden sygnał – mój, czyli bać się nie powinien. Zaległ sobie w jakimś wygodnym miejscu, wyłączył komputer i czeka.

No cóż, w takim razie polowanie wchodzi w finałową fazę.

– *Ta ji szczo że rabytymemo?* – zaciękał się Kostik

– No, to ty u nas za eksperta od wojskowości robisz, ty nam powiedz co!

– *Jakszczo by ne w cij Zoni, to wam by skazał tutaczki zaczekaty, a ja by jaho sam, Demjana taho, prichapył... tak Zona że! Potrapysz tut u jakus chaljepu, u anamalyju... Nii, ja ryzykuwaty ne chachu, zajwe ce.*

– Proste i logiczne. Dobrze, że ogarniasz temat, w sensie anomalii. Znaczy się ja to widzę tak jeśli to Demian, to zgasił teraz swój PDA, odszedł kawałek na bok, znalazł pozycję, z której przykryje ogniem punkt, gdzie wyłączył komputer... No i czeka na nas.

Teoria pewna na mur-beton, bo to, o czym mówiłem, było zrozumiałe samo przez się. Dalej

na wschód, tam, gdzie straciliśmy sygnał obcego PDA, zaczynały się wzgórza. Na wierzchołkach prawie łyse, tylko skłony porośłe szarym burzanem. Nie wiem, co leży zakopane pod nimi, ale to ma tam sporo wyższy poziom, to już sprawdzone. Dolinki pomiędzy nimi są praktycznie zupełnie czyste, licznik z rzadka potrząskuje, dna pozarastały lasem – najzwyczajniejszym iglastym lasem. Czyli Demian – o ile to właśnie on – siedzi nie za wysoko na skłonie, tam, gdzie tło radioaktywne nie jest jeszcze zbyt niebezpieczne i gdzie są drzewa, żeby się schować. Ale możliwe są inne warianty. Tak czy inaczej, na pewno spodziewa się, że ten, kto idzie jego tropem, wyjdzie dokładnie na miejsce, gdzie zniknął sygnał PDA uciekiniera.

Kostik poprosił o lornetkę, jakieś dziesięć minut badał parów przed nami, w końcu zawyrokował:

– *Hadaju, można jity. Demjan dali czeka. Nu szczo, teper ja pierszuj?*

– Jeszcze czego. Idź za mną i ubezpieczaj. Jeżeli coś mi się stanie, wychodźcie wedle mojego PDA, tam jest zaznaczona nasza trasa. I nadajcie sygnał ratunkowy. Nie kłóć się, Kostik, tutaj ja wiem lepiej.

„Jeżeli coś się stanie” – to na wypadek, jeśli nie dam rady prowadzić. Potem zwróciłem się do Dietricha:

– Pan z tyłu, van de Meer. I ma pan do zrobienia jedną jedyną rzecz: zapamiętywać drogę, ale zapamiętywać wizualnie, PDA nie włączać.

Naukowiec kiwnął głową twierdząco.

– *Nu, harazd.* – Kostik odsunął się na krok – *Cilki ne szwidko jidy i mene słuchaj, ja budu spasterihaty, czy nemaje de zasidki papeređu.*

Ruszyliśmy w kierunku najbliższego jaru, a kiedy minęliśmy wąskie przejście pomiędzy radioaktywnymi pagórkami, z wolnieniem kroku i ruszyłem dalej już powoli, żeby Kostik nadążał sprawdzając zarośla.

– Dużo kości tutaj – odezwał się van de Meer.

Też zwróciłem na to uwagę, wszędzie dokoła trafiały się resztki w różnym stopniu świeżości, nie tyle całe szkielety, ile porozrzucone kości, często połamane i rozszczerzone. Złowieszcze miejsce. Jak to często bywa w rejonie Wysypiska, anomalie rozłożyły się na zboczach nagich wzgórz, w dolinkach czasami trafiały się „karuzele” i „elektry”, ale rzadko, dzięki czemu mój czujnik świetnie je wyłapywał. Co to były za kości, niespecjalnie się przyglądałem, może i ludzkie... ale rozwłóczyły je na pewno psy. A może szczury? Szczury raczej nie, one wolą rezydować w ruinach, no i przecież aż tak dużych kości by nie rozgryzły.

Nagle mój PDA stracił sygnał. Dopiero co miałem całkiem wyraźny obraz terenu, chociaż z zakłóceniami – ale zakłócenia to rzecz normalna pośród takich wzgórz, przecież tu pod warstwą ziemi pewnie zalegają jakieś mogilniki albo i sieć podziemnych korytarzy komunikacyjnych z mnóstwem starego sprzętu, więc problemy z sygnałem satelitarnym byłyby zupełnie naturalne... Ale żeby tak w ogóle stracić zasięg? Już chciałem o tym powiedzieć reszcie, ale nie zdążyłem.

– *Stajaty!* – półgłosem rzucił Kostik z tyłu.

Posłusznie zamarłem bez ruchu, wpatrując się w zarośla z przodu – podchodziliśmy już do tego punktu pośrodku kotliny, gdzie zgubiliśmy obcy sygnał PDA.

– *Słipyj, dywy liwisze* – szepnął Kostik – *Baczysz, u trawi?*

O, co znaczy dobry wzrok. Dopiero teraz zobaczyłem za krzakami rozplaszczonego w trawie człowieka.

– Wyłączył mi się PDA – stwierdziłem. – To znaczy działa, ale straciłem zasięg z satelity. Van de Meer, niech pan sprawdzi swój komputer.

Maszynka Dietricha też nie łapała sygnału, chociaż pozostałe systemy działały bez zarzutu. Szepłem powiadomiłem towarzyszy, że anomalii przed nami nie ma, a w każdym razie że PDA

ich nie rejestruje. Niezależnie od tego, czy satelita dosyła mapę terenu, detektor anomalii powinien działać. Kostik też szepem powiedział, że trzeba będzie zaryzykować: skoro nie ma anomalii, to on pójdzie pierwszy. I ruszył przez zarośla dzielące nas od polanki z nieruchomym ciałem.

Przedziwna sprawa – kiedy Taras wszedł w krzaki (ruszył dookoła, nieco schodząc z naszej marszruty), gałęzie jak gdyby same powoli i płynnie się rozstępowały, przepuszczając sporą postać Kostika, a potem zamykały się za nim, nie wydając ani jednego szelestu. Ot, co znaczy kozak!

Podeszliśmy z van de Meerem do granicy zarośli i tam się zatrzymaliśmy. Kilukrotnie udało mi się zauważyć jakiś ruch, przesunięcie w cieniach pod drzewami obrastającymi polaną, a potem Kostik, nie kryjąc się, wyszedł na środek otwartej przestrzeni i zawałał nas.

Polanka okazała się nader interesująca – porozrzucone kostki i kawałki szkieletów pokrywały ziemię praktycznie grubym dywanem, trafiały się nawet w miarę świeże, z purpurowymi strzępkami gnijącego mięsa. Kostik nachylił się nad człowiekiem pośrodku polanki, pomiędzy nim a nami leżał nienaturalnie wygięty ślepy pies – na sto procent martwy. Ale świeży, nieruszony jeszcze zębami drapieżników.

– *Slipyj, profesar, jidyć sjudy, dywycca.* – Kostik odsunął się na bok, nie patrząc już na ciało – pilnował zarośli, lufa akaema w jego rękach płynnie przesuwała się to w lewo, to w prawo.

Pochylił się z Dietrichem nad leżącym – Demian! Ucieknier żył, ale nie miał kontaktu z rzeczywiistością – rozebrany do bielizny, nie miał ani sprzętu, ani broni, tylko koszulę i gatkę, porwane w strzępy i przesiąknięte krwią. Stalkera mocno pogryzły psy, ale potem najwyraźniej ktoś je przepędził. I to ten ktoś wykończył jednego psa, podczas gdy reszta uciekała. To było do ślepaków niepodobne – przecież te stworzy są na tyle głupie, że nigdy krwistej zdobyczy nie rzucą, no chyba że w obliczu naprawdę straszego przeciwnika. Kto mógłby je przepędzić...?

– Dietrich, co z nim?

– Żyje. Ale to przedziwne, ten człowiek zdaje się przebywać w jakimś transie. W stuporze.

Demian nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, jego rany okazały się dość płytkie, prawie już nie krwawiły; spojrzenie miał nieobecne, oczy utkwione nieruchomo w jeden punkt. Jednak nie wyglądało to na utratę świadomości, czy Demiana nie zamykały się i nie uciekały, a za to ręce zdrętwiały mu tak, jakby zapałał je skurcz – wyciągnięte w przód przed ciałem.

– Szok pourazowy?

– N-nie... – Głos naukowca zdrzął niepewnie. – Nie sądzę. A przecież nie walczył, gdy szarpały go psy. Tamten pies ma przetrącony grzbiet i zmiażdżoną krtani – brak ran od broni, czy to białej, czy palnej. I samej broni brak.

– W ogóle wszystkiego brak – Wyprostowałem się. – Przepadł nasz towar... Van de Meer, niech pan zajmie się rannym, proszę. Być może dojdzie do siebie i coś nam...

– *Slipyj, tam jakaś ljudynka buła...*

– Jaka znowu ljudynka?

– *Czaławik, niby... Zdarowj takij, sutułyj. Praiszoł za kuszczami, a patim znyk.*

– Gdzie?!

Poderwałem empepiątkę i zobaczyłem, jak kołysze się i rozchodzi drobny mi falami powietrze. Jak wiadomo, daltoniści myślą kolory, ale o wiele lepiej odróżniają odcienie, więc chłepokrwij nie był dla mnie do końca niewidoczny, nawet w swoim trybie stealth – już go widziałem, jak się zbliża, kołyszając się z boku na bok, szykując do ostatniego skoku...

– Jaki tyko zobaczysz, wal w łeb! – krzyknąłem. – Tylko w łeb!

I puściłem serię, prawie nie celując. Trochę spudłowałem, kilka kul trafiło w szeroką klatkę piersiową drapieżnika; nie wystarczyło to, aby go zatrzymać, ale stwór się zdradził – z bólu stracił kontrolę nad funkcją niewidzialności i z wyciem rzucił się na mnie, w biegu rozkładając długie, szponiaste łapy. Strzeliłem – ale tym razem nie trafiłem, Kostik odepchnął mnie ramieniem na

bok, upadłem, zachrząściły pode mną suche kości. Krótka seria z akaemu – i z korpusu krwio pijcy wyrzeliły krwawe gejerki.

– W łeb go! – ryknąłem, waląc serią prawie na ślepo. – W łeeeeeb!

I znowu emocje brały górę – jak głupi wywaliłem cały magazynek Posokowca poszarpałem, ale kule poszły w korpus, a nie w głowę.

Kostik odskoczył, robiąc unik nad jego głową śmignęło długie łapsko spijawy. Van de Meer, który nawet nie zdążył wyciągnąć pistoletu, odleciał na bok Chłeptokrwij zawisł nade mną – ogromny, straszny, ślepia płoną, macki z przysawkami i młocą powietrze...

Huknęła jeszcze jedna seria – sklepienie czaszki stwora eksplodowało krwawymi strzępami, leżącemu zdążyłem się odczołczyć na bok, posokowiec upadł, przygniatając mi nogę.

Wyczołgałem się spod truchła i od razu przeładowałem karabin – dopiero potem zacząłem wstawać.

– *Szczo ce buło?*

Wygląda na to, że Kostik się niespecjalnie przejął – stanął sobie okrakiem nad nieruchomym cielskiem i oglądał potwora. Chłeptokrwij to ciekawy stwór, aż miło sobie popatrzeć... No, jeżeli znajduje się już w stanie unieszkodliwionym, ma się rozumieć. Stojący posokowiec mocno się garbi, ma nieproporcjonalnie długie ręce z potężnymi szponami, ale leżący robi się podobny do muskularnego człowieka – szerokie bary, wąskie biodra. Tu i ówdzie pomarańczową skórę pokrywają czarne, pomarszczone narośla – zregenerowana tkanka, która jeszcze nie zdążyła się zszuszczyć.

– Kostik, juchociąga w łeb trzeba walić, inaczej go nie zatrzymasz...

– *Tak ce toj krawasos...* – mruknął zawiadzionym głosem nasz Terminator. – *A ja stilki czuł pranioh, szczo ce taka bestija, taka bestija...*

Kostikbutem poruszył brązowe cielsko.

– *A czaho tilki u hołowu?*

– Demian nie żyje – stwierdził van de Meer. Potem dołączył do nas i również popatrzył na martwego mutanta. – Ten tutaj *Blutsauger*, eeee... vampih, chłeptokrwij. Żywi się płynami ustrojowymi swojej ofiary...

– Jeszcze zanim ofiara wyciągnie kopyta – dorzuciłem. – Cokolwiek paskudny sposób odżywiania.

Byłem niepocieszony, że Kostik z tak lekkim sercem przyjął zwycięstwo nad jednym z najgroźniejszych stworów Zony.

– To prawdopodobne – przytaknął Dietrich. – Niewykluczone, że ofiara wciąż żyje, gdy chłeptokrwij już się na niej pożywia. A więc, posiada uproszczony układ trawienny, dzięki czemu o wiele silniejsze są pozostałe funkcje organizmu. Niezwykle rozwinięta zdolność regeneracji tkanki, popatrzcie panowie na otwory wlotowe po kulach, już zaczęły zarastać. A mnie najbardziej fascynuje jego zdolność do... eee... robić *unsichtbar*... eee... *invisible*... niewidzialności. Niesamowite. Jaka szkoda, że mózg uległ uszkodzeniu, bardzo ciekawie byłoby go zbadać. Ekstremalnie ciekawie.

– Kula w łeb, inaczej go się nie położy. – Wzruszyłem ramionami. – I po co niby panu martwy mózg?

– Nie jest w pełni martwy – odparł naukowiec. – Poproszę o pański nóż... Popatrzcie panowie.

Uczynony nachylił się nad juchociągiem, jakąś minutę przypatrywał się rozbebeszonej puszcze mózguwej mutanta, a potem ostrożnie dźgnął sztychem noża w krwawo-śliską papkę. Po brym cielsku przebiegł dreszcz, długie nogi drgnęły, pod grubą skórą napięły się węzły mięśni.

– Widzicie panowie sami. – Van de Meer mówił, jak gdyby wykładał na uczelni. – Jego ciało posiada nad wyraz zorganizowany system sterowania. Mózg dowodzi wszystkim! Mógłbym kluc

w pierś, w brzuch, w ten... no... w dupa, ja. Ale reakcja występuje tylko na bodźce dochodzące z mózgu! Prawdopodobnie ma to jakiś związek z jego umiętnością maskowania, tak zwaną niewidzialnością. Ciało zmuszone jest do niezmiernie precyzyjnego działania na każdy, najmniejszy rozkaz mózgu – dlatego też nawet drobne uszkodzenia mózgowiczaszki prowadzą do dysfunkcji całego organizmu, do zaniku funkcji regeneracji, upośledzenia ruchowego... chociaż z medycznego punktu widzenia to ciało wciąż żyje.

– Zaraz, zaraz, panie van de Meer! Myślałem, że cała tajemnica tkwi w wahaniach pola elektromagnetycznego, przecież pan sam mówił! No, przy tej jego niewidzialności... A tutaj wychodzi, że co, on z ciałem coś robi?

– Ślepy, nie mam jednoznacznej odpowiedzi – pamięta pan? „Nie” – to zawsze nie. A „tak” zakłada masę najróżniejszych wariantów. Załóżmy, że jeżeli ten *Blutsauger* jest psionikiem-telepatą, który wysłał nam określony sygnał o tym, że w przestrzeni zajmowanej przez jego ciało nie ma nic, to znaczy, że musi doskonale kontrolować swoje ciało, bardzo dobrze potrafić wyobrazić sobie... ee... swoją... pozycję! Położenie w przestrzeni. Pełna kontrola nad ciałem!

– *Ce use duże cikawa* – burknął Kostik – *Ale z Demjanam szczo? Majno że znykła!*

– No tak, towar zniknął... Van de Meer, a czy chłepokwój potrafi paraliżować ofiarę? Może tak jak pająk coś wstrzykuje, truciznę, jakąś toksynę? Co mówi nam na ten temat nauka?

– Nauka mówi wiele o różnych rzeczach. Istnieje kilka teorii...

Obydwaj towarzysze spojrzeli na mnie wyczekująco. Przecież to moja być wielka indiańska tropiciel, moja wysłedzić Demian...

– N-no dobra. – Zdecydowałem się wyłożyć im swoją wersję wydarzeń. – Słuchajcie zatem, panowie Watsonowie. Było to tak. Demian z jakiegoś powodu wpadł w odrętwienie, stracił kontakt z rzeczy wistością. Pojawiły się psy. Pewnie stado żeruje tu regularnie, stąd te kości dookoła. Psy rzuciły się na stalkera, ale zagryźć go nie zdążyły, bo pojawił się posokowiec. Jednego psa ukatrupił, reszta się rozbiegła. Gotów jestem założyć, że ten posokowiec nawet i Demiana najpierw w jakiś sposób unieszkodliwił. Nie wiem jak – toksyna, psi-oddziaływanie... ale jest jedna subtelność, która do tej wersji i nijak mi nie pasuje.

– *Chabar* – podrzucił Kostik

– Dokładnie. Juchociąg przecież towaru by nie zabierał, a już na pewno nie pieniędzy. Tutaj ktoś był... Ktoś doskonale znający tę okolicę. To on rozebrał Demiana, nawet kurtkę mu zabrał. Psy przyszły potem, zaczęły gryźć sparaliżowanego człowieka, potem pognął je chłepokwój... Ale jednak tu był człowiek i to ewidentnie wcześniej, przed psami. Ale ścigać tego kogoś bez zasięgu na PDA się nie podejmuję. Kostik, ty tu u nas za tropiciela jesteś...

– *Sabaki use zataptały, zatałoczyły... Niczoha ne parobysz.*

– Demiana trzeba pochować, chociaż gnida był – zdecydowałem. – Kostik, zajmij się, okej? Van de Meer, niech pan obejrzy kości – to ludzkie czy są też jakieś jeszcze?

A sam zajmłem się posokowcem. Jego szczękę razem z maczami to świetne trofeum, warte porządny grosz. Skończywszy ze zbieraniem łupów, pomogłem Kostikowi. Pochowaliśmy doczesne szczątki stalkera, ciało przywaliliśmy co większymi kamieniami, jakie dało się znaleźć, złożyliśmy krzyż z gałęzi... na koniec popryskalem mogiłę chemią w spreju, żeby psy nie rozkopały.

Okazało się, że van de Meer wciągnął się w badanie kosteczek, z trudem zdolałszy go od tego oderwać.

– Jest tu wiele różnych rzeczy... – zagaił ogólnikowo Dietrich.

– Dla takich wniosków nie trzeba być naukowcem – zauważyłem.

– Po krótko mówiąc, widzę tu pozostałości co najmniej tuzina ludzi. Najprawdopodobniej jest ich więcej. Występują też kości psie – jest ich duża ilość, liczne fragmenty trudno mi z marszu skłasyfikować.

– *Ce že mutanty, profesar!* – oświadczył Kostik, jak gdyby coś tym wyjaśniając. – *Pijdu teper ja, paszakaju czahoš cikawaha.*

I poszali – po artefakty pewnie. Niepoprawny romantyk!

– Panie van de Meer, jakie wnioski może pan wyciągnąć?

– Jak zwykle – nie mam jednoznacznie wyczerpującej fakty wersji. Nie ma tu sygnału satelitarnego, martwa strefa...

– Ślepa plama – podpowiedziałem.

– Nie wiem, czemu tak się dzieje. Tak czy inaczej, przychodzili tu stalkerzy... Być może tracili rozpoznanie, atakowały ich drapieżniki, potem zwierzęta walczyły o zdobycz. Takie miejsca zawsze przyciągają mnóstwo padlinożerców. Dlatego i psich kości nie brak, po walkach psy były stąd odganiane przez silniejsze mutanty.

– Panie van de Meer, z moich obserwacji wynika, że zwierzęta w Zonie raczej nie dzielą się na drapieżców i padlinożerców... w sumie, nieistotne. Znaczący przybłąkiwali się tu cały czas samotnicy i za każdym razem na tyle niedoświadczeni, że nie mogli stąd wyjść bez sygnału satelitarnego? Trochę dziwne, nie sądzi pan? A co wyłączyło Demiana?

Z krzaków bezszelестnie wyłonił się Kostik.

– *Slipyj, podywyś, czy ce ne artefakt?*

Wziąłem do ręki błyszczący metalowymi krawędziami fragment PDA – przez świeżo wylupaną dziurę widać było upstrzone obwodami i kondensatorami wnętrze komputerka. Na tylnej części aluminiowej obudowy wymalowano markerem litery: DEM... Marker był czerwony, a może zielony... jako daltonista nigdy się nie dowiem.

– *Nii? Nu, ja ta i wyrzyszył, bo duże na zrujnowanyj PDA schože... Tam takoha dabra nawalał, za kuszczami. Cikawe misce.*

„Ou-ho-hou” doleciało skądś z daleka.

– Psy wracają. Van de Meer, może pan podłączyć swoje urządzenie, żeby psy nas nie wychyły?

– To załedwie psy... A co, jeżeli jest z nimi czahnoby lec? Byłoby wybohnie...

– Van de Meer, bydlę z pana! To nie są żarty! Coś przedziwnego się tu dzieje, nie widzi pan? Ludzie tu giną!...

„O-hoo-hooo” rozległo się już trochę bliżej.

– No, trudno... – Van de Meer niechętnie wyciągnął urządzenie, pstryknął przełącznikiem.

Stado odpowiedziało chóralnym skłamaniem – przynajmniej psy poczuły działanie nowego czynnika.

– Trzeba się wycofywać – zaproponowałem niepewnie. – Wynosimy się stąd.

– *Hosza zastaniecca niezadawolienyj.*

Nadstawiłem ucha – psy chyba faktycznie trochę straciły rezon, ale poszczekiwania i wycie stawały się coraz bardziej słyszalne.

– Mam koordynaty tego miejsca, zawsze damy radę wrócić.

Zza krzaków dobiegło urywane ujadanie – jakiś sprytny szczeniak, mniej niż rodzice ufający falom radiowym, już nas poczuł. Teraz na jego skowyt zaczynały zbierać się pozostałe psy.

– Za późno – stwierdziłem. – Tutaj wydajemy bój. Ile damy radę, tyle położymy, potem ruszymy na zachód. Nie ma co się tu zatrzymywać, nocami bywa niebezpiecznie.

Rudo-bure mordy już migwały za krzakami wokół polany. Van de Meer dał ognia, jakiś pies zaskamlał, podskoczył w miejscu i schował się. Stado odpowiedziało wyciem unisono, potem wszystko ruszyło wedle dobrze znanego scenariusza – psy wypadały z krzaków, zdawało się, że już-już rzucą się nam do gardeł... ale za każdym razem pies zawracał, kreśląc koło, a ku nam leciał jakiś inny, albo nawet i dwa.

– Im też najlepiej w łeb – rzuciłem dobrą radę. – Czaszka najslabsza.

Zaterkotał automat Kostika, pies chrząknął i osiadł na ziemi. Pociągnąłem serią po kolejnym, w głowę był trafilłem, ale pociski przetrząciły mu kręgosłup, zwierzak popęzł w krzaki, obficie brocząc krwią.

– Powoli się wycofujemy – zakomenderowałem. – Ja idę pierwszy, Kostik kryjesz tyły... – Kolejna seria, skowyt. – Tylko nie guzdraj się. Van de Meer, pan trzyma się pomiędzy nami, broń nie nadużywać. Pan strzela tylko prawie z przyłożenia, jeśli nasze karabiny nie zatrzymają któregoś by dlaka. Idziemy!

Przedzianie się przez krzaki wokół polany będzie niebezpieczne. Pociągnąłem serią po zaroślach przed sobą i przez siebie się naprzód, po drodze zmieniając magazynek Dietrich sapał zaraz za mną. Kostik został trochę z tyłu, huk jego kałasznikowa zagłuszał pozostałe dźwięki. Minąłem krzaki, magazynek ze szczękiem wskoczył na miejsce, van de Meer stanął zaraz obok, szukając celu. Po tem krótka seria z akaemu, Kostik wyleciał z zarośli, w ślad za nim z gęstwiny falujących gałęzi wychynęły dwa psy – jednego zdjął van de Meer, drugiego ja. Wyszło całkiem niezle.

– Za mną – rzuciłem, podrywając się do biegu. – Teraz szybciej, może je zgubimy.

Mimo że nie lubię biegać po nieznanych miejscach, tutaj gra była warta świeczki. Stado nie ruszyło za nami w pościg – gdy tylko oddaliliśmy się od polanki, psy odpuściły. Juchociąg jest cokolwiek lękowaty dla ślepych psów, jego mięso przypomina drewno... Oczywiście głodne psy i tym by nie wzgardziły, ale teraz pewnie wołałyby coś delikatniejszego. Kilku martwych krewniaków powinno dać im zajęcie, dokładnie dlatego przyjeśliśmy bój na polance.

Van de Meer stanął obok mnie, zmienił magazynek na pełny – chociaż coś mi się widzi, że ze dwa albo trzy naboje tam jeszcze miał. W końcu dołączył Kostik, który wciąż taszczył dwa plecaki – swój i naukowca.

Już-już chciałem powiedzieć, że koniec, hura, udało się, ale w tym samym momencie z krzaków wypadła rozmazana plama szarego cienia, uderzyła Dietricha prosto w piersi i obaliła na ziemię. Przeważnie pseudopsy obwieszczają swój atak odstrasającym chrypieniowarkotem (one akurat nie ujadają, a warczą), ale ten zaatakował w milczeniu.

Kostik zareagował błyskawicznie – uderzeniem kolby zrzucił mutanta z pomarańczowego kombinezonu, pies przetoczył się, poderwał – i wtedy dostał serią z empepiątki. W łeb nie trafilłem, ale kilka pocisków weszło w żyłaste, muskularne cielsko zwierza, pseudopsa znów rzuciło na ziemię, poleciał do tyłu, podnosząc chmurę opadłych sosnowych igieł. Kostik poderwał karabin do oka, ale tu już nie dałem plamy, rozwaliwszy stworowi łeb pojedynczym strzałem.

– Van de Meer, jaktam u pana?

– Wydaje się, że wszystko nohmalnie... Nje przeghyżł kombinezonu. – Akcent Dietricha znowu dał o sobie znać, w końcu nie dziwota – rudy był przecież o włos od paskudnej śmierci.

Zamarudziłem chwilę, żeby odciąć mutantowi ogon – moje trofeum! Chleptokrwija przecież Kostik ustrześlił, jemu się maci należą...

– A teraz wycofujemy się, szybko! Coś mi się tu nie podoba...

Żwawym krokiem ruszyliśmy na zachód. Po jakichś dwudziestu minutach mój PDA ogłosił piskiem, że znalazł sygnał z satelity. Zorientowałem się w terenie, obrałem kurs nieco bardziej na północ – w kierunku stalkerskiego obozu na skraju Wy sy piska.

Kiedy tylko odzyskaliśmy sygnał satelitarny, od razu zrobiło mi się różniej. Niby nic takiego, ale pewnie każdy lubi poczuć się częścią wielkiej maszyny cywilizacji, dotknąć absolutu globalnej sieci i takie tam... Nie dzieliłem się z moimi towarzyszami tą myślą, powiedziałem tylko van de Meerowi, że teraz może śmiało zapalać swój PDA. Rzuciłem jeszcze ni w pięć, ni w dziewięć:

– Stalker Pietrow nie lubił ślepych psów. Bydłeta jedne, mówił, w oczy nawet nie patrzą.

Niebo zaciągnęło się chmurami, a gdzieś niedaleko, poza zasięgiem wzroku, załopotał wirnika-



mi śmigłowiec.

Kostik przekrzywił głowę na bok, wsłuchał się w zmieniający się dźwięk i oświadczył w końcu:

– *Desant wysadył. Może, zustriniemoś.*

Ot, stary trep, szczwany lis. Ja bym nigdy w życiu tak na słuch nie potrafił powiedzieć. I stalker Pietrow, głowę dając, też by nie próbował. Niemniej, gdy przeszliśmy jakieś pół kilometra, na PDA wyświetliła mi się konstelacja jasnych punkcików – żołnierze. Albo najpewniej wojskowi stalkerzy. Dwa gwiazdozbiory ruszyły ostro w naszą stronę.

Pokazałem Kostikowi obrazek konstelacji na monitorze komputerka i zarządziłem przerwę na popas. Wojskowi na pewno się nami zainteresowali i idą po kolizyjnym – ułatwimy im zadanie, i tak przecież nie uciekamy, my w Zonie jesteśmy na pełnym legalu, czego tu się bać?

Zrzuciliśmy plecaki, łyknęliśmy wody, van de Meer naźarł się swoich pigułek. Wojskowi zbliżali się niespiesznie, dwie grupy działały w pełnej synchronizacji, wnosząc po tym, jak pięknie brali nas z dwóch stron. W końcu nas dopadli.

– Stój, bo strzelam! Żadnych gwałtownych ruchów!

– Już ponad pół godziny stoimy tutaj i nie wykonujemy gwałtownych ruchów, nudno się trochę zrobiło – odparowałem. – Panowie, i tak was jak na dłoni widać na PDA. Weźcie wyjdźcie z tych krzaków, pogadamy i wyjaśnimy sprawę.

Z zarośli podniósł się wojenstalker, lufa jego karabinu patrzyła mi prosto między oczy. Jakś tak niemilo.

– No już, dawaj, dawaj – popędziłem bohatera. – Sprawdzajcie papiery i idziemy dalej.

Ale wojenstalkerzy nie posłuchali się mnie, pewnie nigdzie im się nie spieszyło. Odańczyli cały swój przepisowy wojenny balet, a ja od czasu do czasu spoglądałem na skomplikowane manewry, które wyczytniały kropki na monitorze mojego PDA. W końcu żołnierzyki przestali się przemieszczać – rozłożyli się tak, żeby idący ku nam koleżka nie wchodził na linię ognia żadnemu z towarzyszy. W końcu ten odważniejszy dał radę podejść do nas i oświadczył:

– Drugi oddział stalkerów wojskowych. Poproszę dokumenty, przepustki, zezwolenia.

– Dlaczego się pan nie przedstawił? – zaczął ryż swoją klasyczną śpiewkę. – Nazwisko, stopień, numer legitymacji służbowej?

Pomyślałem sobie, że nie pora teraz na przedstawienie, więc powiedziałem:

– Panie van de Meer, przyspieszmy nieco procedurę. Niech pan pokaże oby watełowi wojskowemu swoje listy uwierzytelniające i ruszamy w drogę. To stalkerzy wojskowi, mają nadzwyczajne pełnomocnictwa.

– Bezprawie – burknął uczone, ale zrobił, co chciałem.

Bąłem się, że z Kostikiem mogą być komplikacje, ale jego dojścia działały i tutaj. Wojenstalker połączył się ze swoimi i zaraportował:

– Wszystko w porządku, uczone, z dwoma towarzyszącymi. – Żołnierze podnieśli się z krzaków, ruszyli ku nam – jeszcze trzech, dwóch zostało na stanowiskach. Zupełnie nie rozumiałem idei tych przetasowań, ale szczerze mówiąc, mało mnie to obchodziło.

– Nie wiecie, o co taki szum? – zagadnąłem tego, który sprawdzał nasze dokumenty. – Na posterunku dziś tłok, UNFOR-owcy na pełnym wypasie, w barwach wojennych. Was tutaj zrzucili... Po co wykopaliliśmy topór wojenny?

Tamten obejrzał się, popatrzył na rosnącego towarzysza – pewnie dowódcę. Wojenstalkerzy nie noszą dystrykcji wojskowych, a w ich naszymi się nie wyznają.

– Migracja mutantów – wyjaśnił starszy. – Też mieliście spotkanie?

Wskazał na ogon pseudopsa, wiszący przy moim pasie.

– Tak, zdarzyło nam się. Dlatego musieliśmy przerwać badania, chcemy jeszcze za dnia dojść do Wysypiska.

– No to spadajcie. – Starszy wojenstalker skinął nam głową i drużyna ruszyła dalej – na wschód, tam skąd przyśliśmy. Tamtych dwóch, co się po krzakach chowało, nie wyszło nawet się pokazać. No, znaczy się tak trzeba...

– *Szczoś tutaj je...* – wycedził Kostik – *Migracyji ci. Ta ji cja paljanka z kistkami... Je jakijś zwiazak.*

Nad podziw mądra myśl, ale jakoś nie podążyłem jej śladem.

– Dobra, oddział powstań! Ruszamy w kierunku obozu na cmentarzyśku maszyna. Van de Meer, pan już tam bywał.

– *Ah, ja, ich bin doświadczony stalker. A ci wojskowi – co to za jedni? Nie podlegają strukturom rządowym?*

– Podlegają, ale za pośrednictwem bardzo skomplikowanego mechanizmu. Lepiej z nimi nie zadzierać, są jeszcze gorsi niż stalkery z Powinności.

– Rozumiem, rozumiem... ale czy naprawdę nie da się im dać do zrozumienia, aby znali swe miejsce?

Przemilczałem to. Słońce już chyliło się ku zachodowi, więc ruszyliśmy szybciej, ostatecznie trochę odpoczęliśmy, czekając na wojenstalkerów.

Pewnego razu stalkera Pietrowa zatrzymali wojenstalkerzy, dokumenty kazali pokazywać. Świetnie, akurat amunicji trochę zgarnę, pomyślał Pietrow, ściągając karabin z ramienia.

Ot, tylko ty m mogę się wojenstalkerom odgryźć, tylko na tyle mogę sobie wobec nich pozwolić – na dykteryjkę...

Dietrich cały czas coś burczał po drodze, nie podobały mu się miejscowe porządki. A komu niby się podobają? Rzecz by można – nikomu, i słusznie by się rzekło. Niezadowolenie z istniejącego porządku rzeczy to motor rozwoju. Ale nawet nie o to chodzi, tak naprawdę to sytuacja wszystkim pasuje. Nikt nigdy nie spisywał zasad gry, ale wszyscy je akceptują. W milczeniu. Bez komentarzy.

– *Ta zaspakojtes wże, profesar – nie zdzierzył Kostik – Jakszczo by urjadowci chatyly, cich stałkieril nie buło by u Zoni. Ci że wajenstały by jich prybrały. Alje że stałkiery je. Nawic jakszczo jakis atmarozki wijskovich pastryljajuć, i w takomu wypadku urjadowci cierpljać. Winnych, zwisna, lykwydujuć, alje że tycheńka.*

– I czemu niby tak?

– *Stałkiery patrybni. Wony zbyrajuć nawyny, wykanujuć rizni daruczeńnia, jaki niemażlywa oficjalnym czynam wyryszyty. Jakszczo u Zoni szczoś nowe zjauljajecca, hto perszyj diznajecca? To-to ji wano... Ce tak Hosza kazał. Jaho byznies takoż zaljeżyć wid stałkieril, win znaje, de jaki padraby-ci.*

– Ależ waszych stalkerów trzymają jak.. jak szczury laboratoryjne! – wykrzyknął Dietrich. – Jednego rozerwał chłepokrwij, innego psy zagryzły, a dla waszych urjadowców to tylko nowe doświadczenie na liście!

– Wszystko to prawda – zgodziłem się. – Ale nikt nie wymyślił nic lepszego. Nawet przy wszystkich ich pełnomocnictwach, przy całym ich wyposażeniu, przy całym oficjalnym, a co ważniejsze, przy całym nieoficjalnym wsparciu rządu, wojenstalkerzy nie są w stanie zastąpić prywatnych przedsiębiorców.

– Takich jak pan, Ślepy?

– Ja jestem człowiek mały, puch na wietrze, przeżyć próbuję, jak uda mi się pieniędzy uciułać, to rodzicom wysyłam. Kuzynkę mam przyszwaną, jej rodzicom oddaję, bo ciężko teraz mają.

– Lżej im będzie, jak pana Zona okałeczy?

– Van de Meer, bydlę z pana – skonstatowałem już zwyczajowo.

– Chiba możliwa tak kazaty? – z wyrzutem odezwał się Kostik – Zona use czuje. Jakby ce naza ljudyna skazala, ja za taki sława pa pyci by wże dał... Malczyć, pan Wandemejer, kraszcze malczyć...

Już pogodziłem się z tym, że van de Meer bezustannie urządza jakieś sceny – pewnie przez jego chorobę, dlatego cały czas jest napięty jak struna i tylko szuka pretekstu, żeby dać upust nerwom. Przecież dlatego właśnie zgodziłem się z nim pracować, że to nas akurat łączy – niezadowolenie z dziejowej niesprawiedliwości. No taki Dietrich na przykład – pracował w punktach zapalnych świata, pośród ruskich i ukraińskich najemników, dzikusów-ludojadów. Nosorożców, a jakże. Wszystko zniósł, przez wszystko przeszedł – i masz ci los, zaraził się gdzieś chorobą, która u nas ma opinię hańbiącej. Przecież o chorych na AIDS nawet ja tyle kawałów znam... I w końcu ja też miewam napady mizantropii. Za co mi się taka przypadłość dostała? To nawet nie jest choroba, niby takie małe nic, a i tak jestem normalnie jak niepełnosprawny w świecie ludzi widzących tróchromatycznie!

Przy takich i innych wesołych pogaduszkach czas zleciał niezauważenie i udało nam się bez problemów dojść do obozu na skraju Wysypiska. Przed wejściem na cmentarzysko maszyn wręczyłem Kostikowi prawnie należące mu się trofeum – szczerłą chleptokrwija z wiszącymi przy niej ssawkami – i kazałem przywiesić u pasa. Mnie już tu nie jeden zna, zwykłego ogonka po pseudopsie mi wystarczy, a Taras ma dziś, że tak powiem, wprowadzenie do towarzystwa, pierwszy bal gimnazjalisty. Taka zdobycz przy pasie od razu stworzy odpowiedni wizerunek – dla świeżaka to bardzo korzystne, bo pozwoli uniknąć pewnych nieporozumień. Kostik by najmniej nie odmówił – w końcu to jemu się romantyzmu chciało, nie? No a zwycięstwo nad mutantem, jeśli pomyśleć, nie jest w niczym gorsze od znalezienia artefaktu, nawet bardziej kozackie! Przerzuciłem się powitaniami ze znajomymi, puściłem w obieg nowy kawał o Pietrowie i wojennych stalkerach. Na sercu lżej się zrobiło, rozpaliliśmy ognisko, Kostik poprosił, żeby *skinuty esemesku Karamu*, więc wysmarowałem krótki raport z naszych dokonań. Jasne, Gosza skakać z radości nie będzie...

Kostik zgłosił życzenie poszwendać się po okolicy – a nuż da radę coś ciekawego się dowiedzieć. Dodałem to do raportu: patrz pan, żołnierz Kostikow podąża gorącym tropem.

Towar nie mógł przecież przepaść bez śladu! Pieniądzy w kasie może i było niewiele, na noc tam nikt duży chum nie zostawia, ale Demian (niechmuZonalekkąbędzie) przecież zabrał rzeczy stałych klientów hotelu! Gosza obiecał, że jako gwarant zwróci pieniądze w pełnym wymiarze, w końcu prestiż ważniejszy, bo kto się na noc zatrzyma tam, gdzie kradną?

O, i jeszcze mail do mnie przyszedł – no proszę, Lariska podbija Internet! Dziw nad dziwy... Van de Meer też list dostał – od niejakiego profesora Hołowina z placówki na Jantarze. Naukowiec dowiedział się o nas od wojenstalkerów, więc pan Hołowin wyraził życzenie spotkania się z kolegą van de Meerem, obiecał również podzielić się wynikami badań. Dietrich, klnąc jak szewc, pocztą zwrotną wysłał grzeczną odpowiedź: tak, oczywiście, pokornie dziękuję, przy nadarzającej się okazji naturalnie wpadnę. Domyśliłem się, że okazji raczej nie będzie, ale nie pytałem, w sumie co mi do tego? Może ma takie instrukcje, które mu klerykałowie wypisali? A może najzwyklejsza mizantropia van de Meera rozciąga się też na stosunki z kolegami? Bo to jeden powód może być...

Zbierałem się już iść na stronę, kiedy do naszego ogniska podszedł Pasza Węglarz. Zarośnięty, niedospany, zły, Pasza od razu przeszedł do meritum sprawy:

– Powiadają, żeście byli w tej okolicy, gdzie Bucior zginął?

A ten skąd wie? Pojęcia nie mam. Poprosiłem Kostika, żeby pokazał kawałek PDA z podpisem DEM..., i opowiedziałem, w jakim stanie zastaliśmy nieszczęślika Demiana.

– Znaczący umarł, póki wyście z juchociągami się zmagali?

– Dokładnie. Ale rany od ugryzień nie były śmiertelne, prawda, panie van de Meer?

Ten wzsuszył ramionami.

– Możliwe, że chłepokrwij coś mu wstrzyknął, toksynę jakąś albo jeszcze coś innego. Albo to z powodu szoku pourazowego.

W ogóle w tej historii coś dużo było niewiadomych.

– Nie, drodzy panowie, jeśli zniknął towar, to znaczy, że tam człowiek był, Zona jego mać – twardo podsumował Węglarz – Znajdę gnoja i w „wyżymaczkę” wsadzę... Po kawalku. A gdzie ta polanka ze szkieletami?

Pokazałem na PDA.

– Tam się właśnie komputerek Buciora znalazł niedaleko... raczej kawalek kompa – powiedział Węglarz.

– Tam, no, pomiędzy wzgórzami, tam nie ma zasięgu z satelity – zauważyłem. – Ślepa plama.

– Jak, jak mówisz? Ślepa plama? O, dobra nazwa. Prawda, jest tam takie coś, już mnie uprzedzali. Ale i tak sam pójdę, chcę sprawdzić. Poszukam przejścia do Ciemnej Doliny, na pewno tam jest! I juchociąg stamtąd przelazł, i w Dolinie dużo jest pseudopsów, kiedyś na Wysypisku ich nie było, a teraz pełno. Przylazły z Ciemnej Doliny, nie może być inaczej. Przejście jest, a sygnal nie ma.

– Podrzuciłem pytanie profesorowi Hołowinowi – dodał Dietrich. – W temacie tego zjawiska. Może on da radę coś wyjaśnić.

– Pasza, słuchaj... – Błysnęła mi w głowie interesująca myśl. – A na tej beretce Buciora jaki był numer, pamiętasz?

Debilne pytanie – nie ma Węglarz nic lepszego do roboty, tylko zapamiętywać numer broni znajomego? Chyba że...

– Jaki, jaki... Numery miała przebite, to chyba jasne. Ślepy, jeśli się czegośkolwiek dowiesz...

– Dam ci znać, nie zapomnę – obiecałem. Węglarz to ciekawy typ, w życiu bym nie pomyślał, że potrafi się aż tak zapieć. Bucioirem przecież pomiatał, zawsze krótko go trzymał, pamiętam aż nazbyt dobrze! Chociaż, może i dlatego tak przeżywa, że za życia nie dał mu dobra posmakować. W ogóle dziwne z nas, ludzi, stworzenia.

– *Chłopcy...* – zagadnął Kostik, gdy Pasza odszedł od naszego ogniska. – *A czaho my spaty ne ljahajema? Cilyj deń tudy ji sjudy haniali...*

I nasz Kostik, człowiek z żelaza, Terminator i pogromca posokówców, położył się spatuchny. A ja zacząłem wypisywać maile: do Walerego-Walthera o numer jego beretty i do Lariski z powinszowaniami. Należy odnotować i pochwalić ciężoty dziewczyny do samodoskonalenia, bo jak nie, to jej się szybko znudzi.

Nad ranem zaczęło padać. Kostik, który nie miał porządnego sprzętu, połączył do autobusu, komentując, że *na takomu u dytynstwi jizdył i kantraliorał takoż bajalsa*, tam umościł się na podartym siedzeniu i znowu zachrapał. Van de Meer i ja też przenieśliśmy się do środka, ale już nie na spanie – utrzymywanie kontaktów z ludźmi ma swoją cenę, więc pospołu z ryżem zaczęliśmy przekopywać poranną korespondencję, a zatem wiadomości, które spływały przez noc. Dostałem krótką wiadomość od Goszy:

„Szukajcie. Dla znalazcy – premia. Kostikowi przekaz, że ma tygodniowy urlop z podwójną gażą. Jeżeli przez tydzień nic nie znajdziecie, to niech wraca, potrzebny mi na miejscu”.

Była wiadomość od Walerego – będzie dziś na Wysypisku, za jakąś godzinę, dwie. Jego szef idzie od Pogranicza na północ, przejdą przez cmentarzyisko maszyn, ale na długo nie będą stawać. Numery beretty są zeszlifowane, ale jeśli trzeba, Walery da obejrzeć pistolet.

Dietrich dostał jakieś długie telegramiszczki (nie wytrzymałem, zairzałem mu przez ramię) i ugrzązł w lekturze, przy czym zauważyłem, że kilka razy odpalał na PDA słownik Deszcz bębnił ponuro po zardzewiałym dachu, szeleścił łuszczącą się farbą, napadła mnie chandra i poszedłem połączyć po obozie. Na cmentarzyisku maszyn zebrało się teraz coś koło czterdziestu stalkerów, ale

wiedziałem, że niezadługo naród zacznie rozchodzić się po swoich szlakach. Towarzystwo tłoczyło się pod samorobnymi daszkami, co poniekąd podobnie jak my siedzieli w porzuconych samochodach.

Wymieniłem psi ogon na całkiem porządną płaszcz-pałatkę dla Kostika. Okrycie było mocno rozdarte na boku, więc udało mi się wycygnąć dodatkowo garść nabojów do MP5. Położyłem jeszcze po obozie, próbując przemyśleć naszą sytuację. Do roli Sherlocka Holmesa się nie pchałem, nie mam też odpowiedniego doświadczenia, więc należało urządzić naradę wojenną i stworzyć plan działania. Ponadto nie wiadomo, co powie van de Meer – rudy ma swoje badania, więc nasze problemy mogą mu się okazać zupełnie nie po drodze.

Węglarza zastałem już gotowego do drogi.

– Pasza, propozycję mam: poczekaj do obiadu, będzie przechodził tędy koleżka, który ma beretkę z przebitym numerem, niedawno kupił, na dniach teraz.

Węglarz tylko kiwnął głową, bo co miał powiedzieć? Bo to jedna beretta na świecie? Bo to mało ich w Zonie? I numery mało która ma całe...

Gdy wróciłem, Kostik już wstał – wręczyłem mu łupy bazarowe i przeczytałem odpowiedź Goszy.

– *Ce dobre...* – cmokał zadowolony Taras, mierząc płaszcz. – *Dzakuju duze, Slipyj.*

Wyasygnowałem Kostikowi igłę i dratwę, żeby połatał dziury na boku. Van de Meer oświadczył:

– Otrzymałem odpowiedź od profesora Hołowina – pisze, że stary szlak do Ciemnej Doliny jest zamknięty z powodu bąbli przestrzennych. Słyszeliście o nich, panowie? Fascynujące zjawisko, na razie w zasadzie niezbadane. List zawiera też bardzo przenikliwe wytłumaczenie zaniku sygnału satelitarnego – mówiąc prosto, bąble mogą nie zajmować miejsca w przestrzeni jako takiej, ale ich oddziaływanie jest w pełni materialne; na przykład częściowo odbijają sygnał z satelity. To miejsce, polana z kośćmi, znajduje się w punkcie pomiędzy... ee... to trudno wyjaśnić...

– *Ta każyć jak je* – zaproponował Kostik, wprawnie robiąc igłą. – *Mabuć my nie debiły, szczoż zrazumijemo.*

– Cóż, sam to nie do końca *rozumiju* – przyznał się Dietrich. – To nie mój profil. Najogólniej rzecz ujmując, dolinka z polaną kości znajduje się pomiędzy punktami zaczepienia dwóch bąbli przestrzennych, przy czym położona jest tak, że jest tam dziura, ma miejsce zanik sygnału. Odbite sygnały nakładają się na oryginalny, dochodzący z orbity. Pojawia się interferencja, w dolinie sygnał znika.

– Ślepa plama – z zadowoleniem powtórzyłem swoją nazwę. Bardzo mi się podobała.

– Interesujący fenomen – kontynuował van de Meer. – Nakładają się na siebie fale pochodzące z różnych źródeł – odbite od skłonów wzgórz i punktów zaczepienia bąbli. Dolinka w dużej mierze jedyna na swoim rodzaju. Hołowin radzi trzymać się od niej z daleka.

– *Czamu ce?* – Kostik skończył szew i odciął nić. – *Czamu win tak radyć? Ji szczo tam rabyły ci wojenstały, jaki jamu pra nas hawaryły?*

Dietrich wruszył ramionami.

– Hołowin nic o tym nie pisze. Może nie wie, a może wie, a nie chce powiedzieć.

– *Czujesz, Slipyj, ty taho... widbyj telehrammu Hosze. Niechaj win znajde taho Pustawara, szczoż nam marszrut skinuł. Ce że możliwa?*

Zasiadłem nad listem do Karego, tymczasem przestało padać. Kostik otworzył konserwę, ja wysłałem Goszy *telehrammu*, usiedliśmy do śniadania. Gdy skończyliśmy jeść, Taras zajął się bronią, od razu zabrawszy Dietrichowi i mój pistolet do czyszczenia. W końcu odważyłem się zadać pytanie:

– Van de Meer... co sądzi pan o naszym przygodach?

– Nie wiem, co odpowiedzieć. Jest wiele elementów niezrozumiałych, ale pan Kostik słusznie zauważył, że musimy znaleźć trasę, którą pan Pustowar przekażał Demianowi. Jakkolwiek nieaktualne mogą być te dane z powodu, że tak powiem, ślepej płamy, i tak warto je sprawdzić.

– Pytam, ponieważ oficjalnie jestem pańskim pracownikiem. Zatem...

– Jeden dzień nic nie zmienia. – Ryży machnął ręką. – Mnie samego to zaciekało. W końcu to też badania, prowadzone bądź co bądź w Zonie.

– Gosza, to znaczy pan Karczalin, daje Kostikowi tydzień płatnego urlopu. Można powiedzieć, praktycznie delegacja.

– Słyszałem. No dobrze, panie Ślepy, niech zatem zakłada pan, że ten tydzień macie. Jestem do panów dyspozycji.

– *Ce dobre! Ce sprauźnia dapamoha, jak wano ji je u dobramu tawarystuwi!* – ożywił się Kostik, przysłuchujący się naszej rozmowie. – *Wy, pan Wandemejer, nasza „krysha” jakszczo wy mene rozumijete.*

– Rozumiem – skrzywił się rudy. – Ale gdyby zdarzyła się możliwość zdobycia nieuszkodzonego mózgu chleptokrwija...

Zapisał PDA, co zwolnić mnie z konieczności wyjaśniania Dietrichowi, że ceną za nieuszkodzony mózg mutanta byłoby najprawdopodobniej znaczne uszkodzenie naszych własnych. Sygnał oznaczał przyjscie powiadomienia od Walerego – już się zbliżał, za pół godziny będzie w obozie. Ruszyłem szukać Węglarza.

Rzeczywiście, pół godziny później do obozu weszła grupa, w której ogonie dreptał nasz znajomy. Miałem niejasne podejrzenia, że zamyka pochód tylko na wychodzonych ścieżkach, a w niebezpiecznych miejscach puszczają go właśnie przodem, ale cóż – taka rola wytrycha. Ale to nie moja brocha, wiedział gościu, w co się pakuje. Wyekwipowani byli ci stalkrzy jak na wojnę. Normalnie na trzecią światową – starszy w wojskowym kombinezonie antyradiacyjnym, reszta też w kombinezonach i lekkich panczerkach, z solidnymi giwerami. Nasz młody koleżka osprzętowany był jak cała reszta, tylko szpej miał cokolwiek już znoszony.

Walery ucieszył się na mój widok, podbiegł się przywitać.

– Walery, a to Pasza Węglarz – dokonałem prezentacji. – Bądź tak dobry, pokaż mu swoją beretkę.

– A proszę. Coś nie tak pistoletem?

Pasza wziął broń do ręki, oglądał parę minut.

– Niby jak Buciorowa kłamka... – powiedział w końcu. – Tę rysę pamiętam. Na pewno ta sama.

– Broń kupiłem – oświadczył blondyn wyzywająco. – Uczciwie!

– Dobra, wszystko gra, trzymaj. – Węglarz oddał mu broń. – Nie mam żadnych pretensji, kupiłeś, to i dobrze. Ale z tą beretką mój ziomek chodził... aż się dochodził.

– Walery, ty mówiłeś, że od wojskowego chorążasa ją brałeś, tak? – przyomniałem. – Chorążego Usaczenki?

– Tak, od Usaczenki. – Chłopak odetchnął, już-już gotów był walczyć o swoje prawo do pistoletu. – Chorąży z ukraińskiego kontyngentu. Taki sobie gościu... w średnim wieku...

– Znamy się z twoim Usaczenką, dość świeża znajomość. – Kiwnąłem głową. – Jakby co, to i opisać mogę.

I tu Walerego zawołał prowadzący:

– Zwałek, długo jeszcze? Dość brylowania!

„Zwałek”, znaczy się... takumierają marzenia, młody Waltherze!

– Już lecę... no, dobrej wam Zony! – życzenia wykrzykiwał już w biegu. Lecił za swoimi, tamci szli przez cmentarzyisko pomiędzy rdzewiejącymi kadłubami samochodów – poważni,

groźni mężczyźni z dużymi karabinami.

– Powodzenia, Walery! I jak, Pasza, co powiesz?

– Pójdę teraz do tego jaru, gdzie pochowaliście Demiana. Pokręcę się tam trochę, może co znajdę... No i pozostaje jeszcze ten ukraiński wojskowy.

– Sam nie idź! – zawołałem już Paszy w plecy. – Późno już przecież! Jutro może, razem?!

Węglarz odwrócił się z błady m uśmiechem, machnął tylko ręką.

Gdy wróciłem do naszego autobusu, Dietrich zawzięcie stukał w klawiaturę, zgięty jak paragraf nad PDA. Na rozwalonym, wybebeszonym fotelu przed nim leżały urządzonek elektronicznych, rudy zdążył już wydrukować jakieś grafiki i wykresy – o ile zrozumiałem, listę plików – i nawet pozaznaczał coś w kolumnach czerwonym markerem. A może zielonym. Dla nas, daltonistów, jeden diabeł.

– Cóż tam, panie van de Meer? Kolega Hołowin podzielił się ciekawymi informacjami?

– Hee... niezupełnie.

– A ja już zobaczyłem pański entuzjazm i myślę sobie naiwnie: zaraz nauka zrobi ogromny krok naprzód... Kiedyś stalkera Pietrowa zapytali, do czego są uczeni potrzebni. A on na to: Żeby artefakty na sprzęt wymieniać przy minimum ofiar. Wojskowi najpierw stawiają opór, dopiero potem dzielą się amunicją.

– Hm-m...?

– Mówię, coś ciekawego się panu trafiło?

– No już, już...! Nie chciałem mówić, nie mając pewności, ale to chyba zbyt długo by trwało. Zgłosiłem zapotrzebowanie na informacje pochodzące z naszego archiwum. To znaczy z archiwum Poszukujących. Mają mnóstwo porozrzucanego materiału, nikt się w tych nawarstwieniach nie orientuje. Czasami otrzymują datki informacyjne...

– He, he, dobre! Religijne ofiary z informacji. Ot, jak ciekawie żyć w dwudziestym pierwszym wieku!

– To specyfika Poszukujących Słowa – szukają Wszechmogącego w strumieniach informacji, ale prędkość napływania plików wielokrotnie przewyższa możliwości przerobowe ich archiwistów. Są jacyś ludzie... głównie wolontariusze, ochotnicy, którzy pracują nad biblioteką... Pfff, „pracują”!

Dietrich machnął ręką, podmuch wiatru wywołany gestem przeleciał po kupie wydruków, niespokojnie zaszeleściły perforowane karty cieniutkiego papieru.

– Poszukujący promują datki informacyjne, taką mają politykę. Natomiast ja widzę, że jeżeli przekopać się przez te archiwa, to można tam znaleźć niesamowite rzeczy. A więc wysłałem zapytanie i właśnie otrzymałem hasło dostępu do plików niesortowanych. To... to... Klondike! Eldorado...! Ślepy, wie pan, czym było Eldorado?

Wiem. Coś w stylu Życzeniospelniacza dla stalkerów, ale tego na głos już nie mówiłem. Pewnego razu doszedł stalker Pietrow do Monolitu i cały tydzień nie trzeźwiał.

Ryż znowu wbił wzrok w ekranik PDA.

– Panie van de Meer, a gdzie Kostik? – Dopiero teraz zauważyłem nieobecność naszego Terminatora. Taras zawsze taki cichy, w oczy się nie rzuca, to jest, to go nie ma... póki cicho siedzi, to go nie widać.

– On... eee... – zająknął się van de Meer, nie odrywając oczu od monitora. – Poszedł na spacer.

– Na spacer? Niby dokąd? Po Wysypisku czy jak?

– Panie Ślepy, przecież on mi nie mówi... – Dietrich mówił powoli, jednocześnie wpatrując się w coś wyjątkowo ciekawego na maciupcim ekranie PDA.

– Van de Meer, na wszystkie sakramenty technoreligijnych popaprańców, niech chociaż pan

tu siedzi i się nie rusza! Ani na krok! I z nikim burd nie wszczy na! Żadnych kłótni z miejscowymi!  
Słyszal pan?! Nigdzie i nikogo!

– Przecież nie miałem zamiaru... Ooo! – Najwyraźniej Dietrich natknął się na kolejną nitkę złotego runa.

– Dobra, dobra. Pan siedzi tutaj, a ja po Kostika idę!

Szczerze mówiąc, zestrachalem się całkiem poważnie. Wysypisko to takie miejsce, że w dzień zawsze pełno ludzi, stalkerzy łążą tam i siam, więc można odnieść wrażenie, że jest tu dosyć bezpiecznie. A prawda jest taka, że w tej mrocznej okolicy samych pułapek wystarczy, już o napromieniowanych wzgórzach nie wspominając. Kostik, niech cię Zona ma w opiece! Wyobraźnia już podsuwała mi straszne obrazy – Kostik lezie po jakąś bezwartościową błyskotkę, która mu się zdała *artefakt*, a tam wciąga go i prasuje „wyżymaczką”, rozrywa na strzępy „karuzela”... i z radioaktywnego pagórka leci, podskakując, oderwana ręka, wciąż ściskająca jakieś plastikowe gówno... Oj, romantyk romantyk.. Niech to Zona, żeby tylko nigdzie nie wlaź..

Popędziłem przez opustoszały obóz – czas był akurat roboczy, miejscowi łążą po jarach i dolinkach, szukają, czy coś się nie urodziło w anomaliami na zboczach.

Na przeciwnym końcu cmentarzyska maszyn trafilem na kilku stalkerów, jeden z nich widział Tarasa. Moje strasne domysły potwierdziły się – Kostik wymienił szczękę juhociąga na starusieński PDA i poszedł na wycieczkę, widoczki sobie pooglądać. Znowu zaczęło padać, widoczność od razu spadła. Szare strugi wody pokryły półprzezroczystą powłoką stoki pagórków i sterzczące z ziemi przerdzewiałe żelazne konstrukcje.

Naciągnąłem na głowę kaptur i prawie biegiem poleciałem w kierunku, który mi wskazano. Po niespełna kwadransie znalazłem Tarasa. Nasz ochroniarz spokojnie spacerował sobie pomiędzy wzgórzami, od czasu do czasu stawał, stukał w klawisz PDA, uważnie przyglądał się stokom górrek... jednym słowem, zachowywał się absolutnie spokojnie i rozsądnie – w odróżnieniu od van de Meera, jego chyba gorączka złota nie dopadła. Złapałem oddech, zawołałem:

– Kostik! Kostik!

Tamten odwrócił się, pomachał mi ręką.

Dogoniłem go, pokazał mi nową zabawkę:

– *Dywy, jaku maszynku ja sabi prydybał. Jak tabi? Padabajecca?*

– Maszynka... w porządku. – Faktycznie, agregacik nawet niezły, tak naprawdę lepszy nawet od mojej starowinki. – Oddali ci to za te macaki?

– *Hatilkoju dadał, ale że niebahata.*

– Gotówką? No i ile?

Kostik wymienił sumę – no cóż, całkiem porządna cena. Ograniczyłem się do kiwnięcia – wygląda na to, że Kostik mojej aprobaty nie potrzebował, i tak w cenach był zorientowany.

– I jak ci się Wysypisko widzi?

– *Ta ja ne duże razdywłajusa. Ja zaraz parywniuju, jaka anomalja cimi ziroczkami u kompiutery widabrażena. Na majbutnie, szczoł patim razumyty.*

– Logiczne... ale przecież prosiłem beże mnie się nigdzie nie ruszać.

– *Ta nii, ty niczoha takoha ne kazał.*

Faktycznie, niech to Zona. Byłem pewien, że to się rozumie samo przez się, ale... stalker Piotrow zawsze wchodzi w drzwi, nad którymi stoi napisane „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony!”.

– *Ta ne chwyłjujsa, ja duże abjereżna huljaju. Jak wono zatrikocze, ja zadkuju, jakszczo jakijś wohnik tut zjawycca, ja – mytcju nazad. I pylno dywłjus, niemoł w razwidcy pa minnomu piuiu.*

– Dokładnie tak – Uspokoilem się już zupełnie. – Jak na polu minowym. Długo jeszcze będziesz sobie tak spacerować?

– *A szczo? Je jakis nawyny?*



– Walery tu niedawno przechodził. Pamiętasz, taki chłoptaś u nas w Gwieździe nocował? Dron mu beretę skonfiskował.

– *Biljawyj chłapczyśka? Pamjataju.*

– Pasza Węglarz rozpoznał broń, mówi, że wcześniej miał ją jego znajomy, który przepadł dokładnie tam, gdzie i nasz Demian. Tak w ogóle to tamtego PDA też był na kawałki porąbany.

– *Ot żeż bisowa syła!* – Kiedy Taras zaczął gadać jak zaporoski chłopiec z Sienkiewicza, to zawsze miałem wrażenie, że celowo udaje naiwnego kniołka. – *Ne rozumiju, do czaho tut kampiuterczyki ci raztroszczeny... Slipyj, a pakażesz meni, jak na cij technicy esemesy rabyty? Ja sprabuju Karamu pysmo zaszaty, a?*

Ruszyliśmy w kierunku obozu, po drodze wyjaśniałem Tarasowi kwestie poczty elektronicznej, ale okazało się, że on doskonale sobie z mailami radzi, po prostu przyzwyczaił się do innych komputerów i OS. Van de Meer wyszedł nam na spotkanie z tryumfującym uśmiechem.

– Znalazłem! Panowie, znalazłem mapę z tym fragmentem terenu, który akurat nas interesuje. Skompilowana z danych ze zdjęć satelitarnych, jeszcze przed Drugą Katastrofą! Popatrzcie ty lko!

No, ja jestem ponoć człowiek uczony... w każdym razie tak myśli Lariska, znaczy się z pewnością w porównaniu z moją przyszywaną luzyneczką i jej absztyfikantami to ja jestem technicznie obeznany, że hej... Ale ten zbiór plam, kresek i kółek absolutnie nic mi nie mówił. I to nie o mój daltonizm chodziło, bo plan, który pokazał nam van de Meer, był czarno-biały. Kostik za to pewnym głosem oświadczył:

– *Wijskowyj abiekt! Jakijś radiaprystryj tipa radialakacyjonnoj stancyji abo że szczoś schoże. Czi pidsuliujuca stancyja... ja ne upewnienyj.*

– A może to jest ten, zagłuszacz? – zaproponowałem odważnie. – No, jedna z tych stacji, co zagłuszały sygnał Radia Wolna Europa? Przecież tworzy tę ślepą plamę, sygnał satelitarny odbija!

– *Ne smiszy mene, Slipyj.* – Kostik machnęła ręką. – *Jaka tam hłuszyłka! Każu że, wijskowyj abiekt, ta szcze ji ne samastinyj, tam jakijś prystryj buw raztaszowanyj, jakij lysze dapamiżnyj. Czastyna systemy.*

Spojrzałem na van de Meera – w końcu to Kostik wyznaczył go na unijnego szpiega, znaczy się Dietrich powinien mnie wspierać w temacie antydemokratycznego radiozagłuszacza. Ale uczony pokręcił głową.

– Nie, to niezbyt prawdopodobne, panie Ślepy. Raczej nawet niemożliwe. Na tyle prymitywne urządzenia nie są w stanie zakłócić pracy systemów satelitarnych. Raczej gotów jestem zgodzić się z wyjaśnieniami kolegi Hołowina: interferencja przestrzenna to naprawdę ładna teoria.

Aha, sprawa jasna. Najzwyklejsza zmowa naukowców, gotowych się nawzajem kryć w dowolnej sytuacji.

– A dlaczego w ten cały profesor Hołowin nie powiedział o obiekcie?

– Mógł o nim zwyczajnie nie wiedzieć. – Van de Meer popatrzył na mnie z wyższością, jak na niedouka. – Mógł uznać to za nieistotne. A poza tym nie wolno mu ujawniać takich faktów. Z pewnością podpisał zobowiązanie, gdy otrzymał angaż tutaj, w Zonie.

– *Łoż możywa* – dodał Kostik. On w nasz spór się nie angażował, z zainteresowaniem badając plan. – *Mene insze zacikawyla. Oś, dywycca!*

– A co to za pasczki?

– Podziemne ciągi komunikacyjne – wymamrotał Dietrich. – Również zwróciłem na to uwagę. Nasz tajemniczy złoczyńca może ukrywać się pod ziemią, wychodzić na krótko, zgahniać lupy – tohav... givehy... špej...

Ostatnie słowa ryży wymawiał z silnym akcentem – pilnie uczył się stalkerskiego żargonu, ale

póki co jeszcze trochę wprawy mu brakło. Fajnie będzie posłuchać, jak przeklinać zacznie.

– ...a potem znowu chować się w tej podziemnej stacji radiokolo... loko... Kostik, jak to się nazywa?

– Radar, maływa. Ta zwidki meny znaty? Na pawerchny antenna buła, czy łakatar, czy szczoś takie, tutaczki oś. – Taras dźgnął palcem w jedno z kółeczek – I prymiszczennia dlia abstuhi pid ziemleju. Ot ja ji kažu: radiaprystryj, tamu szczo schoże. A jak wano buło naspraudi... hto zna? Kraszcze dywycca, kudy cej chid wywodyć. Tjahniecca sobi i tjahniecca...

Jańszy pasek dochodził aż do skraju wydruku.

– Można spróbować odnaleźć sąsiedni kwadrat... co prawda nie wiem, ile to zajmie czasu.

– Dzisiaj i tak już nigdzie nie trafimy, przecież zaraz się ciemno zrobi – stwierdziłem. – Van de Meer, pan ogarnie tę mapę, dobrze?

– Tam use demantowana wże – zauważył Kostik – Samij beton zalyszysła, mabuć, ta prawadka. Koly wijskowi roblijać, to prawadka stariczcami zbereżecca. A ot pidzemnij kamunikacyji – ce znacznia cikawisze za radiaprystryj. Napewne tymi chodami i zaraz można skarystacca. I ce ważywa abstawyna!

Zupełnie się nie mogłem się wyrozumieć w tym papiórku z liniami i kołami, w końcu się wkurzyłem i oświadczyłem:

– Stalkerowi Pietrowowi dali mapę tajnych podziemnych laboratoriów. Pomacał i powiedział: No niby w porządku, ale papier strasznie twardy, trzeba będzie długo w rękach miąć, zanim się wykurzysta.

Kostik parsknął, a van de Meer poprosił, żeby mu wyjaśnić, o co chodzi. Po co mapę niby miąć przed wykurzaniem? Jeszcze czego, nosi ze sobą kilka kartonów chusteczek higienicznych, jak niby miałyby zrozumieć wielkiego stalkera Pietrowa!

Na tym rozmowa się urwała. Kostik zabrał się za wystukiwanie, jakto sam ujął, pysma do Karo, Dietrich zajął się swoim Klondike w archiwum Poszukujących, a ja znów ruszyłem na przechadzkę po obozie. Miało się ku wieczorowi, stalkerzy powoli zaczęli wracać, najlepsza pora, żeby pozbierać nowiny. Tak naprawdę to rozmowy przy naszych ogniskach są w kółko te same – kawały, bajki, przesadzone opowieści o tym, kto jaki artefakt złowił, i bardzo przesadzone o tym, kto co widział pośród napromieniowanych wzgórz. Kiedy stalker zabiera się za opisywanie tego, co przez dzień widział, to trzeba zawsze wiedzieć: przegnie. Inaczej nudno by było.

Ale jeśli wziąć poprawkę na przesady, to nowiny przeprowadzić można było do rzeczy następującej: na wschodzie, dokładnie tam, gdzie zginął Demian, widziano wielkie stado psów, a na zachodzie, trochę na południe od trasy na Agroprom, ktoś zauważył dym, tam też były ruchy obcych PDA. Nieznajomi trzymali się w kupie, więc mój komp rejestrował tylko zgrupowanie sygnałów – bez szczegółów. Kto miał mocniejszy PDA, to było widać: siedmiu się tam kręciło. Albo sześciu – tutaj zgodności nie było. Jakoś nikt nie miał ochoty pójść i sprawdzić, gdyż z tamtej strony leżały pola anomalii, przy czym weterani twierdzili, że wraz z ostatnimi emisjami zmieniło się ich rozmieszczenie, więc dawne plany okolicy były już nieaktualne. Naturalnie istnieją przejścia przez ten front anomalii, są nawet i bezpieczne miejscówki, do których wiodą nad wyraz pokręcone trasy. Tam zdarzają się niezłe artefakty, ale chodzić po towar jakoś się nikt nie wrywa, bo to zbyt niebezpieczne. A za to szabrownicy – albo, jakich tu pa prastamu nazywają, bandosy – tam siedzieli jak najbardziej. A raczej ukrywali się po rajdach.

Wcześniej bandytów było tu o wiele więcej, mocno zaleźli za skórę miejscowej braci, więc stalkerzy samotnicy zbrali się kupą (co w ogóle rzadko się zdarza) i wyczyścili okolicę. Przez blisko dwa miesiące bandziorów tu nie widywano, a teraz chyba znowu jakaś banda się wysiała. Stalkerzy porównywali wskazania PDA i szykowali broń – możliwe, że nocą będzie potyczka. Na wszelki wypadek się dogadali, żeby nawzajem poznaczać sygnały PDA, żeby się w ciemności

nie pomylić. Dla mnie podobne sytuacje to zawsze koszmar, nigdy nie jestem pewien, czy czerwony, czy zielony... Szeffostwa w obozie na cmentarzystku maszyn nie ma, wszystkie decyzje podejmowane są ot tak, żywołowo. Kto nie ma ochoty, może nie uczestniczyć, ale niech potem sam sobie w brodę pluje, jeśli nocą przez pomyłkę swoi wpakują mu kulkę.

Jako ostatni, dość późno, wrócił Węglarz. Nie posłuchał mnie, sam polazł. Przyniósł na pasie trzy świeże ogony i pożałił się, że psów za dużo, nie dał rady do końca się tam rozzejrzeć. Mnie powiedział tak „Niby coś jak człowieka tam widziałem, małego takiego, nabitego, mignął mi w krzakach... Ale pewności nie mam. Ja za nim, a jego nie ma. Dosłownie nie człowiek, a juchociąg jakiś niewidzialny, Zona go rąbała”. Potem Węglarzowi opowiedzieli o bandosach, Pasza zajął się PDA, zaczął dostrajać sygnał, a ja wróciłem do swoich, żeby ostrzec o możliwej nocnej rozpiardusze.

Zjedliśmy kolację, przysiadłem nad pocztą. Gosza napisał mi ledwie dwa słowa: „Mońkę wyprawiliśmy do córki, wszystko w porządku”. Z jednej strony, miło było się dowiedzieć, że Kary nie zapomniał o mojej prośbie, z drugiej – teraz wszystkie jego kwestie biznesowe będą mnie omijały łukiem. Kostik ma swój PDA, więc to z nim będzie Gosza wymieniał wiadomości. Spojrzałem kątem oka na Terminatora – Kostik powoli wstukiwał tekst, sapiąc przy tym ciężko. Raport dla Karego, rzecz jasna. Przyszedł też drugi list od Lariski – dziewczyna na nauczyla się używać emotikonkę, więc teraz każdą linijkę kończyła dwukropkiem i zamkniętym nawiasem. Najczęściej trzema, czterema albo pięcioma nawiasami. Larik nadużywała nabytej wiedzy, ale oczywiście jej nie wyśmiałem, wręcz przeciwnie, pochwalilem – no, zuch siostrzyczka, najważniejsze rzeczy już umiesz. Potem przyszło mi do głowy, że Lariska stara się tak odwdziaczyć za przelew: komputer kupiła i opłaciła abonament za Internet – popatrz, jak twoje pieniądze dobrze inwestują. Mądra dziewczucha, od razu mi się to spodobało. Ej, skończysz się van de Meerowi wiza, trzeba będzie zajrzeć do Lariski. Sto lat jej nie widziałem, i ciocię Wiery z wujkiem Sergiejem...

Dietrich odezwał się:

– Zadałem koledze Hołowinowi pytanie na temat jego wiedzy o obiektach wojskowych.

– *Nu i szczo toj kalieha?* – Kostik podniósł głowę i mocno zacisnął oczy. Wychodzi na to, że wpisywanie tekstu okazało się dla niego nadspodziewanie trudnym zadaniem, sam przecież wiem, że od pracy z naszymi PDA z początku oczy bolą.

– Obiecał zasięgnąć informacji. Ponadto zapytałem go o migracje mutantów. Panie Ślepy, a co by było, gdyby tak nocą wyjść z obozu?

– Panie van de Meer...

– Ależ niedaleko, za ledwie po okolicy pochodzić, przy samiułtkim obozowisku. – Rudy podniósł swoje tajemne urządzenie. – Nastawię na tryb zapisu, wyłącznie zapisu. Nie na długo, jakieś dwie godziny? Obiecuję, że nie będziemy podchodzić do anomalii.

Jasna sprawa, jego anomalie nie interesują, wręcz przeciwnie, jego interesują wyłącznie kwiożercze mutasy, które przeważnie wyczuwają anomalie i w niebezpieczne miejsca nie leżą. Mutanty nie potrzebują artefaktów, a za to smacznych, odżywczych uczonych jak najbardziej... A nocą zwierzę się ożywia. O bandziarach już nie mówią.

– Van de Meer, czy pan mnie aby rozumie? Nocą spodziewamy się ataku szajki bandytów. A tak w ogóle sygnał PDA pan przestawił?

– Tak, naturalnie, przestawiłem. Bandycki... a my pójdziemy na wschód od obozu. Pańscy zbóje przyjdą z zachodu, więc nam nic nie będzie grozić.

– Ze wschodu przyszła sfora ślepych psów.

Do naszego autobusu zajrzał Węglarz.

– Ślepy, proponowałeś razem do tej dolinki pójść. Co powiesz na jutro?

Oczy miał Pasza puste, bez wyrazu. I mówił tak płasko jakoś, i pytał, i odpowiadał na tej sa-

mej intonacji. Jak jakiś nienormalny.

Dietrich wziął mnie za łokieć, pokazał palcem na psie ogony, wiszące przy pasku Węglarza.

– Ślepy, niechże zwróci pan uwagę na trofea tego tu pana. Nadal chce mnie pan psami straszyć?

– *Nii, win ne bude liakaty sabakami* – spokojnie rzucił Kostik – *Slipyj, pahadzujsa. Pijdemo razam.*

Wszyscy przeciwko mnie, tak? Oj, nie mam ja szczęścia do moich Watsonów. Prawda taka, że van de Meer miał pełne prawo ciągnąć mnie na spacer, przecież po to właśnie wynajął sobie przewodnika! Dobrze, że się przejął naszymi problemami, uczestniczy w śledztwie, ale tak w ogóle to rudy jest w Zonie w interesach.

– Dobra. – Skinałem głową. – Wasze na wierzchu. Nocą wyjdziemy, ale tylko na godzinę, bo trzeba zdążyć się wyspać. A jutro się wybierzemy do dolinki. A tak w ogóle, Pasza, tam jest porzucony obiekt wojskowy, zbudowany jeszcze przed Drugą Katastrofą w Elekrowni – bunkier, przejście podziemne. Ciekawe, co?

Węglarz bezgłośnie poruszał poszarzałymi ustami – jak starzec; znowu zdziwiłem się, jak bardzo wstrząsnęła nim śmierć przyjaciela. W końcu Pasza odpowiedział:

– Tak ciekawe. Znajdę skurwiela, który Buciora załatwił, i w „wy ży maczkę” wsadzę.

– Już mówiłeś.

– Po kawałki wsadzę.

– To też mówiłeś, Pasza, przecież...

– Od nóg zacznę – podsumował Węglarz. – Dziś nocą też z wami się przejdę, dobra?

Wysypisko nocą wygląda niezmiernie zajmująco, nawet podczas deszczu. A raczej powiem tak podczas deszczu wygląda wyjątkowo zajmująco. Cudaczne sylwetki wzgórz ze sterczącymi tu i ówdzie żelaznymi konstrukcjami ledwo majaczą na tle ciemnogrnatowego nieba, a pionowe strugi deszczu rozmywają kontury. Od czasu do czasu lecąca z nieba woda aktywuje anomalie, rozświetlające szarą okolicę różnokolorowymi ogniami i iskrami. Punktowo budzi się do życia „żarnik”, wyrzucając z siebie kłęby pary – jak gdyby na szczycie radioaktywnego pagórka ożył nagle wulkan. Dźwięki też są przedziwne – trzask anomalii, szmer wilgotnego gruntu, osuwającego się po zboczach, szelesty i stuk, odległe wycie psów. Szept deszczu tłumi dźwięki, zmieniając wszystko w jednostajny pomruk.

Ruszyliśmy na spacer jakoś koło wpół do pierwszej. Dietrich co chwila szeleścił i skrzypiał pałkami mocującymi sprzęt, bo obwiesił się elektroniką jak choinka na Nowy Rok. Tak coś czułem, że się denerwuje – po części na jego podekscytowanie wpłynął fantasmagoryczny pejzaż, po części van de Meer zaciekał się kolejnymi doniesieniami od Hołowina. Profesor pisał, że rejestrują u siebie wzmoczoną aktywność migracji mutantów ku Wysypisku. Jest pewien stały strumień z północnego wschodu Zony, od Elekrowni, gdzie stwory rozmnażają się z wyjątkową intensywnością, ciągnący na południowy wschód, wokół Martwego Miasta, i dalej już na południe. Potem ten strumień rozdziela się – część ku Limańskowi, część przez Ryżę Las... Zwierzynę cały czas odstrzelują stalkerzy, do południowych rubieży Zony docierają zaledwie marne resztki pierwszej fali, więc nowo przybyłe stwory ledwo dają radę kompensować straty miejscowej populacji. Obecnie widoczna była pewna intensyfikacja strumienia migracji we wschodniej części Zony, jednak w Ciemnej Dolinie pogłowie mutantów nie wzrastało.

– Co rozumieć mamy przez intensyfikację strumienia? – zdecydowałem się zapytać. – I czemu wysłano tu wojenstalkerów?

– Nieznaczny wzrost, jak pisze Hołowin, rzędu trzech procent; to drobnostki, prawdę mówiąc, nic poważnego. Jednak naukowcy zwrócili się do armii z prośbą o dokonanie zwiadu. Do tej pory wojskowi stalkerzy niczego nie znaleźli. Powiadomię Hołowina, że mutanty nie pozostają w

Ciemnej Dolinie, a przenikają dalej, zaś dopiero tutaj zatrzymują je stalkerzy. Pańscy znajomi z cementarzy ska techniki skarżyli się, że mutantów jest teraz więcej, prawda?

– Panie van de Meer, a nie lepiej, żeby odwołali swoich siepaczy, co? Szkoda by było lokalnych chłopaków na strzał wystawiać.

– Przekażę koledze Hołowinowi pańską sugestię, jednak boję się, że profesor nie da rady już ukrócić tego bandyckiego procederu.

Co prawda, to prawda. Wojskowi stalkerzy nie podlegają na dobrą sprawę żadnej zwierzchności... No, może z wyjątkiem swych pośrednich przełożonych, którzy mogą wojenstalkerom rozkazywać, ale pewnie nie mając gwarancji co do precyzji wykonania tychże poleceń. Tak ludzie mówią w każdym razie. Czyli jeżeli nawet wojskowych poderwano na życzenie naukowców, to dalszy wpływ na rozwój sytuacji jajogłowi mogą mieć bliski zera.

Kostik i Węglarz milczeli, nie wiem, czy w ogóle słuchali naszej rozmowy.

W końcu stalerski obóz skryły przed nami wzgórza; z przodu widniały ogromniaste, betonowe ruiny jakichś niedokończonych konstrukcji, dalej rysowały się łagodniejsze pagórki. Dolinki pomiędzy wzgórzami porośły sosnowymi zagajnikami, było tam cicho i spokojnie. Oczywiście teraz mało co było z tego widać, tylko błyski anomalii rozświetlały ciężkie zasłony lejącej się z nieba wody. Przeszliśmy na drugą stronę asfaltówki, van de Meer oświadczył:

– Włączam w trybie pasywnym. – Pstryknięcie przełącznika. – Niech się pan nie denerwuje, Ślepy, tylko na odbiór...

– Nu, szczo tam? – zaciękwił się Kostik.

– Wygląda to na sforę psów. Prawie nieruchoma... Żadnych zakłóceń, żadnych ciekawszych mutantów.

– Siedzi tam stado, na wzgórzach się rozłożyły – wtrącił Pasza. – Drobnica, strachliwe toto. Ten stary, suchy dąb im się spodobał, zbierają się i dookoła siedzą, widziałem kilka razy.

– *Jakszczo cej potik s piwnoczi ne pryropycca, nowi sabaki miełkich miscewych prazenuć* – stwierdził Kostik – *Tak zawždy buwaje, mutanty czy zwyczajni chyzaki, a ja wpewnienyj, szczo prazenuć.*

Nikt nic nie odpowiedział; Pasza zapadł w swoją poprzednią apatię, van de Meer kręcił coś przy urzędzonku, a mnie przyszło na myśl, że to dziwny zbieg okoliczności: Gawron, partner Chwasta, ten sam, co przekazywał elektronikę Brodatemu, mówił o trzyprocentowym wzroście zapotrzebowania na PDA; profesor Hołowin z placówki na Jantarze – o trzyprocentowym przyroście migracji mutantów na wschodniej marszrucie. Ciekawy przypadek. W ogóle świat pełen jest dziwnych zbiegów okoliczności, a my żyjemy i nawet ich nie zauważamy. A potem nagle coś się rzuci w oczy i z głowy nie chce wyleźć, wierci, kręci i domaga się wyjaśnienia.

Ale do końca tej wstrząsająco przenikliwej myśli nie zdołałem dociągnąć, bo oto zza wzgórz, za którymi i został obóz, doniosły się echa strzałów. Kostik i Pasza od razu zamarli z bronią przy oku, jak dobre psy myśliwskie wystawiające zwierzynę – pewnie w tej kakofonii słyszeli całą masę ciekawych informacji... a ja nie. Co do van de Meera to trudno cokolwiek powiedzieć, on też wystawił zwierzynę, ale po swoim, bo odwrócił się i wyciągnął w tamtym kierunku antenę zagadkowego urządzenia. Wymiana ognia potrwała może ze dwie minuty, ale raczej nie dłużej.

– Atak odparty – skonstatował Węglarz. – Coś nad wyraz łatwo im poszło.

– *Aha, szczoś duże szwydka.* – Kostik, stary wojskowy wyjadacz, pewnie czekał, że impreza będzie bardziej huczna.

A van de Meer rzucił, patrząc na swoje ustrojstwo:

– Zachowanie człowieka jest znacznie bardziej stochastyczne i niezorganizowane niż w przypadku psów. Żadnej regularności.

– To dlatego, że jesteśmy istotami bardziej zindywidualizowanymi – odparłem poważnie. – I

w mniejszym stopniu kierujemy się instynktem. Stąd też chaoty czność zachowań, która stanowi nadrzędną formę porządku.

A potem sam spojrziałem na mój PDA.

– Uwaga, mamy towarzystwo! Pięć... sześć osób!

Sześć sygnałów zbliżało się od zachodu – co do jednego czystych, bez znaczników, który mi w ramach niedawnej umowy opatrzyli swoje komputerki stalkerzy w obozowisku. Obcy musieli tylko pokonać wąską dolinę pomiędzy wzgórzami, aby wyjść prosto na nas. Jako pierwszy zareagował Kostik

– *To że ja dywilius, zamała strylianiny buło... Slipyj, ty z wuczonym dawaj w ci bietoni rujiny, schawajtesa tam i sydzić tycheńko. Pasza, ty jak?*

– Ja tutaj.

– *Ta nii, krasze nazad widtiahniś troszki. Niechaj wony ne liakajuczysz sjudy iduć. Slipyj, ja szczo kazał? Bieri Wandemejera i czeszy w rujiny! Nu!*

Strzelać się nocą w Zonie – to ci dopiero zabawa! Przedziwne oświetlenie, ograniczone możliwości manewru, do tego jeszcze ciekawostka w postaci sygnałów na PDA. Nie widzisz ani swoich, ani obcych, ale na monitorze niby wszystko wyraźnie pokazane. Pomyślałem sobie, że najlepszym wariantem dla nas byłoby przechwycenie szabrowników przed tamtym wąskim zagajnikiem; bandyci będą musieli przecież zbliżyć się w grupkę, żeby nie wleźć w radioaktywne strefy i anomalie na stokach po lewej i prawej – i wtedy byśmy im zgotowali powitanie... Właśnie to chciałem zaproponować, ale Kostik warknął tak ostro, że wszystkie myśli jakby mi wiatrem zdmuchnęło. Złapałem Dietricha za pomarańczowy rękaw kombinezону i pociągnąłem ku ruinom, nie słuchając jego protestów. Bezwarunkowo wierzyłem w doświadczenie bojowe naszego Terminatora i gotów byłem co do joty wykonywać jego rozkazy. Niedługo dogonił nas Pasza, rzucił w biegu:

– Tylko mi w plecy nie strzelcie, ja się rozłożę z przodu, a wy z lewej i prawej po bokach.

Chodziło mu o to, żebyśmy się eszelonem zaczęli. Pomiędzy ruinami, pośród bloków pokruszonego betonu, przytały się anomalie, więc pozycje mogliśmy znaleźć sobie albo od wschodniej strony, przy hałdzie popękanych płyt, albo od zachodu, skąd właśnie nadchodzili obcy. Węglarz zgłosił chęć przykrycia nas i wzięcia na siebie głównego uderzenia; nawet nie protestowałem, przecież i broń miał Pasza o wiele lepszą od naszej.

Van de Meer aż się rwał do boju, ale ja niemalże przemocą wciągnąłem go za osłonę; ze swoim makarowem dużo by się na taką odległość nawojował...

– Van de Meer, niechże pan nie będzie bydlęciem – przykazałem mu. – Niech pan tu siedzi i się nie wychyla. Pańskie zadanie bojowe to przeżyć!

– Ale przecież...

– Obiecałeś pan się słuchać! Koniec, ja tam z lewej będę! – I pobiegłem szukać dobrej miejscówki.

Poprzez szum deszczu już było słychać donośne pokrzykiwania – bandziorasy wchodzili właśnie do zagajnika, dodając sobie kurażu zawołaniami wojennymi, z grubsza sprowadzającymi się do: „Dawaj, na nich! A my im tam zaraz...!”. Prawdę mówiąc, każdy taki okrzyk był przynajmniej trzy-, czterokrotnie dłuższy, ale składał się w większości z takich wyrażań, za jakie mama by mi w dzieciństwie uszy poodywała. Wypatrzyłem pochyłą betonową płytę, wbiegłem na nią i ległem za resztkami ściany, tworzącej niewielkie stanowisko strzeleckie. Znajdowałem się teraz trochę wyżej od towarzyszy broni. Po prawej nieco do dołu rytmicznie rozbłyskiwały fioletowe ogniki – strumienie deszczówki, ściekającej po betonie, co i rusz aktywowały jakąś anomalijkę.

Umościwszy się na pozycji, zerknąłem na PDA – sygnał Kostika znikł. Żaden stalker, nawet zupełny gołowąs, nie wyłączyłby swojego kompa – bez nawigacji niepomierne rosło ryzyko

wdepnięcia w anomalie albo obciążenia kulki przy *friendly fire*... Pozostawała nadzieja, że Taras wie, co robi.

Jako pierwsi ognia dali bandyci – zaczęli walić na oślep, orientując się po sygnałach PDA. W myślach powinszowałem sobie dobrego wyboru pozycji, gdy kule zaczęły bić w beton poniżej – bandosom do głowy nie przyszło, że mogłem znajdować się te kilka metrów nad poziomem gruntu, PDA pokazuje tylko pozycję w rzucie poziomym. Dietrich i Węglarz mieli nieco gorzej, dookoła nich pewnie już swistały pociski, tym bardziej że jeden albo i dwóch bandytów miało śrutówki. Z takiej odległości zabić tym nie zabijają, ale rozrzuć to ma spory i kryje duży obszar.

Zagrzechotał krótko kałasznikow Pasza, potem jeszcze raz, z prawej sucho trzasnęły wystrzały z pistoletu – stamtąd, gdzie przy czał się Dietrich. Nie chciałem przedwcześnie zdradzać swej pozycji, patrzyłem tylko na PDA, jak przemieszcza się przeciwnik o, przeszli już przez wąski zagajnik rozciągnęli się tyralierą... Niezbyt równo, prawa flankę wysunęła się za bardzo do przodu. Wydało mi się, że w pobliżu anomalii widzę jakiś ruch – i pociągnąłem długą serią, wystrzelivując niemalże pół magazynka. Od razu mnie zauważyli, bo płomień wylotowy z mojej górkę widać było chyba zewsząd, kule zadudniły w betonową ścianę, za którą się chowałem, do wtóru jęku rykoszetów poleciały odłamki. Odczołgałem się trochę w bok i szybciułko zlałem na dół – jakoś nie chciało mi się grać roli ogólnodostępnej tarczy strzeleckiej.

Poprzez trzask i huk wystrzałów doleciał do mnie okrzyk, że (bodajże) „Sokole Oko dostał” – i taka mnie złapała głupawka, że ześlizgując się po mokrym betonie, musiałem powstrzymać głośny rechot. Okazało się, że na nasz fort napadli ci, jak im tam, Komancze... Znalazłszy nowe stanowisko, rzuciłem okiem na PDA i puściłem kolejną serię. Od spazmów tłumionego śmiechu empepiątka podskoczyła mi w rękach – i chyba tylko dzięki temu trafiliem! W odpowiedzi na moje strzały rozległ się cierpiętniczy krzyk, więc dałem ognia jeszcze raz, ale już zapewne mniej fartownie – i znów przyśiadłem za betonowy murem, żeby zmienić magazynek A tu do rzeczy przystąpił Kostik. Trzy razy krótko odezwał się akaem, potem, po sekundowej pauzie – jeszcze raz. I zaległa cisza. Pośród tej dziwnej pustki przebrzmiał jeszcze jeden samotny wystrzał z makarowa z kierunku, gdzie zostawiłem van de Meera. I znów słychać było tylko szmer deszczu i potrzaskiwanie anomalii spod hałdy betonowych belek.

Gapilem się i gapilem na ekranik PDA, wycierałem rękawem i gapilem się dalej – nieoznakowane punkciki, czyli nasi „Indiańcy”, nie ruszały się. Zamarły, tworząc nierówny łuk ze środkiem jakoś z tyłu za naszą kryjówką. Przy spawał tam kto, Irokezów jeden ch...? A potem z tyłu zapaliła się gwiazdka Kostika.

– Nu, szczo! – zawołał Taras. – Niby, usje! Wychodte, chlopцы.

Deszcz, który jakby tylko czekał na nasze zwycięstwo nad czerwonoskórymi, lunął z nową siłą. Wyrzebaliśmy się z ruin i ruszyliśmy ku Kostikowi, którego poki co skrywały siwe strumienie wody; wnosząc po wskazaniach na PDA, obchodził martwych bandytów. Jego sygnał przesuwał się wzdłuż ich linii, na krótko zatrzymując przy każdym z nieoznakowanych punkcików.

– Wo, dywy, a cej szczo żywyj! – doleciało zza deszczowej zasłony.

Nachylił się nad ciałem, Pasza włączył latarkę; ranny leżał skulony na boku.

– Aaa, znamy się – mruknął Węglarz. – To Waśka Sokole Oko, znany skurczy syn.

– Sokole Oko? Serio? A już myślałem, że mi się przesyłało... Idiocyzna ksywa.

Chociaż, jak się tak zastanowić, to połowa naszych ma takie przezwiska, że nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać. Normalne pseudo mamy chyba tylko ja i stalker Pietrow.

Kostik odwrócił bandytę na plecy, rozpiął mu kurtkę.

– Nu, szczo? Zbereżemo ce życcja, a?

Podaliśmy swoją apteczkę, Pasza świecił latarką, Kostik zajął się przewidywaniem ran. Nasz pechowy bandos dostał serię, ale niegroźnie, a kule przeszły na wylot. Van de Meer przytrzymał

sflaczałego Waśkę-Apacza w pozycji siedzącej, Kostik zdecydowanym ruchem rozchełstał mu koszulę (przy czym nie mogłem nie zauważyć, jak nieduży zwitek banknotów przekocował z wewnętrznej kieszeni bandyty do torby Kostika), wbił szprycę z surowicą i zaczął nakładać opatrunkę, dogadując pod nosem:

– *Ce ne maja rabota, Slipyj, ce ty jaho pidbił. Maji usi liezać tycheńka jak nalieżyć...*

– Skoro robota moja, to oddawaj hajs.

– *Jaki że hajs?* – Kostik nie patrzył na mnie, wprawnie przewijając rany.

– Jaki? A taki. Widziałem wszystko.

– *Ty, Slipyj, ne pawynen baczty, bo ty slipyj* – moralizatorsko zauważył Kostik – *Harazd, hroszy nawpił. Papalam, jak wy, maskali, każete: tabi za włącznyj pastril, meni za medycynskie abshuhowywańnia.*

– Sam ty Moskał... – burknąłem.

Taras zakończył zakładanie opatrunków, van de Meer puścił Waśkę, który znowu przewrócił się na ziemię.

– Połączę się z naszymi w obozie – powiedział Węgłarz. – Dam znać Kitajcowi o tym Sokolim Oku.

Kitajec – to ksywka stalkera, który akurat robił teraz za szefa w obozie na cmentarzyisku maszyn. Ochrzcili go Kitajcem, bo zjadł ślepego psa. Przeczekiwał emisję w jakichś piwnicach, przysypało go tam, w pobliżu nie było nikogo, kto by przyśzedł z pomocą, a jemu, jak to zwykle w bajkach bywa, konserwy się skończyły. No i zeżał psa, który mu akurat wpadł do tej piwnicy. Takie i podobne historie przydarzają się cały czas na wyciągnięcie ręki, trzeba by i o Pietrowie coś w tym stylu stworzyć. A na skoro Węgłarz zajął się raportowaniem, to znaczy, że sam odsunął się od podziału łupów, milcząco zgadzając się oddać nam swoją działkę. Tyle że my z kolei musieliśmy taszczyć trupy. Pomiędzy stalkerami funkcjonuje mocno umowny i potwornie skomplikowany protokół dyplomatyczny. Zwlekliśmy – swoją drogą, nie bez pomocy van de Meera – zwłoki w jedno miejsce i zepchnęliśmy do jamy pomiędzy betonowymi płytami. Oczywiście najpierw rozszabrowawszy co się tylko dało cennego... A i tak chabar był marniutki – najwyraźniej banda Sokolego Oka miała lepsze czasy już za sobą. Tylko u Waśki w kieszeni znalazła się „kropła” – taniusie barachło, ale zawsze coś. I jeszcze karabin naszego Sokolego Oka spodobał się Kostikowi, więc wziął go dla siebie, a mój oddał. AKM był mi teraz nie na rękę, ja i tak wolę MP5, lżejsze toto i nie kopie tak strasznie, dla mnie jak znalazł. Niespodziewanie o kałasznikowa poprosił van de Meer, że niby się zna i umie używać. Zgodziłem się, bo czemu niby nie?

– Często przychodziło nam działać z N’Gwamą – zagadał ryży nie wiedząc czemu. – Potężny człowiek, jego ród kontrolował coś około stu sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych ziemi w Republice Środkowoafrykańskiej. N’Gwama własnoręcznie zabił starego szamana, po czym sam został i szamanem, i wodzem. Pilnował, żeby dopełniano wszystkich rytuałów, nawet kilku ludzi rozstrzelał za to, że nie przyszli na obrzędy. I w sumie bardzo przy pominął to balet: mężczyźni z plemienia ustawiali się w krąg i zaczęli tańczyć.

– *Z kałaszkami tancuwały?* – zaciekał się Kostik, który wcześniej niż ja dał radę rozgryźć pokrętne drogi myślenia van de Meera.

– Właśnie tak było. Karabinek AKM wykorzystywano do dwóch modlitw: tańca wojennego i tańca deszczu. Obydwa to tańce męskie, zatem i z bronią: dorośli z karabinami, młodziki przed inicjacją z assagajami.

Skończyliśmy bując się z ciałami i napaarliśmy na betonową płytę, mającą przykryć braterską mogiłę. Węgłarz dołączył do naszej trójki, wspólnymi siłami udało nam się doprowadzić dzieło do końca.

– A dlaczego właśnie wojna i deszcz? – zapytał Pasa, złapawszy już dech.



Dietrich rozkaślał się, wygrzebał z za pazuchy swoje proszki, łyknął garść, popił z manierki, dopiero potem wyjaśnił:

– Ponieważ nic innego się u nich nigdy nie działo, cały czas sucho i gorąco. Jedyną odmianą to deszcz albo wojna, więc z okazji jednego i drugiego tańczyli z karabinami Kałasznikowa. Żeby wyrazić w ten sposób szacunek i wdzięczność. To zresztą też N'Gwama wymyślił.

Nawet już nie dopytywałem, dla kogo ten szacunek i wdzięczność – dla Michaiła Timofiejewicza Kałasznikowa? Czy wojny i deszczu? Zamilkliśmy, potem Pasza odezwał się do Kostika:

– No, hardkor z ciebie. Z początku nie ogarnąłem, co chciałeś zrobić.

– *Niczoha takoha ja ne zrabył. Pasydył tychesieńko, paki wony na was ne pijszli, razdywylsya, chto hde... a patim szwydenka usih prystriliał.*

No, to akurat rozumiałem – znalazł sobie Kostik ciche, spokojne miejsce łąkowe, posiedział, przeczekał, jak bandziory szły obok, po dźwiękach i błyskach rozeznał się, kto gdzie jest, a potem puścił cztery krótkie serie, i tyle muzyki. Terminator, jak obszył.

– A dlaczego nie chciałeś ich u wylotu dolinki przyjąć?

– *Ty szczo, Slipyj?*

Tu wciął się Dietrich:

– Panie Ślepy, gdybyśmy ostrzelali ich w wąskim gardle, to zatrzymaliby się, a potem poszli prawą i lewą wokół wzgórz; musielibyśmy prowadzić walkę na dwa fronty, a na to nas za mało.

– *Tady ja usich ne pakłał by razam* – zgodził się Kostik

Aha, pewnie. Co do jednego strategii, a każdy Perykles. Jeden tylko półgłówek Ślepy nic nie rozumie... Chociaż wielkiego wodza Sokole Oko podziurawił właśnie szeryf federalny i znany rewolwerowiec Ślepy.

Deszcz ustał równie niespodziewanie, jak się zaczęła; tutaj to rzecz zwyczajna. Niektóre anomalie rozgrzewają powietrze, ciepłe prądy wstępują po skłonach pagórków, powodując porywiste podmuchy wiatru, mogące w mgnieniu oka rozgonić chmury albo na odwrót właśnie, nagonić tam ciepłe, pełne wilgoci powietrze, które szybko się ochładza i daje w rezultacie ulewny deszcz. Dzięki tym właśnie prądom wstępującym, bijącym tu i ówdzie w niebo, w Zonie praktycznie nie ma porządnej zimy. Śniegowe chmury przepływające ponad Kordonem niosą ze sobą zamiecie i chłód, ale aktywność anomalii błyskawicznie zatrzymuje zimę na progu Zony, nie pozwalając jej przeniknąć głębiej. I lato też jest tu paskudne, deszczowe i szare. Wieczna jesień słotą niesie... Wszędzie szaruga, gdziekolwiek tylko spojrzeć. Idealne wręcz miejsce dla daltonisty, oczy wiście, jeśli tylko życie mu niemiłe.

Z martwymi bandziorami zeszło nam ze dwie godziny; akurat kiedy przestało w końcu lać, siedliśmy sobie na krótki odpoczynek pod nawisem betonowej płyty, z której strzelałem na początku poty czki.

Chmury rozeszły się, pokazały się gwiazdy – ze zdziwieniem odkryłem, że na wschodzie zaczyna jaśnieć. No i krótki spacerek sobie urządziliśmy, „dwie godziny”, nie ma co... Zegarek na PDA wyświetlał czwartą z minutami, w zasadzie już rano; nici z nocnych badań naukowych. Van de Meerowi nie doświadczenia były teraz w głowie – spruł się strasznie, ciężko chrypiał w wilgotnym powietrzu, jego posapywanie i jęki zagłuszały nawet potrzaskiwanie anomalii z dołu.

– *Wandemejer, na szczo wy sjebe tak terzajete?* – rzucił współczująco Kostik – *Spakijna by zaczekaly, paki my miertwiakił pachawajem.*

– Ja... to nic... odezwał się naukowiec. – Zaraz już... lekarstwa.

Rozpiął pomarańczowy kombinezon i zaczął wyciągać tabletki. Zeżarł swoją działkę, popił z manierki i zaniósł się kolejnym atakiem kaszlu.

– *Kiepski sprawi* – pokiwał głową Kostik – *Czuj, nikudy sjahodni ne pijdema. Wybacz, Pasza, nasz Wandemejer – taho, chwojy.*

Węglarz podniósł się, po jego kombinezonie popłynęły miniaturowe strumienie deszczówki, zbiegającej się podczas odpoczynku w jeziorkach załamania materiału kurtki. W miarę dobrze już widziałem jego sylwetkę na tle szarzącego nieba.

– No dobra – rzekł. – Ruszamy do obozu?

– *Jakszco dapamożesz cjaho dawalokty.* – Kostik miał na myśli jeńca w osobie Sokolego Oka.  
– *Slipyj, zbiery dabycz.*

Obwiesiłem się zdobyczą bronią, załadowałem plecak trofeami, wyciągniętymi z kieszeni martwych bandytów. Pasza i Kostik dźwignęli z ziemi bezwładne ciało Sokolego Oka i ruszyliśmy w drogę powrotną. Za nami włożył się van de Meer, kaszłąc, chrychając i odcharkując – głowę dałby mi sobie uciąć, że wyłącznie w chusteczkę!

Przy wejściu na teren obozu czekał na nas komitet powitalny z samym Kitajcem na czele. Chłopcy rzecz jasna czuli się niezręcznie: kiedy na północ od obozu pojawili się bandyci (których zauważyli dzięki sygnałom na PDA), nasi przy witali ich bezładnym ogniem; tam ci dali kilka salw, potem Waśka ich odwołał i ruszyli dookoła.

Siedzący na cmentarzysku maszyn nasi pogratulowali sobie spektakularnego zwycięstwa, a tymczasem Apaczów ani trochę nie obchodziło Wysypisko, bo od samego początku za cel obrali sobie naszą grupkę. No i niech mi ktoś powie, co takiego sobie w nas upatryli? Potem my wydaliliśmy im bój, Kitajec wyjaśniał z kwaśną miną, że chciał ruszyć nam na odsiecz, ale „no weź tym tutaj to wytłumacz”... Naturalnie, odpowiedzieliśmy, że przecież nie mamy pretensji, przecież i nam zdobyć przypadła; faktycznie, poderwać naszych do boju niełatwo, przecież w obozie nocują tylko samotnicy, dyscypliny tam nie ma żadnej. No, bronić się wspólnie, owszem, to jeszcze się udaje, ale na wymarsz ich poprowadzić już trudniej.

Kitajec zajrzał naszemu jeńcowi w twarz.

– O, Sokole Oko... A po coście go tutaj ciągnęli? Kulę w łeb mu było na miejscu wsadzić.

Popatrzelśmy po sobie – no faktycznie, po cholere? Jakoś nikt nie miał racjonalnego uzasadnienia, po kiego grzyba żeśmy tego typu brali. Co się mnie osobiście tyczy, to ja po prostu ręką bym na bezbronne nie podniósł. W walce to inna sprawa, ale jak tak leży nieprzytomny, to ja-koś tak nie za bardzo. Sokole Oko przeżył tylko dlatego, że w grupie mamy dwóch świeżaków z zupełnie innymi zwyczajami, a mnie po prostu nic do tego.

– To niehumanitarne – burknął Dietrich, a potem zaniósł się kaszlem. Oj, dała mu nocła w kość.

– Regulamin sił zbrojnych nie zezwala na podwójne rozstrzelanie – nie tylko do rzeczy, ale i po ludzku skwitował Kostik

A nasz Waśka powoli zaczął dochodzić do siebie. Podniósł się na łokciu, po kolei popatrzył na wszystkich... zatrzymał wzrok na Paszy.

– Węglarz, suko ty bura. Szkoła, żeś mi w ręce nie wpadł, ścierwo radioaktywne...

Paszka splunął na ziemię, bez słowa wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

– Ja bym tobie za Kola gardło zębami przegryzł, na kawałki bym cię pokroił... – nie ustawał Sokole Oko. – W oczy bym ci...

– W dupę mnie możesz całować i do samej śmierci usranej – spokojnie odparował Węglarz, przypalając szluga. – Nie wiem, co za Kola jeden, ale jeśli taka gnida, jak i ty... to możliwe, że mu kiedyś kulę sprzedałem. Ja was, pasożytów, zawsze i wszędzie, jak tylko się traficie. A imiona mnie wasze gównu obchodzą, może być Kola, może i Pepsi nawet.

Paszka zaciągnął się, puścił dymek, spojrzął na jeńca.

– Ja tam was, baranów, nawet nie odróżniam. Niejednemu się łeb rozwalilo... może i ten twój Kola tam gdzieś się nawinął.

– Ziomal mój, Kola Czort – wysyczał wściekle nasz Mohikanin. – Nie wiem, co żeś mu zrobił,

ale...

– I ja nie wiem. A niby co?

– Opowiadaj, mów, Waśka – zaproponował Kitajec. – Ulżyj sobie, żółć wylej, skoro już tak wyszło, że przez pomyłkę cię życiem darowali. Ale jak mięsem zaczniesz rzucać, to Zona świadkiem, jak psa zatłukę; nie lubię ja, jak przeklinają niepotrzebnie. Co tam z tym Kolą twoim?

– Poszedł do psów Kola postrzelać, jest tu niedaleko dolinka taka... wraca, mówi, że dobre miejsce, psy nazarte, ledwo chodzą. Wziął Krejzola ze sobą, poleżli; mija dzień, ich nie ma. No to my z ekipą tam, do dolinki tej...

– Tam polanka jest, a na niej kości pełno – wyrwało mi się.

– Tak jest – pokiwał głową Sokole Oko. – Węglarz, mordo niegolona, weź no, daj zajarać, skoro od razu nie zabiłeś.

Kostik wielkodusznie wyciągnął do jeńca paczkę – tę samą, którą wcześniej mu zabrał, przecież widziałem.

– Na, pali, twaji że cybarki – wyjaśnił. – *Ja też tu haliawynu baczył, takszczo pali i każy dalij.*

Sokole Oko zapalił, zaciągnął się, rozkasał, trzymając za zabandażowane płuco, złapał oddech.

– A co tu gadać? Wziąłem ziomali, poszliśmy... No, polanka, pewnie – a pośrodku polanki mój Kola stoi. Stoi i nie rusza się, w samej koszuli tylko. A kurtkę miał kolczugową, znaczy się na kolczużnej podszewce, pamiętam, cały miesiąc szył... I kurtki nie było, goły Kola stoi i milczy. Ja do niego: Kola, Kola, co z tobą? Za ramię go złapałem, a tam jak kamień, mięśnie wszystkie ściągnięte. Skurcz jakiś...

Wasia zaciągnął się szybko raz i drugi; czekaliśmy. Dokoła zgromadził się już mały tłumek, obóz budził się do życia, zewsząd ściągał stalkerzy.

– Ja do niego: Kola, ziomek co z tobą? Szarpnąłem go do siebie, a on jak stał, tak i na ziemię się przewrócił, nogi jak z drewna sztywne... Ja patrzę, a tam i Krejzol leży dalej, zimny leży zupełnie, oczy w niebo wlepione. I Kola mój tak samo upadł – puste oczy i przed siebie patrzy. Puls słaby, serce ledwo pika, ale strasznie szybko. Kola, Koleńka, mówię ja, co z tobą...

Bandyta załkał cicho, zdrząła ręka z papierosem... ale nikt się nie zaśmiał. Strasznie nagle mi się jakoś zrobiło, przy pomniała mi się polanka, zasłana kośćmi...

– I przecież cały był, nietknięty! – wymamrotał Sokole Oko. – Ani kula go nie raniła, ani zwier nie poszarpał. A cały czas tylko jak nieprzytomny... i serce mu się trzepoce jak ten wróbel w klatce. I umarł on na drugi dzień – cicho tak spokojnie, żeśmy nie zauważyli nawet. Jak przynieśliśmy Kolę do obozu, wódką go natarłem, antyradu mu wstrzyknąłem podwójną dawkę domięśniowo... chociaż licznik nie bardzo na niego trzeszczał, ale i tak mu dałem, przecież nie pożałuję... Nie wiem ja... a on umarł.

– *I kampiuter jaho uszczent raztałoczen bu?* – zapytał Kostik.

– Nie miał PDA, ani on, ani Krejzol, mówię przecież, do koszul oby dwaj rozebrani...

– Za krzakami byś popatrzył – mruknąłem. – Tam było całe cmentarzyisko PDA, rozwałka na całego.

– Patrzyłem. – Sokole Oko wyrzucił papierosa, z nienawiścią w oczach patrząc na Węglarza. – Często tam zacząłem zaglądać. I ciebie, Pasza, nieraz tam widziałem; widziałem, jak łazisz tam, niuchasz, szukasz czegoś. I to ty mojego Kolę... nie wiem ja czym, nie wiem jak, ale to ty, świniu jedna, jego śmierci winny.

– *Ty sam świńja* – odpowiedział Kostik – *U niaho takoz druht tam zahinuł, Pasza tamu ji chadył na palianku z kistkami. Jak i ty.*

– Łżesz!

Pasza wzruszył tylko ramionami.

– Łże on! – pewnym głosem powtórzył Sokole Oko. – I ty mnie lepiej teraz już wykończ, sły-

szysz, Węglarz? Od razu lepiej wykończ, bo ja słowo dałem, przyjdę ja po ciebie znowu. Za Kole ja ciebie...

– Zawrzyj mordę – warknął Kitajec i bandyta, o dziwo, ucichł. – No i prawda, panowie, co z nim teraz zrobić?

– Niech se żyje – mruknął Pasza.

– Możemy oddać go w ręce wojskowych – oświadczył van de Meer. – Ja mogę. Jestem tu przecież legalnie, mogę jak najbardziej.

– Aha! – Waśka znowu się rozkręcił. – No już, dawaj. No dawaj! I co mi niby przyszyją, co? Nielegalny pobyt w Zonie? Trzy lata! No, maks cztery! A ja sram na to, ja bajerę mam skróconą, posiedzę w ciepłku może półtora roku, a potem warunkowo-przedterminowo za wzorowe wyjdę. Tak że tobie, Paszka, mówię: Czekał ty, suko, a ja wrócę! A wtedy ci... Słyszysz, dobiore się do ciebie, jeśli sam wcześniej nie zdechniesz.

– *Ta szczo ty weresklywyj takij, jak ta babka tarhowka bazarna* – burknął wyraźnie rozdrażniony Kostik – *U mene aż wucha zakłała. Rokił wisim tabi łomicca, abo że bilsze. Teraryzm – ce ważkij złożyn.*

– Jaki terroryzm? – zdziwił się Sokole Oko.

– *Nu, miżnarodnyj. Bo ty spakusyła na najzemnaha uczonaha* – wyjaśnił Taras. – *Al-Zalahiri – ce teper teraryst nomier adyn, czuł ty? A ty za tysjacznoha nomiera zijdziesz, bo ty hawno smjedzja-ce proty Al-Zalahiri.*

Wśród publiczności zaczęły się szepty – no, to w naszym światku coś zupełnie nowego...

– Chłopcy, co wy, poważnie mówicie? – zapytał nie bez pewnego strachu Kitajec. – Nam tutaj wojskowych nie trzeba.

– Jasna sprawa – odpowiedział Pasza. – Ślepy, rozumiesz chyba, prawda?

– Wszyscy rozumieją. Pewnie, wojska nam tu nie potrzeba, zrobimy wszystko tak, żeby dobrze było.

Ja tam w ogóle nie wiedziałem, co mamy robić z Sokolim Okiem – przeważnie takich jak on się życiem nie puszczało, ale skoro Kostik i van de Meer tak zdecydowali... No i słusznie, oddać gnoja wojskowym, a dalej niech już oni się martwią. Tylko prawda, że akt przekazania Czirokeza w ręce prawa i porządku powinien mieć miejsce jak najdalej od obozowiska... Tutaj van de Meer znowu rozkaszłał się straszliwie, zaczął wyciągać tabletki, upuścił opakowanie – złapałem uczonogo pod ramię i pomimo jego protestów i zapewnień, że sam jeszcze może się przemieszczać, odciągnąłem nieco dalej od tłumu; posadziwszy go w zarekwirowanym przez nas autobusie, kazałem odpocząć, a sam wyruszyłem na poszukiwanie wrzątku. Jak to zwykle rano bywa, co poniektórzy już rozpalili ogień; woda tu paskudna, gotują ją po kilka razy, doprawiają wojskowymi tabletkami do dezynfekcji. W obozie na cmentarzyisku maszyn już parę razy były podejścia do zamontowania plastikowego zbiornika w charakterze minicystyszczalni, żeby solić wodę, a potem odparować; sól, rzecz wiadoma, niszczy część mikrobów i dobrze wytrąca niektóre związki metali ciężkich – zawsze to coś, a potem jeszcze przegotować... Ale stalkerzy samotnicy, jak to zwykle bywa, nie dokończyli zaczętego dzieła i idea umarła na etapie żarcików o pędzeniu bimbru. Kiedy wróciłem z gorącą wodą, van de Meer doszedł już do siebie, wypakował przenośne biurko i zajadł walił w rozkładaną klawiaturkę, pijąc energetyka z puszką. Maniak jeden, pracoholik

– Jak sam opoczucie?

– Zdecydowanie lepiej, panie Ślepy! – dziarsko zameldował Dietrich.

– No widzę, widzę... Planuję podać panu ciepły posiłek sprzeciwów nie przyjmuję.

– Ależ, bynajmniej nie zgłaszam! Głodny jestem jak wilk!

– Wódeczkę też proponuję, za zwycięstwo...

– Eee, ja nie...

– Tak czyasto symbolicznie, dla zdrowotności.

– Pośród przeróżnego chaburu trafiło nam się też kilka butelek taniej gorzały, tylko marniutkie pewnie; bandosy lubią czy stać tak samo, jak i reszta stalkerów, tyle że przeważnie stanowi ona dla nich jedyny środek przeciwko radiacji, więc wałą wszelkie paskudztwo, jak leci. Najzwyczajniej w świecie są zmuszeni do tak zwanego spożywania – co i rusz przecież muszą chować się w takich norach, gdzie uczciwy stalker nawet nie zajrzy, a tam, co rozumiałe samo przez się, mocno ciągnie. A jak już się przeziębileś w radiacyjnym przeciągu, to wódeczką się rozgrzej.

Jednym słowem, załam wrzątkiem makaronowy brykiet i wyciągnąłem z plecaka saszetki z kawą rozpuszczalną. Paskudztwo, jasna rzecz, gdzieżby tej lurze do prawdziwej kawusi; nawet zwyczajowy energetyk z aluminiowej puszką jest smaczniejszy, ale co zrobić, kawa to moja słabość. Nieco później zjawili się też Kostiki i Paszka, więc przyrządziłem po porcji i dla nich, potem wypiliśmy po jednym – tak jak się spodziewałem, gorzała była wyjątkowo podła, dziadostwo. Ale procent miała odpowiedni, a w naszej profesji to istotny wskaźnik. Na pohybel radionuklidom!

– Nie jego tam widziałem w tym jarze z kośćmi – odezwał się zamyślony Węglarz, mieszając łyżką w makaronie. – Tamten był taki niewysoki, ale nabyty, okrągłutki, to dobrze widziałem, w barach szeroki. A nasz Sokół Oko żyłasty jest i chudy. Nie, to nie on.

– Właśnie, a gdzie Waśkę nasze zgubiliście?

– Kitajec obiecał go przy pilnować, dopóki nie zdecydujemy, co z nim zrobić – wyjaśnił Pasza. – Pewnie, że najprościej byłoby wziąć i zastrzelić... ale ja go rozumiem. Waśkę, znaczy się. Ja dokładnie tak samo, gdybym myślał, że przez kogoś Bucior się skończył, to ja bym go w „wyżymaczkę”...

Pasza wziął się za jedzenie, tymczasem zapiszczał PDA van de Meera.

– Kolega Hołowin odpisuje – odezwał się ryż z pełny mi ustami. – Już czy tam... mhm... aha... hm... ja... Obiekt w Dolinie Kości jest nieużywany.

– Dolina Kości? No, niezła nazwa... – Naprawdę mi się spodobało, klimatyczne takie, nastrojowo brzmi. Prawie jak Prospekt Traktorzystów – ot, rzucisz nazwą i od razu wiadomo, o czym mowa, wyobraźnia z miejsca kreśli pejzaż.

– Jakąś nazwę trzeba temu miejscu nadać. Strasznie długo trwa opisywanie: w tej właśnie dolince, gdzie... Dolina Kości – o wiele krócej. Tam była... eee... stacja radiowa, instalacja wzmacniająca sygnał. Mogła być swobodnie wykorzystywana jako zagłuszacz. Tak, panie Ślepy, owszem, ale zbudowano ją całkiem niedawno, pod koniec ubiegłego stulecia. Na pewno nie interferowałaby z sygnałem satelitarnym. Teraz sprzęt jest zdemontowany, obiekt nie jest zaklasyfikowany jako zakonserwowany... zdjęto z wykazu jednostek wojskowych. Więc raczej nic ciekawego... I kolega profesor ponownie zaprasza na gościnę, proponuje wysłać po nas śmigłowiec.

– Co on takiego od pana chce, van de Meer? Coś wyjątkowo natarczywie nas zaprasza.

– Chce się pewnie dowiedzieć, czym się dokładnie zajmuję.

– A to jakaś tajemnica? – O, ciekawostka, mnie przecież Dietrich nic o klauzuli poufności nie wspominał.

– Nie, oczywiście, żadna tajemnica... Tyle tylko, że przeciętnemu człowiekowi moja praca dla Poszukujących wydaje się... no, powiedzmy, że mało poważna. Hołowin mi nie wierzy, że zliczam anioły.

– *Bo normalnamu uczonamu janholiw liczyty zapadła* – dorzucił Kostik z gębą pełną makaronu.

– A, to rozumiałe przecież – faktycznie, cokolwiek głupio to brzmi. A pan niech je, van de Meer, proszę jeść. Coś marnie pan wygląda.

– Odniosłem wrażenie, że profesor Hołowin to zdeklarowany sceptyk, więc zakładam, że zliczanie aniołów to zasłona dymna, przykrywką, a moja misja musi mieć zupełnie inny cel. Będzie się

dopytywać, drążyć temat.

– Ahaa, to dlatego panu niespieszno na Jantar.

– No, w zasadzie tak... – wymamrotał van de Meer. – Ale będziemy musieli przyjąć jego zaproszenie. Kończą mi się lekarstwa, a on obiecuje pomoc. Faktycznie, czuję się gorzej... Nie przewidywałem tego, za mało wziąłem... Trzeba będzie skorzystać z leków oferowanych przez Hołowina.

Czyli zgodłem: Dietrichowi strasznie nie chciało się pokazywać na oczy kolegom po fachu i wyjaśniać, że robi chałturę na zlecenie sekciarzy. Jak dzieciak normalnie... Przecież za pieniądze to robi, co niby w tym wstydliwego?

– Nie szkodzi, panie van de Meer – niech mu pan wyśle wiadomość, że na pański obóz napadli przestępcy, z których jednego wziął pan żywcem. Od razu się Sokolego Oka pozbędziemy, co? Oni pana będą o badania zagadywać, a pan im na to opowie o bezprawiu w barbarzyńskim kraju! No, co? Tak dla podtrzymania uprzejmej konwersacji... I jakoś pan sobie dasz radę.

– Dobrze zatem, panie Ślepy. – Van de Meer uśmiechnął się słabo. – Sprytne.

Po czym nasz uczony wgrzył się w mekaron, a ja patrzyłem na niego niczym troskliwa matula na nieposłusznego syneczka, który biegał po kałużach i dopiero teraz zgodził się zdjąć przemoczzone butki. I pomyślałem sobie jeszcze, że pewnie będę musiał polecić z Dietrichem jako au pair – ratować go, kiedy ten ciućmoksoim zwyczajem pójdzie na udry z naukowcami albo wojenstalkerami... Tylko sobie tam nie myślcie, że się o upierdliwca martwię; normalna rzecz, cenęgo pracodawcy się pilnuje, no nie? Do rzeczy chyba, logicznie tłumaczę, nie?

Rendez-vous wyznaczono na tyśiąc dwieście godzin, jak to mawiają wojskowi, czyli po ludzku na dwunastą zero zero. Iść o własnych siłach Waśka nie był w stanie, więc Kitajec osobiście pomagał nieść nosze z rannym rozprawnoskorych. Coś mi się widzi, że stalkerowi było trochę tyso, że bez jego pomocy rozprawiliśmy się z bandą, więc na wszelkie sposoby starał się być przydatnym. Kostik za ogólną zgodą zdecydował się zostać w obozie, aby upłynnić nasze trofea: broń, PDA i sprzęt martwych bandosów. Był jeszcze jeden aspekt całej sprawy: mimo że van de Meer i ja przebywaliśmy na terytorium Zony jak najbardziej legalnie, to moja broń mimo wszystko była nie do końca w ramach prawa, więc poleźliśmy na spotkanie śmigłowca z kontraktowymi mekarowami, a ja jeszcze złapałem najbardziej dziadowskiego obrzyna – żeby nie było niepotrzebnych pytań, czy nas aby Indianie nie atakowali gołymi rękami. A śrutówkę się odda struktorem władzy w ramach bonusu do Sokolego Oka.

Wszyscy naturalnie rozumieją, że trofeów powinniśmy mieć grubo więcej, ale trzymamy się etykiety – tu macie bandziora, a tu narzędzie. Ponadto na Wysypisku z jednym tylko pistolecikiem trochę tak nieswojo, a kto tam wie, ile nam trzeba będzie na śmigłowiec czekać. Resztę wyposażenia zostawiliśmy Kostikowi – rzeczy zbędne gwoili ułatwienia wymiany barterowej, a nasze do przypilnowania. W naszym środowisku nie ma zwyczaju okradania swoich, ale przecież zawsze lepiej, jak ktoś rzuci okiem na twoje manatki.

Tak więc jakoś około jedenastej wespół z chłopakami z obozu dowlekliśmy nosze na równą polankę, pomachaliśmy sobie na pożegnanie i... czekaaliśmy.

Ze śrutówką w ręku wdrapałem się betonowe płyty, złożone tu nie wiadomo kiedy na potrzeby dawno zapomnianej budowy. Pośród takich płyt się człowiek w dzieciństwie bawił... Biegało się z karabinami wyciętymi z deski, kluczyło pomiędzy prefabrykatami i miało niesamowitą uciechę, kiedy udało się wypatrzyć „wroga” przez podłużne otwory w płytach.

Wyszło słoneczko, od razu zrobiło się ciepło – rozpiąłem kombinezon i koszulę. Dobrze, tak spokojnie... zupełnie jak za młodych lat.

Daleko za nami widniały hałdy Wysypiska, sterczące spod burej ziemi rury, pospawane stelaże i wszelki inny chłam, obraz drżał i falował – anomalie wypaczały optykę, do tego jeszcze zie-

miał parowała po nocnej ulewie.

Van de Meer rozłożył się u podnóża betonowej góry i zagłębił w swój PDA, chyba wypisywał jakieś długie wiadomości. Uczony nie ryzykował wyjmowania sprzętu z pokrowców i podczepiania urządzeń peryferyjnych, jak w autobusie, ale czasu też nie tracił. Waśka milczał. Nie wiem, czy myślał sobie o czymś tam, czy może zasnął... Po drodze żalił się, że od wybojów go rany ciągną, więc na wszelki wypadek wstrzyknąłem mu razem ze środkiem przeciwbólowym dawkę uspokajającego. Nie dziwota, że go rozłożyło, krwi stracił sporo, to i osłabł.

Jakoś koło wpół do dwunastej w oddali zahuczał śmigłowiec. Van de Meer zaczął się zbierać, szybciutko dostukał tekst i schował rozkładaną klawiaturkę do futerału. Sokole Oko, który podniósł się na łokciu, znowu opadł na nosze, założył ręce za głowę i z miną znawcy rzucił w stronę Dietricha:

– Się takpsor nie podnieca. Którą na osi mamy?

Zerknąłem na PDA.

– Jedenasta trzydzieści.

– No i se poczekacie do dwunastej. Helikoptasy planowo się zjawia, a przedtem z góry pawiana poświrują, popatrzą, czy zasadzki nie ma. No, to połówkę jeszcze mam przed ciupą...

No, jasna sprawa, że najpierw śmigłowiec pokrąży sobie po okolicy, przecież sprzęt ma o klasę mocniejszy od naszych komputerków, więc wojskowi skrupulatnie wszystko przeskanują, zanim siądą w punkcie docelowym – czyli zanim po nas przylecą.

Samej maszyny nie było widać, ale faktycznie huk wirników to narastał, to znów się oddalał... No, tak właśnie myślałem, że wojskowi też mają jakieś swoje dziwactwa, niech się zatem chłopaki trochę pobawią. A tak w ogóle, sądząc po zakłóceniach na monitoru PDA, to śmigłowce były dwa. Ot, to się nazywa poważne podejście do sprawy.

Dziesięć minut później okazało się, że nasi goście są już na ziemi. Trzy grupy sygnałów szły na kolizyjny w naszej okolicy – dwie pary i jeden tercet jasnych punkcików. Czyli śmigłowce wysadziły desant... Sygnały niespiesznie zbliżały się ku nam, kreśląc zawijasy i esy-floresy trajektorii, a potem na PDA Dietricha przyszła wiadomość: „Doktorze van de Meer, prosimy nie ruszać się z miejsca. St. lejt. Siwuszow”. No, każdy bawi się tak, jak lubi. Ja tam myślałem, że kulturalnie wyładują i zabiorą nas na pokład. Dietrich odpowiedział: „Czekamy”.

Za pięć dwunasta wojskowi wyszli na nas. Pojawili się równocześnie z trzech stron, nacił się też łomot śmigłowca, więc widocznie maszyna się zbliżała. Zląłem z betonowych płyt, van de Meer podniósł rękę, pomachał wojakom... Jego pomarańczowy kombinezon idealnie odcinał się od szarego tła.

Wojskowi wyekwipowani byli pod ręcznikowo, w pancerzach, masywnych hełmach i z maskami. Maski, swoją drogą, miały im się pod szyją na paskach. Więcej sprzętu widziałem już chyba tylko u chłopaków z Powinności; broni mieli przy sobie wojenstalkerzy tyle, że mojemu smęt-nemu obrzynkowi – gotów jestem przysiąc! – aż się smutno zrobiło, że taki jest strasznie niekontraktowy. No i giwery trzymali w pogotowiu, skierowane w naszą stronę, tylko lufy nieco w dole, palce przepisowo nie na spuście, widać, że zawodowcy, o-łaaa... Poważni chłopcy, jak malowanie normalnie.

Oficer, kawał byka, zameldował się:

– Starszy lejtnant Siwuszow, pierwszy oddział stalkerów wojskowych; doktor van de Meer, jak mnie mam. To pańscy towarzysze?

Ku mojej radości Dietrich nie rzucił się na wojskowego z zębami i nie zaczął domagać się salutów i podania numeru książeczki wojskowej.

– Jestem Dietrich van de Meer. – Skinienie w moją stronę. – A to mój asystent. Dokumenty...?

Ryży sięgnął po torebkę z listami uwierzytelniającymi mi, ale Siwuszow machnął tylko ręką – do-

bra, nie trzeba, wszystko w porządku.

Wyciągnąłem obrzy na rekcję się do wojaka – no przecież po co mi broń? Zaliż nie bronią nas nieustraszone siły zbrojne?

– To pański jeniec? Znajome ryło.

Lejtnant postukał palcem po swoim PDA, podłączył się do bazy danych... w końcu pokijał głową.

– Wasilij Giorgijewicz Sokólnicki... no, no, no!

Oficer uśmiechnął się, chociaż twarz ukryta do połowy pod zasłoną hełmu nie nabrała od tego milszego wyrazu.

– Nasz drogi Wasilij Giorgijewicz... Sokole Oko, słyszałeś? Drogi jesteś, i jeszcze nasz do tego... Za Wasilija Giorgijewicza premia nam wpadnie. Doktorze, wyręczył nas pan, za co jesteśmy panu wdzięczni. Proszę mówić, jeśli mogę jakkolwiek się odwdziżyć.

No, w sumie to bym wolał, żeby wojskowi tam sprawy samopas nie puszczała, że niby „jeśli mogą jakkolwiek”... Co to niby znaczy „jeśli”? Premia fifty-fifty, bez żadnych „jeśli” – no, to by było po koleżeńsku. Ale siedziałem cicho, nikt zresztą na mnie nie patrzył. Wojskowi doskonale przecież rozumieli, kim jestem, a gdyby przyszło nam się spotkać w innych okolicznościach, to kruchy by ze mną było. Chociaż za mnie tam nagrody nie ma, jasne... żaden ze mnie „wódz czerwonoskórych”.

– Odwdzięczycie się nam, panowie, informacją na temat porzuconego obiektu na wschód stąd. – Dietrich nie stracił głowy. Dobrze, racjonalnie myśli! – Podam panom koordynaty.

– Nie ma sprawy! – zgodził się Siwuszow. – O ile nie jest utajniony, to postaram się wywieźć.

Ostatnie słowa lejtnanta utonęły w narastającym huku zbliżającego się śmigłowca. Maszyna zabrała na pokład Dietricha i mnie wraz z dwoma zbrojnymi, a pozostali – w tym Siwuszow i jeniec – zostali na miejscu. Poprzez łomot wirników nie słyszałem, czy nadlatuje też drugi helikopter, ale pewnie był już niedaleko.

Najpierw pilot wziął kurs na północ, dopiero potem zaczął odbijać ku zachodowi, w kierunku na Jantar. Nie wiem, czemu akurat taką trasą, najwyraźniej jakieś twory Zony utrudniają przelot na wprost, to i trzeba dookoła.

Ciekawe wrażenie, swoją drogą – patrzysz z góry, jak pędem przelatują znajome widoki, rozpoznajesz miejsca przechodzone w tę i we w tę: ruiny, charakterystyczne drzewa, pustkowiec upstrzone kleksami anomalii... Po ziemi trzeba się wlec powolutku, ostrożnie, stawać co i rusz, sprawdzać odczyty sprzętu, czasami śrubki rzucać w podejrzone miejsca, więc ten przelot wydał mi się jeszcze dziwniejszy niż przejażdżka Maluszkim z Chemikiem. A z góry wygląda to zupełnie inaczej... Jakoś tak zdradziecko spokojnie. Z jednej strony, nie ma żadnych zagadkowych poświśtów wiatru, nie słycać trzaski anomalii, tylko potworny huk łopat wirnika. Nawet stado prypec-kabanów, przedzierające się przez las, wygląda jak zupełnie niegroźne figurki. Tak z góry wszystko takie spokojne, ale nawet i teraz nie odpuszcza ciągle uczucie przyczajonych kłopotów, towarzyszące nieustannie pieszym, ukradkowym przemarszom przez Zonę.

W oddali zaczęły rysować się wysokie budynki, ale tam już nie poleciliśmy. Pilot w końcu skręcił ostro na zachód, maszyna zabujała, wchodząc w wiraż, a potem naszym oczom ukazał się obóz naukowców, umocniony wedle wszelkich zasad sztuki wojennej. Starą bazę szlag trafił, teraz uczony ch ochraniają wojskowi, więc z zewnątrz wszystko wygląda jak obiekt wojskowy – nasypany, płot, od zewnętrznej strony teren okolony liniami drutu kolczastego... No i z góry bardzo dobrze widać truchła mutantów, walające się na perymetrze obozu – jak dla mnie, dość daleko od jego granic, więc albo mają pola minowe i zwierzaki włąza na przeciwpiechotne, albo strażnicy sobie taką rozrywkę znaleźli, dość, że trupów tam od metra, miejscami zalegały warstwami. No ale



czego się spodziewać, chłopaki nabożów nie kupują za swoje, tylko garścią biorą z wiadra, to tylko nasza brać musi się z każdym groszem a myśnijcie szczytać.

Śmigłowiec podszedł do lądowania jakieś sto metrów od granic bazy; zeskoczyliśmy na burą trawę i kuląc się, pobiegliśmy pod eskortą prowadzących nas z lewej i prawej żołdaków – nie wiem, czy od Zony nas chcieli chronić, czy raczej pilnować, żebyśmy to my czegoś nie wywinęli. Ja się, szczerze mówiąc, niezbyt komfortowo tak czułem, ale to już moje osobiste odczucia – jakoś tak nieswojo mi w Zonie, kiedy wojskowi zaraz obok.

Wysadziwszy nas, maszyna na podniosła się w powietrze i zaczęła nabierać wysokości, zwalnając łądowisko dla drugiego śmigłowca, a my ruszyliśmy dobrze wydeptaną i wyjeżdżoną gruntówką ku bramie. Kolejny szły szerokimi łukami, skręcając w lewo i w prawo, ale ani na krok nie próbowaliśmy skrócić drogi, bo pobocza na sto procent były zaminowane. Swoją drogą, Jantar to już dość niebezpieczne rejony, tutaj nie ma czegoś takiego, jak zbędna ostrożność.

Żyłasty, siwy profesor Hołowin przywitał nas ubrany w fartuch, ewidentnie pretendujący do miana białego. Ewidentnie, ale nieskutecznie. Naukowcy to w ogóle dziwny naród, van de Meer jest jeszcze jako tako normalny, bliższy prostemu człowiekowi, w każdym razie ubiera się jak należy. Ale już Hołowin lepiej by ciemne rzeczy nosił, skoro ubrań nie pierze. Głośno oczywiście nic nie powiedziałem, żeby nie psuć nastroju. Hołowin kiwnął eskorcie, a gdy wojskowi się zmyli, odwrócił się do nas i wyrecytował podniośle:

– Drogi doktorze van de Meer, witamy! Zapraszam pana, że się tak wyrażę, w nasze skromne progi, czy m chata bogata...

Nie wiem, czy van de Meer się domyślał, ale ja zaskoczyłem od razu – nasi przyrzykowali uroczyste przyjęcie, żeby przed zagranicznym gościem nie wyjść na kmiotów, więc zaraz się znacznie trydycyjnie pochlęj. Hołowin tym czasem zauważył mnie.

– Pański asystent? A po rosyjsku mówi?

Nożę kurde, głupiego udaje czy o drogę pyta – co on, stalkera nie widział? Jeszcze chwilę wcześniej byłem pewien do szpiku kości, że mam prawie na czole wypisane, że świetnie po rusku gadam i nie gardzę leksyką ze słownika wyrazów obraźliwych. Wielkimi, czerwonymi literami wypisane i na kombinezonie powtórzone. Pogrubioną czcionką, tałą oczojebną. Ale Hołowin poważnie mówił... więc i ja poważnie odparłem:

– Po rosyjsku znacznie lepiej wychodzi mi milczenie. Profesorze, będąc osobą odpowiedzialną za pana van de Meera, ostrzegam z wczasem: na spożywanie alkoholu nie pozwala mu stan zdrowia.

– Będziemy pamiętać! – roześmiał się Hołowin. – Ale stalkerzy przecież nie piją, tylko walczą z radionuklidami, prawda?

Uśmiechał się ten cudak zupełnie przyjaźnie, więc pomyślałem sobie: co ja tak negatywnie do tego podchodzę? Zaprosili w gości, podejmują... Chyba od van de Meera zarazem się mizantropią. Profesor poprowadził nas przez obóz; summa summarum spodobało mi się tutaj, wojskowych prawie nie było widać, a ci, których spotykaliśmy, zachowywali się wzorowo – pewnie uczeni jednak mają jakiś autorytet. Przeszliśmy pomiędzy hangarami i metalowych prefabrykatorów; z założenia pewnie stalowe powierzchnie powinny aż lśnić, przecież sprzęt tu mają na pewno nowiutki, ale agresywna pogoda i kwaśne deszcze zrobiły swoje – półokrągłe dachy pociemniały, pokryły się nieregularnymi przebarwieniami. Za blokami laboratoryjnymi postawiony był kolejny hangar, tym razem mieszkalny, i właśnie tam prowadził nas Hołowin; w środku czekał już nakryty stół – wystawny, jak na miejscowe standardy. Jasna sprawa, że większość produktów pochodziła z puszek, ale wszystko wysokiej jakości, konserwy równiutko pootwierane, nawet świeży chleb, a nie suchary. No i, rzecz oczywista, wódka. Hołowin przedstawił swoich kolegów: drobnego Azjatę Galijewa, chudego, patykowatego Konowliowa i rumianego, siwego grubaska nazwi-

skiem Serczew – możliwe, że jakiegoś Bałkańca, ale facet po rosyjsku zasował nie gorzej ode mnie, jak się okazało, gdy po pierwszych ch oficjalnych toastach zaczęły się rozmowy.

Tak w ogóle to było super, van de Meerowi wbrew moim obawom nie próbowali wcisnąć siłą wody. Jakos w połowie uczy dołączył młody koleżka w białym fartuchu, zdecydowanie bardziej białym niż jego szefa. Laborant, znaczy się. Jeszcze do profesury zdąży sobie fartuszek nie raz i nie dwa zapaćkać. Młodzik przyniósł jakieś zawiniątko, oddał Hołowinowi, ten z kolei podał paczuszkę Dietrichowi – pewnie lekarstwa. Van de Meer skinął głową, podziękował.

A koleżka, który przyniósł podarek, obrzucił ponurym spojrzeniem stół i zmył się jak niepyszny. Laborantów na obiad nie prosili, a ja zrozumiałem, że mocno mi się pofarciło, bo przecież mogli mnie z kierownictwem nie sadzać. Zachowywałem się więc cicho i skromnie, tak jak obiecywałem. Stopniowo rozmowy zeszyły na sprawy zawodowe, więc tu w ogóle już się zamknąłem, bo najzwyczajniej w świecie nie miałem nic do powiedzenia, w ogóle nie rozumiejąc, w czym rzecz. A sami naukowcy po kilku głębszych nabrali kolorów i śmiałości, przekrzykując się nawzajem i za wszelką cenę próbując coś powiedzieć. Większość słów, którymi wyjaśniali swe wywody logiczne, słyszałem pierwszy raz w życiu, więc treści replik domyślałem się raczej z intonacji wypowiedzi.

Na szczęście obawy van de Meera się nie potwierdziły, rozmowa szła nie o biologii, a raczej wokół aspektów powstawania ślepych plam na mapie satelitarnej. Hołowin, będący szefem tutejszej grupy uczonych, akurat specjalizował się w podobnych tematach, więc siłą rzeczy przejął inicjatywę. W sumie, o ile rozumiałem, jego ekspedycja do Zony zajmowała się głównie zbieraniem materiałów i nieskomplikowanymi eksperymentami, a dopiero na podstawie zebranych tutaj próbek wyciągają wnioski w stołecznych instytucjach. Jeszcze w Nowosybirsku, zdaje się, jest kilka laboratoriów... Nie wiem, nie interesowało mnie to zupełnie.

Dopóki Hołowin cały w pasach wyładał swoją teorię ujawnienia się ślepej plamy, Dietrich słuchał, potakiwał i pomrukiwał zgodnie; z jego nietypowo pokojowego zachowania wywnioskowałem, że Hołowin najwyraźniej ma rację. Najmniejsza wątpliwość i van de Meer na sto procent rzuciłby się w bój, na tyle już go zdążyłem poznać. Potem temat się wyczerpał i stopniowo zakrzyczał wszy stłach Konowliow, najmłodszy z czwórki miejscowych. I najmniej wytrzymały, moim skromnym zdaniem, bo strasznie mu do głowy poszło. Tak czy inaczej, wcięty chłopina zaczął się ekscytować i wymyślać od najgorszych pracodawcom Dietricha, mającym czelność wątpić w przenaświętszą prawdę objawioną o psi-oddziaływanii. Van de Meer zachowywał się bez zarzutu – ryży Europejczyk spokojnie przyjął na klatę trzy albo i cztery uwagi o „protestanckich analfabetach”, ale potem jemu też piguła zaczęła skakać i zaczął bronić Poszukujących. Konowliow wypowiadał się o Dietrichowych zleceniodawcach podobnymi słowami, co i sam van de Meer, tłumaczący mi zawicości swej misji, no ale co innego, kiedy człowiek sam na kierownictwo marudzi, a zupełnie co innego, kiedy twojego szefa krytykuje przedstawiciel, że tak powiem, konkurencyjnej firmy. Van de Meer zaczął na wyieczki Konowliowa odpowiadać w stylu takim, że przecież wstępne wyniki badań pozy skanych podczas pierwszych dni ekspedycji wcale nie przeczą teoriom Poszukujących, a obraźliwe przytyki tamtego dowodzą wyłącznie jego bezsilności: popatrzenie panowie, młodszy kolega opluwa tu Poszukujących, od czci i wiary odsądza, a przecież sam aż nazbyt im podobny, jednak z niego fanatyk, tylko religia inna. Konowliow faktycznie był o kilka lat od Dietricha młodszy, i nie wiedzieć czemu wyjątkowo go dotknęła uwaga na temat wieku, naukowiec zerwał się, czerwony jak burak, nakręcony jak karuzela, zaczął się drzeć, pianę toczyć... Dietrich też zaczął wstawać... Chude toto jedno i drugie, nastroszone, zaraz się na siebie rzucą – normalnie jazda.

Pomyślałem sobie: no, to teraz się zacznie, sam się podniosłem – ale tutaj między niedoszłych zawodników wcisnął się Galijew. Mały, ale niewzruszony i twardy, jak kulka od łożyska, rozłożył

krótkie rączki, rozepchnął roszyny czony ch anorektyków i zadudnił pojednawczo: Panowie, koleczy, nie zniżajmy się do poziomu... Hołowin przemówił w podobnym duchu, a kiedy emocje nieco opadły, Galijew zaproponował przejście do laboratorium, aby pokazać koledze z zagranicy jakies tam wyniki ich jakże skromnych badań. W sensie no tak, kolega Konowliow myli się o tyle, że nie wolno gołostownie, a trzeba z dowodami, nie trzeba się gorączkować, lepiej stosować zimne, naukowe podejście. W sumie: to wolno, a tamto nie wolno.

Od słowa do słowa, zamiast podać deser, zabrali nas do sąsiedniego hangaru, podzielonego na bloki laboratoryjne. Dietrichowi zaprezentowano tam wypreparowane truchła mutantów, części ciała, pozawieszane w przezroczystych słojach z formaliną, ot, takie tam paskudztwa – wszystko to, czym straszylimy się za młodu w sali od biologii, tylko pierdylion razy obrzydliwsze i straszniejsze. Aj-waj, co ja mam z tymi uczonymi... Przecież mogli nam pokazać te najbardziej wymiotliwe owoce nauki *przed* obiadem, nie? Natomiast cała fantastyczna czwórka gościnnych naukowców aż zachłystywała się w zachwycie nad swoimi własnymi osiągnięciami, miejscowi na wyścigi rwali się do pokazywania Dietrichowi, co takiego udało im się odkryć. A tamten przytakiwał, słuchał, czasami wtrącał krótkie pytania... Tylko co i rusz ręką po twarzy przeciągał, za brodę się trzymał, jakby laboratorium wprawilo go w wyjątkowo refleksyjny nastrój. Wtedy zakiełkowały we mnie pierwsze podejrzenia, ale twardo zmilczałem.

Gwoździem programu był trup młodego chleptokrwija w wannie. Klatka piersiowa i czaszka były otwarte, do organów wewnętrznych i mózgu ciągnęły się cieniusienkie przewody, zakończone igłami i haczykami. Nad wanną zawieszono skomplikowaną aparaturę, przesuwającą się po lśniących szynach w dwóch płaszczyznach, od dołu przechodzącą w kilka czarnych rurek, zakończonych wchysgnikami teleskopowymi. Mikroskopy albo co... I tu mnie olśniło:

– Lasery?

– Tak! – ochoczo podchwycił Serczew, który do tej pory raczej milczał. Pewnie wdepnęliśmy w jego parafię. – Precyzyjne oddziaływania punktowe. A kolega z podobną aparaturą zaznajomiony?

– Pobieźnie, rzekłbym.

Widziałem kiedyś coś takiego w gabinecie okulistycznym. Ot, wielkie mi tam meczyje.

Następnie zaczęli nam demonstrować reakcje cielska w wannie. Maszynkę z laserami przesunęli nad łeb mutantą, gdzie poprzez oddziaływanie na określone rejony kory mózgowej zmuszali pozbawione życia truchło do poruszania kończynami, prężenia macek i na sam już koniec – spejsjalite de la mezą – zaimitowania niewidzialności, czyli słynnej opcji stealth. Prezentacja nie wyszła do końca dobrze, cielsko w wannie zaczęło jakby wibrować, migać, miejscami robiło się na ulamki sekund półprzezroczyste... Niespecjalnie mnie to poruszyło, byłem już na coś takiego przygotowany, Dietrich wespół z Kostikiem demonstrowali ten hokus-pokus na upolowanym juchochociągu z pomocą najwżykleszego noża, a tutaj po prostu znęcanie się nad trupem ubrano w naukowe szaty. A van de Meer ochał, achał, kiwał głową i co chwila pocierał twarz ręką.

– Widzicie panowie, żadny ch fal radiowy ch! – uroczyście oświadczył Konowliow.

– I żadnego psi-oddziaływanie – podjął Dietrich.

– Dopiero co rozpoczęliśmy prace nad czynnikiem psi. – Hołowin wzruszył ramionami. – Niestety, do prac badawczych potrzebny jest żywy, w miarę możliwości cały i zdrowy kontroler... ale to mało prawdopodobne.

No jeszcze czego? Żywy kontroler? Trochę zbyt niebezpiecznie, no i jak tu takiego złapać? Błędne koło: żeby wynaleźć środki ochronne przed kontrolerem, trzeba porobić doświadczenia nad żywym stworem, a żeby takiego złapać, trzeba mieć rzeczne środki ochronne. Myśmy już w stalkerskim gronie nieraz tę kwestię i tak, i owakprzerabiali.

W końcu wszystkim się zdudził ten cyrk, ja w ogólnym gwarze ucapiłem laboranta, zapropo-

nowalem mu kupno „kropki”, odeszliśmy na stronę i szybko dobiliśmy targu. „Kropka” to żaden tam rarytas, cena już od dawna stoi na jednym poziomie, więc kręcący się przy naukowcach narzybek często sobie dorabia na takiej drobniczy; koleżka szybciotko zorganizował potrzebna sumę, widać, że miał wszystko pod ręką. Kiedy wróciłem potem do uczonych, w zasadzie byli już na etapie gaszenia świec.

Dietrich wyraził wdzięczność za wielce pouczającą wycieczkę, w ramach grzeczności zwrotnej zaproponował własne rezultaty badań, które, rzecz jasna, wyglądać będą w najlepszym razie błąd w porównaniu ze światłymi osiągnięciami szlachetnych gospodarzy. Hołowin odrzekł, że byłby wielce zobowiązany za informację, jakkolwiek uważa, że wysoce nieetycznym i nielogicznym byłoby zobowiązać ją wykorzystywać, kiedy szanowny kolega doktor van de Meer zaledwie rozpoczął zbiór materiału badawczego, na co Dietrich solennie zapewnił, że jeśli tylko natknie się na cokolwiek interesującego, bezwarunkowo podzieli się zdobytą wiedzą.

Potem dali nam wreszcie spokój, Hołowin poszedł do wojskowych załatwiać dla delegacji powrotny przelot śmigłowcem, a ja posłałem Kostikowi wiadomość – dogadaliśmy się, że Taras wyjdzie po nas z naszą bronią, bo wysadzą nas pewnie znowu na jakimś zadupiu tylko z kontraktowymi kapiszonowcami.

Kostik odpowiedział prawie natychmiast: „Czekatymy”. Wrócił Hołowin, powiedział, że maszynę już-już podstawiają pod ganek. Ale minęło pół godzinki, oczekiwanie się przeciągało... Uczni znowu wszczęli swoje dysputy, mnie się już zupełnie odechciało słuchać, w dodatku nikomu nie chciało się już kłócić i spierać, profesura dobroduszenie wymieniała się jakimś spostrzeżeniami, z których poza spójnikami nie rozumiałem niczego. Kwitłem z nudów. Z braku laku wystukałem kolejnego maila do Kostika, ale jeszcze nie wysyłałem, ot tak, na potem, żeby kopsnąć mu gotową wiadomość, jak już będziemy dolatywać.

Nareszcie gdzieś w oddali rozległ się huk nadlatującego śmigłowca. Naukowcy przystąpili do ceremonii pożegnalnej, rozplywając się w grzecznościach i zapewniając o wzajemnym szacunku. Uroczą z nich publika, jak tylko ze swoimi rozmawiają, doprawdy. Z laborantami i wojskowymi, swoją drogą, gadali zupełnie inaczej... I ze mną by inna gadka była, gdyby nie status asystenta drogiego gościa, nieocenionego doktora van de Meera. W końcu się pożegnaliśmy, dwóch żołnierzy wyprowadziło nas za bramę, znowu ruszyliśmy dróżką, starannie trzymając się kolein i nie próbując zbaczać na pobocze. Przy śmigłowcu już czekał na nas starszy lejtnant Siwuszow, który podał mi pakunek w ciemnej folii.

– Trzymaj, masz tu mapę. Nic utajnionego, obiekt co do śrubki spisany ze stanu.

Załadowaliśmy się na pokład, śmigłowiec zawył, podnosząc się w powietrze. Przekrzykując komot, zapytałem lejtnanta:

– Czemu nie macie tłumienia hałasu?!

– A po cholere?!

No tak, faktycznie... Kogo mają się niby bać, przed kim się chować? Wręcz przeciwnie, ten huk to sygnał dla wszy stłch na dole: lotnik kryj się!

Pilot wziął kurs na wschód, wracaliśmy poprzednią trasą, łukami omijając niebezpieczne odcinki. Wysłałem Kostikowi wiadomość, że się zbliżamy – odpowiedzi nie było; kiedy śmigłowiec zaczął zniżać lot w pobliżu znajomych już betonowych płyt, mój PDA nie rejestrował nic nowego, żadny ch sygnałów w okolicy.

Lejtnanta wywołał przez interkom pilot, oficer zwrócił się do mnie:

– Ktoś ma na was czekać?

Kiwnąłem głową.

– Tam niedaleko jest jakaś forma życia. Możliwe, że człowiek, ale bez PDA. – Nacisnął włącznik interkomu, rzucił pytanie: – Jeżyk?

Wszłuchał się w odpowiedź, a ja nie wytrzymałem, bo złapała mnie ciekawość.

– Jaki znowu język?

– Znaczący czy uzbrojony. No, bo jak język, to z kółkami, nie? A ten nie język, broni brak. Mutas jakiś może?

Wzruszyłem tylko ramionami, bo nie chciało mi się wrzeszczeć przez hałas. Na wszelki wypadek puknąłem van de Meera, zarepetowaliśmy pistolety – Kostiknie krępował się wyłączać PDA, no ale bez broni by się nie ruszył.

– Zrobimy parę kółek w pobliżu – rzucił lejtnant. – Jakby co, niech doktorek wciska ESSN, przylecimy z ogniem i mieczem.

ESSN to emiter sygnału o sytuacji nadzwyczajnej, czyli oficjalna nazwa walizeczki ratunkowej. My skoczyliśmy na trawę, śmigłowiec ku niebu, łopot wirników dość szybko przycichł, ale nie znikł zupełnie; dla wojskowi, jak obiecał Siwuszow, trzy mali się blisko.

Zawołałem:

– Kostik! Koos-tiik!

Na PDA zaświecił się punkcik sygnału, za kilka minut pojawił się nasz Terminator... Pod bronią, a jakże.

– Gdzieżeś się chował? I po cholere PDA wyłączałeś?

– *Ta nawiszczo? Niechaj wijskowi hadajuc, szczo mene nemaje. Ja schawałs, i na was czekał.*

– Panie Kostik, a czemu nie wykryli przy panu broni? – zaciekawiał się van de Meer.

– *Zbroju ja pakłał pariad, metrach u trjoch. Jichnia apparatura fiksuje akriemo mene, akriemo – zbroju, nibyszto ja czysty.*

– A gdyby za mutanta cię wzięli i z działka poczęstowali, ha?

– *Ta ja że pid bietonom czekał.* – Kostik wzruszył ramionami. – *Tut chiba raketaju mene by uzjali... Trymaj swaju zalizjaku, ja wyczystyl. Ech, kazał ja: ne paważajesz ty zbroju...*

Kostik podał mi empepiątkę, a mojego kałacha dał van de Meerowi.

– *Nu, jidemo, chlopцы – ziewnął.*

I ja poczułem, że śpić mnie morzy, w końcu nocą się wyspać nie bardzo udało, ledwo co parę godzin się przekimałem. Spojrzawszy na van de Meera, od razu zrozumiałem: dziś już nigdzie nie pójdziemy; tak strasznie ziewał, że tylko patrzeć, jak mu szczęka z zawiasów wyskoczy.



Jako że Dietrich wyglądał na cokolwiek sennego i zrelaksowanego, uznałem, że pora nadeszła na odrobinę hiszpańskiej inkwizycji.

– No, panie van de Meer – zagadnąłem go tak bardzo od niechcenia, jak tylko potrafiłem udać. – Jaktam wyszły zdjęcia z laboratorium?

Dietrich od razu podskoczył, zjeżył się i naindyczył.

– Co takiego pan implikuje?

– A co, niby nie widziałem, jak pan czoło wyciera tylko przed najciekawszymi eksponacjami? A nie włączył pan kamerki przy padkim, żeby sobie wszystko nakręcić?

Hłe, hłe, może jestem daltonista, ale nie debil. A profesura z obozu, jak widać, wręcz przeciwnie. Hłe, hłe...

– O co panu chodzi? Przecież nie hobilem nic zakazanego!

– *Pra szczo wy tut każete?* – wciął się Kostik – *Jaka jęszczo kamera?*

– Kostik! łapaj-trzymaj szpiega! Nasz van de Meer wideonagrywanie sobie włączył, kiedy mu nasze święte w swej naiwności akademickie ciało pedagogiczne demonstrowało osiągnięcia ojczyźnianej nauki. A może i coś więcej pan robił, co? I nie wypierać mi się tu, wszystko widziałem!

– No i o co tyle krzyku? – Ryży wydał pogardliwie wargi. – Za to mam teraz dosyć danych, żeby mieć z czego złożyć raport dla zleceniodawców. Oni i tak ni w ząb nie wiedzą, co to takiego, a materiały przekażę, jak to się mówi, mur-beton, choćby i od razu do brukowej prasy można puszczać. Poszukującym się spodoba... Naturalnie, to zupełnie nie to, po co mnie tu wysłano – to jest znacznie lepsze! Więc od teraz mogę spokojnie zajmować się własnymi badaniami. Dzięki czemu zaspokoję w ramach wdzięczności ciekawość kolegi Hołowina. No i panom pomogę w poszukiwaniach, przecież i panom to na rękę, żebym miał swobodę ruchów.

Naukowiec, wypiąwszy kłogucią pierś, zmierzył mnie od stóp do głów iście zwycięskim spojrzeniem. Zer gut, oberszturmbanfirer van de Meer, nic dodać, nic ująć.

– Bydlę z pana, van de Meer – powtórzyłem, sam już nie wiem który raz, teraz wyrażając tymi słowami raczej nieskrywany podziw.

– *Ja że kazał, szczo win szpyhun.* – Coś mi się widzi, że i Kostik docenił Dietrichowy duch przedsiębiorczości. Ot, pół świata różnicy między nimi, a tacy podobni.

– Mam nadzieję jednak, że nie aresztujecie mnie panowie za szpiegostwo? – upewnił się Dietrich. – Rozumiecie panowie, przecież nie pokazywano mi niczego aż tak poważnego. To była tylko zwyczajna pokazówka, pod publiczność... Naprawdę ciekawe są badania nad psi, ale podsuwali mi kolorowe obrazki, żeby odwrócić uwagę od istotnych rzeczy.

– A pan swój sprzączek włączył i wszystko sobie nagrał... Ależ, niech pan nie przeczy, doprawdy. Nie jestem aż na tyle patriotą, żeby protestować i denerwować się... A to o ciekawości profesora Hołowina to w związku z czym?

– Ależ, panie Ślepy, nie zwrócił pan uwagi? Ach, rzeczywiście, odszedł pan, że tak powiem, na stronę z tym młodym człowiekiem.

– Tak z лаборantem. No i co tam z profesorem było?

– Zajmuje się zanikami sygnału satelitarneho, jego dziedzina to w ogóle pęcherze przestrzenne, więc Hołowin jest szczególnie zainteresowany określeniem „punktów zaczepu”. Skarżył się, że podobno są stalkerzy, mający pewne doświadczenia praktyczne, ale nie ma prawa w poważnych pracach naukowych odwoływać się do ich relacji. No i poza tym... Widzicie panowie, dla was wszystko, co wiąże się z artefaktami, ma pewien nimb, hm, mistyki; stalkerzy umiejący pracować z tymi tworamami Zony, nazywajmy je już dla uproszczenia artefaktami właśnie, przy pominają średniowiecznych alchemików. To znaczy dla nich waga ma rytuał, przywiązując znaczenie na-

wet do słów, które wymawiają przy szykowaniu mezomodyfikatów, niemalże jak do zakłęb w ustach czarnoksiężników.

– Nooo, przecież nie jest aż tak źle chyba, w końcu wiązki działają...

– Tak, dzięki praktycznemu know-how, ale brak najmniejszych nawet podstaw teoretycznych.

– Fakt, jesteśmy co do jednego praktykami. A czemu mówi pan „dla uproszczenia”? Co się panu nie podoba w określeniu „artefakt”?

– Hmm, eee... panie Ślepy, niech będzie pan łaskaw zajrzeć do słownika, tam stoi napisane, że słowo „artefakt” zakłada pochodzenie, hm, sztuczne, w każdym razie nienaturalne, dzieło rąk ludzkich. A przecież te właśnie twory, nazywane popularnie artefaktami, są raczej pochodzenia naturalnego, jakkolwiek natury anomalnej.

– No a co z teorią o boskiej naturze Zony? Boskiego pochodzenia zatem...

– Zatem i człowiek jest artefaktem, na obraz i podobieństwo. Panie Ślepy, czy jest pan artefaktem?

– Oczywiście, stworzonym przez Zonę właśnie.

– Pff!

– *Ta ablysz wże, Slipyj, k sławam czypljatytsa. Szczo wid was, Wandemejer, tamu profesaru treba?*

– Zatem, wracając do tematu, Hołowina interesują pomiary zakłóceń elektromagnetycznych w strefie ślepej plamy. Akurat tutaj nie ma ani mistyki, ani zliczania aniołów – czysta arytmetyka. Określenie koordynat „punktów zaczepu” wedle wskazań mojej aparatury... no, rozumie pan, prawda? Mimo to oficjalnego zezwolenia na takie eksperymenty profesor nie posiada, więc poprosił mnie. Ja nie jestem stalkerem, a posiadam status oficjalnego uczonego, tytuł naukowy, więc i w przypisach umieścić mnie można.

– A czemu Hołowin nie może sam przeprowadzić swoich pomiarów? To ja myślałem, że on tam wszy stłkch po kłtchch rozstawia...

– No cóż, intrygi... Co ciekawe, jemu również patrzają na ręce. Przecież ten cały Serczew – jak pan myśli, jaką funkcję tam pełni? Czy takim zajmuje się przy Hołowinie?

– Panu jakoś nie przeszkodził w filmowaniu.

– Próbował, to pan po prostu nie zwrócił uwagi.

– No dobra już, dobra...

– Hołowin mówił mi, że wysłał w ten rejon jednego ze swych pracowników pod ochroną dwóch żołnierzy, ale wszyscy przepadli bez śladu. To było jeszcze przed zagładą starej bazy, sły-szał pan tę historię?

– O bazie naukowców? Jasne, to głośna sprawa była.

– No więc, wyszło tak, że samo zaginięcie laboranta i ochrony udało mu się zatuszować, jako że historia z zagładą bazy była dość znacznie... ee... poważna... lecz Hołowinowi zabroniono prowadzić pomiary w rejonie porzuconej stacji radiolokacyjnej. Jeżeli zrozumiałem właściwie, to szykowano nową ekspedycję, ale...

– Aaa...! – Teraz złapałem. – To dlatego wojenstalkerzy mieli mapy pod ręką, po prostu już się szykowali. Dostałem od tego lejtmanta paczuszkę... zaraz, gdzie ja...

– Tak, tak, niech pan koniecznie mi ją pokaże. Zielona taka.

Cholera jasna – zielona. A przekonany byłem, że paczuszka była ciemnobordowa. Niech Zona pochłonie tę moją przypadłość! W przesyłce od Siwuszowa były plany – rzuty izometryczne korytarzy komunikacyjnych, dość duże i skomplikowane. Papier świeżutki, odwrotna strona biała, aż oczy boją, ale rysunki wyglądały na dość antyczne – czyli kopie z oryginałów sprzed wielu lat. A więc wojskowi się szykowali, na zaś wykopalni starzyzną z archiwów. Dietrich i Kostik nie zainteresowali się planami aż tak bardzo, gdyż jeśli wierzyć Tarasowi, były to plany jakiegoś większego kompleksu, a nasz porzucony nadajnik znajdował się gdzieś na jego obrzeżach i trzeba go będzie

jeszcze znaleźć. O ile zrozumiałem, dokumenty zebrali mundurowi z dowództwa wojsk regularnych, czy li jeszcze przed utworzeniem korpusu stalkerów wojskowych.

– No dobra, a tutaj w obozie co nowego? – zwróciłem się do Kostika. – Jakie wieści? Jak interesy?

– *Ta szczo... Zbroju ja prystroił, insze takoż... Z kampiuterczykami łysze ne ad razu hroszy atrymajemo, cej Kitajec dapamih, s chłopcami ka Chwastu wi dysłał, toj, nybta, zacikawlienyj. Chłopcy u Kuferak pijszli, czerez dobu czy dwi pawernucca. Ty mejl Bradatamu kiń.*

– A, czyli wszystko pójdzie przez Brodatego... – Genialny mechanik najpierw przekopie pamięć PDA pod kątem interesującej informacji, a potem wyczyści dane i komputerki sprzeda. Przecież oni tam w Kuferku ostro się wzięli za handel, skoro wzrósł popyt na PDA.

– Bandy ci więcej nie podchodzili?

– *Ta nii.*

– A co z Paszą?

Kostik wyraźnie zmarmotniał.

– *Zwidsy paczynajuca pahany nawyny... Pawlyk znów w toj raspadak naladyłsa, de kistki... nu, w toj samyj.*

– Ożeż, patrz, cholera! Sam poszedł?

– *Samy... – Kostik odwrócił się tyłem. – A ja szczo? Ja was powynen buł zustryty. Zi zbrajeju, jak i kazaly. Pawlyk toj... nu, win liudyna prapaszcza, trup wże. Ja takich wże baczył, ta ji ne raz... takich z oczyma pustymy.*

Zamilkliśmy. Przyznaję, ja też spotykałem na swej drodze ludzi takich, jakim stał się teraz Węglarz – Zona jedna wie, jak to tam z Buciorem mu się ułożyło. Może się pokłócili, może Pasza czymś towarzysza uraził, tamten uniósł się honorem i sama poszedł na Wysypisko – a teraz Pasza się dręczy: a może gdyby wtedy ustąpił, odpuścił, z Buciorem się rozmówił, to nie chodziłby tamten na spacer po nerwówce i nadal byłby żywy. Nie wiem, jak tam u nich bywało, ale Węglarz teraz już nie zazna spokoju, a trzymać go siłą nie ma sensu – i tak będzie ciągle wracał do Doliny Kości.

Dietrich ziewnął wyjątkowo przejmująco, rozmowa urwała się i milczeliśmy już do samego obozu na Wysypisku. Poszedłem pogadać z Kitajcem, opowiedziałem mu o udanym przekazaniu Wasilija Gieorgijewicza w składną bezlitosną ręce prawa i sprawiedliwości, a kiedy przytupałem wreszcie do naszego autobusu, Dietrich już chrapał jak najęty, więc i ja poszedłem bez szczególnej kłopoty w jego ślady.

Niedobrze, rzecz jasna, że Pasza poszedł sam jeden do Doliny Kości... ale w sumie to przecież dorosły jest. No i poza tym nie raz i nie dwa już tam chodził, może i tym razem mu się uda. Z tą kłojącą myślą zapadłem w objęcia Morfeusza i spokojnie jak dziecko przespałem do samego rana.

Obudziliśmy się na szarym końcu. Dietrich i Kostik zdążyli wyciągnąć wydruki z pakietu od starszego lejtnanta Siwuszowa, a teraz łapiąc się nawzajem za ręce, pokazywali sobie zawijasy i esy-floresy, kłębiące się na karcie. O kawie, jakżeżby inaczej, nikt nie pomyślał. Jeśli dobra mamusia-kwoka Ślepy sam nie robi, to kawy naszej powszedniej nikt nie da nam dzisiaj.

Usiadłem, drapiąc się po całym ciele w ramach minimum porannej toalety, której staram się w miarę możliwości nie zaniedbywać. Spytałem się kiedyś stalkera Pietrowa, dlaczego się nigdy nie myje, a stalker Pietrow sensu pytania nie pojął.

– Węglarz nie wrócił przy padkiem?

– *Ne baczyly – mruknął Taras, nie odrywając wzroku od mapy.*

Włączyłem PDA, poszukałem sygnału Paszy – cicho, pusto.

– Van de Meer, czy mógłbym pana prosić...?

Dietrich ma o wiele mocniejszy sprzęt, może jemu się bardziej poszczęści.



– Próbowałem pół godziny temu, ale bezskutecznie – odparł uczony. – Poza tym, jeśli znajduję się w rejonie ślepej plamy, to i tak go nie zobaczymy.

– Tacyście mądrzy. To skoro wszyscy są tak strasznie zajęci, to idę porannych plotek posłuchać.

Przespacerowałem się w tę i we w tę po obozie – nuda. Kitajec już wyruszył, spotkałem kilku znajomków, ale chłopcy też wybierali się na rajd. W sumie, po co czas tracić... W naszym autobusie narada dobiegła już końca, Kostik rozłożył się w półcieniu pod przerdzewiałą burtą z czyszczeniem broni, Dietrich znowu rozłożył na porwanych siedzeniach swoje przenośne laboratorium i pracował z zapalem. Wychodziło na to, że tylko ja tutaj bumeluję. No i dobrze, wcale mnie to nie martwiło. Sprawdziłem skrynkę poczty – no tak, list od Lariski z nieprzeliczoną ilością emotikonów. Wygląda na to, że przyszywana kuzyneczka teraz co wieczór będzie mi wysyłać elektroniczne uśmiešky. Wyobraziłem sobie, jak Larik siedzi z nosem w ekranie i starannie wstukuje paluszkami tekst. I wargę pewnie ząbkami przy gryza... Cholera, jednak miło, jak ktoś o człowieku pamięta.

– Van de Meer, a pan koresponduje ze swoimi? Z rodziną, znaczy?

– Oczywiście, w czwartki wysyłam do nich listy.

– Co czwartek? Jak w rozkładzie jazdy? A żeby czasem środa albo piątek – nu, nu, nu?

Dietrich podniósł zmęczony wzrok znad urządzeń, podrapał się po nosie.

– Ustaliśmy, że czwartki. Tak jest najwygodniej. Żona odpowiada w niedzielę wieczorem, więc ma dwa dni, żeby przemyśleć sobie odpowiedź. Panie Ślepy, przepraszam, ale potrzebuję jeszcze półtorej godziny, żeby uporządkować dane.

– *Nasz szpyhun hotuje szyfrowku w razwidcentr* – rzucił Kostik z zewnątrz. – *Ne zwazaj. Jidy ty kraszce da mene, ja takoz telehrammu aderzał.*

– Jaki telegram?

– *Nu, pamiatajesz, my pytali Hoszu, z kim Pustawar razmauliał? Szob marszrut znajty?*

– A, tak... – Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny tyle się wydarzyło, że faktycznie o tej prośbie zapomniałem. – No i co tam Kary?

– *Tak szczo... win ne może cim podijam bahato uwahi prydylyty, bo liudy że usjo baczać...*

Rzecz oczywista. Jeśli Gosza zacznie na pełny zycher zajmować się rabunkiem, to ludzie pomyslą, że ostro go ktoś skubnął. I to poważni ludzie tak pomyslą. Nie, to Goszy naszemu nie na rękę – wszyscy powinni wiedzieć, że u Karego wszystko gra i buczy, a nawet jeśli zdarzają się drobne nieprzyjemności, to w najmniejszym stopniu go to nie wzrusza. Ot, drobnostka, pierdółka, psy szczekają, karawana idzie dalej. Znaczy się Gosza może wyjaśniać tylko po cichutku, żeby w oczy się nie rzucać ze swoimi ruchami.

– No ale czegoś się dowiedział, prawda? No już, dawaj, co w tym twoim *telehrammie*?

– *Chamjaczyna cej tolstyj, Pustawar, win pa baram chadył, to w adnomu misci na sto hramil szzybaje, to w inszomu. Bucimto ne lysze Demjanu szczo z PDA skinul, buly szcze chlopcy. Paczał cej Dima z sjerioznych misć, zi Żór jaho na pidsracznikach wynesły, u Czarki win z jakimś nowieńkim buchał, krapli swaji kapał...*

Żór to szpanerski lokal pierwszego sortu, Czarka na Czarnoby lu-6 też jest *pro i über*, tamtejsi nawet do stołu Pustowara nie dopuszczali, ale jakiegoś żółtodzioba sobie, znaczy, wyhaczył... i za stówkę jedną, drugą wcisnął mu koordynaty rzekomo porzuconego towaru.

– A gdzie potem jeszcze Dima osobiście handlował?

– *Ta szo ja tobi budu perekazyty? Biery ta czytaj!*

Kostik odpiął z przedramienia i podał mi PDA – co prawda na monitorku wyświetliła się nie skrytka pocztowa, a plik tekstowy z fragmentem listu. Oczywiście nie miałem pretensji, może i Kary pisał tam coś, czego daltonistom nie wolno było czytać, no ale pewnie tak trzeba. Zagłębi-

lem się w lekturę... No tak, lista jakiegoś tuzina przybytków w miasteczkach w pobliżu Kordonu. Co ciekawe, Dima Pustowar szedł po krzywej w dół – od najdroższych lokali aż do naszej Gwiazdy. No jasne, nasza baza należy do tych skromnych ch przecież, jeszcze by czego... Obok nazw widniały daty i okazjonalnie rozmówcy naszego ptaszka. Z trzech stalkerów, wspomnianych w mailu od Goszy, znałem tylko jednego – Loszę Glacę. Nie to, żeby m jakoś blisko znał, ale parę razy się spotkaliśmy, miałem też jego namiary w sieci. Dwóch pozostałych nie znałem. Jasne, że Pustowar nie tylko ze wspomnianymi rozmawiał, ale o tych Gosza wygrzebał informację.

Oddałem Kostikowi komputerkę, chwilę pomysłalem... i szybkoitko wkłapałem wiadomość do Glacy: „Losza, siemanko! Chłajeś z Pustowarem? Uważaj, on Demianowi też koordynaty chabarru myknął, a Demian połaził i tam się przekręcił. Ślepy”. Ot tak, żeby od czegoś w ogóle zacząć.

Z autobusu wygrzebał się Dietrich.

– Ślepy, nie ma pan wody? Manierka pusta, a muszę popić... jakoś się... e... słabo czuję.

W rękach van de Meer obracał dobrze już mi znane pudełko tabletek, a wyglądał nasz ryży faktycznie marniutko. Zestrachalem się, zacząłem grzebać w plecaku, szukając zapasowej butli.

– Czujesz, Slipyj, mene szczo toże jakto nie toj... – zauważył Kostik niepewnym głosem. – Niby tysk pidwyszczenyj, ci szczo. Tak-to ja nikoly ne chwarij, a tut szczo...

Wskłchałem się w swoje odczucia – i dopiero teraz poczułem. Nie jestem na „te sprawy” jakoś szczególnie wyczulony, ale i chwalić się nie ma czym... przecież doświadczony stalker powinien wcześniej wyczuć nadchodzącą emisję! A zresztą, na cholerę mi te pióra, ja tam do samego-samiusieńskiego początku przedstawienia światła & dźwięk nigdy nic nie czuję – ja przecież nie człowiek, a artefakt.

– Dobra, dobra, migiem się zbieramy. Trzeba wiać. Van de Meer, pan tabletki łyknie i szybkoitko zbiera te swoje wuj-e-muje-dzikię-węże.

– Hę?

– Mówię, manatki niech pan zbiera, pora podać tyły. No, sprzęt pan pakuj, fersztejen? Kostik, weźmiesz plecak van de Meera?

– A szczo? Czamu ce...?

– Emisja nadchodzi. Popatrzcie sami, obóz już się zwija, musimy się gdzieś schować.

Jako żywo – gdybym nie zaangażował się tak w pracę pseudodetektywisty czną, to dawno już bym zauważył, że stalkerzy wracają do obozu, pakują chabar i szykują się do drogi. Emisję, jak Ministerstwo Opieki Zdrowotnej ostrzega, należy przeczekać w bunkrze albo jakiejś piwnicy, a im głębiej, tym lepiej.

– A kudy pijdemo?

– Wydaje mi się, że do Kuferka... Przecież tam nasze PDA wysłałeś, nie? Od razu od Brodatego kasiorę weźmiemy.

– A ustyhniemo? Profesar nam zawsim blidnyj, a Kuferak dalecznioko...

Van de Meer szybkoitko spakował się i już wyszedł z autobusu, ale tabletki rzeczywiście nie pomagały, Dietrich wyglądał marnie.

– Masz rację... Dobra, bierzemy manele i naprzód marsz, jest jeszcze parę miejsc bliżej. Dokąd zdąży my dojść, tam zrobimy postój.

Przyuważyłem, że ryży znowu zaczy na macać się po kieszonce z lekarstwami, trzępnąłem go po rękę.

– Panie van de Meer! Nie pora słabościom folgować! Na moich oczach się pan w narkomana zamieniasz... Proszę oddać plecak Kostikowi i ruszamy.

Dietrich popatrzył na mnie mętnymi oczami.

– Ja... już, zahaz... – A sam paluchami lekarstwa smyra.

– Bydlę z pana najgorsze, van de Meer, to nie pańska choroba, tylko emisja nadchodzi, a pan

ode mnie bardziej wychylony. O, Kostka też już zaczyna giąć, normalna rzecz. Lekarstwa tu nie pomagają, trzeba się schować. No już, szybciej, szybciej...

Jakoś udało nam się podzielić ładunkiem i w końcu podpięliśmy się pod kolumnę stalkerów wychodzących z obozu. „Kolumna” to szumnie powiedziane, tak naprawdę nasza brać rozchodziła się na cztery wiatry, przy czym większość skręcała ku północy – ale tam zaczynało się terytorium pod kontrolą Powinności, a dzięki Dietrichowi i jego porywczemu temperamentowi drogę tamtędy mieliśmy zamkniętą. Trzeba było więc ruszać na wschód, tam całkiem niedaleko była stara ferma, może się uda schować w piwniczce. Niebo zaczęło ciemnieć – ale nie tak, że zasnuło się chmurami, o nie. Przesztwór nad głową zaczął nabierać niemalże wyzwalnego ciężaru, robić się dziwnie gęsty, jak gdyby bogowie Zony giganty czy mi pipetami zakraplali atrament w akwarium na wysokościach. W głowie poczęło huczeć, nogi zrobiły się jak ołowiane – o, zaczęło i mnie rozbierać...

Kostik złapał Dietricha pod ramię, ten nawet już nie protestował, ja prawie przemocą zerwałem Tarasowi z ramienia i zarzuciłem sobie na plecy pakunki naukowca i, o ile było to możliwe, wyciągałem nogi, żeby wysunąć się na prowadzenie. Emisja czy nie, anomalii nikt nie powyłączał, więc trzeba było ostrożnie stąpać, popatrywać na detektor i obserwować potrzaskany asfalt drogi.

Szedłem pierwszy, za mną dyszący ciężko Taras ciągnął zipiącego Dietricha.

Przed nami nikogo już nie było – ci, co poszli do Powinności, skręcili na rozstajach, a ci, co na wschód, wyprzedzili nas na tyle, że straciliśmy ich z oczu. Rozległ się odległy huk – przedziwne wrażenie, nigdzie poza Zoną czegoś takiego nie spotkałem. Dźwięk dochodził nie z zewnątrz, a jak by rozdził się gdzieś w głębi czaszki, wprawiając kości w rezonans i powodując niekontrolowane drzeszcze.

– Co to takiego? – zdołał wymamrotać van de Meer.

– Zona, co by innego? No już, nic, nic... Potem opowie pan Poszukującym, że głos boży sły-szał. Spokojnie, bez pośpiechu, zdążymy.

Ostatnią uwagę rzuciłem, bo Kostik nasz człowiek z żelaza, tak wyrwał naprzód, ciągnąc Dietricha, że zaczął mnie wyprzedzać, a tak nie wolno – doskonale pamiętałem, że z przodu na drodze czają się dwa „grawikoncentraty”. No, co najmniej dwa, a teraz, przed samą emisją, niczego się nie da przewidzieć, anomalie mogą zacząć przemieszczać się w zupełnie zaskakujący sposób, mogą zniknąć, a mogą i pojawić się nowe...

Parędziesiąt kroków przed nami na drogę wypadł ogromniasty prypec-kaban, zaryczał i rzucił się w krzaki po drugiej stronie. Jego śladem, pochrumkując, rycząc i kwicząc, popędziło stado – jakiś tuzin sztuk, jeśli liczyć przenikliwie piszczące warchlaki. Zarośla na poboczach w mig przestały istnieć, rozerwane, poszarpane szablami i wdeptane w grunt ciężkimi racicami.

Zastygliśmy na miejscach, unosząc broń – ale stwory nawet nie patrzyły w naszą stronę, leciały gdzie je ślipia poniosą, pośród nich zauważyłem niezgrabnie przebiegającego chudym, pajęczymi odnóżami i mięsaka. Ot, kosmopolityczna brygada by dła się zebrała.

– Naprzód! – krzyknąłem, gdy stado przeleciało przez drogę i skryło się w zagajniku. – Może to już spędy się zaczyna, szybciej!

Rzuciłem się naprzód ostatkiem sił... Fortuno, bogini moja, czemuś mnie opuściła? Zali na wiernego sługę twoego czeka przytulna piwniczka?

Zza pleców doniosło się urywane ujadanie – najwyraźniej za stadem pędziła też sfera ślepaków, ale na tę drobnicę już nie traciłimy czasu, ołowiane niebo osiadało coraz niżej i niżej, jak gdyby chcąc spaść na głowy, przy cisnąc, zmiażdżyć i rozsmarować po asfalcie.

Przed nami widniały już pozapadane eternitowe dachy, gwałtowny poryw wiatru zerwał z drżących topoli kilka garści liści, podrzucił wirem ku nalanemu purpurą niebu, cisnął nam w twa-

rze, kilka z nich wpadło w anomalie – pole grawitacyjne ściągnęło je w dół, przycisnęło, wprasało w pełnięcía asfaltu. Nie miałem już sił krzyczeć, więc złapałem tylko Kostika za rękaw, pociągnąłem drogą dookoła.

A za poboczem porośniętym równym rzędem topoli stały szarobure hale – ot, i nasza ferma. Skręciliśmy z drogi, idąc przez stratowane krzaki ku budynkom, ja pierwszy wsunąłem się w wiatrolap przy wejściu, zaczępiłem połą kurtki o zardzewiały skobel. Oczy przy wykłe do światła ledwo widziały w ciemnym wnętrzu, chociaż Zona zaglądała ciemnymi niebiosami poprzez szczeliny w dachu. Wyciągnąłem z kieszeni kilka śrub, rzuciłem na osłep, nie celując... chyba czysto. Może to zły znak? Mówią, że zanim kogoś emisją nakryje, to anomalie niby znikają. Dziwne, pewnie – niby kto tam wie, jak jest z anomaliami? Widział ktoś początek emisji i przeżył? No ale tak ludzie mówią, a ja nie wiedzieć czemu wierzę.

– Szukajcie, szukajcie, piwnica potrzebna... – wychrypiałem, ledwo mogąc mówić w gęstniejącym gwałtownie powietrzu. – Musi tu gdzieś być...

Kostik puścił rękę van de Meera, uczyony osunął się na podłogę. Wygrzebałem kilka śrubek i ruszyłem głębiej, przestępując leżące krokwie i góry najprzeróżniejszego śmiecia. Za mną zgrzytał eternitem Kostik, szukając zejścia do piwnicy pod płytami połamane go poszycia. Ale tak pamiętałem, że gdzieś tam dalej... no właśnie, jest! I próbników nie trzeba było rzucać, czysto. Poznałem właz chałupniczej roboty, bandyci kiedyś próbowali tu schron sobie urządzić, ale już dawno nasi ich stąd wywalili, a piwniczka została.

– Hej, tutaj! Kostik, dawaj do mnie profesora!

Zrzuciłem z kłapy przegniłe deski, złapałem za zaimprovizowany uchwyt – kawałek dechy, przybity do włazu wielkimi gwoździami. Napiąłem się, odciągając na bok właz, który zasurzał o podłogę – na dole poniewierała się drabina z sześciu, siedmiu deszczulek przybitych do koślawych gałęzi. Ktoś ją przewrócił, skałać trzeba będzie... Zrzuciłem desczak, chwilę wsłuchując się w ciszę piwniczki; w takiej norze diabli wiedzą, co może siedzieć.

Kostik pociągnął van de Meera, zapytał:

– *Slipyj, a czomu nebo take czerwone?*

– Czerwone? A skąd mam wiedzieć, ja daltonista jestem. Uważaj, będę teraz zesłakiwać, a ty z kałasem mnie ubezpieczaj.

– *A tam szczo?*

– Mam nadzieję, że nic.

O tym, jak mogłoby wyglądać potencjalne „coś”, nawet nie mówiłem, bo i po co? Rzuciłem jeszcze okiem w górę – widoczne poprzez dziurawy dach niebo wyglądało niczym otwarta rana, nie wiedzieć skąd pojawiły się myśli pełne sączącej się krwi i ropy... Tfu, paskudztwo. W głowie mi dudniło, ręce wyczuwalnie drżały – oj, szła emisja, szła, tylko jej patrzeć. No, Fortuno... w tobie moja ufność. Przerzuciłem empepiatkę na plecy, przykucnąłem nad włazem, spuściłem nogi, złapałem się za spróchniałą futrynę... i skoczyłem. Upadłem na lewy bok, przetoczyłem się, sięgając po broń, odskoczyłem w prawo. Cicho. Zapach pleśni... Tutaj wpływ zbliżającej się emisji był nieco słabszy, więc docierały do mnie zapachy. A dźwięki, na szczęście, nie docierały, bo każdy mógłby oznaczać problemy.

Latarcki nie włączałem, bo wszystko, co znalazłoby się poza obrysem plamy światła, byłoby niewidoczne. Już lepiej tak... W końcu oczy przyzwyczyły się na tyle, że zacząłem zauważać, jak przesuwają się cienie od ruchów Kostika nad włazem. Cicho, spokojnie – dzięki ci, o łaskawa bogini. Odwiesiłem na bok rozpylacz, wzięłem się za stawianie do pionu drabiny – krew zaszumiała w uszach, końce stuknęły o drewnianą ramę, wysuwając się nieco na zewnątrz; no tak, jasne, po co drabinę zrzucili, inaczej by się właz nie domknął. Bujając się z drabiną, spojrzełem ku górze – aż oczy zaboląły! Ciemne niebo, niczym gęsta, tłusta masa sączyło się przez podziurawioną da-

chówkę, wciskając się wszystkim szczelinami... Kostik podał mi plecak, potem karabin Dietricha, w końcu samego uczonego. Gdzieś na wysokości narastać zaczęło głuche wycie, wibrujące niskimi częstotliwościami. Wzięłem na siebie ledwo ruszającego nogami i rękoma van de Meera, ściągnąłem po szczeblach na dół, potem odsunąłem się, pozwalając zejść Tarasowi, który zasunął za sobą właz, opierając go o sterczące z dziury konary. Dietrich dał radę włączyć latarkę, zamontowaną na sztywnej obręczy wokół kaptura, szeroki promień światła wyłuskał z ciemności stopy gnijącego śmiecia, porozwalane skrzydła, rozprute puszkę po konserwach, połamane jednorazowe naczynia i temu podobne zdobycze cywilizacji.

Podczas gdy van de Meer się rozglądał, do spółki z Kostikiem ostrożnie opuściliśmy drabinę, tak żeby właz akuratnie się zamknął – i od razu zrobiło się lżej.

Potrzeba było co najmniej piętnastu minut, żebyśmy uświadomili sobie, że gdzieś tam, na zewnątrz, szaleje emisja, a my czujemy się piekielnie źle – a i tak już było lepiej, jak tylko znikł widok tej przelewającej się nad głową tłusto-krwawej galarety... Leżeliśmy na podłodze pośród kulek spleśniałego, zawilgoconego śmiecia i byliśmy za to wdzięczni opatrności. Ja osobiście nie czułem ani rąk, ani nóg, rozpląnąłem się, wciskając w szarą masę, zamieniając we frakcję składową próchna, mieszając się z zimnym, wilgotnym brudem i czując się z tego w pełni zadowolony... Żeby zrozumieć mój stan jak należy, trzeba by chociaż raz znaleźć się w strefie rażenia emisji.

Potem powoli zaczęły wracać zmysły – ponownie poczułem swoje ciało i zrozumiałem, jak się umęczyło, biduła. Krew pulsowała w skroniach, serce biło podobnym, nierównym rytmem, palce się trzęsły... Pewnie moi towarzysze czuli się podobnie, w każdym razie van de Meer zaszargotał coś po germańsku, więc ni cholery nie rozumiałem – za to Kostik bez śladu akcentu oświadczył:

– Dwie flaszki mamy.

– Że co...?

– No przecież mówię – wódki. Tej, co bandziory ją mieli, nie sprzedałem, została się. W plecaku u mnie leży. Ot, czułem coś...

– Dawaj!

– Zaraz... plecak mój gdzie? – Kostik zaczął kręcić się gdzieś w ciemności, brzęknęło szkło.

Twarz van de Meera miała odcień lekko sinawy, trzeba było mu wódkę do ust siłą wlewać – tak Zona a prawdą to nawet nie protestował, po prostu nie mógł utrzymać kubka w ręku. Z Kostikiem szybko nalaliśmy na drugą nóżkę... Gorzała nie pomogła, ale odczucia organizmu powoli się zacierały, zaczęło się wydawać, że trzępie nie po emisji, a po marnej wódzce. No, zgodzicie się chyba, że to zupełnie inna bajka, jeśli od dziadowskiej siwuchy – to przydatność zwyczajna, powiedzielibyśmy wręcz, że dobrze znana i bliska sercu.

– Spytali stalkera Pietrowa, czym się bandosy od wojaków różnią. – Z zaskoczeniem odkryłem, że język mi się płacze. – A on na to: Wojskowi wódkę lepszą mają i towaru lepszego na nich się nabiera... a poza tym to niczym.

– Niezabawne – skomentował Kostik

– Ale prawdziwe.

Dietrich westchnął zniemacka, światło jego latarki zatańczyło po sklepieniu piwnicy.

– Jak się pan trzyma, van de Meer?

– Co za paskudztwo mi podaliście?

Przemówił, i to po rusku! Dobry znak

– A co niby?

– Najpierw zdawało mi się, że Zona z zewnątrz na mnie ciśnie, a teraz to samo od środka...

*Herr Gott*, co za syf... Ślepy, da pan wody, bo zdechnę.

Latarka zaświeciła w szeroko pojętym moim kierunku, nalełem do kubeczka, drżącego w wyciągniętej z ciemności ręce.

– Ożyj i walcz...

Dietrich wysiorbał płyn i rzucił ponuro:

– Chociaż z drugiej strony, lepiej, gdybym zdechł.

Gdzieś ponad nami przewalała się emisja, ale Dietrich miał rację o tyle, że podła gorzała nacisnęła organizm od środka, niwelując różnicę ciśnień. Docierały do nas uderzenia piorunów, ale nie byłem w stanie określić na sto procent, czy to dźwięki realny, czy też moje ciało reaguje tak na emisję, próbując anomalne odczucia zmieniać we wrażeń dźwięku, który podświadomie zawsze wiąże się ze wstrząsem, zagrożeniem i zniszczeniem.

Kostik podobnie jak i ja, może nie to, że do normy wrócił, ale jakoś mu się poprawiło; tak czy inaczej, przeszedł na ukraiński.

– *Śpij, czujesz, ja cju kliatu horylky koly widkorkował, to kryszku zahubył...*

– A tam, Zona nakrętkę brała. Zgubiłeś, to trudno.

– *Nu, a resztki? Dopyty treba...*

– Dawaj. Takse myślę, gorzej, jak jest, to już nie będzie.

Taka prawda – gorzej już być nie mogło. Tyle podłego bimbru na raz by mój biedny organizm bez ekscesów normalnie nie przyjął, ale teraz najwyraźniej nie do francuskich frymuśności mu było. We łbie zaszumiło, świat popłynęło... pamiętam, że ubawiłem się, jak van de Meer zaczął skakać – tak się bujało światelko jego latarenki! A potem jakoś do mnie dotarło, że to mnie głowa lata, a Dietrich leży bez ruchu... i jeszcze bardziej mnie głupawka wzięła. Chichotałem, nikt nie zwracał na mnie uwagi...

Nie pamiętam, kiedy dokładnie zaczęło mi się w głowie przejaśniać – kilkakrotnie starałem wziąć się w garść, a potem znów staczałem się w otchłań niepamięci. Coś mi się śniło jakby – ludzie, cyfry, formy, kształty... Kiedy w końcu poczułem, że zaczynam coś kojarzyć, w schronie wisiała martwa cisza. Kostik spał, równo posapując – ot, żelazny organizm. Van de Meer coś kombinował, szeleścił w ciemnościach sztywnym materiałem kombinezonu; lampkę musiał zgasić, pachniało wilgocią i zgnilizną. Tu i ówdzie, niczym ognie świętego Elma, lśniły blade plamy pleśni.

Wraz z odczuwaniem otaczającej mnie rzeczy wistoci przy szedł pełny zestaw objawów syndromu dnia następnego. Wyciągnąłem z plecaka i wydudliłem na raz puszkę energetyka.

– Panie Ślepy, doszedł pan do siebie?

– No, przecież nie zasypiałem. Chyba.

Jak siedzisz pod emisją, to nie ma większego znaczenia, czy jesteś przytomny, czy nie, a tym bardziej nie liczy się, co na ten temat sam myślisz. Emisja rozpuszcza w człowieku wszystko: myśli, uczucia, pamięć, odczuwanie czasu...

Dietrich milczał, szeleszcząc kombinezonem, a potem oświadczył:

– Emisja już przeszła, jak sądzę. Tak czy inaczej, nie czuję się już tak źle.

– Życie jest piękne, panie van de Meer. Niezależnie od wszystkiego, piękne jest!

– Mówi pan nieszczerze. Cóż miałbym odpowiedzieć?

– To pan tu uczony w piśmie, to pan powinienes być sceptykiem. Ale tym razem proszę mi uwierzyć na słowo.

– Może lepiej byłoby wy dostać się na powierzchnię?

– Kostik śpi... może i pan by snu trochę złapał?

– Preferowałbym odpoczynek na zewnątrz.

– Niebezpiecznie. Wyjście z ukrycia to ryzykowna sprawa... Po emisjach z centrum Zony przemieszczają się mutanty, czasami zdarza się też spęd, kiedy stada zaczynają się mieszać i po-

tem gnają przed siebie, nie patrząc nawet którędy, wszystkie gatunki razem. No i do tego teraz mogły poprzesuwać się anomalie, trzeba zachować najwyższą ostrożność. Nie wiadomo, co gdzie wyskoczy.

– Interesujące. Czyli anomalie pojawiają się tam, gdzie przed emisją ich nie było?

– No... Tak. Chyba.

– A tutaj, pod ziemią? Tutaj też mogą się pojawić? A tutaj, w miejscu, gdzie siedzę?

– Teoretycznie jest to możliwe. Ale praktycznie – pojęcia nie mam. Jeżeli ktoś miał nieszczęście znaleźć się w punkcie pojawienia nowej anomalii, to raczej o tym nie opowie.

– Znowu odbieram na PDA wyraźny sygnał. Podczas emisji były silne zakłócenia, niewiarygodne wręcz odchyły. A co się działo z polem magnetycznym...

– A pan co, pracował czy jak? – No, nieźle, nieźle. – Pracoholik z pana...

– Ależ włączyłem jedynie tryb rejestracji na aparaturze. Poszukujący mogą sami w głosie Zony szukać swojego Słowa, ile tylko będą mieli ochotę. W pewnym sensie to wyjątkowe szczęście dla mojej delegacji, że trafiliśmy pod emisję... ale teraz już myślę, że pora wychodzić na powierzchnię.

– Ale Kostik śpi...

– *Ne spliu ja. Treba wychadyty, mabuć. Ce primiszczeniia meni ne padabajecca.*

– No popatrz, a ja myślałem, że ci się spodoba. Trochę jak w naszej Gwieździe, tyle tylko, że Gosza wódkę ma lepszą.

– *A chto tabi kazał, szczo meni Hwiezda padabajecca? Dawajite, Wandemejer, pryswicić, my sprobujemo liadu widnczynity.*

Dietrich włączył latarkę, we dwóch podnieśliśmy drabinę i zaczęliśmy dźgać nią w zamknięty wąż. Bez szczególnego efektu, pokrywa nie odpuszczała, tylko drewno trzeszczało i gięło się w rękach.

– Nie, tak się nie uda; Dietrich, niech się pan rozejrzy, czy nie znajdzie się tu jakichś skrzynek albo czegoś w tym stylu, w miarę dużego.

Kostik i ja też wzięliśmy latarki w dłonie i zaczęliśmy chodzić po piwnicy, ściągając pod wąż wszystko, co tylko mogło posłużyć za budulec do piramidy – Kostik przytoczył pustą beczkę, co przyspieszyło budowę. Potem rozpedził się i zaczął coś gadać o *Dalnim Ehipiete, jak tam raby budowali piramidy*. No, i nam tutaj by jakiś tuzin muskularnych Nubijczyków nie zaszkodził...

Zbudowany przez nas śmieciowy kopiec raczej nie mógł równać się z dokonaniem starożytnych architektów, ale wlaższy na niego, daliśmy radę dosięgnąć do wążu. Naparliśmy na niego – kłapa poruszyła się minimalnie, ale coś ciężko szło, jak gdyby ktoś na górze uwalił się na wąż i przeszkadzał. Dietrich przestępował z nogi na nogę u podnóża piramidy i wspierał nas mądrymi radami – zacisnąłem zęby, żeby mu nie powiedzieć, że bydlę z niego i żeby zawarł paszczę. Wujek dobra rada, szkop jeden.

Pomału się zgaliśmy, podnosząc szarpnięciami i kłapę, i to, co leżało na deskach, kawałek po kawałku zsuwając ciężar na bok. Sapałem jak parowóz i zalewałem się potem, Kostik kłął pod nosem.

Ale parliśmy naprzód. Im dalej, tym szersza robiła się szczelina i tym wyraźniej czuć było smród. Coś leżało na włązie i śmierdziało potępieńczo... Najwyraźniej wyčerpałem przy pisaniu mi limit przychylności Fortuny. Swoją drogą, grzech narzekać – jak dotąd moja bogini nieźle się mną opiekowała.

– *Fuuuu... Ta szczo że wono takie smieriacze?! –* warknął Kostik i pchnął kłapę tak gwałtownie do góry, że ledwo zdążyłem udać, że pomagam. – *A nu, Wandemejer, drabyniu!*

Drabina podniosła się, zakłuła, do wtóru sapania Dietricha wsunęła w prześwit. Kostik jedną ręką trzy mając kłapę, drugą sterował końcem drabiny, wreszcie podparł – dopiero wtedy mo-

głiśmy złapać dech. No, dalej poszło już łatwiej, koniec końców zrzuciliśmy ciężar z włazu. Ja na wszelki wypadek trzymałem drabinę, żeby nie latała, a Kostik wylaźł na górę, najpierw wystawiając łufę kałasza i kręcąc nią na wszystkie strony.

– No i co, co tam?

– *Ta szczo... waniaje tut, ot szczo.*

Kostik wyrwał do przodu, drabina zatrzęszczała pod ciężarem naszego Terminatora, który jak procy wyleciał na górę, rzucił się na bok, przypadając do ziemi... Ruszyłem jego śladem, oczywiście nie aż tak zgrabnie. Kostik już wstawał, otrzepując poły płaszcz. W ciemnym wnętrzu baru było cicho i spokojnie, tylko „elektra” trzaskała sobie kilka kroków dalej po przeciwległej stronie włazu. Na granicy działania anomalii leżało rozdęte truchło pseudomięsaka, kończyły drgały konwulsyjnie, płowa szczecina na bokach cichutko skwierczała, zwęglając się w oczach. Nietrudno zgadnąć, co zaszło: mutant wpadł w anomalię, odrzuciło go wyładowanie elektryczne, zwierzakowi jeszcze w locie puściły zwieracze, a potem trup plasnął centralnie na właz do piwniczki. My z kolei zrzuciliśmy ścierwo z powrotem w „elektrę”... Bogini puszcza do swego wiernego wyznawcy łobuzerskie oko – ot, patrz, a mogło na ciebie trafić! Dzięki ci, o Fortuno łaskawa.

A jakie niebo było widać przez dziurawy dach...! Ach, jakie piękne, czyściutkie niebo, jasne, lazurowe... Chyba lazurowe, tak ludzie mówią. Ale nie było czasu na radość, wyciągnęliśmy plecaki, pomogliśmy van de Meerowi wyleźć na górę.

– *Szczo rabytymemo?*

Dobre pytanie, zmierzchać zaraz będzie.

– Powiedziałbym, że najlepiej byłoby tu zanocewać, ale...

Pseudomięsakostronak nam napaskudził – bodajże połowa szopy zapaprana była rzadkimi odchodami, a smród stał taki, że siekierę można by powiesić. Gdzieś w tym fetorze zdechła też druga połowa mojej myśli.

– A może wrócimy na Wysypisko? – zaproponował van de Meer.

– Najpierw stąd się wynieśmy, to nie zaszkodzi – zdecydowałem.

Powietrze na dworze było świeże, przesycone ozonem, jak po burzy, a niebo, no niebo to już naprawdę... Zdawało się, że tym osłepiającym błękitem można się zachwycać bez końca. Zacząłem wyjaśniać: do Wysypiska zdążymy przed zmrokiem, ale tam raczej nikogo nie będzie, a miejsce należy do tych odkrytych. Na dodatek po emisji może tam się zwalić od metra mutasów. Obozowisko na cmentarzyisku maszyn funkcjonuje nie dlatego, że to jakaś strategicznie dogodna pozycja, do obrony się szczególnie nie nadaje; po prostu nasi przemieszkują tam już od lat, cały czas ktoś się tam kręci, a w kupie różnie, żadne zagrożenie jej nie ruszy – podobno dlatego, że śmierdzi. No, ale to nie teraz, bo na Wysypisku prawdopodobnie będziemy jedynymi odwiedzającymi, za to mutantów znajdzie się aż nadto.

Van de Meer powątpiewał – ależ gdzie tam, nikogo teraz nie ma, żadnych mutantów. Trzeba było znowu łopatologicznie wyjaśniać, że patrz pan, fala dopiero co ruszyła z północy od Elektrowni, do Wysypiska dotrze nocą albo i nad ranem...

– *Ta szczo my hadajemo?* – wtrącił się Kostik – *Perewyrimo druhu sparudu.*

Drugi budynek? Ano, racja. Jakieś dwadzieścia metrów od ruin, w których skryliśmy się przed emisją, stała sobie druga hala, co prawda mniejsza i w dużo gorszym stanie. Ruszyliśmy tam. Ściany były mocno podniszczone, choć węgły jeszcze stały, po dwuspadowym dachu zostały zaledwie połamane kawałki belek, ale podłoga na poddaszu wyglądała całkiem, całkiem. Kostik przyniósł z piwniczki drabinę, po której wdrapaliśmy się na pięterko. Miejsce świetne, szkoda tylko, że na deskach nie da się rozpalić ogniska, ale poza tym nieźle.

Kostik, zmieszany, wyciągnął na dłoni zgiętą jak parasol, pordzewiałą zasuwę:

– *I ce, zwisna, takoz ne artefakt?*



Pokręciłem smutno głową.

– *A szcze każuć, szczo nawaczkam weze... Nu, a cja dribnycja?*

„Drobnica” okazała się być najprawdziwszym „bengalem”, o czym Tarasa uroczyście powiadomiłem. Ten rozpromienił się:

– *Tak nu, nareszci!*

Taaak, też sobie pomyślałem: nareszcie! Może teraz się Kostik uspokoi i przestanie przynosić mi każdy śmieć, jakį znajdzie?

Jak to zwykle po emisji, z początku panowały spokój i cisza – ani śladu gniewu Zony, który spadł na tę ziemię raptem godzinę wcześniej. Siedzieliśmy na szarych deskach poszycia i po prostu milczeliśmy. Cisza była taka, że aż w uszach dzwoniła – nawet wiaterek ścichł, chmury zastygły nieruchomo na tle wypucowanego do błysku nieba.

Nikt nie był specjalnie głodny, więc przegryźliśmy po sucharze, a potem każdy zajął się swoją robotą. Kostik rozłożył karabin i zgrzytał jakimś żelastwem, nucąc sobie przy tym jakąś smętną melodię – chyba po ukraińsku, słów nie rozróżniałem. Van de Meer kręcił gałkami i pstrykał przełącznikami aparatury; o ile się zorientowałem, od czasu do czasu archiwizował swoje zapiski (kto wie, może i szyfrował przy okazji), a potem wysyłał gdzieś przez Internet. Sprawa niełatwa, bo materiał spory objętościowo. Ciekawe, ile zapasowych akumulatorów ze sobą zabrał?

Tak w ogóle zamilowanie van de Meera do pracy przypomniało mi o moich własnych sprawach. Włączyłem PDA i sprawdziłem skrzynkę pocztową – Glaca nie odpowiedział. Nic takiego, ostatecznie mogło mu się dużo rzeczy przydarzyć. Może po prostu mnie nie pamiętał i wołał zignorować. A może wierzy Pustowarowi i myśli, że próbuję go wymanewrować jako potencjalnego konkurenta. Węglarz też się nie odezwał. Zrzuciłem mu pytanie: „Hej, gdzie jesteś, co tam? Mieliliśmy przecież iść razem, co jest?”

Potem wziąłem się za spam. Na skrzynkę dzień w dzień przychodzi kilka maili charakteru okładekowego (typu standardowe zaproszenie do baru Sto Radów) albo najzwyklejszych bzdur. Poza tym ostatnimi czasy rozplenili się dowcipnisie, zajmujący się rozsyłaniem wszelkiego syfu, który akurat wydał im się zabawny. Kasują te popłuczyny, nawet nie patrząc.

Jedyny mail godny uwagi przyszedł od Brodatego, który szczerogółowo – aż nazbyt szczerogółowo – wyliczał cenę bandyckich komputerów: a ten stary, a ten marny, taki, siaki... i żadnej informacji przydatnej nie było... no i cena, sam rozumiesz, taka będzie. Klócić się z Brodatym? Nie widziałem w tym najmniejszego sensu, więc całkiem odruchowo zwiększyłem proponowaną mi cenę o piętnaście procent i wysłałem lakoniczną odpowiedź: tyle a tyle rubelków i jesteś szczęśliwym właścicielem PDA i całej z nich informacji, szczególnie z tego kompa, który ma taką ryskę na boku, i weź naprawdę no, se nie myśl, że ja jestem ostatni frajer, informacja, chociaż nie jest to Zona wie co, przecież nie taka znów śmieciowa.

Oczywiście żadnej przydatnej informacji tam nie widziałem, bo i nie szukałem, a zarysowania miała każda z naszych zdobyczy. A gdzie tam, gdyby wziąć mój osobisty komputer, to nie byłoby trudno odkryć, że określenie „taka ryska na boku” też pasuje do niego jak ulał. I do dowolnego innego stalkerskiego PDA z pewnym stażem. Niebezpiecznie zakładałem, że Brodaty w elektronice i cenach radzi sobie o wiele lepiej ode mnie, więc na pewno sam wykombinuje, co konkretnie w pamięci bandyckich maszynek miałyby być warte mojej ceny. Inteligentny facet jest, znajdzie na pewno.

Podczas gdy mozinole przeliczałem wyjątkowo niewygodnie wybrane procenty, doszedł jeszcze jeden list – od Lariski. Kuzy neczka chyba faktycznie zamierza pisać co wieczór... Zmniejszyła się liczba emotikoniek – o, postęp! I w samym mailu nie było nic szczególnego – u nas wszystko po staremu, i to, i tamto, przyjeżdżaj w odwiedziny. Ach, jakie to urocze, rodzinne takie – co wieczór wymienić się nic nieznaczącymi mi ploteczkami.

– Kostik, weź sprawdź swojego maila, może Gosza coś nowego pisze?

– Trochi piznisze perewirju, ja szcze ne zakinczył.

Ano, trep stary, wiarus. Dopóki broni nie wyczyści, to nawet do niego nie podchodź. Kiedyś w dzieciństwie miałem książkę z bajkami, był tam taki stary wojak – bohater pozytywny aż do bólu, obrotny i dzielny, co mówił o sobie: „Ja żołnierz stary jestem, wiarus”. Nie wiedzieć czemu, bardzo mi Taras przy pominał właśnie tego żołnierza.

Uwalilem się na plecy, założyłem ręce za głowę i wbiłem wzrok w bezgraniczny błękit. Drobne chmurki nabrały innego koloru – od zachodu zrobiły się różowe (cokolwiek to znaczy), oświetlone promieniami zachodzącego słońca, a od wschodu ciemne, pewnie szare. Niebo z jednej strony zaczęło nabierać już barwy atramentu, nadejście wkrótce noc. Ależ cisza...

– Zona jest chorobą planety – oświadczyłem. – Nie wiem tylko, czy złośliwą, czy nie. Bywa, że wchodzi w stan zapalny, a wtedy mamy emisję – wrzód pęka, i wszystko potem zapada w letarg. Może to taka faza rozwojowa planety? Samo przejdzie z wiekiem...?

I z tą kojącą myślą zasnąłem. Obudził mnie chóralny zgiełk – wyły i zachłystywały się płaczem ślepe psy, porykiwały groźnie kabany, silny wiatr targał koronami topoli przy drodze, przedziwne, zachrypięte westchnienia i jękiwe solówki donosiły się chyba zewsząd. Dietrich dość ryzykownie wiercił się tuż obok mnie, machał swoją anteną to tu, to tam, deski pod nim skrzyślały, sypiąc próchnem. Świtało, sylwetka van de Meera wyraźnie odcinała się na tle szarego nieba. Czyli fala mutantów dotarła już od Elekrowni do nas.

– Jak tam, panie Dietrich? Ty lko brać, przebierać, co?

– O tak... – Jakoś nie usłyszałem zachwytu w głosie naukowca. A przecież tak marzył o mutantach, chciał sobie katalog obejrzeć.

– Coś nie tak?

– Jest ich zbyt wiele. Sygnały zlewają się i wzajemnie zagłuszają. – Van de Meer niemalże płakał. – Częstotliwości wariują!

– To nic, do południa wszystko się uspokoi. Jakoś pan wytrzyma. A na razie posiedzimy sobie na daszku, mutasy się przetasują, podzielą sobie strefy wpływów, wywalczą terytoria. I to wszystko na pańskich oczach!

– *Wady u nas zamako, szczob tut sydyty* – odezwał się Kostik – *Jak sonce pydyjmecca, bude żarka.*

– No, znaczy będziemy się przebijać do Kuferka albo na Wysypisko. Teraz idzie fala spędu, potem nieco się uspokoi. Żadnych gwałtownych ruchów.

I podjąłem twarde postanowienie, że jeszcze się przekimam. Co prawda marny to był sen – zwierzaki przeszkadzały. Zdaje się, że fragment naszych przydrożnych ruin upodobały sobie ślepe psy, bo co i rusz rozlegało się ich jazgotliwe ujadanie – najwyraźniej sfera walczyła o teren, odganiając nowo przybyłych. Ochrypli kwik prypec-kabanów oddalił się, ale nie ściłchł zupełnie; pewnie młode samce ustalały pozycje i formowały stada.

To zapadałem w niespokojną drzemkę, to budziłem się przy wtórze dobiegającego zewsząd dzikiego wycia i ryków. W końcu, gdy po raz kolejny otworzyłem oczy i wzdręgnąłem się nerwowo, chwytając broń, okazało się, że słońce już wychyla się zza krawędzi lasu. Kabany zniknęły – w każdym razie nie było ich słychać, tylko od czasu do czasu gdzieś niedaleko leniwie działy kundle.

Dietrich zastygł w napiętym bezruchu, trzymając przed sobą urządzenie, i powoli, powolutku wykreślał anteną kręgi, najwyraźniej śledząc coś skryte za krzakami.

– Van de Meer, aniola pan namierzył?

– Albo on nas.

– Zatem niech pan włączy maszynkę tak, żeby nas nie widział. Pamięta pan, wtedy, na drze-

wie?

– Nie jestem pewien, czy... no, dobrze.

Dietrich pstryknął przełącznikiem, a mnie wydało się, że w odpowiedzi z pobliskich zarośli rozległ się ochryply ryk – coś jakby pseudopies, ale tamten operuje w niższych tonach, prawie jak palacz w ostatnich stadiach zapalenia płuc po biegu na setkę, a tutaj coś wyższe nuty... Ale pewny nie byłem, bo jednak było dość cicho.

– *Dywycca!* – Kostik, dotąd siedzący spokojnie z kałachem na kolanach, wstał i poderwał broń.

Z krzaków wyskoczył włochaty zwierz – ze trzy razy większy od zwykłego ślepała, kudłaty, nabity, z tępym, małym ryjem i sierścią w białych plamach, jakby posiwiała. Długimi susami stworzył przeleciał pod ścianą i znów zapadł w zaroślach. Zaskowyczały psy, w krzakach coś się zaczęło intensywnie kotłować...

Kostik przesunął się na skraj naszego pięterka i złożył do strzału, wodząc lufą po obrzeżach trzęsącej się gęstwiny.

Znowu pojawił się pies, przebiegł pomiędzy krzakami a ścianą, krótko zaterkotał karabin – kule posiekały liście, a Kostik zaklął szpetnie. Ja również podsunąłem się ku krawędzi.

– Van de Meer, co panu mówi magiczna skrzy neczka?

– Przedziwna sprawa, ten pies jest... niewidzialny. Rejestruję pojedynczy sygnał, bardzo wyraźny, ale nieruchomy, do nas nic się w ogóle nie zbliża...

Koniec zdania utonął w huku – tym razem Kostik posłał bardziej szczerą serię, ale nie drażniony nawet pies długimi susami schował się w krzaki.

– *Szczo że wano szwydkie take?...*

– Czekał, nie strzelaj.

– *Ta ja jaho zaraz prytyżdu! Nu!*

– Nie strzelaj!

Wyciągnąłem z kieszeni garść śrubek i rzuciłem w siwego mutantą, znowu biegnącego ku ścianie naszego budynku – żelastwo spadło w trawę, przy czym co najmniej kilka przeleciało przez cielsko psa.

– *Prywyd czy szo?*

– Iluzja. W krzakach siedzi czarnobylec i ryje nam banię... Będzie dotąd te złudzenia wypuszczają, póki się z amunicji nie wyprży kasz.

– *Ot żeż... a de win?*

– Panie Dietrich, skąd idzie ten pański sygnał?

Van de Meer przesunął antenę w lewo, potem w prawo, pokazał ręką kierunek, coś mi się tak zdaje, że nie był do końca przekonany.

– *Widstań?* – rzeczowo doprecyzował Kostik

– Jakies dwadzieścia... pięć metrów.

Nawet słowa nie zdążyłem powiedzieć, jak Kostik krzyknął: „Padnij!” – i machnął ręką. Dietrich i ja posłusznie padliśmy plackiem na deski... w krzakach huknęło. Mój granat! Moja szczęśliwa ergiedeszka! A ja ją ze sobą wszędzie taszczyłem, niczym amulet, jako gwarancję, ręką mię tego, że nic mi się złego nie stanie... Ej, Kostik, Kostik... Jednak na głos niczego nie powiedziałem, bo przecież trochę głupio – dorosły facet, a granat ze sobą nosi, jak dzieciak pluszowego Kłapuszka do spania.

Kostik poderwał się, puścił kilka krótkich serii – w zaroślach, skowycząc, miały się ślepe psy, każdy wystrzał z kałasza powodował crescendo jęków, ale zachrykniętego warczenia czarnobyleca już nie słyszałem.

– *Prarywatys treba!* – krzyknął Kostik, wpinając nowy magazynek – *Slipyj, prykrywaj!*

Niczym Terminator w telewizji, Taras skoczył prosto w paszczę niebezpieczeństwa. Jakies pół

tuzina rudych kształtów rzuciło się ku niemu, Kostik posłał im na spotkanie długą serię, odskoczył, znów dał ognia. Przede wszystkim bałem się, że mogę przypadkiem zahaczyć towarzysza z broni, więc strzelałem ostrożnie – a przez to pułkowałem jeszcze częściej niż zwykle... ale kilka stworów dałem radę odstrzelić. Van de Meer też dołączył do nas, ale walił po krzakach, jego i moje strzały tonęły w huku akaema. Kostikowi akurat skończyły się naboje w magazynku, gdy duży, ciemnobrązowy pies skoczył mu na piersi. Taras uderzył kolbą, trafiając prosto w rozwartą paszczę, zazgrzytały wbijające się w drewno zębiska... Bach! bach! bach! – van de Meer władował trzy kule w brązowy bok. Z krzaków wypadły mniejsze mutanty – nie wiadomo, samice czy młodziaki... Te już przy witałem jak należy, stworzy polecający w trawę, zanosząc się żalonym słowem. Jeden z psów poderwał się i rzucił w gęstwinię, dwa pozostałe wiły się na ziemi, jakby próbując dosięgnąć zębami własnych, broczących juchą boków. Nie patrzyłem nawet, zmieniając magazynek.

Gdy ponownie rzuciłem okiem na pole walki, Kostika nic już nie próbowało atakować. Natomiast miarowo, metodycznie machał karabinem, trzymanym za lufę, a wbity zębami w kolbę pies latał w tę i w tę, machając łapami, ale nie rozwierał paszczęki. Kostik walił kundlem o ścianę tak, że pod naszymi nogami aż podskakiwały dechy, trzeszczały psie zębra, każde uderzenie wycisnęło z psa zduszony skowyt, z ran po kulach z makarowa tryskała krew... A Kostik tukał i tukał – wyglądało na to, że trochę spanikował, przecież każdy normalny zwierzak odpuściłby po pierwszym takim spotkaniu ze ścianą. Na szczęście, sfora nie próbowała dalej atakować, więc Taras, klnąc wściekle, raz po raz ładował w ścianę swoim biotechnologicznym cepem.

Spuściłem na dół drabinę i szybko zacząłem zlizywać z pięterka. Kiedy znalazłem się na ziemi, Kostik już przekręcił karabin, podniósł nad ramieniem i z rozmachu przyłożył tak, że łeb upartego mutanta trafił pomiędzy stopkę kolby a ceglana ścianę. Oj, zdrowo chrupnęło...

Rutęjrzałem się – w krzakach panował spokój, nie było widać ani psów, ani iluzji, tylko postrzelone przeze mnie mniejsze stworzy jeszcze wiły się na zakrwawionej trawie, ale ich ruchy stawały się coraz wolniejsze i słabsze.

Dietrich podał mi plecak i też zszedł. Kostik w końcu butem strząsnął złośliwego psa z podrapanej kolby, ale tamten nijak nie chciał zdechnąć – rzucał się, drapał łapami, trząsał połamanymi szczękami... Wyglądało to absolutnie ohydnie, łeb miał dosłownie w strzępach, mózg przemieszany z różowymi mi odłamkami kości przy każdym ruchu wyłaził na wierzch paskudną kaszą...

Kostik, klnąc z cicha, wytarł zababraną paskudztwem kolbę o trawę i zmienił magazynek. Teraz gdy broń znów była w gotowości, Dietrich wzięty się za swoje urządzonek.

– Przedzwny sygnał! Ten stwóh, popatrzcie – odbieha jakiś sygnał.

Nasz uczonek pokazywał na podrygującego konwulsyjnie ślepego psa.

– Skąd sygnał?

Dietrich pokazał ręką.

– O tam, sygnał oddala się... Ale powoli, aparatura prawie nie rejestruje zwiększania odległości.

– *A nu, jidemo!* – Kostik wkurzył się nie na żarty. – *Wandemejer, ablyszte swaju cjačku! Awta-mat bieryć, ne makarowa! Zaraz my ich, suchych synał...*

Tyrallierą ruszyliśmy przez krzaki, wodząc lufami broni z lewa na prawo. Za zaroślami rozciągała się połać burej trawy... a może, cholera, zielonej, a mi się tylko zdawało, że burej? Pośród kęp trawy leżały posiekane odłamkami truchła dwóch psów, ku drodze ciągnął się krwawy ślad. Detektor anomalii milczał, więc ruszyliśmy tym tropem. Na spotkanie rzuciły się nam zza topoli rudobrzazowe cielska, ale na ich skokodpowiedzieliśmy salwą – dwa psy zwinęły się w locie, przesyte kulami. Kostik wyrwał do przodu, ja wrzasnąłem, żeby się nie spieszył, ruszyłem za nim...

Psi-czarnobylica dopadliśmy na asfalcie; zabrakło mu malusieńkiego kawałeczka, żeby schować się w zaroślach na poboczu. Pies miał posiekany odłamkami grzbiet i przednie łapy, więc

włokły go na sobie trzy nieduże, płowe psiska, dwa kolejne – drobne, jeszcze szczeniaki – skakały ich śladem. Teraz, powolne psionicznemu rozkazowi przewodnika, rzuciły się na Kostika, ale ten dał ognia, jednego trafił w biegu, drugiego odrzucił na bok kopniakiem; pies nie zdążył odlecieć za daleko, gdy van de Meer przy szpiłił go do ziemi długą serią. Podbiegłem ku Kostikowi, poderwaliśmy karabiny i wspólnie otworzyliśmy ogień do odpelzającego stosu ciał. Kule szarpały żyłaste, suche cielsko psionika, wyrywały krwawe strzępy w pokrytych siwymi plamami bokach, pod czarnobyłcem suki skowyczały żałośnie, ale i tak twardo dalej włokły swego władcę... Van de Meer krzyczał coś, ale zagłuszał go huk wstrzałów.

Strzelałem, póki nie skończyła się amunicja w magazynku, Kostik przestał chwilę wcześniej – grupa ciał, związanych wspólnym umysłem w jeden kłębek, osunęła się na poboczu. Rude kundle już nie żyły, czarnobyłec jeszcze drgał.

– Nie w głowę! – zaskowy czał pośród tej nagłej ciszy van de Meer i sam chyba wystraszył się swojego krzyku. – Mówię, głowa mi potrzebna...

– To masz pan farta – skonstatowałem. – Akurat głowa cała.

– *Niby to szczoś meni zaważało u hołowa striliaty...* – mruknął Kostik

– No anioł, jak mi Bóg miły, anioł – dodałem, patrząc na zdychającego mutantą. – Patrzcie no, iluzje potrafi tworzyć i nawet na nas tak podział, że w jego święty łeb nie strzelaliśmy. Van de Meer, masz pan swojego anioła!

Anioł wyglądał wyjątkowo paskudnie – zębaty ryj i wysokie czoło upodabniały stwora zrazem do psa i małpy. A ta wściekłość w żółtych oczyskach... Szczecinę na bokach miał popielatą, całą w siwych placach, tu i ówdzie widziałem dziury, zaciągnięte różową błoną – albo były to jakieś parchy, albo czarnobyłce się regenerują, hodując skórę na ranach. Nawet u chleptokrwiołów tak obrzydliwie to nie wyglądało. Ale van de Meer był najwyraźniej w pełnej ekstazie. Nie zwracał na nas uwagi, opadł na kolana pośród zmiętej, zakrwawionej trawy, rozpiął plecak i zaczęła wyciągać pokrowce, futerały, pudełka i pojemniczki. Spojrzenie miał do niemożliwości poważne i nieobecne – wypisz, wymaluj szaman, szykujący się do wyjątkowo skomplikowanego rytuału.

Dietrich rozwinął pokrowiec – rulon elastycznego tworzywa z kieszonkami, w których spoczywały przedziwne narzędzia. Naukowiec w skupieniu nachylił się nad żelastwem, poruszał palcami... sięgnął po nikłowany wihajster, wyglądający jak rękojeść marsjańskiej szabli z tandetnego sajens filkszyn. Ręka w pomarańczowej rękawicy ujęła chwyt, Dietrich szczęknął blokadką, z gniazda wysunęło się zębate ostrze.

Uczony drugą ręką opuścił zasłonę twarzy swojego kombinezonu, pstryknął przełącznikiem narzędzia – trzymany przez pomarańczową rękę wihajster wydał z siebie wysoki świst, przejmujący aż do korzeni zębów trzonowych, Dietrich zawisł nad ofiarą nad ołtarzu nauki i wziął się za odpilowywanie łba. Piła gwizdała i wyła, cielsko kosmatego anioła rzucano łapami, bryzgi krwi, kawałki mięcha, chrząstki żyły leciały we wszystkie strony.

– *Tiu...* – pokiwał głową Kostik – *Jaki warwar win pan wczenyj. A ja hadał, na Zachodi usi tam humanysty i wialyky druzi pryrody.*

– No bo są. – Wzruszyłem ramionami. – Weź popatrz, jak humanitarnie psu łeb upierdala. Ja tam, panie dzieju, od ogona bym zaczął... Panie Dietrich, a ogon panu niepotrzebny? Bo ja chętnie...

– *A tabi nawiszczo?* – od razu zaciekawiał się Kostik – *Chiba win szczoś kasztuje, a?*

Rzuciłem przykładową cenę.

– *Joo-o-o-o-oo...* *Czaho że ty ranisz ne kazał? Hroszy fifci-fifci!*

Tymczasem van de Meer do końca upiłolił mutantowi łeb. Wciąż nie zwracając na nas uwagi, wyciągnął kolejne zawiniątko, też czarne – w ogóle w jego wyposażeniu większość rzeczy była

albo czarna, albo chromowana – i zaczął warstwa po warstwie rozwijać dziwny, jedwabisty materiał... aż w rękach została mu całkiem pojemna, czarna torba.

– A niby czemu fifty-fifty? – zaoponowałem, nie mogąc oderwać oczu od poczynań van de Meera. – Tobie i tak Gosza za delegację wypłaci.

– *A tobi – Wandemejer dularamy.*

– No dobra, to weź sobie ogony ślepaków, też mają swoją wartość.

Van de Meer strzepnął plastikowym workiem, rozprostowując zagniecenia.

– *Ja tak hadaju, szczo ty, Slipyj, mene hołowu durysz. Skilki kasztuje chwostryk zwyczajnaha sabajury?* – Ale Kostik i tak się zamyślił. Możliwe, że przypomniał mu się Węglarz, obwieszony ogonami ślepych psów.

– A ty sobie przelicz, ile kosztuje kurteczka, obszyta takim i ogonkami. Minus robocizna, materiał, warsztat i takie tam.

Kostik przeliczył. Kiwnął głową.

– *Harazd. To wy tut lyczyc swajich janholił, a ja pijdu po chwostryki.*

Tarasa skryły zarośla, a van de Meer w pełnym skupieniu umieścił odpiłowany łeb czarnobylskiego psa w plastikowym worku, po czym psiknął do środka jednym ze swoich preparatów. Czarny plastik wyduł się jak balon, czony szybko złączył brzegi – krańce torby sklepiły się, potem rozdęte plastikowe ścianki zaczęły opadać, ściągając się, a w końcu przed Dietrichem leżała głowa jego anioła, równo obciągnięta czarnym tworzywem, jak rzeźba, pomalowana na grubo gęstą farbą olejną. Van de Meer podniósł zachłapaną juchą zasłonę, popatrzył z zadowoleniem na swe dzieło i z namaszczeniem schował do plecaka. Na to wrócił też Kostik i przyszła pora podjąć decyzję: co robimy dalej?

– *Szczo teper rabytymemo?* – entuzjastycznie rzucił Kostik – *Ja tak hadaju, zaraz arefaktił usjudy połna. Zbyraj, nie choczu.*

– Jak to, co robimy? – Dietrich zarzucił na plecy dociążony plecak i całym sobą zademonstrował gotowość do spełniania czynów chwalebnych. – Odwiedzimy Dolinę Kości.

Westchnąłem. Jasna rzecz, van de Meer jest tu za kierownika, ma prawo rozkazywać. Umówiliśmy się, że do Ciemnej Doliny go nie zaprowadzę, ale teraz, po emisji, jego upragnione anioły łatwo będzie i tutaj spotkać. A jeżeli przez naszą polankę można do Ciemnej trafić, to i niebezpieczne mutanty najprędzej znajdziemy właśnie tam. Z drugiej strony, po emisji właśnie pojawiają się najczęściej artefakty, anomalie na nowo ładują się energią i zrzucają naddatek, wypływając te przedziwne twory. Kto pierwszy do Wysypiska dojdzie, może faktycznie zebrać niczego sobie żniwo.

– Trochę mało wody mamy – przypomniałem. – Trzeba będzie skręcić na cmentarzysko techniki, tam jest skryteczka. Jak uciekali przed emisją, to może ktoś zapas wody tam zostawił.

– *A, kamunalka* – odpowiedział Kostik

– Nno, coś jakby w ten deseń.

Pewnego razu nasi w napadzie entuzjazmu wykopali coś na kształt ziemianki pod budką stróża... albo czymkolwiek tam jest ten metalowy kiosk przy wejściu, zagrodzonym zardzewiałym szlabanem. Zataszczyli tam kilka wojskowych żelaznych skrzynek i teraz składują wszelakie barachło, typu porwane kombinezony, tanie konserwy... no, i inne w tym stylu. Różne różności, które wyrzucić szkoda, a nieść do handlarza bez sensu.

Istnieje niepisana zasada: wzięłeś coś ze składziku, dołóż w zamian coś innego. Cokolwiek nawet jakąś drobnostkę, która przynajmniej teoretycznie może okazać się komukolwiek przydatną. Dzięki temu składzik nigdy nie będzie świecił pustkami.

Ruszyliśmy poprzednią trasą – czyli starym asfaltem – ku Wysypisku. Drogi asfaltowe wygodne są o tyle, że anomalie są na nich lepiej widoczne. Da się je zawczasu wypatrzeć, szczegól-

nite jeśli uważnie słucha się detektora i odpowiednio wcześniej zauważy jego potrząskiwanie. Mutanty chwilowo nas nie niepokoiły, chociaż od czasu do czasu sły chać by ło porykiwanie nazyżaty ch kabanów i wy cie ślepy ch psów. Spęd już dawno przemieścił się na południe, zwierzaki, które zostały tutaj, zdążyły podzielić terytoria łowieckie i zwy ciężcy zzerali pechowych konkurentów. Nbiegało się towarzysstwo podczas emisji, teraz napasło brzuszy ska i odpoczy wa.

Do obozu na Wysy pisku dotarliśmy bez szczegól nych przy gód, i nawet sobie pomy ślałem, że pomysł jest w zasadzie niegłupi – przespacerować się po terenie jako pierwszy poszukujący i urządzić sobie żniwa. Problemem był tylko nocleg. Zaletą naszego obozu bynajmniej nie była jego obronność – w ciasnych zaułkach pomiędzy rdzewiejącymi samochodami ciężki jest dość odpór mutantom, tyle tylko, że miejsce prawie stałe było zamieszkałe, cały czas ktoś się kręcił, a gdzie ludzie, tam i nocować bezpieczniej... To znaczy o tyle bezpieczniej, o ile w Zonie w ogóle można mówić o jakimkolwiek bezpieczeństwie.

Teraz w obozie nie było żywego ducha. PDA milczał, nie rejestrując w okolicy ani pół sygnalu. To zaskakujące, jakie wrażenie potrafi zrobić takie opustoszałe miejsce, które się człowiek przyzwyczaił widzieć zaludnionym i tętniącym życiem. Pośród rdzawoburych skorup porzuconego sprzętu walały się strzępy zatłuszczonego papieru, brudne szmaty, góry jednorazowych naczyń... Przeważnie u nas pilnują jako takich pozorów porządku, ale teraz obóz był w takim stanie, w jakim zostawili go stalkerzy pośpiesznie porzucający niepotrzebne barachło.

– Panie van de Meer, pan ma mocniejszy PDA, niech no pan spojrzy, czy kogoś nie ma w pobliżu – poprosiłem. – Jeśli nasi nie wrócą do obozu, to nocleg tutaj będzie zbyt ryzykowny.

– Na razie nic – zaraportował ryży – ale będę zerkał co jakiś czas.

Van de Meer i Kostik poszli się rozejrzeć, a ja poszedłem do skarbczyka. Odsunąłem deskę, zająwszy się tamotą osiłą górnym ch skrzynek – do dolnych nie było sensu nawet zaglądać, nawet jeśli znalazłbym w tam wodę, to i tak zatęchła. Ale poszczęściło mi się, natknąłem się na kanisterkę, z którego rozlegało się przyjemne chlupotanie. Wyglądało, że woda pitna, będzie jak znalazł.

– *Slipyj!* – zawołał Kostik – *Dywy, szczo ce?*

Szybciutko napełniłem swój bidon, włożyłem do skrzyni puszkę kontraktowej mielonki z naszych racji żywnościowych, ułożyłem dechy i pośpieszyłem na wołanie towarzysza.

Kostik stał jak słup soli, zaskoczony zachowaniem samochodów na cmentarzy sku. Nieco dalej od wejścia maszyny zaczęły budzić się do życia po życiu.

Stary wóz strażacki, pordzewiały, pokryty łuszczącą się, wyblakłą farbą, migał lewym światłem. Prawy reflektor był wybity, a przez przeżarty korozją metal przebijała się czarniawa, poskręcana trawa. Ciężarówka z połowicznie wrosłymi w ziemię felgami próbowała włączyć wycieraczkę – przednia szyba dawno się posypała, nawet odłamków już nie było, ale porośnięte mchem czarne kikuty twardo próbowały przejechać po nieistniejącej powierzchni szkła. Po emisjach tak się zdarza – i w ogóle stare urządzenia w Zonie potrafią zachowywać się w zupełnie nieprzewidywalny sposób.

Autobus, dokładnie taki, jak ten, w który m spaliśmy poprzedniej nocy, nagle zatrząbił. Obejrzałem się przez ramię, ledwo powstrzymując krzyk – znad czarnej kierownicy patrzyła wprost na mnie włochata głowa. Widać było ostre, sterczące uszka, niczym rogi, nastroszoną grzywę, jarzące się żółto oczka... rozwarła się paszczyka, pełna ostrych zębów niczym szpikulce... Pseudopies wskoczył przednimi łapami na kierownicę, po raz kolejny zmuszając stary złom do wydania sygnału dźwiękowego. Dopiero teraz otrząsnąłem się z zaskoczenia i poderwałem do ramienia empiętkę, ale sprytna bestia dosłownie jakby wyczuła mój zamiar i błyskawicznie rzuciła się w bok, znikając w cieniach pomiędzy burtami przerdzewiałych transporterów. Znajome już zachryknięte warczenie dobiegało zewsząd, ciemne sylwetki z garbami mięśni na grzbiecie migały w prześwitach między samochodami, pokazując się to tu, to tam. Obóz objęła we władanie pokaz-

na sfora pseudopsów, która teraz, zwierając szyki, podsuwała się ku nam.

– Do tyłu! Powoli! – rzuciłem w kierunku towarzyszy. – Nie odwracać się plecami, nie biec.

Van de Meer i Kostik posłusznie stanęli ramie w ramie i ruszyli do tyłu, w skupieniu wodząc na boki lufami kałachów. Ruszyłem ku nim, ustawiłem się po lewej od van de Meera, czyniąc z Kostika zbrojne ramie prawej flanki. Na niego też poszedł pierwszy atak – trzy mutanty wyskoczyły z cienia, Kostik przywitał je nawałnicą ołowiu, pierwszego stwora trafiając w locie; dwa pozostałe rzuciły się na niego, wyciągając w skoku, wręcz jakby wydłużając się i chudnąc, niczym rozprostowujące się sprężyny... Co było dalej, już nie patrzyłem, bo kolejny pies ruszył ku mnie. Dałem ognia, wsadziłem dwie kule w umięśniony garb; mutanta by to nie zatrzymało, ale pseudopies zmienił zamiar i zamiast atakować, zaskowyczał i rzucił się w cień pod ciężarówką; obok mnie huknął karabin Dietricha, zagłuszając kłnącego Kostika i ryczącego ochryple psa.

Szybko rzuciłem okiem w prawo – wszystko w porządku, obydwaj partnerzy stoją na nogach, psy wycofały się pod osłonę samochodów.

Wykorzystując chwilowe zawieszenie broni, odstąpiliśmy na rozległy placyk przy wejściu. Pseudopsy więcej nie atakowały, pokazując się tylko zza kadłubów wozów, warcząc, obnażając zębiska i znów chowając się w cieniach. Te bydlaki są mądrzejsze od ślepych psów, potrafią wycofać się z walki, jeśli gra nie jest warta świeczki. No i najprawdopodobniej nie uważały nas za wartościową zdobycz, a po prostu chciały przegnać z obozu. Nie mam pojęcia, co im się takiego na cmentarzyisku techniki spodobało – może przyciągnął je zapach obozowiska ludzi albo skusiły rozgrzane na słońcu dachy starych autobusów. Tak czy inaczej, za szlabanem zdołaliśmy odechnąć, tam już nas żaden nie ścigał.

– Ot, szkoda – mruknął Kostik – *Chwostyk zahubywsa. Adnaho sabacjuru ja toczna pakłał, a chwostyka ne uzjaty...*

Ot, patrzcie go, jaki chciwy chochoł.

– Sygnał był – dziwnie spokojnym tonem oświadczył Dietrich.

– Jaki sygnał? – Przed oczyma miałem jeszcze pseudopsy i ich zębate uśmiechy.

– Na PDA – wyjaśnił naukowiec. – Pojedynczy sygnał. Człowiek wszedł do Doliny Kości, a potem zniknął. Teraz go nie widzę, ale jeżeli znajduje się w ślepej plamie, to zrozumiałe, że jego komputer jest poza zasięgiem.

– *Może, ce tot Pawlyk pawernuła? Nu, toj, Wenhlarz?*

– *Możliwe, że Węgłarz...* No dobra, to co dalej? Tu nikogo nie ma, obozu samotrzeć pseudopsom nie wydrzemy.

Popatrzyłem na towarzyszy – van de Meerowi chciało się do Doliny Kości, Kostikowi, rzecz jasna, marzyło się po Wy sy pisku przespacerować i pozbierać artefakty. Sam bym chętnie załadował kontenery chabarem, ale niepokoiła mnie kwestia miejsca na nocleg.

– Panie Ślepy, z pełną mocą nalegam, aby zaprowadził mnie pan do ślepej plamy. W końcu taką ma pan tu pracę... Znalazł pan wodę, jak rozumiem?

No fakt, fakt... Taka praca...

– Woda marna, ale nie w tym problem. Potrzebujemy miejsca, gdzie można przenocować, a tutaj w pobliżu nie ma nic, co by się nadało. Może poza bazą Powinności, ale z nimi zdążył pan już zadrzeć. Pamięta pan, prawda?

– *Ja hadaju, szczo my možemo na wijskowamu abiekty nocz prwesty* – zaproponował Kostik – *Toj, szczo na karci, radiatoczka. Jakszcho jaho pakinuta, to win widczynenyj stajić.*

– Taa, na pewno otwarte. *Widczinenyj-sridczinenyj* – powtórzyłem z ironią. – A co, jak *zaczynenyj* i nie damy rady wejść?

– *To widkrijemo* – wzruszył ramionami Kostik – *Alie że papiersze niepahano była by pa cim buhram prajtys, mabuć szczoś kasztołne znajdemo.*



– Zaraz wysłę wiadomość Kitajcowi – zdecydowałem. – Niech no zbierze brygadę myśliwych i zajmie się pseudopsami na cmentarzyisku. A my tymczasem się przejdziemy po Wysypisku... tam się zobaczy.

Ta decyzja zadowoliła wszystkich, wstukałem wiadomość do Kitajca, po czym ruszyliśmy po hałdach Wysypiska. Po drodze jeszcze udzieliłem towarzystwu wykładu z dziedziny BHP; pewnie, że artefaktowe zbiory po emisji to jak ryby z łódki po deszczu, ale mimo wszystko źle jest głowę stracić z chciwości – i to dosłownie. Nigdzie głębiej w Wysypisko naszej grupy nie prowadziłem, bo tam po spędzie wszelkie paskudztwo może się trafić. Zamiast tego przeszliśmy się skrajem, uważnie wsłuchując się w trzeszczenie detektora anomalii i licznika Geigera. Niebawem przyszła odpowiedź od Kitajca: „Przyjąłem. Się zrobi”.

Kitajec jest koleś do rzeczy, dość mocny i bezpardonowy, ma w sobie zadatki na lidera, więc w obozie na Wysypisku go słuchają. Tylko tak sobie myślę, że szefem żadnej grupy to raczej on nie zostanie. Za mało w nim autentycznego twardziela. Żeby ogarnąć własną, stałą grupę, trzeba mieć kontakty za Kordonem, stały kanał transportu szpeju i chabaru – taki, co działa w obie strony. No i za Kordonem już wszystkie strefy wpływów dawno zostały określone. Co można było podzielić, to podzieliłi. Żeby wgrzyść się w biznes na Dużej Ziemi, na to trzeba by być prawdziwym, twardym madafakerem, a chłopcy w typie Goszy Karego to przecież nie pseudopsy – o, tacy jak on są duuużo gorsi. Nie ma co do nich Kitajec startować... Za to porządek w obozie utrzyma – tego jestem pewien, chłopaków zgarnie i przeprowadzą operację czyszczenia terenu. Pytanie tylko, ile czasu mu to zajmie.

Dietrich, który co chwila spoglądał na monitor PDA, dał znać, że od północy na granicy zasięgu jego sprzętu pojawiły się trzy punkty. I zatrzymały.

Całkiem możliwe, że to nasi, idący ku cmentarzyisku maszyn, dostali mailing od Kitajca i trochę przyhamowali. A jeszcze bardziej możliwe, że to czujka Powinności, która utrzymuje stały obóz na północny wschód od Wysypiska, coś na kształt posterunku. Jako że chłopcy twierdzą, iż kontrolują terytoria pomiędzy składami wojskowymi a Wysypiskiem, to starają się mieć na oku najważniejsze trasy.

Wysypisko wyglądało jak zwykle. Hałdy, skrywające w swoich trzewiach radioaktywny złom, przelewały się i jakby oddychały, poruszały się sterczące z ziemi kawałki konstrukcji... Takie przynajmniej wrażenie stwarzały anomalie, leżące gęsto na nagich, burobrazowych zboczach. Trzymaliśmy się twardo samego podnóża pagórków, nie pchając się w niebezpieczne miejsca, tym bardziej że bez specjalistycznego sprzętu ochronnego dalej nie pójdziesz z powodu samej tylko radiacji, o anomaliiach już nawet nie wspominając. Ale i tam zbieraliśmy ładne żniwo – „grawiki”, „wywiche”, trafiło się parę „kwiatkami”. Nie to, żeby jakieś rarytasy, ale i one mają swoją cenę. Kostik walczył z gorączką grybobrania, chociaż widziałem, że zaczynało nieźle go podgrzewać. Na wszelki wypadek zdecydowałem się udzielić lekcji pogładowej.

Tarasa zaciekał „wywich”, błyszczący żłudnie blisko, u samego podnóża hałdy. Artefakt leżał sobie w zaroślach czarnego, kłującego burzanu – jedynej bodajże rośliny zdolnej utrzymać się na tych gliniastych zboczach.

System mieliśmy już przećwiczony – jeśli detektor anomalii alarmuje, to bez mojego pozwolenia ani kroku dalej.

Podążyłem za wzrokiem Tarasa, zapytałem z głupia frant:

– Chcesz wziąć?

– Nu, a jak że!

– No to patrz

Wyciągnąłem z kieszonki garść śrubek i celowo rzuciłem równiutko jedną za drugą – tak, żeby moje znaczniki ułożyły się dokładnie tam, kórędy zamierzał przejść Kostik. Potem kolejne dwa,

niewo w lewo i w prawo... „Karuzele”, zupełnie malutkie, a przez to niezauważalne, czujnie pilnowały niedoszłej zdobyczy.

Kostik popatrzył, jak odlatuje śrubka, rozkręcona w „karuzeli”, potem jak „grawikoncentrat” wbija w glinę jej koleżankę... Sposepniał, posapał, zapytał:

– *Tak szczo, nijak że ne uzjaty? Ot, szkoda...*

– No dobrze, a teraz proszę szanowną publiczność, by nie ruszała się z miejsc i uważnie obserwowała moje ręce! – zakomenderowałem.

I sam ruszyłem dużym łukiem do miejsca, gdzie widać było bezpieczne przejście pomiędzy anomaliami. Zrównałem się z tkwącym w krzakach „wywichem”, wszedłem krok.. no, dwa kroki wyżej. Licznik zatrzeszczał nieprzyjemnie, zdedykowałem, że dalej nie ma co – wektor rzutu rysował się już i tak dość dobry.

– Każdy szczęściu dopomoże, każdy dzisiaj wygrać może. Raz, dwa... trzy!

Przymierzyłem się, rzuciłem śrubę – pułdo. Dowcip polegał na tym, że pomiędzy mną a potencjalnym chabarem był wolny korytarz – zbyt wąski, bym miał ryzykować własną osobę, ale na tyle szeroki, by spokojnie latały nim śrubki. Druga próba – w dziesiątkę! Śruba trafiła dokładnie w łodygę, zgiętą pod ciężarem artefaktu, która zasprzężyła się, wypychając „wywich”. Ten podskoczył i wpadł w strefę działania „karuzeli”. Artefaktem zakręciło, wyrzuciło i błyszczące cacko, wykreśliwszy w powietrzu śliczny łuk, spikowało prosto do nóg Kostika – nawet lepiej, niż się spodziewałem.

– *Ty czakłun!* – z podziwem skonstatował Taras.

– *Że czarownik niby? Hm... no, w sumie to nie do końca. Ale hardkorem to jestem, i jeszcze kaskaderem. I żebyś mi o tym nigdy nie zapomina!* – rzuciłem dumnie, wbrew własnym słowom ostrożnie schodząc do podnóża hałdy.

Bogiem a prawdą, nie było jakiejś szczególnej konieczności urzędowania aż takiego przedstawienia – jak na podopiecznego, to Kostik był aż nazbyt zdyscyplinowany, ale nie zaszkodzi od czasu do czasu przypomnieć mu, że mimo wszystko jest tu tylko świeżakiem, a słowem weterana jednak wierzyć należy bardziej niż własnym pomysłom.

Jakiś czas potem łażenie i szukanie już mi się znudziło, więc zapytałem:

– Panie van de Meer, a jak by pan wyjaśnił następujący fakt: w jakimś tam miejscu zależą ludziom za skórę ślepałki albo, na ten przykład, kabany... No, i zbieramy się, czyścimy teren, a nie mijają nawet tydzień, jak tam już siedzi nowe stado – i to dwa razy wredniejsze od poprzedniego. Czemu tak się dzieje?

Dietrich nie uczestniczył w polowaniu na artefakty, trzymając się z tyłu i co chwila przystając, coś przełączając i grzebiąc w swojej aparaturze. Pewnie szukał sygnałów obcych PDA, a możliwe też, że starał się śledzić stado pseudopsów na cementarysku. Mnie tam było w to graj – przynajmniej mutanty niespodziewanie nie podejgą, gdy z Kostikiem w hollywoodzkie sztuczki się zabawiam. Ale pytanie zaciekawiło uczonego, nawet na chwilę odłożył swój Niezmiernie Sprytny Odbiornik.

– No cóż... hm... panie Ślepy, to nie mój profil... Mogę wyłącznie spekulować. Prawdopodobnie w każdym stadzie jest pewna ilość młodych samców, które chcą wspiąć się wyżej w hierarchii, wywalczyć dostęp do samic, większy udział w zdobyczy i tak dalej. Starsze sztuki jednak im na to nie pozwalają, więc od razu, jak tylko pojawiają się gdzieś wolne tereny łowieckie, to cała ta młodzież rusza właśnie tam. Potem walczą, ustalają stosunki w stadzie, formują nową hierarchię... No a potem zaczynają się wycieczki na sąsiadów, przecież potrzebują samic, więc odbijają je z sąsiednich klanów.

– Tak, to logiczne. Tylko czemu na ludzi rzucają się jeszcze zajadlej? Bo między sobą albo z sąsiadami, dla samic, to jeszcze rozumiały.

– *Tamu szczo bez bab wony zwirijuć – wtrącił Kostik – Zrozumil? Ot ty, Slipyj, ty czamu ne pryduńat anekdota pro taho Pjetrowa i bab, a?*

– Stalker Piotrow na kobiety nie patrzy – odparowałem – Sam powiedział: Jeśli kiedyś się ożenię, to tylko z samicą juchociągą.

– *Jak ce? Wona że straszna!*

– Po ciemku wszystkie koty czarne. – Wzruszyłem ramionami. – Za to jak ciągnie...!

Zostawiwszy Kostika płaczącego ze śmiechu, zwróciłem się do uczonego:

– No więc jak, czemu nowe stada są bardziej agresywne?

– Przyczyna się nie zmienia: agresja jest oznaką siły. Ten, kto aktywniej atakuje obcych, jest samcem alfa. On zabiera i zdobywa, i samice.

– Zupełnie jak u ludzi – zauważyłem.

– *Nii, u ludej usjo prykowana. Padywyszsa na jakuś liudyńku, tycheńkij takij, a sam – o-ho-ho!*

– Ale sens jest ten sam, nie?

Nie minęły nawet dwie godziny, jak pojemniki były nabite pod korek. Nikt nie pojawiał się w zasięgu naszej chłopy, nawet agregat Dietricha pokazywał tylko tę samą trójkę na północy. W zasadzie już upewniliśmy się, że to chłopy z Powinności i że nikt nie przyjdzie, żeby powybijać mutasy na cmentarzysku techniki. Do wieczora było jeszcze daleko, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że pora pomyśleć o noclegu... No i Dietrich coraz częściej spoglądał na mnie wymownie, a ja doskonale rozumiałem jego niewerbalne aluzje.

– Panie van de Meer, a jeśli nie damy rady ukryć się na obiekcie wojskowym? Albo jak nas tam mutanty osaczają? Ile się utrzymamy?

– Przecież znalazł pan wodę, prawda?

– Taak, ale pić ją będziemy wyłącznie w ekstremalnych okolicznościach, bo nie mam pewności, czy się do tego w ogóle nadaje. Kto wie co się po emisji narobiło? A jedzenie...

Zrugąłem się w myślach, wspomniawszy włożoną do składziku konserwę.

– Mam przy sobie suche wojskowe koncentraty żywniowe, prezent od kolegi Hołowina. Wystarczy nam na dość długi czas. I mam w plecaku jeszcze sześć puszek energetyka, który doskonale gasi pragnienie – oznajmił Dietrich z absolutnie nieprzeniknioną miną. – Przy rozsądnym gospodarowaniu sześć puszek wystarczy nam trzem na czterdzieści osiem godzin. Pańską wodą możemy zalewać koncentraty, które są fabrycznie wzbogacone dodatkiem bakteriobójczym.

Poddałem się. I tak wszystko zadecydowało się bez mnie, moja zgoda nic dla nikogo nie znaczy. Niezależnie od tego, co na nas czeka w parowach ślepej plamy, to nocowanie w pobliżu obozowiska rojącego się od pseudopsów nie byłoby wcale bardziej niebezpieczne.

Tu wtrącił się Kostik

– *Wid taho wijskowa abiekta jide pidzemnyj chid. My zmożemo jim skarystatys, szczo potim uteky.*

No tak, jasne – skorzystać z podziemnego przejścia. Jak na filmach. A co, jeśli będzie zasypałe? A jeżeli szczury tam siedzą albo jakieś inne paskudztwo? I dokąd nas ten cały tunel wyprowadzi? A jeśli prosto do Ciemnej Doliny, w której po emisji jest mutantów jak mrówek?

Ale kłótnia nie miała sensu, bo było przecież widać jak na dłoni, że to zmowa wiadomych sił. A tak swoją drogą, niby czemu na wszystko patrzeć z tak ponurej perspektywy? Być może porzucona radiostacja okaże się cichutką, spokojniutką, przytulną i godną zaufania piwniczką. Słowem, zrobiłem jedną rzecz, jaką zrobić mogłem – machnąłem ręką i zgodziłem się.

Szedłem sobie, popatrując na PDA i rozmyślając o tym, że głupio to wszystko wyszło. Zanim doleziemy do tej cholernego dolinki, zanim ją obejdziemy całą, a chodzić trzeba będzie powoli, bo po emisji cholera wie, co tam siedzi, więc musimy być tak ostrożni, jak się da... a w Zonie ostrożny równa się bardzo, bardzo powolny. No więc zakończymy pod wieczór, a potem – no co po-

tem? Do obozu na Wysypisku nie pójdziemy, bo tam czarnobyłce; do najbliższego znanego mi miejsca noclegu nie zdążymy przed zmrokiem. Trzy punkniki na ekranie PDA od północy to, rzecz jasna, powinnościowcy, ale z van de Meerem tam nie pójdziemy. No i gdzie nocować? Dobrze by było, gdyby Kitajec ogarnął wojsko i do zmroku się uporał z polowaniem – a jeśli nie? Tutaj już nie spokojne Pogranicze, całą noc siedzieć na drzewie trochę strach... Ale głośno nie wyraziłem nic ze swych obaw – jak zwykle zresztą. Jesteśmy przecież spoko ziomale, twardzi stalkerzy, nie honor nam mieć wątpliwości.

Ot, takie i inne niewesołe myśli kłębiły mi się w głowie, gdy szliśmy w stronę znajomego jaru pomiędzy wzgórzami. A potem myśli uleciały same, gdy detektor anomalii i licznik Geigera zawrzęszczały zgrany chórem. Zatem zaczyna się praca, a zbędne myśli chwilowo prosimy o wykonanie tak zwanego wypadu i nieprzeszkadzanie. Pomacałem kieszeń ze śrubami – trochę mało... Na cementarzyisku maszyn leży od groma wszelkiego żelaznego śmiecia, tam zawsze można napełnić kieszeń po brzegi i zawsze tak robiłem, a akurat dziś nie udało się odnowić zapasu.

Przed wejściem do jaru nakazałem zmianę szyku – dalej ruszyliśmy gęsiego. Jak zwykle wierzchołki pagórków były mocniej skażone, to i anomalii było tam więcej. Bez dwóch zdań, musiał istnieć jakiś związek pomiędzy tym promieniowaniem a pojawianiem się anomalii. Tu, na dole, było jeszcze żnośne, ale pułapek po wczorajszej emisji naległo się niemało – po prawej parka „karuzeli”, po lewej „winda”, ale zupełnie słabiutka, o czym przekonałem się, wrzuciwszy w nią śrubkę. Summa summarum nic takiego, ale przejście ciut wąskie. Samo wejście w dolinkę leży nieco wyżej, drzewa nijak tu nie mogły wyrosnąć – albo z powodu radiacji, albo pojawiających się okazjonalnie anomalii, więc wyłot doliny stanowiło niewysokie siodło, zupełnie gołe, żadnych krzewów ani nawet trawy. Pod nogami ruda, gliniasta ziemia, równa, wygładzona potokami deszczówki, spływałącej ze zbocza.

Wyjaśniłem, co należy robić, i kazałem chłopakom trzymać się lewej, jako że „winda”, na dobrą sprawę, jest prawie nieszkodliwa... byleby tylko w prawo nie odrzucała. O tym, czym może grozić podobna perspektywa, świadczyły krwawe strzępy – jedyny ślad po kilku psach, które najwyraźniej wpadły w chętnie ramiona „karuzelek”. Aż dziwne, że tak mało ich było – jeśli szedł tędy spęd, to trupów powinno być dużo więcej. Chociaż możliwe, że główny potok mutantów wyminał dolinkę, jeszcze zanim emisja zrodziła nowe anomalie na tym siodle.

Diabelnie mi się nie podobało, że ciągnę ze sobą dwóch żółtodziobów, cały czas kusiło mnie, żeby się obejrzeć, a przecież prowadzący powinien do przodu patrzeć! Ale gdy tak sobie szliśmy, w głowie zaczął układać mi się początek anegdotki: no, znaczy się było tak... Wkręcił się stalker Pietrow, że bogatego turystę oprowadzi po Zonie. Co prawda nie wymyśliłem ad hoc kontynuacji, tylko odłożyłem na później. Pewnie Pietrow turystę najpierw ogłuszy, potem zarzuci na ramię i przeniesie po marszrucie – w sumie tak lepiej, niż gdyby tamtego anomalia poszarpała, bo potem i tak by go nieś trzeba. Tak czy inaczej, miałem nad czym myśleć, gdy tak kręciłem głową w jedną i w drugą stronę, spoglądając to pod nogi, to za siebie – jak wy tam, orły-sokoły moje? Ale, Fortunie niech będą dzięki, korytarz pokonałiśmy bez strat własnych.

Minęliśmy wąskie gardło, wzgórze rozstały się nieco, dając nam widok na niewielki, iglasty młodniak. Sprawdziłem PDA, który mógł teraz w dowolnej chwili stracić sygnał z satelity, a chciałem po raz ostatni obejrzeć sobie mapę okolicy. Dietrich i Kostik szczęśliwie ominęli pułapki i stanęli za mną, van de Meer zajrzał mi przez ramię – i też zajął się swoim PDA, co zobaczyłem, rzuciwszy okiem w jego stronę. Przyjrzałem się mapie dolinki, złożonej ze zdjęć satelitarnych; no, zdaje się, że zapamiętam. A kiedy spojrzałem pod nogi, zauważyłem w trawie kawałek błyszczącego złomu. No tak oczywiście... Nawet się nie zdziwiłem, podnosząc z ziemi kawałek PDA. Świeżo urąbany, jak siekierą, szkło monitora wysypało się, obnażając gmatwaninę elektroniki w trzewiach urządzenia. Ile ja już podobnego baracha tu widziałem, a nadal nie rozumiem, po kiego

grzyba tak kałeczyć nikomu niezawadżającą maszynę. Nawet jeśli gubi sygnał z satelity...

Podrzucałem na dłoni resztkę PDA, machinalnie wsunąłem do kieszeni na piersi, do śrubek Anomalii na kursie mój sprzęt nie rejestrował, żadne dźwięki z polanki nie dochodziły, tylko zapach – ciężki, mdląco-słony... Ostrożnie ruszyłem naprzód, lufą empepiątki odsuwając na bok gałęzie gęstej świerczyny. Minąłem porastające skraj polany zarośla, wyszedłem na otwarty teren – i stanąłem jak wryty. Kostik idący moim śladem, dogonił mnie, wyszedł spomiędzy sosenek – i gwizdnął przeciągle. Na nim też widok zrobił wrażenie.

Polana przed nami usłana była poszarpanymi trupami mutantów. Porwanymi na strzępy, rozczłonkowanymi, otwartymi jak ostrygi, od gardła po pachwinę. Wypatroszone tusze, rozłupane czaszki, poddrywane kończyny. Pośród rudego stosu ślepych psów tkwiły truchła kabanów, dalej widać było rozerwanego na strzępy pseudomięsa, którego nieproporcjonalnie długie kończyny spoczęły dość daleko od zmasakrowanego beczkowatego korpusu. Pośród włochatych grzbietów kabanów, na których jak sople zastygły posklejane krwią kawałki szczeciny, sterczała wyciągnięta w niebo potężna, umięśniona noga pseudogiganta, a samego brzydała nawet nie widać spod hałdy drobniejszych mutasów... Normalnie krwawe bachanalia, gorzkie gody i igrzyska śmierci w jednym... Góry trupów zastygły w bezruchu – nic nie zakłócało spokoju śmierci w Dolinie Kości.

– Zauważyłście panowie, że na zewnątrz nie ma ciała? – zapytał van de Meer zaskakująco spokojnie. – Fala mutantów z Ciemnej Doliny nie wyszła poza ten jar, one wszystkie zginęły tutaj, porozrywawszy się nawzajem na strzępy.

Zmilkiałem, bo nie chciało mi się nawet odzywać. Poza tym co tu dodać do przemyśleń Dietricha? Facet miał rację. Jeżeli z Ciemnej Doliny prowadzi wąską, trudny do przejścia korytarz, mutanty podczas spędu lecą tutaj zbitą masą. Nawet nie walczą pomiędzy sobą, gdy emisja pędzi je od Elektrowni na południe. No, to znaczy czasami się pogryzą, gdy jeden wpadnie na drugiego, a jeśli już się dwa szepią, to biegnące za nimi jak nic stratują oby na śmierć. Przynajmniej tak ludzie mówią – chociaż wątpię, żeby ktokolwiek miał szansę oglądać spęd podczas emisji w Zonie. Nieważne, jak tam jest, ważne, że podobnego obrazka nie widziałem nigdy w życiu – więcej, nawet o czymś takim nie słyżałem.

To znaczy, że na skraju Ciemnej Doliny od głównej fali oddzieliła się grupa mutantów i ruszyła ku Wypiskui. A w tym tutaj parowie przyszło im do łbów urządzić sobie bitwę pod Termopilami – i to wszystkim naraz, jak na komendę... zgadza się? I wyglądało na to, że zwierzaki regularnie urządzają sobie tutaj takie wojenne rekonstrukcje, no bo skąd by się wzięły te wszystkie kości na polance?

Ojj, strasznie zachciało mi się zaproponować Kostikowi i van de Meerowi, żeby stąd spierdzielać dokąd oczy poniosą, nawet na cmentarzyisko maszyn do pseudopsów, byle dalej, byle nie stać tutaj, pośród Zona wie ilu ton krwawego, poszarpanego mięsiwa. I gdybym był sam – to spieprzałbym jak nic. Boże jedyny, kłnę się na pamięć Dimy Szuchowa, w tej chwili już bym uciekał. Ledwo bym tę masakrę zobaczył – i od razu w długą. Ja tam nie jestem bohaterem, żaden ze mnie stalker Pietrow... No, ale nie byłem tu sam. A przyznawać się do cykora przed towarzyszami jakoś nie miałem ochoty.

– *Szczo rabytymemo?* – rzucił Kostik, ale tylko wzruszyłem ramionami.

– Widziałem sygnał obcego PDA – przy pomniął Dietrich. – Wszedł tu człowiek. Zwierzęta są martwe już od kilku godzin, zgadza się? Człowiekowi więc krzywdy zrobić nie mogły. Czyli... on musi gdzieś tu być.

– Albo z Ciemnej Doliny poszedł. – Wzruszyłem ramionami po raz kolejny. – Panie van de Meer, potrzebuje pan stąd czegoś konkretnego? W sensie badania jakiegoś, coś?

– Tylko kilka ujęć. – Naukowiec zaczął grzebać w PDA, pewnie przełączał na tryb kamery wideo. Potem zaczął rzucać oderwanymi od siebie, cichymi komentarzami, czyli zapewne zaczął

kręcić. – Tylko zarejestrować... przedzwny fenomen... Jak go tutaj ghy zły, hm...? Ależ to phawdzi-  
we pobojowisko... ściąganie... *O mein Gott... Schrecklich... schreckliches Blutbad...*

Dietrich ruszył pomiędzy martwe ciała, wymijając truchła kabanów – próbował podejść do  
łapy pseudogiganta, wyciągniętej ku ołowianemu niebu. Tych akurat stworów nasz uczony jesz-  
cze nie widział, więc nie dziwota, że był zaciekawiony i chciał chociaż popatrzeć na zmasakrowa-  
nego trupa tego przerośniętego brojlera.

– Przyciągnie... – mamrotał van de Meer, filmując ujęcia rzeźni – nowego zwierza. I nie byłoby  
złe... *Zum Teufel*, popatrzcie, jaki cios! *Echtes Blutbad...*

– Panie van de Meer, tutaj ani gott, ani toffel nie działają, my częściej imienia Zony zwywa-  
my. Proszę spróbować: „Do Zony, jaki cios”. – Ze wszech sił starałem się zgrywać zwy czajowe-  
go sowizdrzała, ale obawiam się, że raczej słabo mi to wychodziło. Oj, obawiam się jako żywo. –  
Mówi pan, że co krwawa łaźnia przyciągnie...?

– Mówię, że przyciągnie nowego zwierza, a byłoby dobrze go pooglądać co nieco... O, mój  
PDA stracił sygnał! – No doprawdy, mówił zupełnie tak, jakby to była codzienna rzecz. A mógł-  
by przecież jak normalny człowiek zakrzyknąć straszliwym, nieswoim głosem: „*Mein Gott!* Stha-  
ciliśmy sygnał! Ah, coś za okhopny fehfluchtes szhek...!” A ten: O, sygnał straciłem, prawie że  
ucieszony. Patrzcie, wszystko według planu...

– *U mene takoz sputnikowy syhnał zahubyła* – rzucił Kostik ze skraju polanki, wymijając górę  
padliny i trzymając się na peryferiach „blutadu”.

Dietrich obszedł dokoła potężną łapę, ja szedłem za nim, na wszelki wypadek trzymając palec  
na spuście pistoletu maszynowego. Nie udało mu się złapać ujęcia truchła pseudogiganta, który  
już nigdy nie zostanie gwiazdą wielkiego ekranu – cielsko w całości pogrzebane było pod krwawą  
kaszą, w którą zamieniły wszystko dokoła bijące w konwulsjach kończyły się potężnego mutanta.

– Co, panie Dietrich, do mutasów na obiad panu spieszo? – zagadnąłem. – W charakterze de-  
seru? Bynajmniej nie wszystkie preferują padlinę, zdarzają się takie, które lubią krwiste steki z lu-  
dziny.

Aż dziw, że inwazja padlinożerców jeszcze się nie rozpoczęła – taka ogromna góra mięcha nie  
może nie przyciągnąć równie dużej ilości ścierwników. Ja już cykorzyłem na zapas, a van de  
Meer miał chyba wszystko w nosie. Kręcił, robił fotki, obracał swój PDA, wybierając kąty dla  
ujęć, które najlepiej pokażą jego „blutad”. A ja, jak debil, lazałem za nim z palcem na spuście,  
pod nogami młaskało ścierwo, czasami zgrzytały o siebie potrzaskane kości. Kostik trzymał się z  
boku i milczał. W końcu van de Meer raczył odpowiedzieć:

– Ma pan zupełną rację, panie Ślepy, potrzebujemy schronienia.

Pewnie, że mam rację... Ale miałem nadzieję, że Dietrich powie raczej: „Ma pan zupełną rac-  
cję, pora stąd spieprzać z maksymalną prędkością”.

– Schronienie? I niby gdzie pan proponuje, żebyśmy się schowali? Wy sokich drzew tu nie ma i  
nawet one nam na nic – na drzewo to przed psem można wleźć, a stado kabanów je zwyczajnie  
wyrwie z korzeniami. Przy tym kaban nie jest wcale najstraszniejszym stworem, który może z  
Ciemnej Doliny wyleźć.

– Tak, schronienie. Nie musimy przecież sterczeć na środku tej polany.

Jeszcze czego. Wystarczy, że jest tu giczoł pseudogiganta, niech on se sterczy.

– Sądzę, że w charakterze schronienia mogłyby nadać się też porzucone wojskowe podziemia.  
Panie Kostik, będzie pan łaskaw zerknąć, jak daleko mamy do wejścia?

Westchnąłem tylko. Z taką górą żarcia mutanty nawet w tydzień się nie rozprawią, tym bar-  
dziej że będą jeszcze nawzajem się podgryzać. Zaczną przyłazić coraz to nowe stwory, a my  
mamy mało wody...

– Panie van de Meer, mamy mało wody.

– Mam sześć puszek energetyka – odparował uczony. – A jeśli będzie naprawdę źle, to wystarczy i po puszcze dziennie na twarz. Pan, panie Ślepy, uzupełnił zapas w obozie. Mamy ponadto wojskowe koncentraty w suchych tabletkach – profesor Hołowin, prezent, pamięta pan? Wystarczy dla nas trzech na tydzień, a nawet dłużej.

Kiedy profesorek zaczęła mówić o jedzeniu, zebrało mi się na pawia. Dopiero co uważałem, że jestem bohaterem, prawdziwym tytanem silnej woli! Nie porzygałem się na widok tej polanki! A za to teraz naprawdę ugięły się pode mną nogi. Zamknąłem oczy, żeby chociaż odrobinę dać odpapnąć organizmowi, mocno już umęczonemu czynami chwalebny mi. Byłoby tych flaków nie wiedzieć...

Kiedy poczułem się minimalnie lepiej i rozchyliłem powieki, van de Meer ponownie obfotografował dekoracje do swojego horroru dokumentalnego. Kostik zgrabnie przewiesił sobie aktem przez rękę, żeby z łatwością przerzucić go w pozycję bojową, i oglądał wyciągniętą z planszetu mapę. Już wcześniej poskładał sobie duży wydruk tak, żeby mieć akurat nasz kwadrat na wierzchu. Popatrzywszy na zawijasy i zakrętasy, Taras orzekł:

– *Zawsim porucz. Metrił z sorak u tamu naprjamku, hadaju.* – Wyciągnął palec. – *A widyty pi-dzemiń chid je. Wyberemos inszym szliacham.*

– Prosto do Ciemnej Doliny? – Nie ma co, coraz lepiej. – A co, jeśli to podziemne przejście jest zasypane? A jeżeli całe centrum łączności szlag trafi? Albo włąz tak zapiekł się rdzą, że nie przeleziemy? Hę? Co wtedy, panie optymistę?

– *Czy możliwa tudy patrapyty, my zaraz że uwydymo* – odparł z niewzruszonym spokojem Taras. – *Jidemo, chlopci.*

I ruszył tam, gdzie jeśli wierzyć mapie, powinno znajdować się wejście do obiektu wojskowego. Van de Meer z nim, a ja na szarym końcu... No bo co niby miałem robić? I dokładnie wtedy mnie oślniło.

– Van de Meer! Pan mnie prosił o wodę, żeby tabletki popić, a w plecaku miał pan energetyki! I koncentraty z samego cholernego Jantaru! Przecież pan się tutaj już zawczasu szykował przy-leżć, nie zaprzeczy pan? Bydł z pana, van de Meer, niech pana Zona pochłonie, jakie z pana bydł!

Kostik siedział cicho, ale czułem, że trzyma stronę Dietricha. Niech ich anomalie biją, świeżaków z pomysłami! Kostik już zapomniał, jak podczas emisji w płytkiej piwnicze mózgu mu uszami wyciekał, jak bardzo chciał wtedy być gdzie indziej, najlepiej daleko za Pograniczem... A teraz chabaru do kontenerka naładował i wielkiego stalkerskiego kozaka zgrywa. No, jeszcze nie wiadomo, jaką nam się czkawką emisja może odbić. Te akurat kataklizmy trzeba przeczekiwać, siedząc ze trzy-cztery razy głębiej pod ziemią. Może i tak być, że nasza posiadówka w piwnicze już zapoczątkowała jakieś nieodwracalne zmiany w organizmie – a były przecież takie przypadki, bo to raz się słyszało...?

Pod nogami ciamkało i młaskało, nie dało się przejść pomiędzy trupami, które zalegały dookoła grubą warstwą, po dwa, trzy jeden na drugim – wszędzie, jak okiem sięgnąć, zmasakrowane nie do poznania truchła mutasów. Podczas spędu dzieci Zony wściekają się i zupełnie tracą kontrolę, w pełni oddając się swej krwiożerczej naturze, ale siła, gnająca je od Elekrowni ku Pograniczu, jest potężniejsza nawet niż instynkty łowieckie. A tutaj coś zmusiło stwory do zatrzymania się, przzerwania obłąkanej galopady, a potem już, słoczone w wąskim jarze z jedynym wyjściem, zaczęły rzucać się na siebie nawzajem.

Kostik zatrzymał się, rozejrzał – van de Meer i ja dogoniliśmy go i też stanęliśmy. Jeśli chodziło o obiekty wojskowe, to lepiej było ufać Kostikowi, który przy najmniej sprawiał wrażenie, że zna się na konstrukcji podobnych miejsc.

– *Za tymi kuszczami, mabuć* – pokazał Kostik – *Dywycca.*

Zmrużyłem oczy, wpatrując się w krzaki – faktycznie, za częściowo stratowanymi zaroślami widać było gładką betonową ścianę. Niby niezbyt wysoką, ale tak pewnie powinno to wyglądać – to tylko wyjście, betonowa kopuła, pancerne drzwi i uchwyt do mocowania anteny, a sam obiekt znajduje się pod ziemią.

– *Ne stojte padrjad, dystancyju wytrzymujte* – zakomenderował Kostik – *bo ja ne znaju, szczo tam może buty, u seredyni... O, dywy, antenna na misci! A kazaly, szczo abiekt pakynuto...*

Antena na miejscu? Faktycznie, machinalnie podniosłem oczy i zobaczyłem przez krzaki wąski, długi pręt z rozwidleniem na końcu... ale dokładniej przyjrzy się nie zdążyłem, bo zapisał mój PDA. Razem z jego sygnałem usłyszałem też, jak włączają się komputery Kostika i van de Meera. Odruchowo podniosłem rękę z bransoletą PDA, nie zdążywszy dokończyć myśli, że najwyraźniej jednak wyszliśmy poza granice ślepej plamy, więc satelita znów... znów... Nie, nie dałem rady dokończyć zdania o satelicie – bo przypadłem. Nagle mnie nie było. Nie było rąk, nie było nóg, żołądka, tak nerwowo reagującego na krwawą jatkę na polance... zniknęły mięśnie, kości, nerwy... znikły granice mózgu, a ja kurczyłem się, opuszczając ciało, stawałem się malutką, zupełnie malusieńką, zamieniałem się w ziarenko piasku, wirujące gdzieś w przestworze mózgo-czaszki, gdzieś głęboko, daleko, za oczami... Ekran PDA rozwarł się niczym przepaść, a ja – malutkie ziarenko piasku – leciałem w tę otchłań. Na monitorze widniało coś absolutnie niewiarygodnego, nie byłem w stanie oderwać oczu od przepaści bez dna, która powoli, niespiesznie i majestatycznie rozwierała się przede mną. Kręciły się strome ściany, złożone z różnobarwnych plam, układając się w ogromny *maelstrom*, którego nieskończenie odległe dno ciągnęło ku sobie ziarenko piachu mojej jaźni.

Im mniejszy się stawałem, tym szerzej rozwierała się wciągająca mnie otchłań – jak gdyby sama Zona rozwarła nienasyconą paszczę, a tam, w głębinach, coś przelewało się, kręciło i wirowało... Wir zataczał coraz szersze kręgi, wzywał mnie, wołał ku sobie, wyciągał widmowe ręce, a ja, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, podnosiłem rękę z podpiętym PDA coraz bliżej i bliżej ku twarzy... Nie byłem w stanie ani odwrócić wzroku, ani zatrzymać się na skraju przepaści – i spadałem, spadałem, spadałem... Ten upadek nie będzie miał końca... Czuję ponurą, zdesperowaną satysfakcję, bo przecież wszyscy marzymy podświadomie o lataniu, a oto Zona dała mi szansę. Leciałem. Pikołałem. W dół. W otchłań, prosto w oko cyklonu, do serca Zony. Przecież Zona, jak mówili Dietrichowi jego Poszukujący, jest manifestacją Boga na Ziemi – zatem leciałem ku temu Bogu, ja, ziarenko piasku. A dusza? Moja dusza wyzwoiliła się z więzów doczesnej, cielesnej gliny, aby zaznać spokoju. Nie, nie tak – nie „aby”! Upadek – to lot sam w sobie, a lot – to spokój. Zatem to właśnie jest spokój... Zaznałem ostatniej, terminalnej rzeczy, ku której dążyliśmy przez całe życie. Dążyliśmy, nawet tego nie wiedząc...

Ale coś jednak było nie tak. Spokój powinien być wszechogarniający, prawda? A ja nadal widziałem swoją rękę poprzez tęczową powierzchnię wiru, która tętniąc kolorami, powoli płynęła wokół mnie, zamienionego w ziarenko piasku. Płynęła kalejdoskopem kolorowy ch plam, wsysając moją duszę – ale widziałem nabrzmiałe żyły na grzbiecie dłoni, widziałem zgięte skurczem palce, rękaw brudnego, znoszonego kombinezonu i podrapaną stalową obudowę PDA, w której okienku rozwarła się nienasycona paszcza Zony. Świat, materialny świat przebijał się poprzez wołanie duszy. Nie byłem w stanie w całości oddać się upadkowi, bo na wołającym mnie witrażu brakowało... jakiegoś szkieleka. Nie wiem, jak długo trwał ten upadek, ale powoli, bardzo powoli zacząłem wy dostawać się z wlokącego mnie na dno strumienia świadomości. Nie, nie zdołałem odwrócić wzroku, ale udało mi się zamknąć oczy – i wtedy jakbym nagle wypadł z bezistnienia. Bolało mnie całe ciało, zastane mięśnie nie były w stanie utrzymać równowagi, oczy płonęły bólem pod kurczowo zacisniętymi mi powiekami... A potem coś mocno uderzyło mnie w bok i zgiętą rękę. Upadłem w miękką warstwę krwawych resztek, uderzywszy o twardą klatkę nadpękniętych żeber ja-



kiegoś stwora.

Nie mam pojęcia, jak długo leżałem pośród padliny – chyba raczej niedługo. Zdaje się, że nie straciłem przytomności, ale na sto procent nie powiem, jako że mój stan nie odbiegał zbyt wiele od stanu omdlenia. Gdyby teraz na polanę przylazł jakikolwiek zwierzę, to wątpię, czy dałbym radę stawić najmniejszy nawet opór – wszystkie mięśnie miałem zdrętwiałe, ledwo czułem własną pozycję w przestrzeni, a co tu dopiero mówić o pilnowaniu czasu... Leżałem, van de Meer i Kostik stali na skraju polany niczym posągi, zastygli w bezruchu. Upadłem tak, że akurat ich nie widziałem, ale w polu widzenia znalazł się cień Dietricha – tak samo nieruchomo.

Z zarośli, dokładnie stamtąd, dokąd zsiłmy, zanim włączyły się PDA, rozległ się zgrzyt. Ciężki, taki aż pachnący żelazem – dokładnie taki dźwięk, jaki powinien wydawać właz broniący dostępu do starych, porzuconych schronów wojskowych. Próbowałem odzyskać kontrolę nad ciałem, ale bez większych efektów – palce nadal miałem jak z drewna. Co prawda zabolowały mnie mięśnie rąk i nóg, co wydało mi się dobrym objawem – skurcz odpuszczał. Pokrzepiony tą myślą, zacząłem napinać nieposłuszną prawą rękę, koncentrując się wyłącznie na niej i starając się nie myśleć o tym, jak potworny ból powoduje każdy ruch. Metaliczny zgrzyt zakończył się głośnym szczęknięciem, a potem znów zapadła cisza. Minęła może minuta – najwyraźniej ten, kto otworzył właz, rozglądał się. Potem rozległ się hałas w innej tonacji – tumm... tumm... tumm... Miarowo, niespiesznie. Jakby ktoś wchodził po żelaznych schodach. Za wszelką cenę starałem się poruszyć palcami, odzyskać kontrolę nad nadgarstkiem, zanim pojawi się tu gospodarz Doliny Kości. Ciężkie kroki ucichły, teraz słyszałem jakiś szum i pobrzękiwanie. Palce jak gdyby zaczęły wracać do rąk – co za wspaniałe spotkanie, rychno w czas! Starałem się wykombinować, którą część wyposażenia mam akurat w zasięgu – empepiątka leżała pośród paskudnej mielonki, pełnej krwi i strzępków futra, tuż przed moją twarzą... Poruszyłem ręką, broń drgnęła – czyli pas nośny wciąż jeszcze trzyma się na ramieniu.

Zaszeleściły liście – teraz ten, kto wcześniej wyszedł przez właz, przedzierał się przez krzaki. Ktoś duży i masywny, wnosząc po tym, ile hałasu robił. Nie byłem w stanie poruszyć głową, szyja zupełnie mi zeszywniała... no i bałem się, że może mnie ten ktoś widzieć. Co do jego złych zamiarów miałem pewność – gdyby zjawił się tu człowiek porządny, to od razu rzuciłby się na pomoc. O nie, gospodarz Doliny Kości na pewno nie jest nam przyjacielem. Zamarłem, wyczekując, bo na razie poruszanie się było niewskazane, ale w myślach starałem się zaplanować, jakby tu szarpnąć ręką – wtedy broń podskoczy ku mnie, chwycę za rękojęść, palec znajdzie znajome już miejsce, wsunie się w osłonę spustu... Gdyby tak jeszcze wiedzieć, do jakiego celu trzeba będzie ogień otworzyć...

Nasłuchiwałem. Szelest liści i ciężkie kroki zamieniły się w mlaskanie i cmokanie deptanego ścierwa. Nieznajomy szedł po poszarpanych ciałach, czyli jest tuż, tuż. Gdy kroki zbliżyły się, słyszalny stał się cichy, metaliczny stukot i syk, towarzyszący ruchom obcego.

Nieznajomy szedł po mięsnydm dywanie, wciąż go nie widziałem, ale mignął mi cień – kierował się ku van de Meerowi, który zamarł zaledwie kilka metrów ode mnie. Cień przybyła wydał mi się nadmiernie szeroki... Znaczy się, jeśli mam myśleć pozytywnie, niech nasz rzeźnik będzie jak najwięksi – łatwiej będzie w niego wpakować parę kul.

Stąpając ciężko po krwawych resztkach, nieznajomy podszedł do van de Meera, dwa cienie zwały się w jeden, więc pomyślałem, że obcy teraz nie patrzy w moją stronę, prawdopodobnie całą uwagę skupia na Dietrichu, czyli można zaryzykować... Ostrożnie poruszyłem głowę, przekręciłem ją i... i zdziwiłem się. Obok van de Meera stało coś kwadratowego; istota była dość niewysoka, sięgała uczonemu ledwo do ramienia, ale za to nasz obcy okazał się bardzo szeroki w barkach, jak nadmuchany – dopiero potem uświadomiłem sobie, że cały obleczony jest w ciężki pancerz, coś podobnego do egzoskieletów wysokiego stopnia ochrony, jakich używają pakerzy z

Powinności. Stuki i syki towarzyszące jego poruszeniom to nic innego, jak odgłosy pracy układów serwo. W końcu podwieszony miał brytyjski karabin wsparcia systemu Enfield SA-80 – dla takiego niziołka trochę przy ciężki, ale egzoszkielek nawet najdrobniejszym bardzo ułatwia operowanie dowolną bronią. Zrezygnawszy się, gospodarz doliny zarzucił karabin za plecy, żeby mieć wolne ręce.

Konus obszedł dookoła van de Meera, rzeczowo oglądając skamieniałego naukowca, ściągnął mu z ramienia karabin – mój karabin, do cholery! Nie wiedzieć czemu, właśnie ta okoliczność najbardziej mnie wkurzyła: no przecież to ja – ja! – jestem właścicielem, a ten kwadratowy pajac zabiera sobie moje kałacha. Mój aksem. Z moją rysą na koltbie. A ja tu wściekły, wręcz wychodzę z siebie, jakiś skurczybyk kradnie moją broń! No, Ślepy, wkurzaj się, wkurzaj! Złość piękności szkodzi, ale nieposłusznym palcom może pomóc!

Podczas gdy po cichutku rozdmuchiwałem w sobie żar nienawiści, grzejąc silniki do decydującego skoku, karzełek w pancerzu zarzucił karabin na ramię i zaczął rozpinąć pomarańczowy kombinezon Dietricha, ściągnął go z ramion, potem zajął się plecakiem. Domyśliłem się, że nie zamierza na razie rozbierać van de Meera, a kombinezon zsunął, żeby plecak łatwiej zszedł. Zebrałem się w sobie... a niech się czymś zajmie, niech zacznie grzebać w plecaku... No! No! No! Tam od cholery fajnego towaru w tym plecaku jest, no dawaj!

Konus ściągnął szelkę plecaka z prawego ramienia ryżego, potem szybkim ruchem – żeby nie przesłać wzroku białego w PDA – zerwał z lewej ręki. Pociągnął za pasek, szczerknął sprzączką, odchylił górną kłapę plecaka uczonego. Zajrzał, wsadził łapę... Teraz!

Szarpnąłem ręką, broń podskoczyła, pociągnięta pasem nośnym, ale złapać chwytu zdrętwiałymi palcami nie dałem rady, zacząłem grzebać pośród miękkich strzępów mięsa, próbując wymacać empepiatkę... Nieznajomy przerażająco powoli (tak mi się zdawało) odwrócił głowę, ale tego było jeszcze mało, masywne płyty pancerza przeszkadzały mi w uchwyceniu mnie w pole widzenia, zaczął przekręcać się całym korpusem, ruchy miał dziwnie szarpane, przemieszczał się jak na filmie co chwila zatrzymywany w stop-klatce – taki urok pracy egzoszkieletu... Chwyliłem rękojeść, objąłem nieposłusznymi palcami, wyciłem zimny spust, podniosłem się, opierając na lewym ręku.

Czarna, matowa zasłona hełmu spojrzała na mnie, konus szarpnął się, chcąc ściągnąć karabin z ramienia, ale nie dał rady złapać ani AKM-u, ani tego angielskiego gówna, spanikował – grube jak kielbasy palce w rękawicach zaczęły skakać, nie mogąc chwycić oddzielnie ani kałacha, ani enfielda... Podniosłem moją empepiatkę, ściągnąłem spust – seria poszła Panu Bogu w okno, trzęsło mnie jak w febrze, broń latała w rękach... A niby co żeście sobie myśleli? Cztery metry to niczego sobie odległość, tu każdy może spudłować.

Dałem ognia ponownie, tym razem już lepiej, kule zagwizdały konusowi koło głowy. A tamten przykucnął, zasłaniając się rękami, zaskowycał. Głos spod matowej zasłony brzmiał głucho, ale... wydał mi się dziwnie znajomy. Prawda taka, że gdyby konus miał chwilę, żeby ogarnąć sytuację, to zrozumiałby, że ma miążdżącą przewagę ogniową – i bez znaczenia, czy ściągnie z ramienia kałacha, czy enfielda – ale nie dałem mu czasu na zastanowienie, ponownie podniosłem broń drżącą ręką, a knypek, wyjąc z przerażenia, rzucił się do ucieczki, prosto w krzak, za którymi świeciła szarym betonem ściana. Udało mi się usiąść, broń plunęła ołowiem, puszczając jego śladem wszystko, co zostało w magazynku... Na świętych Radosława i Polonusza, patronów stalkarów, byłem tak słaby, że odrzuciłem prawie przewrócił! Ale dałem radę utrzymać pozycję siedzącą, a potem spróbowałem wstać.

Knypek długimi susami pokonał otwartą przestrzeń, nogi w ogromniastych buciorach ślizgały mu się i rozjeżdżały w miękkim mięchu, potem wpadł w zarośla. Wstałem, nawet udało mi się zrobić pierwszy krok, chociaż pleców rozprostować nie dałem rady, zeszywniałe mięśnie jeszcze

nie odpuścili. Oj, ta pogoń musiała wyglądać zabawnie – koleżka upakowany w pancernym egzozkielek z dwoma świetnymi karabinami szturmowymi mi do wyboru spierdziela przed pokrocznym jak paragraf paralitykiem z pustym pistoletem maszynowym... Ledwo dając radę poruszać zdrętwiały mi nogami, wsunąłem rękę do ładownicy, wyciągnąłem magazynek i po drodze przeladowałem broń. Krok po krocisku i jakoś to poszło, dałem radę wyleźć z krzaków, jeszcze zanim zatrzasnął się właz. Rolę wejścia do obiektu wojskowego pełnił betonowy cylinder średnicy jakieś półtora metra i wysokości siedemdziesięciu centymetrów. Właz był przesunięty względem centrum, na wolnej przestrzeni betonu sterczało porzdzewiałe rusztowanie, do którego zamocowana była dziwna antena. Nie widziałem takiej nigdy wcześniej, ale że to akurat antena, to się domyśliłem... Jednak raczej nie miałem czasu na podziwianie architektury.

Uciekinier już prawie cały schował się w betonowej studni, widziałem tylko wypukły wierzchołek hełmu oraz rękę, macającą odrzucony na bok właz – próbował, bydlak, znaleźć uchwyt, za który mógłby pociągnąć.

Dałem ognia od razu – kule zrykoszetowały od betonu, koleżka w egzo zaskowywał, ręka wraz z hełmem zniknęły. Nie pozostało mi nic innego, jak czekać. Ledwo nad betonową krawędź wysunął się kawałek czegoś ciemnego, znów ściągnąłem spust. Bałem się podejść do samego włazu – uciekinier na pewno był już gotów odpowiedzieć ogniem, ale nie miałem zamiaru pozwolić mu, żeby zamknął kłapę. Być może to on miał przewagę, bo przecież musiałem spieszyć na polankę, gdzie moi przyjaciele zostali bezbronni jak dzieci. Co robić? Czekać? Ale jak długo? Stukanie i zgrzyty rozlegały się z włazu jeszcze jakiś czas, ale coraz ciszej i ciszej, a w końcu umilkły całkiem.

Powolutku podkradłem się do wejścia w podziemia. Stałem obok, nasłuchując. Cisza. Nie miałem zamiaru ryzykować ani włożenia, ani nawet zaglądania tam. Jeszcze czego, głowę na strzał wystawiać! Ręce już w pełni mnie słuchały, więc, utrzymując empepiątkę prawą ręką, lewą zaczerpnąłem garść śrubek z kieszeni na piersi. Zważyłem w dłoni i cisnąłem we właz. Kilka sztuk wpadło do studni, zadźwięczało, odbijając się od żelaznych stopni, stukając o betonowe ściany... Żadnego odgłosu, który mógłby sugerować, że gospodarz doliny zaległ w zasadzce. Przysunąłem się bliżej do betonowego cylindra, pod kątem w dół wsunąłem lufę w otwór i pociągnąłem za spust. Ach, jak pierdyknęło echem! I jeszcze raz...! Nic, żadnych oznak zasadzki. Podniosłem z ziemi leżący nieopodal kawał betonu i z zamachu wbiłem go pod zawiasy trzymające właz. No, niby powinno zablokować. Całkiem możliwe, że idea ta komuś postronnemu nie wydałaby się szczytem sprytu i kreatywności, ale ja aż zachwy ciłem się swą pomysłowością. Oczywiście wybić mój – pozał się Boże! – klin mogłoby nawet dziecko, ale trzeba by najpierw wyleźć ze studni na powierzchnię, a tego nasz bohaterski knypek raczej nie zrobi.

Potem rakiem ruszyłem przez zarośla, nie spuszczać okrągłej muszki empepiątki z wylotu włazu. Dopiero w krzakach odwróciłem się i biegiem rzuciłem ku van de Meerowi, uderzyłem ryżego po rękę – żadnego efektu, jakbym pacnął w gałąź, mięśnie twarde niczym kamienie... I ręce, i szyja... Rozpiąłem bransoletę PDA, przekreśliłem ekranik tak, żeby Dietrich gapił się w puste miejsce, odwróciłem się do Kostika... I ledwo zdjąłem rękę z ramienia van de Meera, a ten miękko przewrócił się na bok. Nawet nie zastanawiając się, powtórzyłem całą operację z Kostikiem, po prostu przekreślając PDA. Odstąpiłem o krok, spojrzełem – Kostik utzymał się na nogach. Podbiegłem znowu do uczonego, złapałem za naszyty na karku kombinezonu uchwyt, pociągnąłem w krzaki. Ułożyłem na ziemi jak szmacianą lalkę, wróciłem do Kostika. Rzuciwszy okiem na wejście do punktu radiowego, upewniłem się, że właz pozostał otwarty. Nieźle by było, gdyby nasz wstydlivy gospodarz uciekł przez podziemne przejście, bo stanąć z nim ponownie twarzą w twarz w obecnym stanie naszej ekipy jakoś mi się nie uśmiechało. Dowiółkszy Kostika do zarośli, ułożyłem go na boku, złapałem tym razem Dietricha, pociągnąłem w stronę włazu – trzeba było

jednocześnie i przyjaciół pilnować, a nie spuszczać oka z kryjóWKi naszego zbójcy.

A kiedy wracałem po Tarasa, ten zachrypiał coś, jakby odchrząkując, popatrzył na mnie prawie rozumnym wzrokiem i nawet poruszył ustami. Powiedzieć nic nie powiedział, no ale dajcie spokój – Terminator jakich mało, prawdziwy człowiek ze stali! Wleczony przeze mnie Kostik cały czas mrugał oczami, starając się coś mi ewidentnie powiedzieć, ale do mnie docierało tylko ledwo słyszalne chrypienie... Aż w końcu usłyszałem:

– Ajl-bi bek..

I wtedy autentycznie puściły mi nerwy. Klapnąłem na dupsko obok tego chwilowo wyłączono Terminatora i zacząłem się śmiać jak głupi, łyżycielki mi po policzkach, a ja wycierałem je brudną ręką, powtarzając:

– No wracaj, włączaj się już, poligloto durny... Wracaj, niech cię Zona...

I bardzo, ale to bardzo chciałem, żeby jednak obydwaj wrócili – i Kostik, i van de Meer. Bo przecież to byłoby straszną niesprawiedliwością, żeby tak właśnie zginąć, w ślepej plamie... A jeszcze straszniej byłoby zostać w tej ślepej plamie samemu. Ja tam do chodzenia w pojedynkę po Zonie nawykły jestem, w ogóle tłumu nie lubię, w samotności się lepiej myślę, ale... ale przecież tak naprawdę człowiek nigdy nie odcina wszystkich połączeń z bracią na miejscu, jest PDA, jest sieć! Zawsze można o wieści zapytać, pomoc wezwać, popłotkować albo powiedzieć komuś po prostu: „Siema!”... I dopiero tutaj, w ślepej plamie, tak naprawdę poczułem, czym jest autentyczna samotność.

Jako że Kostik zaczął powoli dochodzić do siebie, skoncentrowałem się na van de Meerze. Poprawiłem mu kombinezon, ułożyłem wygodniej – Dietrich zastygł w takiej pozycji, że nie można go było ułożyć na plecach, więc podparłem go tu i ówdzie moim plecakiem, a głowę na zdrtwiałej szyi ułożyłem na giętkiej gałęzi. Zajmując się uczonym, od czasu oglądałem się za siebie, czy aby nie zobaczę jakiegoś poruszenia przy władze. Ale nie, panowały cisza i spokój. W końcu, zamykając oczy i odwracając wzrok, na czuja rozpiąłem sobie i towarzyszącemu PDA, które schowałem do kieszeni.

Kostik znowu zacharczał, dałem mu wody z manierki; pił chciwie, siorbiąc, odcharkując i ze świstem wciągając powietrze.

– Co...? Ee-khee... kuu-rrr... Co to było...? – odezwał się ludzkim głosem, a nie po swojemu.

– To był Pustowar. Dima Pustowar.

Tak, tak – dokładnie tak proste to wszystko było. To tylko malutki, tłuściutki Dima Pustowar, zmenelały grubasek o twarzy smętnego rzeźnika... gospodarz Doliny Kości, władca ślepej plamy, groźny strażnik przejścia do Ciemnej Doliny.

Van de Meer dochodził do siebie po szybowaniu w pustce znacznie dłużej niż żelazny Kostik. Próbowałem mu pomóc i tak, i siak, ale nie udało mi się podać Dietrichowi wody. Uczony nie był w stanie przełknąć, a moje próby rozmasowania zeszywniałych mięśni nie dawały żadnych wymiernych rezultatów. Czas jakby stanął w miejscu, w desperacji spoglądałem co i rusz na betonowy cylinder z odrzuconą na bok kłapą włazu, to znów przyglądając się, jak Kostik próbuje rozprostować zdrtwiałe nogi, trwożliwie wsłuchując się w ledwo słyszalny oddech Dietricha. Najwyraźniej przedziwne skurcze nie sięgały do płuc, w przeciwnym razie ofiarom groziłaby rychła śmierć przez uduszenie.

Gdy Kostik dał radę usiąść, van de Meer w końcu odkaszlnął i odetchnął głośno i ochryple – brzmiało to strasznie, ale użyło mi. Wiedziałem już, że facet dochodzi do siebie i na pewno próbuje się odezwać.

– Jaktam, panie van de Meer, porozmawiałeś sobie pan ze Wszzechzromum?

– Khheee-eee-e-e-ee...

– No i dobrze, leż pan. Wszystko jasne, nie musi pan mówić ani słowa więcej. Pan posłucha

lepiej, co panu powiem w temacie wzajemnego zrozumienia. Idzie sobie stalker Pietrow po Ciemnej Dolinie, nagle słyszy z zarośli: Grrrr-r-r-r-r! Mówi sobie: Aha! Rozumiem. I jebut! w krzaki ze śrutówki. I ty le.

– *Żartujesz ty... Tobi use durny żarty, a ja ledwje ne pomer.*

– Niczego sobie żarty! A kto mi swoje „ajlbibeki” wciskał?

– *Ta ja że seriozna, a ty bajki trawysz.*

– No, a ty co? W normie, jak widzę, na *ridnu* mowu perejszoł, ha?

– *Jaka wona meni ridna? Ja tabi szo, chachol? Čfu... Ja ukrajinskij hramadzjanin, tamu razmauliju dierzżahnoju mowoju, jak i tobi, do reczy, nalieżyć. Skaży ty kraszcze, szczo ce zi mnoju buło?*

Dietrich zaniósł się kaszlem, spieszylem do niego; uczyony przywitał mnie zupełnie świadomym już spojrzeniem, krzywił tylko usta, nie mogąc ani słowa wykrztusić – twarz biała jak ściana, sine wargi... Dopiero teraz dotarło do mnie: tabletki przepadły! Pustowar, bydlak jeden, spierniczył z plecakiem Dietricha, i wszystkie nasze lekarstwa, koncentraty wojskowe, sześć puszek energetyka – wszystko jak kamień w wodę.

– *Tak szczo buła-to?* – powtórzył Kostik

– Ehheee... hheef... effeek Hubiczova – Holtona... – wy chrypiał Dietrich.

– *Wandemajer, wy żywyj!* – ucieszył się Kostik – *A to u mene szeja stała jak derewjana, hołowu pawernuty ne možu i was ne baczu.*

– Zaraz, niby jaki efekt?

– Szczegghy... ekhm! Szczegółów nie znam, ale chodzi o huch obhazów, mogących wywołać stupor, z którego człowiek... ehe... nie jest w stanie się wyrwać. Słyszeliście panowie o wycofaniu niektórych filmów anime? Tam wykryto podobny, ehm, efekt.

– Nie, akurat anime się nigdy nie interesowałem. – Nachyliłem się nad Dietrichem, ostrożnie napiłem z manierki.

Ja tam telewizji w ogóle nie lubię, bo tam wszystko opiera się na doborze odpowiednich kolorów, a nawet pilot z czerwonymi i zielonymi przyciskami jest ewidentnym wyrazem dyskryminacji daltonistów. Swoją drogą, w Gwieździe, na ten przykład, Gosza na zamontowanie telewizora nie pozwolił, mówiąc, że w jego lokalu mózgowęglacza nie będzie.

Uczyony wykaślał się porządnie, popił i ciągnął dalej:

– Tutaj mamy ślepa płamę, nie ma zasięgu z satelity. I ktoś zamontował tuu... ekhhe, ekhe...!

– Jasne, już jasne. Przesłali nam na PDA grafikę, od której dostaliśmy pierdolca. A z tamtej, o, anteny, idzie sygnał.

– Pierdolca? No... raczej utrata świadomości. Nigdy nie zastanawialiście się panowie, dlaczego komputery klasy naszych PDA nie trafiły do armii? Właśnie przez efekt Rubiczova – Holtona. Odpowiednio dobrany sygnał potrafiłby unieszkodliwić całą armię. Zatem ktoś...

– Dima Pustowar – wtrąciłem zmęczonym głosem. – Niech go Zona, tak debilnie proste... Wyłącza człowieka, na spokojnie odziera ze wszystkiego i rzuca psom na pożarcie... Tu, na tej polanie. Biedaczysko Węglarz, pewnie akurat znalazł się na trasie spędu, rzuciły się na niego biegnące z przodu drapieżniki, zatrzymały ogólny potok, potem stratowały je inne, a świeża krew...

I olśniło mnie – nagle wszystkie części łamigłówki ułożyły się na właściwych miejscach. Pierwsza fala spędu natknęła się na Węglarza, kilka stworów nie dało rady się powstrzymać, zaczęły żreć biednego Paszłę, na nie wpadły kolejne, zapach świeżej krwi włączył instynkt zabijania – no i zaczęło się...

– Całkiem, khm, dorzeczna wersja – zgodził się Dietrich. – Panie Ślepy, a pan w jaki sposób się uchowal?

Całkiem nieoczekiwanie van de Meer usiadł, rozejrzał się.

– To właśnie ten bunkier? Aha, antena... Więc co nas uratowało?

– *Slipyj uriatuwał. Pustawara, suku w mordu sranuju, puhanuł, potim nas peretiah z polijanki sjudy.*

– Panie van de Meer, przecież jestem daltonistą. Na mnie słabiej podziałało. Nieźle mi się w sumie poszczęściło...

Fortuno, bogini moja, zaiste zasłużyłaś na nieliczą libację!

– *Chłopci, poki mu tut tak družnio razmaulijemo, pryjduć ci sabaki, szczo zaraz maszynkami u laheri baljacca. Pabibikajuć, rulia pakrucjać, a jak witer z cijeji haliawyny u tu storanu dmuchnie, ad razu paczujucy... Oj, łyszeńka...*

Ostatnie słowa wycedził Kostik przy próbie podniesienia się na nogi. Doskonale go rozumiem, samemu mi jakby ktoś ręce i nogi kijami poobijał.

– Musimy zejść przez właz – twardo rzucił Dietrich.

– Dobra – zgodziłem się, robiąc krok ku betonowemu postumentowi.

Ni cholery nie miałem ochoty tam włązić, ale niby jaki był wybór?

– *Stij* – warknął Kostik i stanął na nogach. Bolało go potwornie, mięśnie jeszcze nie odpuściły, widziałem, jak krzywi się w cierpieniu. – *Ja pierszjy.*

– No chyba cię pogięło, przecież ledwo stoisz.

– *Ty wże na uriatuwał, teper maja czerha pierszym lytzy.*

– Poleziesz, jak ci nóżki urosną. – Bezcelnie odepchnąłem Kostika, który wywalił się jak długi.

No co miałem zrobić, to przecież kawał byłka, więc póki mogę sobie z nim poradzić, to trzeba koźry stać z okazji. Będę się chwalić potem, że Kostika jedną ręką położyłem.

Podczas gdy Taras rugał mnie, Pustowara, psy i całą Zonę, ja ostrożnie wsunąłem łufę empepiątki we właz. Cisza. Zajrzałem – gdzieś w dole jarzyło się światło, sama drabina tonęła w ciemności, ale widać było betonową wyłękę podłogi. Studnia była dość szeroka, drabinka ciągnęła się w dół dobre cztery metry, przy mocowana na solidnych kotwach, na oko powinny wytrzymać... No pewnie, że wytrzymają, skoro pieprzony grubas Pustowar po niej laził w egzozskiecie! Sprawdzone zaawansowaną techniką. Po przeciwległej ścianie biegła wiązka kabli w grubej izolacji – jasne, to do anteny.

Nie spieszyłem się, przypatrując się najbliższym stopniom – gdybym to ja był na miejscu Pustowara i siedział tam w zasadzce, od razu bym łeb takiemu idioci odstrzelił. Ale jakoś nikt do mnie nie strzelał, więc przykucałem ostrożnie nad ziejącą chłodem dziurą. No, to lepszej okazji Pustowar nie dostanie – no dawaj, strzelaj, świniu! A tu nic, ani jednego dźwięku. Odwróciłem się w zdecydowanie, spuściłem nogę na stopień, przytrzymałem się zatopionej w betonie metalowej ramy, rzuciłem ostatnie spojrzenie na próbującego wstać Kostika, puściłem oko do van de Meera i ruszyłem na dół.

Drabinka kończyła się w ciasnej piwniczce, około sześć metrów długości na dwa szerokości. Wzdłuż ściany stały pokryte rdzą skorupy jakiejś aparatury, metalowe szafy, stelaże... Część żelastwa wystarczyłoby puknąć, żeby rozpadło się w pył, inne były caluskie, tylko farba tu i ówdzie wyblakła albo odeszła purchlami. W przeciwległym końcu pomieszczenia tkwiły wpuszczone w beton potężne drzwi, teraz półotwarte – wyglądało na to, że nasz tłusty koleżka uciekł właśnie tędy. Na podłodze walał się wszelaki sprzęt i narzędzia, a spośród tej drobnicy wyróżniał się czarny kształt psiego łba w hermetycznej folii. Najwyraźniej Pustowar, któremu ziemia już paliła się pod tłustymi nogami, wytrząsnął wszystko z pojemnego plecaka van de Meera, żeby naładować go swoimi łupami. Podszedłem do hałdy, pochyliłem się, żeby poszukać lekarstw Dietricha w charakterystycznym opakowaniu.

W tej samej chwili zaszumiał włączający się na stoliku laptop, podniosłem wzrok – na ekranie monitora rozwierała się ta sama bezdena przepaść, wir kolorowych plam w powolnym, spiralnym tańcu zasysający mnie w otchłań... Bez namysłu poderwałem broń i ze strachu wyrąbałem

w komputer wszystko, co jeszcze zostało w magazynku. Fortuna, moja miłośna bogini, musiały nieźle się zestrachać, zostawiwszy mnie raptem na godzinę, a potem znajdując – słabego i bezbronnego – na usłanej kośćmi polanie pośród śmierdzącej juchą mielonki. A teraz oczywiście zdecydowała, że takiego szaloputa ani na chwilę z oka już nie spuści, jako że niczym innym jak interwencją Fortuny nie potrafię wyjaśnić tego, że nie zabiła mnie rykoszetująca kula. No, gdybym tylko monitor rozwalił, ale spanikowałem tak, że pociągnąłem serią na skos – część pocisków trafiła w betonową ścianę, w metalowe okucia stelaży... Huk i łomot poszedł taki, że na dobre parę minut kompletnie ogłuchłem i prawie że zesrałem się ze strachu, gdy Kostik klepnął mnie w ramie. Terminator jeszcze słabo poruszał kończynami, więc po drabinie pewnie raczej spełzł, niż zszedł, jak by należało. Nasz majcher zaniepokoił się kanonadą w podziemiach, więc rzucił się na pomoc. Pokazałem mu resztki laptopa, wyjaśniłem jakoś, że strzelałem ze strachu; nie słysząc własnego głosu, powtórzyłem głośniejsz, Kostik poruszył ustami jak ryba, ale nie dotarło do mnie nic – tylko ciągle dzwonienie w uszach... Po trochu, stopniowo, słuch w końcu wrócił, więc Kostik powtórzył po raz nie wiem który:

*– Ta ne kryczy ty wże! Kraszcze, Wandemejeru dopomozi, bo win sam zalyszylsa, a tam sabaki wze blyzhenko hawkajuc...*

Wylazłem na zewnątrz; van de Meer siedział, oparty plecami o beton, rozglądając się wokół i z widocznym trudem trzymając obiema rękami peemem. Pów może i nie słyszałem, ale i tak byłem na poły głuchy, więc nawet nie słuchałem, co gada Dietrich, tylko jak najszybciej wybiłem kawałek rzekomo kinującego właz betonu i ściągnąłem na dół plecak Kostika, a potem również uczonego. Na dół schodziliśmy razem – ja przodem, a Dietrich prawie siedząc mi na karku. Potem musiałem po raz kolejny wyjść na górę, żeby zamknąć właz. Zasuwa była zupełnie zwyczajna, samoróbka z giętej armatury, ale – szczerze mówiąc – ja bym czegoś takiego zgiąć nie dał rady. Pewnie byłby Pustawar sam zmontował przy pomocy stalowych, hydraulicznych mięśni egzozskieletu.

Podniosłem jedną ręką ciężki jak cholera właz, żeby ostatni raz się rozejrzeć, i spojrzałem w oczy... nie, stop. W oczy nie spojrzałem, bo nie było w co patrzeć – przede mną kiwał się bezokryj ślepego psa, nozdrza mutanta drgnęły, zaśliniona paszczeka rzuciła się w moją stronę; zareagowałem odruchowo – po prostu rozwarłem dłonie i poleciałem w tył. Pies zdążył wcisnąć się w szczelinę, potężny właz spadł prosto na jego mordę i zmiażdżył ją, sprasował. Uderzyłem plecami o beton ściany, złapałem za wiązkę kabli, ze wszystkich sił starając się nie stracić chwytu. Na twarz chlapanęło mi coś miękkiego i ciepłego... Bujnąłem się, próbując wymacać stopami drabinę, zahaczyłem nogą o stopień, postawiłem już pewniej drugą, dopiero wtedy zaryzykowałem puszczanie trzymany ch oburącz kabli i złapanie się drabiny najpierw jedną, potem drugą ręką. Z góry miarowo kapąły duże krople, podciągnąłem się im na spotkanie. Właz przylegał prawie idealnie, jakby pomiędzy nim a ramą nie było rozkwaszonego psiego czerepu. Wsunąłem samorobną zasuwę w żelazny uchwyt, potem przesuwałem przez otwór. Łatwo nie było, pewnie wszystko jest o wiele prostsze, jak człowiekowi pomaga ego. A potem powoli zsunąłem się na dół, nogi mi nagle osłabły. Zlądłem, klapnąłem ciężko, opierając się o drabinę, popatrzyłem na Kostika i Dietricha. Oby dwaj poruszali ustami, ale nadal prawie ich nie słyszałem, głosy dobiegały jak gdyby z daleka albo przez rurę pełną waty. Machnąłem ręką, żeby się nie męczyli.

– Dość, nie mówcie już nic, bo słowa i tak nie wyrażą... Swoją drogą, od tej chwili jestem nie Ślepy, a Głuchy.

I słownie jakby te właśnie słowa podziały – przelknąłem ślinę, coś przeskoczyło i dźwięk uderzył niczym grzmot w uszach, słuch wracał!

– Panie Ślepy, co się tam stało? To pańska krew? Czemu świeża?

Popatrzyłem po sobie. No tak, jasne – oprócz zaschłej juchy, w której tarzałem się na polanie,

teraz pokrywały mnie jeszcze świeże bryzgi. Do ramienia przykleił się żółty kiel z ciągnącą się nitką purpurowego paskudztwa.

– To pies jest... był. Na polance są już mutanty i teraz prędko nie odejdą – będą walczyć o ochłapy i żreć się nawzajem. Mięcha na miesiąc mają...

No tak, świeżonki tam parę bitych ton będzie – nic, tylko masarnię własną otwierać.

– *To ji szczo rabytymemo?*

– Ach, pytanie, uswięcone już wiekową tradycją! A skąd mam wiedzieć? To wyście mnie przeknali, żeby tu włąził.

Dietrich ruszył, trzymając się ręką pordzewiałych mocowań stelaży, w drugi koniec pomieszczenia, oparł się o drzwi, zatrzasnął, sprawdził mechanizm zamka. Ot, Europejczyk, pedancik! Potem poczłapał do rozrzuconych na podłodze rzeczy, zaczął grzebać, znalazł pudełko lekarstw, wyłuskał i łyknął ostatnią tabletkę z listka. Skrzywił się, wymamrotał:

– Myślę, że wszyscy nam przyda się odpocząć. Przeżyliśmy straszną... ee... przygodę.

No, trudno byłoby się nie zgodzić, więc tylko kiwnąłem głową. A tu Dietricha jakby piorun strzelił – nagle wstał, poprawił zapaprany kombinezon, podszedł do mnie... wyciągnął się jak struna, oświadczył:

– Panie Ślepy, dziś uratował mnie pan. Uratował mi życie. Pan... gdyby nie pan... nie wiem, jakie są miejscowe zwyczaje, ale... przyjęło się mówić, że...

– Panie van de Meer, daj pan spokój. Nie ja pana uratowałem, a moja przypadłość. Gdyby to panu się daltonizm trafił, a nie mnie, to teraz ja bym się przed panem płaszczył, że niby jak strasznie jestem wdzięczny, prawda? Chcesz pan podziękować? Przestań pan się w kłopoty ładować na siłę, kiedy jesteśmy w jednej ekipie.

– Już obiecałem... ale obawiam się, że faktycznie to ja pana wpakowałem... nas wszystkich...

– Dietrich, weź pan odpocznij, co? – Jasne, wpakowałem... A ja to mam trzy latka i on mnie za rączkę prowadził. Sam chciałem rozwikłać zagadkę Doliny Kości, no i mam za swoje. – Albo niech pan lepiej o tym efekcie opowie, tego Rubika – Hiltona czy jak mu tam?

– *Rubiczowa – Holtona* – odpowiedział Kostik – *Szczoś ja czuł take...*

– Ależ już wszystko, co wiem, powiedziałem. – Dietrich osunął się na podłogę, zaczął przebierać w rozsypanych rzeczach. – Przemieszczające się w określony sposób kolorowe plamy doprowadzają człowieka do stanu, gdy wyłącza się świadomość...

– Ej, nie, nie wyłączyłem się, a latałem!

– Hm. Wyraziłem się... ee... niefortunnie. Traci się kontrolę nad ciałem, mięśnie kurczą się losowo, w końcu ściąga je skurcz, a świadomość zostaje... hmm... oddzielona od ciała. Wreszcie nie wytrzymuje serce i mamy do czynienia z zejściem śmiertelnym. Naturalnie to badania utajnione, nie mam pojęcia, w jaki sposób osoba prywatna mogła wejść w posiadanie technologii, pozwalającej na zdublowanie efektu Rubiczowa – Holtona.

– No, a niby skąd osoby prywatne w Zonie karabiny biorą? Powiadają, że Powinność ma już nawet rakiety ziemia – powietrze.

– Taka aparatura nie trafia nawet na czarny rynek! – zaprotestował Dietrich. Po przeżyciach tego dnia każdemu z nas chciało się mówić, dyskutować... słowem – mieć do kogo się odezwać, a nie być tylko sam na sam ze sobą, z własnymi demonami. – Rakiety jeszcze można kupić, ale tego nie!

– *Cej talstun pracjuwał deś u abaronnamu instytucii* – wyjaśnił Kostik – *mabuć, tam i ukrał. Win zawždy takij buł, de szczo pahano leżyć, Pustawar zawždy schopyć.*

Mój wzrok padł na leżącą pośród innego śmiecia u nóg van de Meera papierośnicę. Podsunąłem się ku uczoneму, wziąłem do ręki puzdereczko.

– To papierośnica Glacy. Czeakałem na odpowiedź od niego... Na darmo, spóźniłem się z ostrze-



zaniem.

Otworzyłem srebrne pudełeczko – w środku leżały trzy bielomory i mała zapalniczka. Rzuciłem palenie od razu po wyjściu do cywila, ale jakoś tak naszła mnie ochota... Wyciągnąłem papierosa.

– *Slipyj!* – warknął groźnie Kostik – *Ce wijskowyj abiekt! Tut palyty zabaronena!*

Nie miałem już sił się śmiać... Dietrich nie oderwał się nawet od swoich zajęć, wyciągnął tylko spod stelaży jakiś zasyfiały, wypłowiały plecaczek i zaczął układać w nim to, co dał radę wygrzebać z hałdy. A na sam początek – psi łeb, a jakże. No nie, ale z pewnego punktu widzenia go rozumiałem – przecież nie na darmo się męczył, głowę odpłowywał... Ale no naprawdę, coś tak absurdalnie paskudnego byłoby chyba ostatnią rzeczą, jaką chciałby mi ze sobą zabierać.

Miał kiedyś stalker Pietrow zapasowy plecaczek Jedwabny. Znaczy się z jedwabiu spadochronowego. Z całego spadochronu uszyty, tak na wszelki wypadek, żeby się już na pewno cały charakter zmieścił.

Tymczasem na podłodze osiadł też Kostik, który zaczął grzebać w swoim plecaku. Wyciągnął paczuszkę sucharów, pomyślał, schował. Potem zdecydowanym ruchem zaciągnął plecak, oświadczył:

– *Wy, chłopci, jak znajete, a ja jisty ne možu. I ot szczo ja skažu: cej ahuzak suka žyrnyj, Pustowar cej – win nie mił dalieko utekty. Jakszczo zaraz dwynemo, doženem.*

– Tak czy inaczej, trzeba się stąd wynosić – przytaknął Dietrich. – Jak tylko wyjdziemy ze ślepej plamy, damy znać... Komu? Pańskiemu szefowi, panie Kostik, panu Karczalinowi...

– *To jidemo* – podsumował Kostik

A mnie oczywiście nikt nie pytał o zdanie. Jak zwykle. Ale w sumie to się z Kostikiem zgadzałem, z Pustowara piechur żaden, a jeszcze z chabarem... i nie o ciężar tu chodzi, bo ma przecież egzozkielet, i pewnie mógłby sobie grubas i ćwierć tony kamieni na plecy wrzucić, chociaż pewnie by się przy tym znaczał... Nie, chodziło o coś innego – nasz Dimka uciekał wąskimi korytarzami, torby i plecaki mocno w tym przeszkadzają, a i egzo mu nie pomoże przeciskać się przez wąskie przejścia. To, że Pustowar zdecydował się na ucieczkę starym tunelem, akurat mnie cieszyło – bo znaczy to, że jest tam przejście, a korytarz nie jest zasypany. Pustowar też raczej nie będzie bawił się w zasadzkę – o nie, będzie spieszyć ze wszystkich sił, co też przemawiało za wszczęciem pogoni bez chwili zwłoki. Czyli odpoczniemy sobie w grobie.

– Dobra, dobra – burknąłem. – Skoroście już beze mnie i tak zdecydowali. Znowu beze mnie...

Rzecz jasna obaj na wyścigi zaczęli przekonywać, że gotowi są wysłuchać moich uwag, ale przerwałem im teatralnym gestem.

– Ach nie! Zali wždy, skoro decyzja zapadła! Tyle tylko, że ja pierwszy idę... Siemiecki jeden wie, co tam może być, a nuż się natknijemy na anomalie.

Tu przypomniałem sobie o PDA. Zapobiegliwie patrząc w sufit i zerkając tylko spod oka, odłączyłem aplikację z mapą terenu, potem powtórzyłem operację na komputerkach towarzyszy – tamci, jasna sprawa, twierdzili, że mogą przecież sami, ale nie pozwalałem. I kazałem nie wyłączać. Co prawda sygnału z satelity nie było, ale detektor anomalii, licznik Geigera i dozymetr to akurat artykuły pierwszej potrzeby, więc znów uzbroiliśmy się w tak zwany hajtech.

Kostik zapytał:

– *Ot czaho ja ne razumiju, nawiszczo win łamał kompiuterczyki?*

– Bo sprzedać nie mógł, jasna sprawa! Pistolet albo puszkę konserw trudniej rozpoznać, a PDA zawsze jest mocno osobisty i na tym Pustowar mógł się łatwo poślizgnąć.

– Mając odpowiednie umiejętności, można w pamięci komputera znaleźć resztki ostatnich wiadomości, odebranych sygnałów i temu podobne – zgodził się Dietrich. – Więc niszczył je, żeby zatrzeć, że tak powiem, wszelkie ślady.

– Znaczący się nie jest chciwy, hłe, hłe... Jak tam go Węgłarz chciał? W „wyżymaczkę”? Po kawalku?

– *I paczaty z nih* – przy pomniał Kostik – *Harna ideja. Ja zhoden... A, zabu!*

Terminator wy ciągnął z góry śmiecia łopatkę saperską, stanął przed stolikiem z przestrzelonym laptopem, dłuższą chwilę patrzył na niego ponuro, a potem przypierdzielił saperką w komputer, i jeszcze raz, i znowu... Spod ostrza łopatki leciały kawałki metalu, fragmenty plastiku, odłamki... sypały się iskry. Kostik nie przestawał, dopóki na stoliku przed nim nie zostały tylko malusie kawałki. Pomyślałem sobie, że jak Pustowara w końcu złapiemy, to będę się musiał pospieszyć, żeby chociaż raz i drugi zdążyć grubasowi zajechać w ryj, bo jak mnie Taras uprzedzi, to nie będzie w co.

A Kostik nawet się nie zadyślał, spokojnie rzucił:

– *Nu, ot... zdajecca, use. Teper možemo jity.*

Ruszyliśmy więc. Korytarz za pancerną grodzią był w miarę wygodny, suchy, betonowe ściany nie nosiły nawet śladu pleśni, na szerokość też niczego sobie, tu półtora metra, tam minimalnie mniej. I światło było. Jak to nierzadko w Zonie bywa, instalacji ani zasilania nie trafił przez dziesięciolecia zasłużony szlag – co prawda część lamp poprzepalała się, ale pozostałe dawały nawet równe światło. Galeryjka była niemalże idealnie pozioma, prosta, a jedyna odnoga, na jaką się natknęliśmy, zaprowadziła nas tam, dokąd nawet król chodzi piechotą. Nie wiem, czy kanalizacja działała, ale śmierdziało tam jak nieszczęście. Tak czy inaczej, obecność kanału – działającego albo nie, nieistotne – przypomniała nam, że ta galeryjka to zaledwie część złożonego kompleksu tuneli.

Nieco się zaniepokoiłem, gdy po raz pierwszy natknęliśmy się na „wiedźmi kisiel”. Detektor radośnie ostrzegł nas terkotem o obecności anomalii, ale przypomniałem sobie, że kończą mi się śrubki, których w sumie nie zdążyłem znaleźć więcej. Kostik wy ciągnął zza pazuchy garść chłamu – pewnie wszystkich śmieci i barachła, jakie tylko zebrał po drodze, biorąc za *ce won artefakty*. No zabawne, jak cholera... Patrząc na Kostika, pomyślałem sobie, że trzeba by wymyślić anegdoty o ukraińskim stalkercie Pietrence – leniwym, chciwym chachłaku. Jeśli Pietrow jest wizerunkiem heroicznym, to Pietrenka będzie postacią komiczną.

Uszliśmy już jakiś kilometr, może półtora... Mimo wszystko tunel nie był idealnie równy, skęcał leciutko – oglądając się, nie widziałem jego początku, wianuszek cmiących słabo lamp nie zniknął w ciemności, a chował się za ścianą.

– *Szczo dołżeńko jidemo* – wymamrotał Kostik – *Tut deś pariad wychid na pawerchniu je. Pawynen buty, bo tak na plani, szczo starlejtmant dał.*

– Nie da się przegapić wyjścia na powierzchnię – rzuciłem przez ramię – a w tym korytarzu każdy właz albo drzwi zauważył od razu.

I faktycznie, betonowe ściany i stropy wyglądały cały czas dokładnie tak samo, tylko tu i ówdzie trafialiśmy na jakieś symbole, wymalowane czerwoną (chyba) albo białą farbą, linie poziomic, strzałki, cyfry, litery... Ni cholery tych konstrukcyjnych hieroglifów nie rozumiałem.

– *Ja da taho, szczo nibyto papieredu szczoś...*

– A-ha. – Rzeczywiście, ja też zauważyłem plamę jaśniejszego światła z przodu. – Zaraz będzie... coś.

Mapy starszego lejtmanta Siwuszowa nie kłamały – tunel prowadził do kwadratowego pomieszczenia, z którego powinny ciągnąć się trzy korytarze; w suficie widać było okrągły otwór, dokładnie taki, jak pod rzekomo porzuconym nadajnikiem. I nawet drabina była identyczna. Z trzech korytarzy zaledwie jeden był zamknięty stalowymi drzwiami – ten leżący dokładnie na osi naszego tunelu. Teoretycznie nasze wejście do sali też powinno być zamknięte pancernymi drzwiami, ale z jakiejś przyczyny nigdy ich nie zamontowano – stały sobie nieopodal oparte o ścianę. Przejścia

po prawej i lewej były zastąpione zbitymi z desek zaślepkami; drewno już zgniło, spod spodu sączyła się wilgoć, na podłodze utworzyła się brudnobrązowe zacieki z błota. Kostik zajął pod dachy – po drugiej stronie była gliniasta ziemia. Najwyraźniej bocznych tuneli budowlancy nie zdążyli jeszcze wykopać, ale otwory w kwadratowej sali już przy gotowano – pewnie Druga Awaria w Elektrowni przeszkodziła rozbudowie.

Ale, co zrozumiałe, ze wszystkiego, co ujrzeliśmy, mnie osobiście najbardziej uradowała drabina. A dźwięki, wręcz przeciwnie, zaniepokoiły – gdzieś nad głową coś załomotało ciężko. Po grobowej ciszy podziemi każdy dźwięk zdawał się głośniejszy, ale ten huk był nawet nie tyle głośny, co ciężki, potężny. Od razu pojawiło się odczucie ciężaru leżącego na ramionach. Popatrzyłem na towarzyszy, na ich spięte twarze. No, nie tylko mnie ten dudniący łomot poruszył... Zarzuciłem hecklera na plecy, zacząłem wlaźić po drabinie. Było ciemnowo, ledwo starczało światła, wpadającego z kwadratowej sali na dole.

Szybcuśko wdrapałem się na samą górę, gdzie we wlaźcie tkwiła dokładnie taka sama zasuwamóróbka, jak i w poprzednim, w Dolinie Kości. Teraz kłapa nie była zablokowana, zasuwawisiała luzno w zardzewiałym uchwycie, co tylko pozwoliło mi upewnić się, że Dima właśnie tędy dał drapak. Naparłem na wąż – ani drgnie! Z góry, gdzieś z zewnątrz, ponownie dobiegło rytmiczne szuranie, stuk a potem kolejny głuchy łomot, jeszcze jeden ciężki, twardy obiekt spoczął nam nad głowami. Głuchy, taki dudniący dźwięk, jakby kamień upadał. Zaraz za mną wszedł na górę Taras, spróbował też, splunął – jako pierwszy zrozumiał.

– *Dimka, swolocz, suka jobana, kamienuk nakłął... Jaka hnida pahanaja...*

– Sam żeś gnida – doniosło się z góry. Głos miał Pustowar bynajmniej nie tryumfalny, słyszałem w nim raczej nutki niepewnego przestrachu. – Teraz nie wyleziesz.

– Posłuchaj też, Dima – odezwał się najspokojniej jak umiałem. – Człowieku, zabierz kamienie, van de Meer ledwo dycha. Lekarza mu na trzeba, tabletek.. Dimka, to przecież ja, Ślepy, ty sam wiesz, nigdy ci nic złego nie zrobiłem.

– Nie zrobiłeś, bo tchórz jesteś! – zaskomlał Pustowar. – Wy mnie wszyscy, wszyscy nienawidzicie... Zdrowi, silni, was nogi nie boją... A kim teraz jestem, ha? Kto teraz górą? A ja nie jestem grubas, normalny byłem, to choroba, to Zona mnie tak okaleczyła! Za to wy myśliłem, sam wy myśliłem, jak was oszukać! I ją też oszukać! I wszystkich, wszystkich!

– Dima, weź wypuść nas... Słowo honoru, nie będziemy cię ścigać. Jeśli kamienie zabierzesz, to na Zonę przy sięgam, dwie godziny się z miejsca nie ruszy my.

– Dwie godziny to za mało. – Pustowar odezwał się bardziej agresywnie, a ja zrozumiałem, że wybrałem niewłaściwy ton. Z tym bydlakiem nie należało po dobroci. – A teraz już na pewno nie będziecie mnie ścigać, bo tyle kamieni nawaliłem, że i tuzinem granatów nie rozwalicie. Zresztą chciecie – wysadzajcie, samych siebie przy okazji pochowacie.

– Dima, pindo jedna! Wiesz, że i tak cię dorwę, a wtedy ci..

– Dobra, Ślepy, nie ekscytuj się. Tunelem dalej pójdzie, jakiś kilometr z groszami. No, sam zobaczysz, drzewa jedno, drugie, trzecie otworzysz, trafisz do dużego pomieszczenia. Idziesz odwrotnie do ruchu wskazówek, tam wcześniej czy później będzie wyjście na powierzchnię. A póki wy będziecie iść pod ziemią, ja też zdążę odejść, rozumiesz?! I wtedy już mnie nie złapiecie, nawet nie próbujcie! I wszyscy będą zadowoleni. Na razie, Ślepy – żyj i pamiętaj, jaki dobry byłem. Mogłem przecież wam na wlaźcie granat położyć.

– Dima, lekarstwa daj chociaż! Van de Meer musi wziąć lekarstwa!

Wysłuchałem się – ledwo słyszalny stukpracujących hydrocylinród wspomaganie egzoszkieletu ucichł; Pustowar odszedł i raczej nie wróci. Jedyne, co mi w całej tej historii poprawiło humor, to ciężki, świszczący oddech Dimy i to, jak powoli się ruszał. Chabarem się obładował, świnia tusta, tak że i ze wspomaganie ledwo iść może.

– *Szczoś ne padabajecca meni jaho dabrata...* – mruknął Kostik – *Alie że pa planu, szczo tabi jęntant dał, tak wono ji je. Try szliuzia, a za tretym – welyky zał. Tam bahata czoho nastrajyly, cile pidzuzne mista.*

– Podziemne miasto? W takim miejscu wszelkie paskudztwo się mogło zalegnąć, Kostik.. No ale nie mamy wyboru, na polance pewnie teraz tyle zwierza, że nawet nam amunicji nie starczy, żeby się przedrzeć. Tam mamy na sto procent przerażane.

– *A skilki u tebe nabojił?*

– Pół magazynka... może więcej. Jak idiota w ten komputer tam pociągnąłem, no i... A ty jak stoisz?

– *Adzin razok pońnyj, ta szcze kilka masliat zalyszylōs u druhomu.*

– I dwa makarowy, mój i Dietricha. No nic, przebijemy się, nie?

Byleby tylko wiedzieć, gdzie wyjdziemy. Jeśli dobrze rozumiem, to teraz jesteśmy w Ciemnej Dolinie, a raczej pod nią. Jak ruszymy dalej... no, zależy, gdzie znajdziemy wyjście na powierzchnię. Na zachód stąd jest kilka baz szabrowników, tam ich od czasu do czasu Powinność pogoni, ale lepiej, żebyśmy się i z nimi nie spotykali.

– *Nu szczo – rzucił z dołu Kostik – Pijdemo, czy szo?*

– To ty mnie się pytasz? Ja i tak nigdzie nie pójdę, póki ty pode mną sterczysz.

– *Ta ja tak... mołczaty ne možu, szczoś meni jakoś... nepryjemno.*

Nieprzyjemnie mu się zrobiło. A komu niby przyjemnie, co? A może nasz żelazny Terminator cierpi na klaustrofobię? Kostik, wzdychając, zszedł na dół, do van de Meera.

– Słyszałem całą rozmowę z ty m... bandytą – powiedział uczony. – Możecie panowie nie referować.

– Życzy pan sobie wyśtosować oficjalne oświadczenie, doktorze van de Meer?

Dietrich wzruszył chudy mi ramionami.

– Jestem gotów ruszać dalej.

Drzwi prowadzący ch w głąb podziemnych ciągów komunikacyjnych chyba nikt już od dawna nie otwierał, zamek zastał się, więc Kostik mający zamiar lekko przekręcić kołem zamka, prawie wybił sobie zęby. Pospieszyłem na pomoc, ale on odsunął mnie, wyraźnie urażony.

– *Ta ablysz ty! Szczo ja, sam ne možu?*

Mógł. Zarzucił karabin na ramię, złapał obiema rękami koło, zebrał się w sobie... Stałem tylko za nim, patrząc, jak szyja Kostika pąsowieje z wysiłku. Potem coś trzasnęło – to brezentowy płaszcz, który Taras nosił na skórzanej kurtce, pełn na szwie – ale koło z jękiem ruszyło. Odetchnął głośno, znów napał – tym razem poszło już łatwiej. Zawiasy okazały się też lekko zapieczone przez rdzę, ale drzwi ustąpiły w sumie bez większego trudu. W nimi widać było równy, ale ciemnowy korytarz. Lampy paliły się tylko tu i ówdzie, więc większa część galerii tonęła w mroku. Pokryte grubym nalotem kurzu klozse słabo przepuszczały światło, do tego przygasając od czasu do czasu. Przecisnąłem się obok Kostika, ponownie wysuwając się na czoło kolumny marszowej.

– *Ty, nu, toj...* – niepewnym głosem rzucił Kostik – *Ty abereżnisze tam, bo szczoś meni nijakawa...*

No, mnie też trochę nieswojo się zrobiło. Oj, nie lubię takich opuszczonych podziemi. Na powierzchni, jak niebo widać, to jakoś weselej, spokojniej...

Korytarz za nami był – mimo wszystko – prawie że zamieszkały – Pustowar korzystał z niego, wycierał lampy, może nawet, bydlę jedno, żarówki popalone wymieniał. A dalej rozciągała się *terror incognita*, ziemia bezimiennej grozy. Bardzo, ale to bardzo ciemna *terror incognita*. Po paruset metrach musieliśmy otwierać kolejne drzwi – a potem odezwał się mój detektor anomalii, jednocześnie z jego pikaniem wyłapałem charakterystyczny trzask, któremu towarzyszyły blade rozbłyski. Gdzieś przed nami czała się „elektra”. Dobrze w tej anomalii jest to, że się nie chowa, z

daleką ją widać i słyhać... Wiązka przewodów, ciągnących się w rogu pod sufitem, była tu zerwana, kable w porwanej izolacji wisiały do samej podłogi, tonąc w przeskakujących po podłodze sinawych wyładowaniach, a dalej korytarz spowijała ciemność. Przez ciągle błyskanie „elektry” nawet nie byłem w stanie zobaczyć, czy w ogóle cokolwiek tam jest.

Towarzysze stanęli mi za plecami, patrząc na anomalię – a „elektra” dorodna była, tak że dwa metry bieżące, skakać nie ma co.

– Znaczy się tak... – zdecydowałem. – Ja rzucam śrubki... Wróć. Rzucam tym, co mam, w anomalię, a kiedy się trochę rozładuje, to skaczą pierwszy. A wy teraz na bok odejść i nie przeszkadzać.

– *Ta ja hadaju...*

– Wykonać, szeregowy Kostikow! Gadać se później będziemy, a teraz robić, co mówię. Jasne?

– Tak jest, oby watelu stalkerze!

– *Herr van de Meer?*

– *Jawohl.*

Dwuosobowy oddział odsunął się, żeby dać mi miejsce na rozbieg, zacząłem karmić anomalię śmieciem, którym obdarował mnie Taras. „Elektra” syczała, sypała iskrami, wyładowania skakały po podłodze – coraz słabiej, ciszej... W końcu zdecydowałem, że nie ma co dalej czekać, i rzuciłem się naprzód. Krok, dwa, trzy... hop!

Wybiłem się, lądując piętami szczęśliwie kilkadziesiąt centymetrów za wściekle syczącymi błyskawicami.

– Van de Meer, teraz pan – zakomenderowałem. – Panie Dietrich, rzucę kilka śmietków i się odsunę, a jak krzyknę – pan biegnie i skacze.

Tak też zrobiliśmy. Dietrich skoczył nie tak może ładnie jak ja, lądując na obrzeżach „elektry”; wściekle zygzaki skoczyły mu spod nóg, ale uczony zrobił z rozędu kolejny krok i wyleciał z anomalii.

– *Vszy stko v porzadku – zaraportował pospiesznie. – Pomógł mój kombinezon.*

Faktycznie, pomarańczowe kombinezonki nieźle chronią od problemów w stylu „elektry” czy „żarnika”... ale kiedy Dietrich ściągnął z głowy pancerny kaptur, żeby wytrzeć mokre od potu czoło, zauważyłem, że jego ryża czupryna stoi dęba. No, nic strasznego, zdarza się.

Najmniej kłopotów mieliśmy z przeprawą Kostika, który po prostu z miejsca kicnął nad anomalią, nawet nie przerzucając wcześniej plecaka; inna sprawa, że „elektrę” dostał już mocno przeze mnie i Dietricha wymęczoną.

Podniosłem plecak, popatrzyłem w korytarz – przed nami trzaskała sobie jeszcze jedna „elektra”, ale zupełnie mała. Końce zerwanych kabli zwisały się w nią i kąpały w wyładowaniach dokładnie tak, jak i w tej anomalii, którą dopiero co pokonał. A dalej przewody ciągnęły się znów pod sufitem... i lampy radośnie paliły się w matowych, zakurzonych kloszach! No jak to możliwe? Ano tak, po prostu... Zona.

Podzielił się sprzętem, ponownie przyjął porządek marszowy – ja przodem – i ruszyliśmy dalej. Korytarz był marnie oświetlony, ale nie włączałem latarki, oszczędzając akumulator – kto wie ile trzeba będzie błędzić po podziemnym mieście, które Taras widział na mapie. Mapa mapą, ale doświadczenie stalkera podpowiadało: w Zonie mało co zgadza się z planem, szczególnie jeśli dotyczy się budowli stawianych przed Drugą Awarią... Jednym słowem, bardzo ostrożnie szedłem przez półmrok, nieco przyspieszając na oświetlonych kawałkach. Przed trzecimi drzwiami akurat paliła się żarówka, blask padał na gródz, za którą jeśli kierując mapie Siwuszowa, zaczynał się labirynt. Drzwi, jak i poprzednie, były solidne, pancerne, tyle tylko, że na powierzchni metalowej płyty wyraźnie odznaczały się dwa solidne ślady, że dwa, trzy centymetry wysokości jak nic. Coś musiało nieźle przyłożyć w pancerną stal z tamtej strony na poziomie moich ra-

mion, tak że kołowrót zamka lekko podniósł się z jednej strony... Ciekawe, co to też mogło być? Albo nie, wcale nie ciekawe, już lepiej się nie dowiadywać! Zona niech te drzwi weźmie, bardzo mi się ten wgnieciony metal nie podobał.

Kostik odsunął mnie, złapał za kołowrót.

– *Nuu...* – Napał z całej siły na dźwignię.

Tym razem zamek odpuścił zaskakująco łatwo – możliwe, że tutaj, w tym zakamarku korytarza, było akurat sucho, żadnej rdzy, więc zamek lepiej zniósł upływ czasu; tak czy inaczej, drzwi otworzy się bez skrzypienia i jęków – lekko, gładko, wręcz zapraszająco: proszę, witamy, teraz wszystko już się ułoży... I tylko wgnioty w panciernej blasze bezgłośnie krzyczały, że będzie inaczej.

Zajrzałem dalej – ciemność, ciemność widzę... i tylko kilka żelaznych stopni prowadzących w dół. A dalej – nic nie widać, nic nie słychać, ani jednego nawet źródła światła. No, Fortuno, bogini moja... Obejrzałem się na towarzyszy, których poważne twarze oświetlała bocznym światłem ostatnia działająca lampa.

– To co, naprzód wiara, nie? – Włączyłem latarkę, robiąc pierwszy krok w czarne trzewia podziemnego schronu.

– Stać! Ślepy, nie pan poczeka! – zawołał van de Meer. – Tam jest ciemno, a najpierw chciałbym... Zaraz włączę mój PDA, spróbuję złapać sygnał, a jeżeli zobaczycie, że znowu dostałem... piehdo... e...

– Uratujemy pana, van de Meer – zapewniłem.

Rzeczywiście, takie eksperymenty lepiej przeprowadzać przy świetle. Niby aparatura Pustowara rozwalona, niebezpieczeństwa nie ma. Niby.

Dietrich odetchnął głęboko... podniósł przedramię z PDA, namacał przycisk, odwrócił się, kliknął. Nie stało się nic.

– Cały czas jesteśmy w ślepej plamie?

Dietrich popatrzył na ciemny ekran z ikonką.

– Albo jest tu tyle żelazobetonu, że ekranuje sygnał.

Kostik i ja też włączyliśmy swoje komputerki, ale naturalnie nasze kalkulatorki tym bardziej nie łapały sieci. Nie dziwota, skoro nawet agregat Dietricha nie dawał rady.

– *Cja sparuda, mabuć, wid jadernoha wybucha zachistyty może* – błysnął przenikiwością Kostik – *Kudy wże tamu sputnyku...*

– No, to dokąd idziemy? Ciemno tu jak u burera w dupie.

– Przy okazji, panie Ślepy, wiele o tych burerach słyszałem...

– No i dobrze, wystarczy. Lepiej, żebyśmy ich tu nie widzieli. Jak dla mnie, panie van de Meer, to wystarczy tego, co sam o nich słyszałem. To co, dokąd? W którą stronę? Pustowar mówił, że przeciwnie do wskazówek zegara.

Kostik wyciągnął wydruk z mapą podziemnego miasta.

– *Mabuć, tak. Nibyto proty czasawoji stryłki karotsza daroha da najblyżczocho wychidu.*

– No, to komu w drogę...



Otwarte drzwi zostały daleko z tyłu. Kilkakrotnie oglądałem się, żeby spojrzeć na żółtawe światło, wpadające z korytarza... i z każdym krokiem było ono coraz dalej i dalej, coraz słabsze... a potem znikło całkiem. Zagłębialiśmy się w trzewia Zony, w jeden z jej licznych, jakże licznych zakamarków.

– Łaszże jest światiełko gdzieś na końcu tunelu, jak to powiedział małutki ślepy pies, połknięty przez pseudogiganta.

Van de Meer chrząknął, Kostik zaklął pod nosem. Oj, mało wdzięczna publiczność, okłasków się raczej nie doczekam.

Schody skończyły się wreszcie, skręciliśmy w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek. W świetle latarek widać było po prawej betonową powierzchnię niekończącej się ściany – ciemne zacieki, odciski szalunków... beton jak beton. Gdy próbowałem zaświecić w lewo, snop światła tonął w bezdennej ciemności, z rzadka tylko wyłuskując z mroku zarysy potężnych filarów – kwadratowych chyba w przekroju, bite dwa metry szerokości, ale ciężko dokładnie ocenić, za daleko było. Potem van de Meer odwrócił głowę ku środkowi sali, jego potężna latarka na krótką chwilę oświetliła rzędy filarów, biegnące gdzieś w ciemność.

– Wygląda to jak podziemny garaż – zauważył Dietrich.

– *Aha, jasna – dla tankowej dywizji... Czi dwuch. Usi tanki szczo b pry parkuwy spakijna.*

– Zbyt obszernie tu, aż dziwne – zgodziłem się. – Ty le nabudowali... i zarzucone wszystko, zapomniane.

– *Nii, ne zausim.*

– Co nie zupełnie?

– *Ne zausim pabuduwały i ne zausim pakynuta. Ci prymyszczerńia wże na wijskowamu balansi.*

– W teorii? – doprecyzował van de Meer.

– *Zwisna, teoretyczna. Cju sparudu ne zakincyly buduwały, ja hadaju, welykyj zał treba buwo na kilka miensznych razdylyty. Nu, pa planu. Alie drugij wybuch na CzAES pereszkadyl. Cej objekt terminowa zakonserwowana, jaho ne spysaly, jak tu radiatoczku.*

– Dobrze, że wzdłuż ściany mamy iść, bo przez środek jakoś tak...

– *Ja że kažu, nijakowo meny zrabyłoš u cjomu pidzjemnamu carstwi. Ta skora wże... Szcze kilka sot metrŭ, ji bude perehid u wuzkij karydor.*

– Słyszycie panowie? – zaniepokoił się van de Meer.

– Nie, ja nic nie słyszę.

– *Ty że tepjer Hłuchij, zabuł? – Kostik próbował żartować, ale głos miał spięty. – Ja niby czuw... Szczoš tam szeburszycca, u temrjawi.*

– Tak tak. Ale dość daleko. Chodźmy szybciej, panowie, byleby już do tego wąskiego korytarza.

Nadal nic nie słyszałem, ale całkiem możliwe, że przez to, jak sobie postrzelałem w ciasnym pomieszczeniu, to byłem cokolwiek głuchawy. Niemniej posłuchałem van de Meera i przyspieszyłem – tym bardziej że jego prośba była skierowana właśnie do mnie, przecież ja prowadziłem. Szybciej znaczy się szybciej. Detektor anomalii milczał, miałem nadzieję, że zesłaliśmy już na tyle głęboko, że Zona nie da rady osiągnąć nas swoimi śmiertcionośnymi stworami.

Szedłem tak szybko, jak było to możliwe. Światło latarki ślizgało się po betonowej ścianie – chociaż Kostik twierdził, że przed nami jeszcze paręset metrów drogi przez salę, to a nuż na drzwi jednak trafimy już gdzieś tutaj.

A potem Kostik i van de Meer jak na komendę zaczęli się rozglądać, obydwaj podnieśli broń – i w końcu ja też usłyszałem. Coś jakby skrobanie, szelest, mnóstwo niezbyt głośnych dźwięków, składających się na bardzo niemiłe tło... Jak gdyby coś nas okrążało, przemieszczając w otaczają-

cych ciemnościach. Coś małego, lekkiego... Moja latarka, jak i wcześniej, świeciła na podłogę i scianę po prawej, starałem się nawet nie patrzeć w głąb sali, żeby nie przegapić drzwi albo dowolnej niespodzianki typu studzienka w podłodze, albo...

Pod moimi butami chrupnęły kości.

– Ktoś tu już przed nami był – skonstatowałem.

Van de Meer nieco zwolnił, oglądając znaleziska.

– Moim zdaniem psie – rzucił.

No i dobrze. Zabłąkał się tu jakiś pechowy kundel, zabłądził w wielkiej sali i skapiał z głodu. Nie miał przecież mapy od starszego lejtnanta Siwuszowa.

– Jest coś! – wrzasnął van de Meer.

– *Ta tychsze, profesor! Ja także baczył, szczoś newełyczke takie. Skacze tam.*

Tym razem Dietrich nawet nie obraził się za „profesora”. Ruszyłem jeszcze szybciej, taka prędkość już potrafi być niebezpieczna, ale detektor nie widział zupełnie nic, a spotkania z mieszkańcami podziemi, jakkolwiek rzekomo niedużymi, wolałbym uniknąć z założenia. Na wszelki wypadek wyciągnąłem z kabury peemema, od drobnicy i pistoletem można się opędzić, a amunicji do mojego hakempepięć zostało ledwo-ledwo...

– Są! – Dietrich dwukrotnie dał ognia, w odpowiedzi na strzały ciemność zapiszczała głosem z wielu gardeł; teraz ja również widziałem w świetle latarki chude, wyliniałe stworki.

No, miały może po trzy dziesiąci, czterdzieści centymetrów wysokości, nie takie znów one małe, ale delikatne, wręcz kruche z wyglądu – po prostu same kości, obciążone włochatą skórką. Szerokie mordy, złośliwe oczka, ogromniaste uszy sterczały im niczym skrzydła nietoperzy... O szczuro-skoczkach albo tuszkanach, mieszańcach opuszczonych ch budowli na północny wschód od Wysypiska, słyszałem nie raz i nie dwa, ale widziałem je po raz pierwszy. Powiadano o tych drobnych drapieżnikach, że stają się bardzo agresywne w dużych stadach, ale pojedynczo są raczej płochliwe. Tu musiała być ich cała masa, słyszałem szuranie niewiarygodnej ilości kościstych łapek i pisk nieprzeliczonych gardeł. W świetle latarki mignęła płaska mordka ze sterczącymi, poszarpanymi uszami i pazurzastymi łapkami. Potem kolejna, bliżej – stworki zacieśniały krąg. My też zwarliśmy szeregi. Plamy światła prześlizgiwały się po betonowej podłodze, wyciągając z mroku podstawy filarów i migające pomiędzy nimi kreatury. Zdawało się, że są ich setki, tysiące, tuszkanie były wszędzie... a potem kilkadziesiąt mutantów rzuciło się na nas jednocześnie. Potworki przemieszczały się niedużymi skokami, pragnąc wpić się w nas pazurami, rozerwać materiał kombinezonu, wdrapać się wyżej, ku oczom...

Pierwsze stwory zmiotłem wystrzałami z pistoletu, potem – gdy skończyła się amunicja do makarowa – zacząłem bronić się nogami, odrzucając w locie skaczące tuszkanie, depcząc butami leżące na ziemi. Mutanty piszczały strasznie, gdy kruche kosteczki pękały pod solidnymi podszkami. Kostik z początku bił pojedynczymi strzałami, potem jego broń zamilkła, ale nawet nie patrząc w jego stronę, wiedziałem, że Terminator walczy – jego energiczne, piętrowe przekleństwa bez trudu zagłuszały nawet pisk mutantów. Dietrich strzelał, przerywając tylko na zmianę magazynków – trzymaliśmy go pośrodku, więc nie atakowało go aż tyle stworów, dzięki czemu uczony wspierał nas ogniem.

Odpierając ataki, cały czas przesuwaaliśmy się wzdłuż niekończącej się ściany. Snopy światła skakały po ciemnej sali, odbijając się od plam krwi, oświetlając wyszczerzone mordki z ogromnymi, wyłupiastymi oczami, świadczącymi mi niedwuznacznie o nocnym trybie życia tych małych mięsożerców. A mnie potwornie chciało się na zewnątrz, tam gdzie dzień i niebo nad głową, i niech będą tam nawet psy i kabany, niech ich juchociąg, niech to wszystko Zona... Byleby nie zdechnąć tu, pod pazurami tej drobnicy, w ciemnościach, pod betonem i wieloma metrami gliniastej ziemi.



Tuszkany od czasu do czasu dawały radę przegryźć się przez materiał spodni, co prawda nie było to szczególnie dotkliwie, ale nagle zrobiło mi się strasznie nieprzyjemnie – cholera, strasznie dużo mutasków lezie na nas z ciemności... Oj, dużo ich, zabijasz, depczesz, a ich tylko więcej... Serce waliło jak młotem, skacząc aż pod samo gardło, piski i szelesty niosły się zewsząd, a za nami zostawał dywan rozdeptanych truchełek. W odróżnieniu od ślepych psów tuszkany nie były zainteresowane pożywianiem się na swoich ekstowarzykach i bez wytchnienia rzucały się na nas.

I wtedy zobaczyłem drzwi. Półotwarte drzwi, dokładnie takie, jak w poprzednich śluzach, ciężkie, stalowe, z potężnym kołowrotem... Wzywające ku sobie, obiecujące ratunek

– Drzwi przed nami! Szybciej! – wrzasnąłem na bezdechu, czując, że tuszkany nieco odstąpiły. – Biegiem!

Rzuciłem się naprzód, moje kroki dudniły echem pod sklepieniem schronu, zaraz za mną łomotowały podeszwy van de Meera i Tarasa. Dokoła piszczały zmutowane stworki, ale ich ataki wyraźnie straciły impet.

Drzwi, są drzwi! – zza nich sączy się żółte, paskudne światło, ale mnie wydało się ono jaśniejącym, przepięknym blaskiem. Ratunek, wybawienie! W biegu zerknąłem do środka – korytarz jak każdy inny, podobny do poprzednich, które nas doprowadziły tutaj. Światło też w porządku, działa jak należy... Stanąłem przy drzwiach, pomogłem van de Meerowi wślizgnąć się przez wysoki próg, bo te drzwi były mniejsze, więc umieszczono je wyżej nad poziomem podłogi. Zaraz za Dietrichem wladowałem się i ja, za mną rzuciło się kilka tuszkanów, wbijając się pazurkami, piszcząc i drapiąc... Wpadłem do wąskiego pomieszczenia, potknąłem się na progu, uderzyłem o ścianę raz i drugi, próbując rozgnieść gryzące mnie stwory. Na plecach i ramionach chrupały kości mutantów, miażdżyłem je, rozmazywałem po chropowatej ścianie, w końcu sam straciłem równowagę, potknąłem się po raz kolejny i upadłem. Za mną Kostik huknął zatrząskiwaną pancerną grodzią, zazgrzytał mechanizmem zamykającym, piski ostatniego tuszkana urwały się gwałtownie, gdy Taras z okrzykiem: *Ot żeż pakość!* rąbnął obcasem o podłogę. Usiadłem. W plecaku podczas upadku coś dźwięcznie chrupnęło. Przypomniałem sobie: woda! Ostatnia zdobyczna flaszką, podła siwucha, zabrana szabrownikom... Jeśli flaszką trzasnęła, to paskudna gorzała zaleje mi cały plecak... Zacząłem odpinąć, grzebać rękami, sprawdzać, co z trofeum, wyciągnąłem – cała... I nagle w uszach mi nieprzyjemnie zadzwoniło. Jednocześnie poczułem, jak miękną nogi, z trudem wstałem, plecami szorując o beton.

Obok mnie rymnął na kolana Dietrich, jego chuda sylwetka w zapapranych pomarańczowym kombinezonie złożyła się na pół, jak scyzoryk. Ryżego oddziaływanie psi najbardziej chyba rąbało – na pewno bardziej niż mnie, bo ja przy najmniej jeszcze ogarniałem, co się dzieje. Albo może kwestia doświadczenia, bo ja aż nazbyt dobrze wiedziałem, z czym się spotkałiśmy.

– Kostik z powrotem! – wrzasnąłem. – Do sali!

– *Nii, Slipyj* – cichym, napiętym głosem powoli przemówił Taras. – *Bilsze ty mene ne abdu-rysz... Nazad, win każe... a tam ci patwory, ty z nymy, adnastajna... Mutantam służysz ty, nas sjudy zawabył ty... ja baczu, usjo ja baczu... Ty dzierzawnaju mowaju razmauliaty ne bazajesz, a, Slipyj?*

– Kostik, posrało cię...? Jak to, ja z mutantami razem?!?

Doskonale już wiedziałem, że rozmawia ze mną bynajmniej nie Kostik, dźwięczenie w uszach rozlegało się coraz głośniejsze, nogi miałem jak z waty... I co, to ma być koniec? Stalker Pietrow kontrolerom się nie da! Ukrąciłem korek od flaszki i zacząłem szybciej itykać paskudną pszennicą, dławiąc się, krztusząc... Przechyliłem butelkę, śmierdząca siwucha leciała mi po szyi... Szybciej, szybciej...! Stalker Pietrow nie ma mózgu... Van de Meer zamamrotał coś niezrozumiałe... a ja tykałem, krztusząc się – stalker Pietrow nie ma mózgu!

Procenty migiem uderzyły do głowy, podłoga zakotyła się pod nogami, ale dzwony w

uszach od razu ścisnęły! Stalker Pietrow nie ma mózgu! Alkohol brał się za bary z falami psionicznej akty wności kontrolera, walcząc o władzę nad moim mózgiem... i alkohol zdecydowanie zwycięża!

Kłęczący van de Meer kołysał się i monotonicznie, śpiewnie mamrotał coś smętnego po swojemu, za to Kostik zmarszczył czoło, położył rękę na kolbie kałasza, pociągnął karabin, zdejmując z ramienia. Cisnąłem w niego na pół osuszoną butelką, Kostik schylił się, a gdy znów spojrział na mnie – patrzył już prosto w lufę empepiątki. Czując się jak skończona szuja, ściągnąłem spust, seria rzuciła Kostikiem do tyłu, obróciła, Taras uderzył głową w ścianę, osunął się na bok, poprawiłem mi kopem w skroń, głowa odskoczyła, po raz kolejny uderzył ciemieniem o beton... spłynął na ziemię...

Odrzuciłem się ku korytarzowi, podłoga pływała pod nogami, rzucało mną jak kotem po tabletkach, oczy paliły ogniem, po policzkach leciały łzy, ale wydawało mi się, że pod biegnącą w ciemność niteczką lamp zauważyłem ruch. Podrzuciłem hecklera, dałem ognia resztką amunicji, prawie nie celując. Dietrich urwał swoją śpiewkę, wyszarpnął pistolet z kabury, nie podnosząc nawet głowy, odrzucił w rękę makarowa i wsadził sobie w usta. Zerwałem z ramienia broń, trzymając za pas nośny, pierdyknąłem van de Meera w potylicę, nogą wytrąciłem mu pistolet. Broń brzęknęła o posadzkę, uczony, szeleszcząc kombinezonem, wyciągnął się jak długi na ziemi.

Odrzuciłem nieznosnie ciężką empepiątkę, kołysząc się i potykając, ruszyłem galeryjką. Blade światła lamp pod sufitem płynęły ku mnie z oddali, a gdzieś w niewiarygodnej głębi rodziły się coraz to nowe lśniące punkty, które powoli, upiornie powoli żeglowały mi na spotkanie, przybierając w locie formę zakurzonych chłozów.

Oczy łzawiły, wycierałem je co chwila rękoma, rzygać mi się chciało, dzwonienie w uszach to cichło, to powracało... Aż w końcu zobaczyłem oddalającego się kontrolera. Te stwory akurat nie potrafią się szybko przemieszczać, więc doganiałem go. Pezliśmy jak dwa kalekie ślimaki, ale ja kuśtykałem szybciej.

Gdy dzieliło nas nie więcej jak pół tuzina kroków, mutant zrozumiał, że nie ucieknie, odwrócił się. Przede mną stała mama.

– Syneczku, kochanie moje... – zadzwieczał pod czaszką znajomy głos.

– Tośmy się spotkali, mamuśka. – Wyciągnąłem nóż. – A wiesz, mama, już dorosły jestem zupełnie, i teges, na temat spotkania to moja piosenka jest! To ja przecież dla Nikolki wymyśliłem kuplecik „Włóczęga już z Zony wychodzi, uśmiecha się mama, on... yyy... tralala”. Dobrze, nie? Co, mama?

I jeszcze krok, i jeszcze, wznoszę nóż... ależ rzygać mi się chce, co za paskudna woda... Ajwaj, co za paskudztwo...

Kontury kobiecego kształtu popłynęły, na krótką chwilę mignęła zmieszana twarz Lariski, potem pojawiła się kasjerka z lokalnego oddziału Sbierrbanku.

I krok i jeszcze jeden...

– Hej, hej, laleczki!

Kasjerka wyciągnęła się w górę, napuchła w barach – teraz zmieniła się w Karego.

– Zuch chłopak Ślepy – mruknął ochryple Gosza. – Dobra robota. Premię masz jak w banku.

– Ty no, Gosza, ale ja ciebie nie lubię przecież. Wódeczkę masz w Gwieździe miód-malina, nie to, co ta siara... ale sam z siebie i tak gnida jesteś. Taki ziomal fajny z ciebie, co? Joł, ziom, szacun, a ty wiesz, co ja zawsze zrobić chciałem? A ot co!

I wbiłem bagniet prosto w okragłe, nalane brzuszko Goszy, szarpnąłem, rwąc sprzęzyste, drzące tkanki, pociągnąłem ostrze ku górze. Kary zapadł się w siebie, rozmazał, kształty sylwetki straciły formę, załopotwały... mignęła paskudna, blada morda z wysokim czołem, potężny mi wałami nadoczodołowymi, zwieńczona rzadkimi, blady mi włosami. Nóż trafił na coś twardego, rękę załalo

mi ciepłem... i wtedy już nie wytrzymałem, bo naprawdę zebrało mi się na rzyga.

Psuściwszy śliską ręką noża, odwróciłem się od osuwającego się na posadzkę mutantą, oparłem obiema rękami o ścianę, zgiąłem wół – i wtedy mnie zerwało. Flaki rzucały się, wywracając na lewą stronę, już kawał czasu nie żarłem, żołądek był pusty, rzygałem jakimś żółtym syfem, charchałem gęstymi glutami... Ojj, co za paskudztwo... Drżąc na całym cieple, raz po raz zwijałem się w spazmach, ale ni cholery nie byłem w stanie wycisnąć z siebie już niczego. Czulem się fatalnie, zrobiłem krok do tyłu... jeszcze jeden... huknąłem plecami o przeciwległą ścianę... objąłem się za ramiona, żeby tak mną nie rzucało, osunąłem na ziemię... I zapadła ciemność.

Gdy otworzyłem oczy, nudności ani trochę nie ustąpiły. No i niby po co tracić świadomość, skoro potem i tak się zbiera na pawia? Bez sensu zupełnie... Siedziałem, jak usiadłem, na podłodze, oparty o ścianę, na rękach zasychała krwawa powłoka, ściągająca skórę – nie wiedzieć czemu, ale właśnie to odczucie docierało do mnie szczególnie wyraźnie. Wianek śmiających żarówek zalewał korytarz żółtawym światłem, lampy kiwały się nad głową. Najwyraźniej im też się rzygać chciało. I korytarz też wił się i wyginał, skręcało go tak samo, jak moje kiszki. Tak! Zona ma skręt kiszek! Inaczej być nie może. Pomiedzy drżące lampy a mnie wpłynęły głowy Kostika i van de Meera. Oni też bujali się z boku na bok, krzywili się i stroili miny. Starali się chyba coś powiedzieć, ale za diabła nie mogli zrozumiałe wymówić nawet paru słów po kolei... Napruli się czy co? Oj, to by była niezła beka przecież – dwóch dorosłych, poważnych facetów napierdzieliło się tak, że ledwo na nogach stoją. Hłe, hłe... Dietrich zaczął mnie obmacywać, a potem wziął się za rozpinanie mojego kombinezonu.

– Panie van de Meer, nie przystoi tak dżentelmenowi, bez buziaka – chciałem powiedzieć, ale wyszło mi zamiast tego jakieś niezrozumiałe beczenie. O, jaka pompa – to oni się nachlali, a język mnie się płącze! – Łapy precz, zбочzaluchu jeden tęczowy!

Dietrich coś o krwi bredził, że niby zalało od góry do dołu... Ale co zalało, kogo, czym – tego już nie złapałem.

– *Ta kažu ja, ce z mutantą juszki natekło* – zaskakująco wyraźnie powiedział Kostik – *A cjaho durnyka ne paszkodžena. Ot žež, wiezunczyk, jo-hoo...*

– Mimo wszystko jestem zmuszony do podania mu zastrzyku przeciwțęczowego. Te małe stworzonka mogły jednak przegryźć kombinezon.

– *Tak, pahany twariuki* – zgodził się Taras, przy ciskając mnie do podłogi. – *Kalyć jaho, ja patry-maju...*

Kostik trzymał mnie lewą ręką, na prawej kurtka była rozpruta od mankietu do ramienia, pod strzępami czarnej skóry widać było świeże bandaże. I do tego miał obitą mordę. Niby kiedy zdążył się wpakować w jakąś drakę?

– *Ej, profesor, aberežnisza, szczo w jamu wkałoły?*

Ledwo czulem ukłucia.

– Przeciwtęczowy, ogólnowzmacniający i uspokajający. Niech się zdrzemnie. Kostik, pomoże mi pan? Chciałbym odciąć głowę mutantowi, a moją wibropiłę skradziono. Uży czy mi pan noża?

– *Nawiszco niž? Dywycca, ce sapierna łapatka... Zwyczajna sabi sapierna łapatka. Aliež jaksz- czu umijite z neju abchadytś, to...*

Twarze mych oprawców znikły, głosy ścichły, lampy w zmatowiających osłonach przygasły. Znow urwał mi się film. Śniła mi się Lariska i panna z poczty... ale tego snu wam nie będę opowiadać.

Kiedy znow się ocknąłem, okazało się, że leżę na równiutko rozesłanym płaszczu Kostika, pod głowę mam podłożony plecak. W gębie mi zaschło, całą listę syndromów dnia następnego mógłbym odhaczyć grubym pisakiem... Nawet w Zonie się człowiek czuje jak szmata, jeśli nachla się

na głodniaka parzywej wody – jednak pewne rzeczy w naszym świecie się nie zmieniają. Zmrużyłem oczy – pod ścianą po drugiej stronie siedział van de Meer i cieszył się z łupów; mógł teraz bawić się dwiema paskudnymi, odpiłowanymi głowami w czarnej folii.

Spróbowałem usiąść – skronie jakby ktoś ścisnął w imadle, wszystkie mięśnie chórem zajęczały i zapłakały nad swą niedolą na mojej służbie.

– Ależ niech pan leży – zatroszczył się van de Meer. – Źle pan się czuje, panie Ślepy? Niech pan powie, gdzie boli?

– Głowa boli – zajęczałem. – A co ma boleć niby po melanżu? No przecież, że głowa. I cała reszta też...

– To normalne – pospieszył zapewnić Dietrich. – Po ekspozycji na efekt Rubiczowa – Holtona mięśnie odpuszczają nie od razu. Dopóki używał pan mięśni, to trzymała je aktywność, więc ból nie był odczuwalny. A teraz...

– Tak, tak... – Wymacałem manierkę w plecaku, pociągnąłem kilka łyków. W głowie jakby się przejaśniło. – Ile to razy się zaklinałem, że w pojedynkę nie będę... A gdzie Taras?

– Poszedł sprawdzić przejście. Mówił, że zaraz wróci.

– A jak pan się czuje?

Dietrich odwrócił wzrok. Jasne, paskudnie się czuje, wstyd mu przyznawać, że stał się ciężarem.

– Lekarstwa się skończyły – wymamrotał ryży. – Teraz jeszcze w porządku, ale... potem oczywiście będzie tylko gorzej.

Rozległy się kroki ciężkich butów Terminatora – Kostik wracał. On też wyglądał na cokolwiek poszarpanego, jak ja i van de Meer razem i jeszcze trochę. Ręka zabandażowana, krótki język włosów posklejany krwią, na czole siniak jak malowanie... Karabin przewiesił przez lewe ramię, ale poza tym uśmiechał się, jak to on.

– *A, prakynuła, alkoholyk! Ot skaży meny, Slipyj... tam, na haliawyny, ty mene widsztachnuł, a? A tut i taho hirsze, pa mordzi bił? Stryliał u mene? Ot i skaży ty meny, czaho ja tobi takij wdzjacznyj?*

– Tak – odezwał się uczony. – Jesteśmy panu wdzięczni, panie Ślepy. Ponownie uratował pan wszystkich.

– Jam to, nie chwając się, sprawił! Na miarę bohatera, jak Batman! – Staralem się, żeby odpowiedź zabrzmiała dumnie. – Kostik, a weź no powiedz, co ci kontroler wmawiał?

Taras zawahał się, spuścił wzrok.

– *Ta nii. Ne skažu ja, i ne pytaj kraszcze. Nii, i ne dywyś na mene tak. Usjo adno ne skažu! Ni!*

Nasz stalowy bojownik oblał się rumieńcem... Widzieliście kiedy, jak Terminator jara cegłę?

– No dobra, dobra, nie mów. Panie van de Meer, a panu co się przywidziało?

– Wydaje mi się, że po prostu wyłączył mnie z gry, zwodził iluzjami, tymczasem zajmując się...

– Tak, kontroler najpierw pełną parą przy cisnął Kostika, żeby przejść najsilniejszego. Mnie też ciekawe obrazki pokazywał.

– No właśnie, panie Ślepy, a pan co widział? Co panu pokazywał?

Przyszła moja kolej, żeby się zawstydzić.

– Nno... dziewczyny. I jeszcze mamę. Ale to już później, kiedy stało się jasne, że z wódką nie wygra. Jak tylko dwieście gramów walnąłem, to od razu się kład-demejdz-godmołd włączył!... Panie Dietrich, a pan się modlił chyba...?

– No cóż, Ślepy, widzi pan, pan jeszcze młody, więc panu dziewczyny pokazywał... hm... kobiety, tak A ja już... hm...

I tamten też się zawstydził. No naprawdę no, jaki u nas naród pruderyjny...

– Dobra, nie chcesz pan – nie mów. Ale rozumiem, ale jeszcze jedną znalazł?

– Panie Ślepy, wie pan... i pan, panie Kostikow... Powziąłem twarde postanowienie, że stąd wyjdę. Tak, panie Ślepy, tak! Niepotrzebne mi to ubezpieczenie! Ścierpielicie panowie moje wy-cieczki i wybuchy, kilkakrotnie zmuszeni byliście ratować mnie od pewnej śmierci, a ja nie chcę, żeby to wszystko poszło na marne. Dlatego też uważam, jak następuje: jeżeli przeżyję, to przydadzą mi się rezultaty tej ekspedycji. Jako... ee... jako gwarancja, że wrócę, rozumiecie panowie? Jestem częścią ekspedycji, bioram materiały dla pracodawcy. Normalna rzecz, praca etatowa. Nie ma żadnego położenia bez wyjścia... A gdybym zatrzytał się, gdyby ręce opadły – tak, zdaje się, się mówi, prawda? Ręce opadły?

Aż się uśmiechnąłem. Znaczy się dla naszego uczonego wykonanie prac badawczych stało się tym samym, co dla mnie moja szczęśliwa ergiedeszka – talizmanem, biletem powrotnym. Wielu naszych ma takie talizmany... wszyscy bodajże. Po prostu niektórzy się nie ujawniają.

– Bydlę z pana, van de Meer. Kawał fajnego z pana gościa, Zona mi świadczy, i bardzo pan podobny do prawdziwego stalkera. Ale swoje aniółki dalej będziesz pan niósł sam. A właśnie, co do powrotu... jaktam ten korytarz? Kostik, sprawdzałeś?

– Aha – odezwał się Kostik – *Ja trachi prajszoł tudy – dalij. Ciłkam bezpieczna, chadył jak pa praspektu. Nijakich tabi twariuk, nijakich mutantil. Daljeko ja ne zachadył, bo was załyszaty bajał.*

– A na mapie co?

– *Pa mapi toj, szczo tobi wojenstał dał, cej karidor c'jahniececa da adnaha iż wychadił. Tam i lyft, i schody. Nu, schody, zwisna, ce awarijnij wychid.*

– *Wychid?* Znaczy na górę?

– *Aha. Ciłki na mapi ci schody zakrieslieno.*

– *Zakrie...?* Aaaa, że przekreślone? Jak to?

– *Nu, chrest stajic. Ta na, dywy sam.*

Kostik podsunął mi pod nos mapę, równiutko złożoną na osiem. Domyślałem się, że prostokąt planu na samym wierzchu to nasz labirynt. Korytarz prowadzący od dużej sali mijał skrzyżowanie, a potem przechodził przez wianuszek pieczołowicie wyrysowanych kwadracików, które Kostik zidentyfikował jako windy i wyjście awaryjne. Sześć kwadracików z literkami i cyferkami – to windy, dalej – jeszcze jeden, w który wpisany był mniejszy kwadrat, a przestrzeń pomiędzy konturami wypełniały poprzeczne kreski. Zakładać należy, że schody ze stopniami. Wielkie mi hieroglify. Przewodnik po piramidzie, wersja dla mumii.

Wszystkie, co do jednego, kwadraciki były równusieńko przekreślone dwiema liniami. Zona jedna wie, co mógł mieć na myśli ten, co stawał krzyżyk na naszym wyjściu. Bardzo mi się te krzyżyki nie podobały, więc na głos mruknąłem tylko:

– Niby blisko...

– *Kilamietra dwa pryblyzna. To jidemo?*

No, ja tam się wyspałem, a oni? Mój PDA twierdził, że na dwie godzinki mi się oko zamknęło.

– A wy odpocząć nie chcecie?

Po raz kolejny zadziwił mnie van de Meer:

– Pustowara trzeba dognać. – No, to rozumiem, po zachodniemu! Biznesowe podejście. – Posłuchajcie panowie, przemyslałem to wszystko. Szliśmy w kierunku południowo-wschodnim... No, to znaczy skręcaliśmy, zmienialiśmy kierunek, ale w sumie znajdujemy się na południowy wschód od Doliny Kości. Pustowar najprawdopodobniej będzie przedzierał się przez Pogranicze też w tych rejonach. To znaczy, że jeśli nawet nas, hm, odsadził... tak się mówi, prawda? Jeśli nas odsadził, to nieznacznie. Dostatecznie długo szliśmy jednym i tym samym korytarzem, nawet po tym, jak on wyszedł na powierzchnię – ale dokąd miałby pójść? Niesie na sobie masę rzeczy,

sporo wartościowych...

Logiczne, logiczne. Dima nie będzie przecież wychodzić z Zony przez posterunki natowskich kontyngentów pokojowych, nie? Jasna rzecz, że podobnie jak nasza stalkerska brać będzie korzystał z sektora rosyjskojęzycznego. I przecież chabaru ma tyle, że hej, więc nawet w egzozskielecie ciężko mu iść. Logiczne – jak najkrótszą drogą przez Kordon. No patrzcie, patrzcie – jak się Dima Pustowar nie obróci, zawsze dupa z tyłu. Jeszcze możemy go dorwać.

– Jeżeli ma pan rację, to całkiem możliwe, że wcale go nie zgubilimy. Na powierzchni trudniej mu się przemieszczać – wzgórze, dolinki, mutasy, bandziory... No i nawet przysłowiowy losowy stalker – wyobraźcie sobie, ile wątpliwości i domysłów pojawiłoby się u dowolnego normalnego człowieka na widok samotnego grubasa w egzozskielecie Powinności z obwoźnym kramem rusznikarskim na plecach, co?

– Obwoźnym khamem?

– Nie zna pan tego wyrażenia? No ale sens, zakładam, pan łapiesz? Tym bardziej że Pustowar niesie pański pomarańczowy plecak, a to od razu przyciągnie uwagę. Ej, gdyby tylko dojść tak żeby mieć zasięg z satelity! Wszystkim byśmy dali znać, że ten pieprzony tłuszczoch...

– Nii – twarde rzucił Kostik – *Ciżki Karamu. Ce jaho sprawa, a inszym znaty nidaczoha. Slipyj, ja ne żartuju.*

– Oj tam, oj tam, niech będzie. I tak zasięgu nie mamy... To co, ruchy?

– *Jakszczo padnymesza z mojeji adeżyny.*

Wstałem grzecznie z Kostikowego płaszcza, który teraz zasługiwał raczej nie na miano płaszcza, a łachmana – ale nasz Terminator, krzywiąc się z bólu, owinął się tą szmatą tak hardo i godnie, jak rzymski konsul zakładający śnieżnobiałą togę. Spytali raz stalkera Pietrowa, czemu cały czas w jednym waciaku chodzi. Czemu w jednym? – odpowiedział Pietrow i rozpiął waciak, a tam pod spodem był taki sam drugi.

– Kostik, a pamiętasz ty, jak w „Terminatorach” robią? Tam aktor pod koniec zawsze tylko w połowie człowiekiem jest, a połowę mordy ma już z żelaza. I ty tak podobnie teraz, jaklimo masz.

– *Jidy da bisa. I czaho ty Slipyj, a ne Niemyj?*

Ciekawe, swoją drogą, jak Kostik zareaguje, kiedy się pochwalę, jak mu mordę przestawiłem? Trzeba będzie van de Meera poprosić, żeby z ukrycia kilka fotek cyknął, żeby było widać wymalowaną fioletem fizjonomię naszego wykidajły. Oj, będzie miało gwiazdne komando polewkę... Poszedł raz stalker Pietrow do baru Żór... No a tam, jak zwykle, światło wyłączyli, muza wali z głośników, striptizerki kręcą się na rurach jak kebab z kurczaka... no i zawsze w którymś rogu się biją. Znaczą się kulturalny odpoczynek. Polazł Pietrow do tego rogu, gdzie się leją. Pytają go potem: Z kim się biłeś? A on: A co, w ciemności idzie niby rozemnać? Po odciskach poznacie. Oni na to: Co, po odciskach palców? A on: Nie, pięści.

Jako że Kostik już korytarzem chodził, to i on poszedł jako prowadzący – ja ustawiłem się za nim, Dietrich ubezpieczał tyły. Przechodząc obok zdekapitowanego ciała mutanta, zwolniłem i zatrzymałem się. Ciekawość jednak wierceła dziurę w brzuchu, tyle się o tych potworach słyszało, a dopiero pierwszy raz się widzi. Kontroler wyglądał, szczerze mówiąc, mało imponująco – szczególnie po tym, jak ja go wypatroszyłem, a Kostik łopatką poprawił. Ale ten akurat egzemplarz chyba był młody jakiś. Mówią, że dorosłe potwory uczą się ubierać, noszą jakieś dziwne ozdoby na rękach, sznurki, łańcuchy jako bransolety, uwielbiają pierścienie, naszyjniki, wszelkie błyskotki, nawet włosy wstążkami wiążują... A ten nasz miał na sobie tylko znoszone spodnie i ręce poniżej łokci obwiązane jakimiś brudnymi gałganami. Widać nie nauczył się jeszcze – i tak aż dziw, że takimi łapskami pazurzastymi dał radę to na siebie wciągnąć. Ciekawe, po jaką – to cholere – człowieka imitować? Kontrolery kopią w głowach stalkerom, wyciągają wspomnienia, może je fascynuje nasze niełatwe życie? A może ni cholery nie rozumieją? Albo na przykład nie rozumieją

naszych wspomnień, a tylko potrafią myśl wyciągnąć i nam pod nos podsunąć?

– Zrobiłem dokumentację zdjęciową – odezwał się van de Meer. – Jeszcze z głową. Jeżeli chciałby pan odbitki, to zrobię i dla pana.

– Tak, jasne. Z podpisem „Wspomnień czar” i numerem telefonu. Powiedz pan lepiej, kiedy kontroler sprawia, że coś widzę – to co, on widzi to samo, co ja? Czy składa obrazek z moich myśli, a sam w nie nie wnika?

– Bardzo mi przykro, panie Ślepy, ale nie mogę nic tu powiedzieć.

– Nie – to zawsze nie, rozumiem. Ale jakieś spekulacje chociaż...

Zostawiłem bezgłowego truposza, doganiając Kostika.

– Rozumiecie panowie, straszna szkoda, że nie wykonałem pomiarów... Martwy kontroler emitował bardzo słaby sygnał, prawie że na poziomie tła. Nad głową można będzie popracować w warunkach laboratoryjnych, ale naturalnie więcej informacji dostaną anatomowie...

Tu van de Meer zamilkł, a potem powtórzył dobitnie:

– Nie wykonałem pomiarów! Jaka strata, ach, jaka strata!

– Ej, zaczynam się pana bać. Zawsze odmawiam szukania drugiego kontrolera, wódka się skończyła, a Kostikowi rękazaczy na brakować.

– *Jidy ty w zadnicu* – rzucił Terminator, nie odwracając się.

Dietrich zmieszał się.

– Nie, no co też pan... po prostu szkoda. To obłądnie ciekawe, czy ta istota sterowała tamtymi małutkimi stworkami w sali?

– Wychodzi na to, że tak. To one zagnały nas w ten korytarz, najpierw atakowały, a potem odpuściły... Fuuj, co to tak śmierdzi?

– *Zwisna, szo* – rzucił Kostik, nie odwracając się. – *Cej chłopczyk-naturyst tut dawno meszkał.*

Nno tak Zrozumiałe. Kontroler gdzie mieszkał, tam i potrzeby swoje załatwiał. I to chyba od dłuższego czasu... Pewnie żarł te szczuroskoczki, one mu same do gęby wsłakiwały, a tu nagle my się trafiliśmy, zdecydował, że się trochę rozerwie. Mówią ludzie, że te mutasy całe scenki rodzajowe przy pomocy złapanych stalkerów rozgrywają...

Potem zamilkliśmy, bo zmęczenie zaczęło dawać o sobie znać, bolało mnie chyba wszystko, co tylko mogło, głowa łupała. Korytarz ciągnął się i ciągnął... Czasem po lewej i prawej trafiały się drzwi, ale nie dawało się ich otworzyć, zresztą nieszczęśliwie też próbowaliśmy. Kostik powiedział, że tam nic nie ma, po prostu puste pomieszczenia – w każdym razie tak widniało na mapie, a póki co ani razu nas nie oszukała. Było stosunkowo sucho i jasno, nawet większa część lamp okazała się sprawna. W któryś miejscu natknęliśmy się na stertę szmat – legowisko kontrolera, obok niego leżała kupa kości... Wnosząc po tym, że dominowały lekkie, cienkie kosteczki, to były to raczej resztki tuszkanów, ale pomiędzy nimi trafiały się też i większe kości... i to wcale nie tak znów rzadko. Na próbie van de Meera zatrzymaliśmy się przy tym zbiorowym kurhanie, uszony jakiś dwadzieścia minut obracał kosteczki w rękach, grzebał w nich, oglądał i z tej, i z tej strony, porobił zdjęcia... W końcu oświadczył, że większe czaszki są porozbijane na kawałki, a na podstawie odłamków nie jest w stanie nic wywnioskować. Zachowały się tylko żuchwy, w ogólnym zarysie bardzo podobne do ludzkich, ale o znacznie potężniejszych zębach.

– *Može, ce taki že, jak win? Tož kantraliory?* – zaproponował Kostik

– A-ha – podłapałem. – Cmentarzysko rodzinne w jadalni, bardzo wygodnie, wszystko pod ręką. I nazreć się można, i z duchami przodków poobcować.

Dietrich nie odpowiedział, zwinął aparaty, ruszył dalej. Im dłużej maszerowaliśmy, tym cięższe sapanie donosiło się zza moich pleców. Wiedziałem już, że po dobroci nie ma co do van de Meera podchodzić, więc po prostu bez słowa odebrałem mu plecak. Ryży milczał. No bo co miał niby powiedzieć? A i mnie łatwiej będzie ponieść dwie upitolone głowy, niż tego uparciuciu-

cha potem wlec na plecach, jak się przewróci...

Korytarz w końcu wyprowadził nas do długiej sali; najpierw było skrzyżowanie, nasz korytarz pod kątem prostym przecinał jakiś inny, sporo większy.

Potem przejście zwężało się. Po prawej w ścianę wpuszczone były drzwi wind towarowych; kto wie, może i faktycznie ktoś chciał pod ziemią chować czołgi – gabaryty platform dźwigów w pełni by to pozwoliły. Ale potrzeba czegoś więcej, żeby byłego motopompowca z baonu inżynierii pontonowej zaskoczyć – ot, taki transporter pływający PTS-4 to jest potęga! Dla niego nawet i takiej windy by nie wystarczyło.

Na mapie zaznaczonych było sześć podnośników, potem schody. Ruszyliśmy ku drzwiom. Ze wszystkich sił starałem się nie przyspieszać kroku, żeby nie rzucić się biegiem ku schodom. Oj, jeżeli damy radę tędy wyjść z tych cholernych podziemi... Jak strasznie chciałoby się zobaczyć niebo, po prostu popatrzeć na niebo... Nie na betonowe sklepienia, na te paskudne zapyziałe kłosze, pokryte wieloletnim nalotem kurzu... Niebo i słońce zobaczyć. Zona tam z nim, ze słońcem, niech se nawet chmury będą. Nawet deszcz, nawet ulewa, oberwanie chmury, burza – byleby niebo zobaczyć!

Ale trzymałem się twardo, idąc powoli – najpierw sprawdzimy dźwigi towarowe, a schody potem. Wątpię, żeby windy działały – chociaż światło jest, ale i tak większe nadzieje wiązałem ze schodami. Drzwi do pierwszej kabiny były zaklinowane na amen, próbowaliśmy pro forma pociągnąć za gigantyczne odrzwia, ale bezskutecznie. Nic dziwnego, pewnie połówka takich drzwi waży dobre trzy sta kilo.

Następne były połowicznie wyrwane, potężny metal wywinięty jak papier na zewnątrz szybu, kontury wgniotu idealnie równe – pewnie winda się urwała, spadła i uderzyła w drzwi. Tu w ogóle nie mieliśmy czego szukać. Trzecie i czwarte wrota były zablokowane tak samo, jak i pierwsze, a ostatnie dwie windy w ogóle nie zostały dokończone – tylko ogromne, puste, prostokątne szyby. Zajrzałem do jednego, obróciłem głowę, patrząc ku górze – ni cholery nie widać, tylko ciemność, pionowe ściany uciekają w mrok. Co tam na górze może być? Beton? Grunt...?

Idąc ku schodom, wszyscy trzej podświadomie zaczęliśmy przyspieszać. O, jest i zakręt – za nim kawałek schodków, stopnie, rozeschnięta drewniana poręcz przy ścianie. Ruszyłem pędem na górę, zakręt na spoczniku, kolejny bieg schodów... i przepaść. Przepaść. Schody zwalone. Przedemną ziało rumowisko betonowych bloków i fragmentów stalowej konstrukcji, galaktyka chaosu pogiętych szyn, pomieszanych z połamany mi biegami schodów z żelaznej kratownicy, prostokątnych płyt, zarówno całych, jak i połamanych, pogiętych, ze sterczącymi na wszystkie strony kawałkami profili... rury, kątowniki, stalowe wsporniki, tregry i masa innego żelaznego złomu, który teraz na nic nikomu już nie mógł się przydać. Ot, taki zepsuty zestaw „Mały konstruktor” w rozmiarze 8XL.

Oświetlony korytarz został daleko z tyłu, ale całą tę symfonię zniszczenia widziałem w blasku, lejącym się skądś z góry. Daleko w górze widać było niebo – szare niebo Zony wczesnym brzaśkiem. Zony, obojętnie patrzącej na mnie pojedynczym okiem z wysokości. Dzieliło nas kilkadziesiąt metrów gruntu, obleczonego w gładką, żelazobetonową studnię... Ze ścian szybu, niegdyś będącego schodami wyjścia awaryjnego, w równych odstępach sterczały potężne, żelazne mocowania, na których najwyraźniej powinny trzymać się tregry nośne konstrukcji. Gdybym – ryzykując, że skrucę kark – wspiął się na najwyższy punkt hałdy złomu, to niewykluczone, że dałbym radę się na pierwsze z tych mocowań wdrapać. Tyle tylko, że do kolejnego były bite cztery metry...

Rozległy się szybkie kroki – Kostik Zobaczył zwalone schody, rzucił mięchem. Potem dołożył. Nabrał tchu i zaklął jeszcze. W sumie to dość precyzyjnie udało mu się ująć zdanie kolektywu. Jako ostatni doczłapał van de Meer.



– Panowie, słuchajcie – wy sapał Dietrich – udało mi się złapać zasięg. Możemy podłączyć się do sieci.

Popatrzyłem na swój PDA – jako żywo, tutaj, pod otwartym niebem, był sygnal... No dobra, przy najmniej się kulturalnie ze wszystkimi pożegnaj.

– No dobra, to tu... postój.

Tak naprawdę to jeszcze jakiś czas bym dał radę pomaszerować, chociażby dlatego, że nie do końca wytrzeźwiałem, ale żeby w pełni skorzystać z tego długo wyczekiwanego (a może i ostatniego) wyjścia w sieć, potrzeba było trochę czasu. Klapnąłem sobie na stopniach, oparłem plecami o metalowy wspornik Dietrich, jakby tylko czekając na pozwolenie, praktycznie upadłem tam, gdzie stał. Nie wiem, chyba sobie dupę sikuł, ale pewnie nawet nie poczuł. On się jeszcze gorzej czuje niż ja – nawet nie pospał sobie, a i pod tym Ribbentropem – Hitlerem najdłużej powstał... Czy jak tam się ci dwaj nazywali, Rubiczow i Hilton...? Nie wiem, co za jedni to byli, ale pewnie jakieś niezłe skurwysyny.

Jak tylko usiadłem, od razu opadło mnie zmęczenie... a nawet nie zmęczenie, tylko Zmęczenie. Albo raczej ZMĘCZENIE. Powolotku sphywałem niżej i niżej, jak dopalająca się świeca – wystarczyło minimalnie tylko się zrelaksować, odpuścić, a organizm od razu zinterpretował tę słabość jako sygnał do buntu. Nie byłem w stanie nawet palcem poruszyć, wszystko bolało, wyło bólem... Van de Meer nie poddawał się, twardej, poruszał się jak w zwolnionym tempie, ale walczył z PDA, nieskończenie powoli rozkładając podpinaną klawiaturkę. Co było robić, musiałem i ja wziąć się w garść, podpiąłem się do sieci. Komputer piknął – poczta przyszła. Dwa maile, pierwszy – spam z baru Sto Radów (,...jeśli szukasz miejsca, gdzie można coś przekąsić i odpocząć, miejsca, gdzie można dobrze wypić i pogadać, miejsca, gdzie zawsze podpowiedzą, jak można zarobić...” – tfu, cholera, na pamięć już to znam!), to od razu do kosza, nawet nie patrzę. A drugi list był od Lariski. Dziewczyna na twardo trzy mała się postanowienia: mail co wieczór. Ciekawe, kiedy też się jej znudzi?

Kuzyneczka tym razem pisała bez emotikoniek Słuchaj, mama sen miała, tylko się nie śmieję, bo to poważna sprawa, sny się sprawdzają, no i w tym śnie do mamy ciocia Natasza przyszła (znaczy się mama moja, cioteczna siostra ciotki Wiery, mamy Lariski) i powiedziała jej, że ty w niebezpieczeństwie gdzieś jesteś, w ciemności, i że ci grozi nieszczęście. Ciocia (moja mama, znaczy się) jest dumna z tego, że taki dorosły jesteś i silny, samodzielny, ale boi się, bo ciemność dookoła. „Nogi pilnuj, tak ciocia Natasza kazała ci powiedzieć”. Hm, i weź tu, człowieku, potem Poszukującym nie wierz... A ja z mamą przecież rozmawiałem, powiedziałem jej, że już jestem dorosły... Tylko co do tego mają nogi? Że co, no tuszłany mnie pogryzły, ale przecież to nic takiego. Nieszczęście? No, gdzie tam... Ot, siedzę sobie w opuszczonych podziemiach, dookoła krwiożercze mutanty, łeb mi pęka od paskudnej gorzały, a tak poza tym to w porządku...

Wstukałem odpowiedź: „Lariska, słonko, u mnie wszystko w normie i porządku, ciocię Wierę uspokój. Ugrząźleł po prostu w robocie, już myślałem, że nigdy poczty nie dam rady sprawdzić. Pisz do mnie, Larik, pisz koniecznie, ja potem wszystko jednym tchem przeczytam. Nawet jeżeli jakiś czas nie dam rady odpisywać, to Ty i tak pisz do mnie. Już czekam na kolejnego maila”.

Podczas gdy ja tworzyłem, Kostik siedział obok i co chwila rzucał na mnie tęsknym wzrokiem. W końcu wysłałem maila do kuzyneczki, popatrzyłem na smętnego Terminatora.

– No co tam, Kostik? Gapisz się na mnie jak stalker Pietrow na kociołek z kaszą.

– *Da ja, toj... ty napyszy pyśmo Hosze, a? Ja że ne mozu.* – Podniósł zabandażowaną rękę.

No tak, PDA ma na lewej zapięty, prawa nie do użytku, a palców lewej raczej se tak nie wygnie.

– Chodź, przewieszę ci PDA na prawą.

W sumie to niewygodnie mu będzie, trzeba będzie komputerek jeszcze przepięć, przecież on

do lewej przystosowany... ale lepiej niewygodnie niż wcale.

– *Ta liwaju ne zmożu ci krapoczky natysnuty. A ja ji prawaju ne artyst, ta choc skilki-ta uże nacuczysa, a liwaju szcze ji nezwyčna tak...*

– A to zabierzemy van de Meerowi jego klawiaturkę. Do naciskania przycisków nie musisz się przyzwyczajać.

– *Czaho ty takij liedaczuj, a, Slipij? Każu ja tobi, ne možu ja liwoju, nezručna meni. Widbij ma-liawu Karamu, czy tabi ważka? Ty że kraszcze za mene z cijeju cjackaju uprauliajeszsa.*

– Ja? Leniwy? – No, to już oburzające. – Sam leniwy jesteś! Pewnie w szkole wszystko od kumpla z ławki przepisy wałeś! No powiedz, no – biłem ja ciebie ostatnio?

– *Nuu, bił...*

– Strzelałem do ciebie?

– *Nuu...*

– Siebie nie oszczędzając i o niczym nie myśląc, temi rękami przeciwko najlepszemu fajterowi Zony walczyłem! Cały długi dzień walczyłem! A ty mi tu wyjeżdżasz, że leniwy... Dobra, daj – napiszę maila do Karego. Ale zauważ, mnie może nie uwierzyć, przecież on ciebie specjalnie tu do Zony posyłał, żebyś... miał oko na sprawę.

Kostik zmilczał – pewnie bał się przepięć okienko mojego spolegliwego nastroju. Zacząłem rzeźbić *pyśmo* do Karego:

„Gosza, Demiana zabił Pustowar, mur-beton pewnie. Dima ucieka teraz od Wysypiska ku Pogranicznu. Chabar ma przy sobie, i nasz, i jeszcze dużo wszystkiego. Szczegóły – jak się ogarniemy. Ugrzęźliśmy w starych wojskowych podziemiach, szukamy wyjścia. Kostik w rękę ranny, pisać nie może. Gosza, dorwij Pustowara, to morderca, towaru ma przy sobie od cholery”.

Przeoczytałem, Kostik kiwnął głową – zatwierdził, potem zaczął rozpinąć plecak Lewą ręką niewygodnie mu było, więc pomogłem, potem rozpakowałem swoje zapasy. Wyciągnęliśmy mianierki, suchary, van de Meer otworzył puszkę mielonki. Głodni nie byliśmy, ale przegryźliśmy, potem zdecydowaliśmy, żeby po kolei się przespać. Jako że ja już swoje przekłamałem, to dostała mi się pierwsza warta – może i miejsce na schodach wyglądało na dość spokojne, ale to przecież Zona, więc środków bezpieczeństwa zaniedbać nie wolno. Pierwszy zachrapał Kostik van de Meer jeszcze trochę bujał się z PDA, potem poskarżył się, że musi oszczędzać baterię, bo akumulatorki mu się kończą, więc nie da rady zrobić tyle, ile zaplanował... i za parę minut już spał jak dziecko. A ja siedziałem na schodkach, na samym skraju, pod szarym niebem Zony. Z rzadka na dno studni dolatywały zimne krople – poranny deszcz na powierzchni.

Tu, głęboko w dole, nie odczuwało się deszczu tak, jak się człowiek przyzwyczaił na górze, powietrze cały czas było suche, nie czuło się świeżego powiewu, krople nie wybijały monotonnego rytmu. Większość wilgoci z niebios wsiąkała gdzieś po drodze w betonowe ściany, a tutaj dolatywały zaledwie pojedyncze krople. Może to i lepiej, szept deszczu nie kołysał do snu i nie skrywał dźwięków, na przykład tych, jakie wydawałyby koś podkradający się ku naszemu obozowisku na skraju schodów. Ale nikt nie wychodził z ciemności, nikt nie przerywał snu Kostika i van de Meera. Tak cicho było w tym zaułku podziemi, tak spokojnie – prawdziwa oaza pośród mrocznych labiryntów i ich wrednych mieszkańców. Dlaczego tak tu cicho? Może to niebo odstrasza mutanty, przyzwyczajone do niskich sklepień i zastanego powietrza? Taki mały kawałek nieba...

Z początku siedziałem, potem poczułem, że morzy mnie sen, więc zacząłem chodzić po schodach w górę i w dół, wsłuchując się w echo własnych kroków, popatrując na śpiących towarzyszy. Nadchodził świt i mimo że niebo zasnuwały chmury, to światła w zupełności wystarczało. Dietrich krzywił się przez sen, macał bransoletę z PDA, Kostik skrzywił się jakoś dziwnie, moszcząc na stopniach tak, żeby nie urazić bolącego boku i przestrzelonej ręki. Przedziwne uczucie – w końcu to ja go podziurawiłem. W ogóle w Zonie wszystko na opak wychodzi – postrzeliłem przyja-

ciela, a on mi za to podziękował; zabiłem kontrolera, który dał mi porozmawiać z dawno pochowaną mamą; Demian obrabował Gwiadzę, ale w sumie to trochę go szkoda; Pustowar, suka, zabił złodzieja Demiana, a ja w pełni podzieliłam zdanie Węglarza, żeby wsadzić pieprzonego grubasa do „wyżymaczkę”, i to faktycznie małymi kawałkami, zaczynając od nóg... chociaż nigdy wcześniej takiej krwiożerczości w sobie nie zauważyłem. No i jeszcze dziwny sen cioci Wiery. Dlaczego, po co to wszystko? Odpowiedzi nie ma i nigdy nie będzie – to najbardziej boli!

Odpowiedzi nie ma. A nie – to zawsze nie, jak mawia van de Meer. Na rękę Dietricha zapisał komputerek – włączył się budzik, przyszła jego kolej trzymać wartość. Zdawało mi się, że zegarek coś przekłamuje, coś za szybko ta moja zmiana minęła, ale po chwili zabrzączał i mój PDA. Dietrich usiadł na schodach, ściągnął z głowy kaptur i zaczął wściekle drapać się po skołunionych włosach.

– *Verdammt*, to już? Dopieho czy zamknąłem...

Oczy mętne, oj, jeszcze się uczony nie obudził jak należy.

– Tak i mnie się coś wydawało, że za szybko. – Klapnąłem na schodku obok Dietricha. – I niby spać się nie chce. Panie van de Meer, posłucha pan, ciotka moja miała sen, no co do joty nasza przygoda z kontrolerem. Jaktto możliwe?

– Łaa-aa-a-a-a-h... – ziewnął ryży. – A to w związku z czym, ta ciotka?

– Jej córka, moja kuzynka przyszywana znaczy, maila mi przysłała. I jeszcze pisze, że niby mam nogi pilnować.

– Przy padek i czemu nogi akurat? Przecież dostał pan przeciwțęcowe.

– Nie no, noga nieistotna, ale sam sen... dziwny jakiś taki...

– Nic w tym dziwnego, kobieta to istota podejrzliwa i nieustannie ma jakieś sny. Ślepy, niech pan śpi, niech pan śpi, póki może. Przed nami trudna przeprawa.

– Ale ja nie chcę spać... – Naprawdę wydawało mi się, że nie chcę. – Patrz pan, zaraz dzień będzie. Zaraz jasno się zrobi. Panie van de Meer, a pan na mapie patrzył, jak daleko do kolejnego wyjścia na powierzchnię?

Dietrich nie odpowiedział. Albo nie wiedział, albo nie chciał mnie denerwować. A może i odpowiedział, ale ja go już nie słyszałem. Zasnąłem.

Nawet się nie ocknąłem, jak van de Meer budził Kostika, a kiedy mój PDA odrząbił pobudkę, był już dzień. W kwadratowym oknie ponad nami przepływały szare obłoki, z rzadka migąło pomiędzy nimi błękitem, ale dzień był pochmurny. Ten niesamowity obraz w okienku naszego więzienia przecinała żywa krata – giętkie gałęzie, do połowy zakrywające otwór, bujały się i gięły; z dołu, gdy patrzyło się pod światło, liście zdawały się niemalże czarne. Pewnie na górze mocno dmucha... No i pewnie wyjście z szybu znajduje się na jakimś wzgórzu, bo w dolince raczej by tak nie wiało. A ciekawe, czy tę dziurę widać z góry? Wzgórza w tej części Zony są przeważnie napromieniowane, z helikoptera pewnie byłoby widać wlot szybu, ale problem w tym, że z powodu podwyższonego ła zbocza zawsze upstrzone są anomaliami, w tym również niebezpiecznymi dla helikopterów, więc piloci unikają latania nad wzgórzami. Wołaj, człowieku, ile dusza zapagnie, nikt się tu nie pojawi...

Rozpiliśmy we trzech ostatnią puszkę non stopa i zaczęliśmy się powoli zbierać. Gdy poobwiesiliśmy się już rzeczami, Kostik nagle oświadczył:

– *Chłopci, ta wy jak znajete, a ja ne možu.*

– Co nie mozesz?

Taras pokazał palcem na górę.

– *Pijty zwidsy ne možu. Tut chocz neba baczty mażywa. A znou u temrjawu... nii-i-i. Ne možu.*

Najpierw pomyślałem, że jaja se robi – w końcu nieraz sobie tak żartowaliśmy – ale potem nagle dotarło do mnie: Kostik mówi na poważnie. Coś jakby atak paniki go dopadł... Oczywiście,

w pewnym sensie go rozumiałem, po tak ciężkiej przeprawie pod ziemią w grobowych ciemnościach – a tutaj chociaż można do sieci się podłączyć, skontaktować ze światem, wywołać kogoś na pomoc. Po czymś takim szczególnie ciężko jest znowu głową naprzód rzucić się w otchłań pod światem. Ale innego wyjścia nie było. A co do pomocy – wołaj, i tak nikt nie przyjdzie.

– Kostik..! – zacząłem z pasją. – No coś ty, chłopie, przecież już prawie żeśmy wyszli, całkiem niedużo zostało, no nie? Przecież nie możemy tutaj sterczeć, wody mamy za mało. Ty jesteś ranny, do lekarza trzeba cię zaprowadzić. No, jak? Pójdziemy, a?

– *Usjo ja rozumiju. Alje ze jak ujawliu, szczo treba znou u temrjawu... joo-o-o...*

– Panie Kostikow – nieoczekiwanie ostro warknął van de Meer – my się tu z panem jak z dzieckiem całamy, a tam Pustowar ucieka. Nieważne, czy za Kordonem go pan Karczalin da radę przechwycić, czy nie, ja sam chciałbym z tym bandytą się rozmówić. Ufam, że mogę ne pana liczyć?

– *Zwisna, dapamožu. Ja cjoħa wyrodka sam choczu pabaczyty.* – Kostik podniósł się, zarzucił na ramię sflaczały plecak, podniósł karabin. – *Ja hatowyj. Slipyj, czujesz, a ce na artefakt?*

I po raz kolejny podał mi jakiś śmieć, płaski brelok z twardego plastiku w kolorze brudnej kości słoniowej, z wytłoczonym „780146...”. Dalej ciąg był urwany, plastikowe gólowko musiało pęknąć, ale po formie wnosząc, brakowało tylko jednej cyfry. Przed siódmką był okrągły otworek pokryty natłem rdzy – pewnie breloczek wisiał na łańcuszku albo kółeczku z kluczami.

Westchnąłem, pokręciłem głową, wsunąłem śmietek do kieszeni, do innego imitującego śrubki baracha, którym obdarowywał mnie Taras.

– Kostik skąd ty cały czas bierzesz te pierdółki...

– *Tut nepodalieczku* – wyjaśnił uczynnie Kostik – *Sjered kistak.*

– Pośród jakich znowu kości?

– *De cej kantralior nażyraħsa, de ze szcze. Wandemejer szcze fotak narabył, a ja ocju cjacku uzjał. Nu, jak tam kazał toj sabaka?*

– Jak pies? – nie zrozumiał Dietrich.

– *Nu, pies – ta, jaku prakatnuł wieliet.*

– Połknął, ale nie olbrzym, a pseudogigant – poprawiłem. – A piesek powiedział: komu w drogę, temu czas. Bo wiedział, że na drugim końcu musi być wyjście.

– *Na pratyležnamu boci? Hy, hy.*

– *Na drugim końcu pseudogiganta.*

– *Hy, hy, hy...*

Żart nie był wyborny, ale za to jak najbardziej potrzebny. Nawet nieważne, czy śmieszny, czy nie... Zebraliśmy nasz dobytek i ruszyliśmy korytarzem, który minąwszy placyk przy windach, ciągnął się przez trzewia Zony cały czas w tym samym kierunku. Najpierw oświetlenie było w porządku, ale już po kilkudziesięciu krokach od wejścia zaczęły trafiać się popalone żarówki. A potem coraz częściej. A mniej więcej po stu kilkudziesięciu metrach korytarz pograżył się w ciemności. Włączyliśmy latarki, ruszyliśmy ostrożniej. Powietrze było tu zastane i kurzu wydało się więcej... Niebawem doszliśmy do końca drogi – końca, że tak powiem, niesankcjonowanego. Betonowe sklepienie osiadło, potężne płyty popękały, opierając się pod kątem o podłogę, posadzka pokruszyła się w miejscach, gdzie ugodziły w nią potężne zwaly żelbetu. Przykucnąłem, wsunąłem rękę w szczelinę, tak daleko, jak tyłko się dało – ani ziemi, ani gruzu tam nie wymacałem. Solidny, gruby beton. Płyty sklepienia też miały po trzydzieści centymetrów grubości, a i tak nie wytrzymały. Aż strach pomyśleć, jaka siła mogła poszarpać poszybie korytarza na takiej głębokości... ale teraz baliśmy się zupełnie czego innego niż gniewu przeszłych kataklizmów. Podczas gdy ja badałem popękana podłogę, Kostik i van de Meer próbowali przeleźć pomiędzy betonowymi płytami zagradzającymi przejście albo przynajmniej zaświecić tam latarką i zobaczyć, co

widać dalej.

W końcu Kostik ogłosił wyrok

– *Hlucha. Ne projdema.*

– A mapa pokazuje, że przejście jest... – bąknął van de Meer. Na pewno sam zdawał sobie sprawę z absurdalności takiej uwagi – jaka różnica, co tam na mapie ktoś narysował?

Ale teraz musieliśmy poszukać nowej drogi. Mapa pozostawała dla mnie zagadką, ale z zachowania towarzyszy wnosiłem, że jednak mamy jakiś plan B.

– Ej tam, tropiciele! – zawołałem do nich. – Starczy tej zabawy. Kostik, wyciągaj mapę, patrz, co tam jeszcze można zwiedzić?

Kostik niezgrabnie, lewą ręką wyciągnął i podał mi zawiniątko z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– *Na, sam dywyś.*

– A idź ty w cholerę, sam nie chcę, i tak nic nie zrozumiem. Panie van de Meer, pan tę mapę ogarnia?

Dietrich przykucnął obok mnie, przesunął się tak, żeby świecić swoim małym jupiterkiem na mapę, rozłożył wydruk szerzej. Teraz prostokąt planu, który do tej pory był na wierzchu i wyznaczał nam drogę, był już nieprzydatny. Ryzy pułknął palcem w kilka sąsiednich kwadratów.

– Nie, panie Słepy, proszę popatrzeć. Jeśli coś stanie się z nami, to pan i tak zmuszony będzie samemu znajdować trasę. Lepiej proszę od razu...

– Nic się nikomu nie stanie.

– Patrz pan i nie gadaj. – Dietrich był nie tylko nieugięty, ale też coraz lepszy językowo. – Jesteśmy tu. Teraz wracamy do skrzyżowania i skręcamy... dokąd, panie Kostik? Myślę, że ten korytarz będzie bardziej obiecujący?

– *Otoż.*

Naprawdę bardzo mocno próbowałem to rozkminić. „Bardziej obiecujący” wariant od razu wbiegał w cały las kwadracików, prostokątów i kółek z których każde obrosło dopiskami niczym dno starej łajby muszlami. Oczy mnie zaboląły prawie od razu, ale uważnie prześledziłem trajektorię, wytyczaną przez suchy, twardy paluch van de Meera. Korytarze, amfilady niedużych salek... potem wyjście na dużą krzyżówkę, kilka odnóg na boki... i tu palec się zatrzymał.

– A dalej?

– Dalszą drogę wyznaczymy na miejscu. Te galerie najprawdopodobniej prowadzą na powierzchnię.

– A to co ma być? Linia kolejowa? Pod ziemią?

– Możliwe, że to... yyy... małowalibrowa lokomotywa... wąskotorówka. – Dietrich zająknął się, potem wruszył ramionami, światło latarki zatańczyło po rozłożonej mapie. – Ale nie liczyłybyśmy na to, że akurat złapiemy pociąg, sam pan widział, w jakim stanie były windy.

– No, trudno...

Po raz kolejny spojrzałem na marszrutę, którą wyznaczał ku wolności palec Dietricha, policzylem zakręty i skrzyżowania.

– Dobra, wszyscy powstań.

Ruszyliśmy z powrotem, ponownie miniliśmy klatkę schodową. Starałem się nie patrzeć na schody, Kostik westchnął od serca... Na skrzyżowaniu skręciliśmy w prawo. Teraz nasza trasa biegła szeroką galerią, przed nadaniem której miana „korytarza” wzbraniał się nawet język – jeżeli bezterminowo nieczytne windy miały faktycznie zwozić tu czolgi, to ta trasa spokojnie pozwoliłaby pancerniakom pojechać pod ziemią. Wątpliwe jednak, by był tu duży ruch, gdyż podłoga była równiutka i gładka, widać, że nietknięta stopą... znaczy się gąsienicą człowieka. Lampy działały tylko od wielkiego dzwonu, więc większa część tunelu ginęła w mroku. Miniliśmy kilka skrzyżowań, naszą drogę przecinały podziemne galerie, równie szerokie jak ta, którą zśliśmy, pod ścia-

nami tu i ówdzie trafiały się stożkowate hałdy – albo nacieki wyschłego błota, albo resztki takiego czy innego materiału budowlanego. Było tu zadziwiająco cicho, uderzenia butów o beton rozchodziły się głuchym echem – a im dalej, tym bardziej nieznośna stawała się ta cisza. Chciałoby się potupać głośniej, pokrzyknąć albo chociaż kawały poopowiadać... cokolwiek. Niedobra to była cisza, niewłaściwa, niemila, wyłącznie pogłębiająca poczucie paskudności naszego położenia.

W uszy jakby mi ktoś napchał mokrej waty; cały czas miałem potworną chęć przełknąć ślinę.

Pierwszy zламаł się Dietrich – najwyraźniej on też już ledwo-ledwo znosił cisnącą na mózg ciszę.

– Wicie panowie – odezwał się półgłosem, ale słowa zabrzmiały dziwnie głośno – jestem pewien, że już wkrótce znajdziemy wyjście.

– Hm, ja również jestem tego pewny. – Ochoczo rzuciłem się na ratunek tonącemu w bezden-  
nym mroku opty mizmowi.

– Nie, mam na myśli coś innego. Przecież ten kontroler osiedlił się w tym miejscu raczej niedawno? Czyli jakoś musiał tu dojść.

– *A może, win astannij. Żyła ich bahata, pacim adyn adnaha pazraly, a cej kanibal zalyszyls.*

– Kostik, weź nie siej defety zmu.

– *Nu, ajl-bi bek*

– Iii tam. Mam na myśli, że pan Dietrich słusznie gada – widzi mi się, ten kontroler był młody i niedawno musiał tu przyjść.

– Tak tak – przytaknął van de Meer. – Sądzę, że kości w jego legowisku należały do istot innego gatunku. Możliwe, że były to humanoidy, poruszające się w pozycji wyprostowanej, ale nie mam pewności... Nie jestem specjalistą, rozumiecie panowie.

– I co, one tu niby są, w tych podziemiach? Humanoidy...? – Popatrzyliśmy jeden na drugiego. – Dobra, sprzeciwu nie widzę, odpowiedź przyjęta. Stalkera Pietrowa pytają kiedyś uczeni: Pan, mówią, całą Zonę schodził, poznał, jak należy... jakie zna pan rodzaje mutantów? A Pietrow na to: Są trzy zasadnicze gatunki. Jadalne, po których brzuch boli, jadalne, po których brzuch nie boli, i te, co ich jeszcze nie jadłem. Ups... tośmy se poszli.

Drogę zagradzała nam swoista barykada – hałda kawałów betonu ze sterczącymi prętami zbrojeniowymi, tregry, plastikowe butelki, pogięte kanistry, puszki po konserwach i wszelkie inne śmieci. Hałda odpadków wyglądała jak sprasowana, dziury pomiędzy większymi kawałkami były pozatykane mniejszymi resztkami, jak gdyby celowo uszczelnione; żelazna armatura splątana, tu i ówdzie grubaśne pręty powiązane nawet miękkim aluminiowym drutem. Góra śmiecia sięgała samego sufitu, całkowicie przegradzając tunel.

– Wygląda na to, że... – van de Meer zawahał się – że to dzieło, hm, rąk ludzkich.

– *Aha. Waszy humanojidy zrabily.*

– Okej, mamy inną drogę? – zainteresowałem się. Nadal nie miałem ochoty bawić się w podziemnego kartografa, wolałem polegać na towarzyszach. – A te przejścia, które minęliśmy, dołąd prowadzą?

– Po lewej – do dużej sali – odpowiedział Dietrich. – Przez salę można przejść do kolejnego sektora, a tam również...

– *Nawiszczu nam zał tot pahanyj? Tam swalata cja mielkaja* – przypomniał Kostik – *Oci pacjuki szkidlywy.*

– A jeśli w prawo?

– A w prawo nic nie ma. Pomniejsze pomieszczenia, ślepy zaułek. Być może jakiś magazyn.

– *Ta ne treba nam tudy...* – Kostik był bliski płaczu. – *Wychid ze prijama! My ci drybnycy razberemo, prajty zmożemo! Chłopci, ta wy czaho?*

– Być może i do wyjścia prosto, ale do niego to jeszcze kawałek drogi nam został – zauważy-

lem. – A tę barykadę ewidentnie ktoś tu zmontował. Znaczy się trzeba nam będzie tego kłosa minąć. Aj-waj, nie podoba mi się to...

Kostik westchnął ciężko, podszedł do hałdy, pociągnął raz i drugi za sterczące pręty, potem zląpał się mocniej, zrobił krok w górę po stromej ścianie, spod nóg posypały mu się śmieci.

– Kostik, weź poczekaj! – zawołałem. – Coś ty?

– *Jak szczo ja? Tam, dywy, skynuty paru kirpiczil i pralyztemo. Ne možu ja bilsze tut, Slipyj, nu ot možu, ji hody! Na woliu meni treba, ta ji spyna balić...*

– A co ty z plecami masz? Przecież w rękę i bok oberwałeś? A plecy niby co?

– *Ne wiedaju, szczo tam. Uczoro paczalosja, papiersze ja ne pamitył, bo ruku sylnisze widczuwał, a zaraz niby wohniem palyc...*

– Ano już, schodzi pan tu migiem na dół! – zakomenderował Dietrich. – Phoszę hozbiehać się... eee... od pasa v góhe! Szybko! *Schnell, schnell!*

– *Nu, jak u niemieckom koncentracyjnam tabiry meni tut traktujuć...*

Kostik rzecz jasna – człowiek ze stali, Terminator, cyborg i w ogóle. No to jeśli on się skarży, znaczy, że boli naprawdę.

Van de Meer zwrócił się do mnie:

– Rozumie pan, gdy go oglądałem, byłem przekonany, że ma tam zwykłego siniaka, ale jeżeli ból nadal nie ustąpił... Panie Kostik, długo mam czekać na pana?

Terminator pokornie zszedł, zrzucił plecak, płaszcz i kurtkę, podciągnął pasiastą koszulkę, odwrócił się plecami do światła. Dobrze, że lampa jeszcze była tu dość mocna... Spojrzałem, gwizdnąłem przeciągle – na moje oko, rana postrzałowa. Van de Meer nie gwizdał, tylko szybkim ruchem rozpakował swój pojemnik na pasie, przetrzął ręce jednorazową chusteczką i zaczął obmacywać brzeży rany. Kostik tylko oddychał głębiej, ale domyślałem się, że zdrowo go boli.

– No jak pan mógł nic nie mówić! – burknął ryży. – Kula tam siedzi!

– *Ta zwidky tam?... Czy wy u mene takoz strylyaly, Wandemejer? Nu, ne czekał ja wid was, bo wy że jewrapejec, kulturna liudyna...*

I jeszcze na żarty mu się zebrało!

– Rykoszet – domyśliłem się. – Kostik, coś ty, zgłupiał, a jak zakażenie pójdzie? Trzeba od razu bylo...

– Zakażenie jest mało prawdopodobne. – Dietrich już pobrzękiwał instrumentami. – Kula utkwiała pod skórą, gdyby wdała się infekcja, to opuchlizna wyglądałaby inaczej... *Achtung!*

Odwróciłem się czym prędzej – no nic nie poradzę, taki wrażliwy jestem. Nawet nie wiem, jak dałem radę tego kontrolera wypatroszyć, na trzeźwo by nie wyszło.

– *O-o-och...* – wypuścił powietrze Taras.

– Proszę się nie ruszać... tak... teraz plaster... gotowe. Proszę się ubrać.

Spojrzałem – Dietrich podawał Terminatorowi pogięty kawałek metalu. Niezłego chirurga mamy, spuścizna genetyczna ojców to raz, i na Murzy nach też ćwiczyl, od razu widać.

– Proszę bardzo, panie Kostikow, na pamiętkę. Najlepszy artefakt.

– Dostał kiedyś stalker Pietrow postrzał przy wymianie ognia... – zacząłem zachęcająco.

– *Nu, ji szczo? Szczo tam dalij?* – podłapał Taras.

– A nie wiem, dalej jeszcze nie wy myśliłem.

– *Triepło ty, Slipyj. A nu, waruszyś, razbyraj zawa! Spaczatku ci zalizjaki tjahni, nu! Pacim wony beri!*

Na przekopaniu pod sufitem dziury, przez którą namogliśmy przejść ponad barykadą, zeszło nam się może dwadzieścia minut, ale nie dłużej. Nie wiem, kim byli tajemniczy budowniczości barykady, ale najwyraźniej mieli po dwie lewe ręce, i to rosnące chyba z dupy – no naprawdę, marnie było to skłeczone. Największym problemem okazała się nie tyle praca, ile właśnie groźba, że

kiedy będziemy przelażać przez dziurę, to cały ten syf pod nami rozjedzie się, zawali i pogrzebie nas w śmieciowym kurhanie – a wysokość kompostownika była znaczna, że cztery metry minimum. Po cholery było komu zbierać taką hałdę, skoro z trudem się trzymała kupy?

Barykada pływała i osiadała pod nogami. Bardzo nieprzyjemne uczucie, więc kiedy w końcu wszyscy zdołaliśmy zejść na beton już po drugiej stronie, odetchnęliśmy z ulgą. No, za siebie przy najmniej poręczyc mógę – odetchnąłem! A potem spojrziałem w tunel... aj-waj-jaj... W oddali, oświetlona przez ledwo bźdzące lampy, wznosiła się kolejna barykada. I to wcale nie mniejsza od tej, którą właśnie pokonaliśmy. Kurczę no, nie ma takiej dyscypliny w programie tegorocznej olimpiady podziemnej. No ale co było robić, podeszliśmy ku tej kłodzie, rzuconej nam pod nogi.

A swoją drogą, sam jestem ciekaw, co zrobił Pietrow postrzelony w wymianie ognia.

– *I szczo ce wano... nawiszczo...* – Kostik zacisnął pięści, zbliżając się do podnóża jeszcze jednej przeszkody i zarzucając kałasza na ramię.

Doskonale rozumiałem jego irytację – lewą ręką niewygodnie się pracuje, wszystko zdaje się wtedy mocno niestandardowe, a do tego Terminator się denerwuje, bo przywykł do sprawności fizycznej...

– *Cśś!* – podniósł rękę van de Meer, nakazując milczenie.

Posłusznie zamarliśmy z Tarasem w miejscu. Obejrzałem się powoli w jedną i w drugą stronę – pusto, nikogo i niczego... Popatrzyłem na Dietricha, który wślipsiał się w swój sprytny radioosprzęt.

– *Panie van de Meer...* – zawołałem go teatralnym szeptem – *bój się pan Zony, pan znowu swoje?*

– *Włączyłem na tryb odbioru – odpowiedział naukowiec również szeptem. – Coś tutaj jest... albo ktoś... O tam, dalej, na galerii, za tą ścianą. Niech się pan nie denerwuje, ja na odbiór tytko!*

Pod pojęciem „ściany” rozumiał barykadę, bo jasne, że przez beton nawet jego aparatura nie odbierała. W końcu taka warstwa żelbetu zdrowo ekranuje.

– *To ji szczo teper?*

– *Już, już, oddalają się...* – wyszeptał zamyślony Dietrich, nie odrywając oczu od wyświetlacza. – *Ciekawe...*

Parę minut później van de Meer oświadczył:

– *Myślę, że możemy ruszać. Lepiej jednak nie hałasować.*

Starając się robić jak najmniej hałasu, zaczęliśmy włączyć na barykadę. Po krótkiej wymianie zdań wybraliśmy miejsce w rogu, gdzie zrobienie przejścia powinno być najłatwiejsze – dodatkową komplikacją było to, że barykada w stanie nienaruszonym zakrywała całe przejście, więc gdybyśmy wryli dziurę pośrodku, na wysokości lamp, to wpadałoby przez nią światło, czego woleliśmy unikać. Nieważne, kim byli tubylcy, ale jeśli chciało im się budować drugą taką barykadę, to znaczy, że ta galeria musiała ich niepokoić. Lepiej, żeby nie odkryli żadnych śladów włamania.

Lwią część pracy musiałem wykonywać ja, Kostik pomagał, na ile dawał radę jedną ręką, a Dietrich stał na czujce – czarował coś ze swoim odbiornikiem. Kiedy przejście było już gotowe i przeczolgał się przez hałdę śmieci, zakryłem dziurę kawałkiem zardzewiałej blachy; niczego lepszego nie mogłem znaleźć. Blachę przeżarła na wylot korozja, co było dość dziwne w poza tym suchym podziemiu – z drugiej strony, barykadę zbudowano ze złomu, który chyba ciągnięto tu z dość daleka. Do tej pory nie natrafialiśmy na nic podobnego do barachła, z którego ulepiono ten paskudny kawałek improwizowanych fortyfikacji.

Jakieś pięćdziesiąt kroków za barykadą natknęliśmy się na kolejną linię zasieków – ale zupełnie innych. W poprzek galerii ułożone były kawałki betonu, nieforemne odłamki, pomiędzy nimi wi-



dzieliśmy też kilka solidnych kamieni. Na sterzczące z betonu pręty zbrojeniowe oraz poustawiane pomiędzy nimi kawałki listew nasadzono najróżniejsze czaszki; kilka ludzkich, były też szczurze i jakieś płaskie, kruche i delikatne – na pewno po tuszłanach. Było i kilka przedziwnych, według Dietricha podobnych do tych, które widzieliśmy w jadalni kontrolera. Większe i mniejsze czerepy rozmieszczone były w pewnym porządku: jeden duży – trzy małe – jeden duży – trzy małe...

Na kawałkach betonu i otoczkach, tworzących podstawę tej swoistej bariery, poukładano pstre plastikowe śmietki, niegdyś kolorowe szmatki, porzewiałe łuski, drobne kosteczki – najwyraźniej dla upiększenia. Znaczenie symboliczne przypisywali twórcy barykad najwyraźniej wyłącznie czaszkom, wznoszącym się na ty czkach.

– Słuchajcie, wiecie, co mi to przy pomina? Dwie barykady i ta... hm... bariera – to trochę jak te trzy zamknięte grodzie, za które Pustowar nie chodził. Pamiętacie? Tam też zamki zardzewiały były, nikt ich nie ruszał.

– Wygląda na to, że ktoś odgradzał się od terytorium kontrolera – przytaknął Dietrich. – Ale widzę pewne, hm, pozytywne aspekty materiału budowlanego. Patrząc panowie, na tej gałązce jeszcze nie zeschły się liście, a tam, w barykadach, żelazo było zupełnie zardzewiało. To przyniesiono z powierzchni. Wyjście z podziemi może być już zupełnie blisko!

No, pomyśl wy dał się niegłupi – dwie solidne barykady, żeby kontroler nie wlaźł na włości sąsiadów. Raczej wątpliwe, żeby ten akurat mutant potrafił kopać i przenosić ciężary. Nawet patrząc na to, jak niezdarnie chodzą, to z rozwojem fizycznym u kontrolerów musi być nie za wesoło. W sensie nie są typami dziesięcioboistów. No a tym bardziej już przez taką przegrodę nie przedostaną się tuszłany, nawet jeśli je rzuci do boju. A trzecia bariera, ta z czaszkami, to już przypominanie dla gospodarzy, żeby nikt nie lekceważył niebezpieczeństwa i nie podchodził do barykad, gdzie ryzykowałby dostanie się we władzę kontrolera. Symbolika czaszek idealnie pasuje, memento mori, nic dodać, nic ująć!

Kostik podniósł z bariery wystrzeloną łuskę od dziewięciomilimetrowki – nówka sztuka, błyszcząca, mosiądz jeszcze nie zdążył zająć patyną. Kolejny znak, że wyjście tuż, tuż.

– Panowie, nie tracić czujności – doradziłem. – Ktoś tu odwalił kawał roboty, zbierając takie hałdy śmiecia, a zrobili to miejscowi, tak? Znaczy się nie są słabi i mają zacięcie. Lepiej im nie podpadać.

– *Da my ji ne zbyralysa ni z kim swarycca* – zauważył Taras.

– Nie podpadać – znaczy nie pchać im się na widok. Tak to się najczęściej w Zonie zaczyna – doprecyzowałem.

– *Ważlywe zauważeńnia* – burknął Taras ponuro. – *Ja zhoden. Ta szczo kazaty, ja ji sam ne bażaju z takymy znajomyts. Bie że szczo, tak ji budemo tut stałbyczyty? Czi dalij pidjemo?*

Jasne, że stać było dość głupio, więc poszliśmy. Dietrich nie wyłączał już swojego urządzonego, kazałem mu raz jeszcze tylko przysiąc na wszystkich świętych Zony, że aparatura działa jedynie w trybie odbioru. Im dalej odchodziłszy od potrójnego ogrodzenia, tym brudniejsza stawała się i podłoga, i ściany, normalnie jakby budowniczowie, wlewając śmieci na budowę, po drodze porzucali w cholere część materiału. Szmaty, dechy, kawałki żelastwa, gałęzie z na wpół uschłymi liśćmi – ba, żeby tylko... Niebawem szliśmy po autentycznym dywanie ze śmieci. I pachniało, jak przy stoi – gdzie tam wychodkowi kontrolera do lokalnych mieszkańców i ich umiłowania higieny. Po lewej i prawej stronie trafiały się drzwi – dokładnie takie, jak w poprzednich korytarzach, potężne, stalowe grodzie z kołowrotami. Większa część była zamknięta na glucho, tylko kilka stało otworem. Nie można było nie zauważyć w jednym miejscu wirwanego z flakami kołowrotu. Potężne stalowe części były skręcone i porwane jak papier, zwinęte w spiralę... Poszarpane brzegi dawno już zdążyły zardzewieć, więc niewykluczone, że to robota jakiegoś lokalnego katakizmu, niekoniecznie rąk tubylców. Albo nóg. Rąk, nóg, tajemnych organów psionicznych... Roz-

pierducha na miarę pseudogiganta.

Potem Dietrich kazał nam się zatrzymać – pokręcił gałkami, pokikał przełącznikami, potem westchnął ciężko i zakomunikował, że poziom tła rośnie – dalej w galerii znajduje się skupisko sygnałów, które przemieszczają się i zmieniają intensywność, a w ogóle to jest ich za dużo, więc on, doktor van de Meer, nie jest w stanie powiedzieć nic konkretnego, jako że nadmiar nakładających się sygnałów czyni ich interpretację niemożliwą. Dokładnie tak to Dietrich ujął. A potem dodał, że nawet nie jest w stanie określić, jaka odległość dzieli nas od wysuniętych posterunków tubylczej cywilizacji.

– Wnosząc po stopniu ufortyfikowania granicy, mieszkańcy się tu nie zapuszczają... – odparłem. – Z drugiej strony jednakowoż, czy mogą oni granic swych strzec inszym sposobem? Czujnym okiem z daleka oglądać ku rubieżom? Cóż pan na to, kolego van de Meer?

– Ja na to, że dalej iść tym korytarzem będzie zbyt niebezpiecznie. Zbliżyliśmy się do zgrupowania tutejszych mieszkańców, ewidentnie obdarzonych zdolnościami psionicznymi. Jakkolwiek sygnały odróżniają się zasadniczo od tych emitowanych przez psy, nie mówiąc już o...

– Ależ oczywiście, zasadniczo. Czyli skręcamy.

– *Pa mapi cej puć najkarsztyj* – burknął Kostik. – *Alie że my možemo sprabuwyty... Tut deś pa wynen buty perechid naprawa... a dalij czerez kamorki. Može, cej jakraz.*

Taras wskazał otwarte na oścież drzwi w ścianie po prawej. Nie wyglądał na zbyt pewnego siebie. Nie spodobała mi się ta jego postawa, ale Dietrich tylko wzruszył ramionami i poszedł ku drzwiom. To też mi się nie spodobało, chociaż moje zdanie, jak zazwyczaj, wszyscy mieli w głębokiej, wybaczonej mi francuski, estymie. Drzwi prowadziły do niedużego pomieszczenia, wypełnionego resztkami mebli – połamanym drewnem, kawałkami tapicerki... Być może stąd pochodziły reszki tapczana, który spożywał teraz dumnie w roli kamienia wapielnego barykady. Pilnować granic – to zaiste ważna pośmiertna rola dla taktrywalnego mebla... ale bariera była też udekorowana ludzkimi czaszkami, a to już nie było zabawne. Osobiście preferuję mniej heroiczne, a bardziej tradycyjne etnograficzne metody pochówku. I w miarę możliwości nie własnego.

Z pomieszczenia wychodził wąski korytarzyk ze ścianami pomalowanymi ciemną farbą olejną – no nareszcie, nie tylko goły beton! Korytarz biegł prosto, potem zakręcał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, więc po tej wolicie szedł równoległe do naszego tunelu. Dokładnie o to nam chodziło. Podłoga i ściany upstrzone były plamami brudu, tu i ówdzie widniały ślady małych, wąskich dłoni. Kostik szedł na szpicy – ot, jakoś tak samo o wyszło.

O dziwo, i tutaj nieźle działało oświetlenie.

Od zakrętu przeszliśmy jeszcze jakieś dwadzieścia metrów, po lewej ciągnął się rząd drzwi – zwykłych, drewnianych drzwi, niegdyś też pomalowanych tym samym ciemnym kolorem.

– Ty, Kostik, ta farba jest zielona? – Czasami mnie kusi, żeby sprawdzić, czy zgadłem. Przecież dla mnie czerwony – zielony, żadna różnica. No, poza tym obiekt był podobno wojskowy, więc zielone ściany i drzwi jakoś tak bardziej tematycznie pasowały.

– *Tychsze!* – Kostik podniósł zabandażowaną rękę, lewą trzy mając karabin na napiętym pasie.

Nieco zwolniliśmy, próbowałem zajrzeć naszemu Terminatorowi przez ramię – z przodu coś się poruszało. Nieduże, wzrostem mnie do pasa. Przyjrzawszy się, zorientowałem się, że to ktoś siedzący tyłem do nas na podłodze z podkurczonymi nogami i pochyłony tak, że kudłata głowa ledwo wystawała mu nad ramionami. Miejscowy ubrany był w fartuch laboratoryjny, którego poły leżały na podłodze – najwyraźniej niegdyś biały, teraz tak brudny i uflejany, że jeśli przypomnieć sobie stroje kolegi Hołownika i jego świty, to przed nami musiał być co najmniej profesor nadzwyczajny. I to dwóch albo i trzech fakultetów, szacowny przewodniczący rady wydziału i członek honorowy tuzina innych instytucji. Czyli, zasadniczo i pobieżnie, brudas w fartuchu.

Usłyszałem mlaskanie, chrupanie i cmokanie – nie widzieliśmy, czym zajęty jest autochton, a

on z kolei był całkowicie zaabsorbowany swoimi sprawami i nie słyszał, że się zbliżamy. Kostik powoli wypuścił z ręki karabin, wydawało mi się, że ma zamiar zawołać człowieka w fartuchu, ale zamiast tego Taras ostrożnie wyciągnął zza pasa saperkę. Wzniósł nad ramieniem... zamarł... i tu „biały fartuch” musiał coś poczuć, odwrócił się gwałtownie, wstając... Z jakiegoś powodu w takich chwilach człowiek czasami dostrzega setki drobnych szczegółów sytuacji – od razu zauważyłem przetłuszczone kudły, nabrzmiałe policzki pokryte brązową skórą, okrągły bebecz, wylewający się spod fartucha, i pokrytą krwawymi strzępami kość, trzymaną w szponiastym łapsku. Fartuch był u mutanta sporo za duży, koniuszki paluchów ledwo wystawały z rękawów, po łokcie zababranych ch krwią. Burer z wysiłkiem zassał oderwany przed chwilą kawał mięcha, nerwowo mlaśniał rybiymi wargami, pospiesznie przełknął... a ja niczym zaczarowany patrzyłem, jak stworzyciel się i chrypi...

Świs! Chrup! Burer zamarł w bezruchu, a z jego łba – równiutko pośrodku – jakby róg wyrósł. Ostrze specnazowskiej saperki do połowy zagłębiło się w czerepie mutanta, rozwaliwszy go na pół. Burer czknął, chrupknął, łapy mu zadrzały. Z rany pociurkał ciemny strumyczek krwi, leniwie spływając po brudnej mordzie. Do wtóru szelestu fartucha mutant osunął się na podłogę, potem przewrócił na bok. Najgłośniejszym odgłosem całej sceny był stukot kości upadającej na podszkłę.

Kostik pierwszy rzucił się ku unieszkodliwionemu wrogowi, my zaraz za nim. Van de Meer od razu rozchełstał fartuch stwora, przekręcił truchło na plecy, zaczął robić fotki... Kostik wyciągnął z łba burera saperkę, wytarł w połę i tak brudnego płaszcza.

– Szwydsze, profesor. *Ne majema czasu na ci wytrbeńki.*

– Tak-tak-tak, już. Chwilę, chwilę...

Taras wzruszył ramionami – ot, bydlę van de Meer, cóż tu rzec... Odwrócił się do mnie.

– *Slipyj, ty takich czudykił ranisz zustriczal? Szczo wono take?*

– Widziałem, ale tylko z daleka, bliżej się nie pchałem. – Zajrzałem w zmętniałe oczka „cudaka”. – I nie żałuję. To jest burer, tak to nazywają... wyjątkowo wredne paskudztwo.

Kostik z obrzydzeniem trącił czubkiem buta cienką łapę mutanta.

– *Jakieś wono... nu, szkliawotne take. Take chlipeńke, wono ne może buty nebezpiecznym?*

– Oj, może być niebezpieczne, i to jeszcze jak! Pazurów to chyba rzadko używają, częściej z odległości rzucają kamieniami i wszystkim, co im się nawinie... Burerzy są telekinetykami.

– Już, jeszcze troszkę, już kończę – mamrotał van de Meer, skacząc nad ciałem z kamerą w rękę. – Już... i jeszcze... tylko chwilką... A teraz – wycofujemy się. Szybko. Idą do nas. Moja aparatura pokazuje już jakiś czas... z tyłu.

– Bydlę z pana, van de Meer – skonstatowałem zwyczajowo.

– Ale za to przed nami jest chyba czysto – oświadczył Dietrich i jako pierwszy popędził korytarzem.

Nie pozostało mi nic innego, jak polecieć za nim, a Kostik ciężko tupał na końcu. Tak bardzo spieszo nam było oddalić się od ukatrupionego burera, że mało brakowało, a przegapiłbym ostrzegawczy pisk PDA – detektor wyczuł anomalię. Nie było czasu na protokół dyplomatyczny, po prostu złapałem Dietricha za pomarańczowy kombinezon i szarpnąłem; van de Meer potknął się, ale zahamował.

– Stój pan... – wycharczałem, bo w biegu tchu mi zabrakło. – Stój pan, panie Dietrich, teraz ja przodem.

Wyciągnąłem znacznik z kieszeni, przycelowałem, rzuciłem – przed nami wystrzelił słup ryczącego ognia. „Żarnik”. Van de Meer, którego nadal trzymałem za ramię, odskoczył do tyłu, Kostik podniósł przestreloną rękę, zasłaniając twarz.

„Żarnik”! Chciało się tańczyć z radości... Spojrzałem w poważne twarze towarzyszy, którzy

jeszcze nie załapali, o co chodzi; widzieliście kiedyś stalkera, co dostałby gwałtownego ataku szczęścia na widok śmiertelnie niebezpiecznej anomalii? No i ja też nie, a lusterka pod ręką nie było.

– „Żarnik”! Panowie, mamy „żarnik”! – zakomunikowałem ze wzruszeniem. No nie, nadal nie jarzą. – Kurczę, to znaczy, że jesteśmy blisko powierzchni, ot co! Tu już anomalie się pojawiają, jasne?

Oczywiście, jak jest wysokie tło promieniowania, to anomalia i w najgłębszym podziemiu się pojawi, ale tutaj liczni milczą!

Kostik i van de Meer wymienili spojrzenia, obydwaj jeszcze nie złapali tchu po sprincie. P owoli ogarniali, chociaż z trudem – Kostik uśmiechnął się nieśmiało, natomiast Dietrich chlapnął:

– I pościgu nie widać, aparatura nic nie wykazuje...

A potem zgiął się w ataku kaszlu, zaczął szukać czegoś po kieszeniach, wyciągnął puste opakowanie po lekarstwach, zmiął w rękę. Radosny nastrój w mig szlag trafił. Wyjąłem manierkę, napełnioną na Wysypisku. Oj, niech to Zona, jak dawno temu się to wydaje, jak w poprzednim życiu.

Woda z bidonu, jasna sprawa, była mocno podejrzana, no ale innej nie mieliśmy. Gwoli pewności nawrzucałem do niej wojskowych tabletek odkażających. Van de Meer pociągnął kilka łyków, pochrypiał, odplunął, jego kaszel jako tako się uspokoił.

– No dobra – zdecydowałem. – Przechodzimy na drugą stronę. Kostik, patrz uważnie, jak lecą śrubki... tfu, znaczy się twoje ukraińskie artefakty. Tam, gdzie się „żarnik” nie aktywuje od tych śmietków, tam stawiaj nogi, a potem centrum przeskakujemy. Gotów? No to patrz!

Wybierając co cięższe kawałki metalu, obrzucałem dookoła „żarnik”, a potem wziąłem głęboki wdech i potruchtałem ku anomalii. Hop! – i już byłem po drugiej stronie. Gdy byłem w pół skoku, anomalia dmuchnęła gorącym powietrzem, ale ognisty jęzor na szczęście nie strzelił. Jako drugi ruszył Kostik, trzeci van de Meer; Dietrich z takich czy innych powodów nie skoczył, po prostu przebiegł, ale ochronił go pomarańczowy kombinezon. Tak się zastanowiłem – ciekawe, na ile uczonemu jeszcze starczy sił? Bez tabletek jakby mu ko sznurki podciął... Ale myśleć o najgorszym nie było ani sensu, ani czasu. Pokonawszy „żarnik”, włączyliśmy latarki, jako że przed nami znów była zupełna ciemność – w korytarzu za anomalią światło nie działało, ale też nie czuć było smrodu, podłogi nie zaścielał dywan brudu, pod nogami mieliśmy tylko czysty, twardy beton. Pewnie burery nie chciały się tu pchać ze strachu przed „żarnikiem”. Z jednej strony był to pozytywny, a z drugiej wiem, że te akurat mutanty są aż do przesady ciekawskie, wszędzie starają się wcisnąć... Więc jeśli nie docierały do tego korytarza od drugiej strony, to czy przypadkiem nie idziemy w ślepy zaułek? Ale zdecydowałem, że swoje dywagacje zachowam dla siebie, bo i po co ludzi denerwować. Zamiast tego rzuciłem półgłosem:

– Podkusiło kiedyś licho stalkera Pietrowa przez legowisko burerów przejść. No i idzie, wszędzie dookoła syf, brud, smród i ubóstwo, kości poogryzane, mutantów pełno. Pietrow idzie z obrzytnem w rękę, po brodzie się drapie, co krok to spluwa... ale burery jakby go nie zauważały. Nie ruszyły stalkera, bo myślały, że to ktoś od nich.

Jako się nikt nie śmiał, ale też się nie dziwiłem – nie do śmiechu nam było... Ale ja już zwyczajnie nie umiem tych historyjek nie wymyślać, to silniejsze ode mnie, anegdoty bez mojego udziału same wylewają się z organizmu. Niezadługo doszliśmy do schodów. W dół nikt nie proponował schodzić, więc od razu ruszyliśmy w górę. Zawsze w górę! Przeszliśmy dwa biegi, trafiliśmy do dokładnie takiego jak poprzedni ciemnego korytarza. Schodów dalej już nie było, chociaż plany pewnie przewidywały taką możliwość, bo szyb uciekał jeszcze wyżej. Wznieśliśmy latarki, świecąc w górę, ale światło ledwie muskało sklepienie... czyli jesteśmy jeszcze dość głęboko, nie było wyboru – trzeba pójść nieznanym korytarzem. Identyczne wąskie przejście, po obu stronach

puste framugi, za nimi małeńkie pokoiiki. Oczywiście nie gardziłem chociażby pobieżnym zbadaniem pomieszczeń po lewej i prawej, ale nie było tam nic, znalazłem tylko młotek z pękniętym trzonkiem i stary kask budowlana – wielki mi chabar... Ech, bogini moja, Fortuno, a jakiejś amunicji do MP5 wygenerować mi nie mogłaś?

I tylko ciemność dokoła. Nie wiem, czy burerom potrzebne jest światło, czy to właśnie ciemności się bały, albo czegoś innego jeszcze; tak czy inaczej, nie było widać nawet śladu ich bytności tutaj.

W ogóle podróż w ciemnościach ma tę dziwną cechę, że szybko traci się poczucie czasu, odległości i orientację w przestrzeni. Przejście takim nieoświetlonym korytarzem niby nie było wiadomo jakim marszem, ale ja zupełnie nie byłem w stanie określić, jak długo szliśmy albo ile już udało się przejść. Potem jeszcze jedne schody, dwa biegi w górę, kolejny ciemny korytarz. Tym razem zdawało mi się, że sklepienie nad niedokończoną klatką schodową było nieco niżej, najwyraźniej zbliżyliśmy się ku powierzchni.

Korytarz doprowadził nas do salki, której część podzielono na sekcje wydzielone z głównego pomieszczenia przy pomocy solidnej, żelaznej siatki. Część w samym rogu odizolowana była nie siatką, a zwykłą ścianką działową na pół cegły, tam znajdowała się toaleta. Na wszelki wypadek popróbowiałem odkręcić kran przy umywalce – eee, sucho jak pieprz, nie było słychać nawet charakterystycznego syku powietrza. Pusto w wodociągach jak w głowie u stalkera Pietrowa.

W dalszym końcu sali znajdowały się zamknięte drzwi, obok nich stało biurko, przy którym siedział, a w zasadzie póleżał twarzą w dół na białej podłodze, jakiś nieszczęśnik w białym fartuchu. Głowa z resztkami włosów już świeciła nagą kością, ręce trupa były wyciągnięte w przód na biurku, z zapadniętych rękawów wystawały żółte kostki, na których tańczyły cienie rzucane przez światło latarek. Tani zegarek elektroniczny na nadgarstku, a martwym wyświetlaczem, świadczył, że leżał tak już dość długo. Było tam jeszcze kilka metalowych szafek – wąskich i wysokich, ale zamkniętych, nawet nie mieliśmy jak się do nich włamać. Przy pomocy naszych latarenek pomieszczenia nie dało się obejrzeć jak należy, więc nie byłem w stanie nawet zgadywać, do czego mogło służyć przed Drugą Awarią.

W szufladach biurka, na którym leżał truposz, były tylko jakieś dokumenty, a w zasadzie sterty pożółtych, kruchych kartek rozsypujących się w proch przy najlżejszym dotknięciu. Obszukałem kieszenie fartucha, wygrzebałem z kurzu garstkę monet i pęk kluczy – jako brelok wisiała przy nim plastikowa przywieszka z ciągiem cyfr, podobna do tej, którą Kostik znalazł w norze kontrolera. Tym razem cyfry były wszystkie: „8215549”.

– *Ce kod* – domyślił się Kostik – *Da cyfrowaha zamka. Wot, dywy.*

Podeszliśmy do drzwi, van de Meer poświęcił – przy framudze widniał pochylony panelik z klawiaturą: cyfry od zera do dziewięciu, „zatwierdź” i „anuluj”. Hej, zmyślny ktoś musiał ten elektroniczny zamek projektować! Napisali „zatwierdź” i „anuluj”, a nie jakieś tam wygłupy z czerwonym i zielonym! No, zamek akurat dla daltonisty. Za to jak tylko podeszliśmy bliżej, zapisał detektor anomalii. Oj, jak bardzo chciałbym to uznać za dobry znak, że niedaleko do wyjścia na powierzchnię!



Stłoczyliśmy się przy drzwiach, patrząc na panel z przyciskami do zamka kodowego. Zapaliłem, zaciągnąłem się. Dlaczego się nie spieszyliśmy do otwierania zamka? Bo strach. Strach, że spróbujesz i się nie uda. Że kod będzie niewłaściwy, że zamek się zaciął, że w ogóle nie działa, bo prądu nie ma... Mało to może nie tak pójść? Póki nie spróbujesz, to zawsze jest nadzieja, są opcje, a nie – to zawsze nie...

– Coś tu jest nie w porządku – rzucił złotą myślą Dietrich. – Jeżeli zamknięcie jest od naszej strony, to pomieszczenie za drzwiami jest pomieszczeniem wewnętrznym, a wyjście musi być tam, skąd przy szliśmy y.

– Noo, w sumie tak, ma to sens – zgodziłem się. – Ale za drzwiami jest anomalia. A przecież anomalie powinny być przy wejściach... Znaczą się wyjściami. A tam, za drzwiami, jest anomalia. Słyszysz pan, że licznik piszczy?

– *A mij małczyć...* – Kostik podniósł rękę z PDA, popukał w komputerek – *Ta nii, zdoch. Akumulator sił, mabuć. I lychtaryk mij toż, taho, skora zhasne.*

No, prawda, Kostikowa latarka świeciła ledwo-ledwo – no ale niby czego się spodziewać? Starość kupiony za psie pieniądze w obozie na Wysypisku, długo wytrzymać nie mógł. Tęgo typu szpej to przecież nie fabryczna nówka, nie?

– Kostik, zgaś latarkę, zostaw sobie reszkę baterii. Van de Meer, weź pan poświeć.

Zdecydowanym krokiem podszedłem do panelu, popatrzyłem na blaszkę z kodem. No dobra, czyli „8215549”. Solidnie wcisnąłem przyciski, robiąc dla przyzwoitości pauzy pomiędzy cyframi... wzniosłem palec nad „zatwierdzić”, wzięłem oddech; światło latarki bujnęło się, van de Meer kiwnął głową. No, w imię Zony – palec opadł na „zatwierdzić”. Sekunda. Dwie... Serce mi stanęło, potem uderzyło jak młotem, potem jeszcze mocniej... W ścianie, na której zamontowany był panel kontrolny, coś szczęknięło, potem zgrzytnęło... Van de Meer odetchnął tak głośno, że prawie zajęczał... Drzwi drgnęły, w martwej ciszy zgrzyt ruszających zastanych zawieszonych uderzył w bębni uszu niczym w wystrzał, skrzy dło, jęcząc nieludźko, odjechało na bok. Przed nami otwarły się trzewia kolejnej sekcji podziemi, delikatnie podświetlonej od dołu zimny m blaskiem „kisielu”.

– *Zelene szczoś* – burknął Kostik

Od jakiegoś już czasu podejrzewałem, że „kisiel” jest zielonkaw y.

Wymieniliśmy spojrzenia, kiwnąłem van de Meerowi; ten zrozumiał w lot, stanął przy wejściu i zaświecił. Moja latarka też zaczęła powoli wymiękać, więc zdecydowałem, że ją wyłączę tak szybko, jak tylko będę mógł się obejść bez własnego źródła oświetlenia. Latarka Dietricha wyciągnęła z ciemności podłogę z PCV, przesliznęła się po sporym pokoju, oświetliła kontury mebli stojących przy ścianach. Szafy jakieś albo stelaże... Na posadzce leżały jeszcze nieforemne kępki szmat, ale nie zdążyłem się przyjrzeć. Odsunąłem van de Meera, przestąpiłem przez próg – kałuża „wiedźmiego kisielu” drżała jakieś półtora metra od drzwi, pośrodku pomieszczenia, więc ominęmy go bez trudu, ale i tak rzuciłem kilka żelaznych złomków w prawo i w lewo, ot tak żeby już było po bożemu. Cisza, spokój, tylko „kisiel” bąblował. Ostrożnie wsunąłem się głębiej, wyminąłem anomalię, zrobiłem jeszcze parę kroków... Pokręciłem głową, żeby latarka poświeciła po ścianach.

Część szaf była przeszkłona, światło odbijało się w zmatowiały ch szybach, na półkach stały słoje, próbówki w metalowy ch i plastikowy ch stojakach i inne tam takie sprzęty.

– Możemy wchodzić, panie Ślepy?

– Wchodźcie, a ja wyłączę latarkę.

– *Dywy, Slipy, a tut takoz cyfyrki.* – Kostik wskazał na panel zamka kodowego z tej strony. Znaczą się działa tak samo w obie strony, więc nadal jest szansa, że znajdziemy wyjście? Van de Meer ruszył wzdłuż szaf, przyglądając się ich zawartości; coś chrupnęło, przy zakłął – słów co

prawda nie rozumiałem, ale intonacja była dość wymowna.

Podbiegłem do uczonego.

– Co się stało?

– Nic, nic takiego, panie Ślepy, wszystko w porządku, po prostu nadepnąłem...

Światło latarki ześlignęło się na podłogę – van de Meer stał na białym fartuchu, otulającym stosik kości. Nieforemne kupki pod ścianami były resztkami ciał i kości obleczonych w zetlałe ubrania i białe fartuchy. Dietrich chodził po doczesnych szczątkach ludzi.

– *Może, dalij pjdemo?* – zaproponował Kostik – *Szczoz meny tut ne padabajecca. I szkwarczyć tak nepryjemna...*

Ja też nie przepadam za bulgotaniem „wiedźmiego kisielu”. W drugim końcu sali widniało wyjście, ale bez drzwi – tylko prostokątny otwór. Ruszyliśmy tam, bo i wyboru przecież nie było... Nawet nie pytałem, co to za pomieszczenia, co mówi plan i co będzie dalej. Łatwiej będzie ruszyć się i obejrzeć na własne oczy. Nadziei dodawał fakt, że burery się tu nie zapuszczały. Chociaż, z drugiej strony, czy to znaczyło, że przejścia nie będzie? Dziwnie jakoś to wszystko wyglądało, ale fakt faktem – burerów tu nie było. Inaczej by wszystko zasyfiły, rozpruły szafy, a czarki pozabierały w celach estety czno-kultowych.

Za pomieszczeniem z szafami był krótki korytarz, a na jego końcu kolejne drzwi z zamkiem kodowym. Wstukałem ten sam kod, co wcześniej: 8215549 – i nic.

– *Ot żeż zaraza...*

– Zaraz, powoli. – Wsadziłem rękę do kieszeni, pogrzebałem pośród zgromadzonych tam ukraińskich artefaktów, wyciągnąłem drugi, a w zasadzie pierwszy, bo postkontrolerowy, breloczek

– Myśli pan, że zadziała? – zapytał van de Meer, dla zasady chyba.

Wzruszyłem ramionami. Co miałem Szwabowi powiedzieć? Nic lepszego nie było... i to który już raz! Dietrich też mógł sobie odpuścić pytanie, ale milczenie stawało się bardzo męczące, więc każdy z nas desperacko szukał pretekstu, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Uwaga, rozpoczynamy losowanie. Komora maszyny losującej jest pusta... – Uśmiechnąłem się nieszczerze. – Albo i nie... A zatem, mamy ciąg cyfr: siedem, osiem, zero, jeden, cztery, sześć... i potrzebujemy ostatniej. Czarne przegrywa, czerwone wygrywa! Pieniążki, pieniążki za darmo rozdaje!

– Niechże pan da spokój. – Dietrich spojrzał błagalnie. – Niech pan po prostu próbuje po kolei, od zera do dziewięciu.

– *Ne tjahny, raby szczo każuc* – przytaknął Kostik

– A ja znowu jak w starym komiksie, sam przeciw wszystkim – skonstatowałem ponuro, przystępując do pracy.

Zero – dupa... Jeden – i kamieni kupa... Denerwowałem się coraz bardziej z każdą nieudaną próbą. W głowie już roilem sobie warianty tego, co będziemy robić dalej, jeśli zamek po dziesięciu próbach się nie otworzy. No dobra, możemy wrócić do ukatrupionego burera i popробować piętro niżej, możemy nawet spróbować wrócić do głównej galerii... Ale moja kapryśna bogini nie zawiodła mnie i tym razem. Co prawda kokieta przypomniała o sobie w ostatniej chwili, jako że zamek zareagował dopiero na ostatniej cyfrze, gdy trzęsącymi się rękami wbiłem na końcu dziewiątkę: 7801469 – ot, tutaj Fortuna puściła mi łobuzerskie oko, żebym nie zapominał o niej przy czterdziestowoltowy ch ofiarach po sto gramów. Nie zapomnę, o najwspanialsza.

Ale, jakkolwiek tam było, przy dziesiątej próbie rozległo się znane mi już szczęknięcie, metaliczny stuk i w końcu zgrzyt. Potworny jęk otwierających się drzwi wydał mi się najpiękniejszą na świecie muzyką. Mimo że nie miałem pojęcia, co może się czaić po drugiej stronie, to po tym, jak zadziałał przypadkiem znaleziony kod, od razu chciało się wierzyć: no przecież wszystko się ułoży! No bo przecież co innego to mogło być, jak nie przeznaczenie? Kostik mógł tego połama-

nego breloka nie podnosić, ja mogłem go w „elektre” piźgnąć albo w inny „kiesz”, a i sam kontroler mógł niejadalną błyskotkę wrzucić jeden Dima Suchow wie gdzie. A tutaj – normalnie cud! Cud, jako żywo...

Ostrożnie zajrzałem przez powstały otwór. Van de Meer stał z tyłu, światło jego latarki lało mi się przez ramię – w tym rozproszonym blasku widziałem cały czas te same betonowe ściany, gładką posadzkę... Długi był ten korytarz, Dietrichowej latarki nie starczało, żeby oświetlić wąską kiszkę do końca, ale...

W oddali widziałem plamę światła, musiał być tam zakręt, światło padało zza rogu. Daleko, o kolorze światła pojęcia nie miałem, ale to światło, tego byłem pewien!

- Van de Meer – szepnąłem. – Widzi pan?
- Tak – równie cicho odpowiedział ryż. – Światło.
- Panie van de Meer, jakiego koloru?
- Czerwone. Słońce zachodzi.

Bojąc się uwierzyć we własną nadzieję, przygotowałem hecklera i powoli ruszyłem korytarzem. Zona jednak doprowadza do automatyzacji co poniektórych nawyków. Jeśli przed tobą jest wyjście na powierzchnię, to może być tam dosłownie wszystko, więc, nawet się nie zastanawiając, biorę broń do ręki. Nie wiem, czy Kostik poczuł to samo, co ja, czy może po prostu zauważył mój ruch, ale on też szczęknął zamkiem kałasza.

Krok po kroku szedłem korytarzem, światło na końcu tunelu było coraz bliżej i bliżej – już widziałem, że zbliżamy się do skrzyżowania, drugi korytarz przecinał nasz pod kątem prostym, a światło padało z lewej strony... Dłużej już nie mogłem, przyspieszyłem, prawie zacząłem biec, chociaż w Zonie tak nie wolno. Zona uczy chodzić powoli; ale tak długo trzymałem się na wodzy! Tak już rzygać mi się chciało tymi pieprzonymi podziemiami, chciało się powietrza, chciało się nieba nad głową, światła normalnego się chciało...

Skrzyżowanie, rzut oka w tę i w w tę – po prawej ciemno, po lewej oślepiające światło – robię krok ku słońcu, mimowolnie mrużąc oczy... i staję na skraju przepaści. Przede mną tylko powietrze. Stoję u wejścia do podziemnej pieczary.

Korytarz wybiegał z trzewi Ziemi i kończył się nierówną krawędzią, beton pod nogami był popękany i rozbity. Przede mną rozciągał się niewielki prześwit pomiędzy sklepieniem gigantycznej podziemnej hali a ruinami na jej dnie... To, co leżało jakieś dziesięć metrów poniżej naszej galerijki, najłatwiej byłoby chyba porównać ze zniszczonym mrowiskiem; wyobraźcie sobie płaskie mrowisko, które ktoś mocno przydeptał nogą od góry – przed wami widać do tej pory ukryte podziemne korytarze, po nich snują się mrówki, wloką to tam, to siam najróżniejsze przedmioty, spotykalają się, smyrają czułkami, załatwiają jakieś swoje mrówcze sprawy. Nie macie pojęcia, dlaczego przejścia zbudowano akurat tak, a nie inaczej, nie wiecie, czym zajęte są owady, ale czujecie, że obowiązują tu jakiś określony porządek.

Potworna eksplozja musiała kiedyś targnąć wielopiętrowym betonowym bunkrem, wyrzucając część struktury na zewnątrz skrywającego go wzgórze, otwierając skomplikowany labirynt przejść, galerii, korytarzy, pomieszczeń i schodów. Wyjście na powierzchnię było tuż przed nami, po przeciwległej stronie – szeroka dziura, przez którą wpadały jasne promienie zachodzącego słońca. Nierówna szczelina miała jakieś trzy-cztery metry wysokości w najwyższym punkcie, szersza pośrodku i zwężająca się po bokach – taki kastyjofcy światłem owal, tyle że z ostrym i łamami... jak wrzeciono. Przez lata, które minęły od katastrofy, ziemia ze wzgórze nad nami zdążyła osypać się do środka i porosnąć rachitycznymi drzewkami, więc teraz pokręcone pnie sosenek i brzołek przy pominały rzęsy, obramowujące przejście z grubsza podobne do wielkiego oka. Takie wielkie Oko Zony, którym Ona zagląda w trzewia Ziemi. Gdyby jeszcze pieczara była na zachodzie i pośrodku wisiało słońce, to mielibyśmy Wielkie Płonące Oko... no, łapiecie klimat.



Samej tarczy słonecznej nie widziałem, pewnie dziura jednak była trochę przesunięta względem zachodu, ale na zewnątrz słońce skłoniło się nad horyzontem i purpurowy blask zalewał ruiny na dnie pieczary. Staliśmy na (w?) ścianie, prawie pod samym sklepieniem ogromnej groty – a po zniszczonym „mrowisku” laziły burery. Musiały już dawno zasiedlić powstałą po wybuchu pieczare; dno ich ukrytego miasta leżało jakieś dwanaście metrów niżej, co niektóre posadzki dolnych poziomów zachowały się prawie w całości, ale większość była zniszczona, więc zostały tylko położone na różnych poziomach prostokąty ścian. Tu i ówdzie ocalały schody, miejscami gruz i żwir utworzyły pochylnie, po których można było dostać się na piętra. Całkiem możliwe, że poniżej zachowały się jeszcze głębsze podziemia, ale stąd nie było ich widać. O ile mogłem wnieść, ściana, z której oglądaliśmy legowisko burerów, przypominała nie tyle mrowisko, ile raczej plaster miodu – korytarze i wąskie pomieszczenia, otwarte z boku przez potężną eksplozję, kończyły się urwiskiem, tworząc mozaikę ruin.

Podczołgałem się na brzuchu do samego skraju osypiska, żeby rozejrzeć się w osiedlu mutantów. Van de Meer ułożył się zaraz obok, ale we trzech byśmy się już nie zmieścili, więc Kostik przykucnął, opierając się o ścianę, i również patrzył w dół zza naszych pleców. On też jako pierwszy wygłosił swój werdykt:

– Wót swynarnia – burknął.

Jaki wszędzie, gdzie rozpleniały się burery, tutaj też wredne karzelki zamieniły ruiny w prawdziwy chlew – brud, smród, syf, kłta i mogiła. Hałdy odpadków, legowiska ze szmat i gałęzi, losowo porozrzucane po terenie... Mutasy laziły korytarzami, zamienionymi w wąskie zaułki, zagłędając do piwniczek – znaczy się pokojów, nad którymi ocalały sklepienia – i znów wychodziły na otwartą przestrzeń; co niektóre knypki siedziały nastroszone i w skupieniu iskały się nawzajem albo coś żuły. Duża część laziła w jakichś zasyfialych szmatach, u jednego nawet zauważyłem karabin w łapach – najprawdźwieszego kałasza z ułamaną kolbą. Burer trzymał broń obydwoma rękami, widać było, że stwór tylko udaje, nie mając zielonego pojęcia, jak należy tego przedmiotu użyć. Nawet poskrzekiwanie, którym wymieniały się burery przypadkowo wpadające na siebie w korytarzach, brzmiało jak parodia ludzkiej mowy. W zasadzie trudno było nawet się domyślać, czy wydawane przez mutanty dźwięki mają w sobie jakąkolwiek treść, czy to też element zabawy.

Im bliżej centrum zrujnowanego schronu, tym więcej było brudu i rojących się mutantów. Na samym środku burery wyczyściły dość spory placyk, w którego centrum wznosiła się swoista piramida, udekorowana rzędami czaszek. U podnóża zaczynały się linie, ułożone z drobnych szurczych i tuszkanich czerepików, potem były większe kości, głównie po ślepych psach i czarnobylcach. Następnie okrągłe sklepienia czaszek humanoidalnych... przy czym zdaje mi się, że dominiowały tu doczesne szczątki *homo sapiens*.

Burery jednak niespecjalnie szanowały teorię Darwina, a zdecydowanie preferowały geometrię. Ponad czaszkami, ewidentnie należącymi do istot wyższego rzędu, leżały te, które były zwyczajnie większe. Po szablach dawało się rozpoznać kabany, wyżej nad nimi leżały jeszcze inne, nieforemne i jakby wykrzywione. Trudno powiedzieć, do jakich stworzeń należały – może pseudogigantów... Tych nie było wiele, widziałem około sześciu sztuk na boku piramidy widocznym z tej strony. Budowlę wieńczył absolutnie niewiarygodnie ogromny czerep – nawet przypuszczam nie śmiem, jaki stwór mógł niegdyś nosić w charakterze głowy taką ozdóbkę. Ponad metr długości, ze sterczącymi na wszystkich stronach ostrymi wypustkami, ni to rogami, ni to kłami, albo czymś jeszcze. Szkielet dinozaura odkopały mutasy czy co?

– Panie van de Meer, co to tam jest, toto na samej górze?

– Hmm...

Dietrich wymamrotał coś niezrozumiale – już w pełni zagłębił się w świat wideorejestratorów,

dlą wygody odpiął swój wielofunkcyjny PDA z przedramienia, a teraz trzymał go oburącz i przekręcał w to tę, to tę w tę, filmując szczegółowo ten śmierdzący ośrodek hodowlany kultury nieludzkiej.

Na placu przed piramidą rozłożona była wypatroszona tusza prypec-kabana, nad którą siedział gruby burer w podartym kombinezonie. Na rozsądne noszenie tego elementu garderoby najwyraźniej nie starczało mu inteligencji albo po prostu nie przejmował się konwenansami – ręce wsadzone miał w rękawy, a reszta kombinezonu wisiała z tyłu, niczym podwójny tren płaszcza. Gdy burer podnosił się i przechadzał wokół tuszy, kombinezon ciągnął się za nim, zaczepiając o występy betonu i pręty zbrojenia; mutant zatrzymał się wtedy, odwracał, odczepiał i z ışıcie królewską godnością poprawiał strój. Spieszyć się nie musiał, żarła miał przed sobą po uszy... Burer najwyraźniej na coś czekał, podobnie jak jego niższej rangi współplemieńcy – mutanty po trochu zaczynały gromadzić się na placu, rozsiadać na posadzce dookoła, stawać tu i tam. Małe, tłuste, gołe dzieciaki roily się, krzyczały, bawiły kamykami i wszelkim drobnym śmieciem – podnosząc siłą woli kawałki plastiku, betonu i metalu, a następnie puszczając je w krótki, nierówny lot. Wokół najbardziej utalentowanych ch burerząt unosiły się nieduże roje recyklingowych asteroid.

Zauważyłem też, jak kilka burerów odchodzi na stronę, żeby załatwić potrzebę. Oczywiście zero krępacji, pełna naturalność. Jak w raj u prawie.

Mutanty podnosiły się, siadały, przeciągały, skrzeczały ochryple, przechadzały po okolicy, ponownie wracały do kręgu... Wiele z nich gryzło i żuło jakieś paskudztwa – czyli wcale nie chodziło o pozwolenie na rozpoczęcie kolacji, idea zgromadzenia była zupełnie inna. Zaczęłem się trochę nudzić, a taki van de Meer był w siódmym niebie ze szczęścia, kręcąc kolejne filmiki swoją kamerką zintegrowaną ze szpanerskim PDA, jego cwany odbiornik migał sobie wesoło kolorowymi lampkami, co do koloru których mógłbym mieć poważne wątpliwości... Nauka otrzymała zaiste bezcenny podarek, jeśli tylko uda nam się Dietrichowy komputer dostarczyć do cywilizowanego świata, w miarę możliwości z doczepionym do niego naukowcem. Swoją drogą, myśl ta przypomniła mi o konieczności opracowania planu dalszych działań. Skakanie po gruzie niespecjalnie mi się uśmiechało – po pierwsze, wyminąć miasteczko brudasów należało niepostrzeżenie, po drugie, van de Meer był ledwo żywy, a Kostik tylko połowicznie sprawny. Trzeba będzie znaleźć drogę nie tylko dogodną, ale i nie na widoku burerów.

Zaczęłem kręcić się i rozglądać, udało mi się wypatrzeć nawet niezłe zejściopodobne coś – tam, w rogu, za ścianami... Van de Meera nawet nie było sensu zagadywać, więc zwróciłem się do Kostika:

– Weź no popatrz, a jeśli zejdziemy tu piętro niżej, potem do prawej i tamtym grzbietem na dół... damy radę obejść osadę bokiem, co?

– *Nu, ja takóž tudy dywliusa* – odparł Taras – *alie że ne wpewnenyj, szczo wony splicz w noczy. Chto jich zna, karlikit smierdziaczych?*

– A co mamy niby robić?

– *Jak szczo? Temriawy czekaty, a patim – na wychid...*

– No to przecież taksamo mówilem!

– *A chiba ja proty? Ja że ne proty. Alie, papersze, treba harna razdywytyś, jak wano tut własztowana. Tut że ciłe mista, cywylyzacyja! Humanoidy!*

– Kiedyś stalkera Pietrowa w wymianie ognia postrzelili. Mówią mu: Dawaj do doktora, on ci ranę obejrzy. A Pietrow na to: Nie mam kiedy do doktora, nie mam czasu na pierdoły, ślepego psa złaćką muszę. Oni: Po co? Ranę, odpowiada Pietrow, trzeba dać psu polizać, tak mi babcia mówiła.

– *Nu, ji szczo smeszhoha? Mene takóž babka u dytynstwi nauczała, szczo treba sabaci daty. Da czaho ty?*

– A, tak se... Słuchaj, amunicję masz? A, cholera, pytałem wczoraj...

– Na usich tych pahancił ne wystaczyć. *Szczę u mene łapatka je. A czaho ty pytajesz?*

– No bo, teges... Tak coś czuję, że jak się podłoży my, to dostaniemy taki łomot, że psów w Zonie nie starczy, żeby nas wylizać.

Wyjście na powierzchnię kusiło i wzywało do siebie, ale pomiędzy wolnością a nami leżało miasteczko burerów, a w nim dobry batalion mutantów. Trzeba czekać będzie... Odczołgałem się od urwiska, oparłem o ścianę naprzeciwko Kostika. Van de Meera tak wciągnęły badania naukowe, że nawet przestał kasać – wyglądało na to, że praca leczyła go lepiej od dowolnych prochów. Nie je, nie pije, a pracuje i żyje – fanatyk normalnie!

Dość niespodziewanie zaburczyło mi w brzuchu. I to tak na poważnie, ja nie Dietrich, pracy do garnka nie włożę. Zacząłem grzebać w plecaku, wyciągnąłem manierkę, potrząsnąłem – hm, niecała połówka... i sucharki się kończą. Kostik wymacał w plecaku puszkę wołowiny i podał mi, on przecież lewą nie otworzy.

– Nie sraj ogniem, Ślepy – uśmiechnął się Taras. – *U mene szcze je konserwy. Try banki, pożywemo szcze.*

– Woda się kończy. Mimo wszystko wypadałoby się dziś nocą przedrzeć, bo z czekania tutaj nici.

– Przedzieramy się bezwarunkowo – burknął Dietrich, nie odrywając się od roboty. – Alternatywy nie ma. Ale musimy przemieszczać się szybko albo ryzykować, że nas zjedzą.

– Albo oni nas, albo my ich – odparłem, podając Terminatorowi otwartą puszkę. – Co prawda Kostik twierdzi, że ma jeszcze konserwy. Może nie trzeba będzie od razu na dietę z burerów przechodzić.

– *Jak patemnije, uteczemo zwidsy* – mruknął Taras. – *Wandemejer, pajizte, wam treba.*

– Tak, tak, już, zaraz...

Już ja znam jego „zaraz”.

– A co to za dyskusje?! Widzisz pan sam, bydlaki czekają na coś, więc póki się nie zaczęło, bierz pan i jedz. Proszę bardzo, tu suchary, tu wołowina, w teatryku jest antrak, zapraszamy widzów do bufetu. No?!

– E... tak, chwilę...

– Ale migiem! Zaraz się drugi akt przedstawienia zacznie, a wtedy trzeba będzie pana siłą z łyżeczki karmić. Już ja was znam, wykształciuchów.

Podczas gdy my kulturalnie jedliśmy kolację, mutasy w dole nudziły się, faktycznie na coś chyba czekając – rozsiadły się wokół piramidy, przekrzykując się paskudnymi głosami.

Znowu rozłożyliśmy się przy obrywie... Słońce opuściło się już zupełnie nisko, ostatnie promienie pod przedziwnym kątem zajaśniały od dołu do góry, jak gdyby odbijając się od ogromnego zwierciadła przy wejściu do pieczary. Może jakaś kałuża tam jest? Albo leży roztopione lustro? Po raz kolejny pożałowałem, że cierpię na problemy ze wzrokiem. Komu bym się z tego problemu nie zwierzał, zawsze powtarza mi, jaką to cudowną magię niesie ze sobą czerwone światło słońca – a ja nijak nie mogę się do tych zachwyconych opinii odnieść.

Potężny snop światła uderzył od dołu w wielki czerep, wieńczący piramidę, blask chlusnął z pustych oczodołów, promienie światła popłynęły od przedziwnych kości we wszystkie strony – ku ścianom ogromnej pieczary, ku sklepieniu, padły na mordy burerów. Mutanty ożywiły się, zaczęły wstawać, bić się łapskami po brzuszyskach i udach, skłowyć. Duży samiec w kombinezonie wznosił ceremonialną łaskę – potężną kość, równą mu wysokością, gdyby postawić ją pionowo. Mutanty zamarły w milczeniu.

Przywódca zaskrzeczał krótko ochryplym głosem, machnął łaską – wszystkie burery rzuciły się ku resztkom kabana, tłocząc się, rycząc, odpychając nawzajem. Nawet małe burery piszczały,

pchając się do tej ogólnej ustawki, a ja aż się wystraszyłem, że w zamieszaniu je stratują. No, „wystraszyłem” to może złe słowo, w końcu mały burer jest tak samo paskudny i wredny, jak duży, ale jak taka drobniaczka pcha się pod nogi większymi mutantami, to i tak robi się człowiekowi trochę niemiło.

– Próbujać dostać się do głowy – skonstatował van de Meer, operując kamerą.

– *Nawiszczo ce?* – Burery w dole robiły taki harmider, że nawet Kostik się zaciekawiał, teraz przykucnął na skraju korytarza i patrzył Dietrichowi przez ramię.

– Wkrótce się okaże.

Trafna odpowiedź, a co.

Masówka trwała kilka minut, a potem mutanci zaczęły odsuwać się i odchodzić od truchła. Mordy miały uwalane krwią i świecące od śliny, co niektóre oblizywały paluchy. Kaban był praktycznie w tym stanie, w jakim wcześniej, tylko czaszka lśniła białą, objedzona do czysta.

Wódz, machając swym kosturem, wychrupkał kolejny rozkaz. Kilka co większych mutantów wystąpiło z kręgu, zbliżyło się ku czerepowi. Na znak starszego w kombinezonie stanęły blisko siebie, prawie się dotykając się łokciami, wpatrzyły w czaszkę. Wszystko ucichło. Potem wylizany do czysta łeb kabana poruszył się, buchnął raz i drugi, wznosił nad ziemię... podskoczył ku górze, jeszcze wyżej i wyżej. Telekinetycy przenieśli czerep na przeciwną stronę piramidy, od wejścia, więc nie widzieliśmy, co działo się dalej. Pewnie czerep zajął należne mu miejsce pomiędzy podobnymi sobie.

Światło bijące w szczyt budowli zaczęło znikać, słońce minęło punkt, z którego odbite promienie trafiały do groty. Od razu ściemniało, burery zaczęły siadać w kręgu dookoła piramidy.

– *Ÿ!* – ryknął szaman, uderzając kosturem o beton.

– *Ÿ-Ÿ-Ÿ...* – zawył mutant.

– Nieszporo ogłaszam za zakończone, a teraz będzie disko bandzo – przetłumaczyłem. – Panie van de Meer, a ten cały pański N'Gwama też tak robił?

– Hę? Że co, phoszę?

– No, daj pan spokój, nie udawaj pan szalonego roztargnionego naukowca. Mówię: pański N'Gwama też takie hocki-klocki odśpiewywał?

Burery pod nami smęciły:

– *Ÿ-Ÿ-Ÿ... Ee-he-ee... Mee-e-e-e...*

Dietrich wsłuchał się, przekrzywiając głowę.

– Nie do końca, ale, muszę przyznać, jest pewne podobieństwo. Panie Ślepy, podsunął mi pan niesamowicie intrygującą myśł!

– Panie van de Meer, chciałbym uprzedzić pańskie pomysły. Gdy będziemy opuszczać to niezwykle zajmujące miejsce, nie będzie pan niczego włączać, niczego filmować i w ogóle zajmie pan się jedną jedyną rzeczą, czyli jak najszybszym spierdaleniem. I nie żartuję. Nie mam najmniejszej ochoty stać się częścią lokalnego zdobnictwa ludowego.

– Zdobnictwa...? *Ja, ich verstehe...* W tym znaczeniu!

– Tak, owszem, dokładnie w tym. Głowa jest mi potrzebna do innych celów.

– Ależ, panie Ślepy, obiecywałem przecież! – Dietrich był uosobieniem historycznie niewinnych Niemiec.

– Tak, jasne. Sam przecież widzę, że ta pieczara to istny ogród doczesny dla prawdziwego uczonego. A zatem ostrzegam lojalnie: będzie pan nas spowalniać, to pana tu zostawię burem na pożarcie. Jak mi Zona miła, zostawię w cholery!

Tu z lekka zaniepokoił się Kostik

– *Nu, nii, Slipyj, ty szczoś ne te kazesz.*

– Ja wiem, co mówię. Pan van de Meer potrafi być niesamowitym bydlęciem, co już nieraz

udowodnił. A dla mnie zawsze koszula bliższa ciału, życia dla nauki nie poświęcę, a już na pewno nie w imię teatralnych gestów pewnego zaprzedanego fatalisty. Tak, tak panie van de Meer, nie masz pan się tak na mnie co patrzeć, nic nie poradzę, skoro już taki nas los niełatwo połączył. Tak stalker Pietrow do oka na rosole powiedział. Wie pan, jak wygląda oko na rosole?

– Naturalnie, *ein Fettauge*.

– No i tak powiedział stalker Pietrow do oka na rosole: Ty się na mnie, Fetałge, nie masz co tak patrzeć.

Tutaj van de Meer uderzył w tony sentymentalne, zaczął mnie przekonywać, że będzie tip-top grzeczny i w ogóle, ale teraz jeszcze tylko troszkę, tylko odrobineczkę, jeszcze te mutanty popodgląda... tylko stąd, z samej-samiusieńkiej góry. A jak na dole, to od razu rzuci, normalnie esperal se wszyje w mózg. Ja – rzecz jasna – w ani jedno jego słowo nie wierzyłem. Stalker Pietrow też kiedyś musiał przysiąc, więc przysięgł na Zonę – a potem oszukał. Mówią mi: No coś ty? Przecież na Zonę przysięgałeś, a ty weteran, wysezonowany stalker... A on odpowiada: A wy żółtodzioby jesteście, nic nie rozumiecie. Emisja od tamtej pory przeszła, a jak my, weterani, dobrze wiemy, emisja Zonę zmienia na cholere i zupełnie. No więc była jedna Zona, a po emisji jest już nowa, a ja na tamtą, starą, przysięgałem.

Póki Dietrich marudził, że w pełni jest świadom powagi moich uwag (tak powiedział, słowo w słowo), ja tylko kiwałem głową, a potem powiedziałem mu tak skoro się zgadza, to niech kładzie się spać. Nocą będziemy się przedzierać, a to znaczy, że muszą wszyscy wypocząć. Hę, hę, dokładnie jak się spodziewałem, van de Meer zaczął się wykłócać, że no tak, on się zgadza, ale chce objąć pierwszą wartę. No, pozwólm mu! No jeszcze tylko troszkę, ociupinkę, żeby sobie popatrzył – popilnował, znaczy się – na legowisko mutantów, no przecież niby kiedy powtórzy się taka możliwość?

– Święta racja – zmuszony byłem się zgodzić. – Mam nadzieję, że nigdy się nie powtórzy, jako że zawczasu odmawiam włożenia w podobne temu miejsca z własnej woli. No, niech panu będzie, pilnuj pan. Tylko nie waż się pan światła zapalać, bo od razu nas brudasy wypatrzą!

Zadecydowaliśmy, że drugą wartę obejmę ja, a ostatnią Kostik. Ja wybrałem sobie najgorszą, bo wychodziły mi trzy godziny snu, potem trzy godziny warty i znów sen. Ni cholery się nie wyśpię, ale pomyślałem, że Kostik ranny, a Dietrich chory, więc lepiej niech już moim kosztem sobie odpocznie. Ale nic to, jutro rano już nas tu nie będzie, a pojutrze będziemy odpoczywać w Gwieździe.

Pod nami chrumkały i meczały burery – ale chyba same już się znudziły, bo głosy stawały się coraz cichsze i bardziej zawodzące.

Ciekawe, co porabia teraz ten zasraniec Pustowar? Raczej wątpliwe, żeby biegł w podskokach, raczej przemieszcza się jeszcze wolniej od nas, unika wszelkich spotkań, starannie omija dużym łukiem wszelkie sygnały, jakie tylko zobaczy na PDA. I jeszcze plecaków ma pół tuzina... No nic, niech się, grubas jeden, pomęcz się, niech się pierdun tłusty raz w życiu wysili. Niech sobie posapie... I z tą myślą zasnąłem.

Obudził mnie bynajmniej nie van de Meer, i wcale nie brzęczyk mojego PDA. Z dołu, zza krawędzi urwiska, dobiegał potworny hałas – burery ryczały, wyły i wrzeszczały na całe gardło, co chwila rozlegał się pełen rozpachy skowyt... Coś trzeszczało, grzechotało i dudniło.

Van de Meer zamarł nad przepaścią, jego sylwetkę było ledwo widać w szarym poblasku wypełniającym pieczerę. Część księżycowego lśnienia jakoś przenikała pod sklepienie, możliwe, że odbijając się od tego samego lustra, które zapewniało efekty specjalne o zachodzie słońca. Kostik też zdążył się już obudzić i teraz warczał półgłosem swoje chachlackie pomstowania.

Podpełzłem do rumowiska, ostrożnie wysunąłem głowę ponad urwany żelazobeton. Z początku nie widziałem zupełnie nic w ciemnościach, ale potem zacząłem odróżniać sylwetki mutasów,

miotających się pośród chaosu betonowych ruin. W dokładniejszym przyglądaniu się przeszkadzał grad improwizowanych pocisków, jakie podrywały w powietrze same stwory. Najpierw wydawało mi się, że burery rozwiązują jakieś wewnętrzne waśnie, ale dość szybko wypatrzyłem przyczynę tego nocnego popłochu – nad miasteczkiem szybowaly w powietrzu trzy ledwo widoczne świetlne punkciki.

Stworzenia tego gatunku my, stalkerzy, nazywamy poltergeistami, ale czym są naprawdę, nie mam pojęcia. Paskudne istoty, z umiejętności niby podobne do burerów, ale o wiele mniej towarzyskie – w sensie nikt nigdy nie miał z nimi żadnych istotnych kontaktów. Trudno powiedzieć, czy poltergeista nie są w stanie zrozumieć człowieka, czy po prostu im się nie chce – dość, że zachowania mają dość prostackie, czyli zawsze atakują, i to najchętniej od tyłu, z zasadzki. Zauważyć takiego nie jest łatwo – potrafią się świetnie maskować, ale istota ich zdolności jest inna niż, na ten przykład, u juchociąga. Nie stają się całkowicie niewidzialne, poltergeista da się jeszcze zauważyć jako okrągły obłoczek mgiełki, przecinany przez malusieńkie błękitne wyładowania elektryczne. Przy świetle dziennym są prawie niezauważalne, ale teraz, w ciemnościach, jarzące się błękitem chmurki były dość wyraźne.

Poltergeisty też są telekinetykami, i to o klasę lepszymi od burerów. Przeciętny burer potrafi dość mocno piźgnąć przedmiotem wagi... no, dobrych paru kilo, a i to niezbyt daleko. Za to poltergeist... Uuuu, ten bydlak od niechcenia rzuca sobie żelaznymi beczkami, skrzyniami z zawartością i kołami od ciężarówek, a zdarza się, że wredota potrafi jeszcze dokładnie wycełować i wyczełać, trzy mając taki pocisk w powietrzu. Zdarzyło mi się kiedyś trafić pod ostrzał poltergeista i przyznaję się, że nie podjąłem nawet walki, tylko od razu dałem w długą. Raz oberwałem kanistrem po nerkach i od razu odechciało się mi wyjaśniać, kto tu jest drapieżnikiem alfa.

A teraz trzy poltergeisty napadły na wioskę burerów, chichocząc, wyjąc i ciskając sporymi kamulcami; autochtoni twardo dawali im odpór, rzucając w agresorów otoczkami i garściami żwiru, próbując nawet działać zespołowo, zbierając po tuzin, dwa takich pocisków, żeby pewniej trafić salwą. Poltergeisty skakały po ruinach, wiły się w powietrzu, czasami odplacając burerom pięknym za nadobne, gdy zdążyły przechwycić lecący pocisk

– Coś mi się widzi, że nadejszła wiekopomna chwila – stwierdziłem. – Przeciwnik zdekoncentrowany.

– Harazd – zgodził się Kostik – *Uteczemo zaraz.*

– Ale... – próbował zacząć van de Meer.

Rozumiałem go doskonale – potyczka dwóch telekinetycznych mafii musiała być obłędnie ciekawa dla prawdziwego naukowca! Ale jakoś naszła mnie ochota, żeby wreszcie się stąd w cholerę wy dostać. Może i na naszym balkoniku burerów nie musieliśmy się obawiać, ale poltergeisty mogły by z łatwością odkryć kryjówkę pod sklepieniem.

– Żadnych ale! – uciałem. – Panie van de Meer, nie mamy na to czasu. Proszę zbierać aparaturę i dajemy stąd dyla na cito.

– Co? He...?

– *Nu, utykaty treba* – warknął Kostik, zawiązując plecak – *I szwydeńka!*

W dole wciąż rozlegały się wrzaski, bitwa trwała w najlepsze, więc miałem nadzieję, że burery nie będą się rozglądać. Szybciutko zgarnęliśmy swoje manele, ja jako pierwszy zacząłem schodzić po rumowisku. Po prawej nasz korytarz ograniczała ściana nośna, wystarczająco szeroka, żeby po zębatym pęknięciu schodzić niczym po schodach – tyle tylko, że stopnie nierówne. Z początku faktycznie szło dość sprawnie, potem trzeba było skakać – niezbyt wysoko, coś ponad metr. Kostik szybko zrównał się ze mną, na samym końcu zaczął złaźić Dietrich, ale nie czekając już na niego, zjechałem po osypisku na kolejne piętro. Na szczęście ściana runęła tak że pękając, utworzyła stosunkowo łagodne stoki, po prostu od czasu do czasu trzeba było przechodzić na nowe

zjazdy, a ja i tak trawersesem przemieszczałem się ciągle w prawo, żeby nie wleźć w samo serce mutanciego miasteczka, a prześlizgnąć się jego obrzeżami.

Tymczasem dwa poltergeisty zapały dość dużego burera, chyba samice, i podniosły za nogi w powietrze. Fu, zdecydowanie samice. Błe. Burerzyca, bujając się głową w dół półtora metra nad betonem, zaczęła wrzeszczeć wściekle, rzucać się i wykręcać, próbując wyciągnąć z hałdy pod sobą kamulca i pierdyknąć trzymającego ją napastnika – tym bardziej, że daleko rzucać nie musiała. Miałem czas na to wszystko popatrzeć, bo jako pierwszy dotarłem na niższy poziom, więc, przyczaiwszy się za niewysokim kawałkiem betonowej ścianki, mogłem w pełni nasycić oczy zaiste homerycką batalią.

Porwanie szacownej damy wywołało kolejną falę świętego gniewu wśród obrońców tej podziemnej Troi. Burerzy wyskoczyły zza ścian i z nor, w których do tej pory próbowały chować się przed ostrzałem, i wyjąc dziko, wszczęły autentyczny ostrzał artylerii przeciwlotniczej. Widziałem stąd wodza w kombinezonie – wlaź na szczyt góry betonu i skrzeczał najgłośniej, machając kościaną laską niczym dyrygent batutą. Najróżniejszej wielkości kawałki betonu wiły się nad nim, zwijając się w spirale i lecąc ku chichoczącym w górze poltergeistom. Te jakoś zwolniły, możliwe, że przekładzała im porwana branka... Swoją drogą, tak mi się zdaje, że zniewolonej burerzy cy dostawało się jeszcze bardziej niż samym porywaczom, niemalą część kamieni trafiała prosto w nią, a z każdym trafieniem samica wrzeszczała głośniej i bardziej przenikliwie.

Miałem wrażenie, że dla poltergeistów cała ta sytuacja była wcale nie polowaniem, a po prostu rozrywką. Kto je tam wie, mutanty? O poltergeistach w ogóle nikt nic nie wie. No bo jak niby latają, co? Dlaczego widać je tylko w postaci kłębków mgły i błyskawic? W tym temacie stalker-skich opowiestek są całe dziesiątki, a jedna od drugiej bardziej niewiarygodna.

Problem w tym, że poltergeisty są, nawet jak na standardy Zony, tajemnicze i niebezpieczne. Komu by się tam chciało je ot, tak sobie obserwować... Ja osobiście pierwszy raz w życiu widziałem je, że tak powiem, jako osoba trzecia, a i to tylko dzięki temu, że zajęły się burerami. W sumie to nie żałowałem, że znajomość będzie li tylko przelotna, jako że i od tych, i od innych mutantów miałem zamiar trzymać się jak najdalej.

Pokonawszy wreszcie osypisko, stoczyliśmy się w zakątku na samych już przedmieściach burerowego miasteczka. Poltergeisty wypuściły w końcu burerzycę, która zdążyła jakoś obrócić się w locie i nie pierdyknąć o beton głową – ale i tak zdrowo walnęła. Chrupnęła kości, mutantka zawały przeraźliwie, odpowiedział jej chór oburzonych głosów, burerzy zasypały wroga gradem kamieni, ale i poltergeisty, uwolnione od ciężaru, rzuciły się na tubylców ze zdwojoną siłą.

A my tymczasem ostrożniutko przekradaliśmy się od ruin ku ścianom gigantycznej groty. Jak na złość potyczka przeniosła się w pobliże wyjścia, więc musieliśmy odstępować coraz to dalej, aby unikać jej uczestników. Kostik szarpnął mnie za rękaw, pokazał ręką na szeroki tunel w ścianie, na którego końcu widać było blade światło. Czyżby boczne wyjście?... No i znowu – który to już raz! – nie było innej opcji, więc pospiesznie skryliśmy się w tunelu. Potknąłem się kilka razy, zanim załapałem, że biegniemy po podkładach kolejowych – dnem tunelu szły szyny wąskotorówki. Gdy udało się już dostosować kroki do rozstawu podkładów, ruszyliśmy szybciej; Kostik co prawda wyprzedzał mnie, ja zerkałem na detektor anomalii, ale aparat milczał, więc nie było sensu Tarasa hamować. Van de Meer sapał z tyłu; naukowiec chyba w końcu nie powylał przy rządów, co chociaż raz zadziałało na naszą korzyść, jako że Dietrich pierwszy z odczytów swojej aparatury zorientował się, że...

– Stać! – ledwo wycharczał ryży. – *Halt!* Tam...! Z przodu...! Ktoś jest...!

Zahamowaliśmy ostro. Z groty wciąż donosiły się hałasy bitwy, ale i z przodu jak gdyby się coś działo. Tunel wchodził w płynny, szeroki zakręt, więc widzieliśmy jakies pięćdziesiąt metrów biegu torów, jako że gdzieś tam było źródło światła, i to chyba właśnie światła księżycowego. Oj,

jak serce mocniej uderzyło... Przez całą tę mordęgę w podziemiach odczuwają jakby się stępiły – no przecież powiniennem być się bardziej bać, kiedy zobaczyłem miasto burerów albo kiedy pojawiły się poltergeisty. Powiniennem być trząść portkami, gdy zląziliśmy po betonowym rumowisku, przekradaliśmy się przez zrujnowany bunkier, a dwa kroki dalej rozgrywały się walki telekinetycznych gladiatorów! Ale nie, patrzcie, wtedy jakoś byłem spokojny, a teraz – teraz zaczęło mnie rozbierać. Aj-waj, chciałoby się na świeże powietrze...

Ruszyliśmy naprzód powolutku, mały mi kroczkami, słuchając i wypatrując oczy w półmroku. Zza zakrętu pojawił się wagonik – ot, taka platforma na kółkach z resztkami zmasakrowanej kabiny od naszej strony. Lokomotywa czy co? Chyba raczej elektrowóz. Z drugiej strony, takie chuchro elektrowozem nazywać to chyba zbyt grzeszczy. Drezy na i tyle.

Teraz dość wyraźnie słyszałem szuranie i niegłośny klangor dobiegające z za elektrowózka. W tunelu było ciemnowo, widziałem tylko kontury na tle bladego światła, lejącego się nam na spotkanie z za zakrętu. Światło ciągnęło, wzywało, niczym magnes, ale ostrożność zabraniała pośpiechu.

Wymieniliśmy spojrzenia. Kostik prawie bezgłośnie szepem nakazał:

– *Tycheńka wpered.*

Chowając się za kawałkami betonu i garbiąc, podkradliśmy się bliżej, idąc dosłownie krok za krokiem, żeby nie szurać tłuczniami podsypki. Metalowy bok elektrowoza był chłodny i szorstki od luszczącej się rdzy. Wyjrzałem ostrożnie. Tu było sporo jaśniej – znaczy się wyjście tuż, tuż! A przed nami stała parka niedużych burerków, pewnie chłopcy i dziewczynka, takie podrostki. No patrzcie, całe plemię walecznie nadstawia tustego brzucha, a tych dwoje wymknęło się i zajętych jest sobą. Jednak młodzież wszędzie jest taka sama. Mutanty bawiły się po swojemu – po kolei podnosząc się nad ziemią, jak gdyby bujając na huśtawce. Utalentowane gnojki, swoją drogą – o ile mogą wnosić, nie każdy burer by tak umiał! O – popłynął w górę chłopczyk, chrumknął radośnie i miękko osiadł na ziemi, potem ostrożniutko podniósł dziewczynkę, która zachichotała zupełnie po ludzku.

Zobaczyłem, że Kostik podnosi kałacha, składa się do strzału... i opuszcza broń. W zimnym, błękitnym świetle zauważyłem, jak czoło Terminatora przecina zmarszczką namysłu.

– *Ta nii, ne možu ja – westchnął Kostik – Nii...*

Doskonałe go rozumiałem. No i co zrobisz, przecież wiem, że burer to wróg stalkera, że stworzy nie tylko zabić, ale i żywcem człowieka zeżreć mogą... Ale to było dwoje dzieci. Jak się nie obrócisz, zawsze z tyłu dupa – dwoje szczęśliwych dzieci.

Popatrzyłem na van de Meera – o, to jest człowiek z innego świata, ten się nie marszczył, za broń nie chwycił, a tylko pochylił się nad swoim debilnym agregatem; dla niego pewnie nasz brak zdecydowania był jak prezent pod choinką. A ja nie wiedziałem, co robić. No bo i co niby? Do wyjścia niedaleko, ale co dalej, co na powierzchni? A jeśli żadnego wyjścia nie ma? Wtedy nie ma co zdradzać się z naszą obecnością; a przecież gówniarzeria podniesie rwetes, jak im się pokażemy.

Moje rozmyślenia taktyczno-etyczne przerwał narastający hałas donoszący się z tyłu. Nawet nie zdążyłem zrozumieć, co się dzieje, odwróciłem się tylko: z tunelu wyskoczył z hukiem i szatańskim chichotem rozblyskujący błękitem obłok mgły. Poltergeist musiał być potężnie wkurzony, łapał wszystko, obok czego przelatował, ciskając na boki, tylko echo szło od uderzeń kamieni o szyny i ściany tunelu. Przyczyna jego wściekłości również stała się wkrótce jasna – tupot stóp, chrupkanie i poirywane wyčia burerów zbliżały się z ciemności, widać mutantka orda ściagała uciekającego wroga.

Wyszarpnąłem z za pleców empepiatkę, zapomniawszy w ogóle, że mam puściutki magazynek... Mutant zamarł dokładnie przede mną, iskiérki i błyskawice zabiegały szybciej. Grubo póź-



niej, gdy wspominałem tę chwilę, doszedłem do wniosku, że poltergeist musiał mieć już styczność z bronią palną i że bardzo musiało mu się to nie spodobać – pewnie dlatego zadziałał tak agresywnie. Poczułem, jak broń szarpie mi się w rękach, pas wbił się boleśnie w ramię, poltergeist targnął hecklerem tak potężnie, że poderwał mnie w powietrze, nogi zatańczyły nad ziemią, bujnęło mnie w bok, rąbnąłem i zaczepiłem się o pordzewiały bok drezyny, potem pas pękł, a ja z bólu aż rozwarłem palce – cholerny mutas zabrał mi broń! Przegniła ścianka paki ładunkowej pękła, zsunąłem się bezwładnie, rąbnąłem głową o coś twardego... i chyba na chwilę urwał mi się film.

Gdy odzyskałem świadomość, to zobaczyłem, że leżę na dreźnie, którą pchają sapiący Kostik i van de Meer, coraz szybciej i szybciej, potem wskazują do mnie, mignęły mi przerażone ryjki małych burerów, które odskoczyły na bok, gdy przeleciał obok nich nasz pordzewiały pociąg pancerny. Za nami wyły i hałasowały wszystkie legiony piekieł – to poltergeist wydał walkę przesładowcom, którzy nie byli w stanie w wąskim korytarzu wykorzystać przewagi liczebnej. A nasz mały składzik nabierał prędkości, turkotając ku srebrzywej poświacie, spadek był coraz bardziej odczuwalny, kółka turkotały coraz szybciej... Kostik podniósł się, huknęła seria z kałasznikowa, tnąca ciemność za nami – najwyraźniej ktoś nas ścigał.

Wyjechaliśmy zza zakrętu, przed nami otwarło się granatowofioletowe (zapewne) niebo, upstrzone zaskakująco jasnymi gwiazdami, mignął księżyc w pełni, zacząłem wstawać, oparłem się na łokciu – a potem nagle turkotanie kół urwało się, ściany i sklepienie znikły, ścichł hałas pola walki, drezyna zaczęła spadać przodem w dół... dokoła zahuczało, załomotało... i znowu pochłonęła mnie ciemność nieświadomości.



Rzeczywistość wracała do mnie stopniowo. Najpierw usłyszałem brzęczyk PDA, który radośnie obwieszczał światu, że znalazł się i czeka na mnie korespondencja. Zaraz po uszach wróciły do mnie nogi, a konkretnie lewa – poczułem, że boli mnie przerażająco. Jakby roztopionego ołowiu mi ktoś w kości nalał, normalnie aż się flaki skręcały... Potem na tle tego potwornego bólu wpływnęły pomniejsze, już zaledwie straszne – coś się wbijało w plecy, piętki podrapane ramiona, rwało ramię, za które szarpnął pas nośny utraconej empepiątki. Witaj, okrutny świecie, łez i cierpienia padole...

Nadal nic nie widziałem, za to słyszałem coraz lepiej.

– ...ve dvóch navet, ale jakoś przecież go trzeba vyciągnąć! – dobitnie odezwał się gdzieś niedaleko van de Meer.

– *Ja sam sprabuju... ot zaraza, jak liwoju nezruczna. Zaraz ja sprabuju, a vy jaho tiahnuty, jak wono pijde u horu. Nu, vy hatowy? Nu!*

– Zahaz, zahaz... jeśli pociągnę za wcześnie, to potvohnie go to zaboli...

– I tak mnie już boli! – wychrypiałem. – Więc nie krępujcie się, dobijcie mnie, gorzej już nie będzie...

– *Slipyj, ty jak? Żywyj?*

– Aha... A co tak ciemno tutaj? Myślałem, że już na zewnątrz jesteście.

Zamilkli obydwaj. Czekałem.

– Jest... helatywnie jasno – powiedział van de Meer ostrożnie. – Nie widzi pan nic? Zupełnie nic?

– Ni cholery, tylko noga boli jak sto diabłów. Co się stało? Gdzie jesteśmy?

I tu wzrok zaczął mi powoli wracać. Nie wiem, czy to był szok pourazowy, czy co...? Miałem już kiedyś coś takiego, jak na budowie robiłem – cegła mi się po rękę ześliznęła, zupełnie leciutko, nawet i siniaka nie było, ale chyba nerw jakiś zaczepiło, bo oślepiłem na parę minut. Kurde, jaka paniaka była... Nie wiem, czy to normalne, czy mi się taki trafiał organizm felerny.

Zacząłem rozróżniać przedmioty – najpierw tylko kontury, potem zrobiło się bardziej trójwymiarowo, pojawiły się światłocienie, odbłaski... Noc powoli się już kończyła, do brzasku zostało, no oko, nie więcej jak godzina, świat przyjął szarawe odcienie przedświt. Większą część pejzażu zajmowały przerażone twarze Tarasa i van de Meera.

Leżałem pod wzgórzem, u samych stóp stoku, wisiały nade mną krzywe pnie drzew. Jeśli za drzew głowę, to widać było potrzaskane kawały betonu i skręcone szyny – wyłot tunelu, z którego tu wypadliśmy. A to, co w plecy się wbiła, to mój własny plecak, coś z dobytku musiało się przekręcić i kłuło ostrym końcem między łopatkami.

– O, dobra, już lepiej. Już widzę...

Potem spróbowałem wstać – i tu do mnie dotarło: to, co do tej pory zdawało mi się nieznośnym bólem, to była zwykła beetka. Dopiero teraz, kiedy podciągnąłem łokcie i spróbowałem usiąść, o, dopiero teraz noga odezwała się naprawdę... Ale zdążyłem zauważyć: nieco dalej od stoku wzgórze spoczęła pokrzywioną hałdą metalu drezyna, a moja noga kończyła się pod przedrzwiałą burtą. Aj-waj, lepiej było, jaktego nie widziałem... Kiedy atak bólu minął i znowu mogłem odetchnąć, od razu oświadczyłem:

– Zdarzyło się kiedyś, że na stalkera Pietrowa spadł elektrowóz...

Van de Meer skrzywił się, a Kostik bardzo delikatnie pogadził mnie po ramieniu. No czego jak czego, ale tego to się nie spodziewałem.

– *Ty szutkuj, Slipyj, szutkuj. Tabi, mabuć, liehsze, jak ty swaji durnycy werzesz.*

– ...dobrze, że na głowę, powiedział Pietrow. Obejdzie się bez strat.

– *Nu, otże.* – Kostik popatrzył na van de Meera. – *Zaraz ja sprabuju pidniaty tu zalizjaku, a wy*

*jaho tiahnić.*

A mnie się nikt nie zapyta?

– Ale ja przecież...

– *Ty lieżatymiesz, Slipyj. Cilki lieżatymiesz. Ce ne ważka, u tebe wyjde, ne turbujsa. Lieżaty nawić takij durnyk, jak ty, zmoże.*

– Przynajmniej mi przeciwbólowy dajcie, mutanty jedne, eskulapy rąbane! – Już nie wytrzymałem. Myślą o pierdołach, a nad moim nieszczęściem się nikt nie pochyli.

– Tak, tak Oczywiście... – zakrzętała się Dietrich. – Już... ale przecież straciłem wszystkie medykamenty, ten zbroj zabrał moją apteczkę razem z plecakami.

– Z mojego plecaka pan weź, leżę na nim. Mam nadzieję, że nie wszystko się porozbijało...

Dietrich zasunął mi chyba końską dawkę, bo przeciwbólowy od razu poszedł do głowy – świat popłynął, złapałem się rękoma za szorstkie liście burzanu, żeby wiatr mnie nie porwał... Jakis czas odbierałem rzeczy w sposób nie do końca adekwatny, więc nie mogę zaręczyć, że wydarzenia rozegrały się właśnie tak, jak je postrzegałem. Van de Meer złapał mnie w pól, przygotował się, Kostik stanął nad moją nieszczęsną nogą, przyciśniętą przez burtę elektrowozu. Złapał lewą ręką za blachę od dołu, zaczerpnął tchu... ugiął nogi, napiął mięśnie... Twarz Kostika nalała się purpurą, potem wpadła w odcień fioletu... No dobra, przesadzam trochę, nic takiego nie mogłem przecież widzieć. Ale morda Tarasowi poczerwieniała, to na pewno.

Zacisnąłem powieki... Potem rozległ się przeraźliwy zgrzyt, Dietrich szarpnęła mnie, poczułem, że jestem ciągnięty w tył, zacząłem odpychać się łokciami, pomagając, na ile tylko mogę, uczonemu... Przecież nie da się podnieść elektrowozu, który z takiej wysokości wbił się w grunt! Ile może ważyć taki złom? Pół tony? Więcej? Przecież nie mógł Kostik tylko lewą ręką...!

Zgiął. Dopiero potem do mnie dotarło, że Kostik nie podnosił całej maszyny, a tylko zgiął, rozzerwał przedzewiałą na wylot blaszaną burtę. Taras sapnęła, upadł na kolana, jego twarz powoli wracała do normalnego odcienia.

Potem obydwaj z Dietrichem nachylił się nad moją nogą.

– Złamana – zawyrokował van de Meer. – Złamanie zamknięte, ale wygląda dość... e... paskudnie. Spróbuję wykonać łubki... Panie Ślepy, jak się pan czuje?

– Od dziś proszę mi mówić Kulawy.

– *Ta szo jamu zrabycца? Jakszco szutkuje, to pariadak. Rabyć łubak, doktor.*

Przeciwbólowy w końcu hulnął po całosci – zupełnie przestałem czuć nogę. Wreszcie mogłem odetchnąć głębiej i bardzo szybko uświadomiłem sobie, że mam – zasadniczo – przerąbane. Dietrich zdążył już rozciąć mi spodnie, ale nawet nie czułem dotyku nożyczek na skórze mojej biednej, zupełnie zdrtwiałej kończyny. Naszała mnie ochota na dogadywanie, żeby komuś przysrać personalnie, żeby nie tylko mnie było paskudnie. Kostik gdzieś się odsunął, w zasięgu rażenia został tylko Dietrich.

– Panie van de Meer, po kiego wuja pan kłamałeś o nosorożcu?

Naukowiec oderwał się od czarów nad moją nogą, spojrzęła na mnie zdziwiony.

– O czym pan mówi? Jakim nosorożcu?

– A swój pierwszy dzionek w Zonie pamięta on? Jak jaśnie pan kabanu ustrzełił i zaczął mi kłwcać o ampułkach ze środkami paralizującym, co się nim niby nosorożca usypiało, i takie tam?

– Taak, pamiętam...

– No i tak mi się zauważyło, że jaśnie pan kabanowi w skroń strzelał, a tam kość jest najcieńsza. Zaczyna robota, ale tak się z ostrej amunicji strzela, a nie nasennym. Ampułka nie musi kości przebijać... No, i co pan powie na swoje usprawiedliwienie, panie kłamco?

– Cóż, widzi pan... – Dietrich odwrócił się i zajął łubkami, ale mojego spojrzenia starannie unikał. – Zarówno pan, jak i pańscy krajanie niezmiernie naiwnie oceniacie ludzi z Unii. Wydaje

wam się, że jesteście wszyscy, co do jednego, praworządny mi idiotami... a ja nie chciałem odbierać panu złudzeń.

– A nosorożców ile pan zamordował, co?

Van de Meer westchnął ciężko.

– Cóż... dwa. Rozumie pan sam, są sytuacje, gdy zwierzęcia zatrzymać się nie da. I wtedy trzeba czynić odstępstwa od zasad.

Gdzieś niedaleko jakby siekierą ktoś uderzył w drzewo – raz, drugi, potem kolejny, i jeszcze.

– Raz stalker Pietrow od zasad odstąpił i uczynym na Jantarze chabar sprzedał. Potem się pół roku przed swoim handlarzem ukrywał... Panie van de Meer, po kiego czorta ja się z panem zadalem? Przecież pan jesteś nieczuły opravca gatunków zagrożonych! Przez pana zostaną kaleką, cyniczny człowieku z Unii Europejskiej...

Dietrich chrząknął niezbyt głośno. Nie mam pojęcia, co chciał w ten sposób przekazać.

Wrócił do nas Kostik, który przywłókł ze sobą kawał rozwidlonego konara – chyba całe drzewo zrąbał... Ale jak? Aha, no tak saperką. I to lewą ręką, cholera... Ciekawe, czy paznokcie też potrafi nią obcinać.

Taras kłapnął na ziemię obok nas, przytrzymał konar nogami i wyciągnął rękę.

– *Wandemejer, dasyć meni noż Slipoha, trochi pidrylniaty treba.*

– A ja teraz kurde, nie Ślepy, a Kulawy jestem, zapamiętaj! I w ogóle to mnie trzeba było prosić, swój własny nóż jeszcze ci podać mogę.

Podaliśmy Kostikowi narzędzie, ten zasapał, zaczął strugać nierówno urąbane końce gałęzi. Potem van de Meer oświadczył:

– No cóż, to, co się dało zrobić w warunkach polowych, to zrobiłem. Panie Ślepy, niech pan spróbuje tej nogi nie nadwerężać i nie opierać się na niej.

– *A wot tobi kastylyka* – podał mi gałąź Taras. – *Jakszczo ty ciłki nohu ji haławu udarył, to samastijna jity spramożnyj.*

– Że ja? Głowę?

– *Nu, ty że kazał:* Stalkerowi Pietrowowi na głowę spadł elektrowóz... – przedrzeźniający mnie Taras mówił idealnie wyraźnie i bez śladu akcentu.

– A wyście po co w ogóle na tę dreżynę się pchali?

– Jak to dłaczego, panie Ślepy? Przecież to pan tam jako pierwszy wskoczy! Uznałem, że to świetny pomysł na ucieczkę przed mutantami. A tory akurat szły z górki...

– Hm, hm... Nie tyle wskoczyłem, co mnie poltergeist wrzucił.

O, Fortuno, iskro bogów, kwiecie Pogranicza pół! Zali obrażać się mam na ciebie czy też odśpiewać pochwalny pean? Przecież nie chciałem skakać na tę dreżynę, która podwiozłszy mnie kawałek, przejechała mi beczelnie po nogach! Z jednej strony, uszliśmy z pieczary mutantów z grubsza cali i zdrowi; z drugiej – po katastrofie kolejowej okulałem, a chłopcy, chociaż ostro ich potrzebowało, wykręcili się sianem... Oj, chyba jednak wybiorę pean; z bogami lepiej się nie wadzić. Cześć i chwała ci, o Fortuno, ale postaraj się więcej tak nie robić.

No dobra... Wstałem jakoś, opierając się na wystruganej przez Kostika kuli – nawet się udało.

– No to super, stać mogę. Jednak wątpię, czy dam radę stać na tyle długo, żebyście zdążyli wrócić z pomocą.

– *Ne każy durnyc. My bez tebe ne wyberemoś z cijeji Zony, tak szczo pijdesz z namy.*

– Egoiści... Dobrze zatem, pójdę, niech będzie. Niech będzie!

I poszliśmy. Kostik nadstawił ramię – prawie, bo na lewym wisiał mu kałasz. Terminator powiedział:

– *Ne sylna tysny, bo ruka balyć.*

– Ty no, to może i tobie przeciwbólowy damy?

– Nii, ja dywyś, niebahata u nas likil zalazyśoś. – To fakt, lekarstwa w większości niósł van de Meer, a jego plecak podpierzelił Pustowar, ślepy pies go jechał. – *Tak szczo ja pratrzymajuś, ty paberęzy abiezbaljuczny dlia sebe. Ja paki szczo tak možu.*

No normalnie Terminator, człowiek z żelaza. Oj, damy w palnik za Fortunę, naprujemy się jak dwa stare worki. Dwa stare burerskie worki, a co.

Przemieszczałem się niespecjalnie dynamicznie, bo wszyscy byliśmy wypompowani i spać się chciało. Van de Meer znów zaniósł się kaszlem. W jego aparaturze skończyły się baterie, a przecież Dietrich bez roboty to jak narkoman bez codziennej działki. Tak jak myślałem, przymus pracy... nie, jeszcze raz – nie przymus, a możliwość pracy trzymała go w pionie, nie dając mu skisnąć. Ryzy jak gdyby sam siebie przekonywał, że póki ma co robić, to jakoś trzeba znosić niewygodę i trudy życia – a co najlepsze, skutecznie przekonywał! A teraz wyglądał nasz rudzielec jak okłapnięty balon – włócił się chwiejnie noga za nogą, co chwila kaszłąc. Ba, mało tego – sam widziałem, jak na trawę spluwał! Nie w chusteczkę, jak przy stoi dobrze wychowanemu Europejczykowi, a prosto na ziemię charchał – na naszą ziemię-mateczkę pluł, na przyrodę naszą słowiańską w jej poźółkłej, zakurzonej szacie. Tak sobie pomyślałem, że trzeba by mu nowy czepek dopingujący wsadzić.

– Panie van de Meer! – zawołałem trwożnym głosem. – Pan się źle czuje? Może trzeba zrobić postój? Odpocznie pan, prześpi się? Do diabła tam z Pustowarem, a niech ucieka!

Dietricha jakby ktoś batem chlasnął. Ot, podziąkało.

– Rzeczywiście, Pustovah! – Ryzy przestał kasłać, wyprostował się. – Ciekawe, gdzie może być teħaz ta szumovina?

– *Ji kudy my jidemo?* – wtrącił Kostik

– Do najbliższego posterunku. A nuż i Pustowar tam właśnie poszedł.

Jak tylko Dietrich zorientował się, że zapasowy akumulator też długo nie pociągnie, od razu przełączył swój komputer w „tryb śpiący” – serio, sam tak to nazwał. Teraz na pełnych obrotach działał już tylko mój PDA, więc odruchowo rzucałem okiem na monitor.

– Zbliżają się jakieś sygnały! Cztery osoby!

– Doskonale się składa, poprosimy o pomoc.

– Powoli, panie van de Meer, powoli... Tutaj jest Zona, tu się nie ma co spieszyć.

Szliśmy powoli rzadkim laskiem; mimo że do punktu spotkania zostało raptem paręset metrów, póki co zza drzew nie było nikogo widać. Puknąłem Kostika w ramię, zatrzymaliśmy się. Oj, nie podobało mi się, w jaki sposób przemieszczały się punkciki niezajomych stalkerów na monitoru mojego PDA. Poruszali się krótkimi przebieżkami, a jednocześnie rozciągali półksiężycem. Bandyci, bandyci, jak nic. Widzą na swoich PDA tylko jeden, mój sygnał, więc we czwórkę jednego przy padkowego frajera się nie boją, a taki samotny stalker to przecież idealna zdobycz.

Taras w mig zrozumiał, o co chodzi, pomógł dokużykać pod dorodny kłon, gdzie oparłem się ramieniem o szorstką korę i wyciągnąłem pistolet. Kostik zapadł w krzakach nieopodal, van de Meer znalazł sobie pozycję w pobliżu, tyle tylko, że trafił mu się cieńszy kłon – w tym młodniaczkę mało które drzewko mogłoby służyć za pełnoprawną osłonę w boju strzeleckim.

– Van de Meer, pan siądzie tam, gdzie Kostik – poleciłem. – Za bardzo pana widać w tym pomarańczowym wdżianku. I niech pan się ode mnie dalej trzyma, tylko mój PDA widać na radarze.

W Zonie wszystko jest szare, daltoniście to pasuje, ale uczeni w zabawie w zwanego są bez szans, ich pomarańczowe super-duper-ochronne kombinezony są idealnie widoczne na szarym tle. Dietrich posłusznie odsunął się dalej. Czekaliśmy. Gdy obcy podeszli bliżej, nabrałem pewności: nie wydawało mi się, faktycznie poruszali się krótkimi przebieżkami, od jednej do drugiej osłony. Potem widoczne stały się czarne kurtki, migające za krzakami – na razie jeszcze dość da-

leko. Czarna kurtka i dresiki lilaróż – obowiązkowy mundur szabrownika. Ciężko mi nawet zgadywać, czemu ubierają się szablono, ale takich ludzi w ogóle słabo rozumiem. Może to jakiś rytuał, że starają się podtrzymać dresiarSKI imidż. Swoją drogą, nasz Gosza Kary też często paradyje w czarnej kurtkałce i ortalionowych szelestach, i nawet Kostik ma przecież skórę pod porwanym płaszczem.

Nie mówiłem nic towarzyszom, ale Kostik lepiej ode mnie rozumiał, na kogo trafiliłmy.

– *Chłopci – rzucił półgłosem – a nu zaczekajcie tutaj. Ja szwydeńko.*

I wstał, ewidentnie chcąc porzucić szykbojowy.

– Zaraz, powoli. – Samego go przecież nie puszczę. – A anomalie? A twoja ręka? A...

Kostik podszedł do mnie.

– *Ty ciłkom prawy, Slipyj, szczoda zwyczajnaji sytuacji. Alie że zaraz inaksze nemożływa.*

Zrozumiałem, że ten bohaterski idiota zaraz rzuci się solo na całą bandę, więc skorzystałem z tego, że jest w zasięgu ręki – złapałem go za kurtkę.

– Nie puszczę...

Nawet nie zauważyłem ruchu ręki Kostika, poczułem tylko, jak powietrze wylatuje mi z płuc, potem przyszedł ból po uderzeniu w spłot słoneczny. Taras leciutkim kopnięciem wybił spode mnie samorobną kulę i przytrzymując delikatnie, ułożył mnie na ziemi. A ja nawet słowa wykrztusić nie mogłem, tylko jak ryba na desce do krojenia próbowałem złapać ustami powietrze.

– *Ty mene takoz łupyl – uśmiechnął się Kostik – Pasydz paki szczo.*

I zniknął w zaroślach. Van de Meer nie złapał, co się stało, tylko skoczył mi na pomoc. Podniósł, pomógł usiąść.

– Co się...?

– Kostik poszedł bandziorów bić. Samojeden.

– Ależ tak nie można...

– Mhm. Ma tylko pół magazynka...

Nie zdążyłem dokończyć – zza krzaków huknęły strzały. Basowy trzask śrutówek, suchy kaszel wystrzałów broni krótkiej, łomot serii z karabinu. Pośród tej kanonady słyszałem krótkie, dwu-, trzystrzałowe serie Kostika. Wymieniliśmy spojrzenia, podparłem się kosturem, wstałem. Van de Meer pomógł mi się podnieść, a potem skoczył pierwszy... ja skałem na jednej nodze, ile było sił, ale uczony migiem mnie odsadził i zostałem z tyłu.

Gdy przybyłem na miejsce poty czkła, było już po wszystkim. Jedyne, co mnie częściowo cieszyło, to to, że van de Meer też się spóźnił. Kostik siedział, oparty plecami o młodą brzoźkę, dymiący kałach leżał w trawie, na kolanach trzymał Taras czyjąś dwururkę. Nieopodal leżeli w małowniczych pozach, szeroko rozrzucając ręce i nogi, dwaj bandyci – jeden miał krwawą dziurę w klatce piersiowej, na drugim ran nie było widać – leżał twarzą w dół, ale za to w powiększającej się kałuży własnej krwi. Z początku wydało mi się, że Kostik nie żyje, serce mi podskoczyło i zamarło... ale Terminator otworzył oczy i oświadczył:

– *Utekly, suki jobany...*

Zauważyłem tu, że ma przestrzelony lewy rękaw płaszcza, a krwi nie widać, bo ścieka sobie pod kurtką i zalewa dłoń.

– O cholera, niech to Zona pochłonie. – Nachyliłem się nad Kostikiem, moja laska ostrzegawczo trzasnęła, więc pospiesznie przeniosłem ciężar ciała na zdrową nogę. – W drugą?...

– *Ahaa – jeszcze bardziej żałośnie zgodził się Kostik – neprucha. Teper da witrु samastijna ne pijesz, sam ne zmożu ji szarawary razstebnuty. Ot, bieda tak bieda!*

Van de Meer podskoczył ku rannemu, żeby opatrzyć postrzał, pomogłem założyć opatrunkę, a potem pokuśtykałem do trupów, żeby sprawdzić plecaki i kieszenie. Niewesołe zajęcie, ale jak mus, to mus. Pieniądzy nie miały nasze ścierwojady za dużo, pewnie sezon słaby... Śrutówka z kil-

koma nabojami, stary makarow, dwa magazynki, trochę zarcia w plecakach – ot, i cała wielka zdobycz. Jeżeli naturalnie nie liczyć gorzały, tej samej paskudnej siwuchy – trzy butelki! O wiele bardziej cieszyły mnie zapasy wody, jakie udało się skonfiskować sztywniakom. Obaj mieli pełne manierki, ponadto w plecaku znalazła się plastikowa butelka minerałki.

Jedną flaszkę od razu zarekwirował van de Meer w ramach środka odkażającego – skończyły mu się magiczne chusteczki, więc nasz łapiduch, zanim wziął się za Kostiką, dokładnie umył ręce pszeniczną – bał się zakazić Tarasa. Przy jego przypadłości człowiek cały czas o czymś takim pewnie myśli. Rany okazały się niezbyt groźne, kule przeszły na wylot, kości były całe, ale Kostik stracił sporo krwi i póki co nie mógł używać ręki. Oczywiście, kiedy założą mu normalny opatrunek, a nie taki połowy bandaż, to znowu da radę o własnych siłach rozpiąć rozporek – tutaj akurat Taras trochę dramaty zował... ale rzeczywiście, niefart straszny, obydwie ręce naraz!

Niby wypadało pochować zabitych, ale, Zoną a prawdą, już nie mieliśmy siły, a każdy w taki czy inny sposób upośledzony. A niech ich ziomale tu wracają i się o to martwią. My natomiast pospiesznie zrejterowaliśmy z polanki, bojąc się i powrotu bandosów, i drapieżników, które mógł zwaćć zapach krwi.

Uszedłszy parę kilometrów, zupełnie się już wypruliśmy z sił. W każdym razie za siebie mogę ręczyć – ja się wyprułem. Van de Meer sapał i robił bokami jak zgoniona kobyła, kasał jak pluton gruzlików... Kostik miał chyba serce dwusuwowe, ten mógłby i dalej iść, ale też nieźle się zmachał, przecież widać było, jak blednie i oblewa się potem. I tak, i siak starałem się ulżyć mu i nie być obciążeniem, próbowałem nie wisieć na nim, ale samemu też niełatwo było mi o kuli skakać. W końcu Kostik nie wytrzymał:

– *Slipyj, ty, jak padywycca, toneńkij, toszczyj, a jakszczo na szyju tysnesz, to jak toj słon! Nii, ty ne ubyray ruku, bo upadesz! Ty u nohu jidy, tady liehsze.*

– No, próbuję w nogę...

– *Ta baczu ja, szczo starajeszja. Može, tebe treba da doktora? Ja czuł takij doktor u Zoni je, szczo usjaku twar pryjimaje i likuje. Ne cilki stalkerit, a ji kabaniaru može wylikuwaty, czy biurera nawić, czy szcze jakuś swołatu. Može, tebe da taho doktora prynesty?*

– Kostik – przecież Błotny Doktor to legenda. Ja w to nie wierzę.

– *Tjuu... A chłopcy kazaly.*

– Co ci kazaly?

– *A paru raz zramauliał zi stalkeramy, jakich win wylikuwał. Kazuć, isnuje ta liehenda nasprawdzi.*

– To dlatego, że mocno w Doktora wierzyli i im ta wiara pomogła, a ja nie wierzę i mnie Doktor nie pomoże. Daj spokój, Kostik, do Błot stąd daleko, prędzej dojdziemy do posterunku... a stamtąd do szpitala.

– *Ty znajesz szczo, ty by pisnju jakuś zaspawał, szczo by u nohy jidy. Chocz troszki by poljehszało. No to zaspawałem:*

*Gdy stalkera głowa boli,  
Zombi kolka gniecie,  
Snork narzeka na korzonki,  
Burer jest na diecie –*

*Zuch doktor Ojboli,  
Morfinę wpierdoli,  
Każe popić wódką*

*I ci powie krótko:*

*„Będą chorych kasy  
Przyjdą dobre czasy,  
Realnej komuny...  
Nawet w głębi Zony!”*

Marna piosenka, to i słabo pomogła, więc zdecydowaliśmy się jednak urządzić postój. Wybraliśmy odpowiednią górkę, na której szczycie spoczęła kiedyś hałda betonowych profili, i tam się rozłożyliśmy... a raczej po prostu upadliśmy. Miejscówka, jak to zwykle bywa na zdeptanym przez stalkerów Pograniczu, była już dawno używana, nawet z miejscem na ognisko obłożonym kamieniami. Dokoła poniewierały się puszki po konserwach, niedopałki, porwane opakowania, gnijące resztki i temu podobne śmieci. Walilo jak na śmietniku, ale za to okolicę widać było jak na dłoni – ot, bezpieczeństwo. Od posterunku zostało jeszcze kilka kilometrów, nie tak znów dużo, ale byliśmy już ledwo żywi. Odsapniemy trochę, dalej ruszymy po południu... Przed zmrokiem jakoś dokużył kamyk do Kordonu.

Wystarczyło tylko posadzić tyłek na zdeptaną, burą trawę i oprzeć się plecami o nagrzaną od słońca powierzchnię betonowego ceownika, i nasza na mnie taka słabość, że nawet ręką ruszyć nie mogłem. Obok sapał i wiercił się Kostik, próbując ułożyć się bez pomocy rąk, dalej kaślał przejmująco van de Meer, obejmując chudymi rękami plecak z głowami mutasów... a ja próbowałem dociżyć się odrobiną lenistwa i słońcem grzejącym w twarz.

Ale długo się nie poleniłem. Złapałem tylko oddech, od razu zacząłem grzebać w PDA, trzeba było zobaczyć, co tam na skrzynkę przyszło. Tutaj ożywił się Kostik:

– Nu, szczo tam? Wid Hoszy je szczoś?

– Tja. – Przewinąłem stronę, były cztery nieprzeczytane maile – od Karego, od Lariski... taak, Kitajec... i zaproszenie do baru Sto Radów, coś się ostatnimi czasy ożywił. Emisja ich tak przypiliła czy co? Dzień w dzień wołają, normalnie żyć beze mnie nie mogą.

Van de Meer wystawił bładą twarz do słońca, mruknął w zamyśleniu:

– Jakoś tak dziwnie nawet... Dziwnie, na słońce popatrzeć, świeży m powietrzem odetchnąć...

Energicznie nabrał gęstego powietrza, pełnego suchego kurzu i śmierdzącego wszystkimi aromatami śmietnika. Uśmiechnął się, zmrużył oczy, podsumował:

– Dziwnie tak po tych wszystkich przygodach wrócić do normalnego świata, gdzie słońce świeci, gdzie działa poczta... gdzie...

– Gdzie kompost śmierdzi i na bandę sukinsynów nadzieć się można – podpowiedziałem uszkie.

Ale van de Meer nie słuchał, był zbyt szczęśliwy. Jego własne przemyślenia w zupełności mu wystarczały, interlokutorów nie potrzebował. Ot, naszło go, żeby sobie pogadać, zdarza się.

– Wiecie co, panowie, gdy tak błądziliśmy po tych ciemnych labiryntach, czasami zaczynało mi się wydawać, że świat zniknął, że przepadł bez śladu i nie ma już nic poza ciemnością, zatechły mi podziemia i cisza, ścisnącą skronie jak imadło.

O, pojechał doktorek po bandzie literackim językiem, ale skinąłem głową – uczucie było znajome, ja też za piwnicami nie przepadam. Potem zajrzałem do maila od Goszy. Kary, jak zwykle, byłę lakoniczny i zdecydowany: „Spoko, szukajcie wyjścia. Zrobię co trzeba. Rozgadacie o Pustowarze – obrażą się. Obcy niepotrzebni, sam sprawę załatwię”. Nietrudno sobie wyobrazić, jak manifestuje się obraza Karego. Weźmie na przykład i łeb urwie. Albo co innego.

– Jasna – kiwnął głową Kostik



No, jeszcze czego! Gosza sam sprawę załatwi, nie ma wątpliwości. Historię z kradzieżą w Wągwiedzie wyciszysz, a sam jeszcze łapę połóż na grubasie Pustowarze i jego łupach – żarty żartami, a chabar zacny! No, z drugiej strony, będzie miał z czego premię wypłacać...

Zrzuciłem Goszy nasze koordynaty i numer najbliższego posterunku, poprosiłem, żeby po nas ktoś z jakąś bryczką podjechał, bo do szpitala nam trzeba na cito.

Spam ze Stu Radów zwyczajowo już potraktowałem – oznacz jako przeczytane, usuń. List od Lariski zostawiłem sobie na koniec. Stodyczne na deser, najpierw praca. Kitajec pisał tak „Thx za ostrzeżenie, Ślepy. Obóz czysty, możecie wbijać :-)”. No, emotikonkę dodał, widać, że zadowolony z siebie – kolejna historyjka, którą umocnił swoją pozycję lidera na Wysypisku... No i niech. Lepszy już Kitajec niż jakaś chciwa i wyrachowana menda. A wiem, co mówię, bo to mało się trzeba nauzerać z chciwymi palantami, którzy nad taką czy inną fajną miejscówką nagle „ochronę” swoją rozciągają? Jednak Kitajec się tu wyróżnia na plus.

No i Lariska w końcu. Dziewczy na pisze, że rozumie, rozumie wszystko, że o moich delegacjach wie, że będzie codziennie pisać, słowo pionierskie. I jeszcze na kapsłoku dodaje: ciocia Wiera znowu sen miała. Że niby ja śmierć cudzą przy drodze znalazłem, a teraz w kieszeni nosię, i żeby ta cudza śmierć w moją się zmieniła.

Aj-waj, trochę strasznie się zrobiło. Hmm... A przecież ciocia Wiera o nodze ostrzegła, no wypisz, wymaluj! Proroczy sen, normalnie drabina Jakubowa, tylko że ja ze swojej spadłem i nogę zламаłem. Raz się stalkerowi Pietrowowi przyśniło, że cała sfora chłepokrwijów go napadła – wielkie, że bydlaki. Obudził się, poszedł dalej, a tam patrol wojenstalkerów. Proroczy sen! – powiedział Pietrow.

Czyli teraz ciocia Wiera będzie Larisce dyktować wszelką bzdurę, jaka jej się tylko przyśni, a Larik będzie to mi twardo w mailu wysyłać. Oj, wesoło się zapowiada...

Nijaknie mogłem wymyślić, jak by tu zgrabnie ułożyć odpowiedź. Co by tu napisać, żeby się kobitki nie denerwowały? I żeby ciocia każdej swojej schizy nie chciała prorocstwem ogłaszać; a ogłaszać będzie, no teraz to już mur-beton! Jak by tu Larisce napisać, żeby zgrabnie skłamać... W zadumie zamknąłem skrynkę pocztową, na monitorze wyświetliła się mapa okolicy – komputer domyślnie pokazuje mapę i skaner. Obok naszego obozu powolutku przemieszczał się sygnał PDA – ot, idzie sobie po Zonie jakiś samotnik Idzie, nie spieszy mu się – ciężko, mu pewnie, może plecak chabarem wypchany? Albo, kto tam wie, może jeden z bandziorów, co ich Taras pogonił? Umyślił sobie wrócić? Szuka nas, śladem idzie? Ale nie, bo tamtych to dwóch by było.

Powolutku, powolutku obcy sygnał przemieścił się ku środkowi ekranu. No, na razie jest dość daleko, ale my przecież na wzgórzu siedzimy, okolicę stąd widać... Wstałem, trzymając się rozgranego betonowego profilu, wyjrzałem za krawędź. Jasna sprawa, szczegółów nie widziałem, ale oczyjebny plecak na szarym tle wyróżniał się dość mocno. Kombinezon khaki, a na nim taki oczyjebny plecak... Co za połączenie... Teorie od razu zalały mi mózg i chlusnęły nosem i uszami – no pewnie! Pustowar zrzucił egzozkielet w jakimś tajemnym miejscu, przecież za Kordonem w takim nie będzie paradował, więc czasu stracił sporo...

Zrzucił czarną zbroję rycerza Powinności i teraz po Zonie na lajcziku idzie, plecaki na sobie wlecze... Ciężko ci, co, wuju jeden? Tak się zdenerwowałem, że ani słowa nie mogłem wykrzusić, tylko palcem pokazywałem i dyszałem ciężko. Van de Meer chyba się wyłączył, albo spał, albo błądził po labiryntach własnych myśli, za to Kostik zareagował od razu – poderwał się, patrząc na mnie pytająco.

– Pomarańczowy chyba... – w końcu wydusiłem z gardła suchego jak pieprz.

Kostikowi więcej nie było trzeba, dopadł do bloków betonu – i we dwóch patrzyliśmy, jak Pustowar powoli, krok za krokiem lezie ku Kordonowi.

– Jo-o-o... Oce pofartyło... łyszeńko, ta szczo że ja robytymu bez ruk?

– Dawaj, bierz mnie na barana! Van de Meer, powstań, powstań! Wszystkie ręce na pokład! Joh-ho!-ho! Stawiać foksztaksle! Ster lewo na burt! – Do wszystkich mutantów, co tam wrzeszczą piraci w takich sytuacjach? – Arrr! Do abordażu! Wypuścić Krakena i Kostika!

– *Stij!* – syknął Kostik – *Niechaj błyszcze pidijde...*

– Cholera, nie podejdzie! – Do stu beczek „wiedźmiego kisielu”, jak te szczury z Dużej Ziemi nic nie łapią. – Kostik, nie podejdzie on! On mój sygnał widzi, towaru pełno niesie, obwieszony jak choinka, więc nawet biec nie da rady, on od każdego sygnału uciekać będzie, naszą górkę też ominie. Panie van de Meer, bierz pan mój PDA, biegnij pan w tamtą stronę pięćdziesiąt metrów, tam komputer wyłączy i piorunem z powrotem do nas!

Manewr niezbyt wyszukany, no ale co tu jeszcze poznać? Dietrich wyrwał mi z ręki komputerek i potruchtał, tak jak kazałem. Kierunek dla niego wybrałem taki, żeby od Pustowara oddzielało ryżego nasze wzgórze. Van de Meer odbiegł kawałek, wyłączył zasilanie – niech se myśli Dima, co chce, a nas tu nie ma. Może i jemu do głowy przyjdzie się tu zatrzymać?

Niestety, na obozowanie Pustowar nie miał ochoty. Na pewno się zdążył zmęczyć, ale przecież nie aż tak, jak my. Co tam dla niego parę kilosów do posterunku? Godzinka... no, półtorej, biorąc pod uwagę obciążenie. A stawać kilka kroków od Kordonu Pustowar nie ma zamiaru, ale mój manewr zadziałał – Dima nie nadkładał drogi, a ruszył dalej na wprost. Ostrożnie wyglądałem spomiędzy betonów i trzymałem się tylko za serce – no! No! Dawaj! Jeszcze bliżej! No!

Gdy Pustowar skręcił u podnóża górkę, wrzasnąłem: „Bij zabij!” – poderwałem się, obok mnie podnieśli się van de Meer i Kostik – i daliśmy ognia z trzech łuf. Taras nie był w stanie utrzymać porządnie broni, więc strzelał, trzymając zabandażowaną rękę na profilach, każdy wystrzał musiał rezonować bólem, Terminator aż zacisnął zęby... A co najgorsze – nie trafiał. Nasz najlepszy strzelec! Mnie ze zdenerwowania ręce się trzęsły, peemem latał jak kot po tabletkach, nawet nie przy puszczałem, że tak cholernie trudno celuje się z górkę, a i odległość, prawdę mówiąc, nie za bardzo pistoletowa była...

Wywaliłem całą amunicję, mało nie rozpląkałem się ze złości – puďte! Kiedy otworzyliśmy ogień, Pustowar aż podskoczył, przykucnął, potem zorientował się, gdzie siedzą napastnicy, i wziął nogi za pas – tylko podeszwy mu migają, plecaki podskakiwały i biły go po ramionach... Tu zmienił magazynek van de Meer, podniósł broń, powoli opuścił na podtrzymującą lewą – jak na filmie. Bam! Bam! Bam! Pustowarem rzuciło, upadł na bok Bam! Bam! Przerwa. Bam! Dima spróbował wstać, nie dał rady. Widziałem, jak tłusta świnia raz jeszcze stara się poderwać, znów opada na ziemię.

– *Za nym!* – ryknął Taras.

– Pomóż! No weź, pomóż...

Złapałem załadowaną dwururkę, lewą ręką objąłem Kostika za ramię, potruchaliśmy w dół zbocza. Van de Meer, kaszłąc i charchając w biegu, popędził za nami. Pustowar znów podniósł się, pokuszył kał, byle dalej... Nie był w stanie nas odsadzić, ale i my jego dogonić – też nie.

– *Use... Bilsze ne možu...* – zasapał Taras. – *Byj zwidsy.*

Stał przedem mną, położyłem mu łufę dwururki na ramieniu, wstrzymałem dech... Jebś! Pustowar podskoczył, kiedy ładunek drobnego śrutu chlasnął go po nogach. Jebś! Wystrzał zagłuszył nawet przekleństwa Kostika. I tym razem puďte! Dima po raz kolejny dał radę się podnieść, co prawda pomarańczowy plecak zrzucił. Zacząłem przeładowywać strzelbę, van de Meer przebiegł obok nas, Kostik złapał mnie w pół, powlókł za sobą – w pogoń! Na bandażach pojawiła się krew, opatrunki zaczęły przeciekać... Dietrich dopadł do plecaka, rzucił się na niego i nie wstał, dopóki nie dobiegliśmy.

– Van de Meer, wstawaj pan! Samego pana tu nie zostawimy. Amunicję pan ma jeszcze?

– Nie... ale panowie idźcie. Musicie pojmać tego zboja.

Rzuciłem na trawę obok Dietricha śrutówkę, wytrząsnąłem z kieszeni resztkę nabojów, pospołu z Kostkiem pokuściliśmy dalej. Van de Meer czołgał się za nami, próbował wstać, pluł, kasłał i nijak nie był w stanie wychrypeć, żebyśmy zabrali broń.

Szliśmy z Kostkiem po śladach krwi.

– *Oj, mała, oj, mała* – jęczał Taras.

Rozumiałem go doskonale – mało krwi bydlak traci, czyli lekko ranny, zbyt lekko! Ale kuściliśmy i kuściliśmy, kropelki krwi pokazywały nam drogę. PDA nawet nie włączałem, w końcu szliśmy po śladzie Pustowara, a to znaczy, że bezpiecznie, anomalii nie ma. Przynajmniej się Dima nie dowie, że go dochodzimy, dopóki nie usłyszy... Nie do końca miałem pomysł, co konkretnie zrobimy, gdy już się do niego zbliży my, przecież Pustowar na pewno ma broń, chociaż ani kałacha, ani enfielada nie zauważyłem, pewnie ciężkie działa zrzucił grubas razem z egzozkieletem.

Nie mam pojęcia, jak długo szliśmy jego tropem, ale w końcu szlak krwi znikł. Najpewniej Pustowar jednak dał radę nas odsadzić, zatrzymał się i opatrzył rany... co było robić, włączyłem PDA.

– *Nu, szczo?* – wychrypiał Kostik

– Jest, gołabczek, to on – nikt inny!

– *Da KPP priamuje?*

– Tajest.

– *Nu, dawy maju szyju, anakonda bisawa, dawy...*

Złapałem Terminatora za wspomnianą część ciała, chociaż anakonda była ze mnie marna – nawet i królika bym teraz nie udusił, a co dopiero żelaznego androida Tarasa Kostikowa. Krok drugi, krok drugi... Wypadliśmy z lasu, przed nami było strome zbocze... wdrapaliśmy się na szczyt – i zobaczyliśmy Dimę. Łaż, jak i my, niczym żółw, podpierał się jakimś kijem, ale pozostałych plecaków, skurwiel, nie wyrzucił, ciągnął jeden na plecach, drugi z przodu. Zona go tam wie, może i trafialiśmy, jak żeśmy z góry walili, tylko kule w chabarze grzęzły...

Teraz gdy pojawił się cel, Kostik jakby drugi oddech złapał – twardo przebiegał nogami, wlejąc mnie na siebie, jeszcze gadając po drodze:

– *Jak... jaho... nazdażenem... beri maju łapatku... bij jaho... Pa rukam jaho bij. Abo jakszczo pabaczysz pistalieta... chapaj jaho pistoljet. Jakszczo win bez zbroji, ja jaho... bez ruk... bez ruk... namami suku zatapczu...*

Krok drugi, krok drugi...

Co i rusz podnosiłem głowę, rzucałem okiem na Pustowara – odległość malała! Malała!

– *Da-waj, Kos-tik, da-waj!...*

– *Ja daju, Slipyj...*

Krok drugi, krok drugi...

Pustowar kilka razy upadał, ale zawsze, bydlak wstawał, nim zdążyliśmy go dojść. Gdy tylko szedł – odsadzał nas. Kiedy Dima odwracał się, widziałem paskudny pot ciurkający po tłustych policzkach, spojrzenie osaczonego psa...

Dotarliśmy do starej asfaltówki... a potem w oddali pokazał się posterunek, szare, betonowe bloki barykady, kung ze sterzącą anteną... dziób wymalowanego w płamy kamuflażu beteera... Od posterunku bieгло w naszą stronę trzech mundurowych, pierwszy coś krzyczał, ale nie słyszałem, a może po prostu miałem to w dupie. Poznałem chorążego Usaczenkę.

Krok drugi, krok...

I tutaj jakby ktoś w głowie wajchę mi przełożył – myśli że szczętkiem wskoczyły każda na swoje miejsce. Beretta nieszczęsnego Buciora, pistolet z przebitymi numerami, kupiony od chorążego przez Walerego-Walthera-Zwałka. Posterunek, do którego ciągnął z chabarem Pustowar.

Usaczenko jest jego kontaktem... Towar upłynniał, przez Kordon go prowadził. Działają razem, ramię w ramię. A teraz Dima do niego w podskokach leci, przecież musimy zdążyć, zanim...

Krok, drugi, krok, drugi...

W głowie mignęła myśl – kieszeń na udzie; magazynek do Makarowa; dwa naboje w środku; znaleziony podczas pierwszej chodki z Dietrichem... Włożyłem do kieszeni, zapomniałem, magazynek został w kieszeni, potem ważniejsze sprawy były.

Z tyłu donosiło się ochryple dyszenie van de Meera – patrzcie go, dogonił nas! Uczony coś krzyknął, słowa od razu urwały się w ataku kaszlu... a Pustowar gruchnął na ziemię, powoli zaczął człożyć się na czworaka, chwytając się kęp trawy zakrwawionymi paluchami i pełznąć niezgrabnie, dociskany do ziemi plecakami. Dzielilo nas trzydzieści metrów, nie więcej...

Kostik nagle upadł. Nawet nie zrozumiałem, że po prostu się potknął, nawet mnie to, szczerze mówiąc, wtedy nie obchodziło. Nieposłuszny mi dłońmi zacząłem wyciągać z kieszeni makarowa i magazynek, załadowałem, zarepetowałem... Kostik zaczął wstawać, ale nie mogłem czekać, aż podniesie się, nadstawi mi ramię – Usaczenko i jego siepacze już biegli, prawie dopadli już do Pustowara, zaraz gotowi go zasłonić...

– Rzuć broń! Broń na ziemię rzuć! – Aaa, znaczy się to krzyczy, morda ceglana... Rzucę, pewnie, nie zesraj się czasem...

Szeregowi jeszcze w biegu poderwali broń, lufy kałasznikowów spojrzały mi w oczy, żołdacy rośli, zasłaniając świat... A ja powoli podnosiłem pistolet. Tak powoli, jak w smole... Mamusiu, co ja robię?!

Ochżeż kurna, zastrzelił mnie zaraz... Wszyscy święci Zony, jak nic, zastrzelił... Mamo... Nad cieniutką muszką i szczerbinką makarowa pokazała się tłusta potylicą Pustowara. Jeżu kołczasty... ciemne gardziele karabinów patrzyły prosto na mnie. Mamo, Boże, Zono... byle nie zacięcie. Bam! Bam!

Głowa Pustowara eksplodowała krwawym bryzgiem, wypuściłem broń, opuściłem ręce. Usaczenko darł się i machał wielkimi łapskami, jego żołdacy zwolnili, kałasze nadal patrzyły na mnie... i tu świat zasłoniły mi plecy Kostika. Wielkie, ogromne plecy. Co może zrobić człowiek z przestrzelonymi rękoma? Krok może zrobić. Jeden jedyny krok.

A potem plecy Kostika odjechały na bok, znikły – przede mną było niebo. Przewróciłem się na plecy, bo przestały mnie trzymać nogi – i ta zdrowa, i ta połamana. W polu widzenia pojawił się van de Meer – ryży czołgał się, podpierając jedną ręką, bo w drugiej ścisnął walizeczkę ratunkową, palec cisnął na czerwony przy cisk tak mocno, jakby Dietrich chciał przebić nim pudełko na wyłot. Van de Meer krzyczał, splotwał, kasłał, dławił się i dyszał, dokoła kręcili się jacyś ludzie – dużo ludzi. Oni też krzyczeli. Nawet Gosza Kary mi się w tłumie zwidział. I skąd ich tu się tyłu wzięło? I czego się drą? Tyłko ja milczałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć... bo dla mnie ta historia już się kończyła.



Nawet nie zdążyłem się z van de Meerem pożegnać. Zanim doszedłem do siebie na tyle, żeby ja-  
koś ogarnąć rzeczywistość, jego już nie było. Potem mi Kostik opowiadał, że sporo ciekawych  
rzeczy mnie ominęło – jakież to emocje buzowały wokół mego nieruchomego ciała! Na sygnał  
walizeczki ratunkowej zjawił się śmigłowiec pełen żołnierzy włoskiego kontyngentu pokojowego,  
potem dotarły też siły naziemne – dla odmiany z kontyngentu francuskiego i hamerykańskiego.  
Mało tego, Gosza mi się wcale nie przywidział – rzeczywiście tam był. Nikomu przywitania bo-  
haterów nie zlecił, a osobiście ruszył pod posterunek, złapał jeszcze po drodze kilku znajomych  
oficerów z Uprawy, sterczeli pod posterunkiem, chandryczyli się z Usaczenką, no a jak już rozle-  
gły się strzały, to dopiero się zaczęło. W sumie wyszło na to, że UNFOR-owcy wcale nie nas  
przez Usaczenką ratowali, a nieszczęsnego chorążego przed Goszą. Ukraińskich szeregowych roz-  
broili i pod areszt wzięli, van de Meer napłótł jakichś na tyle skomplikowanych bzdurowych  
Usaczenkę wzięli w obroty niemalże pod zarzutem międzynarodowego terroryzmu.

A Dietricha tym samym śmigłowcem gdzieś wywieźli, byle dalej od nieszczęścia, do stolicy,  
albo i do Europy od razu. Następnego dnia mi maila tylko przysłał – dziękował, obiecywał, że się  
odezwie. No a Kostika i mnie zawiózł Gosza do lokalnego ambulatorium. Przyjechała brygada z  
powiatowego, popatrzyła, posłuchała, lekarze skłękali partacza, co łubki krzywo nałożył, Kostikowi  
rany wyczyścili i z powrotem do miasta się zmyli... To mi Taras i Gosza opowiadali, bo ja ni cholery  
nie pamiętałem. Szok porażowy, jakiś Syndrom z Bardzo Trudną Nazwą, do tego wstrząs  
mózgu... No, sporo terminów medycznych, w których się w try miga pogubiłem, ale faktem  
było, że nic nie pamiętałem.

Odzyskałem przytomność i pamięć już w lazarecie, w ciasnej salce. Leżałem pod oknem, na  
szafce obok – bukiet polnych kwiatów, pościel nakrochmalona, aż trzeszczy, rozmazane pieczęcie,  
jak na filmie wojennym. Pod ścianą obok drugie łóżko, na nim Kostik, szczyrzy się, a nade mną  
pochyła się wielka pielęgniarka z czarnymi włosami, na oko pod pięćdziesiątkę, warczy i każe mi  
się ocłknąć, bo środki już dawno powinny przestać działać. No, witaj, niegościnnie świecie.

Pielęgniarka mnie tarmosi, bo przyszedł śledczy z prokuratury wojskowej, żeby pogadać o bo-  
haterskich dokonaniach Usaczenki. A ja, rzecz jasna, nie wiem, nie pamiętam, głowa mnie boli,  
wstrząs mózgu mam – w najlepszym stylu politycznego działacza. Tu za drzwiami rozległy się  
głosy, wściekle zasapała wspomniana już wąsata pielęgniarka, do salki zajrzał Kary. Kiwnął głową  
prokuratorowi – tak po koleżeńsku, wiesz, do wieczora, tam, gdzie zwykle, potem zwrócił się do  
mnie:

– Ślepy, mordo ty moja, mów wszystko, co pamiętasz, pomóż w dochodzeniu. Chorąży honor  
munduru zbrukał, korumpował i w ogóle paragrafy sobie nakręcił. Ja ci potem, mordo, opowiem,  
co i jak dość, że chorążas wyrok dostanie, jasne?

Jasne. Ale i tak o Usaczence nic nie wiedziałem, przecież nie ja od niego sprzęt brałem, a zna-  
jomych wkręcać nie będę, bo nie honor. O dwunastu pracach Pustowara opowiedzieć bym mógł  
– o tym, jak niby gorzałę w szklance niańczył, a sam koordynaty swojej pułapki na lewo i prawo  
rozdawał, jak PDA na kawałki rozbijał, jak chabiar pogrobowy przez rzeczonego chorążego upły-  
niał. Ale jak tylko próbowałem kierować rozmowę na ślepa płamę, od razu smętnym głosem  
przerywał mi śledczy: „Oby watelu, ja tylko w sprawie chorążego U., a Dmitrijem Pustowarem  
zajmować będzie się kolega ze struktur cywilnych”.

Wybiegając myślą naprzód, mogę śmiało rzec – żaden kolega się nikim nie zajął. I wątpliwe,  
żeby sprawę Pustowara ktokolwiek rozgrzebywał, pewnie po cichu zamietli zarówno jego, jak i  
jego knowania pod dywan. Zbyt bogaty tam chabiar był, żeby sądy rozkręcać – wtedy by przy-  
najmniej część trzeba oddać jako dowody i mienie zagrabione.

Dali nam wreszcie spokój, ani Kostik, ani ja nikomu nie byliśmy już potrzebni. Leżałem z nogą

na wyciągu, Taras twardo biegał po całym lazarecie, poznając wszystkie łaski w przytułku, czarując, żartując, opowiadając anegdoty o stalkerze Pietrowie mojego autorstwa, a potem wyjaśniając na uszko, co konkretnie powinno być zabawne. I za każdym razem, gdy wychodził z salki, stawał w drzwiach, odwracał się i rzucał przez ramię:

– Ajl-bi bek...

Gosza pojawił się po kilku dniach – wpadł, żeby nas wprowadzić w bieg wydarzeń. Przeciwno chorążemu kręcili sprawę – szabrownictwo, nadużycia, sprzeniewierzenia, pełen zestaw. Ale współdziału w zabójstwach nie próbowali Usaczence przyszyć, bo przecież nikt nikogo nie zabijał... Więc wykręci się chorąży sianem, teraz idzie na współpracę i rad przyznaje się do drobnicy, jest świadom, wyraża skruchę, obiecuje poprawę i w ogóle pomaga śledztwu.

– Sześć lat mu dadzą, a i to dobrze, jeśli nie w zawiasach – indyczył się Kary. – Więc realnie trójkę odsiedzi, to jest maksior, a i to może mniej. Oj, powinęła się noga trepowi, powinęła... Twój ten van de Meer taki szum zrobił, że NATO-wcy pełne przeszukanie urządzili, inaczej by tego wszystkiego nie było, wywinąłby się Usaczenko na czysto. No a tak na gorącym przyłapanym, nie da rady się wykpić, paszport przy nim znaleźli z fotką na niejakiego Dmitrija Michajłowicza Wołochowa, więc widać Dima planował na emeryturę pójść, ostatnie tournée sobie urządził.

– Tjaa. To dlatego chabaru tyle nabrał... ostatni rejs.

Dima byłby i wcześniej dał dyla, ale go Węgłarz przetrzymał. Pasza łąził po Dolinie Kości, pilnował, więc Pustowar nijak nie mógł wyjść, potem w końcu i Węgłarza dopadł, ale tutaj emisja przyszła, a potem myśmy się napatoczyli. Musiał Dima rejterować podziemnym przejściem. Przecież wiedział, że na Wysypisku po emisji będzie ruch. Do samego końca wytrzymał, do podziemi nie schodził, ale myśmy go zmusili – ot, tak wyszło.

– A ty zobacz – gadał Gosza, gdy ja rozmyślałem nad przewrotnością niezbadanego losu – jaki dureń z tego chorążasa! Paszport wyrychowała, mało brakowało, was by rozwalić kazał przez tego tłustego palanta, Pustowara. A przecież mógł sprawę na czysto zamknąć, sam by Pustowara po cichu sprzątnął, i kamień w wodę! A on, głupi, uczciwie chciał – i paszport Dimie dawać, i jego działkę towaru. Ot, idiota! No nic, posiedzi sobie w tymczasowym, tam go szybko sprawią i od przodu, i od tyłu. Mówię ci, Ślepy, mordo ty moja – tymczasowy to jest taka szkoła życia, że hej! Tam się przez dzień takich rzeczy dowiesz, co to na wolności przez dziesięć lat nie wymyślisz... taaaa...

Słuchałem, milczałem. Wspominałem kontrolera w podziemiach. Nie, nie może być – kontroler na pewno nic nie rozumie, kiedy nam klei oszukańczą wizję. Gdyby chociaż minimalnie rozumiał, to maski Goszy by nie nałożył, boby się bał. Ale tu nie Zona, tu bydłaka nożem nie pchniesz... Więc tylko słuchałem pokornie.

Gosza w końcu obiecał mi premię, pożegnał się i poszedł.

Pod koniec tygodnia przybiegła paniusia z poczty – sukienusia leciusieńka, za to makijaż pełny. Krygując się i czerwieniąc, podała mi list. Między narodowy, poczta lotnicza! Nadawca – Dietrich van de Meer. Dziwna rzecz, papierowy list... Bardzo dziwne, jeśli wspomnieć, jak Dietrich radził sobie z techniką. Damulka wspomniała ogólnikowo, że całe miasteczko o niczym nie mówi, tylko o mnie. Kostik odkasznął. O nas, o nas, znaczy się! O obydwu panach, poprawiła się spłonią paniusia z poczty, patrząc na człowieka z żelaza o epicko zabandażowanych rękach.

No i, mówi ona dalej, przychodzi polecony, a ja przecież w szpitalu, sam nie odbiorę! No i ona tak sobie pomyślała... no... że sama, że tak powiem, dostarczy. A na imię ma Nadia. Nadia, Nadieżda, jak wygodniej. I znowu patrzy, czy aby Kostik nie zakasze?

A na pożegnaniu nie bez pewnej złośliwości zauważyła nasza Nadia z poczty:

– A tamta, co do pana pisała wcześniej, to już ani jednego listu nie przysłała. Ani jednego! Pan jej pieniądze wysłał, a ona – nawet nie napisze! To znaczy przepraszam, nie moja sprawa...

ale pana dama...

– To nie żadna moja dama, a kuzynka – westchnąłem. – Dziękuję, Nadieńko. Zna pani anegdotę, jak stalker Pietrow poszedł w tango?

– Nie...

– No więc, tego, poszedł stalker Pietrow w tango, trzy miesiące na umór pił, ile wlezie, do białej gorączki, a potem mówi znajomym: Na jedno wychodzi, jak do Zony pójść – wrażenia takie same, a i rzeczy nie gorsze się widzi. Ci mu na to: No a co z chabarem? A Pietrow odpowiada: Na jedno wyszła, jak butelki do skupu zaniósłem!

Dzieńno wywoja zachichotała. Miejscowi znają nasz stalkerski folklor, od małego wiedzą, jak się jaki mutant i anomalia nazywa, śledzą ceny artefaktów i szpeju. Młodzi, jak ta panusia, wychowali się w cieniu Kordonu, a tutaj życie nierozzerwalnie z Zoną jest związane, innego sobie nawet nie wyobrażają.

– Dziękuję, pani Nadieźdo.

– Ojej, nie ma za co! No dobrze, uciekam.

– *Harna diłczyna – młasną! Kostik – i wywczyływa. Nad twajim durackim anehdotam pasmijałaś, szczob tebe ne abrażaty. Szczo toj profesar pysze?*

A Dietrich pisał, że oto w Zonie stał się cud. Po powrocie położyli go do szpitala, zaczęli leczyć na tysiąc i jedną chorobę, zrobili kompleksowe badania – a tu testy negatywne! Negatywne! Nie ma AIDS! I nie wiadomo, jak to wyjaśnić. Możliwe, że emisja tak podziałała, może wstrząs emocjonalny, może co innego, ale faktem jest, że testy wyszły negatywne. Teraz van de Meera bada ją, żeby poznać ten fenomen.

Co do rezultatów ekspedycji to Poszukujący odebrali Dietrichowy chabar z entuzjazmem, jako że zebrał materiał taki, że ichniemu instytutowi wystarczy na dwadzieścia lat obróbki, żeby to wszystko rozszyfrować i przeanalizować. Chociaż już i teraz wiadomo, że psi-oddziaływanie jest faktem, a fale radiowe to zaledwie efekt uboczny, ale słowo się rzekło, kobyłka u płota, fundusze już wydzielone na badania, trzeba je teraz wykorzystać. Ponadto mają teraz człowieka zaiste cudownie uzdrowionego – dr. D. van de Meera, prawdziwe dzieło rąk Jego. Zali nie jest to dowodem obecności Wszchemogącego w Zonie? Tak czy inaczej, Poszukujący są zadowoleni, więc cudownie uzdrowionego rozpieszczają po całosci.

Na o on, Dietrich van de Meer, jest człowiekiem szczęśliwym i absolutnie zdrowym – w dodatku doskonale sytuowanym! Za co też wyraża swą wdzięczność mojej skromnej osobie. Na końcu listu dopisek „A jak pan myśli, panie Ślepy, dlaczego wysyłam list papierowy, a nie korzystam z poczty elektronicznej? Bo piszę do pana zielonym atramentem! Zielonym, a pan nie miał o tym pojęcia, dopóki do tego miejsca pan nie doczytał!”.

– Kostik, jakiego koloru są litery w liście?

– *Zeleny, a szczo?*

– A nic.

Ot, bydlę. No i gdzie, zapytać mogę, sprawiedliwość? Van de Meer uzdrowiony, pewnie już nie kaszle nawet... a ja jak daltonistą byłem, taki zostałem! Bydlę z pana, van de Meer...

Oprócz listu w paczuszcze była też druga koperta, nieco mniejsza, a w niej karta kredytowa i prostokącik z tekstem: „Panie Ślepy, gdy będzie pan przy bankomacie, proszę wysłać mi maila, prześlę panu kod aktywujący. Powiedziano mi, że jeśli prześlę go razem z kartą, to pieniądze podobno ktoś ukradnie. Żałuję bardzo, że nie mogę odwdziżyć się panu w bardziej przyzwoity sposób, ale wątpię, bym miał w przewidywalnej przyszłości szansę ponownie pana spotkać”. Ot, jakie buty... No bo niby po co miałby się szlajać przy Kordonie szanowany naukowiec z Unii? O ile, naturalnie, nie jest nosicielem straszliwej, nieuleczalnej choroby.

No i w końcu odwiedził nas Mońka, czyli Siergiej Siergiejewicz Pietrow – reporter lokalnej ga-

zety. Malutki, chudziutki Pietrow, z okularami w grubej, rogowej oprawce. Pełny negatyw dla mojego półmitycznego bohatera anegdota. Mońka przyniósł zeszytowy godniowie wydanie, podał mi i wyjaśnił z dumą:

– Na siódmej stronie u dołu. Tam, po prawej masz: „Wilki w owozym mundurze. Chorążki ukraińskiego kontyngentu sił pokojowych przyłapano na gorącym uczynku przy próbie nielegalnego przetrzymania podlegających kwarantannie towarów przez posterunek kontrolny strefy zamkniętej”.

– Tjaa. Jak wiadomo, zwięźłość jest siostrą talentu.

– Cały artykuł wysmarowałem! Na rozkładówkę! Na całe dwie strony! – gorączkował się Mońka – Bomba miała z tego wyjść! Upadek gwiazdy! Przełamujące nowości! Nawet tytułem: „Koniec seryjnego mordercy”. Wyobraża pan sobie? Wyobraża pan to sobie, panie Ślepy? I nie wiem, co oni tam sobie myślą, ale pocięli mi materiały! A tam, pocięli – zarżnęli! Nie macie pojęcia, co mi w redakcji powiedzieli!

Pietrow podskoczył, zaczął machać rękoma, jego okulary groźnie błyskały w promieniach słońca wpadających przez otwarte okno.

– Materiały nie na czasie, powiedzieli – wyraziłem przy puszczeniu. – I niewłaściwy bieżący klimat polityczny, żeby...

– Dokładnie tak.. – Mońka wypuścił parę, nieco się uspokoił. – Ale ja jeszcze o tym napiszę! Jeszcze zobaczycie, stare kontakty poruszę, jeszcze...

– Tylko tytułem nietrafiony – rzuciłem. – Lepiej będzie: „Ślepa plama”.

Ślepa plama... Cała Zona to jedna wielka ślepa plama. Świat nie chce widzieć Zony, nie chce wiedzieć, co się tu dzieje. Wszyscy znajdujemy się w takiej ślepej plamie – żadni z nas bohaterowie ani żadne ofiary; nas po prostu nie ma. Słrywa nas ślepa plama. Tutaj można ile dusza zapragnie zabijać się i ratować nawzajem, dokonywać czy now niebywałego bohaterstwa i dopuszczać się najbardziej ohydnych zrad, być i podłym, i wielkodusznym... ale świat za Kordonem tego nie zobaczy. Pęknięcie noosfery? Sztynne łącze do rozmów z Bogiem? Phi! Zona jest ślepa plamą naszej planety. Ni mniej, ni więcej – tylko że niby co ludzie, którzy widzą normalnie, mogą wiedzieć o ślepych plamach?

A resztą wcale nie wiem, czy cokolwiek powinni.

